

LOUISE

# ANDERSON

*Uchyliłam  
zastonę śmierci*

„To jest prawdopodobnie jeden  
z najlepszych thrillerów, które  
możemy przeczytać w tym roku”

**John Connolly**

THRILLER

# Spis treści

KARTA TYTUŁOWA

PODZIĘKOWANIA

PROLOG

( 1 )

( 2 )

( 3 )

( 4 )

( 5 )

( 6 )

( 7 )

( 8 )

( 9 )

( 10 )

( 11 )

( 12 )

( 13 )

( 14 )

( 15 )

( 16 )

( 17 )

( 18 )

( 19 )

( 20 )

( 21 )

( 22 )

( 23 )

( 24 )

( 25 )

( 26 )

( 27 )

( 28 )

( 29 )

( 30 )

LOUISE ANDERSON

UCHYLIŁAM ZASŁONĘ  
ŚMIERCI

(PERCEPTION OF DEATH)



PRZEŁOŻYŁA: ANNA KŁOSIEWICZ

VIZJA PRESS&IT  
2006

## PODZIĘKOWANIA

Do powstania tej książki przyczyniło się wiele osób, którym chciałabym podziękować za pomoc i zrozumienie okazane mi w tym długim przedsięwzięciu.

Najserdeczniejsze podziękowania dla całego zespołu Darley Anderson Literary Agency, zwłaszcza dla moich agentów, Darleya Andersona i Lucie Whitehouse.

Jestem również niezmiernie wdzięczna pracownikom wydawnictwa Random House, przede wszystkim wspaniałemu redaktorowi, Paulowi Sideyowi, za wyjątkową cierpliwość i wsparcie oraz Tiffany Stansfield, adiustatorce Jacqueline Krendel i korektorowi Neville'owi Gomesowi.

Johnowi Connollyemu dziękuję za jego inspirujący i godny pozazdroszczenia talent.

Nieocenionym wsparciem byli również moi wspaniali przyjaciele: Caroline Sutherland i Nick Wilkes, Catriona i David Harris, Ceinwen i Mark Lombardi, Eileen i Robert Skinner, Sheila i Douglas Kinnaird, Lynn i Paul Newman, Fiona i Russ Crawford, Krysia i Terry Brennan, Jennifer i Mark Watson.

Uściski i ucałowania także dla June McGeachy, Kate Lough, Dorothy Ritchie, Ann Girvan, Liz McRobb, Beth Thornton, Irene Martin i Davida Hendersona.

Słowa wdzięczności niech zechcą przyjąć również pracownicy

firmy księgowej Martin, Aitken & Co., a zwłaszcza Jim McInroy, Jim Copeland i Adrienne Airlie. To oni uświadomili mi, że księgowość może być świetną zabawą!

Serdeczne pozdrowienia dla wszystkich ciotek, wujków i kuzynów, zbyt licznych, aby ich tu wymieniać z osobna. Każdy z was z pewnością otrzyma egzemplarz na Gwiazdkę!

Na wyjątkowe podziękowania zasłużyli również moi rodzice: David (Papa) i Elizabeth (Nanny) oraz wspaniałe, ukochane rodzeństwo Marty i Simi.

Dziękuję także gorąco mojemu mężowi, który okazał się świętym człowiekiem oraz naszym chłopcom.

Przepraszam wszystkie osoby, których tu nie wymieniłam, a które przyczyniły się do powstania tej książki. Wam wszystkim również składam podziękowania.

## PROLOG

Suche fakty nie są ważne. Tak naprawdę liczy się to, w jaki sposób je postrzegamy. Jesteśmy świadkami tych samych wydarzeń, ale widzimy je odmiennie, z naszej perspektywy. Nawet jeśli przeżywamy właśnie najgorszy dzień w całym życiu, zdajemy sobie też sprawę, że w tym samym czasie miliony ludzi stają w obliczu prawdziwej tragedii.

Mamy świadomość, że gdzieś na świecie co chwila dochodzi do katastrofy: trzęsienia ziemi pustoszą Eurazję, nastolatki strzelają do swoich kolegów w szkole, a afrykańskie dzieci umierają z głodu, jednak nie poświęcamy temu zbyt wiele uwagi. Wrzucamy drobne do puszki żebraka i popieramy działania organizacji charytatywnych, tyle że świat jest zbyt wielki, byśmy mogli ogarnąć ogrom ludzkiej niedoli. Koncentrujemy się dopiero na nieszczęściu, które spadło na nasz dom.

Nie znaczy to wcale, że losy świata są mi całkiem obojętne, ale bardziej obchodzą mnie moi bliscy niż ludzie, których nawet nie znam.

Nasze życie ma porządek linearny. Kiedy ja biorę prysznic, ty myjesz zęby, a gdy mój sąsiad smaruje masłem kromkę chleba, ja ubieram się właśnie w kostium. Chłopiec roznoszący każdego ranka gazety biegnie na lekcje, podczas gdy mężczyzna zajmujący się przeprowadzaniem dzieci przez przejście dla

pieszych w pobliżu szkoły, pije herbatę. Nasze życie jest linią prostą, biegnącą równolegle do losów innych ludzi - tysiący cienkich nitki ściśniętych razem tak mocno, że nie sposób dostrzec granic pomiędzy nimi.

W czasie, kiedy Alex pieprzył panią McCaffer, a ja nalewałam sobie świeżo zaparzonej kawy do filiżanki, Lucy Grant wydawała ostatnie tchnienie. To idealnie zsynchronizowany układ wydarzeń na pozór odrębnych, ale oddziałujących na siebie nawzajem z każdym nowym krokiem czy zmianą tempa.

*...rana szarpana szyi, uszkodzenie tchawicy, przełyku i krtani... po przecięciu wędzidełka usunięto język... otarcia, siniaki i stłuczenia w okolicach warg i warg sromowych... ofiara została zgwałcona... zabezpieczono próbki materiału genetycznego sprawcy...*

Zawsze, odkąd byłam dzieckiem, niecierpliwie wyczekiwałam piątku, końca kolejnego tygodnia. Momentu, kiedy będę mogła wreszcie oderwać się od codziennej rutyny. Poprzysięgam sobie kiedyś przestrzegać żelaznej reguły, że dni powszednie poświęcam wytężonej pracy, a w weekendy wypoczywam, ale skończyło się tylko na pobożnych życzeniach. Im bardziej przykładałam się do swoich obowiązków, tym więcej bzdurnych spraw spoczywało na moich barkach. Zawsze kompetentna i sumienna, po prostu musiałam naprawiać skutki niedbalstwa innych. Wcale nie zamierzałam przepracowywać się, ale rozpaczliwie starając się udowodnić, że potrafię dorównać facetom, zupełnie nieświadomie stałam się w firmie założonej przez mojego dziadka osobą, która chętnie zajmie się każdym problemem i niedokończoną sprawą. Moja rodzina też nie umiałaby już sobie radzić beze mnie. A przynajmniej tak mi się wydawało.



Doskonale zdawałam sobie sprawę, że wielu ludzi drażni mój bezceremonialny i napastliwy sposób bycia, choć gdybym była mężczyzną, określono by mnie po prostu jako osobę bezpośrednią i stanowczą. Nie bez znaczenia był też fakt, że przyszedłam na świat w rodzinie nie tylko zamożnej, ale wręcz nieprzyzwoicie bogatej.

Dzień, w którym zgwałcono i zamordowano Lucy Grant odmienił całe moje życie, choć wcale nie chodzi o to, że nagle uświadomiłam sobie, jak kruche jest nasze istnienie. Tego ranka nie wybiegłam nagle z domu w poszukiwaniu swego „ja”, jak zrobiło to wiele innych trzydziestopięcioletnich kobiet, do tej pory zajętych swoją karierą. Nie wybrałam się do banku spermy, aby przez kolejnych dziewięć miesięcy poświęcić się wyrabianiu na drutach ciepłych kaftaników. Nie zdecydowałam się też obciąć na krótko włosów i przyłączyć do wolontariuszy pracujących w krajach trzeciego świata. Żadnych radykalnych posunięć. Zachowałam zimną krew.

Wydarzenia tego piątkowego ranka na początku października, kiedy zginęła Lucy Grant, zderzyły linię mojego życia z losami innych ludzi. Wytrąceni z kolein codzienności w końcu musieliśmy się uważnie przyjrzeć samym sobie. To nie był przyjemny widok.

W życiu każdego człowieka są sprawy, o których lepiej nie wiedzieć - rzeczy, które powinno się zostawić w spokoju.

## ﴿ 1 ﴾

Pogoda tego poranka była wspaniała, toteż z ochotą ruszyłam do oddalonego o dziesięć minut drogi biura. Przykryty cienką warstwą szronu świat tonął w ostrym blasku słońca. W taki dzień z łatwością mogłam pofolgować swojej skrytej namiętności i wyobrażać sobie, że idę ulicami Bostonu czy Nowego Jorku. Nowo otwarte bary kawowe sieci Starbucks były w tej zabawie bardzo pomocne.

Samochodem jeździłam do biura tylko wtedy, gdy pogoda była naprawdę paskudna. Przydzielono mi co prawda miejsce parkingowe, ale jazda przez centrum była prawdziwą torturą. W całej swej mądrości władze miejskie uszczęśliwiły nas mnóstwem ścieżek rowerowych i pasów tylko dla autobusów. Być może takie rozwiązanie sprawdziłoby się w jakiejś europejskiej metropolii o nieco łagodniejszym klimacie i z dobrze funkcjonującym transportem publicznym, ale w Glasgow nie zmniejszyło to wcale natężenia ruchu, dodatkowo spowalniając jeszcze jazdę.

Ostatnimi czasy notorycznie spóźniałam się do pracy. Powodem tej doprowadzającej mnie do szału i godnej politowania opieszałości był mój chłopak. Wychodziłam do biura, dopiero kiedy upewniłam się, że on też wybiera się do

pracy.

Związałam się z przystojnym, wykształconym facetem z dobrej rodziny, któremu brakowało odrobiny motywacji do pracy. Mówiąc wprost, okazał się śmierdzącym leniem.

Przez pierwszych kilka miesięcy naiwnie wierzyłam, że mój chłopak ma w sobie jakiś potencjał i nawet załatwiłam mu po znajomości posadę w agencji pośrednictwa pracy. Co prawda Alex nie miał odpowiedniego wykształcenia, ale moim zdaniem nie było to zbyt skomplikowane zajęcie. Chodziło tylko o przeprowadzanie w imieniu pracodawców rozmów z potencjalnymi pracownikami. To chyba nic trudnego?

Wydawało się już nawet, że Alex w końcu się usatkuje, ale ostatecznie dochodziły mnie słuchy o jego trwających cztery godziny lunchach, wolnych dniach i ogólnym olewaniu obowiązków. Miałam go dość. Spod pozłoty zaczynało się wyłaniać zupełnie nieciekawe wnętrze. Zdaje się, że on też czuł się mną rozczarowany.

Od czasu ukończenia studiów pracowałam w kancelarii adwokackiej założonej przez mojego dziadka, ale czułam dumę wstępując po kamiennych schodach i gdy mijając wspaniałe georgiańskie filary, wkraczałam do wyłożonego marmurem holu Paterson Building. Budynek wybudowano w 1875 roku dla mojego prapradziadka, jednego z magnatów tytoniowych Glasgow. Obecnie mieściła się w nim kancelaria adwokacka Paterson, Paterson & Co.

Odpowiedziałam na uprzejme powitanie portiera, który otworzył przede mną drzwi i natychmiast sprowadził windę. William pracował w naszej firmie od czterdziestu lat i dobrze wiedział, że nie warto próbować wciągać mnie w niezobowiązującą pogawędkę. Potrzebowałam tych kilku

cennych chwil na zastanowienie się, czy o niczym nie zapomniałam i przemyślenie strategii działania. Nie czułam się skrępowana naszym milczeniem - powtarzalność tego porannego rytuału działała na mnie uspokajająco.

Mój gabinet, należący niegdyś do mojego ojca, znajdował się na ostatnim piętrze, tuż obok sali posiedzeń. Z windy wychodziło się wprost do pozbawionego ścianek działowych pomieszczenia biurowego, które o tej porze tętniło już życiem.

Przywitawszy się z pracownikami, skierowałam się prosto do swojego gabinetu. Piątek ma w sobie coś dziwnego. Kolejny dzień roboczy, będący jednocześnie zakończeniem całego tygodnia pracy, w którym zbiegały się dwie sprzeczności: świadomość zamykania wszystkich spraw na czas weekendu i nadzieja na owocną pracę. Byłam jednak odosobniona w tej pewności, że w piątek można zdziałać równie wiele, jak w każdy inny dzień.

W wypchanej po brzegi torebce nie mogłam znaleźć szczotki do włosów. Uznałam więc, że najwyższa pora na generalne porządki. Zawsze staram się zachować nienaganny wygląd. Niecierpliwie wysypałam zawartość torebki do koszyka na korespondencję. Oczywiście, szczotka znajdowała się na samym dnie, pod palmtopem, portfelem, kosmetyczką, komórką i czterema kompletami kluczy: od mojego mieszkania, od domu rodziców, od biura i od samochodu.

Poprawiłam fryzurę i poszłam do biurowej kuchenki po kawę. Nigdy nie wierzyłam w nadprzyrodzone znaki i podobne bzdury, ale kiedy kuchenne okno otworzyło się gwałtownie, ze strachu aż podskoczyłam, boleśnie parząc sobie rękę gorącym napojem.

Włożyłam dłoń pod strumień zimnej wody i przybrałam poważny, rzeczowy wyraz twarzy. Moi koledzy wiedzieli już z doświadczenia, że kiedy mam taką minę, lepiej ze mną nie

zadzierać.

Wróciłam z kawą do swojego gabinetu i usiadłam przy biurku. Zabierałam się właśnie za przeglądanie wysypanych z torebki śmieci, kiedy usłyszałam pukanie.

- Dzień dobry, Erin - w drzwiach stał Michael McCabe. Wkraczał na moje terytorium, starał się więc zachowywać przyjaźnie.

- Dzień dobry - mruknęłam, nie siląc się zbytnio na uprzejmość.

- Udało ci się wczoraj dopracować szczegóły ugody w sprawie Murphy kontra Broadwood?

- Wszystko gotowe.

- Masz zamiar zgodzić się na pięćset tysięcy? Poruszyłam się niespokojnie na krześle. Odkąd Michael interesował się moimi sprawami?

- Raczej tak.

- Świetnie. Będą tu o dziesiątej.

- Wiem. - To chyba oczywiste, skoro sama zorganizowałam to spotkanie. Michael ociągał się z wyjściem, więc uniosłam pytająco brew:

- Mogę ci jeszcze w czymś pomóc?

- Nie, nie. Życzę szczęścia - odparł jowialnym tonem, w którym brzmiała jednak nieszczerza nuta i w końcu poszedł.

Shczęście nie miało tu nic do rzeczy. Po prostu byłam dobrą prawniczką. Cholernie dobrą prawniczką. Odrobiłam swoje zadanie domowe. Michael zachowywał się dziwacznie, ale z drugiej strony w moim towarzystwie zawsze był trochę dziwny. Staraliśmy się schodzić sobie z drogi - przynajmniej na tyle, na ile to było możliwe w przypadku dwojga starszych wspólników i dawnych kochanków. Z czasem wzajemną adorację i

romantyczne zainteresowanie zastąpiły nieufność i niechęć. Michael to głupek, ale jest też świetnym prawnikiem, nie chciałam więc, żeby odszedł z naszej kancelarii, nawet jeśli osobiście bardzo by mi to odpowiadało. To jego nagle zainteresowanie ciągnącą się od trzech lat sprawą było jednak zastanawiające.

Pięćset tysięcy funtów nie wydawało mi się wystarczającą sumą za utratę męża i ojca, ale tyle zazwyczaj płacono w przemyśle za podobne śmiertelne wypadki. Pan Murphy zmarł w wyniku domniemanego zaniedbania ze strony Broadwood Ltd.

Otworzyłam aktówkę i przerzuciłam teczki z dokumentami, aby upewnić się, że nie zapomniałam o niczym ważnym. Hammersmith kontra Duguid & Masters Ltd., Morris kontra Donald, McGowan kontra Francinelli & Sons. Brakowało akt sprawy Murphy kontra Broadwood Ltd.

Przejrzałam papiery jeszcze raz, zatrzasnęłam aktówkę i spojrzałam na zegarek. Za pięć dziesiąta. Powinnam zdążyć wpaść do domu, zabrać potrzebne dokumenty i wrócić do kancelarii w ciągu pół godziny.

W tym pośpiechu przewróciłam kubek, wylewając kawę na biurko i klawiaturę. Odetchnęłam głęboko i chwyciwszy klucze i płaszcz przeciwdeszczowy, ruszyłam w stronę windy.

- Karen, muszę wyjść - zwróciłam się z westchnieniem do swojej asystentki. - Rozlałam kawę na biurko i klawiaturę. Poproś kogoś, żeby to posprzątał.

- Oczywiście, panno Paterson. Kiedy możemy się pani spodziewać z powrotem? - zawołała za mną Karen.

- Za pół godziny.

Dobrze wiedziałam, że jestem dla niej zbyt opryskliwa, ale naprawdę nie miałam dzisiaj czasu na wymianę uprzejmości.

Na ulicach kłębiły się tłumy spieszących do pracy urzędników, ekspedientów i fryzjerów. Z trudem przedzierałam się przez to morze ludzi, zmuszona rozpychać się łokciami i co chwila powtarzać „przepraszam”.

Dotarłam w końcu do wylotu ulicy, skąd było już widać kamienicę, w której mieszkałam. Promienie słońca odbijały się w szybach okien, nadając fasadzie z jasnego piaskowca ciemniejszy odcień. Był to piękny, emanujący ciepłem budynek - wyremontowany wiktoriański magazyn, stojący nad brzegiem przywróconej do życia rzeki, płynącej przez serce odrestaurowanego miasta.

Wykonano tu kawał dobrej roboty, zwłaszcza w przypadku apartamentów na najwyższym piętrze, z których jeden należał do mnie. Kamienica była ekskluzywna - mieściła tylko dwanaście mieszkań, zajmowanych wyłącznie przez ludzi wolnych zawodów. Staraliśmy się nie wchodzić sobie w drogę, ale byliśmy na tyle dobrze wychowani, że tworzyliśmy złudną atmosferę wspólnoty.

Sięgnęłam do kieszeni płaszcza i wyciągnęłam klucze od domu rodziców. Zapowiadał się naprawdę wspaniały dzień.

Nacisnęłam guzik przy nazwisku naszej dozorczyńi, pani McCaffer. Bez rezultatu. Zniechęcona, zadzwoniłam do wszystkich mieszkań, oprócz dwóch apartamentów na samej górze, ale tak jak przypuszczałam, nikogo nie było w domu.

Odetchnęłam głęboko i w końcu nacisnęłam guzik sąsiadującego z moim mieszkaniem apartamentu. Z jednej strony wolałabym nikogo nie zastać, jednak z drugiej musiałam się przecież jakoś dostać do budynku.

- Słucham?

- Cześć, tu Erin Paterson. Zapomniałam kluczy, a pani

McCaffer nie ma w domu. Mógłbyś mnie wpuścić?

Nastąpiła chwila dziwnego milczenia. To typowe dla Paula Gabriela, mojego najbliższego sąsiada, który uważał się chyba za kogoś w rodzaju komika.

- Dobra, ale muszę cię uprzedzić, że winda jest zepsuta - odezwał się w końcu.

- Dzięki - mruknęłam pod nosem, jednak na wszelki wypadek upewniłam się, że winda rzeczywiście nie działa. Taki szczeniacki żart byłby bardzo w stylu Paula.

Popatrzyłam na schody. Nienawidzę wysiłku fizycznego, kiedykolwiek i pod każdą postacią. Ćwiczenia to dla mnie prawdziwy idiotyzm. Jestem gotowa zrobić wiele, byle ich tylko uniknąć. Nie uśmiechało mi się wyciskanie siódmych potów na siłowni i udawanie przy tym, że świetnie się bawię, podczas gdy jedyną rzeczą, o której tak naprawdę marzę, jest kieliszek wina. Żeby zachować idealną figurę w rozmiarze 36, stosowałam po prostu rewolucyjną dietę. Jadłam mniej.

Rozpoczęłam wspinaczkę na piąte piętro, ale już na trzecim dostałam zadyszki. Czułam drobne kropelki potu, które zbierały mi się u nasady włosów. Zrzuciłam z ramion płaszcz i zostawiwszy go na podeście, podjęłam desperacki wysiłek pokonania biegiem dwóch ostatnich pięter. Z doświadczenia wiedziałam, że szybciej wracam do siebie po krótkim, intensywnym wysiłku. Nikomu o tym nie mówiłam z obawy, że otaczający mnie nudziarze, którzy bez przerwy rozprawiają o ćwiczeniach fizycznych, zamęczą mnie naszpikowanymi szczegółami wykładami na temat tempa regenerowania się systemu krążenia.

Odetchnęłam głęboko i zaczęłam przeskakiwać po dwa stopnie na raz. I to był błąd. Kiedy skręcałam na czwarte piętro,



zahaczyłam o coś pantoflem od Gucciego i urwałam obcas. W końcu dotarłam na górę, klnąc pod nosem na czym świat stoi. Na domiar złego - na korytarzu czekał na mnie Paul Gabriel.

Nie rozumiałam, dlaczego w ogóle się fatygował, bo z całą pewnością nie miałam mu nic do powiedzenia.

Stał oparty o framugę drzwi swojego mieszkania i przybrał pozę, która w jego mniemaniu miała zapewne sprawiać wrażenie swobodnej i beztroskiej. Nie można zaprzeczyć, naprawdę interesujący mężczyzna: tuż po czterdziestce, z włosami przyprószonymi gdzieś siwizną, wysoki - dobrze ponad metr osiemdziesiąt wzrostu - i w świetnej formie. W każdym tego słowa znaczeniu.

- Wszystko w porządku?

- Tak, dzięki - wysapałam.

Przyglądał mi się uważnie, kiedy kuśtykając mijałam jego mieszkanie, najwytworniej, jak się dało, biorąc pod uwagę brak pięciocentymetrowego obcasa. Wyjęłam zapasowe klucze, schowane w doniczce z dużą paprotką, ustawionej pomiędzy naszymi mieszkaniami. Pomyślałam, że powinnam chyba przerwać to niezręczne milczenie, choć sytuacja nie wymagała raczej wyjaśnień.

- Zapomniałam kluczy.

W odpowiedzi skinął tylko z wyższością głową.

Bogaci nowojorczyki dobrze to sobie jednak wymyślili. Jedynym minusem tej kamienicy było to, że zasiedziali lokatorzy nie mieli prawa głosu w sprawie swoich ewentualnych sąsiadów. Nie mieściło mi się w głowie, jak tego podejrzanego pismaka stać było na mieszkanie tutaj.

- Dzięki, że mnie wpuściłeś - dodałam, otwierając drzwi.

- Może wstąpisz do mnie na kawę? - zaproponował nagle Paul.

- Propozycja spędzenia z tobą dnia jest niezwykle kusząca, ale niektórzy przecież pracują. Dziękuję, ale muszę odmówić.

- Nie jesteś już chyba zła o tamten kawałek w prasie?

- Ależ skąd - odparłam, wzruszając ramionami. - Wolność prasy i tak dalej.

Paul Gabriel napisał artykuł o nierzetelnych prawnikach zajmujących się odszkodowaniami, którzy zapewniają swoich klientów, że pobierają honoraria tylko w przypadku wygrania sprawy, ale żądają niebotycznych kwot w ramach zabezpieczenia. I miał czelność zacytować mnie jako prawniczkę specjalizującą się właśnie w sprawach o odszkodowanie. Co prawda, nie nazwał mnie osobą pozbawioną skrupułów, ale wystarczyło, że wymienił moje nazwisko. Pracowałam w jednej z najbardziej renomowanych kancelarii prawniczych w Szkocji, która z całą pewnością nie działała w ten sposób. Pobieraliśmy po prostu określony procent wygranej kwoty.

- Wtedy mówiłaś co innego - powiedział z uśmiechem. - Nazwałaś mnie złośliwym, niedoinformowanym, marnym pismakiem!

Zamrugłam niemądrze powiekami.

- Przepraszam. Jestem już naprawdę spóźniona.

- Zgódź się - nalegał Paul. - Napijemy się kawy i w końcu zakopujemy topór wojenny.

Miałam wielką ochotę wytłumaczyć mu obrazowo, gdzie może sobie wsadzić takie propozycje, ale powiedziałam tylko stanowczo:

- Dziękuję, ale nie. Jestem już spóźniona na spotkanie. Muszę pędzić.

- Może jednak dasz się skusić?

- Nie rozumiesz prostego „nie”?

- Czyżbym wyczuwał w twoim głosie wrogość?

- Cieszę się, że jesteś taki spostrzegawczy. Nie. Nie chcę napić się kawy.

Weszłam do mieszkania i próbowałam zatrzaskać drzwi, ale złośliwie odbiły się od framugi i znów otwierały. Na szczęście Paul nie skorzystał z okazji i nie wepchnął się za mną do środka.

Zrzuciwszy z nóg nieszczęsne buty, ruszyłam w stronę komputera, nie udało mi się jednak znaleźć akt sprawy Murphy kontra Broadwood.

Rozejrzałam się z irytacją po salonie. Panował tu zaduch, powietrze było niemal parne.

Całą południową ścianę w moim mieszkaniu zajmowały drzwi balkonowe, prowadzące na spory taras. W chwilach zmęczenia, frustracji czy złego nastroju, które zdarzały mi się bardzo często, wychodziłam tam, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. Teraz też otworzyłam drzwi i stanęłam bosą na wyłożonej terakotą podłodze tarasu.

Wsparta o balustradę, patrzyłam na panoramę miasta, oddychając przy tym głęboko i próbując się ogrzać w promieniach jesiennego słońca. Kiedy w końcu zerknęłam na zegarek, zakląłam. Dwadzieścia po dziewiątej.

Wróciłam do salonu i ze złością zabrałam się za szukanie akt. Wreszcie znalazłam je pod jakimś czasopismem. Dałabym głowę, że tam ich nie kładłam. Pieczołowicie odłożyłam teczkę na komputer i pomknęłam do sypialni po nową parę butów. Widok, który tam zastałam, wprowadził mnie w osłupienie.

Naga, siedząca okrakiem na Aleksie kobieta zeskoczyła z niego z wrzaskiem. Pani McCaffer. Stałam w drzwiach, mrugając ze zdziwieniem oczami, podczas gdy oni wili się w łóżku, nerwowo próbując okryć prześcieradłami swoją nagość.

- Wynoście się - zdołałam wydusić.

- Erin, to nie tak, jak myślisz...

- Co takiego? - prychnęłam z niedowierzaniem. Pani McCaffer potknęła się i zupełnie przypadkiem nadziała na niego?

- Wynoście się oboje - wysyczałam i weszłam do garderoby, choć nogi uginały się pode mną. Oparłam się o półkę, próbując nieco ochłonąć. Serce waliło mi jak młotem. Nie mogłam w to wszystko uwierzyć.

Muszę szybko wybrać jakieś buty. Alex i pani McCaffer? Kto by pomyślał? Muszę znaleźć inne buty. Muszę znaleźć odpowiednią parę butów. To była sztuczka, stosuję w trudnych chwilach. Skupiam się na jakiejś prozaicznej czynności i staram się oderwać myśli od tego, co mnie otacza.

Moja terapeutka, doktor Eunice McKay, pewnie spadłaby ze swojej krytej skórą kanapy, gdyby dowiedziała się, że stosuję taką metodę odwracania uwagi. „Musisz zmierzyć się ze swoimi emocjami”, przekonywała zawsze. Ale takie zepchnięcie ich w głąb było bezpieczniejszym rozwiązaniem, bo pozwalało zachować nad wszystkim kontrolę.

Buty miałam starannie poukładane według fasonów i kolorów, dlatego odszukanie kolejnej pary czarnych pantofli na wysokich obcasach było dziecinnie proste. Aż za bardzo.

- Erin, musimy o tym porozmawiać. To nie jest moja wina - dobiegł mnie głos Aleksa.

Usiadłam na krześle i włożyłam buty. Czułam przyśpieszone bicie serca. Na ustach zebrały mi się drobne kropelki potu. Przymknęłam oczy na ułamek sekundy, starając się myśleć tylko o biednej pani Murphy i jej dwóch synkach, którzy od trzech lat wychowywali się bez ojca. Ze względu na nich powinnam dzisiaj zaprezentować najlepszą formę. Za to właśnie biorę pieniądze.

Muszę wziąć się w garść. Pani Murphy mnie potrzebuje.

Między mną a Alekssem nie układało się już od dawna. Tak naprawdę nie miałam nawet ochoty tego naprawiać. Zresztą, jak mogłabym to zrobić, skoro stawką była moja duma? Alex poszedł do łóżka z inną kobietą. To był wystarczający argument.

- Erin, musimy porozmawiać - powiedział, kiedy pewnym krokiem wyszłam z garderoby.

- Nie mamy o czym rozmawiać! - warknęłam. - Z nami koniec. Wynoś się z mojego mieszkania. Twoje rzeczy mają zniknąć stąd do wieczora.

- Nie możesz mnie tak po prostu wyrzucić! Mam prawo tu mieszkać - Alex odrzucił prześcieradło i chwycił swoje bokserki.

Pani McCaffer wyglądała na zadowoloną z siebie i dopiero to naprawdę mnie rozwścieczyło. Jak ona śmie patrzeć na mnie z takim zadowoleniem? Taka szumowina! Na mnie - kobietę, którą „Sunday Herald” umieścił w zeszłym roku na dziesiątym miejscu listy najlepszych partii w Szkocji.

Ruszyłam wolno do wyjścia, ukrywając wzburzenie pod maską chłodnego opanowania.

- Jeśli o mnie chodzi, to straciłeś prawo do czegokolwiek. Wynoś się albo każę cię stąd wyrzucić.

- Spróbuj mnie zmusić! - wrzasnął.

Nie byłam przyzwyczajona do tego, że mężczyźni podnoszą na mnie głos. Poza tym potrafiłam być naprawdę przykra wobec Aleksa, bo to ja miałam wszystkie atuty w ręku. Mieszkanie, samochód, pieniądze należały do mnie. Dlatego w trakcie kłótni Alex nigdy nie uciekał się do krzyków, tylko zawsze starał się mnie udobruchać. Tym razem jednak za mną popędził.

- Nie dam sobą pomiatać! Nie możesz mnie do niczego zmusić. Nie odezwałam się nawet słowem. Po prostu wzięłam do ręki

klucze.

- Nie pozwolę ci teraz wyjść, Erin. Zostaniesz w domu i jakoś to załatwimy... - powiedział przez zaciśnięte zęby i zagroził mi drogę. Widać było, że jest wściekły, ale miałam wątpliwości, czy rozłościła go tak myśl o rozstaniu ze mną, czy może raczej strach przed wylądowaniem na bruku.

- Mieszkanie należy do mnie. Nie chcę cię tu więcej widzieć. Masz się wynieść.

Zirytowałam się, bo głos zrobił mi się piskliwy. Zawsze tak było, kiedy zaczynałam się z kimś kłócić. Z łatwością wygrywałam spory w kwestiach prawnych, ale kiedy w grę wchodziły konflikty osobiste, stawałam się zupełnie bezradna. Nerwowo cofnęłam się przed Alekssem.

- Ty głupia, zarozumiała, oziębła krowo. Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz! Sporo o tobie wiem, ty arogancka, rozpuszczona, popieprzona wariatko. „Nie dotykaj mnie, nie lubię tego!” - krzyczał, napierając, a ja przesuwając się krok po kroku w stronę tarasu. Czułam się osaczona i naprawdę przerażona.

- Alex, to już koniec. Proszę cię, idź sobie. Jeśli mnie do tego zmusisz, każę cię stąd wyrzucić, a przecież tego byś nie chciał, prawda? Chyba nie chcesz robić scen?

- Każesz mnie wyrzucić? - roześmiał mi się w twarz. - *Tatus* się tym zajmie? *Tatus* mnie stąd wyrzuci? A może ten stary sukinsyn już tego nie dożyje?!

Kropelka śliny trafiła mnie w oko.

- *Tatus* poradzi sobie ze złym Alekssem? *Tatus* wszystko naprawi? - szydził.

- Zamknij się, Alex! Zamknij się! Nie waż się o nim wspominać. Popatrzył na mnie z góry i uśmiechnął się triumfująco.

- Chyba nie sądzisz, że twojego ojca to obchodzi? Przecież on

ma cię w nosie. Ta resztką mózgu, która mu jeszcze została, myśli tylko o tych jego pieprzonych kaczkach! Już po nim! To jest twój problem, Erin? Tatuś nie kocha cię już tak mocno, jak kiedyś?

Zanim zdążyłam w ogóle pomyśleć, co robię, chwyciłam ciężką figurkę z brązu i uderzyłam go w głowę. Alex padł na kolana, trzymając się dłonią za policzek i jęcząc:

- Jezu Chryste... Jeezu... o, Jeezu... Boże...

Miałam ochotę rozwalić mu czaszkę, uderzyć statuetką siedzącej kobiety w te miękkie, jasne włosy. Chciałam, żeby poczuł taki sam ból, jak mój ojciec. Przewróciłam go na plecy i nachyliłam się.

- Wspomnij jeszcze raz o moim ojcu, a cię zatłukę. Zabiję cię, jeśli jeszcze raz zjawisz się w moim domu. Możesz być pewien, że to zrobię. Dotarło? - kopnęłam go mocno w żebra. Znowu jęknął. Zauważyłam krople krwi ciekące mu pomiędzy palcami. - Do wieczora masz się stąd wynieść - dodałam, rzucając w niego statuetką.

W drzwiach sypialni mignęła mi pani McCaffer, która zdążyła już naciągnąć na siebie tandetną sukienkę w lamparci rzucik, a teraz gapiała się na mnie.

Zignorowałam ją i spokojnie sięgnęłam po teczkę z aktami, ale w wejściu natknęłam się na Paula Gabriela. Z pobladłą twarzą wpatrywał się w skulonego Aleksa, leżącego na podłodze.

- Chyba powinnaś wezwać pogotowie - powiedział w końcu.

- Próbowałeś ich kryć! - krzyknęłam, przepychając się obok niego.

- Erin, naprawdę powinnaś wezwać karetkę - Paul chwycił mnie za ramię. - On jest ranny!

- Odpieprz się! - wrzasnęłam, wyrywając ramię z uścisku. - Wszyscy się ode mnie odpieprzcie!

Na podeście trzeciego piętra podniosłam swój szary jedwabny płaszcz przeciwdeszczowy i popatrzyłam na zegarek, ale z gardła wyrwał mi się szloch. Pod powiekami poczułam łzy.

Teraz będę musiała biec całą drogę do biura, żeby zdążyć na spotkanie w sprawie ugody z Broadwood.

Łzy i bieganie. Dwie rzeczy, których nienawidziłam najbardziej.



Dyrektor generalny Broadwood Ltd., Mat Cohen z kancelarii Cohen Freidmann, mój asystent Douglas Thomson i Michael McCabe siedzieli już przy stole, kiedy w końcu wpadłam do sali posiedzeń, przepraszając za spóźnienie. Od razu przeszliśmy do sprawy.

Głędzili o ugodzie, po raz setny omawiając najdrobniejsze szczegóły. Widać było, że mój brak zainteresowania zaczyna ich powoli denerwować. Po tamtej stronie stołu musiało się już zrobić gorąco i nieprzyjemnie w promieniach silnie palącego słońca. Mogłabym zaciągnąć żaluzje, ale chciałam, żeby trochę się pomęczyli, tak jak męczyła się pani Murphy przez ostatnie trzy lata.

Biedna kobieta. Panicznie obawiała się prawników, była przerażona perspektywą życia bez swojego Dannyego i zamartwiała się, co będzie z nią i jej dziećmi. Proponowaliśmy tę ugodę od dwóch lat, ale dopiero teraz, kiedy wyznaczono datę rozprawy sądowej, zdecydowali się ją wreszcie podpisać. To było naprawdę odrażające.

Poza tym drażniło mnie, że Michael nadal bierze udział w tym spotkaniu. Wystarczy, że zastąpił mnie, zanim zdołałam dotrzeć do biura, ale to była moja sprawa i nie potrzebowałam podpowiedzi z jego strony.

- Panowie, sędzę, że omówiliśmy już dokładnie sprawę - uśmiechnęłam się łagodnie do wszystkich. Mat Cohen i pan Broadwood wyraźnie się odprężyli. Posłałam im kolejny uśmiech. - Ale będę musiała stanowczo odradzić mojej klientce podpisanie tej ugody.

Zapadła grobowa cisza.

- Myślałem, że udało nam się dojść do porozumienia - wydusił w końcu Mat Cohen.

Westchnęłam ciężko, zamykając akta.

- Tak było. Dwa lata temu.

- Czy dobrze rozumiem, że zdecydowałaś się na proces sądowy? - Mat zerknął na swojego klienta. Z satysfakcją zauważyłam plamy potu na koszuli pana Broadwooda.

- Mat, chciałam tylko przypomnieć, że dwa lata to naprawdę długi okres.

Mat rzucił mi gniewne spojrzenie, a potem spiorunował wzrokiem Michaela. Poczułam dreszcz niepokoju. Na coś się zanosilo.

- Chciałbym porozmawiać z moim klientem bez świadków - powiedział ponuro Mat.

Skinęłam głową i gestem poprosiłam Douglasa, żeby opuścił salę razem ze mną. Tuż za nami wyszedł Michael.

- Co ty do diabła wyprawiasz? - syknął, gdy tylko zamknęły się za nim drzwi.

- Zamierzam się trochę potargować.

- Na miłość boską, Erin! Musimy podpisać tę ugody. Jeśli sprawa trafi na wokandę i sąd przyzna odszkodowanie mniejsze niż te pięćset tysięcy, które oni proponują, twoja klientka będzie musiała zapłacić ich koszty procesowe. Nasze też. Będzie mogła mówić o szczęściu, jeśli zostanie jej z tego choć dwieście tysięcy!

Kiedy mnie tak przekonywał, zauważyłam głębokie zmarszczki wokół jego ust. Dziwne, że widując kogoś codziennie, przestajemy zauważać, że ten ktoś się starzeje.

- Dobrze znam prawo, Michael, ale ci z Broadwood mogli zawrzeć tę ugodę już dwa lata temu. Same odsetki to teraz jakieś czterdzieści kawałków. Zwlekali tyle czasu, a na trzy dni przed terminem rozprawy zdecydowali się w końcu podpisać ugodę. Zastanów się - starałam się zachować spokój, chociaż już sam ton głosu Michaela działał mi na nerwy. Douglas też nadstawiał ucha, więc pewnie do wieczora wszyscy w biurze będą już o tym wiedzieli.

- Popełniłaś ogromny błąd - mruknął jeszcze Michael. Douglas odkaszlnął, zwracając naszą uwagę na fakt, że drzwi do sali posiedzeń są otwarte. W milczeniu weszliśmy do środka i zajęliśmy miejsca. Policzki Broadwooda płonęły. Mat Cohen odchrząknął.

- Działając w dobrej wierze, jesteśmy gotowi zaproponować waszej klientce dodatkowo dwadzieścia tysięcy.

Skinęłam głową, pozwalając, aby jego słowa zawisły w powietrzu.

- Dziękuję, Mat. To miło z waszej strony i naprawdę doceniam waszą wolę współpracy - patrzyłam, jak moi przeciwnicy znowu się odprężają. Dla tego właśnie warto było żyć - tego dramatyizmu, blefu, pobrzękiwania szabelką. - Jednak moim zdaniem propozycja dodatkowych siedemdziesięciu pięciu tysięcy byłaby stosowniejsza.

Mat Cohen aż podskoczył na swoim krześle.

- Co takiego? Teraz to już przesadziłaś! Nasza początkowa oferta plus dwadzieścia tysięcy to więcej niż hojna propozycja.

- I naprawdę to doceniam, ale minęły już dwa lata. Przez ten

czas pani Murphy i jej dwójka małych dzieci byli pozbawieni miłości, opieki i wsparcia finansowego ze strony oddanego męża i ojca. Panowie, na waszym miejscu rozważyłabym ponownie swoją propozycję, zważywszy na fakt, że nie mówimy tu jeszcze o ściganiu za rażące zaniedbania.

To był mój koronny argument. Obaj wiedzieli, że spokojnie możemy wystąpić do sądu z takim oskarżeniem. Gdyby sąd uznał, że ich firma dopuściła się zaniedbań, inspekcja bezpieczeństwa i higieny pracy natychmiast dobrałaby się im do skóry, a co więcej, firma ubezpieczeniowa, którą zatrudniają, mogłaby odmówić wypłaty odszkodowania. Broadwood zostałaby obarczony kosztami i najprawdopodobniej musiałby ogłosić bankructwo, żeby wywiązać się ze zobowiązań finansowych, a wtedy ani Cohen, ani pani Murphy, ani ja nie zobaczylibyśmy ani grosza.

Spore ryzyko, ale byłam przekonana, że warto je podjąć. Klienci nie płacą mi za to, żebym zgadzała się od razu na pierwszą propozycję.

Cisza. Douglas kręcił się niespokojnie na krześle, a Michael gniewnie wpatrywał się w widok za oknem. Zauważyłam, że drga mu jeden z mięśni policzkowych. Dlaczego Michael jest taki poirytowany?

- Jeśli nie mają panowie nic więcej do dodania, to na tym chyba zakończymy nasze spotkanie - wstałam od stołu i ruszyłam w stronę drzwi. Douglas podniósł się z pewnym ociąganiem, spoglądając to na mnie, to na Michaela. Chyba będę zmuszona udzielić mu później reprimendy. Pracuje przecież dla mnie, a nie dla Michaela, i powinien wykonywać moje polecenia.

- Twardy z ciebie zawodnik, Erin - Mat Cohen walnął mocno pięścią w stół. - Pięćset pięćdziesiąt tysięcy i ani grosza więcej.

- Zgoda - uśmiechnęłam się do niego. - Dziękuję. Wszystkie papiery są już gotowe do podpisu. Współpraca z panami była dla mnie prawdziwą przyjemnością.

- Cała przyjemność po naszej stronie - mruknął Mat Cohen.

Pan Broadwood wyglądał na wściekłego, ale dobrze wiedziałam, że nie wyłoży tej sumy z własnej kieszeni. Odszkodowanie wypłaci firma, w której był ubezpieczony od odpowiedzialności cywilnej. Cohen na pewno otrzymał dokładne instrukcje, jaka jest górna granica kwoty, na którą może się zgodzić. Znałam ten temat od podszewki.

Od kilku miesięcy Michael namawiał mnie usilnie, że powinniśmy przejść na drugą stronę i pracować dla firm ubezpieczeniowych. Trochę mnie nawet kusilo, żeby przyłączyć się do grubych ryb prawniczego świata, ale z drugiej strony cieszyły mnie również te mniej spektakularne sukcesy związane z rolą prawnika, do którego mogą się zwrócić okaleczeni albo pogrążeni w żałobie ludzie. W tej dziedzinie nie miałam sobie równych. Tak naprawdę chodziło jednak o to, że nie chciałam po prostu tańczyć, jak mi zagrają. W wielkim molochu jakiegoś ubezpieczeniowego konglomeratu byłabym tylko jednym z wielu szeregowych członków zespołu. Pracując samodzielnie, zawsze grałam główną rolę.

Nie mogłam się już doczekać powrotu do gabinetu. Chciałam szybko zadzwonić do swojej klientki z dobrymi wieściami. Po odliczeniu przypadających na nas dwudziestu procent, pani Murphy powinna otrzymać czterysta czterdzieści tysięcy na czysto. Miło pomyśleć, że ta suma oznacza dla niej początek nowego życia.

Karen zrobiła na mój widok dziwną minę.

- Połącz mnie, proszę, z panią Murphy - powiedziałam,

przechodząc różnym krokiem koło jej biurka.

- Panno Paterson... dwóch mężczyzn czeka na panią... właśnie ich wprowadziłam...

Uniosłam dłoń, próbując powstrzymać potok słów.

- Będą musieli poczekać. Byli umówieni? Karen potrząsnęła głową.

- To nie jest ostry dyżur. Odpraw ich i połącz mnie z panią Murphy - nie mogłam pozwolić, żeby ktoś popsuł mój moment chwały.

- Ale oni są... - Karen popatrzyła z niepokojem na drzwi do gabinetu.

- Wpuściłaś ich do *mojego* gabinetu? Nie mogę w to uwierzyć! Nie wolno ci tego robić, jeśli ktoś nie był wcześniej umówiony na spotkanie.

Karen zaczerwieniła się.

- I połącz mnie z panią Murphy - dodałam jeszcze, wkraczając do środka. Z ustawionych naprzeciwko biurka krzeseł podniosło się dwóch mężczyzn. - Muszę prosić panów o wybaczenie. Zaszło małe nieporozumienie. Przyjmuję tylko osoby, które umówiły się wcześniej na spotkanie - uśmiechnęłam się lodowato, przytrzymując otwarte drzwi.

- Erin Paterson? - upewnił się starszy z mężczyzn, sięgając do wewnętrznej kieszeni marynarki.

Skinęłam głową. Co za ludzie, nie rozumieją wymownej aluzji?

- Komisarz Stevenson z Wydziału Dochodzeniowo-Śledczego Stewart Street Police Office, a to jest sierżant Marshall.

Popatrzyłam oszołomiona na policyjną legitymację, którą podsunął mi pod nos.

- Chcielibyśmy zamienić z panią kilka słów na temat tego, co się wydarzyło dziś rano.

Tego nie przewidziałam.

- W takim razie proszę usiąść - powiedziałam, zamykając drzwi i podchodząc do biurka. - Napiją się panowie kawy?

- Nie, dziękujemy.

- Pozwolą panowie, że ja się jednak napiję? - zanim zdążyli zareagować, nacisnęłam przycisk interkomu i poprosiłam Karen o kawę.

- Panno Paterson, dziś rano pani partner, Alexander Faraday, złożył na policji doniesienie, że został przez panią pobity - powiedział komisarz Stevenson bez ogródek.

- Tak?

Policjanci wymienili spojrzenia.

- A więc przyznaje się pani do tego?

- Ależ skąd.

- Pan Faraday trafił do szpitala z podejrzeniem pęknięcia czaszki i sporą raną w okolicach lewej skroni. Założono mu osiem szwów.

- Och - szepnęłam słabo.

- Pan Faraday twierdzi, że zaatakowała go pani nie sprowokowana przez niego w żaden sposób oraz że groziła mu pani śmiercią.

- Aha, tak... - pokiwałam głową kilka razy. Karen przyniosła moją kawę, zerkając z zaciekawieniem na policjantów. Plotkarze w naszej kancelarii będą mieli dzisiaj używanie, pomyślałam żałośnie.

- Panno Paterson, czy groziła pani panu Faradayowi? - komisarz Stevenson przeniósł ciężar swojego potężnego ciała z jednego pośladka na drugi. Jakim sposobem policjanci tak tyją? Upiłam łyk kawy, parząc sobie usta gorącym napojem.

- Panno Paterson? Nic pani nie jest? - zaniepokoił się sierżant

Marshall.

- Tak, przepraszam. O co pan pytał? - potrzebowałam trochę czasu, żeby odzyskać panowanie nad sobą.

- Czy groziła pani panu Faradayowi?

- Tak, ale przecież nie mówiłam tego poważnie. Być może powiedziałam coś w rodzaju „zabiję cię”, ale rozgniewanym rodzicom też się czasem zdarza krzyczeć tak na niegrzeczne dziecko. Nie mówiłam tego dosłownie - skrzywiłam się na ten niefortunny dobór słów.

- Powiedziała to pani przed czy po tym, jak zadała mu pani cios w głowę statuetką z brązu - zapytał sierżant Marshall.

- Chyba później. Ale uderzyłam go w obronie własnej.

- W obronie własnej?

- Tak.

- Po tym, jak nakryła go pani z inną kobietą?

- I tak, i nie. Najpierw starałam się przed nim uciec, ale nie chciał mnie wypuścić z salonu. Dopiero wtedy go uderzyłam.

- Działała pani pod wpływem strachu?

- Tak. Szczerze mówiąc, byłam przerażona.

- Pani McCaffer, która była świadkiem tego zdarzenia, twierdzi, że uderzyła pani pana Faradaya w szale zazdrości, grożąc mu przy tym śmiercią.

- Pani McCaffer? Ach, prawda. Nasza dozorczyńni, która postanowiła rozszerzyć zakres swoich obowiązków - powiedziałam beztrąsko.

- Panno Paterson, chyba nie zdaje sobie pani sprawy z powagi sytuacji - komisarz Stevenson przejął pałeczkę. - Jestem zmuszony prosić panią, aby udała się pani z nami na komisariat.

Guzik telefonu brzęczał i mrugał, sygnalizując wewnętrzne połączenie, ale Karen musiała jeszcze chwilę zaczekać.



- Aresztuje mnie pan?

- Tak - przytaknął ponuro komisarz Stevenson. Skinęłam głową i podniosłam słuchawkę.

- Pani Murphy na linii drugiej - szepnęła Karen.

- Połącz mnie z nią - odparłam, instynktownie zniżając głos do szeptu. - Halo, pani Murphy? Tak, wszystko poszło dobrze. Świetnie. Osiągnęliśmy to, o co nam chodziło... Tak... Dziękuję... Nie, dziękuję... Pani Murphy, proszę nie płakać... Chętnie porozmawiałabym z Dannym i Eamonem, ale może innym razem... Tak, oczywiście... Wpadnę w niedzielę. Tak... O piątej... Bardzo chętnie... Tak. Przepraszam, jestem teraz bardzo zajęta... Tak... Dziękuję... Do widzenia pani... do widzenia.

Komisarz Stevenson odczytał mi moje prawa i upewnił się, że je rozumiem. Zabrałam torebkę, chwyciłam z wieszaka płaszcz i kompletnie oszołomiona, opuściłam swój gabinet.

Całe piętro miało teraz doskonały pretekst, żeby przerwać pracę i choć wszyscy udawali bardzo zajętych, wiedziałam, że uważnie mnie obserwują. Szłam więc w towarzystwie dwóch dokonujących aresztowania policjantów, zachowując pełen godności spokój. Pobladła Karen stała przy windzie i wpatrywała się w nas szeroko otwartymi oczami.

- Przepraszam, że byłam dla ciebie nieuprzejma - uśmiechnęłam się do niej uspokajająco. - Nie miałam pojęcia, że to asy z policji. Mogłabyś zadzwonić do Marcusa Mayesa? Być może będę potrzebowała jego pomocy. Teraz powinien być w sądzie, ale poinformuj go proszę o moim położeniu.

W odpowiedzi usłyszałam tylko szloch. Byłam zaskoczona, bo Karen wydawała się naprawdę zmartwiona nieszczęściem, które mnie spotkało. Zawsze traktowałam ją raczej chłodno i wydawało mi się, że musi mnie uważać za protekcyjną krowę.

W trakcie jazdy samochodem na posterunek przy Stewart Street z kilku powodów w ogóle nie rozmawiałam z eskortującymi mnie policjantami. Zamierzałam dowiedzieć się najpierw, co tak naprawdę na mnie mają, a jednocześnie zmącić ich spokój uprzejmą pewnością siebie. Poza tym zaczęłam się jednak trochę bać. Nie uśmiechał mi się pobyt w cuchnącej policyjnej celi. Bałam się zakucia w kajdanki, maltretowania i tego, co mogliby mi zrobić prawdziwi przestępcy, gdybym trafiła razem z nimi do aresztu.

Prawnicy specjalizują się w różnych dziedzinach. Moją domeną były sprawy o odszkodowania, w których występowałam w imieniu ofiar wypadków i lekarskich zaniedbań oraz pozwy grupowe w imieniu osób żądających zadośćuczynienia. Niektórzy prawnicy zajmowali się prawem podatkowym, inni specjalizowali się w prawie karnym, jeszcze inni pracowali jako radcy prawni. Niewiele wiedzieliśmy nawzajem o swoich dziedzinach. Nigdy nie bywałam na policyjnych komisariatach, więc nie miałam pojęcia, jak wygląda procedura aresztowania. W sprawach dotyczących policji orientowałam się jak każdy przeciętny widz, któremu zdarzyło się obejrzeć odcinek serialu *The Bill*. Pobiorą mi odciski palców? Zabiorą pasek i każą czekać godzinami w zimnej, ciemnej celi cuchnącej ekskrementami i gotowaną kapustą?

Komisarz Stevenson i sierżant Marshall okazali się jednak bardzo uprzejmi. Po spisaniu przez sierżanta dyżurnego danych zaprowadzili mnie do pokoju przesłuchań. Wszystko odbyło się zaskakująco kulturalnie.

Po raz kolejny zrelacjonowałam im wydarzenia tego ranka. Było coś przygnębiającego w opowiadaniu kompletnie obcym facetom o tym, jak po powrocie do domu zastałam swojego

chłopaka różącego pomoc domową.

- A więc nie wróciła pani do swojego mieszkania dlatego, że miała pani jakieś podejrzenia? - drążył sierżant Marshall.

- Nie. Wpadłam na chwilę do domu, bo zapomniałam ważnych akt dotyczących sprawy o odszkodowanie, w której mieliśmy podpisać dzisiaj ugodę.

- Udała się pani prosto do swojego mieszkania?

- Tak. Musiałam pójść schodami, ponieważ winda była zepsuta.

- Ale wcześniej twierdziła pani, że dzwoniła pani domofonem do mieszkania pani McCaffer. Chciała pani sprawdzić, czy dozorczyńni jest w domu?

- *Taaak*, ale tylko dlatego, że zapomniałam kluczy do swojego mieszkania, a pani McCaffer, która u mnie sprząta, ma zapasowy komplet - wyjaśniłam nieco protekcyjnym tonem.

- Wygląda na to, że dziś rano zapomniała pani o wielu rzeczach. Akta, klucze... - komisarz Stevenson zawiesił głos, ale zignorowała tę zaczepkę. - Pani McCaffer pracuje u pani dorywczo jako sprzątaczką?

- Tak, dostaje gotówkę do ręki. Przychodziła dwa razy w tygodniu. Sprząta też w mieszkaniach kilkorga innych lokatorów. Można powiedzieć, że pracowita z niej panienska.

Usta sierżanta Marshalla drgnęły i od razu wyczułam w nim swojego potencjalnego sojusznika.

- Pani McCaffer zeznała, że weszła pani do salonu, wzięła do ręki statuetkę i zaatakowała nią pana Faradaya.

- To kłamstwo. Razem wymyślili tę bajeczkę. Poszłam do salonu po klucze i akta sprawy. Chciałam jak najszybciej wyjść z domu, ale pan Faraday przyszedł tam za mną i zaczął mi grozić. Dopiero wtedy chwyciłam statuetkę. Naprawdę zostałam

sprowokowana do takiego zachowania.

- Z zeznań pani McCaffer i pana Faradaya wyłania się zupełnie inny obraz. Oboje twierdzą, że zaatakowała pani pana Faradaya zupełnie bez powodu, powodując przy tym poważne obrażenia, w wyniku których trafił do szpitala. Poza tym, groziła mu pani śmiercią - komisarz Stevenson pochylił się do przodu, przyciskając swój wielki brzuch do stołu i wbił we mnie spojrzenie, zmuszając mnie do odwrócenia wzroku. Miał nalaną, nieforemną twarz i najwyraźniej świetnie się bawił. - Ma pani spore kłopoty.

Popatrzyłam na niego w milczeniu.

Usłyszeliśmy pukanie do drzwi i do środka zajrzał posterunkowy. Mruknął coś po cichu do Stevensona, który ze stęknieniem podźwignął się z krzesła i kończąc przesłuchanie, wyłączył magnetofon. Przed wyjściem zdążył mi jeszcze posłać znaczący uśmiezek.

Sierżant Marshall uśmiechnął się do mnie z zakłopotaniem. Odpowiedziałam mu uśmiechem. Był całkiem przystojny na ten swój urzędowy sposób. Schludny, elegancko ubrany mężczyzna. Kiedy cisza stała się w końcu nie do zniesienia, oboje odezwaliliśmy się jednocześnie.

- Napije się pani kawy? - zapytał Marshall.

- Jak pan myśli, ile to może potrwać? - powiedziałam. Znowu wymieniliśmy uśmiechy. - Dziękuję, chętnie napiję się kawy.

- Ze śmietanką i cukrem? - Marshall wstał od stołu.

- Nie dziękuję, poproszę tylko o mleko. Dużo mleka.

- Biała kawa?

Zaskoczył mnie tym określeniem. Może sierżant Marshall nie jest tylko prostym policjantem, jak mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka?

- Sierżancie? - zawołałam. Marshall odwrócił się i popatrzył na mnie wyczekująco. - Wiem, że to bardzo źle wygląda i że nie powinnam go uderzyć, ale to naprawdę było w obronie własnej. Bałam się. Alex jest ode mnie znacznie potężniejszy, a poza tym stracił panowanie nad sobą, bo powiedziałam mu, że z nami koniec. Zachowywał się naprawdę bardzo agresywnie - spuściłam ze smutkiem wzrok na swoje dłonie. - Pewnie powinnam go uderzyć po prostu dłonią, ale wtedy nadal mógłby mnie zaatakować. Instynkt samozachowawczy wziął górę. Potrzebowałam czasu, żeby stamtąd uciec... - dodałam rwącym się głosem.

- Potrzebowała pani czasu, żeby uciec przed zagrożeniem? - zapytał łagodnie Marshall, siadając naprzeciwko mnie.

Wiedziałam, że mnie zrozumie.

- Tak.

- I wykorzystała pani ten dodatkowy czas, żeby go kopnąć i zagrozić mu śmiercią?

Zmrużyłam lekko oczy. A więc sierżant Marshall nie jest tylko zwykłym przystojniakiem? Najwyraźniej kryteria naboru do policji Strathclyde bardzo się ostatnio zaostrzyły.

- Właśnie - powiedziałam, wzruszając ramionami.

- Dostanie pani parę godzin pracy społecznej - Marshall mrugnął okiem.

Po chwili do pokoju przesłuchań wrócił komisarz Stevenson. Wyglądał tak, jakby ktoś umarł i przez kilka okropnych sekund mój umysł pracował na najwyższych obrotach. To cholernie typowe dla tego próżniaka Aleksa tak po prostu rzucić wszystko w diabły. Oczami wyobraźni już widziałam się w więziennej celi, otoczoną przez jakieś podejrzanе indywidua.

- Zgłosił się do nas kolejny świadek tego zajścia - odezwał się w

końcu Stevenson.

Zamrugala oczami. Nie miała pojęcia, jakiej spodziewał się odpowiedzi. Czyżby to był maleńki trójkącik, a trzeci uczestnik zabawy ukrywał się za donicą z juką?

- Niejaki Paul Gabriel, pani sąsiad.

Straciła wszelką nadzieję.

- Twierdzi, że wszystko słyszał.

- To dziennikarz! Nie można wierzyć w ani jedno jego słowo! Dla niego to po prostu kolejny temat na artykuł - z rozdrażnieniem skrzyżowała ramiona na piersi. Już widziała te nagłówki: „WZIĘTA PRAWNICZKA POBIŁA SWOJEGO KOCHANKA W ATAKU ZAZDROŚCI”.

Komisarz Stevenson wyraźnie się ożywił.

- A więc twierdzi pani, że Gabriel kłamie?

Zaczęła się zastanawiać. Dlaczego ten grubas jest taki uradowany?

- Wcale tak nie twierdzą, bo nie wiem, co wam powiedział. Dlatego muszę przyjąć, że tym razem mówi prawdę i potwierdza, że była to obrona własna.

Moje słowa podziały na komisarza Stevensona jak kubek zimnej wody. Natychmiast stracił całą pewność siebie.

Została zwolniona do czasu złożenia dalszych wyjaśnień pół godziny później.

Sierżant Marshall zaproponował, że podrzuci mnie z powrotem do kancelarii, ale grzecznie podziękowała, tłumacząc, że wole pójść pieszo i cieszyć się odzyskaną wolnością. Sierżant pożegnał mnie żartem, że powinnam trzymać się z daleka od galerii sztuki, gdzie odbywa się właśnie wystawa rzeźb Rodina.

W drodze powrotnej do kancelarii włączyła komórkę. Od

wczoraj zdążyło się już zebrać osiem nowych wiadomości. Trzy były od klientów, jedna od Marcusa Mayesa i jedna od mojej matki (ktokolwiek powiedział jej o tym, co się stało, będzie miał się z pyszna). Karen informowała mnie, że odwołała wszystkie moje spotkania aż do lunchu. Była też wiadomość od Aleksa. Nie zamierzał wnosić przeciwko mnie oskarżenia, co wyjaśniało, dlaczego tak nagle mnie puścili. Wszystkie te wiadomości były zwyczajne i niczym się nie wyróżniały. Poza trzecią.

Brzmiało to zupełnie jak odgłosy masturbacji. Przez krótką chwilę wyobraziłam sobie Aleksa i panią McCaffer zabawiających się nagrywaniem mi czegoś takiego. Słysząc było jęki, stęknienia i w końcu chrapliwe odgłosy szczytowania. Nie chciałam tego słuchać, ale nie umiałam wyłączyć odtwarzania. Nie czułam się zbyt dobrze w intymnych sytuacjach, nie potrafiłam o tym rozmawiać czy nawet myśleć, nie mówiąc już o oglądaniu takich scen. W moim życiu nie było miejsca na bliski kontakt z drugim człowiekiem. Przysłuchiwanie się, jak facet przeżywa orgazm, to naprawdę nie dla mnie. Skrzywiłam się. Miałam właśnie skasować wszystkie wiadomości, kiedy telefon zadzwonił.

- Erin? Erin?

Moja matka była święcie przekonana, że telefony komórkowe nie działają zbyt dobrze i dlatego trzeba krzyczeć do słuchawki. Podejrzewam, że można by o to winić wszystkich tych ludzi wrzeszczących: „dzwonię z komórki” w pociągach i autobusach, ale matka, której noga nigdy nie postąpiła w publicznych środkach transportu, chyba nie zdawała sobie z tego sprawy. Teraz też musiałam odsunąć telefon od ucha.

- Tu mama. Wszystko u ciebie w porządku?

- Tak, nic się nie stało. To było zwykłe nieporozumienie, oboje

z tatą nie musicie się niczym martwić.

- Co ty wyprawiasz? Żeby wpakować się w takie kłopoty!

- To było zwykle nieporozumienie.

- Pomyśl o firmie! O tym, co będzie teraz wypisywać prasa. Będziemy musieli postarać się o nakaz sądowy, żeby ich powstrzymać!

Tylko moja matka potrafiła jeszcze pogorszyć każdą sytuację.

- Mamo, proszę! Proszę cię, nic nie rób. Nie znasz całej sprawy. Mamo, obiecaj, że nic nie zrobisz.

Zapadła cisza.

- Mamo? Obiecaj mi to!

- Będiesz tego żałować - mruknęła z niezadowoleniem. Już tego żałowałam.

Wyłączyłam komórkę, żeby mieć trochę spokoju. Powinnam już wracać do kancelarii, ale byłam wykończona i roztrzęsiona.

To właśnie była ogromna wada mojego sposobu radzenia sobie w kryzysowych sytuacjach. Zawsze zostawałam z całą masą nierozwiązanych problemów. Zdawałam sobie sprawę, że właściwie powinnam stosować tę metodę tylko przy czytaniu raportów z sekcji zwłok i wydobywaniu zeznań, ale okazała się ona tak skuteczna, że z czasem zaczęłam się do niej uciekać przy radzeniu sobie z problemami życia osobistego.

Miałam wielką ochotę znaleźć cichy, ciemny kącik w jakimś barze i wypić w spokoju kieliszek schłodzonego wina, ale w piątek w porze lunchu nie miałam na to zbyt wielkich szans. Próbowałam wygrzebać w zakamarkach pamięci nazwę jakiegoś lokalu, gdzie nie spotkałabym nikogo znajomego. W Glasgow aż roiło się od stylowych barów i restauracji. Praktycznie co tydzień otwierano jakiś nowy lokal, ale nie miałam teraz ochoty na wizytę w żadnym z modnych miejsc. Potrzebowałam spokoju i



anonimowości.

Wędrowałam ulicami, co chwilę skręcając za róg z nadzieją, że uda mi się w końcu znaleźć odpowiedni lokal. Bez końca analizowałam w myślach wydarzenia tego ranka.

Uderzyłam Aleksa i naprawdę chciałam go zabić. To nieznane mi wcześniej uczucie wściekłości było przerażające. Miałam trudny i wybuchowy charakter, ale nigdy nie uciekałam się do przemocy fizycznej. Bezpieczne zacisze własnego gabinetu przyciągało mnie jak magnes i w końcu wylądowałam przed budynkiem kancelarii. William otworzył przede mną drzwi z taką miną, jakby miał ochotę powiedzieć coś pocieszającego, a potem zmienił zdanie.

Wsiadłam do windy, zbierając wszystkie siły. Spodziewałam się, że większość pracowników będzie na lunchu, ale powitała mnie kakofonia dzwoniących telefonów, faksów wypluwających tony papierów i popiskiwanie oczekujących połączeń.

Karen stała przy swoim biurku, z nawet nie napoczętymi kanapkami w ręku, odbierając jeden telefon za drugim. Serce zabiło mi mocniej. Nie było mnie góra trzy godziny, ale w tym czasie musiało się wydarzyć coś naprawdę ważnego. Popatrzyłam na nią pytająco. Karen natychmiast spłonęła rumieńcem.

- Panna Paterson jest chwilowo niedostępna. Do widzenia - sekretarka odłożyła słuchawkę i w tej samej chwili telefon zadzwonił znowu. - Dzień dobry. Kancelaria Erin Paterson - wyrecytowała. - Przykro mi, panna Paterson jest chwilowo niedostępna. Do widzenia.

Kiedy ponownie odłożyła słuchawkę, telefon zadzwonił po raz kolejny. Zerknęłam na Douglasa i dwie sekretarki, którzy zamiast pójść na lunch, też odbierali dziesiątki telefonów.

- Niech dzwoni - powiedziałam do Karen, wskazując na telefon. - A ty chodź do mojego gabinetu i wytłumacz mi, co się tu u diabła wyprawia.

Karen usiadła, nadal ściskając w ręku kanapki.

- To dziennikarze. Wiedzą już o... o tym, co się wydarzyło dziś rano.

- Rozumiem. - To było zupełnie jasne. Przed oczami stanął mi ten cholerny Paul Gabriel tkwiący w drzwiach mojego mieszkania i z uwagą obserwujący rozgrywającą się przed nim scenę. - Od dawna tak wydzwanają?

- Mniej więcej od wpół do pierwszej. Dowiedzieliśmy się, że panią wypuszczono, zadzwonił jakiś reporter i od tamtej pory telefony się urywają. Centrala po prostu przełącza wszystkie telefony do pani tutaj - wyjaśniła Karen.

- Przekaż do centralki listę nazwisk wszystkich moich klientów i powiedz, żeby przełączali do mnie wyłącznie telefony od tych osób. Inaczej w ogóle nie będziemy w stanie pracować. I zjedz w końcu te kanapki.

Karen skinęła z wdzięcznością głową i wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi i odcinając mnie trochę od panującego w biurze hałasu. Zsunęłam pantofle z nóg i potarłam zmęczonymi stopami o gruby dywan, a potem położyłam głowę na biurku.

Paul Gabriel opowiedział wszystko na policji tylko po to, żeby móc opisać całą historię. Gdybym postawiono mnie w stan oskarżenia, jego zeznanie zostałoby włączone do materiału dowodowego. A ja w chwili szaleństwa naprawdę myślałam, że Paul Gabriel jest w porządku.

O siedemnastej byliśmy już u kresu sił. Wydzwaniali do nas nie tylko wszyscy pismacy w promieniu jakichś trzystu kilometrów, ale także pełni najlepszych chęci współpracownicy. Miało to swoje dobre strony. Kiedy jutro rano moi znajomi otworzą gazetę, nie powinni być zaskoczeni tym, co w niej wyczytają. Ale to był jedyny plus tej sytuacji. Wzdrygałam się na samą myśl o tym, że wszystkie brukowce będą teraz szargać moje nazwisko i rozpisywać się na temat mojego życia uczuciowego.

Wyjrzałam z gabinetu. Douglas i Karen nie mogli już powstrzymać ziewania. Kusilo mnie, żeby zaprosić ich na zasłużonego drinka, ale to nie było w moim stylu, a poza tym oboje mieli przecież jakieś życie prywatne.

Ze znużeniem pozbierałam swoje rzeczy, a potem wyłączyłam komputer, szykując się do weekendu, który zapowiadał się zupełnie inaczej, niż to sobie zaplanowałam.

Zdawałam sobie sprawę, że nie mogę wrócić do swojego mieszkania, jedyne miejsce, w którym pragnęłam się teraz znaleźć, na wypadek, gdyby okazało się, że Alex wyszedł już ze szpitala i czeka na mnie. Głowiłam się, próbując wymyślić jakieś inne bezpieczne schronienie, ale nie potrafiłam znaleźć innego rozwiązania niż powrót do domu rodzinnego. Nie było to wcale takie proste, jak by się mogło wydawać. Przypominało raczej

dobrowolne oddanie się w ręce hiszpańskiej inkwizycji.

- Koniec pracy na dzisiaj - powiedziałam do Karen, wychodząc z gabinetu. - Nie ma sensu użerać się z nimi dłużej. Jeśli ktoś będzie chciał skontaktować się ze mną w sprawie toczącego się już postępowania, to na pewno zadzwoni znowu w poniedziałek.

Karen odetchnęła z ulgą. Wyglądała na naprawdę wykończoną. Odchrząknęłam i powiedziałam głośno.

- Chciałabym podziękować wszystkim za okazaną mi dzisiaj ogromną pomoc. Mam nadzieję, że do poniedziałku sytuacja wróci do normy. - Pracownicy sekretariatu przerwali swoją pracę, słuchając mnie uważnie. - Wszyscy byliście wspaniali, a ja naprawdę doceniam wasze starania. Zapewne nie muszę nikomu przypominać, że nasze umowy o pracę zawierają klauzulę zobowiązującą pracowników do zachowania tajemnicy, więc jeśli skontaktują się z wami dziennikarze, wystarczy po prostu krótkie „bez komentarza”. Jeszcze raz dziękuję. Dobranoc.

Skinęłam krótko Douglasowi i Karen i poszłam prosto do windy. Czułam niesmak na myśl o tym, co powiedziałam o tej zatykającej usta klauzuli, ale byłam niemal pewna, że nie mogę polegać wyłącznie na lojalności mojego personelu, aby mieć pewność, że zachowają milczenie. Lojalność opiera się na szacunku, którego mi nie brakowało, ale też na odrobinie sympatii, a na nią nie mogłam już chyba liczyć. Nie przeszkadzało mi, że większość pracowników uważało mnie za osobę arogancką i wymagającą, ale na gruncie zawodowym musiałam im ufać, nawet jeśli potrzebowałam do tego klauzul i gróźb.

- Panno Paterson - Karen podbiegła do mnie w chwili, kiedy miałam już wsiąść do windy. - Kilka razy próbował się z panią skontaktować jakiś mężczyzna. Bardzo nalegał, żeby powtórzyć

pani, że dzwonił...

Alex. To musiał być Alex błagający o przebaczenie, o jeszcze jedną szansę. Perspektywa przechodzenia po raz kolejny przez ten bolesny proces była przygnębiająca, ale z łatwością zaakceptowałam myśl, że on cierpi z powodu naszego rozstania. Choć zdania nie zmienię. Pani McCaffer była po prostu katalizatorem, którego potrzebowałam. Skinęłam głową, pozwalając Karen kontynuować.

- Niejaki Paul Gabriel. Powiedział, że powinna się z nim pani skontaktować w bardzo ważnej sprawie.

Jęknęłam z niedowierzaniem, a Karen aż podskoczyła.

- Zapisałam jego numery telefonów i kilka wiadomości - powiedziała, niepewnie wyciągając w moją stronę kartkę z notatnika.

Wzięłam świstek i nawet na niego nie patrząc, pogmiotłam i wcisnęłam do kieszeni płaszcza. Na korytarzu wyrzucę go do kosza.

- Dziękuję, Karen. Naprawdę bardzo mi dzisiaj pomogłaś - powiedziałam, ściskając jej dłoń. Odpowiedziała mi nieśmiałym uśmiechem.

- Mam nadzieję, że nie wyrywam się z tym nie w porę, panno Paterson, ale uważam, że była dziś pani wspaniała. Niewiele osób potrafiłoby zachować zimną krew w takiej sytuacji.

Gdyby tylko wiedziała choć połowę tego, co się wydarzyło. Zamiast zjechać prosto do recepcji, zatrzymałam windę na drugim piętrze. Chciałam porozmawiać z jeszcze jedną prawniczką z naszej firmy, Elizabeth Miller, która szybko pięła się po szczeblach kariery i w ubiegłym roku została młodszym wspólnikiem. Elizabeth była świetną specjalistką w zakresie prawa spółki. Lubiłam jej szczerość i złośliwe poczucie humoru,

a poza tym wiedziałam, że na pewno nie będzie przede mną ukrywała, co tak naprawdę mówi się w firmie o tym nieszczęsnym wydarzeniu.

Po południu odbyło się zebranie wspólników. Wszyscy wyrazili współczucie w związku z moim kłopotliwym położeniem, ale zdawałam sobie sprawę, że gdyby coś podobnego przytrafiło się komuś innemu, sama byłabym daleka od zrozumienia. Liz oderwała wzrok od ekranu komputera, kiedy zapukałam w uchylone drzwi.

- Zaczekaj chwileczkę - zerwała się na równe nogi, gestem ręki zatrzymując mnie w wejściu. Potem pozbierała wazon, porcelanową figurkę od Lladro i ramkę ze zdjęciem i teatralnym gestem odstawiła te przedmioty na półkę nad biurkiem.

- Bardzo zabawne - powiedziałam, wkraczając do środka i zamykając za sobą drzwi.

- Jak sobie radzisz?

- A jak myślisz? Najlepiej będzie, jeśli przejdę od razu do meritum. Co mówią ludzie?

- Nic dobrego. Wszyscy niepokoją się, że ta sprawa może się odbić na całej firmie. Poza tym musimy pamiętać o Izbie Adwokackiej. Najbardziej pieklił się McCabe. Chyba nie przepada za tobą, co?

- Rozmawiali o tym, co zamierzają zrobić?

- Matthew Stuart uważa, że należy poczekać i przekonać się, co będzie dalej. Wydaje się najrozsądniejszy z nich wszystkich. Powiedział, że nieważne, co o nas piszą, byleby pisali. Poza tym jego zdaniem to ty jesteś gwiazdą naszego zespołu - powiedziała Liz i pochyliła się do mnie konspiracyjnie. - Jestem całkowicie po twojej stronie. Gdybyś mnie poprosiła, sama przyłożyłabym Aleksowi w twoim imieniu.

Uśmiechnęłam się. Stary dobry Matthew. Był naszym dyrektorem generalnym i jego zdanie naprawdę się liczyło.

- Dzięki, Liz. Wyrwiemy się gdzieś razem na drinka?

- Bardzo bym chciała, ale dziś wieczorem wybieramy się z Alanem na przyjęcie z okazji siedemdziesiątych urodzin jego ciotki - skrzywiła się Liz. - Muszę pomóc przy przygotowaniach.

- Ty imprezowiczko! Baw się dobrze. Ale na wszelki wypadek staraj się trzymać rękę na pulsie, dobrze?

- Jasne. Jeszcze jedno - ale nie jestem pewna, o co tu może chodzić. Moja asystentka widziała wcześniej, jak Michael McCabe rozmawiał z Matem Cohenem. Nie przejęłam się tym zbytnio, ale Cohen to przecież chyba ktoś z twojego podwórka?

Liz chodziło o to, że Cohen zajmował się ubezpieczeniami. Michael był specjalistą od prawa podatkowego, więc nie mieli z Matem wiele wspólnego.

- No nie wiem - mruknęłam z roztargnieniem. Cała ta bzdurna sprawa z Alekssem odwracała moją uwagę od innych rzeczy. Kolejny powód, żeby go znienawidzić.

Winda była zatłoczona. Cisza, jaka w niej zapadła po moim wejściu, była naprawdę irytująca. Czułam spojrzenie siedmiu par oczu, wbijające się w tył mojej głowy. Zwykle traktowano mnie z należyty szacunkiem, więc nie podobała mi się ta atmosfera poufałości, trącania się łokciami i porozumiewawczych uśmiezków. Miałam tylko nadzieję, że to nie potrwa długo. Wsiadłam z windy jako pierwsza i z wysoko uniesioną głową ruszyłam do wyjścia, ale przy drzwiach zatrzymał mnie William.

- Przepraszam, panno Paterson. Ośmieliłem się zamówić dla pani samochód, który odbierze panią z podziemnego parkingu.

Skinęłam głową nieco zakłopotana i pozwoliłam się poprowadzić w stronę schodów. William otworzył mi drzwi i

uparł się, że pójdzie przede mną, „na wypadek jakichś nieprzyjemności”. Dziwnie to ujął.

Nie przewidywałam żadnych nieprzyjemności, może poza obecnością kilku reporterów. Nie sądziłam, żeby moja żałosna historia rozsierdziła członków społeczeństwa na tyle, by mieli we mnie rzucać zgniłymi jajkami. Mimo wszystko doceniałam troskę Williama i posłusznie dałam się zaprowadzić do mercedesa z przyciemnianymi szybami. Kazałam się zawieźć do swojego mieszkania, bo chciałam zabrać z parkingu samochód.

Dopiero kiedy wyjechaliśmy na Bath Street, uświadomiłam sobie, co tak bardzo niepokoiło Williama. Do samochodu podbiegło trzech fotoreporterów, nadaremnie usiłując zrobić zdjęcie przez zaciemnione szyby. Odwróciłam głowę.

Poczułam ostry ból w piersi. Było znacznie gorzej, niż się spodziewałam. To może rzucić cień na dobre imię mojej rodziny, a co za tym idzie zaszkodzić też naszej firmie. Już widziałam reakcję matki.

Bez żadnych problemów przesiadłam się do swojego samochodu i ruszyłam w stronę South Side, gdzie mieszkali rodzice. Kiedy wyprowadziłam się z domu, próbowali mnie przekonać, żebym została w dużym wiktoriańskim mieszkaniu, oddalonym zaledwie o kilka minut drogi od domu rodzinnego, ale obejrzałam tyle amerykańskich seriali komediowych, że zapragnęłam żyć tak, jak mieszkańcy Manhattanu. Znalazłam swój apartament na najwyższym piętrze zaadaptowanych składów i próbowałam upodobnić się do nowojorczyków, ale nic nie było w stanie zmienić faktu, że tak naprawdę mieszkam w Glasgow.

Pollokshields było znane jako miasto-ogród, na którym wzorowano się przy planowaniu podobnej dzielnicy w



Hampstead. Był to największy w Europie zachowany w pierwotnym kształcie rejon z czasów wiktoriańskich. Ze swoimi szerokimi, obsadzonymi drzewami alejami, dużymi ogrodami, rezydencjami i rozległymi parkami, stał się w naszym mieście prawdziwą oazą zieleni.

Kiedy przejeżdżałam obok wspaniałych willi z piaskowca usytuowanych wzdłuż Maxwell Park, świecące nisko nad horyzontem październikowe słońce odbiło się w karoserii mojego jeepa, ale nawet ten słoneczny blask nie przynosił mi pociechy. Byłam wykończona i oszołomiona całym tym zamieszaniem, które rozpętało się wokół mnie. Najwyraźniej w Glasgow nie wydarzyło się dzisiaj nic ciekawszego.

Dom rodziców stał w ślepej uliczce wychodzącej nad staw dla kaczek. Zauważyłam kilka samochodów zaparkowanych w pobliżu i poczułam wściekłość na samą myśl o tym, że reporterzy oblegają nawet mój dom rodzinny.

Wjechałam na podjazd, zaskoczona panującą wokół ciszą. Dopiero kiedy włożyłam klucz do zamka w drzwiach frontowych, uświadomiłam sobie, że chodzi tu o coś znacznie gorszego niż prasa. Spotkanie klubu brydżowego mojej matki.

Wycofałam się szybko i wśliznęłam się do domu tylnym wejściem. Zamierzałam zakraść się na górę i położyć, zanim rodzinka zacznie mi prawić kazania, ale nasze psy, Smith i Jones, wpadły na zupełnie inny pomysł. Wyskoczyły ze swoich ustawionych koło kuchni koszyków z zamiarem zatrzymania intruza. Obrona domu, polegająca na dzikim ujadaniu, przewracaniu intruza na ziemię i zalizywaniu go na śmierć, stanowiła treść życia tych dwóch starych, grubych, czarnych labradorów, które były równie agresywne, jak para rozłoszczonych zółwi. Próbowałam je uciszyć, ale po prostu

oszały z radości na mój widok. Zdecydowałam się więc na próbę przekupstwa przy pomocy psich chrupek.

Przekradłam się do wyłożonego boazerią holu i próbowałam się prześliznąć obok drzwi prowadzących z jadalni do sali balowej.

- Erin? Erin, to ty, kochanie? - usłyszałam głos matki. - Chodź się ze wszystkimi przywitać.

Zakłęłam pod nosem. Wolałabym już spotkać się z Izbą Adwokacką. Stałam oko w oko z dwunastoma matronami najznamienitszych rodzin naszego miasta, usadowionymi po cztery przy trzech stolikach. Przeróżający widok. Wszystkie rozpląwały się w powitalnych uśmiechach, ale ich oczy błyszczały już na samą myśl o czekającej je sesji smakowitych plotek.

Spełniłam swoją powinność, podchodząc do każdego ze stolików, aż w końcu dotarłam przed oblicze matki i ucałowałam podsunięty przez nią policzek.

- Jak się czujesz, kochanie? To musiało być okropne, prawda? - zapytała, nawet na moment nie odrywając oczu od trzymanyh w ręku kart.

- Straszne. Najpierw zrobili mi rewizję osobistą, a potem przypalali papierosem.

- O, mój Boże! Tego już za wiele! Pozwiemy ich do sądu! - matka popatrzyła na mnie z szeroko otwartymi ustami i na widok mojego uśmiechu zmrużyła oczy. - Zmyśliłaś to wszystko.

- Mamo, nic się nie stało. Po prostu drobne nieporozumienie. Nie ma się czym przejmować. Tata już wstał? - postanowiłam uciąć dyskusję w zarodku.

- Tak, kochanie. Jest w swoim gabinecie.

Zamieniłam jeszcze kilka uprzejmych zdań z niektórymi

paniami i przeprosiwszy je, wyszłam z pokoju.

- To nie był odpowiedni mężczyzna dla niej - dobiegły mnie jeszcze słowa matki.

- Tak, Georgino, ale musisz przyznać, że czas nie działa na jej korzyść - cmoknęła z dezaprobatą któraś z jej przyjaciółek.

Nie miałam ochoty przysłuchiwać się nieuniknionej dyskusji na temat tykania mojego zegara biologicznego. Zamknęłam za sobą drzwi i weszłam na piętro.

Gabinet ojca znajdował się od frontu, wtulony pomiędzy dwie duże sypialnie z oknami w wykuszach. Schody prowadzące do znajdującej się piętro wyżej sali bilardowej odcinały fragment pomieszczenia, nadając mu interesujący i nietypowy kształt.

Uwielbiałam ten wyłożony mahoniową boazerią pokój z jego nieodłącznym zapachem papieru, pluszową kanapą i solidnym biurkiem. Ojciec siedział w półmroku przy zakończonym łukiem podwójnym oknie z widokiem na staw i park, ściskając w sprawnej dłoni lornetkę. Wyglądał tak, jakby spał.

- Tato? - szepnęłam, wchodząc cicho do pokoju. Ojciec przywołał mnie skinieniem dłoni.

Stałam za jego plecami i położyłam dłonie na oparciu wózka inwalidzkiego.

- O co chodzi?

- Popatrz. Na czubku berberysu - powiedział ojciec, wskazując drżącym palcem na ogród.

Bardzo chciałam sprawić mu przyjemność, wyjrzałam więc posłusznie przez okno.

- No, no, przecież to mysikrólik!

- Chyba będziemy mieli w tym roku parkę.

Ojciec mógł mówić tylko jedną stroną ust i wymawiał słowa niewyraźnie, ale rozumiałam go doskonale. Po drugim,

naprawdę groźnym udarze cierpiał na paraliż lewej strony ciała i silne drżenie. Nie chciałam wierzyć, kiedy reszta rodziny twierdziła, że choroba uszkodziła także jego błyskotliwy intelekt. Moim zdaniem był zupełnie sprawny umysłowo. Podejrzewałam, że jest to dla nich jedynie wymówka, aby ignorować ojca i nie spędzać z nim tyle czasu, ile powinni. Ojciec rzeczywiście był czasami powolny, ale to, co mówił, miało sens. Ucierpiało jego kruche ciało, a nie zamieszkujący je umysł.

- Mam teraz dużo więcej kaczek. Przylatuje też para łabędzi - wymamrotał.

- A więc cała ta praca nad stawem nie poszła na marne? Firma ogrodnicza obsadziła brzegi stawu sitowiem, kosaćcami, kaczeńcami, różnymi gatunkami trzcin i nenufarami. Na środku powstała też niewielka wysepka lęgowa, gdzie kaczki mogły wysiadywać swoje młode, nie obawiając się ataków licznej populacji lisów żyjących w mieście. Z uwagą patrzyłam na stadko krzyżówek pikujące w stronę stawu, krążące nad nim przez chwilę i w końcu lądujące na wodzie.

- Jest też więcej mew.

- Sprawiają jakieś problemy? - pochyliłam się lekko ponad ramieniem ojca tak, że niemal dotykałam policzkiem jego włosów.

- Rankami. Kradną chleb. Smith i Jones szybko się z nimi rozprawiają.

Bez trudu wyobraziłam sobie dwa czarne potwory pędzące przez park i ścigające mewy. Pracowały zawsze w zespole - Smith okrążał ptaki dookoła, a Jones wpadał w sam środek stada. Gonienie mew, wiewiórek i srok było ulubioną rozrywką naszych psów, zaraz po pilnowaniu domu przed intruzami.

- Tato, coś się dzisiaj wydarzyło. Ja, ja... - nie wiedziałam, jak

powiedzieć mu o tym, że uderzyłam człowieka.

- Rozmawiałem z matką. Dziennikarze tu nie przyjdą - ojciec podniósł lornetkę do oczu. - To chyba perkoz.

Rozmowa dobiegła końca. Popatrzyłam na chmurę ptactwa pływającego po stawie. W promieniach gasnącego słońca wszystkie wyglądały dla mnie tak samo.

- Potrzebujesz czegoś, tato?

- Nie, nic mi nie trzeba.

Zapadła kojąca cisza. Ostatnio ojciec w ogóle nie pytał mnie o sprawy firmy. Zaraz po udarze interesował się tym, co się dzieje w kancelarii, ale teraz zachowywał się tak, jakby ten rozdział jego życia, naszego życia, został definitywnie zamknięty i stał się jedynie odległym wspomnieniem. Czasem próbowałam porozmawiać z nim o toczących się sprawach i problemach, ale ojciec zawsze szybko zmieniał temat. Może rozmowa o tym, co stracił, była dla niego zbyt bolesna.

- Max jest w domu? - zapytał nagle.

- Nie mam pojęcia. Pójdę sprawdzić.

- Dobrze. Chcę mu pokazać tego perkoza.

Wyszłam z pokoju, żeby poszukać mojego czteroletniego siostrzeńca, który otrzymał imię po swoim dziadku. Zeszłam na półpiętro, gdzie mieściły się pokoje Maksa i Bronte, mojej młodszej siostry. W żadnym z nich nie paliło się jeszcze światło, ale z pokoju Maksa dobiegała dziecięca paplanina. Cicho uchylałam drzwi i przez chwilę przyglądałam się jego zabawie.

Na sosnowych pudłach służących do przechowywania zabawek Max ustawił mnóstwo małych ludzików z zestawów lego, biorących teraz udział w jakiejś niezwykle skomplikowanej bitwie. Średniowieczni rycerze walczyli z kowbojami i Indianami, którzy byli z kolei w zмовie ze starożytnymi

Egipcjanami, toczącymi na tyłach bój z wikingami i astronautami. Prawdziwymi bohaterami były jednak figurki postaci z *Gwiezdných wojen*. Max podśpiewywał pod nosem wymyślone piosenki, a potem prowadził rozmowy między swoimi wojownikami, z których każdy przemawiał śmiesznym głosem.

Kiedy tak patrzyłam na tę niczym nieskrępowaną zabawę, udzieliło mi się coś z jego entuzjazmu. Spędzałam za mało czasu ze swoim jedynym siostrzeńcem, ale to samo można było powiedzieć o reszcie rodziny. Wychowaniem Maksa zajmowało się wiele osób i z pewnością nie brakowało mu miłości i poczucia bezpieczeństwa, ale różnica pomiędzy najbliższymi: mamusią, babcią, dziadkiem i ciocią a wynajmowanymi opiekunkami była nieco zatarta. Martwiło mnie to, co może z tego wyniknąć na przyszłość. Max zbyt łatwo przywiązywał się do osób, które okazały mu choć odrobinę zainteresowania.

- Max - odezwałam się w końcu czule.

Chłopiec popatrzył na mnie niewinnymi błękitnymi oczami i w ułamku sekundy jego buzia rozpromieniła się w uśmiechu.

- Ern! Ern! - zawołał, zrywając się na równe nogi.

Chwyciłam go w ramiona i okręciłam wokół siebie, przytulając twarz do jego ciepłego karku, a potem pogładziłam po miękkich, jasnych włosy. Jego ojciec musiał być blondynem. Nigdy go nie poznaliśmy, ale wszyscy w naszej rodzinie mieli ciemne włosy i piwne oczy.

- Zły Vader próbuje zabić Lukrowego Skywalkera, ale Han Solowy podkradnie się do niego od tyłu i przebije go swoim mieczem. Astronaucci mu pomogą! - z tymi słowami Max wyrwał się z moich objęć i kucnął na podłodze, wracając do przerwanej zabawy. - Patrz, ten rycerz ma karabin maszynowy. A masz, ty

łajdaku! Tratatata... tratatata...

- Jadłeś już podwieczorek?

- Nie, mama wyszła.

- Dziadek prosił, żebyś przyszedł do niego na górę. Ma dla ciebie niespodziankę - podniosłam jedną z figurek i przyjrzałam się jej uważnie. To zaskakujące, jak bardzo były skomplikowane. Klocki lego wiele się zmieniły od czasów mojego dzieciństwa.

- Czy to kaczką? - dopytywał Max.

- Jeśli ci powiem, nie będzie niespodzianki. Wiesz co, zaniosę cię na barana.

To przesądziło sprawę.

Przykucnęłam, a malec wdrapał mi się na plecy, ciągnąc mnie przy tym za włosy. Chichotaliśmy i wygłupialiśmy się trochę na schodach, ale w końcu postawiłam go przed drzwiami gabinetu ojca.

- Założę się, że to kaczką - szepnął Max, wchodząc do środka. Miałam wielką ochotę pójść razem z nim, ale bałam się, że jeśli to zrobię, odbiorę ojcu coś cennego. Zawsze uważałam, że chwile, podobnie jak uczucia, są bardzo ulotne i trzeba je chwycić, kiedy jeszcze trwają. Zamiast wejść do gabinetu zeszłam więc do kuchni.

Martha, nasza gospodyni, zbierała się już do domu.

- Martho, co jest na podwieczorek dla Maksa? - zapytałam otwierając drzwi lodówki i zaglądając do środka.

- Twoja siostra pojechała do sklepu, ale to było całe wieki temu. Zastanawiam się, co ją mogło zatrzymać? - Martha popatrzyła znacząco na zegarek.

Nie musiała mówić nic więcej. To było do przewidzenia. Zdarzało się, że Bronte wychodziła na chwilę po jakiejś sprawunka i wracała do domu parę godzin, a czasem nawet dni

później. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego rodzice na to pozwalają. Urodzenie dziecka w wieku dwudziestu czterech lat nie wpłynęło w znaczący sposób na życie towarzyskie mojej siostry. Bronte stała się nawet jeszcze bardziej samolubna i nieodpowiedzialna, o ile to w ogóle było możliwe.

Wyjęłam z zamrażarki paczkę frytek i paluszków rybnych i wysypałam wszystko na blachę, którą następnie wsunęłam do piekarnika. Psy poklepały wyczekująco ogonami o wyłożoną terakotą podłogę.

- To ja już pójde - Martha wsunęła głowę przez drzwi. - Nie chcę przeszkadzać twojej matce.

- Martho, nakarmiłaś psy?

Potrząsnęła głową.

- Jedzenie dla psów było na liście zakupów.

Zjadłam z Maksem podwieczorek, podkradając mu frytki i zaśmiewając się z jego okropnych kawałów. Później poszliśmy na górę, gdzie przebrałam się wreszcie w coś wygodniejszego niż kostium i pomogłam chłopcu założyć piżamę. Potem zwinęliśmy się oboje na kanapie, żeby obejrzeć *Simpsonów*. Śmiech Maksa miał na mnie zbawienny wpływ, pozwalał na chwilę zapomnieć o zmartwieniach. Świat zewnętrzny nie miał do nas dostępu. Nawet wspomnienie porannej klęski nie było już tak bolesne. O wpół do ósmej Bronte zjawiała się w domu, jak gdyby nigdy nic. Patrzyłam na nią zaszokowana. Moja siostra była ewidentnie pijana. Natychmiast podbiegła do dziecka, przysypiającego na moich kolanach.

- Mój syneczku! Synku! - wykrzykiwała, okrywając go cuchnącymi dżinem pocałunkami.

- Mamusia! Mamusia! - Max skoczył na równe nogi i z rozradowaną buzią przytulił się do matki.



Wolałabym, gdyby był bardziej opryskliwy i nadąsany. Chciałam, żeby ukarał ją za to, że go zaniedbywała i myślała tylko o własnych przyjemnościach.

- Co się stało z twoimi włosami? - zapytał Max.

- Ufarbowałam je na blond. Teraz mam takie same jak ty! Chciałam wyglądać zupełnie tak samo jak ty, aniołku - Bronte odwróciła się w moją stronę, jakby w ogóle nie zauważyła mojego potępiającego spojrzenia, a może po prostu postanowiła je zignorować. - Ludzie często nie chcą wierzyć, że Max jest moim synem, bo ma jasne włosy!

- Ciekawe dlaczego?

- Och, nie bądź taką zrzędą! Podoba ci się? Moim zdaniem ten kolor bardzo mi pasuje - dodała, poprawiając platynowe loki.

- Wyglądasz pięknie, mamusiu - Max wyciągnął rączkę i dotknął jej włosów.

- Będiesz miała straszne kłopoty z odrostami - zauważyłam. Bronte cmoknęła z niezadowoleniem i opadła na kanapę obok mnie.

- Potrafisz zepsuć każdą zabawę. Można by pomyśleć, że zbliżasz się do pięćdziesiątki.

- Dziękuję - powiedziałam, odsuwając się od zapachu papierosów, płynu do utleniania włosów i dżinu. - Gdzie zostawiłaś samochód?

- O mój Boże! Zapomniałam! Zostawiłam go pod Safeway's. Spotkałam paru znajomych i wybraliśmy się razem na drinka, żeby powspominać dawne czasy i w ogóle, więc nie brałam samochodu.

- Razem z zakupami? - czułam narastającą gdzieś we mnie irytację.

- Zrobiłam zakupy - powiedziała Bronte z oburzeniem.

- To bardzo szlachetne z twojej strony! - burknęłam, wstając z kanapy i wyszłam z pokoju.

Za plecami słyszałam jeszcze chichot Maksa, któremu Bronte tłumaczyła, że ciocia Erin jest starą nudziarą.

Zeszłam znowu do kuchni, gdzie natknęłam się na matkę, podgrzewającą na kolację dla taty jakąś trudną do zidentyfikowania potrawę.

- Bronte zostawiła zakupy w Safeway's - westchnęłam.

- Wiem, kochanie. Psy są strasznie głodne. Ale nie mogę iść po samochód. Wypiłam parę drinków z dziewczynami - z tymi słowami matka zamieszała w garnku z roztargnieniem i wróciła do czytania gazety.

- Może ja po niego pójde. Zabiorę ze sobą psy.

- Mogłabyś, kochanie?

Podobno przeciwieństwa przyciągają się, czego najlepszym przykładem są moi rodzice. Ojciec był mężczyzną solidnym i rozsądnym, rzadko wpadającym w gniew i zachowującym niezwykle wprost spokój. Natomiast reakcje matki oscylowały pomiędzy histerią a kompletnym brakiem zainteresowania. Czasami jej niefrasobliwość przypominała po prostu obojętność na to, co dzieje się wokół. Zawsze składałam to na karb jej artystycznego temperamentu. Najwyraźniej przypadający na mnie kwadrans jej uwagi właśnie dobiegł końca.

Nikt nie dopytywał się, o co w tym wszystkim chodziło. Nikt nie zainteresował się nawet, jak się czuję. Ale chyba sama byłam winna. Tak bardzo starałam się chronić przed bliskimi swoją prywatność, że nieświadomie zbudowałam w ich oczach zupełnie nieprawdziwy obraz Erin. Moją potrzebę niezależności brali mylnie za deklarację samowystarczalności. Ociągałam się jeszcze chwilę, na wypadek gdyby matka nagle zapragnęła

jednak mnie pocieszyć, ale kiedy nadal nie przerywała swoich zajęć, zdecydowałam się przerwać milczenie.

- Jeśli masz czas, to może przejrzymy później razem sprawozdania kwartalne firmy - zaproponowałam.

- Czy to naprawdę konieczne? - matka wydeła policzki, nawet nie podnosząc wzroku znad gazety. - Nie możesz załatwić tego sama?

- Oczywiście, że mogę - powiedziałam stanowczo. - Po prostu myślałam, że będziesz chciała do nich zajrzeć, żeby wiedzieć, czego się spodziewać, jeśli chodzi o planowane zyski.

- Na pewno wszystko jest w porządku - odparła matka, kręcąc się po kuchni w poszukiwaniu tacy. Znak dla mnie, że pora się wynosić, pomyślałam ze złością.

Zabrałam kluczyki od samochodu Bronte, gwizdnęłam na psy i poszłam do Safeway's. Wyłamywałam się w ten sposób z rutyny moich piątkowych wieczorów, na którą składała się długa, gorąca kąpiel, kieliszek drogiego wina i kolacja w eleganckiej restauracji.

Kiedy wróciłam do domu, okazało się, że Bronte znowu gdzieś wyszła. Nie musiałam nawet pytać dokąd. Zaczął się weekend, więc moja siostra siedzi pewnie teraz w The Granary w towarzystwie innych samotnych serc, które już dawno skończyły dwadzieścia pięć lat. Max leżał w ciepłym łóżeczku, przytulony do swoich licznych pluszaków. Jego przywiązanie do słonia Elmera i psa Trackera bardzo mnie cieszyło, bo oba zwierzaki dostał ode mnie w prezencie.

Zabrałam się za rozpakowywanie zakupów, starając się omijać kręcące mi się pod nogami psy. Mimo iż nie mieszkałam w domu rodzinnym od dziesięciu lat, nadal wiedziałam, gdzie odłożyć poszczególne produkty.

Potem nalałam sobie wina i zabrałam się za żmudne zadanie obdzwonienia wszystkich osób, z którymi byłam umówiona na ten weekend. Nie miałam ochoty na spotkania towarzyskie, odwołałam więc sobotni lunch z Cecylią i późniejszy wypad z Catrioną na doroczną wystawę w Royal Glasgow Institute, gdzie, jak na ironię, rok temu kupiłam statuetkę siedzącej kobiety. Obie koleżanki doskonale rozumiały powody mojej decyzji.

Ojciec leżał już w łóżku, a matka grała na fortepianie koncertowym *Impromptu - Fantazję* Chopina. Uwielbiałam, kiedy dźwięki granych przez nią melodii krążyły po domu. Matka była utalentowaną pianistką, kiedy spotkała mojego ojca. Ich romans rozkwitł w świetle świec. Zawsze wyobrażałam sobie, jak siedzą tuż blisko razem przy jej steinwayu. Kiedy ojciec po raz drugi doznał udaru, nagrałam na kasetę jego ulubione melodie w wykonaniu matki, ale twierdził, że to już nie to samo.

Weszłam na górę i włączyłam telewizor, żeby obejrzeć kolejny odcinek *Przyjaciół*, jak tyle innych samotnych kobiet w piątkowy wieczór. Film sprawił, że jeszcze bardziej zatęskniłam za swoim mieszkaniem.

Wściekłe ujadanie psów zaalarmowało mnie, zanim jeszcze rozległ się dźwięk dzwonka do drzwi. Mogłabym przysiąc, że nasze psiska są w stanie usłyszeć kichnięcie myszy w najdalszym zakątku ogrodu. Od razu wyobraziłam sobie fotoreporterów oślepiających moją biedną matkę fleszami aparatów, zerwałam się więc czym prędzej z kanapy, oblewając przy tym białym winem szary kaszmirowy golf i spodnie. W ramach rekompensaty postanowiłam poszczuć bezczelnych sukinsynów psami. Kiedy zeszłam na dół, ujrzałam matkę stojącą niepewnie w drzwiach salonu. Spodziewasz się gości? - zapytała na mój widok.

- Nie. To pewnie świadkowie Jehowy.

Ponieważ matka obserwowała mnie uważnie, postanowiłam odłożyć swój plan szczucia psami na kiedy indziej. Uchyliłam odrobinę drzwi, wtykając w szczelinę nogę, żeby psiska nie miały okazji wyrwać się na dwór.

- Tak? - zapytałam wyniośle.

- Erin Paterson? - mężczyzna spojrział w głąb domu, najwyraźniej nic sobie nie robiąc z dwóch szcękających potworów.

- O co chodzi?

Mężczyzna wyjął z kieszeni legitymację.

- Nadinspektor Kelman z Lothian and Borders Police<sup>[1]</sup>.

Przymknęłam nieco drzwi, bo Smith zaczął na mnie skakać.

- I...?

- Chciałbym pani zadać kilka pytań na temat tego, co wydarzyło się dziś rano.

Westchnęłam ostentacyjnie, zastanawiając się w milczeniu co to ma wspólnego z policją z Lothian and Borders Police.

- Powiedziałałam już wszystko tym z posterunku przy Stewart Street. Oskarżenie zostało wycofane.

Policjant wyglądał na zdezorientowanego.

- Rozmawiała pani ze Strathclyde Police o Lucy Grant?

- Nie, o Alexandrze Faradayu. Nadinspektor Kelman pochylił się w moją stronę.

- Chodzi o zupełnie inną sprawę, proszę pani. Naprawdę muszę z panią porozmawiać. Samochód czeka i możemy pojechać na posterunek przy Orkney Street, jeśli tak będzie pani wygodniej.

- Chce pan rozmawiać o Lucy Grant? - zapytałam. To nazwisko wydało mi się znajome.

- Tak. Czy mogę wejść?

- Tylko zamknę psy - zatrzasnęłam drzwi i zagoniłam Smitha i Jonesa z powrotem do kuchni. Ciągłe powtarzałam w myślach usłyszane przed chwilą nazwisko w nadziei, że dzięki temu zdołam sobie coś przypomnieć. *Lucy Grant? Lucy Grant? Lucy Grant?* Wróciłam do ciemnego holu, przystając na chwilę, żeby włączyć lampę. Jej światło rzucało długie, mroczne cienie.

Zawahałam się przez chwilę z ręką na klamce drzwi wejściowych. *Lucy Grant?* Zastanawiałam się, wpuszczając jednocześnie policjanta do domu.

Razem z nim do środka wpadł podmuch zimnego powietrza. Zadrżałam.

---

[1] Policja, w której gestii pozostaje Edynburg i jego okolice, podczas gdy Glasgow, ośrodek administracyjny regionu Strathclyde, znajduje się pod jurysdykcją Strathclyde Police, (przyp. tłum.)

## ﴿ 4 ﴾

Zaprowadziłam nadinspektora Kelmana do jadalni, uśmiechając się przy tym przepaszająco.

- Obawiam się, że nie pamiętam żadnej Lucy Grant.

- Nie zna jej pani? - Kelman wyglądał na zaskoczonego.

- Nie sądzę. Czy mogłabym się w końcu dowiedzieć, o co chodzi?

- Lucy Grant uczęszczała do tej samej szkoły, co pani.

- Naprawdę? Na pewno nie chodziłyśmy do jednej klasy... - i właśnie w tej chwili wszystko mi się przypomniało. - W szkole używała nazwiska Granville-Grant. To rówieśniczka mojej siostry.

Być może to dziwne, ale znałam nazwiska niemal wszystkich dziewcząt, które chodziły do tej samej ekskluzywnej szkoły z internatem w Edynburgu, co ja.

- Pani siostra ma na imię Bronte, zgadza się?

- Tak, ale teraz nie ma jej w domu - nie miałam pojęcia, co Lucy Granville-Grant może mieć ze mną wspólnego.

- Dziś rano Lucy Grant została zgwałcona i zamordowana - powiedział bez ogródek Kelman.

- Mój Boże! - zdołałam wydusić z trudem. - Jak to się stało?

- Nie jestem upoważniony do tego, żeby o tym z panią rozmawiać. Jednak na miejscu zbrodni znaleźliśmy komórkę

panny Grant i wygląda na to, że ostatnie połączenia, jakie z niej wykonano były na pani domowy numer oraz komórkę. Czego dotyczyły te telefony?

Popatrzyłam na niego z zaskoczeniem i potrząsnęłam głową. Może i byłam wcześniej nieco rozkojarzona, ale z pewnością nie odbierałam tego ranka żadnych telefonów od Lucy Grant. Od czasu lunchu w ogóle nie przyjmowałam telefonów.

- Nie wiem - wyznałam szczerze. - Nie przypominam sobie, żebym odbierała od niej telefon, ale przez większość dnia miałam wyłączoną komórkę. Być może Lucy zostawiła mi jakąś wiadomość, której nie zdążyłam odsłuchać.

Nadinspektor Kelman zerknął w notatnik.

- Pierwszy telefon był o 9:32 rano, następny o 10:37. Drugie połączenie trwało czterdzieści sześć sekund. Panna Grant musiała przecież coś powiedzieć.

Znowu potrząsnęłam głową.

- Na pewno z nią nie rozmawiałam. Cały rano miałam włączoną pocztę głosową, ale odsłuchałam wiadomości i nie było tam... - urwałam w pół słowa.

Kelman leciutko zmrużył oczy.

- Jak dokładnie brzmiała ta wiadomość?

- Lucy nie zostawiła mi żadnej wiadomości, ale jedno nagranie było... niepokojące. Miałam raczej stresujący poranek. Może ta wiadomość jest jeszcze na mojej poczcie głosowej.

- Mógłbym jej posłuchać? - zapytał Kelman.

- Oczywiście - wstałam i wychodząc wyjaśniłam, że torebkę z komórką zostawiłam w kuchni.

- Pójdę z panią, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu - Kelman ruszył za mną. Ciekawe, co jego zdaniem miałam zamiar zrobić?

Wyciągnęłam komórkę z torebki i zaczęłam wybierać numer



poczty głosowej.

- Mogę prosić o telefon? - Kelman wyciągnął rękę.

- To są moje prywatne wiadomości - popatrzyłam na niego chłodno. - Włączę panu właściwą.

- Proszę pani, prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa. Poproszę o ten telefon - tym razem nie była to prośba.

Rzuciłam mu gniewne spojrzenie, jednak posłusznie oddałam komórkę.

Kiedy wracaliśmy do jadalni, w całym domu rozbrzmiewała muzyka. Dźwięki mojego ulubionego *Preludium B-dur* nadawały jakiś niesamowity wymiar tej surrealistycznej sytuacji.

Miałam wielką ochotę pokazać temu policjantowi, gdzie jest jego miejsce. W rażący sposób naruszył moją prywatność. Najwyraźniej uważał, że coś przed nim ukrywam, a to nie nastrajało mnie zbyt przyjaźnie.

- Jak tu się odsłuchuje wiadomości? - zapytał Kelman. Chwyciłam ze złością telefon i wystukałam ponownie numer poczty głosowej.

- To niezgodne z przepisami. Informacje od moich klientów są poufne.

- Nie interesują mnie pani klienci.

Kelman odsłuchiwał wiadomości, siedząc zupełnie bez ruchu, a ja próbowałam sobie przypomnieć dokładnie, jak brzmiała każda z nich. Nie mogłam znieść myśli, że ten policjant bezceremonialnie wdziera się w moje życie osobiste. Jedną z wiadomości była od matki wykrzykującej coś na temat mojej kłótni z Alekssem. No i to nagranie Aleksa, błagającego o przebaczenie. Poczulałam zażenowanie.

Nagle nadinspektor Kelman zeszywniał, a cała krew odpłynęła z jego napiętej twarzy. Czyżby dotarł do wiadomości

od Lucy, którą ja przeoczyłam?

- Chciałbym odsłuchać je jeszcze raz - powiedział, dotarłszy do końca nagrań.

- Proszę nacisnąć siódmkę.

Kelman po raz kolejny słuchał wszystkich wiadomości, cały czas wpatrując się we mnie uważnie. Nagle ogarnęło mnie jakieś irracjonalne poczucie winy. Co on tam znalazł?

- Proszę posłuchać - powiedział Kelman, wyciągając telefon w moją stronę. Musiałam się pochylić, żeby przyłożyć ucho do słuchawki.

- To telefon od jakiegoś czubka, ten niepokojący, o którym panu wspominałam. Nie zdążyłam go wykasować. Ale przecież nie mogła tego chyba nagrać Lucy Granville-Grant?

- Wiadomość została odebrana o 10:37 rano. Dokładnie wtedy dzwoniło do pani z komórki Lucy Grant.

- Lucy nagrała mi taką chorą wiadomość? - powiedziałam z powątpiewaniem.

Kelman wstał i zaczął krążyć po pokoju. Sama miałam ochotę tak zrobić.

- Panno Paterson, dziś rano Lucy Grant została zamordowana. W czasie, w którym najprawdopodobniej zginęła, dzwoniło do pani z jej telefonu. Potrafi to pani wytłumaczyć?

- Nie. Naprawdę nic mnie nie łączyło z tą biedną dziewczyną. Rzeczywiście, znałam ją poprzez moją siostrę, ale naprawdę nie kontaktowałam się z... z Lucy Grant - jej imię nie chciało mi przejść przez gardło. Przypomniałam sobie ją teraz jak przez mgłę. W szkole uwielbiała konie i zajęcia na wolnym powietrzu.

- Dlaczego miała w komórce zapisany pani numer? - zapytał Kelman pozornie niewinnie.

- Nie mam zielonego pojęcia.

- A ten telefon o 9:32? Dlaczego nie ma żadnego śladu tego połączenia? Skasowała pani tę wiadomość?

- Nie. Kiedy telefon jest wyłączony, a dzwoniący rozłączy się bez zostawiania wiadomości, połączenie nie zostaje zarejestrowane - tłumaczyłam, przybierając protekcyjny ton. - Jeśli telefon będzie włączony, to zarejestruje nieodebrane połączenie.

- Dlaczego Lucy Grant dzwoniła dziś rano o 8:45 na pani domowy numer?

- Nie wiem! Nie rozmawiałam z nią dzisiaj. Nie byłam jeszcze w domu, żeby odsłuchać nagrania z automatycznej sekretarki. A co do tej obrzydliwej wiadomości, to nie mogłam wiedzieć, że dzwoniło z telefonu Lucy. Przecież się nie przedstawiła.

Kelman rzucił nieprzyjazne spojrzenie, które zirytowało mnie jeszcze bardziej. Było mi przykro, że Lucy została zamordowana, ale co to, u diabła, miało wspólnego ze mną?

- Muszę zabrać pani telefon. Mogłaby mi pani zapisać kod dostępu? - zapytał, popychając w moją stronę notatnik.

- Jasne, ale chcę dostać komórkę z powrotem w poniedziałek.

- A może ten telefon miał być jakąś wiadomością dla pani?

- Wiadomością dla mnie? Sugeruje pan, że grozi mi jakieś niebezpieczeństwo?

- Czy miały panie z Lucy Grant wspólnych znajomych? - Kelman zignorował moje pytanie.

- Naprawdę nie wiem. Przypuszczam, że przynajmniej w jakiejś części mogliśmy znać tych samych ludzi, biorąc pod uwagę nasze... - zawahałam się na moment - ...towarzyskie powiązania. Moja siostra zna przyjaciół Lucy i powinna wiedzieć, czy mamy wspólnych znajomych.

- Kiedy spodziewa się pani jej powrotu? - zapytał Kelman,

zerkając na zegarek.

- Bóg raczy wiedzieć. Bronte może w ogóle nie zjawić się w domu na noc. Jest trochę, hm, nieobliczalna - ujęłam to dosyć delikatnie. Bronte wyszła sobie zaszaleć i wszystko zależało od tego, czy uda się jej kogoś poderwać.

- Dobrze się pani czuje? Zbladła pani.

- Niedobrze mi - wyznałam szczerze.

Zauważyłam, że dźwięki fortepianu umilkły, co powinno mnie zaniepokoić. Usłyszeliśmy pukanie do drzwi i do pokoju zajrzała matka. Uśmiechnęła się leciutko, ale jej oczy zaraz się zwężyły.

- Mamo, to jest nadinspektor Kelman - wyjaśniłam, ale matka nie zadała sobie trudu, żeby przywitać się z gościem. Nigdy nie potrafiłam zrozumieć jej dziwacznej wrogości wobec policjantów.

- Sądziłam, że wszystko zostało już wyjaśnione - zauważyła lodowatym tonem.

- Chodzi o coś innego - wyjaśniłam. - Mamo, pamiętasz Lucy Granville-Grant? Chodziła z Bronte do jednej klasy.

- Z tych Granville'ów-Grantów? - matka poruszyła się niespokojnie. Wiedziałam, że nie będzie chciała o nich rozmawiać w obecności zwykłego policjanta, ale miałam nadzieję, że będzie przynajmniej uprzejma.

- Tak.

- Naprawdę nie wiem. W waszej szkole było tyle dziewcząt. Trudno je wszystkie spamiętać.

Było jasne, że matka celowo udaje nierozgarniętą. To jeden z jej ulubionych sposobów na uniknięcie dyskusji na nieprzyjemne tematy.

- No więc, czy Lucy kontaktowała się ostatnio z Bronte? - z trudem opanowałam zniecierpliwienie.

- Być może, nie wiem. Twoja siostra ma mnóstwo przyjaciół, którzy tu wydzwanają i w ogóle - matka rzuciła mi ciężkie spojrzenie. - Będziesz musiała sama ją o to zapytać.

- Gdzie możemy znaleźć pani córkę? - zapytał szorstko Kelman.

- Erin wie, gdzie najprawdopodobniej podziewa się teraz Bronte. Czy Lucy ma jakieś kłopoty? - oczy matki wyraźnie się zachmurzyły. Czyżby przeczuwała, że stało się coś złego? Odchrząknęłam.

- Lucy nie żyje. To się stało dziś rano. Cichy jęk wyrwał się matce z piersi.

- Ale jak? - szepnęła. - Jak to się...? Czy Lucy...? - nie potrafiła powiedzieć tego na głos.

Chciała zapytać, czy Lucy popełniła samobójstwo. Nigdy nie otrząsnęła się po tym, jak Leland odebrał sobie życie. Dla niej było to coś o wiele gorszego niż wypadek czy choroba, które można było przypisać zrządzeniu losu albo boskim wyrokom. Wina za samobójstwo spadała wyłącznie na bliskich zmarłego.

- Została zamordowana - wyjaśniłam łagodnie.

- To straszne... Naprawdę straszne... Jej biedni rodzice... - szepnęła matka łamiącym się głosem. Potem rzuciła jeszcze przelotne spojrzenie nadinspektorowi Kelmanowi i wyszła z jadalni. Drzwi salonu trzasnęły złowroźbnie i wiedziałam, że teraz matka będzie szukać zapomnienia w alkoholu.

- Mój starszy brat popełnił samobójstwo. Matka nigdy nie zdołała się po tym otrząsnąć - czułam się w obowiązku wyjaśnić Kelmanowi jej zachowanie, ale on natychmiast wrócił do przerwane go tematu.

- Powiedziała pani, że nie była jeszcze w domu, żeby odebrać wiadomości?

- Zgadza się. Po wyjściu z firmy zabrałam z parkingu swój

samochód, ale nie wchodziłam na górę - nie zamierzałam dodawać, że zrobiłam tak, bo obawiałam się spotkania z Alekssem.

- Ale była pani w swoim mieszkaniu dziś rano - Kelman zajrzał ostentacyjnie do swojego notatnika, a potem popatrzył na mnie z naganą. - Pomiedzy 9:05 a 9:45.

- Zgadza się, ale nie odsłuchiałam wiadomości z automatycznej sekretarki. Wróciłam do domu po akta sprawy - powiedziałam, nie siląc się już na uprzejmość. Najwyraźniej nadinspektor Kelman sporo o mnie wiedział. - Proszę spytać pana Alexandra Faradaya albo Paula Gabriela, mojego sąsiada. Obaj tam byli.

- Pana Faradaya? Zdaje się, że to jego pani pobiła? - Kelman pozwolił sobie na złośliwy przytyk.

- Nie. Uderzyłam go w obronie własnej.

- Łatwo wpada pani w złość. To rodzinne? Byłam zaskoczona jego bezczelnością.

- Mój charakter czy rodzinne podobieństwa nie mają nic wspólnego z pańskim śledztwem i nie powinny pana obchodzić.

Kelman odchylił się na krześle i zmierzył mnie wzrokiem. Nie raz miałam z tym do czynienia. Mężczyźni często byli zmuszeni weryfikować swoją opinię na mój temat. Pierwsze, na co zwracali uwagę, to moja uroda, ale szybko przekonywali się, że potrafię być równie silna i uparta jak mężczyzna. Rzadko odkrywali we mnie kruchą kobietkę.

- Będziemy musieli sprawdzić automatyczną sekretarkę w pani mieszkaniu.

- W porządku - odparłam, krzyżując ramiona na piersi. - Ale możemy też po prostu zadzwonić i stąd odsłuchać te wiadomości. Jeśli jest tam coś interesującego, będzie pan mógł zrobić z tym, co się panu żywnie podoba.

- Świetnie - burknął Kelman.

Przyniosłam z holu bezprzewodowy telefon, a kiedy udało mi się uzyskać połączenie, znowu przerobiliśmy te same kroki, co wcześniej. Najpierw Kelman odsłuchiwał wiadomości, a potem pozwolił mi ich wysłuchać. Wszystkie były zupełnie niewinne, nawet ta od Lucy Grant, która powiedziała po prostu, że spróbuje się dodzwonić na moją komórkę. To wszystko. Żadnych złowieszczo brzmiących czy niezwykłych wiadomości. Nadinspektor wyglądał na zawiedzionego, ale kazał mi jeszcze zadzwonić do operatora sieci komórkowej i upoważnić policję do odsłuchiwania wiadomości z mojej poczty głosowej. Już po raz drugi tego dnia pomagałam policji w śledztwie, ale w mojej głowie kołatała się tylko jedna myśl: *Lucy Grant została zamordowana, Lucy Grant została zamordowana*. Trudno mi było skoncentrować się na czymkolwiek innym.

Chciałam zadać tyle pytań temu srogiemu policjantowi, ale uznałam, że pewnie i tak nic by mi nie powiedział. Nie mogłam się pozbyć uczucia, że skoro Lucy do mnie dzwoniła, to mam prawo poznać szczegóły sprawy, ale Kelmana z pewnością nie przekonałby taki argument. Niepokoiła mnie ta jego milcząca pewność, że wiem o całej sprawie więcej, niż chcę przyznać i że pomiędzy mną a Lucy Grant istniał jakiś ważny związek.

Kelman poprosił mnie o pomoc w znalezieniu Bronte, więc pojechaliśmy razem do The Granary, ale przez całą drogę milczałam, ograniczając się jedynie do udzielania mu wskazówek.

Poprowadziłam nadinspektora przez tłum piątkowych imprezowiczów wypełniających ten popularny lokal w stronę głównego baru, gdzie, jak wiedziałam z doświadczenia, można było zwykle znaleźć Bronte. Czułam na sobie spojrzenia ludzi,

którzy raczej nie gapili się na mnie z powodu mojego wysokiego wzrostu i wyglądu, długich lśniących włosów czy drogich, sportowych ciuchów. Żołądek podszedł mi do gardła, kiedy pomyślałam, że być może zostałam gwiazdą wiadomości w lokalnej telewizji. Teraz wszyscy wezmą mnie na języki.

W odległym kącie baru zauważyłam Bronte flirtującą z trzema facetami i najwyraźniej uradowaną odzyskanym dzięki idiotycznej fryzurze powodzeniem u płci brzydkiej. Musiała być już nieźle wstawiona, bo chwiała się lekko na nogach i śmiała się głośno, rozlewając przy tym drinka.

Rozpoznałam dwóch z towarzyszących jej mężczyzn. Znałam tę hołotę, zawsze gotową postawić mojej siostrze następną kolejkę.

- Bronte! - zawołałam, stając za jej plecami. Bronte obróciła lekko głowę i na mój widok przewróciła oczami. Potem odwróciła się z powrotem do swoich wielbicieli i powiedziała coś ich zdaniem niezwykle zabawnego. Nie miałam ochoty nawet wyobrazić sobie, co to było. Chwyciłam ją delikatnie za łokieć i obróciłam twarzą do siebie.

- Bronte, muszę z tobą porozmawiać...

- Spadaj! Zawsze psujesz mi zabawę! - mówiła głośno, żeby żadne jej słowo nie umknęło zgromadzonemu towarzystwu. - A to kto? - zapytała wskazując palcem na nadinspektora Kelmana. - Twoja opiekunka?

- Nie, ten pan jest z policji i też chciałby z tobą porozmawiać.

- Policjant! Za co cię aresztowali tym razem? - krzyknęła. Stojący wokół ludzie wybuchnęli śmiechem, a ja miałam ochotę uderzyć ją w tę uśmiechniętą szyderczo, zarumienioną od dżinu twarz. Na szczęście, nadinspektor Kelman wtrącił się do rozmowy.



- Panno Paterson, chciałbym zadać pani kilka pytań. Proszę ze mną.

- Nigdzie nie idę! Czego pan chce? Nie miałam nic wspólnego z tym, że Erin przywaliała Aleksowi. Nawet mnie tam nie było. A jeśli on twierdzi co innego, to kłamie!

- Na miłość boską, Bronte! Tu nie chodzi o Aleksa - warknęłam. Śmiechy urwały się jak nożem uciął, a stojący wokół nas ludzie zaczęli się odsuwać. Bronte popatrzyła na mnie ze złością.

- W takim razie o co chodzi?

- To nie jest miejsce na takie rozmowy. Wracamy do domu - ponagliłam ją. Kelman potrząsnął głową z niedowierzaniem.

- Nie! Założę się, że to nie jest prawdziwy policjant. Na pewno wynajęłaś go po to, żeby mnie zmusić do powrotu.

Kelman wyciągnął policyjną legitymację i podsunął ją Bronte pod nos.

- Dostyc tego dobrego - powiedział ze zniecierpliwieniem. - Proszę odstawić drinka i pójść z nami.

Bronte popatrzyła na niego ze złością, dopiła alkohol jednym haustem i trzasnęła szklanką o bar.

Wyszliśmy bocznymi drzwiami. Bronte szła, lekko się zataczając. Myślałam, że spalę się ze wstydu.

Przez całą drogę do domu moja siostra trajkotała jak najęta, a ja czułam się tak, jakbym siedziała obok Furby na amfie. Ani razu nie zapytała, o co chodzi. Nie wydawała się nawet w najmniejszym stopniu zaniepokojona. Nigdy nie rozumiałam swojej siostry ani jej sposobu życia, tego rzucania się w objęcia kolejnych nieodpowiednich mężczyzn. Bronte nie pracowała od czasu studiów, które i tak rzuciła na trzecim roku. Nie potrafiłam pojąć, jak można tak żyć z dnia na dzień, bez celu. Mnie taka egzystencja przerażała.

Kelman nie zgodził się na to, żebym była obecna przy jego rozmowie z Bronte, więc zaczęłam zachodzić w głowę, czy coś się za tym nie kryje. Wcześniej automatycznie uznałam, że mówiąc o „wiadomości dla mnie” Kelman miał na myśli groźbę, ostrzeżenie. Zrobiłam sobie kawę i doszłam do wniosku, że zaczynam się chyba zachowywać jak paranoiczka.

Do kuchni wszedł Kelman.

- Mogłaby pani zaparzyć mocną kawę dla swojej siostry?

- Zrobić też panu?

- Tak, poproszę. Czarną.

- Jak wam idzie? - zapytałam, ustawiając na tacy dwa kubki. Kelman przewrócił tylko oczami. - Widzi pan teraz, co muszę znosić?

- Pani siostra twierdzi, że nie widziała się z Lucy całe wieki. I ciągle powtarza coś o wlepianiu mandatów za złe parkowanie... - skrzywił się Kelman.

- Może Lucy potrzebowała porady prawnej? - zasugerowałam, podając mu tacę, ale wzruszył tylko ramionami, zabrał kawę i wyszedł z kuchni.

Usiadłam przy stole i oparłam głowę na ramionach. Znałam Lucy właściwie tylko z widzenia, więc na pewno nie zamierzała wspominać ze mną starych czasów. Ale dlaczego nie próbowała się ze mną skontaktować przez kancelarię? Najwyraźniej chciała porozmawiać ze mną osobiście, a więc musiało chodzić o jakieś sprawy prawne. Tylko że to w ogóle nie miało sensu, bo przecież Lucy na pewno znała wielu innych prawników.

Nagle wyprostowałam się na krześle.

A jeśli Lucy potrzebowała specjalistycznej porady? Może miała zamiar zaskarżyć kogoś o odszkodowanie? Może sprawa była na tyle poważna, że trzeba było pozbyć się Lucy?

Szybkim krokiem przemierzyłam hol i zastukałam do drzwi jadalni. Kiedy weszłam, Bronte siedziała rozparta nieelegancko na dwóch krzesłach. Byłam zaszokowana jej zachowaniem.

- Właśnie przyszło mi do głowy pewne rozwiązanie. Kelman skinął głową i wskazał mi krzesło.

- Myślę, że to wystarczy, panno Paterson - zwrócił się do Bronte, która pokiwała głową, ziewając przy tym szeroko.

Czekaliśmy z zakłopotaniem, aż moja siostra pojmie aluzję i wyjdzie z jadalni, najwyraźniej oczekiwaliśmy jednak od niej zbyt wiele. Kelman odchrząknął, a kiedy Bronte zaczęła przyglądać się z uwagą swoim paznokciom, ze zniecierpliwieniem postukał w swój notatnik. W końcu nie mogłam już dłużej tego znieść.

- Bronte, zdaje się, że powinnaś już sobie pójść.

- Ale dlaczego? - spojrzała na nas.

- Dlatego, że skończyliśmy już naszą rozmowę - powiedział Kelman przez zaciśnięte zęby.

Bronte wyprostowała się nieco, szykując się do kłótni.

- Ale Erin zostaje.

- *Chryste, Bronte!* Wyjdź stąd wreszcie! - wrzasnęłam.

- Nienawidzę cię! - parsknęła, zrywając się na równe nogi. Popatrzyłam na nią ze współczuciem - pewnie naprawdę mnie nienawidziła. Siedzieliśmy w krępującej ciszy, słuchając potoku rzucanych przez nią przekleństw, zakończonego trzaśnięciem frontowych drzwi.

- Przepraszam - przerwałam milczenie.

- Nie jest z nią łatwo, co? - zauważył Kelman, przeciągając się lekko na krzesło. Pewnie miał za sobą ciężki dzień. Może nawet równie paskudny jak ja. - Więc co takiego przyszło pani do głowy?

- Jestem prawnikiem - zaczęłam. - Specjalizuję się w sprawach o odszkodowanie w przypadku ciężkiego uszkodzenia ciała i śmierci, lekarskich zaniedbań, tego typu rzeczy. Zajmuję się też pozwami zbiorowymi. Lucy Grant musiała znać wielu prawników, a to znaczy, że chodziło jej o zasięgnięcie porady w dziedzinie, którą się zajmuję - Kelman skinął głową. - Może zamierzała kogoś zaskarżyć i dlatego została zabita? Może ktoś chciał ją uciszyć?

Kelman popatrzył na mnie dziwnie.

- W takim razie dlaczego została zgwałcona?

- Żeby nikt niczego nie podejrzewał? Wszyscy uznaliby to za zbrodnię na tle seksualnym. Ofiarami takich morderstw są zwykle przypadkowe osoby, prawda?

- Pani siostra wspominała o jakichś plotkach na temat byłego chłopaka. Wie pani coś na ten temat?

Pokręciłam głową.

- Może chciała zdobyć sądowy zakaz zbliżania się, żeby jej nie nękał, ale przecież z taką sprawą nie zgłosiłaby się do mnie.

Kelman ze znużeniem skrzyżował ramiona na piersi.

Lucy miała dwadzieścia osiem lat, była w tym samym wieku co Bronte. Myśl o jej strasznej, gwałtownej śmierci napawała mnie lękiem. Próbowałam odsunąć ją od siebie jak najdalej.

- Przykro mi, że nie mogłam panu pomóc.

- I tak dziękuję - Kelman wstał, zbierając się do wyjścia. - Przede wszystkim za szczerość.

Zapewniłam go, że jeśli coś jeszcze przyjdzie mi do głowy, natychmiast się z nim skontaktuję, a on obiecał przesłać mi kopie wiadomości.

Kiedy drzwi wejściowe zamknęły się, oparłam się plecami o ich chłodne szkło i zerknęłam na zegar. Czułam się bardzo

zmęczona, ale była dopiero za kwadrans dwunasta. Założyłam łańcuch w drzwiach, ale po chwili namysłu zdjęłam go z powrotem.

Jaki sens ma zamykanie drzwi na kilka zamków, skoro nie wiadomo, czy Bronte w ogóle wróci do domu, zwłaszcza po swoim dzisiejszym przedstawieniu. Na samą myśl o tym zadrżałam.

Jeśli Lucy Grant nie udało się uniknąć niebezpieczeństwa, nikt z nas nie był bezpieczny.

## ﴿ 5 ﴾

Dom, w którym się wychowałam, wydawał mi się teraz nagi i bezbronny. Obeszłam parter, sprawdzając wszystkie drzwi i okna. Tak jak podejrzewałam drzwi do piwnicy nie były zamknięte na klucz, podobnie jak drzwi prowadzące z piwnicy do ogródka. Moi rodzice zbyt ufali psom, które stanowiły ich system wczesnego ostrzegania, chociaż skradając się przez wilgotną piwnicę, byłam zadowolona z uspokajającej obecności tych dwóch czarnych potworów.

Piwnica biegła przez całą długość domu i miała sześć pokoi, które nigdy nie znalazły swojego przeznaczenia. Dwa z nich zachowały oryginalne kominki z czasów, kiedy mieściły się tutaj pomieszczenia dla służby. Teraz było to składowisko rozmaitych rupieci: dziecięcych wózków, sprzętu sportowego, szkolnych kufrów, rozmaitych gratów pozostałych po czwórce dorosłych już dzieci. Można tu było znaleźć nawet bojler i stary zardzewiały zbiornik na ropę.

Psy węszyły w ciemnych kątach z umiarkowanym zainteresowaniem. Najlepszy dowód, że nie ma tu nic straszniejszego od pajaków i nagromadzonych przez lata wspomnień. Przypomniałam sobie przerażające zabawy, które urządzaliśmy tutaj z Bronte i dziećmi z sąsiedztwa, kiedy Finlay, mój młodszy brat, był jeszcze maleńki. Najbardziej

baliliśmy się pajaków i myszy.

Zamknęłam na klucz drzwi prowadzące do ogrodu, zawołałam psy i wbiegłam na górę. Jedyna żarówka oświetlająca tę ogromną przestrzeń przepaliła się w momencie, gdy dotarłam do szczytu schodów. Bałam się ciemności i byłam w zbyt paskudnym nastroju, żeby szukać teraz latarki i żarówek, uznałam więc, że poczekam z jej wymianą do rana. Z tym postanowieniem przekręciłam klucz w zamku.

Ziroytował mnie kompletny brak zainteresowania kwartalnymi sprawozdaniami ze strony matki. Bez przerwy narzekała, że mają kłopoty finansowe, spowodowane zwłaszcza stratami, jakie przynosiły inwestycje w firmie Lloyd's. Coraz trudniej było jednak usprawiedliwić udział ojca w zyskach firmy, skoro nie był już dłużej w stanie udzielać porad prawnych. Żaden ze wspólników kancelarii nie śmiał tego komentować, ale dobrze znałam zasady, jakimi rządził się biznes. Kto nie przykłada się do pracy, ten ląduje na bruku. Staralam się to wyrównać, pracując więcej niż pozostali prawnicy w naszej kancelarii.

*Senex bis puer* - stary człowiek staje się dzieckiem. Czułam się w obowiązku roztaczać opiekę nad matką i ojcem, zastanawiając się tylko po cichu, czy wszystkie dzieci w końcu zamieniają się miejscami ze swoimi rodzicami i przejmują za nich odpowiedzialność.

Tak naprawdę złościł mnie jednak brak wdzięczności ze strony rodziny. Pośrednio to ja utrzymywałam cały dom, ale wszyscy traktowali mnie z mieszaniną lekceważenia i podejrzliwej niechęci. Fundusze powiernicze założone przez dziadków przynosiły Bronte, Finlayowi i mnie niewielki dochód, ale o ile mi było wiadomo, rodzeństwo traktowało te pieniądze jak swoje kieszonkowe i nie dokładało się w ogóle do utrzymania

domu.

Przed pójściem do łóżka zajrzałam jeszcze do Maksa. Uspokoiałam się trochę, słysząc jego równy oddech. Moja sypialnia nie zmieniła się wcale od czasów, kiedy byłam nastolatką. Leżałam teraz w swoim łóżku z baldachimem, próbując nie myśleć o wydarzeniach tego dnia, ale pod powiekami wciąż pojawiały się okruchy zniekształconych obrazów.

Znowu widziałam Aleksa i panią McCaffer w naszym łóżku, jego zdrada była jednak tylko nieistotnym szczegółem. Tak naprawdę chodziło o to, że użyłam wobec niego siły. Moja agresja przeraziła mnie tak bardzo, że bałam się nawet o tym myśleć.

Przekręciłam się na brzuch i wtuliłam twarz w poduszkę. Nadal musiałam się liczyć z konsekwencjami swej chwilowej niepoczytalności. Napastliwość reporterów zapowiadała wysyp artykułów na ten temat w prasie, ale z czasem wszystko powinno ucichnąć.

Moje piętnaście minut niechlubnej popularności.

Mogłam mieć tylko nadzieję, że członkowie Izby Adwokackiej odwrócą przerażony wzrok. Pozwoliłam myślom biec swobodnie. Po dzisiejszych wydarzeniach Bronte będzie dochodzić do siebie przez jakiś czas. Może gdyby zamieszkała sama, stałaby się bardziej odpowiedzialna i nie zrzucałaby na barki innych opieki nad swoim synkiem. Byłam nawet gotowa pomóc jej w poszukiwaniach odpowiedniego domu.

Poza tym martwiłam się jej problemami z alkoholem. Wcześniej też zdarzało nam się o to kłócić. Nie pamiętam, kiedy ostatnio widziałam ją całkowicie trzeźwą. Ale to nie wszystko. Byłam niemal pewna, że Bronte zaczęła sięgać po narkotyki i



mogłam mieć tylko nadzieję, że eksperymentuje wyłącznie z „miękkimi”, jeśli w ogóle coś takiego istnieje.

Nie podobało mi się towarzystwo, w którym się obracała, a poza tym podejrzewałam ją, zresztą nie po raz pierwszy, o podkradanie różnych rzeczy. Z domu znikwały drobne przedmioty, na przykład patera na słodycze z czystego srebra, pochodząca z pracowni Mappin&Webb czy zabytkowe przybory do golenia w szylkretowej oprawie. Zresztą działo się to nie tylko w domu rodziców. Rzadko gubiłam swoje rzeczy, ale i tak zdołałam „zawieruszyć” torebkę od Chanel i kamerę cyfrową.

Rodzicom taka sytuacja zdawała się nie przeszkadzać, bo nie podjęli żadnych środków zaradczych. Traktowali Bronte jak niesforne dziecko, a wszystkie jej wybryki przyjmowali kręceniem głowami i załamywaniem rąk, jakby nic nie można już było z tym zrobić. Bronte pasożytowała na nich przez całe życie i wyglądało na to, że nie zamierza się zmieniać.

Zdawałam sobie sprawę, że to cyniczne z mojej strony, ale zawsze podchodziłam sceptycznie do motywów, którymi kierowała się moja siostra, nadając swojemu synkowi imię naszego ojca. Jej decyzja miała lekki posmak manipulacji. W ten sposób rodzice zostali zmuszeni do zaakceptowania jej nieślubnego dziecka. Już samo imię obarczało dziadków odpowiedzialnością za jego los. A co z jego biologicznym ojcem? Kim był, gdzie się podziewał?

Wiedziałam, że przez parę następnych dni matka będzie w paskudnym nastroju. Widmo śmierci jej pierwородnego powróciło i będzie się teraz bez przerwy zadręczać tym wspomnieniem. Sama rzadko myślałam o moim starszym bracie, chociaż między nami był tylko rok różnicy. Nikt nie spodziewał się, że Leland mógłby popełnić samobójstwo.

Świetnie sobie radził na uniwersytecie w Edynburgu, zbierając na wydziale prawa same wyróżnienia. Kroczył lekko przez życie, szybko nawiązywał nowe przyjaźnie i związki, podczas gdy ja przedzierałam się przez świat z trudem. A potem nagle okazało się, że Leland nie żyje.

Tak jak Lucy Grant. Jej nazwisko podstępnie wkradło się z powrotem do mojej świadomości. Dlaczego do mnie dzwoniła? Czułam się mimowolnie odpowiedzialna za jej śmierć, jakbym mogła jej jakoś zapobiec. Czy gdybym nie uderzyła Aleksa, odebrałabym ten telefon od niej? Ale przecież mogła dzwonić właściwie w każdej sprawie. Tylko co ja miałam z nią wspólnego? Jaki dziwny związek istniał pomiędzy nami?

Moje stopy i dłonie zrobiły się lodowato zimne. Muszę przestać o tym myśleć albo w ogóle nie zasnąć. Zamknęłam oczy i próbowałam skupić się na nadchodzących sprawach, ale wciąż wracałam myślami do Aleksa i w końcu do Lucy Grant. Po godzinie wiercenia się w pościeli i zamartwiania włączyłam nocną lampkę i sięgnęłam po „Kroniki portowe” Annie Proulx. Niezbyt lekka lektura do poduszki. Kiedy ocknęłam się ze snu, przy moim łóżku stał Max, w milczeniu przypatrując się, jak śpię.

- O co chodzi, kochanie? - zapytałam.

- Chce mi się jeść.

Zerknęłam na zegarek. Było wpół do dziewiątej, choć mogłabym przysiąc, że dopiero świta, a ja ledwie co zasnęłam.

- Wszyscy jeszcze śpią?

- Babcia i dziadzius leżą w łóżku, a mamusia gdzieś poszła.

Max wpatrywał się we mnie dużymi jasnymi oczami i widać było, że coś go martwi. Przyciągnęłam go do siebie i posadziłam obok siebie na łóżku.

- Co się stało, kotku? - zapytałam szeptem.

- Smutno mi samemu.

- Przecież masz mnie! - posłałam mu promienny uśmiech, choć serce mało mi nie pękło na widok jego smutnej buzi.

- Tobie też jest smutno samej?

Zamiast odpowiadać na to pytanie, przewróciłam go na poduszki i łaskotałam, dopóki nie zaczął błagać mnie o litość. Potem oboje ubraliśmy się i zeszliśmy na dół. Psy czekały już niecierpliwie przy drzwiach, aż ktoś wypuści je na dwór. Zaparzyłam sobie kawę, podczas gdy Max zajadał jakieś okropne czekoladowe płatki. Niezbyt absorbujące towarzystwo małego chłopca, któremu usta się nie zamykają, okazało się całkiem miłe. Pół godziny później zjawiała się matka.

- Jak się ma dzisiaj mój kochany chłopczyk? - zapytała, całując Maksa.

- Erin jest smutno samej - obwieścił Max.

- Naprawdę czujesz się samotna? - matka rzuciła mi dziwne spojrzenie.

- Nie - westchnęłam. - To po prostu gra, którą wymyśliliśmy razem z Makssem.

- Gra? - dopytywał Max.

- Tak. Nazywa się „zjadaj wszystko albo znowu cię połaskoczę”. Chłopiec zachichotał.

- Ale z ciebie głuptas, ciociu! Głuptas! Głuptas! - zawołał ze śmiechem, zeskakując z krzesła i wybiegł z kuchni. Usiadłam przy stole z kolejnym kubkiem kawy.

- Zdaje się, że teraz powinnaś go gonić - podsunęła uprzejmie matka.

- To chyba raczej rola Bronte? Gdzie ona w ogóle jest?

- Nie wróciła do domu na noc. Jej łóżko jest nietknięte - wyjaśniła matka, zabierając się za przygotowanie tacy dla ojca.

Zastanawiałam się, jak często musiała sprawdzać, czy Bronte w ogóle spała w swoim łóżku.

- Mamo, naprawdę powinniście coś z nią zrobić.

- Czyli twoim zdaniem co? - w głosie matki słychać było napięcie.

- Musicie wyznaczyć jej jakieś zasady. Reguły, których będzie musiała przestrzegać.

- Bronte nie jest już dzieckiem - odparła ostro matka.

- Właśnie o tym mówię.

- Jesteś dla niej zbyt surowa. Zbyt łatwo osądzasz wszystkich krytycznie. Nie każdy potrafi być tak samowystarczalny, jak ty.

- Nikt nie jest dla niej surowy! I w tym właśnie problem. Nawet morderstwo uszłoby jej na sucho!

- To chyba raczej twoja specjalność? A może zamierzasz ograniczyć się do napaści? - odparła niefrasobliwie matka i zabrawszy tacę, wyszła z kuchni.

Mała. Zostałam w kuchni, przeżuując gniewne słowa.

Nasze życie wyglądało zupełnie inaczej, kiedy to ojciec był głową rodziny. Jeśli nie wyjeżdżaliśmy na weekend do naszego wiejskiego domku, w sobotę wszyscy byliśmy na nogach już o ósmej rano i spędzaliśmy dzień grając w tenisa, jeżdżąc konno czy żeglując. Rodzinny dom nie był już tym bezpiecznym schronieniem, którego oczekiwałam. Tutaj też roiło się od problemów. Chciałam już wrócić do swojego mieszkania, ale najpierw musiałam się upewnić, że nie natknę się na Aleksa. Wcześniej miałam zamiar poprosić Bronte, żeby zadzwoniła na mój domowy numer, ale to rozwiązanie najwyraźniej nie wchodziło teraz w rachubę.

W drzwiach kuchni stanęła Martha z plikiem gazet przyciśniętym do piersi. Skinęłam jej głową na powitanie, ale

zamrugnęła tylko nerwowo oczami, czerwieniąc się przy tym. Popatrzyłam na nią uważnie, na co zareagowała znowu nerwowym mruganiem.

Martha wydawała się kompletnie zdrowa na umyśle, kiedy zaczynała tu pracę, ale najwyraźniej długotrwały, bliski kontakt z moją rodziną miał na nią szkodliwy wpływ.

- Martho, co się u licha stało? - mój wzrok spoczął na wielkim nagłówku w „The Sun”: „WZIĘTA PRAWNICZKA W SZALE ZAZDROŚCI... TYLKO U NAS!” Co takiego? - Pokaż mi to!

Martha podskoczyła spłoszona, a gazety rozsypały się po całej podłodze. Obie rzuciłyśmy się natychmiast, żeby je pozbierać. Martha próbowała sprzątnąć mi sprzed nosa strony z obraźliwym artykułem, który zdążył mi się rzucić w oczy.

- Oddaj mi to! - zażądałam.

Martha pobladła, ale podała mi gazetę. Przykucnęłam na podłodze. Ze zdjęcia patrzyła Erin Paterson. Szybko przejrzałam tekst, pełen słów w rodzaju: „zazdrosna”, „szał”, „niezrównoważona” czy „oziębła”. Byłam zszokowana.

Artykuł opatrzone zdjęciem z jakiegoś charytatywnego balu, na którym byliśmy razem z Alekssem. Oboje wyglądaliśmy na bardzo szczęśliwych. Znałam tę fotografię. Pochodziła z mojego albumu.

Na kolejnej stronie znajdowało się zdjęcie Aleksa z głową owiniętą bandażami, trzymającego w dłoniach sławetną statuetkę z brązu, i fotografia mojego salonu. Wpuścił ich do mojego mieszkania, żeby mogli zrobić zdjęcia! Po prostu mnie sprzedał.

Chwyciłam kolejną gazetę. W „Daily Record” zamieszczono krótki opis wydarzeń piątkowego ranka, wspominając przy okazji o mercedesie z przyciemnianymi szybami, opuszczającym

budynek kancelarii. A więc redakcja „The Sun” rzeczywiście miała wyłączność. Przebiegły, tchórzliwy, niewierny sukinsyn! Jak mógł to zrobić?

Otwierałam na chybił trafił gazety, szukając wzmianek w tych co poważniejszych. „The Scotsman” zamieścił na piątej stronie krótką notkę i jakieś stare zdjęcie, ale w „The Herald” znajdował się całkiem spory artykuł opatrzone zdjęciem z ich listy stu najlepszych partii w Szkocji. Zamknęłam oczy. Dziesiąta pośród najbardziej pożądanых kobiet i pierwsza wśród kompletnych idiotek...

Rzuciłam wszystkie gazety i znowu otworzyłam „The Sun”. Obok nagłówka „WZIĘTA PRAWNICZKA W SZALE ZAZDROŚCI” znajdował się mniejszy tytuł „Zamordowano dziedziczkę fortuny”. Znalazłyśmy się z Lucy Grant koło siebie.

Oczami duszy widziałam tego judasza Aleksa, ubijającego z nimi interes. Ciekawe, ile dostał za to, że mnie zdradził. Miałam nadzieję, że byłam warta przynajmniej kilka tysięcy. Jego zdrada bolałaby jeszcze bardziej, gdyby sprzedał mnie za parę stów. Przez chwilę rozważałam możliwość wytoczenia procesu o zniesławienie, ale artykuł w „The Sun” z pewnością został dokładnie przemyślany i naszpikowany słowami w stylu „rzekomo” i „domniemany”. Powoli wstałam, zostawiając gazety porozrzucane na podłodze. Byłam wściekła.

- Wszystko w porządku? - zapytała łagodnie Martha.

- Tak. Mogłabyś posprzątać ten bałagan? Wolałabym, żeby mama nie zobaczyła... - urwałam w pół zdania. - Dlaczego je przyniosłaś?

Martha uporządkowała z grubsza gazety.

- Pomyślałam, że wolałabyś je przejrzeć w domu, niż natknąć się gdzieś na nie przypadkiem.

Skinęłam głową, nie całkiem przekonana.

- Wyrzucić je do kosza.

- Są w nich rzeczy, które powinnaś jednak zobaczyć.

- Martho, byłam tam i wiem, co się stało.

- Piszą tam o czymś jeszcze - upierała się Martha.

- Ach, na przykład o tym, że trudno ze mną wytrzymać? Albo że jestem oziębła?

- To też, ale naprawdę jest tam coś jeszcze - tak to właśnie ujęła, wręczając mi przy tym pomięte gazety. - Lepiej je przeczytaj.

Przewróciłam oczami, jednak wzięłam od niej stos papierzysek. Nie miałam już więcej mrocznych sekretów - przynajmniej nie takich, o których wiedziałby Alex.

Chwilę później do kuchni wkroczyła matka.

- Dobrze, że już jesteś, Martho. Możesz nam przygotować wszystko, co niezbędne na wyjazd do wiejskiego domku?

- Wyjeżdżacie z miasta? - zdziwiłam się.

- Tak. Ojciec chce jechać na wieś - matka rzuciła mi spojrzenie świadczące o tym, że nadal jest na mnie obrażona. Zdawała się w ogóle nie zauważać pogniecionych gazet, które trzymałam w rękach.

- Zabieracie ze sobą Maksa i psy? - zapytałam z nadzieją. Może jednak nie będę musiała wracać do bezpiecznego schronienia własnego mieszkania.

- Nie. Przecież mały chodzi do przedszkola, a my jedziemy na cały tydzień. Chcemy jeszcze trochę odpocząć, zanim zrobi się naprawdę zimno.

- Więc kto zajmie się Maksem?

- A jak myślisz? *Bronte!* - matka znowu burknęła na mnie ze złością. Drugi raz tego ranka. To zaczyna się stawać nie do

zniesienia.

- Jasne. W takim razie wpadnę po waszym powrocie - ton mojego głosu nie zostawiał wiele do domysłów.

- Wyjeżdżasz?

- Tak - uśmiechnęłam się fałszywie. - Pożegnani się tylko z tatą i Maksem i zejdem ci z oczu.

Tu ją miałam. Tego się nie spodziewała.

- Mogłabyś poczekać, dopóki Bronte nie wróci? - matka zacisnęła usta.

- Jak długo to potrwa?

Zanim zdążyła coś powiedzieć, rozległ się dzwonek telefonu. Wszystkie trzy popatrzyłyśmy na aparat. Martha podniosła słuchawkę, a potem wyciągnęła ją w moją stronę.

- Czytałeś już dzisiejsze gazety? - wysyczał Michael McCabe z nieukrywanym niepokojem.

- Tak.

- I co zamierzasz z tym zrobić?

- Nic, dopóki nie przeczytam wszystkiego dokładnie - wyjaśniłam cierpliwie. Powinien zapytać, czy wszystko u mnie w porządku, albo czy mógłby mi jakoś pomóc. Ale nie, jedyną reakcją z jego strony był niepokój, podszyty czymś, co wyglądało mi na złośliwą satysfakcję.

- To prawda?

- Nie wiem. Na razie zdążyłam tylko przejrzeć gazety. Wiesz co, zadzwonię do ciebie, jeśli zdecyduję się odejść z firmy - zażartowałam. Michael zdecydowanie traktował zbyt poważnie coś, co było jedynie pikantną plotką. Cała ta sprawa nie miała przecież żadnego wpływu na moją skuteczność jako prawnika. Ja w każdym razie tak nie uważałam. Izba Adwokacka może mnie ukarać naganą albo grzywną, ale przecież nie pozbawią mnie



prawa wykonywania zawodu. Mnie? Erin Paterson, córkę Sir Maxwella Patersona, kawalera Orderu Imperium Brytyjskiego? Nie sędzę.

- Wolałbym, żebyś swoją formalną rezygnację złożyła oficjalnie na ręce Matthew Stuarta - odparł z powagą Michael.

Odjęło mi mowę. On potraktował to serio!

- Nie mam zamiaru odchodzić. Żartowałam. Za parę dni całe to zamieszanie ucichnie.

- Pomyśl o firmie. I o swoich bliskich. Erin, choć raz w życiu postaw rodzinę na pierwszym miejscu i zrób to, co powinnaś!

- Odpieprz się! - wrzasnęłam i rzuciłam słuchawkę. Martha i moja matka wpatrywały się we mnie. W końcu matka odezwała się pierwsza.

- Kto dzwonił?

- To tylko ktoś z rady mieszkańców w mojej kamienicy - odparłam nonszalancko.

- Chcą, żebyś się wyprowadziła, dlatego że uderzyłaś Aleksa? - Martha potrząsnęła głową z niedowierzaniem, ale ja przyglądałam się uważnie matce, która zmarszczyła tylko brwi. Normalnie wyśmiałyby po prostu coś tak niedorzecznego, jak rada mieszkańców.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy zaszła w niej jakaś zmiana. Początkowo to ignorowałam, przekonana, że to tylko wytwór mojej wyobraźni, ale teraz zyskałam pewność. Takie samo uczucie towarzyszyło mi podczas spotkania dotyczącego ugody w sprawie Broadwood. Miałam wrażenie, że nic nie jest takie, jak się wydaje, że ludzie mają jakieś ukryte zamiary.

- Przykro mi, ale nie mogę zostać i zająć się Maksem. Muszę wracać do siebie i uporządkować parę spraw.

- Och, w porządku, kochanie. Jedź i zajmij się swoim życiem.

Poradzimy sobie bez ciebie - odcięła się matka.

Postanowiłam nie zwracać na nią uwagi. Sami zgotowali sobie ten los i muszą ponieść tego konsekwencje. Jeśli Bronte pokrzyżowała im plany, to tylko dowodzi, że miałam rację. Zresztą nie po raz pierwszy. Teraz od nich zależy, jak sobie z tym poradzą.

- Świetnie. Życzę miłego tygodnia - odparłam i wymaszerowałam z kuchni, nadal ściskając w objęciach plik wystrzępionych gazet.

Max siedział w swoim pokoju, bawiąc się ludzikami z klocków lego. Stałam w drzwiach, przyglądając się mu w milczeniu. Jak wiele godzin musiał spędzać samotnie w świecie fantazji? Równie dobrze mogłam go zabrać ze sobą. Robiłam tak już wcześniej, zawsze nerwowo wyczekując aż Bronte zgłosi się po niego.

Ostatniej zimy Max musiał nawet zostać u mnie przez cały tydzień, podczas gdy moja siostra wymknęła się na narty. Rodzice byli wtedy w Portugalii i nikt nie potrafił mi powiedzieć, gdzie podziewa się Bronte.

Nie przeszkadzało mi to, że muszę się opiekować siostrzeńcem, ale sprawna organizacja codziennego życia - zawożenie go do przedszkola i odbieranie stamtąd czy wymyślanie mu zajęć, kiedy siedział ze mną w biurze - wymagała nie lada pomysłowości. Ale najbardziej złościła mnie ta pewność Bronte, że podczas jej nieobecności ktoś z nas po prostu zajmie się jej dzieckiem.

Nie pożegnałam się z Maksem, nie chcąc przerywać mu zabawy. Tak naprawdę kierowały mną jednak bardziej egoistyczne pobudki. Chłopiec na pewno chciałby jechać ze mną, a ja czułam, że muszę postawić na swoim. Zajrzałam jeszcze do

ojca, ale był tak zaabsorbowany lekturą nowego czasopisma o tematyce ornitologicznej, że prawie nie zwrócił uwagi na moje zdawkowe pożegnanie. Zabrałam kostium, aktówkę i torebkę, a potem z nikim już nie rozmawiając, wyszłam z domu. Padał deszcz, więc zarzuciłam na ramiona płaszcz i przemknęłam do swojego samochodu. Zaczęłam przetrząsać torebkę w poszukiwaniu komórki i dopiero po chwili przypomniałam sobie, że jej nie mam.

Podjechałam do budki telefonicznej przy Safeway's. Wystukałam swój domowy numer, ale lizusowski kobiecy głos poinformował mnie, że abonent jest czasowo niedostępny. Zacisnęłam mocno powieki, próbując wymyślić jakiś inny sposób sprawdzenia, czy Alex nadal jest w moim mieszkaniu.

Wszystkie numery telefonów miałam zaprogramowane w komórce i pamiętałam naprawdę tylko nieliczne. Coraz lepiej. Zastanawiałam się, czy nie zatelefonować do matki i nie poprosić jej, żeby zadzwoniła na numer mojego mieszkania. Upokarzające, ale to jedyne rozwiązanie, jakie przychodziło mi do głowy.

Wsunęłam rękę do kieszeni płaszcza w poszukiwaniu drobnych i wyciągnęłam zapomnianą notatkę, którą Karen wręczyła mi poprzedniego dnia.

Rozwinęłam powoli kartkę, spodziewając się jakiejś chełpliwej, sarkastycznej wiadomości od Paula Gabriela.

12:30 - Paul Gabriel prosi o telefon.

13:15 - Paul Gabriel pilnie prosi o telefon.

14:00 - Paul Gabriel pilnie prosi o telefon. Temat: Alex szuka kupca.

14:30 - Paul Gabriel prosi o telefon. Temat: Historia sprzedana.

15:15 - Paul Gabriel prosi o telefon. Temat: Ograniczenie szkód.

15:45 - Paul Gabriel prosi o telefon. Bardzo pilne. Temat: Zdobądź sądowy zakaz.

16:15 - Paul Gabriel bardzo prosi o telefon. Pilne. Temat: Zostało niewiele czasu.

16:45 - Dzwonił Paul Gabriel. Życzy pani szczęścia.

Życzy mi szczęścia? A to drań. Wpatrywałam się w kartkę ze starannie wypisanymi u góry strony numerami telefonów Gabriela. Karen jest naprawdę świetną asystentką.

Zastanawiałam się, czy Gabriel rzeczywiście starał się mi pomóc, czy krył się za tym wszystkim jakiś podejrzany motyw. Chyba uważa mnie za pierwszą naiwną? Redakcja „Daily Record” przegrała licytację z „The Sun”, a Gabriel postanowił teraz odgrywać rolę mojego przyjaciela. I myślał, że nabiorę się na taki stary kawał. Z drugiej strony jednak ten mój sąsiad może się jeszcze przydać.

Wybrałam numer jego komórki, ale włączyła się tylko poczta głosowa. Rozłączyłam się i wystukałam domowy numer. W końcu Paul podniósł słuchawkę i burknął „słucham”. Sposób prowadzenia przez niego rozmowy telefonicznej był po prostu odrażający.

- Halo, Paul? Erin Paterson z tej strony. Przepraszam, że nie oddzwoniłam do ciebie wczoraj, ale byłam naprawdę bardzo zajęta.

- Wyobrażam sobie - odparł, ziewając głośno.

- Paul, chciałabym cię prosić o przysługę - przybrałam niedbały ton, jakby chodziło o coś mało ważnego.

- Przychodzi góra do Mahometa? - roześmiał się.

- Coś w tym rodzaju - odetchnęłam głęboko, żeby nie dać się sprowokować. - Mógłbyś mi powiedzieć, czy Alex jest jeszcze w moim mieszkaniu?

- Dobra - jęknął w końcu. - Ale zerwałaś mnie prosto z łóżka. Zaczekaj minutkę.

W słuchawce słyszałam teraz jakieś stłumione odgłosy i przed oczami stanął mi obraz Gabriela człapiącego w swoim wybrudzonym podkoszulku w stronę drzwi wejściowych. Założyłabym się o każde pieniądze, że jego mieszkanie wygląda teraz jak chlew, pełen brudnych talerzy i pudełek po pizzy. Minęły całe wieki, zanim w końcu wrócił do telefonu, a mnie została już tylko jedna moneta dwudziestopensowa.

- Hm... W mieszkaniu nikogo nie ma.

- Wszedłeś do środka?

- Tak. Drzwi były... hm... otwarte.

- Jeezu! Nie możesz ich zamknąć? - wrzasnęłam.

- Hm... nie - powiedział i połączenie zostało przerwane, bo skończyły mi się drobne.

Hm... nie? Do cholery, co z niego za sąsiad? Nie raczy nawet zamknąć drzwi do mojego mieszkania? Okradną mnie i będzie to wyłącznie jego wina.

Odwróciłam się i stanęłam oko w oko z trójką nastolatków i dwiema starszymi paniami. Wszyscy gapili się na mnie z nieukrywaną ciekawością. Czyżbym dzięki brukowym gazetom stała się aż tak sławna? Wyminęłam ich i popędziłam z powrotem do samochodu.

Z piskiem opon wjechałam na podziemny parking i ostro zahamowałam na swoim miejscu. Wszystko aż gotowało się we mnie ze złości. Nerwy miałam napięte do granic wytrzymałości. Dźgnęłam palcem guzik windy, modląc się w duchu, żeby dzisiaj była sprawna. Usłyszałam, jak dźwig zatrzymuje się na drugim piętrze i zaczęłam się niecierpliwić jeszcze bardziej. Dlaczego nie pójdą schodami? W końcu to tylko drugie piętro. Czy naprawdę

tak trudno przejść tych parę stopni? Drzwi windy rozsunęły się i wysiadła z niej niespiesznie para spod 2B.

- Och! Dzień dobry - facet był najwyraźniej bardzo zaskoczony moim widokiem.

Posłałam im wymuszony uśmiech i gniewnie nacisnęłam numer swojego piętra. Drzwi do mojego mieszkania wcale nie były otwarte. Po prostu zostały całkiem wyrwane z zawiasów i stały teraz oparte o ścianę. Ostrożnie zajrzałam do środka.

- Chryste Panie! - zawołałam na widok kompletnie zdemolowanego mieszkania.

Podłoga była usłana kartkami papieru, meble i lampy leżały poprzewracane, a z powywracanych doniczek kwiatów wysypywała się ziemia. Coś ścisnęło mnie za gardło.

Wysunęłam się powoli na środek salonu i zerknęłam do sypialni. Tam też panował potworny bałagan. Przełknęłam łzy i zabrałam się za szukanie telefonu pośród pobojuwiska, w które zamieniło się moje życie. W końcu znalazłam aparat pod szenilową poduszką w pobliżu drzwi prowadzących na taras. Podniosłam go i wystukałam trzy dziewiątki. Dopiero po kilku sekundach zorientowałam się, że aparat jest zepsuty. No jasne. Jedyne dni, kiedy rozpaczliwie potrzebuję telefonu i oczywiście żadnego nie ma pod ręką.

Wyszłam na korytarz i walnęłam pięścią w drzwi sąsiedniego mieszkania. Byłam wściekła, że Paul na mnie nie czekał. Mógł się chyba domyślić, że ten widok mnie zdenerwuje.

Minęły chyba całe wieki, zanim w końcu otworzył drzwi. Stał przede mną ubrany w dżinsy i rozpiętą koszulę, z ręcznikiem przewieszonym przez ramię. Pachniał gorącą wodą i żelam pod prysznic. Starłam się nie zwracać uwagi na jego umięśniony brzuch i interesująco owłosiony tors.

- Cześć. Wejdz - przywitał mnie, bezceremonialnie zapinając koszulę.

Popatrzyłam na niego z niedowierzaniem.

- Nie chce mi się wierzyć, że nic nie słyszałeś! - machnęłam ręką w stronę mojego mieszkania.

- Wziąłem środek nasenny.

- Koszmarnie wyglądasz - skomentowałam złośliwie. Nigdy nie przyszłoby mi nawet do głowy, że Paul jest typem faceta, który może potrzebować leków nasennych.

- Wiem - odparł, cofając się w głąb mieszkania. Byłam skołowana jego obojętnością.

- Dzwoniłeś na policję?

- Nie. Nie byłem pewien, czy życzyłabyś sobie tego - odparł, wzruszając ramionami.

- Muszę skorzystać z telefonu - warknęłam.

- Jest tam.

Rozejrzałam się po jego mieszkaniu. Nie tego się spodziewałam. Pokój był utrzymany w ciemnych, intensywnych barwach. Umeblowanie stanowiły wyściełane kanapy i dwa ogromne mahoniowe regały. Całkowite przeciwieństwo mojego mieszkania, które wyglądało jak modelowy przykład z „House Beautiful” - minimalistyczne, umeblowane z kosztowną prostotą. Mieszkanie Paula było przytulne, miłe, urządzone gustownie i luksusowo. O wiele ładniejsze niż moje.

Zadzwoiłam na policję, podałam swoje nazwisko i adres, a następnie zgłosiłam włamanie, choć nie potrafiłam powiedzieć, czy coś zostało skradzione.

- Chcesz kawy? - zawołał z kuchni Paul. - Nie.

- Czy jest pani teraz w swoim mieszkaniu? - zapytała telefonistka.

- Nie, dzwonię z mieszkania sąsiada.

- Czy podejrzewa pani, że włamywacz może być nadal w środku?

- Nie - odparłam, na co kobieta poinformowała mnie, że radiowóz zostanie niezwłocznie wysłany.

Odłożyłam słuchawkę i stałam przez chwilę przy otwartych drzwiach wejściowych, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Czułam aromat kawy. W końcu westchnęłam i podążyłam za zapachem.

Paul pochylał się nad kuchennym stołem z surowej dębiny. Był pogrążony w lekturze gazet.

- Podziwiasz efekty swojej pracy? - zapytałam szyderczo. Paul podniósł na mnie wzrok.

- Nie zajmowałem się twoją sprawą.

Nalałam sobie świeżo zaparzonej kawy, ale wciąż czułam na sobie jego uważne spojrzenie.

- Zawsze jesteś taka agresywna? - zapytał nagle. Zastanowiłam się przez chwilę. Nie było sensu kłamać.

- Tak.

Kąciki jego warg drgnęły w uśmiechu.

- Koledzy dokuczali ci w szkole, co?

- Wcale nie!

Jak może się ze mnie śmiać? Teraz, kiedy moje życie zamieniło się w jakąś groteskową telenowelę. Zapanowała pełna napięcia cisza. Zrobiło mi się słabo z nienawiści do niego, bo wiedziałam, że cierpliwie czeka, aż własne postęпки zaczną się w końcu na mnie mścić. Nic nie sprawiało moim prześladowcom większej przyjemności niż obserwowanie, jak rozpaczliwie szarpie się i miotam. Potarłam zmarszczone czoło.

- Nie wpatruj się tak we mnie.

Paul spuścił wzrok.



- Usiądź i spróbuj się uspokoić.

- Uspokoić się! - wrzasnęłam. - Potrafisz sobie w ogóle wyobrazić, co ja przeszłam w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin?

- Ale krzycząc na mnie, nic nie zmienisz.

Oczywiście, miał rację. Tylko że ja musiałam na kogoś nakrzyczeć, a nikogo innego nie było akurat pod ręką.

- Siadaj - powiedział, podsuwając mi krzesło.

Posłuchałam go niechętnie. Nadal stał tuż koło mnie. Czyżby nigdy nie słyszał o potrzebie zachowania dystansu? Ostentacyjnie odsunęłam krzesło trochę dalej i rzuciłam ukradkowe spojrzenie na gazety.

Te, które kupiła Martha, zostały w moim samochodzie. Jak ona to ujęła? „Piszą tam o czymś jeszcze”? Odłożyłam „Heralda” i spojrzałam na stronę tytułową „The Sun”. Moją uwagę przyciągnął artykuł o Lucy Grant.

Próbowałam przypomnieć ją sobie ze szkolnych czasów, ale minęło tyle czasu, że rysy jej twarzy zlały się w obraz jakiejś nieokreślonej uczennicy. Miałam nadzieję, że w szkole nie traktowałam jej zbyt surowo. Byłam odpowiedzialna za dyscyplinę wśród młodszych dziewczynek i dość rygorystycznie podchodziłam do swoich obowiązków. Lubiłam sztywny rozkład zajęć i ustalony porządek, bo to dawało mi poczucie bezpieczeństwa, nietykalności.

Przesunęłam wzrokiem po stronie, dopóki mojej uwagi nie przykuły słowa dostrzeżone kątem oka w pierwszym akapicie. „Świetna partia”.

„Lucy Granville-Grant znalazła się w ubiegłorocznym rankingu „Sunday Herald” na szóstym miejscu najlepszych partii...” Przeczytałam fragment dwukrotnie. Schlebiając swojej

próżności, zachowałam egzemplarz gazety, w której zamieszczono tę listę, ale nie miałam pojęcia, że Lucy też się tam znalazła.

- Znałaś ją? - zapytał Paul.

- Tak naprawdę to nie. Chodziła do tej samej szkoły, co ja, ale była ode mnie młodsza o sześć lat.

- Byłem wczoraj na miejscu zbrodni.

- O Boże. Wiesz, co się stało?

- Ktoś zrzucił ją z konia, podał jakieś narkotyki, zgwałcił, a potem zamordował.

- Jak on... Jak została...? - nie potrafiłam wymówić tego słowa. W głowie wciąż tkwiły mi tamte jęki i postękiwania.

- To poufne informacje - Paul wbił we mnie spojrzenie swoich jasnoszarych oczu.

- Jestem prawnikiem.

- Musiałbym być twoim klientem, żeby miało to jakieś znaczenie - odparł, nadal nie spuszczał ze mnie wzroku. Ta nasza wzajemna nieufność, której nawet nie staraliśmy się ukryć, była denerwująca.

- Każę swojej asystentce zadzwonić do ciebie, a teraz możesz mi dać zaliczkę.

Paul popatrzył na mnie z namysłem, a potem wyciągnął z kieszeni wymiętą dziesiątkę.

- Poproszę o pokwitowanie - powiedział oschle, wręczając mi banknot.

To chyba najbardziej niezwykła zaliczka na poczet honorarium, jaką zdarzyło mi się otrzymać. Zwykle nie interesują mnie szczegóły życia seksualnego innych ludzi, ale musiałam wiedzieć, jak zginęła Lucy. Czułam się wplątana w tę zbrodnię.

Paul podał mi długopis i bloczek kartek samoprzylepnych, a ja posłusznie złożyłam swój podpis, kwitując odbiór jego mizernej zaliczki.

Paul przyjrzał się uważnie żółtej karteczce i schował ją do portfela, a potem zrobił coś dziwnego. Przeżegnał się.

- Jesteś religijny? - zapytałam z wyraźną drwiną w głosie.

- Nie - Paul popatrzył mi prosto w oczy, a potem odwrócił się i wyjrzał przez okno. Serce zatrzepotało mi z lęku. - Morderca rozciął jej gardło i wyciął język. Ale zachowaj to dla siebie.

Z piersi wyrwał mi się jęk, moje dłonie drżały. Gdybym tak mogła udać, że w ogóle tego nie słyszałam, ale tego nie dało się już wymazać. W głowie miałam już tylko jeden obraz. Ziejąca rana w szyi Lucy, jej puste usta.

Pod powiekami poczułam łzy. Przez cały czas, od wczorajszego ranka, dzielnie walczyłam z chęcią wybuchnięcia płaczem, ale teraz nie byłam w stanie już dłużej się powstrzymać.

Mrugając bezskutecznie oczami, popatrzyłam na Paula, który przykucnął obok i położył mi dłoń na ramieniu.

- Już dobrze, nie płacz. Wszystko będzie dobrze...

- Ale ona... ona... dzwoniła... Lucy... do mnie dzwoniła! Paul przechylił głowę ze zdeorientowaną miną.

- Ona... ona... do mnie dzwoniła! Na moją komórkę! Do mnie! Słyszałam... słyszałam... jak on...

Nie zdołałam już nic więcej powiedzieć, bo rozsłochałam się na dobre. Łkałam spazmatycznie, z trudem chwytając powietrze. Ale płakałam nie tylko nad losem Lucy Grant.

Paul próbował mnie przytulić, ale brutalnie go odepchnęłam. Rzadko zdarzało mi się płakać, a teraz musiałam zrobić z siebie siąkającą nosem idiotkę właśnie przed nim. Myślałam, że spalę się ze wstydu.

Gwałtownie chwytając ustami powietrze, próbowałam się jakoś opanować, ale serce wciąż ścisnęło mi się z żalu na myśl o tym, że całe moje życie legło w gruzach. Od lat cierpiałam z powodu stresu i depresji, chwytając się pracy, jak koła ratunkowego. Kariera to było wszystko, co miałam, ale nawet ją zdołałam zaprzepaścić w jednej chwili szaleństwa. A teraz straciłam szacunek swoich kolegów.

Nagle poprzez łyzy dostrzegłam w drzwiach kuchni dwie potężne postacie i ku swemu zawstydzeniu, krzyknęłam ze strachu.

Policjant drgnął zaskoczony.

- Wszystko w porządku, proszę pani. Proszę się nie obawiać. Co się stało? - zwrócił się oskarżycielskim tonem do Paula. Ten wyprostował się i odchrząknął.

- Lucy Grant była jej koleżanką ze szkoły.

- Czy panna Paterson znajdowała się w swoim mieszkaniu, kiedy doszło do włamania? - zapytał go starszy z funkcjonariuszy, zupełnie ignorując sprawę wczorajszego morderstwa.

- Nie było jej w tym czasie w domu. Dopiero jakieś pół godziny temu odkryła, że włamano się do jej mieszkania.

- Zdaje się, że jest w szoku - zauważył niezbyt inteligentnie młodszy policjant.

Próbowałam wziąć się w garść, ale za każdym razem, kiedy brałam głęboki oddech, łyzy znowu napływały mi do oczu.

- Kto jeszcze mieszka w tamtym mieszkaniu?

- Jej były chłopak wyprowadził się wczoraj. Alexander Faraday

- Paul wskazał głową gazety.

- Czy coś zostało skradzione?

- Nie wiem - potrząsnął głową Paul. - Będziecie musieli zapytać

o to pannę Paterson.

Najwyraźniej stałam się niewidzialna, kiedy tak siąkałam w chusteczkę higieniczną, którą dał mi Paul. Wytarłam nos jeszcze raz i wstałam.

- Już w porządku - powiedziałam drżącymi wargami i znowu wybuchnęłam płaczem.

- Proszę sobie usiąść, a my rzucimy okiem na pani mieszkanie, dobrze?

Pokiwałam głową. Kiedy policjanci wyszli, Paul usiadł naprzeciwko mnie i przez chwilę przyglądał się uważnie.

- Już lepiej? - zapytał. Przytaknęłam skinieniem głowy, bo łzy przestały mi się w końcu cisnąć do oczu, a oddech prawie wrócił do normy. - Zanim przyjechali ci gliniarze, próbowałaś mi coś powiedzieć. O co chodziło?

Rzuciłam mu lodowate spojrzenie. Typowy facet. W chwili, kiedy jestem najbardziej bezbronna, on próbuje wyciągnąć ze mnie informacje. Wstałam z krzesła i bez słowa opuściłam jego kuchnię.

Policjanci bez przekonania rozglądali się po moim mieszkaniu. Pewnie dla nich było równie jasne jak dla mnie, kto narobił tego bałaganu. Wyglądali na zaskoczonych moim pojawieniem się i tym, że tak szybko zdołałam odzyskać panowanie nad sobą.

- Czy coś zostało skradzione? - zapytał ponownie starszy z policjantów.

Wzruszyłam ramionami, zastanawiając się jednocześnie, czy on też czytuje „The Sun”.

- Nie mogę mieć pewności, dopóki tu nie posprzątam. Sprzęt stereo i telewizor stoją na swoim miejscu. To chyba o czymś świadczy.

- Podejrzewa więc pani, kto jest sprawcą? - westchnął

policjant.

- Jestem przekonana, że zrobił to Alexander Faraday - powiedziałam, krzyżując ramiona na piersi. Pobieranie odcisków palców nie miałyby sensu.

- Pani były chłopak?

Skinęłam głową i przesunęłam czubkiem pantofla kilka spośród rozsypanych po podłodze kartek. Szkoda, że nie wykończyłam go wczoraj, kiedy miałam okazję.

- Jedna rzecz zginęła - uświadomiłam sobie nagle. - Moja statuetka z brązu.

W tym momencie sierżant Marshall wsunął głowę przez drzwi i zapukał we framugę.

- Proszę wejść - powiedziałam cierpko. - Prowadzę dom otwarty.

Marshall wszedł do środka i natychmiast zorientował się w sytuacji.

- Zginęła pani statuetka? Może pan Faraday zabrał ją na pamiątkę?

- Mam ją wpisać do raportu? - zwrócił się do Marshalla młodszy funkcjonariusz.

- Znalazłabym dla niej lepsze miejsce - mruknęłam pod nosem.

- A więc poza osławioną statuetką z brązu nic pani nie zginęło? - dopytywał sierżant Marshall.

- Tak mi się przynajmniej wydaje.

- Wygląda to na bezmyślny akt zemsty - powiedział bardziej do siebie niż do mnie. - Służę numerami telefonów do dobrego stolarza i ślusarza.

- A może mi pan pożyczyć telefon? - zapytałam. - Zdaje się, że nie został mi już żaden.

- Słyszałem - sierżant rzucił mi znaczące spojrzenie.

Świadomość, że nie zostałam z tą wiedzą sama była dziwnie pocieszająca. Paul się nie liczył, bo z pewnością nie zrozumiał nic z tego, co mu powiedziałam. Na szczęście potok łez powstrzymał mnie przed wyjawieniem mu wszystkiego. Przez całe życie starałam się unikać takich chwil słabości.

- Spiszcie raport, chłopcy, a ja zajmę się sprawą dalej - powiedział Marshall do policjantów, a kiedy w końcu obaj sobie poszli, zaproponował mi filiżankę herbaty.

Zastanawiałam się, czy tego uczą ich policyjne podręczniki. A: Zrobić filiżankę herbaty. B: Okazać współczucie. C: Zdobyć zeznanie.

Zaprowadziłam go do swojej kuchni, całej w stali i granicie. Wydała mi się teraz dziwnie zimna w porównaniu z kuchnią Paula, a poza tym piekielnie trudno było ją utrzymać w czystości. Kiedy Max został u mnie na kilka dni, spędzałam całe wieczory polerując te lśniące powierzchnie i próbując z nich usunąć ślady małych paluszków. W końcu w ogóle zakazałam siostrzeńcowi wstępu do kuchni.

- Chce pani, żebyśmy go zgarnęli? - zapytał Marshall.

- A jaki miałyby to sens?

- Może udałoby się odzyskać pani statuetkę - sierżant uśmiechnął się. Miał miły uśmiech i mocne, proste zęby.

- Mogłaby się przydać, gdybym znowu trafiła na zdradzającego mnie łajdaka - zauważyłam, wyjmując świeże ziarna kawy z lodówki i wsypując je do młynka.

- Nieźle go pani zdzieliła tą rzeźbą.

- Powinien mnie pan zobaczyć, kiedy jestem naprawdę zdenerwowana.

- Hola, na to nie jestem chyba jeszcze gotowy.

To „jeszcze” zawisło między nami, włączyłam więc młynek,

żeby czymś się zająć.

Usłyszałam znaczące kasznięcie i do kuchni wszedł Paul. Zmierzył Marshalla wzrokiem od stóp do głów, a potem zwrócił się do mnie.

- Erin, muszę wyjść - Wzruszyłam ramionami. - Możesz się u mnie rozgościć - dodał, rzucając mi pęk kluczy od swojego mieszkania. Chwyciłam je błyskawicznie nad głową. - Jesteś szybka jak wąż - skomentował.

- Chyba raczej jak mangusta. One zabijają węże - niedbałym ruchem cisnęłam klucze na blat kuchenny tak, że zatrzymały się dopiero przy stalowym pojemniku na chleb.

Wiedziałam, że to było to okropnie niegrzeczne z mojej strony, więc podniosłam klucze i schowałam je do kieszeni.

- Masz wszystkie numery do mnie, na wypadek gdybym był potrzebny. Możesz śmiało korzystać z mojego telefonu.

- Dziękuję.

- W takim razie do zobaczenia później - pożegnał się Paul, nadal całkowicie ignorując Marshalla.

Nastała chwila ciszy, jednak sierżant nie był w stanie powstrzymać ciekawości.

- Kto to był?

- Paul Gabriel.

- To nie jest przypadkiem ten sam Paul Gabriel, który napisał paskudny artykuł o prawnikach zajmujących się odszkodowaniami?

- Ale tak się składa, że jest także moim sąsiadem. Poza tym powiedział prawdę, jak wyglądała sprawa z Alekssem - wyjaśniłam, nalewając kawę do kubków.

- Więc teraz jesteście przyjaciółmi?

- Niezupełnie.



- Rozmawiałem z tymi z Edynburga - Marshall szybko zmienił temat. - Powiedzieli mi o wiadomości na pani komórce.

- Nie mam pojęcia, dlaczego Lucy do mnie zadzwoniła - westchnęłam.

- To musiało być dla pani bardzo przykre - Marshall zmierzył mnie uważnym spojrzeniem.

- Ale jeszcze gorzej było, kiedy usłyszałam, co zrobił - zanim skończyłam mówić, już chciałam cofnąć te słowa.

- Co pani słyszała? - Marshall wyprostował się, pochylając się przy tym w moją stronę. Całe jego ciało wyrażało teraz czujność.

- Dowiedziałam się, że Lucy została zamordowana. Początkowo myślałam, że to telefon od jakiegoś zbrojnego. Albo od Aleksa.

- Aha - Marshall trochę się rozluźnił.

- Przyszedł tu pan, żeby mnie przesłuchać?

- Nie - na jego twarzy znowu zagościł uśmiech. - Chciałem się po prostu upewnić, czy wszystko w porządku.

- Nic mi nie jest, ale będę musiała znaleźć nową sprzątaczkę. Obecna właśnie straciła pracę.

Potoczyła się niezobowiązująca rozmowa, jednak myślami cały czas krążyłam gdzie indziej. Czekałam, kiedy Marshall w końcu pójdzie, a ja będę mogła się zabrać za sprząatanie, choć na samą myśl o tym czułam wstręt. Miałam serdecznie dość Lucy Grant, policjantów i własnej rodziny. Byłam strasznie zmęczona. Moje życie toczyło się bezproblemowo tylko wtedy, gdy wszystko znajdowało się na swoim miejscu. Teraz przypominało raczej kalejdoskop. Ktoś chwycił je w swoje dłonie i potrząsnął energicznie, a teraz po prostu obserwuje, jak ułożą się kolorowe szkiełka.

Po wyjściu sierżanta Marshalla bez przekonania zabrałam się

za porządkowanie swojej sypialni. Alexander zabrał swoje rzeczy, a to już było coś. Nie uśmiechało mi się upychanie ich do worków na śmieci i wyrzucanie tego wszystkiego na ulicę. Zastanawiałam się, czy w pakowaniu się pomagała mu ta dziwka McCaffer. Ciekawe, gdzie ona się teraz podziewa. W końcu uporałam się z sypialnią i poszłam na górę.

Na szczęście oba pokoje gościnne pozostały nietknięte. Weszłam do sypialni, którą zajmował Max, kiedy u mnie nocował i położyłam się na łóżku, ale żal, jaki czułam do Aleksa, sprawiał, że byłam coraz bardziej podenerwowana.

Czy Alex był tutaj wczoraj, kiedy razem z nadinspektorem Kelmanem odsłuchiwałam wiadomości z mojej automatycznej sekretarki? A może dokładnie wtedy demolował moje mieszkanie?

Nawet przez chwilę nie sądziłam, że nasze rozstanie złamało Aleksowi serce, a ten akt wandalizmu tylko utwierdził mnie w podejrzeniach. Alex był po prostu wściekły z powodu tego, co się stało. Ni mniej, ni więcej. Zdaje się, że złość to najczęstsze uczucie, jakie wzbudzam w mężczyznach.

A Lucy? Czy rozwścieczyła jakiegoś psychopatę tak bardzo, że zgwałcił ją i zamordował? Ja wykpiłam się znacznie mniejszym kosztem. Rozbite bibeloty i aparaty telefoniczne to nic wielkiego. Martwe przedmioty, które łatwo zastąpić innymi. Wszystko sprowadzało się ciągle do tego samego pytania. Dlaczego Lucy do mnie dzwoniła?

I nagle zrozumiałam.

Lucy zadzwoniła na mój domowy numer, zostawiając zupełnie niewinną wiadomość, ale to nie ona telefonowała do mnie później, tylko morderca. Najprawdopodobniej słyszałam, jak gwałci swoją ofiarę. Ale co to znaczy? Czy to był tylko przypadek?

Może funkcja powtórnego wybierania numeru w jej komórce została przypadkowo włączona?

Stałam się ofiarą paranoi i poczucia własnej ważności. Lucy dzwoniła pewnie w jakiejś błahej sprawie. Tak naprawdę nie łączyło mnie z nią właściwie nic, byłam w tym wszystkim tylko nieistotnym, przypadkowym czynnikiem. To mógł być jakikolwiek numer, na który ostatnio dzwoniła.

Tak się nieszczęśliwie złożyło, że był to mój numer.

## 《 6 》

Obudziłam się nagle, ściskając w dłoniach zostawionego przez Maksa misia. Leżałam przez chwilę, próbując zebrać w sobie dość sił, żeby wziąć się za porządkowanie mieszkania. W końcu zerknęłam na zegarek. Skoczyłam na równe nogi. Wpół do czwartej? Zmarnowałam tyle czasu.

Na dworze było wyjątkowo ciemno, więc rozsunęłam zasłony. Tuż nad ziemią wisiał miękki całun szarych chmur. Czasami tak naprawdę w ogóle się nie rozwidnia. Nienawidziłam takich dni i życia w na wpół realnym świecie ciągłego mroku.

Wyjrzałam z bezpiecznego schronienia piętra, ale nic się nie zmieniło. Dobra wróżka udręczonych gospodyń domowych nie raczyła odwiedzić mojego mieszkania. Potrzebowałam drzwi i telefonu. Zeszłam do kuchni i odszukałam kartkę z numerami, którą zostawił sierżant Marshall. Przy następnym spotkaniu muszę go w końcu zapytać, jak ma na imię.

Tak uzbrojona poszłam do mieszkania Paula. Miałam ogromną ochotę pomyszkować tu trochę, ale nie wiedziałam, kiedy gospodarz wróci do domu. Gdyby przyłapał mnie na grzebaniu w jego szafach, byłoby to pewnie jedno z najbardziej żenujących doświadczeń w moim życiu, które spokojnie mogłam sobie darować.

Za to już bez skrępowań zaparzyłam sobie kawę. Od dwóch dni

nic nie jadłam, a moje posiłki ograniczały się właściwie do kawy i kieliszka wina od czasu do czasu. Może jest to świetna dieta na zachowanie szczupłej figury, ale z pewnością niezbyt dobra dla zdrowia. Poczęstowałam się jabłkiem, ale od tego zaczęło mi tylko burczeć w brzuchu.

Zajrzałam do lodówki, która okazała się być całkiem dobrze zaopatrzona w sery, salami, owoce, warzywa, jakieś pierożki, wino i mleko. Ten facet nieźle sobie dogadza. Moja lodówka zawierała tylko podstawowe produkty. Kiedy mieszkałam sama, nie było jeszcze tak tragicznie, ale wspólne życie z drugim człowiekiem okazało się dla mnie naprawdę trudnym wyzwaniem. Nie chciałam wpaść w pułapkę dbania o mężczyznę i gotowania mu pysznych obiadków, dlatego zbyt gorliwie przestrzegałam zasady o dzieleniu się wszystkimi obowiązkami domowymi. Skoro on nie robił zakupów w spożywczym, to ja też nie zamierzałam się tym zajmować.

Bez szczególnego entuzjazmu zadzwoniłam do stolarza, a potem do ślusarza. W obu przypadkach usłyszałam, że fachowiec pojawi się u mnie w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Bardzo pocieszające. Muszę tylko przeżyć jeszcze jeden dzień bez telefonu i z ogromną dziurą w miejscu drzwi.

Wiedziałam, że powinnam się zabrać do sprzątnięcia, ale jakoś nie potrafiłam się zmusić. Co u licha dzieje się ze mną? Przecież nie znam pracowitszej osoby.

Wzięłam książkę telefoniczną i otworzyłam na stronie z adresami firm sprzątających domy. Nie przypadła mi do gustu Francuskie Pokojówki ani Sprzątaczką na telefon, więc zajrzałam na strony firm działających na większą skalę, gdzie wpadła mi w oko nazwa Posprzątamę wszystko. Oferowali szeroki zakres usług, między innymi sprzątnięcie po włamaniu czy pożarze.

Zadzwoiłam pod podany numer, ale usłyszałam informację, że firma będzie otwarta dopiero w poniedziałek. Oczywiście wszyscy zdrowi na umyśle ludzie nie pracują w weekend. W nagłych wypadkach można było jednak dzwonić na komórkę. No cóż, to z pewnością był nagły wypadek.

Mężczyzna, który odebrał telefon był, delikatnie mówiąc, opryskliwy, ale wytłumaczyłam mu w jak trudnej sytuacji się znalazłam (przydało się dosyć znane nazwisko) i w końcu obiecał, że zjawi się u mnie za jakieś dwie godziny. Posiedziałam jeszcze piętnaście minut i postanowiłam wziąć długo odkładaną kąpiel. Nie uśmiechało mi się korzystanie z łazienki w moim pozbawionym drzwi mieszkaniu, przyniosłam więc tylko od siebie ręczniki, ubrania na zmianę i kosmetyki.

Pomyślałam, że grzeczniej będzie skorzystać z łazienki dla gości, ale drzwi do wszystkich pomieszczeń na piętrze były pozamykane i nie pasował do nich żaden z zostawionych mi przez Paula kluczy. Dziwne, ale może po prostu pokoje są jeszcze nieumeblowane. Albo Paul używa ich dla jakichś dziwacznych celów. W ciągu ostatniego roku nie widywałam zbyt wielu kobiet wchodzących do tego mieszkania, więc raczej nie więził tam nieszczęsnych dziewczyc.

Główna sypialnia była, podobnie jak w moim mieszkaniu, ogromna i niezwykle wygodna. Znajdowało się tu masywne łóżko, a resztę umeblowania stanowiły antyki świetnie komponujące się z otwartą przestrzenią pokoju. Trzeba przyznać Paulowi, że zna się na urządzeniu mieszkań. Sama nie byłam zbyt pomysłowa, więc musiałam zdać się na innych, aby nadali pokojom pożądany wygląd.

Przy urządzeniu mieszkania zdecydowałam się na łazienkę w chłodnej tonacji, całą w bieli i chromowanych okuciach,

wyłożoną kafelkami po sam sufit. Za to łazienka Paula miała puszysty dywan, kabinę prysznicową z sauną i wanną z jacuzzi na podwyższeniu. Jedną ze ścian zajmowały od góry do dołu lustra. To dopiero perwersja.

Zamknęłam drzwi na klucz i odkręciłam kurki. Upewniwszy się jeszcze raz, czy drzwi są zamknięte, weszłam do wanny i zanurzyłam się w ciepłej wodzie. Ciche pluskanie podziało na mnie uspokajająco. Umyłam włosy, czego zwykle nie robiłam w kąpeli, bo panicznie wprost boję się, że nie zdołam dokładnie spłukać szamponu i dostanę od tego łupieżu. Po wyjściu z wanny energicznie wytarłam ręcznikiem całe ciało i założyłam czyste ubranie. Teraz czułam się na siłach wrócić do swojego mieszkania. Przekręciłam klucz i omal nie wyskoczyłam ze skóry, kiedy okazało się, że za drzwiami łazienki stoi Paul.

- Chryste! Nie skradaj się tak! - wrzasnęłam.

- Nie wiedziałem, że jesteś w środku! Dopiero co wróciłem do domu.

Zmrużyłam oczy. Akurat uwierzę. Pewnie ma tu gdzieś dziurkę do podglądania.

- Nie mogłam skorzystać z drugiej łazienki - ruchem głowy wskazałam w stronę schodów prowadzących na górę.

- Jest zamknięta na klucz. Używam jej jako ciemni - uśmiechnął się dziwnie. - Znalazłaś mój pejcz i skórzane ciuszki?

- Na szczęście nie. Zresztą nie interesuje mnie myszkowanie w twoich rzeczach - odcięłam się, przemykając koło niego do salonu.

W drzwiach wejściowych czekał jakiś obcy mężczyzna niskiego wzrostu. Karły i skórzane ciuszki? Paul zaskakuje mnie coraz bardziej.

- Panna Peterson? - zapytał mężczyzna.

- Paterson.

- A ta, zgadza się. Ja z Posprzątamę Wszystko.

- Aha. - To trochę poprawiło mi nastrój. - Pokażę panu mieszkanie.

- Się rozumie - mężczyzna popatrzył z zainteresowaniem na oparte o ścianę drzwi. - Ktoś zapomniał o kluczach?

- Coś w tym stylu - nie miałam ochoty tłumaczyć mu wszystkiego. Chciałam tylko, żeby posprzątał cały ten bałagan.

- Swój, co? - zauważył, rozglądając się po mieszkaniu.

- Skąd pan wie? - byłam zaskoczona jego spostrzegawczością.

- Ta, nic nie jest zniszczone. Ktoś narobił tylko sporego bajzlu - wyjaśnił, ustawiając kanapę z głośnym stęknieniem. - Pani poukłada drobnicę, a ja zrobię resztę. Może być?

Nie miałam ochoty dotykać czegokolwiek, ale rozumiałam, czemu pyta. Nie wiedział, gdzie ma wszystko poodkładać. W milczeniu zabraliśmy się za uprzątnięcie bałaganu. Tak naprawdę nie potrzebowałam niczyjej pomocy, ale czułam się lepiej, porządkując mieszkanie w jego towarzystwie, niż gdybym miała to robić zupełnie sama.

Po kilku godzinach udało nam się w końcu zaprowadzić jaki taki porządek. Facet okazał się pracowitym człowieczkiem, który z zapalem przesuwał meble i sprzątał cały dom. Kiedy skończyliśmy, moje mieszkanie wyglądało prawie normalnie. Staralam się myśleć pozytywnie, przekonując samą siebie, że mogło być znacznie gorzej. Po prawdziwym włamaniu ludzie musieli się uporać z uczuciem, że naruszono ich prywatność, podczas gdy ja miałam do czynienia tylko z drobnym aktem zemsty. Byłam wdzięczna losowi, że nikt obcy nie grzebał w moich rzeczach.

- Ma pani szczęście - zauważył facet z firmy sprzątającej, kiedy



mu płaciłam.

- Chyba raczej pieskie.

- Kobieto, masz naprawdę szczęście, że nie narobił ci do łóżka i nie nasikał na kanapę. Widywało się takie rzeczy. Farba olejna w kiblu i...

Uciszyłam go gestem ręki.

- Ma pan rację. Miałam ogromne szczęście.

Czułam się dziwnie, odprowadzając go do wyjścia pozbawionego drzwi.

Dochodziła ósma, a ja nie miałam zielonego pojęcia, co ze sobą zrobić. Wcześniej zaplanowaliśmy z Alekssem wspólne wyjście na kolację do jego przyjaciół, ale to rozwiązanie nie wchodziło już w grę. Nie mogłam znaleźć sobie miejsca, snułam się więc z kąta w kąt, co chwila poprawiając jakiś przedmiot. Brak drzwi sprawiał, że czułam się obnażona i bezbronna. W końcu powlokłam się do kuchni i bez szczególnego zainteresowania zajrzałam do lodówki. Na pustych półkach znalazłam tylko opakowanie przeterminowanego humusu. Nie mogę już dłużej odwlekać tego, co nieuniknione, muszę jechać do supermarketu. Jeszcze bardziej nie uśmiechało mi się proszenie po raz kolejny o pomoc Paula.

Nagle kątem oka zauważyłam w lustrze swoje odbicie. Na głowie miałam teraz szopę puszystych włosów, czego wprost nienawidziłam. Podczas suszenia zawsze bezlitośnie je prostowałam i gładko zaczesywałam. Jak mogę wyjść na ulicę z taką fryzurą, zwłaszcza w blasku mojej świeżo zdobytej złej sławy. Za to zupełnie mi nie przeszkadzało, że mój sąsiad zobaczy mnie w takim stanie. No, ale on się nie liczył. Kiedy Paul otworzył mi drzwi, zauważyłam, że jest zmęczony.

- Przepraszam, że znowu zawracam ci głowę, ale muszę wyjść do sklepu. Mógłbyś rzucić okiem na moje mieszkanie? Niedługo

powinien zjawić się stolarz.

- Pustki w lodówce?

Zrobiło mi się przykro. Czyżby moje życie było aż tak przewidywalne?

- Nie, mam randkę - odparłam zgryźliwie.

Paul chrząknął.

- Ale chyba nie z pewnym policjantem, co?

- Nie, a tak w ogóle to nie twoja sprawa.

- Więc wybierasz się do supermarketu, a zaraz potem na namiętną randkę? - Paul uśmiechnął się szeroko.

- Ależ ty jesteś niegrzeczny.

- A znasz takie przysłowie o kotle i garnku?

- O co ci, do cholery, chodzi? Dlaczego zawsze musisz się mnie czepiać?

- Hej, spokojnie, nie denerwuj się tak. Tylko się z tobą drocę. Jasne, że popilnuję twojego mieszkania - powiedział i nagle zmarszczył brwi. - Erin, wiem, że to nie moja sprawa, ale masz za sobą dwa naprawdę koszmarne dni. Dlaczego trochę nie odpuścisz? Może wejdiesz do mnie, przygotuję coś do jedzenia i razem zaczekamy na tego stolarza?

Nienawidzę, kiedy ludzie są dla mnie mili. Naprawdę mili. Nie chciałam jego sympatii ani współczucia, ale Paul miał rację. Nie powinnam sobie teraz zawracać głowy chodzeniem po sklepach. Miałam ochotę zwinąć się gdzieś w kłębek i lizać rany, tyle że moje mieszkanie nie było w tej chwili odpowiednim miejscem. Za długo się zastanawiałam. Paul otworzył drzwi na oścież.

- Wejdz. Postaram się już więcej cię nie denerwować.

- Obiecujesz? - opierałam się jeszcze chwilę dla zachowania twarzy.

Paul podniósł dwa palce, więc trochę jeszcze najeżona

weszłam do jego mieszkania.

- Kiedy ma przyjść stolarz?

- Nie wiem dokładnie, obiecali, że jeszcze przed końcem weekendu. - W mieszkaniu panował półmrok, od razu zauważyłam więc jasny ekran jego komputera w odległym kącie salonu. - Pracujesz?

- Tak. Ale idzie mi jak po grudzie - Paul podszedł do komputera i zamknął plik.

- Na mój temat? - zapytałam nieśmiało.

- Nie wszystko musi się kręcić wokół ciebie.

- Denerwujesz mnie - powiedziałam ostrzegawczo.

- Przepraszam - Paul podniósł ręce. - Ogłaszamy rozejm?

Skrzyżowałam ramiona na piersi, ale nic nie odpowiedziałam. Trudno było mi się wyzbyć nawyku pouczania innych w każdej sytuacji.

- Uznam to za zgodę - Paul wzruszył ramionami i wyszedł do kuchni.

Specjalnie nie poszłam za nim, zamiast tego włączyłam telewizor. Był nastawiony kanał BBC News 24. Najwyraźniej Paul musiał go wcześniej oglądać. Nadawano akurat nudny wywiad z jakimś przemysłowcem z południowej Anglii.

- Napijesz się wina? - zapytał Paul, stając w przejściu prowadzącym do aneksu kuchennego. Ja kazałam zainstalować u siebie w tym miejscu szklane drzwi, żeby kuchenne zapachy nie rozchodziły się po całym mieszkaniu.

Zastanawiałam się przez chwilę nad jego propozycją. Jeśli wypiję z nim drinka, nasze wzajemne relacje ulegną zmianie. Zanim jednak zdążyłam odpowiedzieć, Paul dorzucił jeszcze:

- Obiecuję, że cię nie wykorzystam.

- Możesz tylko pomarzyć - mruknęłam pod nosem.

- Wolisz czerwone czy białe?

- Poproszę białe.

Zmieniałam kanały i próbowałam znaleźć coś nie wymagającego wysiłku umysłowego. W końcu zdecydowałam się na stary odcinek *Spin City*.

Paul wrócił po chwili z ogromnym kieliszkiem dobrze schłodzonego białego wina. Nigdy nie piłam dużo, bo chciałam zachować kontrolę nad wszystkim.

- Bardzo oryginalny pomysł - zażartowałam. - Pół litra wina za jednym zamachem.

Paul zignorował mój przytyk i usiadł obok. Najwyraźniej nic sobie nie robił z czyjejs potrzeby zachowania fizycznego dystansu.

Potem wziął do ręki pilota i z powrotem przełączył na BBC News 24. No tak, zamieniliśmy się w stare, dobre małżeństwo. Teraz czekałam już tylko, aż Paul zacznie skakać po kanałach w poszukiwaniu jakiegoś meczu piłki nożnej, żeby w końcu wrócić do programu, od którego zaczął. Poczułam lekką irytację.

- Chcę zobaczyć relację, która ma być za chwilę - wyjaśnił. Upiłam łyk wina, które okazało się zaskakująco dobre i nappełniło mnie uspokajającym ciepłem.

- Policja prowadzi intensywne śledztwo w sprawie tragicznej śmierci Lucy Grant - poinformował widzów szkocki korespondent BBC. - Miejsce zbrodni zostało odcięte policyjnym kordonem w ciągu kilku minut od dokonania tego makabrycznego odkrycia w piątek rano. Lucy Granville-Grant pochodziła z zamożnej, lecz unikającej rozgłosu rodziny, której członkowie nie opuszczają teraz rodzinnej posiadłości. Z pierwszych ustaleń wynika, że panna Grant wybrała się wczoraj rano na przejażdżkę konną, wyruszając z założonego przez nią

trzy lata temu azylu dla koni na obrzeżach Whitburn, miasta położonego w regionie West Lothian. Ponieważ nie zjawiała się do południa, wszczęto alarm.

Kamera zrobiła teraz zbliżenie na nadinspektora Kelmana.

- W obecnej chwili na miejscu zbrodni pracują świetnie wyszkoleni policjanci, którzy sprawdzają kilka możliwych tropów.

- Czy prawdziwe są pogłoski, że ofiara została zmasakrowana?  
- padło pytanie reportera zza kadru.

- Na obecnym etapie śledztwa nie mogę udzielać takich informacji - odparł szorstko Kelman. - Jak już powiedziałem, śledztwo w sprawie morderstwa panny Lucy Grant prowadzą świetnie wyszkoleni policjanci. To wszystko, co mam do powiedzenia w tej sprawie. Dziękuję.

Na ekranie znowu pojawił się korespondent BBC.

- Paul Gabriel, nasz szkocki reporter badający sprawę tego morderstwa, był wczoraj na miejscu zbrodni. Czego udało ci się dowiedzieć, Paul?

Popatrzyłam na spokojny profil siedzącego obok mnie mężczyzny. Szkocki reporter BBC badający sprawę morderstwa Lucy Grant? Przecież to drugorzędny pismak! Jak udało mu się tam wkłęcić? Do tego na ekranie telewizora wyglądał bardzo przystojnie, co zirytowało mnie jeszcze bardziej.

- Na razie policja udziela naprawdę bardzo skąpych informacji. Panna Grant była zamożną osobą, więc być może mamy tu do czynienia z nieudaną próbą porwania. Jednakże część ekspertów łączy jej śmierć z nierozwiązaną sprawą zabójstwa Abigail Dawes, do którego doszło w tym roku.

W głowie tłoczyły mi się tysiące myśli. Abigail Dawes? Abigail Dawes? Znałam to nazwisko, ale nie mogłam sobie przypomnieć,

co się z nią stało.

- Abigail Dawes - zza kadru znowu zabrzmiał głos korespondenta. - Zdaje się, że jej śmierć budziła swego czasu spore wątpliwości, a policja nie potrafiła ustalić czy doszło do morderstwa, czy też Abigail Dawes padła ofiarą dziwnego wypadku?

- Zgadza się - to znowu Paul. - Abigail była nadzieją brytyjskiej drużyny szermierczej, typowaną do udziału w zbliżającej się olimpiadzie. Zginęła w wyniku upadku na stojak z floretami, których sztychy pozbawione zostały zabezpieczeń, tak zwanych punt. Zwykle biała broń używana w szermierce ma specjalne osłony, które, jak dowiedziono tego później, zostały usunięte celowo. Policja uznała śmierć Abigail Dawes za morderstwo i prowadzi w tej sprawie dochodzenie.

- Co łączyło obie kobiety? - padło pytanie korespondenta.

- Obie ofiary zgwałcone i zamordowane przez sadystycznego, niezwykle brutalnego sprawcę - odparł Paul.

Siedziałam obok niego zupełnie nieruchomo, choć serce waliło mi jak młotem. Był całkowicie skupiony na ekranie telewizora, na którym zamiast jego twarzy pojawił się z powrotem korespondent BBC.

- Dziękuję, Paul. Z Whitburn w Szkocji mówił dla państwa David Hartspring. Oddaję głos do studia.

Paul wyłączył telewizor i zapatrzył się w czarny ekran.

Przełknęłam ślinę, ale w suchych ustach czułam tylko obrzydliwy posmak. Nie poruszyłam się. Starłam się nawet nie mrugać oczami. Miałam zupełnie irracjonalne wrażenie, że jeśli zastygnę w całkowitym bezruchu, to stanę się niewidzialna. Od lat stosowałam tę metodę. Po prostu wycofywałam się gdzieś w głąb siebie. To u mnie oznaka największego przerażenia.

- Nie chciałem cię przestraszyć - Paul nagle zwrócił się w moją stronę, ale nadal siedziałam nieruchomo.

To skradało się w mojej głowie. Otwierało kolejne drzwi w moim umyśle, zostawiając za sobą ohydny ślad. Dawno temu pogrzebałam gdzieś głęboko te wspomnienia i nie zamierzałam teraz do nich wracać. Wystarczy się tylko nie ruszać.

- Erin? - Paul był coraz bardziej zaniepokojony. - Erin? - powtórzył, a potem wyciągnął rękę i delikatnie dotknął mojego karku.

W normalnej sytuacji po prostu przyłożyłabym mu pięścią, ale nadal nasłuchiwałam kroków skradających się w mojej podświadomości. Niezależnie od wszystkiego, nie wolno mi podążać za nimi mrocznymi korytarzami.

- Erin? Posłuchaj mnie. Wszystko jest w porządku. Już dobrze. Spojrzałam na niego. Już za późno. Dawne lęki na dobre zagościły w mojej duszy.

- To seryjny morderca, prawda? A ja jestem następna.

- Nie. Na pewno nie. To tylko moje absurdalne przypuszczenia.

- Absurdalne przypuszczenia? - powtórzyłam bez przekonania.

- Historia staje się bardziej interesująca, kiedy się połączy te dwie sprawy.

- Więc to nieprawda?

- No cóż, przedstawiłem suche fakty, ale... - pochylił się w moją stronę, próbując zajrzeć mi w oczy. Wiedziałałam, że kłamie. Wyprostowałam się i potrząsnęłam głową, żeby zmusić go do cofnięcia ręki.

- Wiedziałaś, że Lucy do mnie dzwoniła, kiedy nagrywałeś tę relację?

- Tak - westchnął. - Domyśliłem, że to właśnie chciałaś mi powiedzieć wcześniej. Ale nie wykorzystałem tej informacji.

Zsunęłam się na brzeg kanapy i wstałam. Pociągnęłam jeszcze duży łyk wina i zaczęłam chodzić po pokoju. Tak zawsze lepiej mi się myśli. Paul przyglądał mi się uważnie, kiedy tak krążyłam tam i z powrotem.

- Co ci powiedziała?

- Najpierw nagrała się na moją automatyczną sekretarkę. To była zupełnie zwyczajna wiadomość. Dopiero ten telefon na moją komórkę... O, Boże... nie mogę ci tego powiedzieć. To zbyt obrzydliwe - pociągnęłam spory łyk wina.

- Powiedziała coś?

- Nie - potrząsnęłam głową. - To była po prostu wiadomość w mojej poczcie głosowej. Nikt się nie odezwał.

- Wiesz kto dzwonił?

- To były po prostu odgłosy... jakby ktoś się onanizował. Pieprzył. To było straszne - znowu upiłam duży haust wina. Nie potrafiłam z siebie wydusić, że moim zdaniem były to odgłosy gwałtu.

- Jesteś pewna, że telefon był od niej?

- Nie! Niczego nie jestem już pewna. Połączenie wykonano z komórki Lucy Grant. Policja znalazła telefon na miejscu zbrodni i ustaliła, że dzwoniono na moją komórkę - nadal krążyłam z na wpół opróżnionym kieliszkiem po pokoju, pocierając czoło ręką. Od wina zaczynało mi się kręcić w głowie.

- Ale znałaś Lucy?

- Tak naprawdę to nie. Była znajomą mojej siostry. Jeszcze ze szkoły. - Nagle stanęłam jak wryta. - Chryste! Moja siostra!

Rozchlapiując wino na rękę, rzuciłam się przez pokój w stronę telefonu i gorączkowo wykręciłam numer do rodziców. Po drugiej stronie nikt się nie zgłaszał.

- O, mój Boże! Cholera! Nikt nie odbiera! Paul spokojnie wyjął



mi słuchawkę z ręki.

- Pojedziemy tam i sprawdzimy, czy u twojej siostry wszystko w porządku, zgoda? Już jedziemy.

- Dobrze - skinęłam głową. - Dobrze.

Oboje podskoczyliśmy, kiedy domofon za moimi plecami zabrzączał głośno. Paul odebrał.

- Usługi stolarskie. Przyszliśmy do pani Paterson, ale w jej mieszkaniu nikt nie odpowiada. Mógłby nam pan otworzyć?

Paul wpuścił ich do budynku, ale ja nie mogłam przecież czekać, aż naprawią mi drzwi. Nie teraz, kiedy Bronte była w niebezpieczeństwie. Telefon nagle zadzwonił, więc zupełnie bezwiednie chwyciłam słuchawkę.

- Słucham.

- Halo? - usłyszałam tak dobrze znany głos.

- Bronte! Wszystko u ciebie w porządku? U Maksa też? - wyrzuciłam jednym tchem.

- Jasne. Dlaczego miałyby być coś nie tak?

- Skąd masz ten numer?

- Akurat brałam prysznic, kiedy zadzwonił telefon, więc po prostu wykręciłam 1471 i sprawdziłam, spod jakiego numeru było połączenie. Co chciałaś? - Bronte była, delikatnie mówiąc, opryskliwa.

- Po prostu chciałam się upewnić, czy u was wszystko w porządku - powiedziałam trochę łagodniejszym tonem.

- No to już się upewniłaś. Coś jeszcze?

- Nie, to znaczy, chciałam cię prosić, żebyś pozamykała dokładnie wszystkie drzwi - wykrztusiłam. Udzielanie Bronte rad nigdy nie było dobrym pomysłem.

- Jezu, Erin. Sama nie wiem, jak udało mi się przeżyć bez twojego nadzoru dwadzieścia osiem lat - jęknęła Bronte i

odłożyła słuchawkę.

Oparłam się o ścianę i wychyliłam jednym haustem resztę wina. Po raz pierwszy w życiu nie chciałam być tą zawsze odpowiedzialną Erin, wiecznie o kilka kroków przed wszystkimi, przewidującą każdy ruch. Chciałam, żeby ktoś inny przejął kontrolę. Niewiele mnie obchodziło, że Paul wyszedł na korytarz i wyjaśnia stolarzowi, co trzeba zrobić.

Z pustym kieliszkiem poszłam do kuchni, żeby dolać sobie wina. Jeśli poluje na mnie seryjny morderca, to chcę być tak pijana, żeby w ogóle nie poczuć bólu. Zostało jeszcze prawie pół butelki. Przelałam jej zawartość do swojego kieliszka i upiłam łączywie kilka łyków. Kręciło mi się w głowie i czułam lekkie mdłości.

- Facet pyta, czy to robota w ramach ubezpieczenia - w drzwiach stanął Paul. Zauważyłam, jak mierzy wzrokiem mój kieliszek.

- Nie, zapłacę mu czekiem.

- Więc udało ci się złapać Bronte?

- Tak. Straszna z niej suka. - Zaszokowały mnie własne słowa. Zwykle nie mówiłam o niej źle publicznie. Cały czas tak o niej myślałam, ale nigdy nie wypowiadałam tego na głos. W końcu bliższa koszula ciała. Upiłam jeszcze łyk wina.

- Rozumiem. Rywalizacja pomiędzy rodzeństwem - skomentował Paul.

- Phi! Jakbym miała o co być zazdrosna! - odparłam pogardliwie, ale Paul już sobie poszedł.

Rozejrzałam się po kuchni. Potrzebowałam jakiegoś zajęcia, żeby pozbyć się tego paskudnego uczucia i nie wracać myślami ciągle do tego samego tematu. Otworzyłam lodówkę i zaczęłam myszковать pośród znajdujących się tam produktów. Po jakiś

dziesięciu minutach, kiedy zdążyłam już wyjąć niemal całą zawartość lodówki na kuchenny blat, wrócił Paul.

- Drzwi założone. Działają jak nowe - powiedział, mierząc ułożoną przeze mnie górę jedzenia. - Musisz zapłacić majstrom.

Zataczając się lekko, poszłam do siebie i jakoś zdołałam odszukać książeczkę czekową. Zamknęłam wreszcie drzwi na klucz i wróciłam do mieszkania Paula, który zdążył już schować większość jedzenia do lodówki i był teraz zajęty podsmażaniem pokrojonych warzyw. Od zapachu czosnku, cebuli i słodkiej czerwonej papryki aż ciekła ślinka.

Oparłam się o dębowy stół i przyglądałam się jego plecom, kiedy dorzucał do warzyw małe pomidory i wsypywał makaron do garnka z gotującą się wodą. Milczeliśmy. Opróżniłam do końca kieliszek i wyjęłam z lodówki kolejną butelkę.

- Myślałem, że nie pijesz dużo? - odezwał się Paul, kiedy zaczęłam szukać korkociągu. Potem odebrał mi schłodzoną butelkę i otworzył ją jednym zręcznym ruchem.

- Kto ci to powiedział? - zapytałam z oburzeniem.

- Wszyscy tak mówią.

- W takim razie wszyscy się mylą.

- A mnie się wydaje, że znają cię dość dobrze.

- Co masz na myśli?

- Widać, że masz słabą głowę. Może posłuchasz jednak dobrej rady i trochę zwolnisz?

- Nie traktuj mnie tak protekcyjnie. Paul potrząsnął głową.

- W takim razie usiądź i coś zjedz, żebyś przeze mnie nie dostała zatrucia alkoholowego.

- A ja myślałam, że lubisz się mną opiekować - odparłam, trzepocząc rzęsami.

- Błagam, niech wróci prawdziwa Erin! - Paul jęknął z

przerażeniem. - Wszystko jej wybaczam!

Potem postawił przede mną talerz parującej pasta verde. Smakowity, świeży zapach potrawy wydał mi się wprost boski. Paul posypał sos listkami bazylii, a mnie przypomniały się wakacje, które spędziliśmy kiedyś całą rodziną w Toskanii.

Byłam wściekle głodna, pałaszowałam więc z niezwykłym jak na mnie apetytem. Jedzenie poprawiło mi humor - od razu poczułam się lepiej i trochę się uspokoiłam.

- Opowiedz mi o Abigail Dawes - wymknęło mi się, zanim w ogóle zdążyłam pomyśleć. Paul odchylił się na krześle i zmierzył mnie uważnym spojrzeniem.

- Jesteś pewna, że chcesz to usłyszeć? - Tak.

- Abigail Dawes miała trzydzieści jeden lat i była w świetnej formie. Nie tyle silnie umięśniona, co bardzo wysportowana. Atrakcyjna, wolna, z dobrej rodziny. Dostyc zamożna, by mogła sobie pozwolić na podjęcie zupełnie zwyczajnej pracy. Była asystentką w dziale kredytów hipotecznych w Royal Banku. Nie interesowała jej zbytnio kariera w bankowości, dlatego miała sporo wolnego czasu na zawody. W łucznictwie też nieźle sobie radziła - na myśl o tym Paul zmarszczył brwi. - Była sama w hali sportowej, w której odbywały się treningi. Jej drużyna trenowała przed zbliżającymi się zawodami i tym razem przypadała kolej Abigail, żeby uporządkować sprzęt. Stróż znalazł ją w nocy. Zaniepokoiło go to, że w magazynku pali się światło - Paul przerwał i upił łyk czerwonego wina. - Wyglądało na to, że Abigail potknęła się i nadziała na pozbawione osłon florety. Kiedy ten stróż znalazł ją, już nie żyła. Sekcja zwłok wykazała, że tuż przed śmiercią odbyła stosunek seksualny, ale nie znaleziono śladów użycia siły.

To, że odbyła stosunek tuż przed śmiercią wcale nie oznacza,

że została zamordowana, pomyślałam bezwzględnie.

- Może miała chłopaka?

Paul popatrzył na mnie ze złością, jakby domyślił się, co przyszło mi do głowy.

- Spotykała się od czasu do czasu z jednym facetem, ale właśnie wtedy wyjechał w sprawach zawodowych do Stanów. Poza tym stosowała pigułki antykoncepcyjne, a gwałciciel użył prezerwatywy.

- Gwałciciel? Skąd ta pewność? Nie było przecież śladów użycia siły. Może po prostu poderwała jakiegoś faceta i kazała mu użyć prezerwatywy. Dla bezpieczeństwa - powiedziałam bez namysłu, a przecież nie powinnam zapominać o tym, że Paul jest dziennikarzem. Dla niego morderstwo i gwałt to po prostu lepszy temat na artykuł. Dziwne wypadki są sensacją jednego wieczoru i szybko idą w niepamięć.

- To nie była taka dziewczyna. Do stosunku seksualnego doszło tuż przed śmiercią, a więc na kilka godzin przed odnalezieniem jej ciała. Trening skończył się o dziesiątej, a stróż znalazł ją o północy. Sądysz, że miała szybki numerki na podłodze magazynku z facetem od sprzątania? - ton jego głosu zmienił się. Wyraźnie słyhać w nim było gniew.

Wzruszyłam ramionami. Moim zdaniem jeden numerki i dziwaczna śmierć nie znaczą jeszcze, że mamy do czynienia z seryjnym mordercą. Paul patrzył na mnie ze złością, jakbym to ja była odpowiedzialna za śmierć Abigail.

- Dobra, powiem ci. Ale pamiętaj, że wpłaciłem ci zaliczkę i obowiązuje cię tajemnica zawodowa.

- Nie mam nic przeciwko temu, inspektorze Clouseau.

Paul zrobił dramatyczną przerwę, zanim w końcu powiedział:

- Abigail straciła palec wskazujący.

Parsknęłam mimowolnie śmiechem i natychmiast skuliłam się, zażenowana niestosowną reakcją. Paul spojrział na mnie z pogardą. Może byłam jednak bardziej pijana, niż mi się wydawało.

- Przepraszam - wyrzuciłam z siebie. - Ale zaskoczyłeś mnie tą informacją. Naprawdę nie chciałam drwić z jej śmierci. Strasznie mi przykro.

- Muszę to sobie zanotować do porannego wydania. Już widzę ten nagłówek „ZSZOKOWANA ERIN PATERSON BŁAGA O WYBACZENIE”.

Zdobyłam się na słaby uśmiech.

- I jesteś przekonany, że to było morderstwo?

- Na sto procent. Ostrza floretów przeszły na wylot. Abigail musiała upaść na nie z ogromną siłą. Albo została na nie rzucona. Poza tym było coś jeszcze - nie przerywając mówienia, dolał mi dyskretnie wina i pomyślałam, że chyba nie powinnam więcej pić. Chciałam być znowu tą dawną, przytomną Erin. To jest właśnie problem z alkoholem. W moim przypadku początkowa euforia szybko mija, ustępując miejsca rozpaczliwemu pragnieniu, by znowu być w pełni władz umysłowych.

- Na antenie mówiłeś, że policja początkowo uznała całą sprawę za nieszczęśliwy wypadek. Jak mogli tak pomyśleć, skoro ofiara miała odcięty palec? - powiedziałam, zastanawiając się, który palec służy do naciągania łuku. - A propos, czy łucznicy nie używają przypadkiem dwóch palców do napinania cięciwy?

- Policja sądziła początkowo, że Abigail straciła palec podczas upadku, ale nie zdołali go znaleźć. Być może stróż spłoszył mordercę, zanim ten zdążył obciąć drugi palec. W każdym razie policjanci prowadzący śledztwo nigdy nie uważali, że był to

wypadek. Po prostu taką informację podali do prasy zaraz po morderstwie.

- A więc morderca zabrał jej palec? Coś jakby trofeum? - to przekraczało ludzkie pojęcie.

- Na to wygląda. Policja nie znalazła też języka Lucy Grant, ale to poufna informacja - powiedział Paul, zabierając się za sprzątanie ze stołu.

- Wspominałeś o raporcie z sekcji zwłok. Czytałeś go?

- Tak.

- I co w nim było?

Paul rzucił mi zaniepokojone spojrzenie.

- Nie czytałem go w całości. Udało mi się zdobyć tylko jego fragmenty.

- A więc masz kopię. Mogę ją zobaczyć? - Nie.

- Czytałam setki takich raportów. Na pewno nie ma tam nic, co mogłoby mnie zaszokować.

- W tym jest.

- Pokaż mi go. Może zdołam zauważyć coś, co wy przeoczyliście. Ciągle czytam raporty dotyczące zgonów i wypadków.

To nie do końca prawda, ale w swoim czasie spotkałam się już z najdziwniejszymi przyczynami śmierci. Słyszałam o przypadku, kiedy angorska koza spadła z balkonu trzeciego piętra jakiegoś wieżowca w Sighthill prosto na śmieciarza, łamiąc mu przy tym kark. To dopiero było niezwykle wydarzenie.

Paul przyglądał mi się przez chwilę z pochmurną twarzą. Potem zatrzasnął drzwiczki zmywarki i wyszedł do salonu. Po chwili wrócił z dwiema skserowanymi kartkami kiepskiej jakości i popchnął je w moją stronę.

- Ale pamiętaj, że cię ostrzegałem.

- Chyba czytasz za dużo Thomasa Harrisa, a może Patricii Cornwell - zakpiłam i zabrałam się do czytania krótkich wyjątków z raportu z sekcji zwłok.

*...rozległy krwiak śródopłucnowy w jamie klatki piersiowej, 1100 centymetrów sześciennych krwawego wysięku opłucnowego w prawej części klatki piersiowej. Perforacja dolnej odnogi prawej głównej tętnicy płucnej, w rezultacie której doszło do rozległego krwotoku w miąższu lewego płuca w okolicach wnęki. Rozerwanie aorty spowodowało tamponadę serca. Perforacja tchawicy i wątroby...*

Straszna śmierć, ale niemal natychmiastowa. Zresztą tego chyba należało się spodziewać, biorąc pod uwagę, że Abigail zginęła przebita tyloma ostrzami. Krew z uszkodzonej aorty wypełniła klatkę piersiową, gromadząc się również w worku osierdziowym. Sztychy floretów przebiły również tchawicę, lewe płuco i wątrobę. Na razie nie natknęłam się na nic zaskakującego. Spojrzałam na drugą kartkę, gdzie znajdowało się tylko jedno zdanie.

*W wyniku penetracji cienkim ostrzem doszło do rozerwania i zapadnięcia się gałek ocznych.*

Poczułam skurcz w żołądku. Florety przebiły jej oczy.

Czy to tylko przypadek? Żeby tak się stało, Abigail musiałaby upaść z idealną symetrią. Odłożyłam kartki na stół, jakby samo trzymanie ich w ręku mogło mnie skazić tą potwornością. Nie odzywałam się przez chwilę z obawy, że żółć gromadząca się gdzieś w gardle napłynie mi do ust.



- Czy te florety przeszły na wylot? - zapytałam szeptem. Miałam nadzieję, że Paul zrozumie, o które rany mi chodzi, bo nie potrafiłam się zmusić, by wypowiedzieć to głośno.

- Nie. Właściwie wbiły się tylko same czubki. Pozostałe florety przeszły na wylot - odparł rzeczowo Paul. Dobrze go rozumiałam. Tylko w ten sposób można sobie z tym poradzić.

- A więc te rany powstały już po tym, jak... upadła? Jej głowa została siłą przyciśnięta do sztychów?

- Tak, to się stało później. Już po jej śmierci.

Bogu dzięki, pomyślałam. Bogu dzięki, że była już martwa, kiedy to się stało. Ale jaki potwór był zdolny do czegoś takiego? Nie tylko ją zabił, ale zmasakrował jeszcze jej zwłoki. Przycisnął jej bezwładną głowę do ostrzy floretów.

Ten obraz, jak scena zapamiętana z jakiegoś obrzydliwego horroru, wciąż stawał mi przed oczami. Głowa odgięta do tyłu jednym szarpnięciem za włosy, nieruchome i krwawiące ciało, wspierające się tylko na cienkich ostrzach, które przebiły skórę. Kałuża krwi gromadząca się na podłodze, bezwładne nogi, uginające się pod ciężarem martwego ciała. I ręka mordercy starannie układająca głowę Abigail na dwóch floretach, a potem naciskająca w dół i w dół. Poczułam mdłości.

Dlaczego ten potwór zabił najpierw ją, a potem Lucy? Dlaczego właśnie Abigail Dawes i Lucy Grant? Jedyne, co miały ze sobą wspólnego, to młodość i uroda. Przecież gdyby coś je łączyło, policja już dawno by to odkryła?

- Czy coś łączyło Abigail z Lucy Grant? To znaczy, może Abigail kontaktowała się z Lucy przed śmiercią?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- To strasznie dziwne - powiedziałam stanowczo. - Dlaczego prasa o tym nie pisała? Dlaczego nic z tego nie przedostało się do

wiadomości publicznej?

Paul podszedł do stołu i usiadł na krześle.

- Policja zarządziła blokadę informacji.

- W takim razie skąd ty wiesz o tym wszystkim, skoro to tajemnica? - mój głos zabrzmiał fałszywie. Nie zdradzałem, w jakim byłem szoku.

- Mam znajomości na niższych szczeblach - padła zagadkowa odpowiedź.

- No powiedz! - przymilałam się. - Jesteś jedynym dziennikarzem, który o tym wie, czy inni też znają prawdę?

- Dziennikarzem? A myślałem, że jestem „marnym pismakiem”?

- Więc masz przyjaciół w policji - uśmiechnęłam się.

- Nigdy nie zdradzam swojego źródła informacji - Paul zjeżył się odrobinę.

- Obaj z sierżantem Marshalllem byliście świetni, kiedy udawaliście, że się w ogóle nie znacie.

- Bo naprawdę nigdy go nie spotkałem. Znam go tylko ze słyszenia - Paul ujął w dłonie swój kieliszek z czerwonym winem i popatrzył na smugi, zostawiane przez alkohol na grubym szkle.

- Byłeś kiedyś policjantem? - Paul spojrzał na mnie i potwierdził lekkim skinieniem głowy. - Dlaczego odszedłeś?

- To nie twoja sprawa - odparł ze zmęczoną miną. Nagle zrobił się bardzo smutny.

Tak bardzo chciałam dodać mu otuchy i z trudem powstrzymałam się, żeby nie poklepać go uspokajająco po ramieniu. Na całym świecie były tylko dwie osoby, którym otwarcie okazywałam swoje uczucia - Max i mój ojciec. Psów nie liczyłam.

- Wszystko w porządku? - zapytałam delikatnie. Paul rzucił mi

gniewne spojrzenie.

- Radzę sobie całkiem nieźle, biorąc pod uwagę to, co się ostatnio dzieje. Nie mogę pogodzić się z bezsensowną śmiercią tylu niewinnych ludzi. Z tą pustką, jaka po nich zostaje w życiu ich najbliższych. Kto jak kto, ale chyba ty powinnaś to dobrze rozumieć.

Wiedziałałam, że nie powinnam zadawać mu już więcej pytań. Wróciłam do siebie parę minut po jedenastej. Założyłam łańcuch i włączyłam alarm, ale i tak spędziłam w pokoju Maksa niespokojną noc. Nie potrafiłam się zmusić do tego, żeby położyć się spać w łóżku, które zajmowaliśmy z Alekssem.

## ﴿ 7 ﴾

W niedzielny poranek słońce wyjrzało w końcu zza grubej warstwy szarych chmur kłębiących się na niebie. Od razu poprawił mi się nastrój. Nie ociągając się, wstałam z łóżka i zeszłam na dół, żeby wziąć prysznic w przylegającej do sypialni łazience. Zachowywałam się tak, jakby ta niedziela nie różniła się od innych. Postanowiłam wpaść do biura, tak jak robiłam to zwykle w weekendy, i podgonić trochę pracę, której nie zdążyłam dokończyć w piątek.

Z radością powitałam ten powrót do normalności. Czułam się pełna energii i odświeżona, pomijając oczywiście męczącego mnie kaca. Pomyślałam, że trzeba zadzwonić do ślusarza, bo Alex nadal ma klucze do mojego mieszkania. Wymiana zamków w drzwiach to kolejna sprawa, którą muszę załatwić. Wypiłam drugą filiżankę świeżo zaparzonej kawy i spisałam na kartce listę zakupów, zaczynającą się od słów „jedzenie” i „nowy aparat telefoniczny”.

Pojechałam do kancelarii samochodem nie tylko ze względu na planowaną wyprawę do sklepów. W ciasnym wnętrzu jeepa po prostu czułam się bezpieczniej. Na parkingu przed budynkiem firmy stało już kilka samochodów, co dowodziło, że praca w naszej kancelarii idzie pełną parą.

Uznałam, że z powodu tylu sprośnych plotek krążących po

firmie większość działów nie zdołała się najwyraźniej wyrobić z pracą w piątek. Nacisnęłam dzwonek i portier pełniący dyżur w weekend wpuścił mnie do środka. Poza normalnymi godzinami pracy drzwi wejściowe były zawsze zamknięte. Co prawda miałam własny komplet kluczy - w końcu budynek należał do mnie - ale rzadko z nich korzystałam.

Wjechałam windą prosto na piąte piętro, na którym panował całkowity spokój. Byłam zadowolona, że nie muszę wymieniać z nikim uprzejmości, ale też odrobinę zirytowana, że nikt z mojego działu nie pofatygował się do biura, żeby popracować trochę po godzinach. A nie można powiedzieć, żeby brakowało nam klientów.

Włączyłam swój komputer i poszłam do kuchenki zrobić sobie czegoś do picia. Czekając, aż kawa się zaparzy, obejrzałam uważnie niewielki ślad po oparzeniu gorącą wodą, o którym w zamieszaniu ostatnich dwóch dni kompletnie zapomniałam. Teraz miejsce na skórze było zaczerwienione i obrzęknięte. Ogarnęło mnie na chwilę coś jakby mgliste wspomnienie na wpół zapomnianego snu, ale szybko się z tego otrząsnęłam.

Zabrałam się do pracy. W nadchodzącym tygodniu mieliśmy zakończyć trzy sprawy, rozpocząć wstępne rozmowy w trzech innych oraz przeanalizować zeznania kilku pozwanych i znaleźć w nich ewentualne punkty zaczepienia.

Te trzy sprawy, które miały się zakończyć polubownie, zresztą jak większość spraw o odszkodowanie, były zapięte na ostatni guzik. Wygraną mieliśmy praktycznie w kieszeni, jak lubiłam powtarzać. Szybko przejrzałam jeszcze notatki i z zadowoleniem stwierdziłam, że wszystko jest w porządku.

Sprawa Morris kontra Donald nie była tego samego kalibru, co pozew pani Murphy, ale nadal do wywalczenia było 150 tys.

funtów odszkodowania. Zwykle nie zajmowałam się sprawami poniżej tej kwoty, pozwalając, aby to inni prawnicy i asystenci brudzili sobie ręce pomniejszymi roszczeniami wysuwanymi przez staruszki, które skręciły nogę potknąwszy się o chodnikową płytę. Jak było do przewidzenia, mieliśmy z tego powodu na pieńku z radą miejską. Ale każda, nawet najmniejsza sprawa, która dawała okazję dokuczenia radnym, była moim zdaniem warta zachodu. Zamknęłam akta sprawy i zanotowałam, że obie strony mają się zjawić w naszej kancelarii następnego dnia o drugiej.

Pan Morris doznał poważnych obrażeń, kiedy jego sąsiad, pan Donald najechał na niego samochodem. Donald jakimś cudem zdołał potrącić Morrisa na jego własnym podjeździe, łamiąc mu przy tym obie nogi. Musiałam przeczytać wstępne akta sprawy dwa razy, zanim zrozumiałam, o co w tym wszystkim chodzi. Morris był nauczycielem wychowania fizycznego, ale po wypadku przez półtora roku nie mógł pracować i ominął go awans na dyrektora szkoły. Spodobał mi się ten człowiek, który mimo wszystko nie miał pretensji do sprawcy wypadku. Otrzymał odszkodowanie z tytułu ubezpieczenia od następstw nieszczęśliwych wypadków i to jego ubezpieczyciel skarżył teraz firmę, w której Donald ubezpieczył swój samochód. W ubezpieczeniach i sprawach o odszkodowanie zawsze chodzi o to, żeby zrzucić odpowiedzialność na kogoś innego.

Zabrałam się do czytania wstępnych ustaleń w kolejnej sprawie. Było mi szkoda Douglasa, który spisywał zeznania kilku osób. Niektóre wypowiedzi były wprost naszpikowane slangowymi wyrażeniami, które Douglas skrupulatnie tłumaczył w nawiasach na poprawny angielski. Rozśmieszało mnie to.

Jako aplikantka byłam obiektem wielu żartów, kiedy prosiłam

kolegów o spisanie za mnie zeznań, tylko dlatego, że nie rozumiałam czyjegoś silnego akcentu albo rozmaitych znaczeń potocznych zwrotów. „Odszczekaj to, ty parszywy kundlu! Odszczekaj to!” zdarzyło mi się kiedyś objaśnić: „Był tam też pies, któremu kazano zaszczekać kilka razy”, podczas gdy tak naprawdę chodziło o to, że zdenerwowany świadek oskarżał kogoś o kłamstwo. Tylko skąd ja, panienska z dobrego domu, mogłam znać takie wyrażenia?

Byłam tak pogrążona w lekturze dokumentów, że nawet nie usłyszałam, jak winda zatrzymuje się na moim piętrze i nieźle się wystraszyłam, kiedy Liz Miller zastukała do otwartych drzwi mojego gabinetu.

- Co słyhać? - zapytała, wkraczając z całym naręczem niedzielnych wydań dzienników.

- Chyba wszystkie gazety zadają ostatnio to pytanie.

Liz uśmiechnęła się do mnie współczująco.

- Prasa nadal depcze ci po piętach?

- Nie. Może na razie uznali, że dostałam już za swoje - odparłam, przeciągając się w fotelu. - Michael powiedział mi wczoraj, że powinnam złożyć wymówienie.

Liz ze zdumienia otworzyła usta.

- Chyba żartujesz? Nie ma mowy. Jak mógł zrobić coś takiego?

- Najwyraźniej to nic trudnego. Powiedział, że powinnam myśleć przede wszystkim o firmie i o mojej rodzinie.

- Potrzebujesz odpoczynku. Kiedy ostatnio brałaś urlop? Zastanawiałam się przez chwilę. Zdarzyło się kilka długich weekendów, ale to wszystko.

- Ostatniej zimy spędziłam tydzień na nartach w Szwajcarii.

- A widzisz. Musisz trochę wypocząć. Nie możesz cały czas tyrać jak wół.

- A jak się udało przyjęcie urodzinowe cioci? - dość ostentacyjnie zmieniałam temat.

- Wspaniale. Wstała z łóżka i tańczyła kaczuszki. Na pewno by ci się spodobało - powiedziała Liz z błyskiem w oku. Dobrze wiedziała, że tak właśnie wyobrażam sobie czyściec.

- Szkoda, że mnie to ominęło.

- Masz jakieś plany na dzisiejszy wieczór?

- Och, no wiesz, to, co zwykle. Bójka z chłopakiem, ucieczka przed dziennikarzami...

- A może wpadniesz na kolację? Będzie tylko Allan - zaproponowała Liz, rumieniąc się przy tym lekko, a ja uświadomiłam sobie, że musiał to być dla niej duży krok.

- Bardzo chętnie - uśmiechnęłam się do niej szeroko. - A dobrze gotujesz?

- Niezbyt - przyznała szczerze. - To raczej domena Allana.

- Allan umie gotować! No, no! - mrugnęłam do niej okiem. - A może ma jeszcze przystojnego brata, który akurat szuka dziewczyny?

- Owszem, ma, ale tak się składa, że oboje bardzo go lubimy - Liz popatrzyła mi w oczy znacząco.

- No tak, wystarczy jedna statuetka i dziewczyna do końca życia ma zszarganą reputację - chwyciłam się za głowę, udając oburzenie. - O której ta kolacja? Bo o piątej mam jeszcze spotkanie z klientką.

- Widzisz, co mam na myśli? Spotykasz się z klientami nawet w niedzielę - upomniała mnie Liz.

- To nie tak. Sprawę tej klientki zakończyliśmy w piątek. Wszyscy poczuliśmy ulgę. Chcę się tylko przekonać, czy wszystko u niej w porządku.

- To chyba oznaka współczucia. Znowu bierzesz te pigułki, od



których tak poprawiał ci się charakter?

- Naprawdę jestem taka okropna? - roześmiałam się.

Liz wzruszyła wymownie ramionami, a w drzwiach pojawił się Douglas. - Strasznie się cieszę, że jednak wpadłeś! - zażartowałam, ale jego twarz nadal pozostała spięta i zmartwiona. Zaniepokojona wstałam z krzesła. - Co się stało?

- Czytałeś już dzisiejsze gazety? - wydusił w końcu Douglas.

- Nie. A co tam znowu nawymyślali? Odkryli, że jestem satanistką? A może znęcam się nad miłymi futrzanymi zwierzątkami? - naprawdę nie sądziłam, żeby sytuacja mogła się jeszcze bardziej pogorszyć.

Douglas przełknął ślinę.

- Może powinnaś jednak rzucić na nie okiem.

- Douglas, po prostu mi powiedz. Obiecuję, że cię nie wyleję. W razie czego możesz wziąć Liz na świadka.

- Piszą, że masz związek z morderstwem Lucy Grant. Miałam wrażenie, że cały świat stanął w miejscu. Patrzyłam to na Douglasa, to na Liz, aż ziemia znowu zaczęła się kręcić wokół swojej osi.

- Co takiego? - wydusiłam z niedowierzaniem. - Przecież to niedorzeczne!

- Wiem - Douglas w końcu zebrał się na odwagę i wszedł do mojego gabinetu, zamykając za sobą drzwi. Potem zniżył głos do szeptu - Michael zwołał zebranie wspólników. Mają tu być o drugiej. Nie wiedzieli, że dzisiaj przyjdiesz. Pewnie myśleli, że będziesz się ukrywać.

- Chryste!

Liz otworzyła „Sunday Timesa”.

- Na trzeciej stronie - powiedziała, podsuwając mi płachtę gazety. Zauważyłam nagłówek „WZIĘTA PRAWNICZKA

ZAMIESZANA W MORDERSTWO DZIEDZICZKI”, ale słowa zawirowały mi przed oczami.

- Nie mogę. Ty mi to przeczytaj - wymamrotałam, wręczając gazetę Liz i rozpoczynając wędrówkę po gabinecie.

Liz odchrząknęła.

- *Erin Paterson, najstarsza córka Sir Maxwella Patersona, kawalera Orderu Imperium Brytyjskiego, i wzięta prawniczka zajmująca się odszkodowaniami z kancelarii Paterson, Paterson...*

- Przejdź do konkretów - przerwałam jej w pół słowa. Liz odetchnęła głęboko.

- *Aresztowana wczoraj pod zarzutem napaści na swojego... bla, bla... ma związek z bestialskim morderstwem Lucy Grant.*

*Policjanci prowadzący śledztwo w tej sprawie przesłuchali pannę Paterson w jej domu rodzinnym, na terenie posiadłości znajdującej się w zamożnej dzielnicy Glasgow, Pollokshields. Lucy Grant była wcześniej dziewczyną Alexandra Faradaya. Panna Paterson...*

- Co takiego? - wysyczałam. - Nie miałam o tym pojęcia! Nie wiedziałam nawet, że się w ogóle znali!

- Siadaj, Erin. Jest jeszcze dalszy ciąg - powiedziała spokojnie Liz. - *Z dobrze poinformowanego źródła wiemy, że panna Grant najprawdopodobniej dzwoniła do Erin Paterson rankiem w dniu morderstwa* - Liz zamilkła na chwilę. - Dalej piszą o twoim ojcu, rodzinie i o twojej, hm, siostrze. Reszta to standardowe informacje dotyczące twojego wykształcenia i kariery zawodowej.

W gabinecie zapadła grobowa cisza. Przymknęłam oczy.

Zrobili ze mnie podejrzaną, a łącząc całą sprawę z napaścią na Aleksa przedstawili mnie jako stukniętą wariatkę. Nie mogłam w to uwierzyć. „Sunday Times”? Więc sprawa trafiła już do dzienników w całym kraju. A ja miałam nadzieję, że ten temat

pozostanie tylko lokalną sensacją.

- To takie niesprawiedliwe - powiedziałam, myśląc jednocześnie o tym, co nagle wydało mi się tak oczywiste.

Oprócz mnie tylko policjanci, morderca i Paul Gabriel wiedzieli o tym telefonie, ale ani policja, ani psychopatyczny zabójca nie powiadomili chyba prasy. Nie mogłam uwierzyć, że tak łatwo dałam się nabrać na fałszywą życzliwość Paula.

Liz okrążyła biurko i delikatnie położyła dłoń na moim ramieniu. Ten gest sprawił, że wprost zawrzałam z wściekłości. Tymczasem Douglas przestępował niepewnie z nogi na nogę. Był albo potwornie zażenowany całą sytuacją, albo przerażony tym, że tkwi uwięziony w jednym pokoju z potencjalną morderczynią.

Znowu przymknęłam oczy, wsłuchując się w głosy rozbrzmiewające teraz za zamkniętymi drzwiami mojego gabinetu. Wszyscy troje wstrzymaliśmy oddech, dopóki tumult w sekretariacie nie ucichł.

- Skąd wiedziałeś o zebraniu? - zapytałam Douglasa zniecierpliwionym szeptem.

- Michael do mnie dzwonił. Chce, żebym sporządził protokół z przebiegu spotkania.

Zmrużyłam oczy. Wiedziałam już, co kombinuje Michael. Nie zawiadomił mnie o zebraniu, a na dodatek próbuje przeciągnąć na swoją stronę moich asystentów.

- Dobra. Niech pomyślę. - Potrzebowałam tylko paru chwil, żeby podjąć decyzję. - Wiem, jak to rozegramy - powiedziałam głosem nie znoszącym sprzeciwu. - Douglas, pójdziesz na to zebranie i będziesz je protokołował, a potem powtórzysz mi dokładnie, o czym mówiono.

Douglas nie wyglądał na uszczęśliwionego. Ujawnienie komukolwiek, a już zwłaszcza mnie, informacji z tego spotkania

byłoby całkowicie sprzeczne z etyką zawodową.

- Douglas - powiedziała z naciskiem - wkrótce może się okazać, że jesteś asystentem zawieszonoego w czynnościach wspólnika. Jak myślisz, co to oznacza dla ciebie?

- Mimo wszystko nie chcę być twoją wtyczką.

- Przecież nikt nie każe ci donosić. Po prostu złożysz sprawozdanie swojej przełożonej. Michael poprosił cię o protokołowanie tego zebrania właśnie po to, żeby postawić cię przed tym dylematem. Jeśli nie powtórzysz mi, o czym mówiono na spotkaniu, będę na ciebie wściekła, a jeśli to zrobisz, rozwścieczysz Michaela. On próbuje cię wykorzystać dla własnych, podejrzanych celów. W naszej firmie pracuje mnóstwo innych asystentów, których mógł o to poprosić. Dlaczego zwrócił się właśnie do ciebie? Pomyśl o tym.

Douglas wzruszył ramionami, ale nadal był niechętnie nastawiony do mojego pomysłu.

- Zgódź się, Douglas! Obiecuję, że nie wykorzystam tych informacji. Po prostu chcę wiedzieć wcześniej, co mnie czeka.

Douglas zawahał się. Przybrał tę swoją posępną minę, która pojawiała się na jego twarzy wtedy, gdy naprawdę nie chciał czegoś zrobić.

- A jeśli będą chcieli cię zawiesić? - jęknął. - Może sprawa wygląda bardzo, bardzo niedobrze?

- Właśnie o to mi chodzi. Jeśli jest naprawdę źle, to wolałabym to usłyszeć od ciebie, a nie od cholernego Michaela. *Praemonitus praemunitus* - ostrzeżony, uzbrojony. Douglas, proszę cię.

Douglas westchnął i potrząsnął głową.

- Nie podoba mi się to wszystko.

Zwykle uwielbiałam stosować rozmaite wybiegi, ale teraz sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Do tej pory wywierałam

presję na swoich oponentach, z czego zresztą słynęłam. Nie byłam przygotowana na to, że moje życie zostanie uwikłane w dramat.

- Naprawdę sądzisz, że Michael będzie próbował doprowadzić do zawieszenia cię w obowiązkach? - zapytała z powątpiewaniem Liz.

- Jestem tego pewna. Od dawna próbuje mnie dopaść - westchnęłam. - I tym razem ma trochę racji. Ta sprawa nie wygląda zbyt dobrze dla mnie i dla firmy.

- Ale jeśli cię zawieszą, to będzie wyglądało na wotum nieufności.

- Wiem. Mają dwie możliwości do wyboru. Nie robić nic, co może jeszcze bardziej zaszkodzić wizerunkowi firmy, albo mnie zawiesić, tyle że w takim wypadku ucierpi głównie moja i tak już zszargana reputacja.

Liz i Douglas wymienili zaniepokojone spojrzenia.

- Nie życzę sobie, żeby któreś z was mieszało się w tę sprawę, jasne? Douglas, proszę cię o przysługę, ale na tym koniec. Nawet jeśli moje dni w tej firmie są policzone, to nie zamierzam ciągnąć was za sobą na dno. Rozumiemy się?

Już i tak byli w to wplątani. Ale zamierzałam zrobić wszystko, co w mojej mocy, aby nie narażać ich jeszcze bardziej.

- Zaproszenie na kolację nadal aktualne? - uśmiechnęłam się do Liz promiennie.

- Oczywiście! Szósta ci odpowiada?

- Tak. Wspaniale. Powinam może coś przynieść? - powiedziałam, czując dziwną ulgę. Jeśli ta bomba wybuchnie, to wolę być w tym czasie w otoczeniu przyjaznych mi osób.

- Wystarczy twoje towarzystwo. Douglas, a może ty też do nas wpadniesz?

Douglas popatrzył na nią z niepewną miną. Kolacja ze mną i młodszą współpracowniczką naszej kancelarii byłaby dla niego gigantycznym krokiem naprzód. Uśmiechnęłam się zachęcająco.

- Dobrze... hm... jeśli nie sprawię kłopotu. Liz dała mu żartobliwego kuksańca.

- W takim razie zobaczymy się o szóstej. Znasz mój adres?

- Tak... podrzuciłem ci kiedyś do domu akta.

Liz wyjrzała z mojego gabinetu, żeby upewnić się, czy droga wolna, a potem szepnęła jeszcze bezgłośnie „Powodzenia” i wyszła.

Te szepty i przemykanie się chyłkiem stanowiły najlepszy dowód, jak wiele się pozmieniało. Poczułam dziwne ukłucie w sercu - czegoś na kształt żalu, a może skruchy. Nie potrafiłam powstrzymać tej ogromnej fali zmian, ale może byłabym w stanie zmienić jej bieg, gdybym rozegrała swoje karty inaczej. Spojrzenie na wszystko z perspektywy to naprawdę wspaniała rzecz.

Zaczęłam zbierać dokumenty, nad którymi powinnam jeszcze popracować. Będą musiały poczekać do poniedziałku, bo z pewnością nie potrafię się teraz skoncentrować.

Douglas kręcił się jeszcze po gabinecie z niepewną miną. Miałam nadzieję, że choć raz w życiu zbierze się na odwagę i powie wprost, co go dręczy.

- Coś jeszcze? - zapytałam w końcu.

Douglas nadal wyglądał na bardzo zakłopotanego.

- Michael pytał mnie, czy nie chciałbym pracować dla kogoś innego - zdołał wreszcie wymamrotać.

W naszej firmie tego rodzaju praktyki były niedopuszczalne. Nie przejmowało się cudzych asystentów bez uprzedniej zgody współnika, którego to dotyczyło.

- I? - zapytałam lodowatym tonem.

- Powiedziałem mu, że to niestosowne pytanie, chyba że ty nie życzysz sobie dalszej współpracy ze mną - odparł nerwowo Douglas.

- A chciałbyś się przenieść do kogoś innego? - tym razem mój głos brzmiał już łagodniej. Szczerze mówiąc, wcale nie miałam ochoty rozstawać się z Douglasem. Może brakowało mu charyzmy i błyskotliwości gwiazd palestry, ale za to był sumienny, pracowity, solidny i nigdy nie narzekał. Czegóż można chcieć więcej?

Douglas zaczerwienił się.

- Nie. Ale jeśli wolisz, żebym się przeniósł, to tak zrobię.

- Ależ skąd! Nie życzę sobie żadnych zmian! Masz nadal być moim asystentem. Powiedz Michaelowi, żeby się odpieprzył.

Douglas uśmiechnął się szeroko i ruszył w stronę drzwi.

- Zostajesz jeszcze, żeby popracować? - zapytałam.

- Tak. Muszę nadrobić trochę zaległości. Mógłbym cię prosić o pudełko dyskietek? Magazyn jest zamknięty.

- Jasne - rzuciłam mu swoje klucze. - Tylko pokwituj odbiór.

Ale że Michael próbował podkraść mojego asystenta? To wyjątkowa podłość, nawet jak na niego. Wrogość pomiędzy nami stała się już legendarna, a ja nie po raz pierwszy zastanawiałam się, co zrobiłam, że Michael znienawidził mnie tak strasznie. Oboje bezwzględnie dążyliśmy do zbudowania imperium prawniczego i to połączyło nas nawet na krótki czas. Stanowiliśmy zgrany zespół, jeśli chodziło o interesy i pracę, ale marna z nas była para.

Od samego początku uważałam, że nasz związek nie ma przyszłości. Dla Michaela oznaczał on po prostu połączenie ciężkiej pracy i wysokiego IQ, ale nawet ja, osoba kompletnie

pozbawiona romantyzmu, wiedziałam, że niezbędnym składnikiem trwałego związku jest miłość. Rozstaliśmy się w bardzo nieprzyjemny sposób, kiedy Michael zaproponował mi małżeństwo. Przyznaję bez bicia, nie trzeba się było wtedy śmiać.

Czekając na powrót Douglasa z magazynu, przejrzałam jeszcze raz gazetę. Każde słowo artykułu „Sunday Timesa” zostało dokładnie przemyślane. Tak dokładnie, że pozwanie ich do sądu nadałoby tylko całej sprawie jeszcze większy rozgłos. Nie warto się z nimi procesować, o co zresztą pewnie im chodziło.

Co się stało, to się nie odstanie. Choćby nie wiem, jak się starać, trochę błota zawsze przywrze do człowieka. Natomiast nie do końca rozumiałam, o czym jest mowa w pewnym akapicie dotyczącym Bronte.

Wspominano w nim o „sensacyjnych informacjach na temat jej stylu życia, podawanych przez prasę brukową”. Doszłam do wniosku, że musi chyba chodzić o narodziny Maksa. To ogromna podłość z ich strony, wciągać w to wszystko moją siostrę. Może nie pochwalałam jej zachowania, ale jeśli chodzi o moje osobiste kłopoty, Bronte była tylko niewinnym obserwatorem.

Bez szczególnego entuzjazmu zabrałam się za czytanie pozostałych artykułów, żeby nie myśleć o tym, co tak naprawdę mnie dręczyło - o zdradzie, której dopuścił się najpierw Alex, a potem Paul. Chyba bardziej bolała mnie jednak świadomość, że Paul zadał mi cios w plecy. Wcześniej byłam przekonana, że udało nam się osiągnąć coś na kształt milczącego porozumienia. Najwyraźniej pomyliłam się. Patrząc na to z logicznego punktu widzenia, nie powinnam mieć do niego pretensji. W jego branży stanowiłam po prostu obiekt do rozpracowania. Ale jeśli chodzi o facetów, logika nigdy nie była moją mocną stroną, więc poprzysięgam zemstę.



Nadal użalając się nad sobą, wyszłam z biura i pojechałam do supermarketu, gdzie szybko zapełniłam wózek różnymi wybieranymi właściwie na chybił trafił produktami. Nie obmyślałam sobie menu na następny tydzień, więc pewnie znowu skończy się na jedzeniu makaronu i kalafiora zapiekanego w sosie beszamelowym z serem albo lasagne z warzywami przysmażanymi na sposób chiński.

Mnóstwo czasu spędziłam przed półką z alkoholami, starannie wybierając dwie butelki wina. Nie zamierzałam iść z pustymi rękami na kolację do Liz, której byłam naprawdę wdzięczna za to zaproszenie. Kupiłam jeszcze ogromny bukiet kwiatów dla pani Murphy i torbę cukierków dla jej synków.

Bernadette Murphy mieszkała w dzielnicy East End, w części zwanej Dennistoun, którą zamieszkiwali niegdyś pierwsi magnaci tytoniowi Glasgow, zanim stali się na tyle bogaci, by pobudować sobie ogromne rezydencje w rejonie West End i South Side. Z biegiem czasu dzielnica trochę podupadła, ale ostatnio ambitni przedstawiciele wolnych zawodów zaczęli ją przywracać do dawnej świetności.

Zaparkowałam tuż obok zdezelowanego forda escorta z cichą nadzieją, że kiedy wrócę, mój jeep będzie nadal tu stał. Pani Murphy mieszkała w dwupiętrowym domu stanowiącym część szeregowej zabudowy. Od frontu znajdował się niewielki, ale zadbane ogródek.

Nie wiedzieć czemu poczułam tremę. Zwykle nie chodziłam z wizytą do swoich klientów, chyba że trafili do szpitala, albo nie mogli wyjść z domu, ale pani Murphy to wyjątkowy przypadek. Zastukałam do drzwi, nie doczekałam się jednak żadnej reakcji. Ze środka dobiegał gwar rozmów, zapukałam więc jeszcze raz. W końcu drzwi otworzyła mi pani Murphy w fartuszk

przyprószonym mąką i ze ścierką do naczyń w ręku. Przeciąg wydął firanki.

- Proszę wejść! Serdecznie zapraszam! - pani Murphy powitała mnie wylewnie.

Przedpokój był niezwykle wąski. Naprzeciwko wejścia znajdowały się schody prowadzące na górę, a na podłodze leżał poprzecierany dywan. W myślach podziękowałam losowi za to, że jednak udało się doprowadzić do ugody.

Pani Murphy od razu zaprowadziła mnie do salonu. Kiedy tam weszłam, poczułam wielką ochotę, żeby odwrócić się na pięcie i po prostu uciec. W pokoju znajdowało się kilkanaście osób, które na mój widok zaczęły śpiewać „Sto lat”. Myślałam, że zapadnę się pod ziemię. Wymamrotałam jakieś podziękowanie i wcisnęłam pani Murphy kwiaty z supermarketu.

- Przyniosłam trochę słodyczy dla Eamona i Dannyego...

Kiedy rozglądałam się wokół, szukając wzrokiem dwóch małych chłopców, jeden z synków pani Murphy, wypchnięty z tłumu dorosłych, stanął przede mną z ogromnym naręczem lilii. Potem wyciągnął w moją stronę bukiet, wyglądając przy tym na równie skrepowanego całą sytuacją, jak ja.

- Dziękuję - przykucnęłam, żeby znaleźć się na wysokości jego twarzy. - A ty jesteś...?

Chłopiec popatrzył na mnie podejrzliwie, a potem pokazał mi język.

- Eamon! Ty mały łobuzie! Natychmiast przeproś tę miłą panią - skarciła go starsza kobieta, zapewne jego babcia.

- Obawiam się, że tak właśnie działałam na większość ludzi - powiedziałam z uśmiechem i wstałam. Uśmiech wciąż nie schodził mi z twarzy, ale w duchu klęłam na czym świat stoi. Dobry Boże, zapowiadał się jeden z tych dni.

Zostałam przedstawiona reszcie rodziny, jak się okazało całkiem licznej. Kolejni jej członkowie ukrywali się w kuchni. Bardzo chciałam porozmawiać z panią Murphy na osobności, żeby wyjaśnić jej, kiedy może się spodziewać wypłaty odszkodowania i jaką kwotę otrzyma. Pozostali członkowie klanu postanowili jednak uczcić wyjątkową okazję i zdążyli już otworzyć kilka butelek. Grzecznie podziękowałam za alkohol, z wdzięcznością przyjąłam filiżankę herbaty i babeczkę domowego wypieku i wreszcie usiadłam na kanapie. Obok mnie natychmiast usadowił się mężczyzna, który został mi już wcześniej przedstawiony, ale mimo to znowu uścisnął moją dłoń.

- Kieran Donagh.

Uśmiechnęłam się serdecznie, próbując go sobie przypomnieć. Kuzyn? Szwagier?

- A więc jest pani prawniczką? - zapytał.

- Tak - skubnęłam swoje ciastko. Miałam cichą nadzieję, że facet sobie pójdzie.

- Ma pani dużo takich spraw? - wyciągnął się, grzebiąc w kieszeni w poszukiwaniu paczki papierosów.

- Tak - upiłam łyk herbaty, modląc się w duchu o ratunek.

- Chyba sporo można zarobić - facet zapalił papierosa i wpatrywał się teraz w wydmuchiwaną przez siebie kółka dymu - na nieszczęściu innych ludzi?

- To wcale nie jest takie proste - powiedziałam, rozpaczliwie próbując napotkać spojrzenie któregoś z gości zgromadzonych w pokoju.

- Nie jest proste? A mnie się zdawało, że pobierasz, złotko, całkiem niezły haracz za to, że gówno robisz?

Skuliłam się, ale nic nie powiedziałam, wyprowadzając go tym z równowagi.

- Nie jest proste? To dopiero ubaw! - roześmiał się, szturchając mnie boleśnie w żebra. Herbata chlusnęła mi na kolana.

To był pretekst, którego potrzebowałam. Uśmiechnęłam się i wstałam, przeprosiwszy go uprzejmie.

- Gdzie idziesz? Łapać kolejnych naiwniaków? Zignorowałam go i ruszyłam w stronę kuchni, żeby znaleźć coś do wytarcia plamy. Bernadette dopadła Kierana, rzucając mi przy tym przepaszające spojrzenie. Usłyszałam, jak wysyczała do niego coś w rodzaju „Wystarczy już tych bzdur”, ale kiedy spojrzałam w jego stronę, zauważyłam, jak przesuwa dłońią po jej pośladkach. W głowie odezwał mi się dzwonek alarmowy.

Zachwycający Kieran chętnie zaopiekowałby się panią Murphy i jej świeżo zdobytym majątkiem. Musiałam porozmawiać z nią jak najszybciej.

Wytarłam spodnie wilgotną ścierką i pokręciłam się trochę po kuchni, czekając, aż zjawi się gospodyni.

- Przepraszam za Kierana. Nie chciał być niegrzeczny.

- W porządku. Nic się nie stało. Mogłabym zamienić z panią kilka słów?

Pani Murphy rozejrzała się dookoła.

- Może pójdziemy na górę?

Podążyłam za nią przez tłum gości i po schodach do jednej z sypialni. W pokoju czuć było wilgoć. Pani Murphy usiadła na podwójnym łóżku, czekając, co powiem. Podeszłam do okna i popatrzyłam na rząd ponurych ogródków z tyłu domów. Robiło się już ciemno.

- Powinna otrzymać pani pieniądze w przeciągu sześciu tygodni - powiedziałam. - Papiery są już gotowe do podpisania, więc proszę wpaść do kancelarii jak najszybciej, będziemy mogli sfinalizować całą sprawę.

Pani Murphy siedziała przez chwilę w milczeniu. Wiedziałam, co interesowało ją teraz najbardziej. Nie chciałam jej upokarzać, zmuszając do zadania tego pytania.

- Ostatecznie zgodzili się na odszkodowanie w wysokości 550 tys. funtów. Uzgodniłyśmy wcześniej, że honorarium wyniesie dwadzieścia procent, więc otrzyma pani 440 tys. - pani Murphy wciągnęła głośno powietrze, więc przykucnęłam obok niej. - Wszystko w porządku?

- Tak - wymamrotała.

- To duża suma.

- Wypłacą mi całość od razu? - zapytała, wpatrując się w swoje zaciśnięte dłonie. Nic nie mogło wynagrodzić jej utraty Dannyego.

- Tak. Gdybyśmy zgodzili się na raty, być może udałoby się nam wywalczyć więcej, ale nie na tyle dużo, by opłacało się czekać.

- Rozumiem.

- Teraz musimy tylko zdecydować, co powinna pani zrobić z taką sumą pieniędzy.

- To znaczy, jak je zainwestować? - pani Murphy zerknęła na mnie.

- I tak, i nie. Pieniądze należą do pani i chłopców, jako rekompensata za poniesioną przez was stratę, ale może byłoby rozsądnie wpłacić część pieniędzy na fundusz powierniczy. Oczywiście mogłabym pani dowolnie korzystać z tych pieniędzy, jednak nie byłyby brane pod uwagę, gdyby zdecydowała się pani ponownie wyjść za mąż. To znaczy, ta kwota nie weszłaby w skład wspólnego majątku, zwłaszcza gdyby fundusz został ustanowiony na dzieci.

- Ale przez te trzy lata narobiło się trochę długów.

- Nie ma problemu. Trzeba tylko obliczyć, jakiej sumy będzie pani potrzebować na spłatę długów i przetrwanie pierwszego okresu, a resztę można bezpiecznie odłożyć. Mogłaby się pani zdecydować na wypłatę odsetek raz w roku, albo co jakiś czas pobierać z konta potrzebną pani sumę, oczywiście tylko do pewnego pułapu, albo wybrać jeszcze inne rozwiązanie. Najważniejsze jest to, że pieniądze należą do pani i chłopców, do nikogo innego. Zrobi pani z nimi, co uzna pani za stosowne.

- Pomoże mi pani? Nie znam się na tych sprawach. Finansami zawsze zajmował się Danny.

- Oczywiście. Mamy cały dział, zajmujący się umowami i funduszami powierniczymi. Kieruje nim Francis Park. To dobry człowiek. Umówię panią na spotkanie z nim od razu po załatwieniu wszystkich formalności ze mną.

- Dziękuję, Erin - powiedziała pani Murphy, dotykając lekko mojego ramienia.

- Nie musisz za nic dziękować, Bernadette. To moja praca - poklepałam jej dłoń i wstałam. - Muszę już iść. Dziękuję za gościnę. Pożegnaj ode mnie chłopców.

Bernadette skinęła głową, ale nie ruszyła się z łóżka. Zamknęłam cicho drzwi, zbiegłam po schodach i wymknęłam się z domu, zanim ktokolwiek zdążył mnie zatrzymać. Zerknęłam na zegarek. Od pół godziny powinnam być u Liz. Brak komórki stawał się naprawdę coraz bardziej uciążliwy.

Liz mieszkała w dzielnicy West End, która stanowiła tętniącą życiem, ekscentryczną mieszaninę studentów, ludzi z mediów, młodych przedstawicieli wolnych zawodów i starych fortun. Wspaniałe rezydencje z czerwonego piaskowca otoczone ogrodami, kamienice czynszowe, na parterze których mieszczą się wciąż pełne klientów sklepy i nowe luksusowe domy. Bliskość

centrum miasta, uniwersytetu, szpitala i siedziby BBC czyniła z West End dzielnicę cieszącą się dużym zainteresowaniem, a próba zaparkowania tu samochodu była prawdziwym koszmarem.

Liz i Allan zajmowali zaadaptowane pierwsze piętro imponującej willi, stojącej w uroczym, wysadzonym drzewami zaułku. Byłam zmuszona zaparkować niezbyt bezpiecznie na rogu ulicy, wjeżdżając przy tym kołami na chodnik. To właśnie jeden z powodów, dla których w Glasgow aż roi się od samochodów z napędem na cztery koła. Dzięki temu można zaparkować niemal na drzewie.

Wpadłam do mieszkania, tłumacząc się gęsto. Liz wyglądała na podenerwowaną, miałam więc tylko nadzieję, że nie popsułam jej kolacji. Weszliśmy do salonu z oknami wychodzącymi na całą masę zieleni. Douglas i Allan poderwali się, żeby się ze mną przywitać.

- Przepraszam za spóźnienie. Nie mogłam się wyrwać z rąk pani Murphy i jakiejś setki jej najbliższych krewnych. Douglas, zorganizuj proszę spotkanie z Francisem Parkiem, kiedy pani Murphy przyjdzie do nas podpisać dokumenty. Mam nadzieję, że uda się ją przekonać, żeby wpłaciła część pieniędzy na fundusz powierniczy. Zdaje się, że już kręci się wokół niej jakiś nieciekawny absztyfikant. - Douglas skinął głową i w pokoju zapadła cisza. - Czyżbym naprawdę popsuła całą kolację? - roześmiałam się słabo.

- Nie, nie - zaprzeczył Allan i wymknął się z pokoju. Liz uśmiechnęła się i po chwili poszła w jego ślady, mamrocząc, że chyba musi mu pomóc w kuchni. Wzruszyłam ramionami i usiadłam na kanapie.

Stojący przy kominku Douglas odchrząknął, przestępując

niepewnie z nogi na nogę. Popatrzyłam na niego z lekkim zdziwieniem, dopóki nie przypomniałam sobie nagle o firmie.

- Boże, Douglas! Kompletnie zapomniałam o spotkaniu wspólników. Jak poszło? Sądząc po twojej minie było tak źle, jak się spodziewaliśmy.

- Gorzej.

- Usiądź i opowiedz mi wszystko po kolei.

- Michael McCabe domagał się przegłosowania wotum nieufności i zawieszenia cię w obowiązkach. Matthew Stuart wysunął propozycję, aby najpierw przeprowadzić wewnętrzne dochodzenie w tej sprawie, a Sheila Meredith poprosiła wszystkich o zachowanie spokoju.

- Głosowali?

- Tak. Osiem do sześciu przeciwko wnioskowi Michaela. Trzy osoby wstrzymały się od głosu.

O mały włos - jednak wynik świadczył o tym, że nie mogę się czuć spokojna.

- Kto głosował za wnioskiem, a kto się wstrzymał? Douglas wymienił nazwiska.

Decyzja Michaela McCabe i jego trzech popleczników nie była dla mnie zaskoczeniem, ale poparcie wniosku przez Jacka Jacksona i Georgea Carra już tak. Matthew Stuart, Daljit Nair i Hannah Buie wstrzymali się od głosu.

- Na czym w końcu stanęło? - zapytałam z niepokojem.

- Matthew ma z tobą porozmawiać, ale jest jeszcze coś. - Czekałam, co powie dalej, ale Douglas obejrzał się najpierw przez ramię, jakby ktoś mógł nas podsłuchać. - Michael powiedział, że powinni posunąć w końcu do przodu drugą sprawę. Dodał, że sytuacja jest naprawdę nagląca, a teraz nadarza się wspaniała okazja, żeby pozbyć się całego tego bałaganu i jednocześnie



zadbać o to, żeby wszyscy mieli czyste konto.

Poczułam dreszcz niepokoju.

- Co to za sprawa?

- Nie wiem. Michael kazał mi wyjść z sali.

W tym momencie Liz zawołała nas na kolację, więc przenieśliśmy się do jadalni. Kolacja była smaczna, ale zaprawiona niewypowiedzianymi myślami i lękami. Liz przypatrywała mi się uważnie, przez cały wieczór zachowywałam jednak kamienną twarz wytrawnego prawnika.

O dziesiątej wróciłam do siebie. Staralam się nie narobić hałasu przy otwieraniu drzwi, bo nie miałam ochoty na ostateczną rozgrywkę z cholernym Paulem. Bez szczególnego entuzjazmu rozpakowałam wszystkie zakupy, rozglądając się przy tym po kuchni i zastanawiając się, czy nie sprzedać tego mieszkania. Zniknęła atmosfera obietnicy i niezależności. Nagle stanął mi przed oczami obraz mnie samej, jako samotnej kobiety sukcesu, która za jedyne towarzystwo ma kota. Nienawidziłam analizowania swojego życia, bo to, co widziałam, niezbyt mi odpowiadało. Wynajdowałam sobie mnóstwo zajęć, byle tylko nie mieć już czasu na uważne przyglądanie się upływającej szybko egzystencji.

Oparłam czoło o stalowe drzwi lodówko-zamrażarki w amerykańskim stylu. Wspaniały i drogi sprzęt gospodarstwa domowego ze stali nierdzewnej to wszystko, co udało mi się zdobyć. Wyłączyłam umieszczone pod sufitem halogeny i powlokłam się do salonu.

Tak bardzo chciałabym teraz położyć głowę na kolanach matki, która pogładziłaby dłonią moje włosy, tak jak robiła, kiedy byłam małym dzieckiem. Chciałam usłyszeć, jak śpiewa mi kołysankę, albo przytulić twarz do mięciutkiego, gładkiego karku

Maksa i powdychać zapach jego dziecięcej skóry. Potrzebowałam pocieszenia.

Praca była jedyną sferą życia, która była w stanie pochłonąć mnie całkowicie, niezależnie od tego, co działo się dookoła. Zabrałam się więc do przeglądania akt zbliżających się spraw, aż wreszcie poczułam się trochę spokojniejsza. Przeciągnęłam się i ziewnęłam. Pora spać.

Poszłam włączyć alarm. Na podłodze zauważyłam kopertę, którą ktoś musiał wsunąć pod drzwi. Na pewno nie było jej tam, kiedy wróciłam do domu. Może to jakiś obraźliwy anonim? Zawahałam się na moment przed jej otwarciem.

*Droga Erin!*

*Wiem, że pewnie mi nie uwierzysz, ale to nie ja sprzedałam tę historię prasie. Zastanów się, kto jeszcze mógł wiedzieć o tym telefonie, a potem skontaktuj się z nadinspektorem Kelmanem i opowiedz mu o wszystkim. Bądź ostrożna i miej oczy szeroko otwarte. Jeśli będziesz potrzebowała mojej pomocy, to wiesz, gdzie mnie znaleźć.*

*Paul*

Wyszłam z mieszkania i przekręciwszy klucz w zamku, zastukałam do sąsiednich drzwi. Paul otworzył niemal natychmiast.

- Może wejdiesz? - popatrzył na kartkę, którą wciąż trzymałam w ręku. Skinęłam głową. - Napijesz się drinka? A może coś zjesz?

- Nie - odparłam, siadając na kanapie, dokładnie w tym samym miejscu, co poprzedniego wieczora. W końcu zebrałam się na odwagę. - Boję się siedzieć sama w moim mieszkaniu.

Paul usiadł koło mnie i popatrzył na mnie pytająco, ale ja

wiedziałam, że wystarczy tylko uchylić trochę drzwi, cały ten mrok popłynie szerokim strumieniem z mojej duszy, próbując wydostać się na światło dzienne.

Odwróciłam wzrok. Nie miałam ochoty rozmawiać o czymkolwiek.

- Mogę u ciebie przenocować?

- Jasne.

Paul odstąpił mi swoje łóżko, a sam przespał się na kanapie. Żadne z nas nie poruszało już tego tematu. Gdybym ubrała swoje obawy w słowa, mogłoby to wszystko jeszcze pogorszyć. Moje lęki mogłyby stać się rzeczywistością.

Gdzieś w pobliżu czaił się morderca, a ja zupełnie nieświadomie zdołałam chyba zwrócić na siebie jego uwagę.

Dziwne uczucie obudzić się w łóżku Paula. Poduszki i kołdra pachniały lekko nim samym i persilem. Było jeszcze wczesnie, w pół do siódmej, ale nie miałam już ochoty na sen. Wstałam i przemknęłam do salonu, mając nadzieję, że Paul jeszcze śpi.

Spośród płataniny prześcieradeł i koców wyłaniały się jego szerokie plecy, a jedna ręka zwisała z kanapy. Miał muskularne barki, pod skórą ramion wyraźnie rysowały się mięśnie, a ja poczułam się lekko zawstydzona tym, że w ogóle to zauważyłam. Zastanawiałam się, dlaczego Paul nie położył się spać w którymś z pokoi gościnnych.

Wróciłam do swojego mieszkania i popędziłam prosto pod prysznic, przygotowując się najlepiej jak potrafiłam do tego dnia, który zapowiadał się na prawdziwy czas próby. Skreśliłam parę słów do Paula, dziękując mu za życzliwość i wsunęłam kartkę pod drzwi jego mieszkania, a potem zjechałam windą na podziemny parking. Zamierzałam poruszać się po mieście wyłącznie samochodem, dopóki znowu nie poczuję się w miarę bezpiecznie.

Dotarłam do Paterson Building dobrze przed ósmą już w znacznie lepszym humorze. Nawet jeśli w innych dziedzinach życia nie radzę sobie zbyt dobrze, to nadal jestem świetną prawniczką.

Z zadowoleniem zauważyłam, że Douglas i Karen również zjawili się w firmie wcześniej. Wszyscy troje zabraliśmy się do pracy, jak gdyby nigdy nic. No, może byłam trochę bardziej przygaszona niż zwykle. Czekają mnie jeszcze spotkanie dotyczące ugody w sprawie Morris kontra Donald i poczułam się prawie tak, jakby to był zwyczajny poniedziałek.

Zajęta dokumentami dotyczącymi moich klientów, przez większość poranka nie wychodziłam z gabinetu, licząc na to, że spokojna obecność wystarczy, aby ukrócić wszelkie spekulacje na mój temat. Co chwila wpadał któryś ze wspólników, ale nikt nie wspominał nawet słowem o mojej sytuacji, a Matthew Stuart nie poprosił mnie jeszcze do siebie, żeby udzielić mi reprymendy.

Zamierzałam wyskoczyć do baru kanapkowego na Bath Street, żeby przegryźć coś przed spotkaniem w sprawie ugody. Zwykle posyłałam po kanapki kogoś z pracowników biura, ale ponieważ słońce wyjrzało w końcu zza chmur, uznałam, że spacer na świeżym powietrzu dobrze mi zrobi. Nie mogę wiecznie ukrywać się w swoim gabinecie. W końcu będę musiała się zmierzyć z ukradkowymi albo otwarcie zaciekawionymi spojrzeniami.

Wzięłam torebkę i już miałam wyjść, kiedy zadzwonił telefon. Pani Orman, dyrektorka przedszkola, do którego chodził Max, poprosiła, żebym przyjechała odebrać siostrzeńca, który „źle się poczuł”. Wyjaśniłam jej, że jestem zajęta i usłyszałam dość stanowczą odpowiedź, że niestety w domu rodziców nikt nie podnosi słuchawki.

Cholerna Bronte.

Dochodziła pierwsza. Dojazd do przedszkola zajmie mi jakieś dwadzieścia minut, na odebranie Maksa potrzebuję jakichś dziesięciu minut i kolejnych dwudziestu, żeby dotrzeć z

powrotem do biura na spotkanie w sprawie Morris kontra Donald. Zostawało jakieś dziesięć minut na wszelkie nieprzewidziane okoliczności.

- Karen, muszę odebrać Maksa. Rozchorował się. Może będę musiała cię prosić o opiekę nad nim. Aha, poproś Douglasa, żeby przygotował wszystko do spotkania w sprawie ugody Morris kontra Donald - warknęłam, pędząc w stronę windy.

Taka już była dola asystentki. Nie byłam zła na Karen, ale to na niej skrupił się mój nastrój. Z niechęcią skinęła mi głową, mrużąc przy tym pod nosem. Zazwyczaj przepraszałam ją za swoje niegrzeczne zachowanie, ale teraz byłam po prostu wściekła. Jak mam wykonywać swoją pracę i do tego służyć jako niania w nagłych przypadkach?

W drodze do przedszkola przeklinałam korki, powodowane przez idiotów, którzy jechali przez Kingston Bridge. Nie rozumiem, dlaczego rząd nie wybuduje w Glasgow jeszcze jednego mostu. Kingston Bridge to chyba najbardziej zatłoczony most w Europie. Skoro stać ich na wyrzucanie pieniędzy na Millennium Dome, to czemu nie zbudują mostu?

Zatrzymałam samochód przed bramą przedszkola i wbiegłam na strome wzgórze. Przeszłam obok budynku szkoły podstawowej, kierując się w stronę mieszczącej się na jego tyłach przybudówki. Inne przedszkolaki biegały właśnie po ogrodzonym placu zabaw. Gwar ich radosnych głosów sprawił, że na ułamek sekundy poczułam się podniesiona na duchu. Przy drzwiach wejściowych czekała już na mnie pani Orman. Na mój widok uśmiechnęła się z powagą.

- Opiekunka musi go jeszcze trochę umyć, panno Paterson.

- Co mu jest?

- Zdaje się, że to po prostu grypa żołądkowa. Biedny aniołek

wymiotował przez cały ranek - tłumaczyła dyrektorka, wyraźnie unikając mojego wzroku, ale uznałam, że to skutek ostatnich prasowych rewelacji na mój temat. - Czy mogłybyśmy zamienić parę słów na temat sytuacji, hm, domowej Maksa?

- Nie wiem, czy powinniśmy o tym rozmawiać. Jestem tylko ciotką Maksa, a nie jego matką.

Pani Orman miała zażenowaną minę.

- Panno Paterson, niepokoiśmy się trochę o dziecko - powiedziała w końcu.

- A to z jakiego powodu? - zapytałam, krzyżując obronnym ruchem ramiona na piersi. Sama mogłam wygadywać okropne rzeczy na temat Bronte, ale nie pozwolę na to obcym ludziom.

- Max często przychodzi do przedszkola bez drugiego śniadania - pani Orman zająknęła się. - Poza tym czasami jest niezbyt czysty.

Gwałtownie wciągnęłam powietrze. Moja matka nigdy nie pozwoliłaby na to, żeby Max wyszedł z domu brudny.

- Co chce pani przez to powiedzieć?

- To dla mnie bardzo trudne. Odnoszę wrażenie, że dzieje się tak wtedy, gdy matka pozostaje bez, jakby to ująć, nadzoru... - wyjaśniła pani Orman, rumieniąc się przy tym.

Serce zamarło mi na chwilę w piersi, a potem zaczęło walić jak oszalałe.

- Rozmawiała pani o tym z babcią Maksa?

- Tak, próbowaliśmy poruszyć z nią ten temat, ale zdaje się, że pani matka ma... ręce pełne roboty. Obawiam się, że jeśli sytuacja nie ulegnie zmianie, będziemy musieli zgłosić tę sprawę wyżej - dyrektorka popatrzyła mi prosto w oczy. Skinęłam głową. Wiedziałam, co ma na myśli.

- Zajmę się tym - powiedziałam cicho, bo jedna z

przedszkolankę właśnie przyprowadziła Maksa. Na widok jego bladej jak płótno buzi i cieni pod oczami poczułam ucisk w gardle. Miał brudne i zmięte ubranie.

Wzięłam go na ręce, a chłopiec owinął mnie nogami w pasie i zarzucił ramiona na szyję, ale nie odpowiedział jednak na powitanie. Poczulałam odór zaschniętych wymiocin.

- Dziękuję za opiekę nad Maksem i za to, że zwróciła mi pani uwagę na ten problem - pożegnałam się z panią Orman.

Kiedy schodziłam ze wzgórza, Max zwymiotował mi na ramię i plecy. Zrobiło mi się niedobrze. Zapach wymiocin zawsze tak na mnie działał. Zapakowałam go do samochodu, a potem zdjęłam wybrudzony żakiet i wrzuciłam go do bagażnika.

Przez całą drogę do domu rodziców, czyli przez jakąś minutę, paplałam uspokajająco. Kiedy skręciłam na podjazd, Max dziwnie zabulgotał i zwymiotował na swoje kolana. Nie znam się zbyt dobrze na dzieciach, ale na moje oko był bardzo chory. O skórzanej tapicerce samochodu starałam się nawet nie myśleć.

Wbiegłam po schodach i otworzyłam drzwi wejściowe, w myślach przeklinając Bronte za to, że nie włączyła alarmu. Wybiegłam z powrotem i podniosłam Maksa, rozmazując sobie jego wymiociny po bluzce i spodniach. Zaniiosłam go do łazienki na parterze, a potem stanęłam jeszcze na środku holu i krzyknęłam co sił w płucach „Bronte!, Bronte!”, choć wiedziałam, że i tak nie ma jej w domu. Zamorduję siostrzyczkę, kiedy w końcu dostanę ją w swoje ręce. Pobiegnęłam z powrotem do łazienki, ale na szczęście Max już nie wymiotował.

- Max, gdzie jest mamusia? - odezwałam się pieszczotliwie.

- Nie wiem. Nie przyszła po mnie w południe.

Byłam zdezorientowana. Do tej pory myślałam, że dyrektorce nie udało się skontaktować z moją siostrą, a teraz okazuje się, że



Bronte po prostu się nie pojawiła.

- To znaczy, że mamusia zawsze odbiera cię z przedszkola o tej porze?

- Uhm! Zawsze jak dzwonek dzwoni na lunch, wracamy do domu - powiedział Max drżącym głosem, a potem się rozplakał. - Chcę do mamusi!

- Już w porządku, kochanie, ciocia jest z tobą. Wszystko będzie dobrze - przytuliłam go i zaczęłam kołysać. - A teraz cię umyjemy i przebierzemy w czyste ubranko, dobrze?

Nalałam trochę wody do wanny i pomogłam malcowi zdjąć wybrudzone rzeczy. Potem zrzuciwszy swoje równie cuchnące spodnie i bluzkę, delikatnie namydliłam jego ciało i włosy. Buzia chłopca nabrała rumieńców, ale może to tylko dzięki kąpielom w ciepłej wodzie. W końcu owinęłam go w ogromny, puszysty ręcznik kąpielowy i zniosłam na górę. Wydawał się taki bezwładny i słaby. Założyłam mu czystą piżamę i już miałam go ułożyć w łóżeczku, kiedy przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

- A może chciałbyś się położyć w łóżku mamusi? - zapytałam, a Max odrobinę poweselał. - Dobrze. W takim razie umościemy ci przytulne gniazdko w łóżku mamy. Chyba zabieramy ze sobą Elmera, Trackera i Leoparda? Inaczej będą za tobą tęsknić.

Zniosłam go do pokoju Bronte i pociągnawszy ukradkiem nosem, żeby upewnić się, czy pościel jest w miarę czysta, ułożyłam w łóżku i otuliłam kołdrą aż po samą brodę.

- Chce ci się jeszcze wymiotować? - zapytałam szeptem, głaszcząc jego miękkie, wilgotne włosy.

- Troszeczkę - pisnął żałośnie.

- Nie martw się, wszystko będzie dobrze. A może spróbujesz zasnąć?

Max kiwnął głową i zamknął ogromne, błękitne oczy. Położyłam się obok niego, cały czas gładząc go uspokajająco. Leżeliśmy tak jakieś dziesięć minut, dopóki nie upewniłam się, że naprawdę zasnął.

Ostrożnie wstałam z łóżka i zeszłam cicho na dół. Gdzie do diabła podziewa się Bronte? Przeszukałam sekretarzyk w holu i kuchnię w poszukiwaniu jakiejś kartki z informacją, ale nigdzie nie znalazłam żadnych wskazówek, gdzie może teraz być moja siostra. Zdenerwowana do granic możliwości wyjęłam spod zlewu miskę do mycia naczyń, na wypadek gdyby Max miał jeszcze wymiotować. Mijając po raz kolejny stojący w holu zegar, rzuciłam okiem na jego tarczę i aż krzyknęłam. Dziesięć po drugiej! Byłam już spóźniona. Spóźniona, na wpół naga i z chorym dzieckiem pod opieką. Chwyciłam słuchawkę telefonu i zadzwoniłam do kancelarii.

- Gdzie pani jest? - dopytywała się rozgorączkowana Karen.

- Max bardzo się rozchorował. Nie mogę go teraz zostawić. Przyszli już?

- Tak - jęknęła Karen. - Byli pięć minut przed czasem.

- Kto się nimi teraz zajmuje?

- Douglas i Michael - Karen też najwyraźniej wie, co w trawie piszczy.

- Michael? Kurwa! - wysyczałam. - Możesz wywołać Douglasa? Powiedz mu, żeby przesunął spotkanie. Niech przełoży je na inny termin.

- Spróbuję - powiedziała Karen, choć w jej głosie nie słychać było optymizmu.

- Zadzwon do mnie pod ten numer - podałam jej telefon do domu rodziców. Kiedy odłożyłam słuchawkę, kątem oka zauważyłam swoje odbicie w lustrze. Ta udręczona kobieta,

która patrzyła teraz na mnie, to przecież nie mogłam być ja.

Zaniosłam miskę na górę i ustawiłam ją obok łóżka. Max smacznie spał, a ja zapragnęłam pójść w jego ślady. Cicho otworzyłam szafę Bronte, szukając czegoś, co mogłabym założyć. Najbardziej odpowiednie wydały mi się lniane spodnie i dopasowana zamszowa koszula.

Zabrałam ubranie i opłukałam się pod prysznicem w łazience na półpiętrze. Drzwi zostawiłam uchylone, żebym mogła usłyszeć, gdyby Max się obudził, zadzwonił telefon, albo Bronte znudziły się w końcu węgry. Z ulgą pozbyłam się ze skóry kwaśnego zapachu wymiocin. Za to samochód będę musiała oddać do czyszczenia.

Już umyta i ubrana, zastanawiałam się, co ze sobą zrobić. Zaczęłam niespokojnie krążyć po domu. Kilka razy podniosłam słuchawkę, upewniając się, że telefon nie jest zepsuty. Włączyłam telewizor, ale niemal natychmiast z powrotem go wyłączyłam. Nigdy nie przepadałam za amerykańskimi talk-shows. Boże, jaki człowiek przy zdrowych zmysłach ma ochotę opowiadać wszystkim dookoła, że przespał się z matką męża swojej siostry?

Zadzwoniłam do Marthy z nadzieją, że będzie się mogła zająć Maksem, ale nikt nie podnosił u niej słuchawki. W końcu wróciłam do kuchni i podgrzałam w rondelku trochę lemoniady, żeby pozbyć się bąbelków. Matka mówiła kiedyś, że lemoniada bez gazu jest dobra na odwodnienie. Przygotowałam jeszcze grzanki, które wycięłam w kształt żołnierzyków, z nadzieją, że Max zdoła je przełknąć razem z odrobiną lemoniady, kiedy już się obudzi. Nadal jednak nie miałam zielonego pojęcia, co zrobić z Bronte.

Jeśli panie w przedszkolu zauważyły, że Max nie ma

odpowiedniej opieki, to jak mogło to umknąć uwadze naszych rodziców? Z doświadczenia wiedziałam, że matka zajmowała się swoim wnukiem nawet wtedy, gdy Bronte była w domu. Siostra lubiła wylegiwać się rano w łóżku, więc zwykle to matka albo Martha odprowadzały chłopca do przedszkola.

Bronte to wredna egoistka. Jak może balować sobie gdzieś w mieście, kiedy biedny maluch jest chory? Rano musiała przecież zauważyć, że jej synek nie czuje się najlepiej. I gdzie ona się teraz, u diabła, podziewa?

Gniew kipiał we mnie, niczym te bąbelki w gorącej lemoniadzie. Byłam wściekła na Bronte, ale to nie zmieniało faktu, że nadal nie wiedziałam, co robić. Moja siostra nigdy mnie nie słuchała. Każda nasza rozmowa sprowadzała się w końcu do wylewania wzajemnych żalów i wyciągania jakichś starych przewin.

Byłam tak rozgniewana, że przez chwilę sama miałam ochotę zadzwonić do opieki społecznej, ale poczucie wstydu i niepokój powstrzymały mnie przed tym krokiem. A gdyby ci z opieki postanowili zabrać Maksa? Nie mogłabym z tym żyć. Miałam dosyć własnych problemów i bez zajmowania się całą masą kłopotów Bronte. Dzwonek telefonu oderwał mnie od tych gorzkich rozmyślań. Dzwonił Douglas.

- Boże, Douglas! Już myślałam, że nigdy się nie odezwiesz!

- Spotkanie dopiero się skończyło.

- Nie przełożyłeś go? - wrzasnęłam.

- Michael nie pozwolił mi tego zrobić... - Douglas zniżył głos do konspiracyjnego szeptu - ...nie poszło za dobrze.

- Co to znaczy? Przecież wszystko było już ustalone! Wystarczyło tylko podpisać i formalnie zakończyć całą sprawę - wysyczałam w odpowiedzi.

- Michael zażądał kolejnych dwudziestu tysięcy. Nie chcieli się zgodzić i sprawa ma trafić do sądu. Robiłem, co mogłem, ale Michael po prostu mnie zignorował. Pan Morris mruczał coś o złożeniu skargi do Izby Adwokackiej - powiedział Douglas łamiącym się głosem.

- Na Michaela? - a dobrze tak temu podstępnemu, wtrącającemu się we wszystko dupkowi.

- Nie. Na ciebie! Michael powiedział mi, że nie ma cię w pracy i że twoje skomplikowane życie osobiste ma niekorzystny wpływ na podejście do spraw klientów.

- Zabiję drania! Jak on śmie się w ogóle wtrącać i jeszcze rzucać na mnie oszczerstwa? - Po drugiej stronie zapadła cisza. - Douglas, jesteś tam jeszcze?

Douglas odchrząknął.

- Tak, pani... pani Murphy. Oczywiście powtórzę jej, że pani dzwoniła. Do widzenia.

Rozłączył się. Co się tam u diabła wyprawia? Chyba mam prawo rozmawiać ze swoim asystentem. Po co te tajemnice i ukradkowe telefony? Mój Boże, nie było mnie w firmie raptem dwie godziny i wszystko stanęło na głowie. Zupełnie jak w piątek.

Zadzwoiłam znowu do Karen, ale ktoś inny odebrał telefon. Rzuciłam słuchawkę i wystukałam bezpośredni numer do mojego gabinetu. Usłyszałam nagranie automatycznej sekretarki z informacją, że nie mogę teraz odebrać telefonu i prośbą o zostawienie wiadomości. Rozłączyłam się i usiadłam na najniższym stopniu schodów.

Za kwadrans czwarta i nadal ani śladu Bronte. Z determinacją zerwałam się na nogi i zadzwoniłam do Liz Miller. Tym razem miałam szczęście.

- Liz? Mówi Erin. Co się dzieje? - zapytałam bez ogródek.

- No, wreszcie dzwonisz! Cały czas próbuję się z tobą skontaktować. Od lunchu tyle się dzieje w firmie - spotkania i w ogóle. Gdzie ty się podziewasz?

- Jestem w domu rodziców. Mój siostrzeniec jest chory.

- To coś poważnego?

- Nie, chyba po prostu grypa żołądkowa. Czego dotyczą te wszystkie spotkania?

- Nie wiem. Nikt nic nie mówi. Wszystkie zaplanowane na dzisiaj sprawy zostały odwołane.

- Widziałaś się z Douglasem albo Karen?

- Nie. Michael zgarnął ich do sali posiedzeń jakieś dziesięć minut temu. Ja w tym czasie byłam na piątym piętrze i próbowałam cię znaleźć.

- Liz, nie przejmuj się tak. Jeśli chodzi o mnie, to tobie nic nie grozi, jasne? Zapisz ten numer i zadzwoń do mnie, jak tylko czegoś się dowiesz.

Wiedziałam, co się święci. Moi przeciwnicy próbują przeciągnąć na swoją stronę wspólników i pracowników biura. To może oznaczać dwie rzeczy: albo Michael chce przeforsować zawieszenie mnie w obowiązkach, albo planują rozwiązanie spółki.

Byłam pełna podziwu dla oportunisty Michaela. Dostrzegł swoją szansę i postanowił ją wykorzystać. Nie ma to, jak kopać leżącego.

- Ern! Ern! - z góry dobiegł mnie zachrypnięty głos Maksa.

- Już idę, kochanie - zawołałam, wracając do kuchni po tacę z jedzeniem.

Chłopiec siedział na łóżku, cały zaspany i zaróżowiony. Usiadłam obok i namówiłam go łagodnie do wypicia ciepłej lemoniady.

- Jak się czujesz, kotku? - dotknęłam jego czoła, sprawdzając, czy nie ma gorączki.

- Troszkę lepiej - Max ziewnął i ułożył się wygodniej pod kołdrą.

- Chcesz sobie jeszcze pospać?

- Nie. Przeczytasz mi bajkę? - popatrzył mi błagalnie w oczy, tak jakbym mogła mu odmówić. To mnie zaniepokoiło.

- Oczywiście. A którą byś chciał?

- O Kubusiu Puchatku i Tygrysku - rozpromienił się Max. Przyniosłam z jego pokoju wszystkie książeczki o Kubusiu Puchatku, jakie zdołałam znaleźć, a potem usiadłam obok niego na łóżku i podłożyłam sobie poduszkę pod plecy, obejmując go przy tym ramieniem. Kiedy czytałam tekst, Max oglądał obrazki. Zadawałam mu też kompletnie niedorzeczne pytania, w rodzaju: „Jakiego koloru jest Puchatek?” albo „Ile śladów łapek odbiło się na śniegu?”. Policzyliśmy je razem.

- Lubię książki - wyznał Max. - Ale nieraz nikt nie ma czasu, żeby mi je czytać.

Tego się właśnie obawiałam.

- Babcia mi czyta, ale nie umie udawać głosów, tak jak ty - uśmiechnął się do mnie. Cmoknęłam go w czubek jasnej główki.

- A więc całkiem nieźle czytam?

- Dlaczego nie lubisz Joy? - zapytał Max, siadając prosto.

- A kto to jest Joy? Chyba jej nie znam. Czy to jakaś dziewczynka z przedszkola?

Max przechylił głowę, przyglądając mi się uważnie.

- Bo mamusia mówi, że zabiłaś Joy<sup>[2]</sup>. Z trudem powstrzymałam śmiech.

- Oczywiście, że to nie nieprawda. Mamusia po prostu żartowała.

- To dobrze.

Przeczytaliśmy jeszcze dwie książeczki, a Max dokończył swoją lemoniadę. Na dworze zaczynało się już robić ciemno.

Powinnam być teraz w firmie, ale w głębi duszy wiedziałam, że decyzja już zapadła. Może to i dobrze. Czasem lepiej jest poddać jedną bitwę, żeby zachować siły do wojny. Wolałabym tylko, żeby któryś z moich przeciwników wykazał się odwagą i wystąpił przeciwko mnie otwarcie, zamiast czaić się gdzieś w cieniu.

Żołądek kurczył mi się z niepokoju, ale bałam się przyznać do tego przed samą sobą. Było już wpół do szóstej. Gdzie do diabła podziewa się Bronte? Miałam już tyle problemów na głowie, że nie wiedziałam od czego zacząć.

Max wstał z łóżka i zdołał nawet schrupać dwa pełnoziarniste herbatniki podczas oglądania kreskówek. Krążyłam po pokoju tam i z powrotem, czekając na telefon. Miałam ochotę zadzwonić do jednego z życzliwszych mi wspólników, ale teraz nie byłam już pewna, komu mogę zaufać. Może Matthew? Wybrałam jego bezpośredni numer, ale zgłosiła się tylko automatyczna sekretarka, więc rozłączyłam się, nie zostawiając żadnej wiadomości.

Byłam już w połowie drogi na górę, kiedy usłyszałam zatrzymujący się samochód. Rodzice mieszkali w przedostatnim domu stojącym w ślepej uliczce, więc miałam nadzieję, że to w końcu Bronte. Zbiegłam z powrotem po schodach i otworzyłam na oścież drzwi wejściowe, szykując się do wygarnięcia siostrzyczce paru słów prawdy, ale podjazdem szedł mężczyzna niosący dwie duże, białe koperty na dokumenty.

- Pani nazywa się Paterson? - zapytał grzecznie. - Tak.

- Może tu pani podpisać? - Przewrócił kartkę. - I jeszcze tu?



- Co to jest?

- Nie wiem - mężczyzna wzruszył ramionami i wręczył mi obie koperty. - Jestem tylko kurierem.

Obie koperty były z kancelarii - jedna zaadresowana do rodziców, druga do mnie. Przeczytałam swoje pismo i rzuciłam je na sekretarzyk w holu. Potem zaczęłam krążyć po domu, drżącymi rękami zapalając lampy i zaciągając zasłony. Nadciągał zimny październikowy wieczór. Pomyślałam, że jutro będzie lekki przymrozek. Czułam suchość w ustach, a serce waliło mi jak szalone. Za jednym zamachem zostałam bez chłopaka, napiętnowana jako wariatka, obsmarowana w prasie, wplątana w sprawę morderstwa i na dokładkę straciłam jeszcze firmę. Moją firmę. Moją.

Nie miałam pojęcia, jak powinnam zareagować w takiej sytuacji. Zawiodłam w tej jednej rzeczy, w której byłam naprawdę dobra. Przyzwyczyłam się już do swoich niepowodzeń w związkach z mężczyznami czy kontaktach z rodzeństwem, a nawet do tego, że marna ze mnie dekoratorka wnętrz, ale to? To było dla mnie coś zupełnie nowego.

Straciłam kancelarię Paterson, Paterson & Co., firmę należącą do mojego dziadka, a potem do ojca. Moją firmę. Oczywiście takie rozwiązanie spółki było najzupełniej zgodne z prawem. Młodsze firmy stosowały już w swoich umowach specjalne klauzule pozwalające wyrzucić wspólnika, który nie wywiązywał się ze swoich obowiązków, ale nasza kancelaria powstała dawno temu i była raczej staroświecka.

Jedynym sposobem pozbycia się jakiegoś niechcianego wspólnika ze swojego grona było rozwiązanie spółki. Wtedy ci ze wspólników, którzy mieli na to ochotę, mogli się porozumieć i zawiązać nową spółkę, oczywiście z wykluczeniem osób, które

popadły w niełaskę.

Wiązało się to ze sporymi kosztami, ale i tak było znacznie mniejszymi od sumy, którą trzeba by zapłacić za wykupienie udziałów niechcianego wspólnika. Mój biedny ojciec. Nawet jeśli pozostawał wspólnikiem naszej kancelarii tylko z nazwy, nadal otrzymywał swoją część zysków.

- Boże! - usiadłam na schodach, próbując złapać oddech. Co ojciec na to powie? A matka? Oboje wpadną pewnie w szal. I co ja im powiem? „Przepraszam, ale kiedy was nie było, przez przypadek straciłam rodzinną firmę?”

Pod powiekami poczułam piekące łzy. Nie mogłam uwierzyć w to, co się wydarzyło. Brałam co prawda pod uwagę, że mogą zawiesić mnie w obowiązkach, ale to był druzgocący cios.

- Ern? Co się stało? - ze szczytu schodów dobiegł mnie głosik Maksa.

Odetchnęłam głęboko i przywołałam na usta beztroski uśmiech.

- Nic takiego, kotku. Po prostu dostałam złe wiadomości z pracy, to wszystko. Nie masz się czym martwić. Chciałbyś jeszcze coś do jedzenia?

Zszedł do mnie po schodach, ciągnąc za sobą poły szlafroka.

- Nie. A dlaczego mamusia nie pracuje?

Ujęłam w swoją dłoń jego małą rozpaloną rączkę, mruczając pod nosem „Bóg raczy wiedzieć”.

Teraz było już jasne, dlaczego nikt do mnie nie zadzwonił. Przede wszystkim musieli myśleć o swoich rodzinach i ratach za dom. Dołączą po prostu do zwycięzców. Któż mógłby ich za to winić? Wiedziałam, co powinnam teraz zrobić, ale byłam przerażona. Otworzyłam butelkę wina i wypiliśmy duszkiem dwa kieliszki.

Max oglądał jeszcze przez jakiś czas kreskówki, ale wkrótce zaczął ziewać obok mnie na kanapie.

- Pora do łóżka, śpiochu.

- Mogę spać z tobą? - zapytał, kiedy niosłam go na górę.

- Jasne, jeśli tylko chcesz.

Przynajmniej jedna osoba mnie kocha, pomyślałam ze smutkiem. Ułożyłam chłopca w swoim łóżku i otuliłam kołdrą, zostawiając zapaloną lampkę nocną.

- Przeczytasz mi jeszcze jedną bajkę? - poprosił.

- Dobrze, ale tylko jedną.

Chętnie odsunęłam w czasie to, co nieuniknione.

Przeczytaliśmy historyjkę o Kipperze, przemiłym psiaku podobnym do basseta, który zachowywał się jak dziecko. Ucałowałam siostrzeńca na dobranoc i przygotowałam się duchowo do czekającego mnie niezbyt miłego zadania.

Zabrałam telefon do jadalni i przysunęłam sobie krzesło do stołu, przy którym zasiadaliśmy tyle razy do rodzinnych posiłków, świątecznych obiadów i wigilijnych kolacji. Było w tym coś dziwnie stosownego, że właśnie stąd przekażę rodzicom tę złą, doniosłą wiadomość.

Upiłam jeszcze łyk wina, żeby uspokoić trochę nerwy, a potem wybrałam numer do ich wiejskiego domku w Crail. Zawsze sobie z tego żartowaliśmy, bo tak naprawdę domek był ogromnym budynkiem, położonym w modnej wiosce rybackiej. Telefon odebrała matka.

- Mamo, to ja, Erin - wydusiłam.

- Ach - padła lakoniczna odpowiedź.

- Mogę porozmawiać z tatą? - postanowiłam najpierw powiedzieć o wszystkim ojcu, zanim matka wpadnie w histerię i zacznie krzyczeć.

- Ojciec odpoczywa.

- Więc może przerwij mu wypoczynek. Muszę z nim porozmawiać.

- Wszystko, co masz do powiedzenia ojcu, możesz powiedzieć też mnie!

Ależ ona jest upierdliwa.

- Mamo, to bardzo ważne. Proszę, daj mi do telefonu tatę.

- Nie - powiedziała i po prostu się rozłączyła.

Popatrzyłam na buczącą słuchawkę. To nie do wiary. Przez nią w ogóle zapomniałam o drugiej sprawie. Wcisnęłam guzik ponownego wybierania numeru. Matka odebrała natychmiast.

- Gdzie jest Bronte? - zapytałam nie znoszącym sprzeciwu tonem.

- Zostaw Bronte w spokoju! To nie ma z nią nic wspólnego. Nie wciągaj jej w to wszystko.

Odsunęłam słuchawkę od ucha i pomyślałam z żalem, że moje życie legło w gruzach, a na dokładkę matka w końcu popadła w starczą demencję.

- Jezu Chryste, mamo! Gdzie ona jest? Nigdzie nie mogę jej znaleźć!

- Twoja siostra jest z Maxwellem w domu - odwrzasnęła mi matka.

- Nie, na pewno nie ma jej w domu - powiedziałam bardzo spokojnie - bo to ja siedzę tu z Makssem. Spędziłam z nim cały dzień, a jej nadal nie ma.

- W takim razie gdzie ona jest?

- Nie wiem! I właśnie dlatego do ciebie dzwonię. Nie mogę tu wiecznie siedzieć.

- Kiedy wyjeżdżaliśmy, Bronte była w domu.

- Najwyraźniej. Ale teraz jej tu nie ma. Masz jakiś pomysł,

gdzie się może podziewać?

- Nie. Sprawdź w tym barze.

- Twoje rady na niewiele się zdadzą. Jak mogę „sprawdzić w tym barze”, skoro siedzę w domu z Makssem?

- Zadzwoń tam. Numer masz w notesie, znajdziesz go w szufladzie sekretarzyka w holu.

- Mamo, nie wydaje ci się dziwne, że Bronte nie odebrała go z przedszkola i po prostu oczekiwała, że ja to zrobię?

- Przecież jesteś jego ciotką.

- Nie o to chodzi. A gdyby coś mi się stało? Co by wtedy zrobiła?

Nie wiedziałam, czy matka celowo udaje tępą, czy rzeczywiście nie dostrzega problemu.

- Pewnie zapomniała, że wyjechaliśmy na cały tydzień - odparła niecierpliwie.

- Rozumiem. A więc to dla niej zupełnie normalne zniknąć tak bez słowa i nikogo to nie martwi?

- Oczywiście, że się martwimy. Jak śmiesz insynuować, że nic nas to nie obchodzi!

- Niczego nie insynuuję. Ale z tego, co wiemy, równie dobrze mogła zostać zamordowana! - Serce zabiło mi mocniej. - Muszę już kończyć. Max się obudził - skłamałam.

- W takim razie dobranoc! - matka znowu trzasnęła słuchawką.

Oparłam głowę o stół, na chwilę przymykając oczy. Byłam u kresu wytrzymałości nerwowej. Widmo depresji już czaiło się gdzieś w mroku. Do tej pory nosiłam w torebce środki uspokajające i antydepresyjne, chociaż od dwóch lat nie zażywałam ich. Ale teraz bardzo mnie kusilo, żeby to zrobić.

Wiedziałam, że muszę być metodyczna w swoich

poszukiwaniach, poszłam więc do holu i wyciągnęłam z szuflady notes. Numer do baru The Granary zapisany był na wewnętrznej stronie okładki pod imieniem Bronte. Znalazłam tam całą listę lokali i przyjaciół mojej siostry, zadzwoniłam więc wszędzie, zastanawiając się przy tym, jak często moja matka robiła to samo. Za każdym razem miałam nadzieję, że gdzieś w tle usłyszę ironiczny głos Bronte, ale się przeliczyłam.

Weszłam na górę i zaczęłam przeszukiwać jej pokój, licząc na to, że znajdę jakąś informację dotyczącą jakiegoś miejsca czy znajomego, o którym nie wiedzieli rodzice, ale sypialnia Bronte pełna była najrozmaitszych śmieci. Ulotki nocnych klubów, pudełka zapalek, czasopisma i szmirowate powieści. Może Bronte jest adoptowana? Marzenie ściętej głowy. Zajrzałam jeszcze do małego i zeszłam z powrotem na dół, żeby zadzwonić na miejscowy posterunek.

- Govan Police - usłyszałam męski głos.
- Chciałabym zgłosić zaginięcie mojej siostry.
- Proszę chwileczkę poczekać. Łączę.
- Sierżant Chambers przy telefonie.
- Chciałabym zgłosić zaginięcie mojej siostry - powtórzyłam.
- Wiek zaginionej? - zapytał policjant lekko znudzonym głosem.
- Dwadzieścia osiem lat.
- Kiedy zginęła?
- Zginęła tylko *jedna* osoba. Moja siostra. - powiedziałam zniecierpliwionym tonem. - Nie ma jej od dziewiątej rano, o ile mi wiadomo.
- Osoby dorosłe uznaje się za zaginione dopiero po upływie dwudziestu czterech godzin - odparł policjant.
- Moja siostra ma małego synka. Nie pojawiła się dzisiaj w

przedszkolu, żeby go odebrać. Ona *naprawdę* zaginęła.

Czułam jak zimne palce strachu ściskają mi serce. Czy byłam jedyną osobą, która miała złe przeczucia? A może innym ludziom życie płynęło gładko, bez żadnych obaw i lęków?

- Jak się nazywa? - zapytał z westchnieniem policjant.

- Bronte Paterson.

- Czy sprawdziła pani u wszystkich przyjaciół i w miejscach, w których zwykle bywa pani siostra?

- Tak.

- Adres zamieszkania? Podałam mu adres rodziców.

- W porządku, mam już wszystkie niezbędne informacje. Jeśli siostra nie pojawi się do jutra, do dziewiątej, proszę do nas zadzwonić.

- *Słucham?*

- Proszę zatelefonować do nas ponownie, jeśli siostra nie skontaktuje się z panią do dziewiątej jutro rano.

- To wszystko, co zamierzacie zrobić?

- Tak, proszę pani. Pani siostra zostanie uznana za zaginioną po upływie dwudziestu czterech godzin.

- Sierżancie Chambers. Nazywam się Erin Paterson. Moja siostra zaginęła, a ja chciałabym porozmawiać z pańskim zwierzchnikiem.

- Rozumiem, że się pani niepokoi, ale pani siostra może zostać uznana za zaginioną dopiero po upływie dwudziestu czterech godzin i rozmowa z samym komendantem tego nie zmieni. Dziękuję za telefon. Pani siostra z pewnością wkrótce się zjawi.

- Jeśli moja siostra się nie „zjawi”, sierżancie, to może być pan pewien, że wspomnę komu trzeba o pańskiej nieocenionej pomocy - po tych słowach rzuciłam słuchawkę, zupełnie jak moja matka.

Cholerni policjanci. Nie tracili czasu, kiedy chodziło o aresztowanie mnie za lekkie poturbowanie tego drania Aleksa. Skoczyłam na równe nogi i popędziłam do kuchni po swoją torebkę. Z wizytówką sierżanta Marshalla w ręku szybko wróciłam do jadalni. Nie zastałam go na posterunku, więc zadzwoniłam na komórkę.

- Cześć, Erin. Co nowego? - chyba naprawdę ucieszył go mój telefon.

- Chodzi o moją siostrę, Bronte. Przepadła. To znaczy, zaginęła. Próbowałam to zgłosić miejscowej policji, ale nie chcieli się tym zająć - głos zadrżał mi żałośnie.

- Rozumiem - Marshall przybrał bardziej oficjalny ton. - Jak długo jej nie ma?

- Chyba mniej więcej od dziewiątej rano. Nie przyszła po swojego synka do przedszkola. Martwię się o nią.

Naprawdę się niepokoiłam. Bronte była nieobliczalna, ale nawet jej niefrasobliwość miała swoje granice.

- Właśnie kończę służbę. Może przyjadę do ciebie?

- Tak, byłoby świetnie. Może trzeba wydać za nią list gończy albo coś takiego?

Usłyszałam jego stłumiony śmiech.

- To nie Ameryka, proszę pani.

- Jasne, wiem. Ale co innego mogę zrobić? - próbowałam zachować spokój, choć miałam ochotę wrzasnąć na niego, żeby się nie śmiał, bo sprawa jest naprawdę poważna. Marshall musiał jednak wychwycić gniew w moim głosie.

- Będę za chwilę. Razem zastanowimy się, co robić. Czekaj spokojnie i przestań się zamartwiać. Znajdziemy ją.

Zacząłam krążyć po domu, zastanawiając się nad przeznaczeniem. Całe życie starałam się być dobrym



człowiekiem. Może niezbyt miłym, ale dobrym. Nie sypiałam z kim popadnie, nie brałam żadnych narkotyków i zawsze dobrze traktowałam zwierzęta i dzieci. Mniej więcej. Czy to się nie liczy?

Przekonywałam samą siebie, że Bronte pewnie zjawi się o jakieś nieludzkiej porze, zalana w trupa, a ja wyjdę na przewrażliwioną idiotkę, ale na niewiele się to zdało. Miałam wrażenie, że w jakiś sposób spowodowałam całą tę sytuację, że to moja wina.

Weszłam do salonu i usiadłam przy fortepianie. Przez wszystkie szkolne lata grywałam na pianinie, ale jak orzekła matka, nigdy nie byłam w tym zbyt dobra.

Za to Leland grał naprawdę pięknie. Zawsze zazdrościłam mu tego daru. Mój brat był utalentowanym pianistą, ale nie potrafił poradzić sobie z życiem. Biedny Leland, swoim samobójstwem zaprzepaścił tyle wspaniałych możliwości.

Przejrzałam nuty matki i znalazłam *Preludium B-dur* Chopina. Przeczytałam je dwa razy, zanim zaczęłam grać. Pierwsze wykonanie było marne, ale już za drugim razem poszło mi całkiem nieźle, co dodało mi otuchy.

Zagrałam melodię jeszcze kilka razy i w końcu poczułam się trochę lepiej. Nie miałam pracy ani ukochanego, ale byłam wolna. Bez żadnym zobowiązań, poza tymi, które sama na siebie przyjmę. Miałam teraz szansę się zrehabilitować. Na samą myśl o tym przeszył mnie dreszcz.

Jestem osobą pragmatyczną. Rzadko potrafię się cieszyć jakąś chwilą, bo już zamartwiam się tym, co będzie dalej. Nie usłyszałam dzwonka do drzwi, więc kiedy sierżant Marshall zastukał do okna salonu, o mało nie wyskoczyłam ze skóry ze strachu.

- Podczas pożaru Rzymu Neron też grał - zauważył, gdy

wpuściłam go środka. Zaczerwieniłam się.

- Napijesz się kawy? - zaproponowałam uprzejmie. Marshall zsunął z ramion płaszcz od Crombiego. Nietypowy strój, jak na policjanta, pomyślałam.

- Poproszę o coś mocniejszego. To był naprawdę długi dyżur. Mogę dostać whisky?

Podeszłam do barku i nalałam mu laphroaiga.

- Wody? Lodu? - zapytałam, unosząc do góry szklanę z bursztynowym płynem.

- Poproszę bez niczego - dotknął palcami klawiszy. - Piękna melodia. Co to było?

- Chopin. Grasz na fortepianie?

- Nie bardzo. Interesuję się raczej sportem, ale potrafię docenić piękno. W każdej formie.

Wręczyłam mu ciężką szklanę z kryształu. Może się myliłam, ale miałam wrażenie, że podobam się sierżantowi Marshallowi.

- A teraz powiedz, jak mogę pomóc? - zapytał, siadając na kanapie.

Podeszłam z powrotem do barku i nalałam sobie wody mineralnej. Pomyślałam, że sierżant Marshall wygląda wyjątkowo świeżo, jak na kogoś, kto właśnie zszedł z dyżuru. Posunęłabym się nawet do stwierdzenia, że sprawia wrażenie, jakby dopiero co się ogolił i wziął prysznic.

- Bronte jest trochę nieodpowiedzialna, ale teraz to co innego. Poza tym mam jakieś złe przeczucie.

- Często kierujesz się intuicją?

Zamyśliłam się. Jeśli miałam być absolutnie szczerą, intuicja nie odgrywała w moim życiu zbyt dużej roli. Korzystałam z niej przy prowadzeniu negocjacji i ocenianiu ludzi, ale nie zastanawiałam się nad doborem koloru bielizny, która miałaby

mi przynieść szczęście.

- Czasami.

- A sprawdziłaś we wszystkich miejscach, które lubi odwiedzać siostra?

- Tak.

- Dzwoniłaś do szpitali?

- Nie pomyślałam o tym.

W jakiś zadziwiający sposób to pytanie przyniosło mi ulgę. Może Bronte miała wypadek albo potrącił ją samochód. Mogła być po prostu ranna.

- W takim razie sprawdzimy najpierw tę możliwość - Marshall wskazał ręką w stronę drzwi. Przeszłam do jadalni i otworzyłam książkę telefoniczną na stronie „Szpitale”, ale sierżant uśmiechnął się do mnie i potrząsnął głową. Potem podniósł słuchawkę i wybrał jakiś numer.

Rozmowa była krótka. Marshall polecił komuś sprawdzić we wszystkich szpitalach w Glasgow, czy nie przywieziono tam Bronte Paterson, a jeśli nie będzie pacjentki o takim nazwisku, zapytać o kobiety, których tożsamości nie zdołano ustalić. Podałam mu wiek Bronte i opisałam jak wygląda, a on przekazał te informacje swojemu rozmówcy. Potem poprosił, żeby oddzwoniono na jego komórkę. Byłam pełna podziwu, że tak wspaniale panuje nad sytuacją.

- Co teraz? - zapytałam.

- Poczekamy, zobaczymy - Marshall wzruszył ramionami.

- A jeśli dopadł ją seryjny morderca? - wyrwało mi się.

- Co za seryjny morderca?

Co prawda Paul prosił mnie o dyskrecję, ale tu chodziło przecież o Bronte. O moją siostrę.

- Wiem o Abigail Dawes. Wiem, co jej zrobił. A teraz Lucy

Grant... Boję się, że... - nie potrafiłam powiedzieć tego głośno.

Wpatrywałam się w solidny mahoniowy stół, modląc się w duchu. Błagam cię, Boże, nie pozwól mu skrzywdzić Bronte. Błagam.

- Chodź, musisz usiąść - Marshall ujął mnie delikatnie za rękę i poprowadził w stronę salonu. Rzuciłam okiem na jego palec serdeczny, ale nie zauważyłam na nim obrączki. - Masz za dużo zmartwień - dodał, siadając obok mnie na kanapie i odgarniając włosy z mojego ramienia.

Nie wiedziałam, jak zareagować, ale na mojej twarzy na pewno odbił się niepokój. Marshall był fajnym facetem, ale miałam na głowie znacznie pilniejsze sprawy - na przykład zaginięcie siostry.

- Przepraszam, nie chciałem wprawić cię w zakłopotanie - powiedział, odchylając się do tyłu.

- Nie, to nie tak. Tak bardzo martwię się o Bronte, że nie jestem w stanie myśleć o niczym innym.

- Przepraszam. To było bardzo niestosowne.

- Nie, naprawdę. Po prostu jestem okropnie zdenerwowana. Naprawdę jestem ci wdzięczna, że przyjechałeś.

Marshall pociągnął łyk whisky i zapatrzył się przed siebie.

- Co wiesz o Abigail?

- Tylko tyle, że została zamordowana, a morderca odciął jej palec.

- A co wiesz o Lucy? - zapytał nadal wpatrując się gdzieś w przestrzeń.

- Nic, poza tym, że została zamordowana.

- Więc dlaczego sądzisz, że to seryjny morderca? - Marshall starał się mówić niedbałym tonem, ale kwestia wydawała się zbyt dobrze przećwiczona.

- Tak tylko pomyślałam, że... skoro obie były młode i atrakcyjne, to mógł być ten sam facet...

- I z powodu tego telefonu do ciebie uznałaś, że Bronte może być teraz jego celem? Ale przecież zdarzało się jej już wcześniej zniknąć na dłużej, prawda?

Jego słowa uświadomiły mi, że dla kogoś z zewnątrz moje obawy naprawdę mogą wydawać się przesadą.

- Tak - przyznałam, zastanawiając się jednocześnie, skąd o tym wie. Już miałam zadać mu to pytanie, kiedy zadzwoniła jego komórka.

- Sierżant Marshall przy telefonie... - powiedział, a potem uważnie wysłuchał swojego rozmówcy, co jakiś czas mrucząc tylko „Uhm” i „Tak, rozumiem”. W końcu wyłączył komórkę i odwrócił się w moją stronę. Żołądek podszedł mi do gardła.

- Mam dobre wiadomości - powiedział, choć wcale nie wyglądał na uszczęśliwionego. - Znaleźliśmy twoją siostrę. Jest w Victoria Infirmary.

- O mój Boże - jęknęłam. - Jak się czuje? Co się stało? Marshall odetchnął głęboko.

- Została znaleziona w bocznej uliczce odchodzącej od Pollokshaws Road. Nie miała przy sobie dokumentów. Wygląda na to, że przedawkowała narkotyki. Odniosła też jakieś drobne obrażenia, ale nic nie zagraża jej życiu.

Zerwałam się na równe nogi.

- Chcesz teraz jechać do niej? - zapytał spokojnie.

- Oczywiście. Tylko nie mam z kim zostawić Maksa.

- Mogę z nim zostać - zaproponował, delikatnie ujmując moją bezwładną dłoń.

- Dziękuję, ale jeśli się obudzi, będzie się bał.

W mojej głowie kłębiły się setki myśli. Bronte, narkotyki, Max.

Próbowałam skupić się na wszystkim jednocześnie i w rezultacie nie byłam w stanie myśleć jasno.

- Twoja siostra jest teraz pod dobrą opieką. Może poczekaś z tym do rana? Jej stan jest stabilny. Nawet jeśli tam teraz pojedziesz i tak nie będziesz jej w stanie pomóc - delikatnie uściskałam moją dłoń. - Erin, proszę cię, usiądź. Nie możesz być przez cały czas odpowiedzialna za wszystkich. Choć raz pozwól, by ktoś inny wziął na siebie ten ciężar. Nie możesz się winić za cudze błędy.

W medycznych raportach ciągle czytałam o kimś, kto doznał szoku. Czy to jest właśnie szok, kiedy nie można pozbierać myśli?

W każdym razie sierżant Marshall się mylił. Rzadko brałam na siebie winę za postępowanie innych. Zawsze uważałam, że każdy ponosi odpowiedzialność za swoje czyny.

- Mogę ci pomóc. Wiem, jak to jest. Po prostu wyrzucić to z siebie. Na pewno ci ulży.

- Jest mi po prostu smutno, że nie wiedziałam, co dręczy Bronte. Co teraz będzie?

- Pewnie zajmie się tym opieka społeczna.

- A nie można by trzymać ich od tego z daleka? - w głowie miałam gonitwę myśli.

- Wątpię. W końcu w grę wchodzi dobro dziecka.

- A gdybym została jego prawnym opiekunem?

- Bronte musiałaby zostać uznana za niezdolną do sprawowania nad nim opieki - Marshall dokończył swojego drinka.

- Mogłabym ją umieścić w szpitalu psychiatrycznym?

- A jeśli przedawkowała tylko przez przypadek? - Marshall wyglądał na zaskoczony moim pomysłem.

- Wiem. Ale najważniejszy jest teraz Max. Muszę się nim

zaopiekować.

- A nie chcesz się najpierw dowiedzieć, co się stało, zanim wydasz na nią wyrok? - zapytał pogardliwie.

- Bronte zażywa narkotyki. Nie ma znaczenia, czy przedawkowała celowo, czy nie. Muszę chronić dziecko.

- Zrobiłabyś coś takiego swojej siostrze, zamiast po prostu namówić ją na terapię?

- Postaram się umieścić ją na odwyku - odparłam. - Ale najpierw zadbam o bezpieczeństwo Maksa.

Marshall popatrzył na mnie nieufnym, pełnym zdumienia wzrokiem. Widziałam już to spojrzenie w oczach wielu mężczyzn, którzy właśnie odkryli moje prawdziwe oblicze i bardzo nie spodobało im się to, co zobaczyli.

- Czasem jesteś naprawdę bezwzględna - powiedział w końcu.

- Muszę taka być. Bronte sama jest sobie winna.

- A nie chodzi tu raczej o to, żeby się na niej zemścić? - zapytał podstępnie.

Rzuciłam mu gniewne spojrzenie. Jak próbę chronienia Maksa można uznać za mściwość?

- Dziękuję za pomoc, ale teraz wolałabym jednak zostać sama.

Marshall poderwał się natychmiast i ruszył w stronę drzwi.

- Jesteś zła, bo się z tobą nie zgadzam?

- Mam teraz większe zmartwienia.

- Nie rozumiem cię - dodał jeszcze przed wyjściem.

- Jak większość ludzi - odparłam i zamknęłam drzwi.

Potem wróciłam do jadalni, żeby odszukać numer domowy do Susie Newfield, zajmującej się w naszej kancelarii prawem rodzinnym. Wystukałam pierwsze cztery cyfry, zanim uświadomiłam sobie, że Susie nie jest już przecież moją współpracowniczką, bo firma przestała istnieć. Cholera. Odłożyłam

słuchawkę, zastanawiając się, co robić dalej.

Powinnam zadzwonić do matki i zdenerwować ją jeszcze bardziej, czy raczej spróbować załatwić całą sprawę na własną rękę? Zazwyczaj stosowałam to drugie rozwiązanie.

Moje życie skomplikowało się tak bardzo, że przestałam się nawet zamartwiać tym seryjnym mordercą. Mimo wszystko sprawdziłam jednak wszystkie drzwi, włączyłam alarm i dopiero wtedy poszłam na górę do łóżka.

Max poruszył się lekko, kiedy wsunęłam się pod kołdrę obok niego. Poczułam żal, że nie jest moim dzieckiem i ta myśl mnie przestraszyła.

A jeśli Marshall miał rację? Może naprawdę chciałam ukraść Bronte tę jedyną rzecz, którą ona miała, a której mnie nie udało się zdobyć?

Mogę założyć własną kancelarię i nadal wspierać rodziców, znaleźć Bronte jakąś klinikę leczenia uzależnień, sprzedać swój apartament i przeprowadzić się gdzie indziej. Naprawię swoją zszarganą reputację, znajdę sobie chłopaka, może wyjdę nawet za mąż i urodzę dziecko. Mogę zrobić wszystko, czego tylko zapragnę, bo jestem inteligentna, atrakcyjna i pracowita.

Leżałam, nieruchomym wzrokiem wpatrując się w sufit.

Nie zdołałam przekonać nawet samej siebie.

---

[2] Zwrot „to be a killjoy” (czyli dosłownie 'zabijać radość') oznacza osobę, która psuje każdą zabawę, (przyp. tłum.)



Następnego dnia okazało się, że smród w moim samochodzie jest nie do zniesienia, więc poszliśmy z Maksymem do przedszkola pieszo, licząc po drodze wiewiórki (dwie), gołębie (siedem) i sroki (dziesięć).

Odprowaǳiłam go do sali i zamieniłam kilka słów z panią Orman, tłumacząc jej, że Bronte nie czuje się dobrze. Nie wdawałam się w szczegóły, a ona na szczęście o nic mnie nie wypytywała.

Potem pojechałam do myjni Sterlinga, otwierając przedtem wszystkie okna i szyberdach. Kompleksowe czyszczenie trwało pół godziny, ale w samochodzie nadal unosił się lekki zapaszek wymiocin. Facet z obsługi zapytał mnie, czy chcę zatrzymać gazety, ale kazałam je wyrzucić.

Pojechałam do swojego mieszkania, gdzie spakowałam do walizki trochę rzeczy. Podejrzewałam, że będę musiała zostać z małym przez cały tydzień. Miałam ogromną ochotę porozmawiać z Paulem i przekazać mu najświeższe nowiny o kolejnej porażce w moim życiu, ale nie byłam pewna, czy w ogóle go to zainteresuje.

Przez kilka minut stałam na korytarzu, licząc na to, że może będzie gdzieś wychodził i uda mi się wpaść na niego niby przypadkiem. W końcu zdecydowałam się zostawić mu kartkę z

informacją, że mój siostrzeniec jest chory i muszę przenieść się na jakiś czas do domu rodziców. Dopisałam numer ich telefonu i wsunęłam karteczkę pod drzwi.

Wiedziałam, że muszę sprawdzić, jak przedstawia się sytuacja kancelarii Paterson, Paterson & Co., która właśnie przechodziła do historii, ale Bronte była ważniejsza. Firma, podobnie jak moje życie, już się rozpadła, więc krótka zwłoka nic tu nie zmieni. Pewnie do tej pory zdążyli nawet uprzątnąć moje biurko. Kartonowe pudła, w których upchnęli całą moją karierę, mogę odebrać później.

Nie byłam pewna, na którym oddziale szpitala leży Bronte, ale na izbie przyjęć skierowano mnie do sali 2B. Wspinałam się mozolnie po rozpadających się schodach, pełna współczucia dla ludzi, którzy znaleźli się w tym miejscu.

Stałam w drzwiach sali i popatrzyłam na swoją siostrę. Wyglądała okropnie. Zamiast burzy blond loków, miała teraz na głowie jakieś kępki krótko wystrzyżonych włosów. Zastanawiałam się, czy była to jakaś forma samookaleczenia. Bronte miała podłączoną kroplówkę i chyba spała.

Usiadłam na twardym plastikowym krześle koło jej łóżka. Nie mogłam sobie darować, że nie przyniosłam jakichś kwiatów czy owoców. Chyba naprawdę jestem bez serca.

Siedziałam tak przez kilka minut, rozglądając się po sali z dwoma rzędami po sześć łóżek. Niemal wszystkie były zajęte, głównie przez starsze kobiety.

- Masz na sobie moje ciuchy - wychrypiała Bronte. Ujęłam jej dłoń z uśmiechem.

- Max zwymiotował na mój kostium. Jesteś mi winna za pralnię chemiczną.

- Gdzie on jest? - głos nadal miała zachrypnięty, a jej oddech

cuchnął jak przejrzały stilton.

- W przedszkolu. Czuje się już dobrze i przesyła ci całuski.

- Wie, że tu jestem? - zapytała z niepokojem Bronte.

- Nie. Powiedziałaś mu, że źle się poczułaś i musiałaś iść do lekarza.

Łzy napłynęły Bronte do oczu, a potem stoczyły się po pokrytych plamami policzkach. Pogładziłam jej wilgotne czoło, próbując ją trochę pocieszyć.

- Lekarze mówią, że przedawkowałam kokę, ale... ja nawet jej nie tknęłam.

- Wszystko będzie dobrze. Załatwię ci leczenie odwykowe.

- Ale to nieprawda! - Przypomniała mi się wyczytana gdzieś informacja, że narkomani nigdy nie chcą się przyznać do swojego nałogu, jednak Bronte popatrzyła mi z przekonaniem prosto w oczy. - Nie masz zielonego pojęcia, co się stało!

- To prawda, nie wiem, co się wydarzyło i wcale nie musisz mi o tym opowiadać.

Bronte usiadła na łóżku z twarzą ściągniętą niepokojem.

- Nie rozumiesz. Ja sama nie wiem, co się stało. Nie wiem, gdzie byłam... - zaczęła spazmatycznie szlochać, więc tylko uścisnęłam jej dłoń. - Przepraszam, Erin. Tak strasznie mi przykro... - wyszeptała, chwytając mnie za ramiona i przyciągając do siebie. - Przepraszam, ja... nie chciałam... przepraszam, Erin...

- Bronte! Uspokój się, proszę. Już w porządku. Wszystko będzie dobrze. Na pewno.

Łkanie Bronte zwróciło uwagę pielęgniarki, która natychmiast do nas podbiegła.

- Przykro mi, ale musi pani stąd wyjść - burknęła do mnie.

- To moja siostra. Jestem jej potrzebna.

- Denerwuje pani chorą.

- To nieprawda. Po prostu bardzo przeżywa to, co się jej przytrafiło, a ja próbuję jej pomóc.

Pielęgniarka wyprostowała się.

- Proszę opuścić salę.

- Nie, Erin! Nie odchodź! - krzyknęła Bronte. - On może wrócić.

Może tu przyjść...

Znowu przycisnęłam jej zapłakaną twarz do swojej piersi.

- Kto może wrócić?

Bronte popatrzyła na mnie przez łzy.

- Nie wiem... - wykrztusiła. - Nie pamiętam... Chciałam... a potem nie mogłam ustać na nogach... Byłam na ulicy... a potem tutaj... Przepraszam... przepraszam.

- Zaraz przyprowadzę lekarza! - pielęgniarka zacisnęła usta i wyszła z sali.

- No i bardzo dobrze - mruknęłam. Chciałam z nim zamienić parę słów.

Zasunęłam zasłony wokół łóżka Bronte i próbowałam ją trochę uspokoić, ale nadal szlochała rozdierająco, bez końca mnie przepraszając. Powtarzałam jej, że teraz wszystko będzie już w porządku, ale to nie powstrzymało potoku łez i próśb o wybaczenie.

- Powiedział... a potem byłam... Nie mogę sobie przypomnieć! Nie wiem, co się stało potem...

- Kto to był?

- Ten mężczyzna. Nie mogłam ustać na nogach! A on mi kazał... Nie miałam siły stać. Pomóż mi, Erin. Pomóż mi! Nie mogę sobie przypomnieć.

Jej ciałem wstrząsał szloch. Uciszyłam ją i delikatnie oparłam z powrotem o poduszki. Potem pogładziłam jej wystrzępione włosy

i pocałowałam w czoło, tak jak robiła to kiedyś nasza matka, ale w środku cała skamieniałam.

Młody mężczyzna w białym kitlu uchylił zasłonę i uśmiechnął się do mnie przepaszająco.

- Przykro mi, ale pora odwiedzin dawno minęła. Odpowiedziałam mu uśmiechem i wyciągnęłam na powitanie dłoń, co sprawiło go w lekkie zakłopotanie.

- Erin Paterson, siostra Bronte. Jestem prawnikiem i przyszedłam tu właśnie w tym charakterze. Chciałabym się dowiedzieć, jakich obrażeń doznała moja siostra i co wykazały badania toksykologiczne.

Lekarz popatrzył na Bronte, która z kolei zerknęła na mnie, a potem skinęła głową.

- W takim razie proszę ze mną - odsunął zasłonę.

- Ale wrócisz tu jeszcze, prawda? Erin, obiecaj mi! - poprosiła Bronte.

- Obiecuję - uścisnęłam jej dłoń uspokajająco.

Lekarz zaprowadził mnie do zaniedbanego pokoju i wyciągnąwszy kartę Bronte zabrał się za przeglądanie wyników badań.

- Alkohol i benzoiloekgonina - mruknął mimochodem. Zmarszczyłam brwi. - Kokaina - wyjaśnił.

- Jaka ilość alkoholu?

- Około trzydziestu pięciu mililitrów. To w granicach dopuszczalnej normy dla kierowców.

Sama wiedziałam, że to niewielka ilość - najwyżej jedna miarka alkoholu.

- A ile tej benzoilo... kokainy?

- Wystarczająco dużo, żeby przedawkować.

- Coś jeszcze?

- Śladowe ilości barbituranów - lekarz wzruszył ramionami. Dla nich to pewnie nic nowego.

- A co się stało z jej włosami?

Lekarz potrząsnął głową.

- Pani siostra trafiła do nas w takim stanie. Straciła też sporo krwi.

W mojej głowie rozległ się ostrzegawczy dzwonek. Bronte nie wyglądała na ranną. Myślałam, że miała tylko drobne skaleczenia i otarcia.

- Straciła dużo krwi? Jak to?

Lekarz poruszył się niespokojnie.

- Pani siostra doznała poważnego urazu prawej stopy.

- Co się stało?

- Straciła jeden z palców.

Popatrzyłam na niego ze zdumieniem. *Bronte straciła palec u nogi.* Miałam wrażenie, że za chwilę zemdleję.

- Zawiadomiliście policję? Co się stało? Który to palec? Jak do tego doszło? Macie ten palec? Możecie go przyszyć? - zasypałam go gradem pytań. Lekarz podsunął mi krzesło i kazał usiąść.

- Wszystko w porządku? - Mdły zapach szpitala, którym przesiąknięty był jego fartuch sprawił, że zrobiło mi się niedobrze.

Potrząsnęłam głową. Musiałam wyglądać strasznie blado, bo poczułam jak cała krew krążąca w moim ciele uderza mi najpierw do głowy, a potem gwałtownie spływa w dół.

- Jest pani słabo? - lekarz przykucnął obok i ujął mój nadgarstek, żeby zmierzyć puls. - Proszę włożyć głowę między kolana - powiedział, lekko przyciskając mi głowę do dołu.

Siedziałam tak przez chwilę, oddychając powoli. Ktoś odciął Bronte palec. Miałam ochotę krzyczeć na cały głos.

- Zawiadomiliście policję? - wyszeptałam, nadal skurczona w niewygodnej pozycji.

- Tak. Mają przyjechać jeszcze raz później, kiedy pani siostra będzie już przytomniejsza - powiedział, odkręcając wodę.

- Jak to... Jak one... jak to się...? - poczułam w ustach gorzki smak.

- Proszę to wypić - lekarz wręczył mi szklankę letniej, cuchnącej chlorem wody. Wyprostowałam się. - Pani siostrze ucięto mały palec nogi. Czyste cięcie dokładnie w stawie, być może użyto jakiegoś przecinaka.

- Będzie mogła chodzić?

- Oczywiście, nie powinno to utrudniać zbytnio poruszania się. Byłoby znacznie gorzej, gdyby straciła paluch. Obawiam się, że ucięcie kawałka palca u ręki lub nogi to sposób często stosowany przez gangi jako ostrzeżenie. Pani siostra może im być winna pieniądze.

- Nie o to chodzi - odparłam z lękiem - tylko o coś zupełnie innego. Została zgwałcona?

- Nie sprawdzamy tego u pacjentek trafiających do nas z powodu przedawkowania.

- Moglibyście to zrobić? - zapytałam. Lekarz skrzywił się.

- To nie takie proste. Badanie wykaże, czy siostra odbyła niedawno stosunek, ale trudno będzie ustalić, czy był to gwałt. Kiedy przyjmowano ją do szpitala, nie było żadnych widocznych symptomów, że coś takiego miało miejsce, na przykład krwawienia z pochwy.

Skinęłam powoli głową. Bronte mówiła coś o jakimś mężczyźnie. Czyżbym wyciągała pochopne wnioski, łącząc ten wypadek z morderstwem Lucy Grant i nagraniem na mojej komórce? A może broniłam się przed myślą o tym, jak daleko

była w stanie posunąć się moja siostra. Tylko że jest naprawdę przerażona.

- Czy sądzi pani, że ktoś podał siostrze narkotyki, a potem ją zgwałcił? - słowa lekarza przerwały moje niewesołe rozmyślenia.

- Nie wiem... Dlaczego Bronte nie pamięta, co się stało?

- Mogły mieć na to wpływ różne czynniki, narkotyki, przeżyty szok. Może nie jest jeszcze gotowa, żeby o tym myśleć - powiedział z jawną sympatią.

- Ale są też narkotyki, które mogą wywołać taką utratę pamięci - zauważyłam. - Na przykład rohypnol.

- Tak, poza tym jeszcze kwas gamma-hydroksymasłowy. Ale faktem pozostaje to, że pani siostra przedawkowała kokainę.

- Po prostu ją zbadajcie - poprosiłam. Musiałam się upewnić, czy był jakiś związek pomiędzy kłopotami Bronte a morderstwem Lucy Grant.

- Mówiła pani, że jest pani prawniczką. Jakimi sprawami się pani zajmuje?

- Odszkodowaniami - odparłam sucho. - Mogę skorzystać z telefonu?

Lekarz wskazał mi przedpotopowy aparat w kącie pokoju. Próbowałam cztery razy, zanim zdołałam uzyskać połączenie na miasto.

- Paul?

- Uhm. Jak się czuje Max?

- Już dobrze. Jestem w Victoria Infirmary z Bronte. Coś się wydarzyło i dlatego mam do ciebie pytanie.

- Jasne...

- Mówiłeś, że Lucy odurzono narkotykami. Czy tak samo było z Abigail?

- Nie wiem - odezwał się Paul po chwili milczenia. - Erin, o co



chodzi?

Zignorowałam to pytanie.

- Jaki narkotyk podano Lucy?

I znowu upłynęła chwila, zanim odpowiedział.

- Morderca podał jej ketaminę. To środek znieczulający dla koni. U ludzi wywołuje brak woli i halucynacje. Działa jak rohypnol, „tabletką gwałtu”.

- A więc ofiary nie były się w stanie bronić przed gwałtem? Pamiętałyby, co się stało, gdyby udało im się przeżyć?

- Erin! Proszę cię, powiedz, o co chodzi. Czy coś się stało twojej siostrze?

- Tak, ale nie mogę ci tego teraz wyjaśnić. Wytlumaczę ci wszystko później.

Odłożyłam słuchawkę i oparłam się o szafki ustawione wzdłuż ściany. Ale przynajmniej Bronte żyje, powtarzałam w myślach na okrągło. Zanim wróciłam do sali, w której leżała Bronte, odszukałam jeszcze lekarza i poprosiłam go, żeby przeprowadzili test na obecność ketaminy i badanie ginekologiczne. Lekarz uniósł brwi, jak gdyby chciał mi dać do zrozumienia, że niepotrzebnie się tak miotam.

Potem zostałam już przy łóżku Bronte i trzymając ją za rękę, cały czas powtarzałam, że powinna odpocząć. Bardzo chciała zobaczyć Maksa, więc obiecałam jej, że postaram się go przyprowadzić później, o ile będzie się lepiej czuła. Przekonywałam ją stanowczo, że synek nie powinien oglądać jej w takim stanie, a ona po raz pierwszy w życiu posłuchała mojej rady. Chyba obie byłyśmy tym faktem jednakowo zaskoczone.

- Mama i tata już wiedzą? - wyszeptała Bronte. Potarłam czoło i zaklęłam w myślach. Zapomniałam zadzwonić do rodziców.

- Nie. Dzwoniłam do nich, kiedy cię szukałam, ale jeszcze ich

nie powiadomiłam o tym, że tu trafiłaś.

- Masz zamiar to zrobić?

- Będę musiała. Nie chcę cię straszyć, ale myślę, że zostałam... że padłam ofiarą przestępstwa.

Bronte przymknęła oczy.

- Wiem.

- Musimy ustalić, co dokładnie się wydarzyło i przekazać te informacje policji. Lekarz mówił, że policjanci mają jeszcze przyjść, żeby z tobą porozmawiać.

- Nie, ja nie chcę... - Bronte znowu zaczęła płakać.

- Już dobrze, kochanie. Nie pozwolę cię nikomu skrzywdzić, obiecuję.

Wiedziałam, czego się boi. Czasami lepiej jest nie znać prawdy. Zerknęłam na zegarek.

- Muszę odebrać Maksa z przedszkola. Masz kogoś, kto może się nim zająć przez jakiś czas?

Bronte westchnęła ciężko. Wyczerpał ją ten płacz.

- Jest Martha. Czasami opiekuje się nim też pani Gordon, nasza sąsiadka.

- W końcu będę musiała pojechać do kancelarii. Może zabiorę chłopca ze sobą, a przed przyjazdem tutaj podrzucę go do pani Gordon, dobrze?

- Nie przyprowadzisz go do mnie? - Bronte miała zawiedzioną minę.

- Nie teraz. Może wieczorem. Przynieść ci coś?

- Jakiś napój. Najlepiej sok pomarańczowy. Coś do czytania. Jeszcze przybory toaletowe i koszulę nocną - Bronte pociągnęła nosem i usiadła na łóżku. - Powiedzieli mi, że nie miałam ze sobą torebki, kiedy... Chyba będziesz musiała unieważnić moje karty kredytowe. Wykaz znajdziesz w domu.

- Zginęła ci torebka? To mógł być jakiś trop.

- Nie wiem. Podobno nie miałam jej ze sobą... - Bronte zmarszczyła brwi. - Ale musiałam mieć torebkę, bo przecież... O, mój Boże! To tam go spotkałam. W Shawlands.

- Pamiętasz, jak wyglądał? - natychmiast usiadłam z powrotem.

- Raczej nie... - jej głos zadrżał. - Erin, co teraz ze mną będzie?

- Nie wiem, Bronte - odparłam, ujmując jej lepką od potu dłoń.

- Ale będę cały czas przy tobie. Przejdziemy przez to wszystko razem.

Wyszłam z sali, przedtem zaciągając zasłonkę wokół łóżka. Miałam nadzieję, że Bronte zdoła trochę odpocząć i przypomni sobie choć fragmenty tego roztrzaskanego dnia. Nie wiedziałam, czy moja siostra w ogóle zdaje sobie sprawę z tego, jak bardzo została okaleczona. Bałam się o nią. O to, jak zareaguje, gdy pozna prawdę, i jak sobie z nią poradzi. Blizny pozostaną jej już na zawsze. Za każdym razem, kiedy wstanie, przypomni sobie, co zrobił jej ten mężczyzna.

Przed oczami stanął mi obraz okaleczonej stopy Bronte. Nie widziałam jej, ale tak, jak w przypadku pozbawionej oczu twarzy Abigail i zalanych krwią ust Lucy, potrafiłam to sobie wyobrazić w najdrobniejszych szczegółach.

Nie miałam pojęcia, co tak naprawdę przytrafiło się Bronte, ale to okaleczenie w połączeniu z telefonem od mordercy Lucy wystarczyło, aby wyobraźnia zaczęła wymykać mi się spod kontroli.

Zaparkowałam jeepa u stóp wzgórza, na którym stał budynek przedszkola. Max ruszył w moją stronę w podskokach, gdy tylko zauważył, że nadchodzę. Diametralna zmiana w porównaniu z tą bezwładną kupką nieszczęścia, którą niosłam wczoraj w

objęciach. Teraz Max błyskawicznie wspiął się na tylne siedzenie samochodu i od razu zaczął mi opowiadać, co robił tego ranka w przedszkolu.

- Musimy podjechać do mnie do pracy - rzuciłam krótko. Jadąc przez centrum miasta, cały czas zastanawiałam się, czy wieści o rozpadzie kancelarii trafiły już do prasy. Ale przynajmniej zachowałam jeszcze swoje miejsce na parkingu. William z niezwykłą uprzejmością otworzył mi drzwi i przywitał się. Uścisnęłam jego dłoń, dziękując mu przy tym za wspaniałą pracę przez te wszystkie lata. Wzruszenie ścisnęło mnie za gardło.

Kiedy jechaliśmy windą na górę, Max trzymał mnie za rękę i kołysząc się na boki podśpiewywał: „Raz, dwa, trzy, cztery, pięć, złapać rybę mam dziś chęć”.

Na moim piętrze panował spokój. Na szczęście była akurat pora lunchu, ale i tak parę pracujących jeszcze osób rzuciło nam zaciekawione spojrzenia.

- To twój gabinet, Ern! - Max pobiegł radośnie do przodu. - Wciąż prosisz o pieniądze dla ludzi, którzy umarli?

Było tak, jak przypuszczałam. W moim gabinecie stało pełno kartonowych pudeł. Spokojnie zlustrowałam je wzrokiem, zastanawiając się, czy wszystko zmieści mi się do samochodu. Potem zadzwoniłam do Williama i poprosiłam o przysłanie kogoś do pomocy w znoszeniu pudeł na dół.

Jadąc tutaj miałam nadzieję, że zdołam zobaczyć się z Karen i Douglasem i będę miała okazję podziękować im za wspólną pracę. Zostawiłam więc Maksa kręcącego się w najlepsze na moim obrotowym krześle i podeszłam do biurka Karen, żeby napisać do niej parę słów. W poszukiwaniu jakiejś kartki zajrzałam do biurka, ale wszystkie szuflady były puste. Sprawdziłam jeszcze do szafki na dokumenty. To samo.

- Ach, to ty Erin - z sali posiedzeń wyłonił się Michael i ruszył w moim kierunku. Ciekawe, czy ktoś powiadomił go, że zjawiłam się w firmie. - Miałem nadzieję, że wpadniesz.

Spojrzałam na niego bez emocji. Nie czułam nic, żadnego gniewu, czy żądy zemsty, po prostu nic. Tylko wspaniały spokój. To coś zupełnie nie w moim stylu. Cztery dni temu pewnie bym Michaelowi przyłożyła. Jego też chyba zaskoczyła moja reakcja.

- Nie masz żalu? - wyciągnął w moją stronę rękę. Zignorowałam go, unosząc jedynie brew. Nie tego oczekiwał. Najwyraźniej miał wielką ochotę pokłócić się ze mną, bo deptając mi po piętach, wparował do mojego gabinetu - Zrobiliśmy to dla dobrej firmy.

- Skoro tak twierdzisz - wzruszyłam ramionami.

- Mały Maxwell! Jak się masz, młody człowieku? - Michael rzucił się w stronę chłopca i podniósł go do góry. Max wyglądał na kompletnie zaskoczonego.

- Dobrze.

- A jak tam twoja mamusia?

- Dobrze.

- A babcia i dziadziuś?

- Dobrze.

Michael posadził Maksa z powrotem na krzesło. Zapadła kłopotliwa cisza.

- No cóż. Widzę, że jesteś zajęta... - Michael zerknął na zegarek.

- Mam spotkanie o drugiej...

Nadal go ignorowałam, więc w końcu wypadł pospiesznie z mojego gabinetu.

Zabraliśmy z Makssem kilka rzeczy, które byliśmy w stanie unieść i skierowaliśmy się w stronę windy. To było ciche, bolesne pożegnanie. William czekał na nas w recepcji.

- Posłałem na górę chłopaków z działu poczty, panno Paterson - powiedział, biorąc ode mnie doniczkę z kwiatem. - Powinni być zaraz z powrotem.

- Widziałeś może Douglasa Thomsona albo Karen McCall?

- Nie było ich tu od wczoraj - uśmiechnął się William. - Oboje złożyli wymówienie.

- Jesteś pewien?

- Tak. Wynosiliśmy ich rzeczy w pierwszej kolejności. I tej Liz Miller z drugiego piętra. Miła dziewczyna.

- Wszyscy odeszli?

- Tak. Szkoda - William skinął głową, otwierając drzwi na klatkę schodową prowadzącą na podziemny parking. - Nie uśmiechało się połączenie z tymi od Cohena Freidmanna.

Połączenie z kancelarią Cohen Freidmann? William nawet nie zdawał sobie sprawy, jak ważną informację mi przekazał. Podstępni dranie, weszli w spółkę z Cohenem. Musieli nad tymi radzić od ładnych paru miesięcy. Mat i Michael świetnie do siebie pasują. Ale troje moich współpracowników zostało bez pracy.

Przez chwilę bawiliśmy się z Maksem w zgadywanki, podczas gdy chłopcy z działu pocztowego pakowali moje rzeczy do bagażnika samochodu. Wszystkie pudła nie zmieściły się na jeden raz, więc powiedziałam im, że wrócę po resztę później. Nacisnęłam guzik automatycznej bramy i wyjechałam na ulicę. Kancelaria prawna Paterson, Paterson & Co. przestała istnieć.

- Jestem głodny - jęknął malec.

- A na co masz ochotę? - zapytałam ciepło.

- Na happy meala. Chcę udka kurczaka.

- Robi się. Zamówienie przyjęte - skrzyłam w stronę McDonald'sa.

Podjechaliśmy pod dom rodziców. Zaniepokoiło mnie zaparkowane przy krawężniku volvo. Miałam tylko nadzieję, że to nie reporterzy. Kiedy wjechałam na podjazd, z samochodu wysiadło dwoje ludzi.

- Erin Paterson? - zawołała kobieta, podchodząc do mnie szybkim krokiem.

- Tak. W czym mogę pomóc?

Kobieta pogrzebała w swojej przepastnej torebce i w końcu wyciągnęła laminowaną legitymację ze zdjęciem.

- Jane Hobson z Wydziału Opieki Społecznej Glasgow, a to jest mój kolega, Colin Craig.

Nie mogłam odżałować, że Max właśnie w takiej chwili ściska w rękach happy meala.

- Chcielibyśmy zamienić z panią kilka słów.

A odpowiednimi słowami byłyby tu „cholera jasna” i „do diabła”, pomyślałam.

Kiedy weszliśmy do domu, od razu posłałam chłopca na górę, żeby pooglądał kreskówki i zjadł niezdrowy posiłek. Zwykle jadał w kuchni, ale dzisiejszy dzień był wyjątkiem. Potem zaprowadziłam pracowników opieki do jadalni.

- Miałam nadzieję, że państwo się zjawią - skłamałam.

Moje słowa wprawiły ich w zakłopotanie. Colin Craig poruszył się niespokojnie na krześle i otworzył teczkę z papierami. Pośród odręcznych notatek i rozmaitych druków zauważyłam kilka wycinków z gazet.

- Chyba rozumie pani, panno Paterson - odezwał się w końcu - że biorąc pod uwagę ostatnie zdarzenie i rewelacje dotyczące stylu życia Bronte, które ukazały się w prasie podczas weekendu, czuliśmy się w obowiązku...

- O jakich rewelacjach pan mówi? - przerwałam mu. Criag i

jego towarzysza wymienili spojrzenia.

- O tych, które ukazały się w prasie - wyjaśnił w końcu niepewnie.

- Nie czytałam ostatnich gazet.

Dlaczego, na Boga, ich nie przeczytałam? Pewnie obawiałam się po prostu zjadliwej krytyki.

- Hm... no cóż... - Craig przewertował zawartość teczki i wyjął z niej wycinek prasowy. - Proszę, autor tego artykułu twierdzi, że Bronte właściwie ciągle była pijana i zostawiała swojego syna, Maxwella, pod opieką pani i pani byłego chłopaka...

- To wierutne kłamstwo! Alex nigdy nie zajmował się Maksem. Mogę to zobaczyć?

Craig wręczył mi wycinek. Szybko przebiegłam go wzrokiem. Był to fragment artykułu z „The Sun”. Alex powiedział reporterowi gazety, że Bronte była często pijana lub naćpana, zostawiała syna pod opieką dziadków albo nas obojga i najprawdopodobniej podkradała różne rzeczy rodzicom i mnie. Twierdził też, że wiedziałam o jej uzależnieniu od narkotyków, ale nic z tym nie zrobiłam z obawy przed zszarganiem naszego nazwiska. Jak na ironię, sama już to zrobiłam.

Powiedziałam mu o tym wszystkim w zaufaniu. W swojej głupocie podzieliłam się z nim swoimi lękami i przemyśleniami. Jak on mógł? Sukinsyn.

- Byliśmy przekonani, że czytała już pani te artykuły - zauważyła cicho Hobson.

Potarłam usta dłonią. Och, Bronte, co my najlepszego zrobiłyśmy?

- Czy te informacje są prawdziwe? - zapytał Craig.

- Nie. To o wiele bardziej skomplikowane, niż się wydaje.

- Pod czyją opieką pozostaje obecnie chłopiec?



- Moją. Jestem również w pełni gotowa zostać jego tymczasowym opiekunem.

Myślałam, że to ich przekona, ale znowu wymienili znaczące spojrzenia.

- To może być trudne, panno Paterson - powiedziała Jane Hobson z wahaniem - z powodu... no cóż, innych rzeczy, które wyszły na światło dzienne.

- O co znowu chodzi? - zapytałam, modląc się w duchu, żeby nie podali mojego aresztowania, jako powodu dla którego muszą zabrać Maksa do domu dziecka.

- Rozmawiała pani dzisiaj z siostrą? - zapytał Craig.

- Tak. Widziałam się z nią rano.

- I co pani powiedziała?

- Przepraszała mnie i mówiła, że nie pamięta nic z tego, co się wydarzyło. Była w kiepskiej formie.

- Uhm... - Craig skinął głową.

- O co chodzi? - zapytałam.

- Ponieważ w grę wchodziło dobro dziecka, policja skontaktowała się z naszym wydziałem i my również odwiedziliśmy pani siostrę. To, co nam opowiedziała, jest bardzo niepokojące.

Poczułam przebiegający mi po plecach dreszcz.

- Pani siostra przypomniała sobie częściowo wczorajsze wydarzenia... i, no cóż, pamięta, że była tutaj. W piwnicy - dodał złowróżbnie.

- Powiedziała, że była w piwnicy? - zadrżałam. Czy Bronte mogła być tutaj przez cały czas? W pomieszczeniu znajdującym się dokładnie pod tym pokojem?

- Hm, co więcej, pani siostra twierdzi, że pani również tam była. Pozwoliła pani na to wszystko i nie zareagowała, kiedy ten

mężczyzna odcinał jej palec.

- To niedorzeczne! Nie widziałam się z nią wczoraj. Szukałam jej wszędzie, zgłosiłam nawet jej zaginięcie na policję - urwałam. Dlaczego Bronte powiedziała coś takiego? Dlaczego skłamała?

- Czy w tym domu jest piwnica? - zapytała Hobson.

- Tak. Ale przecież gdyby Bronte tam była, musiałabym chyba coś usłyszeć?

- Pani siostra nie była pewna co do szczegółów. Ma tylko jakieś przebłyski wspomnień. To jeden z efektów ubocznych działania narkotyków - wyjaśniła, ale w mojej głowie kłębiły się już tysiące myśli.

Dlaczego Bronte miałyby kłamać?

- Czy jest pani absolutnie pewna, że siostry tam nie było? - zapytał Craig.

- Tak. Nie. To znaczy, po prostu nie wiem, czy Bronte tam była - zdumiona potrząsnęłam głową.

- Czy możemy tam zajrzeć? - zaproponował grzecznie Craig. - Wie pani, na wypadek, gdyby jednak było tam coś, na co nie powinien się natknąć chłopiec.

- Tak, oczywiście. Chociaż Max i tak nigdy nie zszedłby do piwnicy sam. Proszę tędy.

Stanęliśmy we trójkę przed zamkniętymi drzwiami do piwnicy. Serce tłukło mi się mocno w piersi, kiedy przekręcałam klucz. Razem spojrzeliśmy w niesamowity półmrok.

- Można zapalić tu światło? - zapytała Hobson. Pstryknęłam przełącznikiem znajdującym się przy drzwiach, ale w piwnicy nadal panowały ciemności.

- Żarówka przepaliła się w piątek. Przepraszam, zapomniałam o tym.

Ostrożnie zeszliśmy na dół po skrzypiących ze starości

schodach. Zaglądaliśmy po kolei do każdego z pomieszczeń, szukając przedmiotów związanych z narkotykami albo jakichkolwiek dowodów na to, że Bronte mówi prawdę.

- Wygląda na to, że dawno tu nikogo nie było - zauważył Craig.

- Ostatnio byłam tu w piątek, z psami, ale tylko po to, żeby zamknąć drzwi do ogródka.

Nie znaleźliśmy nic niezwykłego, więc mozolnie wdrapaliśmy się z powrotem po schodach na górę. Kiedy wchodziliśmy do jadalni, rozległ się dzwonek do drzwi wejściowych.

Byłam zaskoczona widokiem Paula.

- Przepraszam za to najście, ale martwiłem się o ciebie i o twoją siostrę - wyjaśnił.

- Och... hm, mam teraz gości... - nie wiedziałam za bardzo, co powiedzieć. - Proszę, wejdz.

- Jeśli przyszedłem nie w porę, wpadnę później - Paul tłumaczył się równie nieporadnie.

- Nie, hm, w porządku. Kuchnia jest tam - odruchowo wskazałam w głąb korytarza. - Czuj się jak u siebie w domu.

- Jesteś pewna, że nie będę przeszkadzał? - choć raz w życiu Paul wyglądał na skrepowanego.

- Powinniśmy zaraz skończyć - dodałam i wróciłam do jadalni.

- To naprawdę dziwne - Hobson wróciła natychmiast do przerwanej rozmowy. - Bronte twierdziła z całą stanowczością, że coś wydarzyło się w tej piwnicy. Poza tym mówiła, że był tam też wasz brat. Jest teraz w domu?

- Nie. Finlay jest akurat w Tajlandii. Nie rozumiem, dlaczego Bronte tak powiedziała... - wypierałam te wspomnienia od tak dawna, że w ogóle przestały już istnieć. Wstydziałam się własnego tchórzostwa i winy.

- Finlay? Pani siostra wymieniła inne imię - Craig zajrzał do

teczki. - Leland. Tak mówiła o waszym bracie.

Przeszył mnie dreszcz.

Odchrząknęłam, próbując opanować drżenie w głosie.

- To najlepiej świadczy o tym, że Bronte nie było tu wczoraj. Nasz brat, Leland, zmarł ponad dziesięć lat temu.

- Och, tak mi przykro - powiedziała Hobson, mylnie biorąc drżenie w moim głosie za oznakę smutku, ale Colin Craig tylko zmrużył oczy. - Policja zapewne również poprosi panią o złożenie wyjaśnień, jeśli Bronte powiedziała im to samo, co nam.

- Tak... pewnie ma pani rację.

- Czy moglibyśmy porozmawiać z Makssem? - zapytała pani Hobson.

- Tak, oczywiście. Zaraz go przyprowadzę.

- Przepraszam, ale zwykle jest lepiej, jeśli rozmawiamy z małym dzieckiem, kiedy jest odprężone, na przykład podczas zabawy.

- Och. Rozumiem. Max jest na górze - zaprowadziłam ją do pokoju, w którym bawił się i przedstawiłam jako znajomą Bronte. Nie byłam pewna, czy to zgodne z regulaminem, ale nie chciałam go wystraszyć.

Oczywiście mój siostrzeniec zaraz poinformował nową znajomą, że jego mamusia jest chora i musiała zostać u pana doktora. Jane Hobson popatrzyła na mnie tak, że miałam ochotę zakląć.

- A wiesz, na co jest chora mamusia? - zapytała.

- Tak - zawołał Max z podekscytowaniem. Pani Hobson otworzyła szeroko oczy. - Ma chory brzusek. Mnie też bolał. I zwymiotowałam na Ern. I na siedzenie w jej samochodzie - dodał triumfalnie.

- Ale teraz chyba czujesz się już lepiej? Widzę, że zjadłeś happy

meala - powiedziała pani Hobson z uśmiechem.

Przewróciłam oczami. Wiedziałam, że to zauważy.

- Panno Paterson, mógłbym panią prosić na chwilę? - zawołał z dołu Craig.

Natychmiast przejrzałam podstęp. Rozdzielić przeciwnika, a potem go pokonać. Craig czekał na mnie przy schodach.

- Czy nie będzie pani przeszkadzało, jeśli zapalę? Wyjdę przed dom.

Byłam nieco zaskoczona jego prośbą, ale grzecznie zaproponowałam, żeby skorzystał z salonu i wskazałam mu drogę.

- To piękny dom - zauważył Craig, obejmując wzrokiem fortepian, antyczne meble, bogate zasłony, perski dywan i liczne obrazy. - Mieszkają tu państwo od dawna?

- Dom należy do naszej rodziny od chwili powstania. Zajrzałam do szuflady kredensu w poszukiwaniu kompletu popielniczek od Hermesa, które kiedyś podarowałam matce na gwiazdkę, ale znalazłam tylko taką od Wedgewooda. Podałam ją Craigowi i wróciłam do przeszukiwania pozostałych szuflad i szafek kredensu, ale nigdzie nie było popielniczek od Hermesa.

- Zginęło coś pani? - zapytał w końcu Craig.

- Raczej się zawieruszyło - odparłam wymijająco. Jeśli Bronte podprowadziła te popielniczki, to chyba ją uduszę.

- Naprawdę nie wiedziała pani, że Bronte zażywa narkotyki? Westchnęłam ciężko. Kłamstwo nie miałoby sensu.

- Nie byłam pewna. Podejrzewałam to, ale... no cóż, musi pan pamiętać, że nie mieszkam tutaj. Tak naprawdę nie widuję się z siostrą zbyt często.

- Ale widuje pani Maksa?

- Oczywiście. Co najmniej kilka razy w tygodniu - nie dodałam,

że Bronte zwykle nie ma wtedy w domu, bo nie chciałam jeszcze pogarszać sytuacji.

- Ale nie Bronte? To znaczy, że pani siostra często przebywa poza domem? - Craig popatrzył na mnie z ukosa.

Cholera.

- A to, co siostra mówiła o piwnicy? Nie ma w tym nawet odrobiny prawdy?

- Jestem przekonana, że Bronte była tam wczoraj wieczorem, jeśli o to panu chodzi - odparłam. Zauważyłam, że w ogóle nie zapalił nawet tego papierosa.

- Nie chcę stawiać pani w niezręcznej sytuacji, panno Paterson, ale jeśli pani siostra podtrzyma swoje zeznania, marnie widzę szanse na to, aby Max tu został...

Na chwilę przymknęłam oczy, próbując jak najlepiej dobrać słowa.

- Coś naprawdę się tam wydarzyło. Wiele lat temu. Nasz brat, Leland... On... znęcał się nad nami... nad Bronte, w tym domu.

W końcu wypowiedziałam te słowa. Zostawiły obrzydliwy posmak w moich ustach, powiększając jeszcze moją winę.

- Czy była pani przy tym?

Próbowałam o tym nie myśleć, ale wciąż słyszałam błaganie i płacz Bronte.

- Tak, ale nie byłam jej w stanie pomóc. Leland mnie związał. Nie mogłam się uwolnić, żeby jej pomóc...

- Co zrobił pani brat? - zapytał łagodnie Craig.

Wciąż słyszałam Bronte wołającą moje imię, błagającą, żebym jej pomogła. Widziałam siebie, jak próbuję uwolnić nadgarstki ze skakanki. Czułam te palące otarcia, które zostawiały więzy. Nie potrafiłam obronić Bronte. Czułam zapach naszego strachu. Bezwiednie potarłam nadgarstki.

- Co zrobił Leland? - dopytywał cicho Craig.

- Włożył jej robaki pod ubranie. W majtki... i we włosy. I do uszu...

- Dotykał jej?

- Nie - wydusiłam ze wstydem. - Nie. Wyrwał jej paznokieć z palca u nogi. Rana krwawiła i krwawiła, a ja nie mogłam nic zrobić. Byłam związana... nie mogłam jej pomóc... nie mogłam.

## ﴿ 10 ﴾

*Veritas praeualet* - prawda zawsze zwycięża. Nigdy nie rozmawialiśmy z Bronte o tym, co się wydarzyło. Byłam przekonana, że obie pochowałyśmy te wspomnienia razem z naszym bratem.

Chciałam zostać sama, żeby jakoś uspokoić ciało i umysł, jednak posłusznie wypiliśmy gorącą, słodką herbatę, którą zrobił Craig. Powiedział też, że pracuje w opiece społecznej już trzydzieści lat, ale chyba nawet jego zaszokowało moje pełne bólu, wyduszone z trudem wyznanie.

- Lepiej się pani czuje? - zapytał po chwili, niczym dobrotliwy wujaszek. Nie mieliśmy rodzonych wujów ani ciotek, bo oboje rodzice byli jedynakami. Dziwne, że sami zdecydowali się na czwórkę dzieci. Zawsze wydawało mi się, że jedynacy płodzą kolejnych jedynaków. - Erin?

- Tak, wszystko w porządku.

Nienawidziłam gorącej, słodkiej herbaty. Poza tym byłam pewna, że to wskazówka z jakiegoś podręcznika. „W przypadku szoku podać gorącą słodką herbatę. Potem wydobyć zeznania”.

- Jest pani w stanie odpowiedzieć na kilka pytań? Przydałoby się umieścić ten przypadek przedawkowania przez Bronte narkotyków w szerszym kontekście - zapytał, otwierając teczkę i zaglądając do swoich notatek. - Powiedziała pani, że wasz brat



nie żyje. Mogę zapytać, co się stało?

- Leland popełnił samobójstwo jakieś jedenaście czy dwanaście lat temu. - Craig otworzył ze zdumienia usta, a ja od razu domyśliłam się, do jakich mylnych wniosków musiał dojść, łącząc ze sobą te dwie sprawy. - Ale to nie wyglądało tak, jak z...

Bronte. Leland wypłynął w morze łódką i utonął. Zostawił list pożegnalny. Matka musiała zidentyfikować jego ciało.

Przed oczami stanął mi wyraźny obraz zdruzgotanej matki, snującej się bez celu po pokojach, nie odzywającej się do nikogo przez wiele tygodni. Całymi dniami wystawała przy oknie w salonie, nie odrywając wzroku od drogi prowadzącej do domu, jak gdyby nadal czekała na powrót Lelanda.

- Nie sądzę, żeby Bronte chciała... Moim zdaniem przedawkowała te narkotyki przypadkowo.

Czy to morderca Lucy podał Bronte kokainę albo zmusił ją do przedawkowania narkotyku?

- A może było to wołanie o pomoc? - podsunął Craig.

- Może. Badanie toksykologiczne wykazało w jej krwi obecność mieszaniny różnych narkotyków.

- Czy Bronte kiedykolwiek zgłaszała gdzieś to, co zrobił jej Leland?

- Nie wiem. Nie sądzę.

- Pani rodzice nie interweniowali?

- Nie uwierzyliby w to. Świata poza naszym bratem nie widzieli. - Craig uniósł brwi, a ja uświadomiłam sobie, jak okropnie to zabrzmiało. - To było... trudne do... Trudno to wytłumaczyć...

- Czy Bronte otrzymała pomoc psychologa?

- Naprawdę nie wiem. Ale macie przecież dostęp do wszystkich dokumentów na temat jej leczenia?

- Jeszcze nie. Jeśli Max trafi do placówki opiekuńczo-wychowawczej, będziemy musieli zbadać również środowisko, w którym się wychowuje.

Nie znałam się zbyt dobrze na formalnościach związanych z prawem rodzinnym, ale ogarnęło mnie złe przeczucie, że szybko stanę się w tym ekspertem.

- Nie orientuję się zbyt w procedurach. Jak to wygląda dalej?

- Sporządzimy raport, który trafi do urzędnika zajmującego się sprawami rodzinnymi. Jeśli on uzna, że opieka nad chłopcem nie jest sprawowana w sposób należyty, sprawa trafi do sądu dla nieletnich.

- I tak się właśnie stanie? - odważyłam się zapytać. Dlaczego nie opiekowałam się lepiej swoją siostrą?

- Nie, panno Paterson. Być może Max otrzyma nadzór kuratora, ale im więcej informacji zbierzemy, tym większa szansa, że uda nam się znaleźć dobre rozwiązanie.

Wiedziałam, do czego zmierza. Dobrze udokumentowane badania dowodzą przecież, że osoby, które były maltretowane w dzieciństwie, w dorosłym życiu same często znęcają się nad swoimi dziećmi.

- Bronte nigdy, przenigdy nie skrzywdziłaby Maksa. W jakikolwiek sposób - zaprzeczyłam gorąco.

- Rozumiem - Craig uśmiechnął się współczująco - ale w tych okolicznościach udzielenie nam przez panią informacji może tylko pomóc Bronte. I Maksowi.

- Co chciałby pan wiedzieć?

- Czy Bronte przejawiała jakieś skłonności samobójcze?

- Co pan przez to rozumie? Zaczytywanie się w Sylwii Plath?

- Chodzi mi raczej o jakieś zachowania autodestrukcyjne.

- Bronte za dużo pije i czasami zachowuje się zbyt lekkomyślnie - wzruszyłam ramionami. Czułam się tak, jakbym wbijała jej nóż w plecy.

- Czy jej problemy mogą być związane z wydarzeniami z dzieciństwa?

- A czyje nie są? - nagle uświadomiłam sobie, że Bronte nie wspomniała nawet słówkiem o Lelandzie, kiedy ją odwiedziłam.

Craig odetchnął głęboko.

- Czy istnieje jednak możliwość, że pani siostra była tu wczoraj?

- Szczerze mówiąc, nie sędzę, żeby to była prawda. Z bólem serca muszę powiedzieć, że moim zdaniem Bronte pomieszała terażniejszość z przeszłością, być może w wyniku działania narkotyków.

- A może pani siostra opowiedziała tę historię, żeby odwrócić uwagę wszystkich od swojego postępowania?

Opuściłam wzrok na trzymaną w rękę filiżankę. Na powierzchni herbaty zaczynała się już tworzyć cieniutka warstwa mleka. To rzeczywiście wydawało się logiczne wytłumaczenie.

- Panno Paterson? - naciskał Craig.

- Tak - powiedziałam ze smutkiem. Coś ścisnęło mnie za gardło. Łatwiej byłoby mi znieść tę sytuację, gdyby Bronte była zupełnie bez winy.

- Czy pani siostra widuje się z ojcem Maksa?

- Nie, o ile mi wiadomo nie utrzymują ze sobą żadnego kontaktu.

- Jak moglibyśmy się z nim skontaktować?

- Nie mam pojęcia, kto jest ojcem Maksa. Ten mężczyzna chyba w ogóle nie wiedział, że Bronte jest w ciąży. Moja siostra nie

chciała nawet podać jego nazwiska w akcie urodzenia.

- Mógłbym rozejrzeć się po jej pokoju?

- Zamierza pan szukać narkotyków? - zaniepokoiłam się.

- To nie będzie przeszukanie, ale mamy przecież obowiązek dbać o dobro dziecka - wyjaśnił. Zaprowadziłam go schodami na półpiętro.

- To sypialnia Bronte. Pokój chłopca jest obok.

Weszliśmy razem do środka. Craig rozejrzał się trochę po pokoju, a potem otworzył szafę. Nie mogłam spokojnie patrzeć, jak zupełnie obcy facet grzebie w rzeczach mojej siostry, więc cicho wymknęłam się na korytarz. Szok wywołany rewelacjami Bronte zaczynał mijać, ustępując miejsca złości. Moja siostra zachowała się jak ostatnia świnia. Żeby tak odgrzebywać przeszłość. To było z jej strony nieodpowiedzialne i podłe. Przecież byłam dla niej miła w szpitalu, a ona tak mi się za to odwdzięczyła.

Zajrzałam do pokoju, w którym zostawiłam Maksa z panią Hobson, ale nikogo tam nie było. Zastanawiając się, gdzie też oboje mogą się podziewać, poszłam do sypialni małego, ale tu też było pusto. Nagle zauważyłam jakiś ruch na podeście na piętrze. Z niedowierzaniem patrzyłam, jak pani Hobson znika w dawnym pokoju Lelanda. Popędziłam po schodach na górę.

- Co pani, do diabła, wyprawia?

- Max chciał mnie oprowadzić po domu - powiedziała zaskoczona, natychmiast wychodząc z powrotem na korytarz. - Powiedział, że nie będzie to pani przeszkadzać...

- Max ma cztery i pół roku - rzuciłam jej ciężkie spojrzenie. Hobson miała zażenowaną minę.

- Czy to pokój Finlaya?

- Nie. To był pokój Lelanda - kątem oka dostrzegłam Maksa

skaczącego po łóżku. - Maxwellu Patersonie! Natychmiast wyjdź z tego pokoju!

Max znieruchomiał. Wiedział, że kiedy zwracam się do niego w ten sposób, jest w naprawdę niezłych tarapatach.

- Ten pokój jest bardzo... schludny. Czy ktoś jeszcze z niego korzysta? - zapytała pracowniczka opieki.

- Nie, o ile mi wiadomo - odparłam lakonicznie. Ktoś miałby korzystać z pokoju Lelanda? To chyba jakiś żart. I jakie to miało znaczenie?

Słabe październikowe słońce sączyło się przez okna, nurzając wszystko w złocistym blasku. Matka zostawiła pokój w takim stanie, w jakim się znajdował, kiedy dwaj młodzi policjanci zjawili się z wiadomością o śmierci Lelanda. Regularnie tu sprzątała i odkurzała starannie poustawiane pamiątki po swoim synu. Biedna wariatka.

W powietrzu nie unosił się już jednak zapach Lelanda. Mój brat używał jakieś oryginalnej, bardzo charakterystycznej wody po goleniu, ale nie mogłam sobie przypomnieć teraz jej nazwy.

Półki z książkami były odkurzone, a łóżko zasłane. Identyczną sypialnię zajmowali rodzice. Nigdy nie przeszkadzało mi to, że Leland dostał najlepszy pokój. Aż do teraz. Leland oszedł, pozwalając, aby matka i ojciec do końca swoich dni cierpieli z powodu wyrzutów sumienia i niepewności.

- To chyba nie jest zbyt stosowne zachowanie - dodałam. Max wysunął się z pokoju, a ja zamknęłam drzwi.

- Przepraszam, panno Paterson. Ma pani rację. To było niestosowne z mojej strony. Staralam się po prostu lepiej poznać chłopca. Nie chciałam sprawić pani bólu - kajała się pani Hobson. Skinęłam głową, nie siląc się nawet na wyjaśnienia.

W tym momencie Craig wyszedł z pokoju Bronte.

- Nie znalazłem tu niczego niepokojącego - powiedział wprost, uśmiechając się do mnie. Byłam mu wdzięczna za szczerość.

Max zerkał na mnie bojaźliwie.

- Czy mogę państwu jeszcze w czymś pomóc? - zwróciłam się do obojga pracowników opieki.

- Na razie to wszystko, ale pozostaniemy z panią w kontakcie. Proszę, to mój numer - Craig wręczył mi wizytówkę.

We trójkę zeszliśmy na dół.

- Max - zawołałam.

- Tak, ciociu...

- Chciałbyś odprowadzić panią Hobson i pana Craiga do wyjścia?

Max uwielbiał to robić. Teraz też zbiegł w podskokach ze schodów i bardzo oficjalnie pożegnał się z obojgiem, dziękując im za wizytę.

- Co za wspaniałe maniery - roześmiał się Craig.

- Ern mnie tego nauczyła - wyjaśnił Max. - I tego, że nie wolno się drapać po pupie. Chyba że jestem sam.

Ulżyło mi, kiedy w końcu poszli, ale niepokoiły mnie możliwe reperkusje tej wizyty. Na pozór oboje wydawali się całkiem zadowoleni z obecnego rozwiązania, ale nie miałam pojęcia, co może z tego wyniknąć na przyszłość.

- Ern, przepraszam - powiedział Max, obejmując mnie za nogi.

- Nic się nie stało, kotku. Po prostu nie rób tego więcej. Babcia bardzo by się złościła. Obiecujesz?

- Dobrze. Mogę obejrzeć *Laboratorium Dekstera* na Cartoon Network? - zapytał już w połowie schodów.

- Chyba tak - odparłam niepewnie. Co, u licha, stało się z takimi bajkami jak *Andy Pandy* czy *Bagpuss*?

Weszłam do kuchni. Może i wypiłam gorącą słodką herbatę,

ale kawa była nadal moim ulubionym napojem.

- Boże! - krzyknęłam na widok Paula. - Zupełnie zapomniałam, że tu czekasz!

- Wszystko w porządku?

- Nie - westchnęłam, wsypując świeże ziarna do młynka do kawy. Miałam nadzieję, że jego okropny hałas zdoła zagłuszyć moje myśli. Udało się. Ale tylko na krótką chwilę.

- Co się stało Bronte? - zapytał Paul.

- Przedawkowała kokainę. Tych dwoje było z opieki społecznej.

- Przyszli z powodu Maksa? - Tak.

Przygryzłam wargę. Naprawdę chciałam zostać sama. Duchy przeszłości już się gromadziły wokół wyłomu w moim pancerzu, gotowe wyrwać się spod kontroli.

Skupiłam całą uwagę na staromodnym ekspresie do kawy.

- Erin, może będę ci w stanie pomóc.

Unikając jego wzroku, ustawiłam kubki na kuchennym stole. Nie miałam już po prostu siły na kolejne przesłuchanie, a byłam pewna, że to się właśnie zbliża.

- Chciałabym zostać teraz sama - powiedziałam cicho.

- Musisz o tym z kimś porozmawiać. Nie poradzisz sobie z tym wszystkim bez niczyjej pomocy.

Roześmiałam się gorzko.

- Zawsze zajmowałam się wszystkim sama. Przez całe życie.

- Ale teraz to zupełnie co innego! Bronte potrzebuje fachowej pomocy - Zamilkł na chwilę. - Ty też.

- Tak, wiem! Znajdę Bronte adwokata. Załatwię jej odwyk i terapię u psychologa. Będę współpracować z ludźmi z opieki społecznej. Trochę jednak wiem o ochronie praw jednostki!

- Nie o to mi chodziło.

- W takim razie o co?

- Przez przypadek słyszałem część twojej rozmowy z tym facetem.

- Podśluchiwałeś, ty sukinsynu!

- Uspokój się! To był przypadek... Ja...

- Kłamiesz! Nie mogłeś się już doczekać, żeby usłyszeć to...

- Przestań! - przerwał mi. - Natychmiast przestań! Przyznaję, że usłyszałem więcej, niż powinienem, ale nie planowałem tego, ani...

- Wynoś się! Nie chcę więcej tego słuchać! To była prywatna rozmowa - krzyknęłam, dygocząc na całym ciele.

Już i tak wystarczy, że dowiedzieli się o tym pracownicy opieki społecznej, ale dziennikarz z brukowca? Chryste. Bałam się nawet o tym myśleć.

- Boże, Erin. Ależ ty jesteś upierdliwa. Przecież nie ujawniłbym...

- Co słyszałeś? - zapytałam szybko.

Paul odsunął krzesło i usiadł przy stole. Zawahałam się przez chwilę, a potem poszłam w jego ślady.

- Twój brat popełnił samobójstwo, a poza tym, cóż, pomiędzy nim a Bronte były pewne, hm, zatargi.

- Eufemistycznie mówiąc - wymamrotałam.

- No dobra. Znęcał się nad nią. Zadowolona?

- Odpieprz się.

- No, no, co za słownictwo.

- A czego się spodziewałeś? - wysyczałam. - Moi rodzice nadal nie wiedzą, co się stało Bronte! Będę im to musiała, do cholery, powiedzieć. Wściekną się i oczywiście znowu ja będę wszystkiemu winna. Tak jak wtedy z Lelandem. Powiedzą, że to moja wina, bo nie opiekowałam się siostrą!



Paul popatrzył na mnie uważnie, a ja zaczęłam z całego serca żałować, że w ogóle go wpuściłam.

- Czy dlatego Leland popełnił samobójstwo? Bo się nim nie zaopiekowałaś?

- Co za bzdura! Ale matka uwielbia obarczać mnie winą, kiedy tylko nadarzy się jej okazja.

- Dlaczego?

- To łatwiejsze, niż przyznać, że sama zawiniła.

- A ty ją winisz za to, co się stało? - Nie!

- Ale uważasz, że Bronte jest winna temu, co się jej przydarzyło?

- Czy ty chodzisz na jakieś wieczorowe kursy z psychoanalizy?

- Wstałam z krzesła i wzięłam do ręki dzbanek do kawy. Dlaczego, do cholery, opowiadam mu to wszystko? Co to u diabła ma z nim wspólnego?

- Staram się tylko pomóc. Widzę, że jesteś zdenerwowana.

- Nie jestem zdenerwowana, tylko wściekła.

- Na kogo?

Gdyby Bronte nie zerwała się do baru, to wszystko w ogóle by się nie wydarzyło. Nie musiałabym opiekować się jej synkiem w momencie, kiedy straciłam pracę, a w domu zjawili się obcy ludzie, żeby grzebać w jej szufladach.

- Nie powinnaś winić swojej siostry, Erin.

- A to dlaczego?

- Kiedy dzwoniłaś do mnie wcześniej, sądziłaś, że całe to zdarzenie może mieć związek z morderstwem Lucy Grant.

- Bo tak podejrzewałam, dopóki się nie dowiedziałam, że Bronte zaczęła wyciągać różne sprawy z przeszłości.

- A nie jesteś bardziej zdenerwowana tym, co ujawniła? Tym, co zrobił wam obu Leland?

- To było dawno temu! Nie rozumiem, dlaczego w ogóle musiała to wywlekać. To prawda, Leland znęcał się nad nami. Tylko co zyskamy, sprawiając rodzicom jeszcze większy ból?

- Znam kogoś, z kim mogłabyś porozmawiać - powiedział cicho.

- Dziękuję, poradzę sobie - odparłam, w myślach przeklinając samą siebie. Zawsze byłam przecież taka rozważna, tak opanowana. - Doceniam twoją troskę - dodałam - ale naprawdę muszę się teraz zająć paroma rzeczami. Nie będziesz mi chyba miał za złe, że nie odprowadzę cię do drzwi, prawda?

Paul zmarszczył brwi, ale nic mnie już to nie obchodziło. Zostawiłam go w kuchni i weszłam na górę, żeby zajrzeć do Maksa. Oglądał swoją głupiutką kreskówkę, chichocząc przy tym radośnie. Miałam nadzieję, że nikt nie odbierze mu nigdy tych prostych przyjemności. Przez chwile stałam cicho w drzwiach, próbując uporządkować myśli.

Unieważnić karty kredytowe. Przygotować rzeczy dla Bronte. Znaleźć dla niej dobrego adwokata. Załatwić jakąś opiekunkę dla Maksa. Zadzwoić do matki. Wtuliłam głowę w ramiona. Mój Boże. Jeszcze to mnie czeka.

Nagle poczułam się bardzo zmęczona i nieszczęśliwa. Dopiero po chwili uświadomiłam sobie, że Paul z kimś rozmawia. - ...bardzo ostrożnie, tak, oczywiście... hm, chodzi chyba o przemoc pomiędzy rodzeństwem... Nie, jasne, że rozumiem... Porozmawiam z nią, na pewno się ze mną zgodzi... Tak... dzięki, mam wobec ciebie dług wdzięczności.

To zmroziło mi krew w żyłach. Czyżby kolejny artykuł na wyłączność? Najświeższe, fantastyczne rewelacje na temat dynastii Patersonów?

Nie wiedziałam, co począć. Paść na kolana i błagać, żeby tego

nie robił? Zdobyć zakaz sądowy? Zatłuc go na śmierć laską? Nigdy nikim tak nie gardziłam, jak nim w tej właśnie chwili.

Paul wyłonił się z korytarza prowadzącego do kuchni. Nie byłabym teraz w stanie zapanować nad słowami, więc cofnęłam się, żeby mnie nie zauważył. Miałam ochotę rzucić się na niego z pięściami.

Kiedy w końcu poszedł, zatrzasnąwszy za sobą ciężkie drzwi wejściowe, zbiegłam szybko po schodach i wyjrzałam przez okno. Właśni wybierał kolejny numer w swojej komórce. Przez ostatnie trzy dni nabrał mnie już trzykrotnie. Jak mogłam być taka głupia?

Oparłam plecy o chłodne witrażowe drzwi. Czułam się aż do bólu samotna. Samotna i maleńka. Nie miałam nikogo, komu mogłabym zaufać, do kogo mogłabym się zwrócić. Nagle zadzwonił telefon. Przez chwilę wahałam się z jego odebraniem, bo bałam się, że to Paul.

- Erin? Byłam przekonana, że do mnie zadzwonisz. Udało ci się znaleźć Bronte? - matka była naprawdę wkurzona.

- Tak, znalazłam ją.

- Och, to dobrze. A widzisz, mówiłam ci, że przesadzasz.

- Bronte jest w szpitalu - powiedziałam.

- Co takiego? - krzyknęła zdumiona. - Co się stało Bronte? Gdzie ona teraz jest? Czy wszystko z nią w porządku? Jest ranna?

- Nie wiem. W Victoria Infirmary. Nie i tak.

- Wygadujesz kompletne bzdury!

- No cóż, może po prostu wrócisz do domu i sama zajmiesz się swoją córką. Mam dosyć bycia matką zastępczą - powiedziałam i odłożyłam słuchawkę. Niemal natychmiast telefon rozdzwonił się znowu. Matka od razu nacisnęła pewnie ponowne wybieranie numeru, żeby wygarnąć mi parę słów na temat mojej

bezczelności. Nie podnosiłam słuchawki, bo wiedziałam, że to doprowadzi ją do białej gorączki.

Weszłam z powrotem na górę i zaczęłam przekopywać szuflady biurka w pokoju Bronte w poszukiwaniu wykazu kart kredytowych albo wyciągów z konta, ale moja siostra najwyraźniej nie gromadziła tych wszystkich papierzysk, które są przekleństwem dorosłości.

- Ern! - zawołał Max ze swojego pokoju. - Telefon dzwoni.

- Wiem, kochanie.

Telefon wciąż dzwonił, na chwilę przestawał, a potem zaczynał dzwonić od nowa.

- Mam go odebrać? - dopytywał.

- Nie, słoneczko. To jakieś uszkodzenie na linii.

Po fakcie uświadomiłam sobie, że mogłam darować sobie te poszukiwania, bo przecież Bronte pewnie nie płaciła swoich rachunków. Poszłam do sypialni matki. Musiałam jej przyznać, że łatwo się nie poddawała, choć to ciągłe dzwonięcie doprowadzało mnie do szału. Poczekałam, aż telefon znowu przestanie na chwilę dzwonić i odłożyłam słuchawkę. To powinno załatwić tę starą wariatkę. Potarłam dłońmi twarz, starając się zebrać siły, żeby przeszukać należący do matki sekretarzyk z żaluzjowym zamknięciem.

Rachunki, paragony, prywatne listy i służbowa korespondencja - wszystko było wymieszane razem. Jak matce udaje się znaleźć cokolwiek w tym bałaganie, pozostanie dla mnie niezgłębioną tajemnicą.

Kiedy otworzyłam szufladę po lewej stronie, wiedziałam od razu, że trafiłam na coś wyjątkowo dla matki cennego. Listy i kartki były starannie ułożone i powiązane czarnymi wstążkami. Dwie schludne paczki zawierały kartki i telegramy z

kondolencjami, których nawet nie przeglądałam. Pod spodem znajdowały się dwie duże szare koperty, które ostrożnie wyjęłam.

Podeszłam do łóżka matki i delikatnie wyjęłam zawartość większej z kopert. Wiedziałam, że będę musiała odłożyć wszystko dokładnie w takiej samej kolejności. W środku znajdowały się wszystkie świadectwa i dyplomy, jakie kiedykolwiek zdobył Leland, poczynając od świadectwa ukończenia przez niego pierwszej klasy fortepianu. Wszystko przechowywane z troską i miłością. Zastanawiałam się, czy matka zatrzymała choć jedno moje świadectwo.

Przeglądając wycinki prasowe, pomyślałam z zaskoczeniem, jak bardzo zmieniły się czasy. W żadnej z gazet nie było jakichkolwiek spekulacji na temat wątpliwości dotyczących śmierci Lelanda, opisywanej po prostu jako straszna tragedia.

Niejaki Jonathan Moncreiffe, którego mgliście sobie przypomiinałam, widział, jak Leland wypływa w morze łódką i to on znalazł list pożegnalny mojego brata. Byłam zawiedziona, że nie natknęłam się pośród szpargałów w szufladzie na tę kartkę, ale może matka nie chciała przechowywać tak bolesnej pamiątki. Nigdy tego listu nie czytałam i tak naprawdę nie wiedziałam, co napisał w nim mój brat.

Wsunęłam wszystkie papiery z powrotem do koperty, dokładnie tak, jak je znalazłam, i zajrzałam do drugiej. Przeglądając najbardziej osobiste rzeczy matki, nie mogłam się pozbyć przyprowadzającego o gęsią skórkę wrażenia. Czułam się tak, jakby ktoś mnie obserwował.

W drugiej kopercie znajdowały się kartki i listy, które Leland pisał do matki. Zgięcia na listach były głębokie, a kartki zniszczone. Jak często matka wyjmowała te pamiątki, żeby

opłakiwać swoją stratę?

Odłożyłam wszystko z powrotem i zajrzałam do prawej szuflady, ale znalazłam tam tylko gumki recepturki, spinacze do papieru, długopisy i inne śmieci. Powinnam chyba przejrzeć teraz szuflady w kuchni.

Kiedy zamykałam sekretarzyk, moją uwagę przyciągnęła koperta na dokumenty z nadrukiem naszej firmy Ostrożnie wyciągnęłam ją spod całej góry poczty, która w każdej chwili mogła rozsypać się na wszystkie strony.

Dokumenty i list adresowany do matki nosiły datę drugiego września.

*Szanowna Pani!*

*W związku z ustaleniami naszego wcześniejszego spotkania będziemy wdzięczni, jeżeli zechce Pani podpisać i odesłać załączone dokumenty. Prosimy o pozostawienie sobie jednej kopii i dołączenie jej do swoich akt.*

*Rozwiązanie kancelarii prawnej Paterson, Paterson & Co. jest przewidywane na drugą połowę września 1999 roku, w zależności od najdogodniejszego terminu połączenia z kancelarią prawną Cohen Freidmann.*

*Nowa spółka będzie nosić nazwę Cohen Paterson... Sir Maxwell Paterson pozostanie nadal doradcą prawnym firmy, a jego udział w zyskach nie ulegnie zmianie...*

Przeczytałam dokument ponownie, a potem jeszcze raz.

Matka podpisała dokumenty w imieniu ojca. Tego naprawdę już za wiele. Własna rodzina sprzedała mnie, zdradziła. Czym sobie na to zasłużyłam?

Do sypialni zajrzał Max.

- Ern, nudzi mi się - jęknął, wdrapując się obok mnie na łóżko.

- A co to jest? - zapytał, pokazując na dokumenty, które trzymałam w zeszywniałej dłoni.

Popatrzyłam na niego nieprzytomnym wzrokiem.

- Albo ostatni gwóźdź do trumny, albo moja przepustka do wolności.

- Ojej, trumny są straszne. Niech to będzie ta druga rzecz. A co dostaniesz? Zabawkę?

- Nie. Najwyraźniej dostałam właśnie kolejną szansę, żeby zacząć wszystko od nowa.

- To nie będzie zabawka? - dopytywał rozczarowany chłopiec.

- Nie, kochanie. To nie zabawka.

Zgarnęłam do torby parę ubrań i zabawek Maksa, napisałam do rodziców kartkę z informacją, że zabieram go do siebie i że powinni unieważnić wszystkie karty kredytowe Bronte. Co prawda, powinnam chyba na nich poczekać i wyjaśnić im dokładniej, co się stało, ale nie zamierzałam tego robić.

Kiedy odjeżdżaliśmy sprzed domu, niebo zaciągnęło się chmurami. Popatrzyłam na mewy krążące nad stawem. Obecność tylu ptaków w głębi łądu mogła oznaczać tylko jedno - nadciąga burza.

- Pojedziemy dzisiaj do mamusi?

- Tak, ale jeszcze nie teraz. Najpierw wpadniemy do domu.

- Tęsknię za nią - westchnął Max.

- Wiem, kotku, ale mama nie czuje się jeszcze na tyle dobrze, żebyś mógł ją odwiedzić.

- Tak jak ja wczoraj? - zainteresował się malec.

- Tak jak ty wczoraj.

Jak to możliwe, że to wszystko wydarzyło się zaledwie wczoraj. Moje życie naprawdę pędzi do przodu.

- Czy mamusia umrze?

- Skąd! Zanim się obejrzysz, mama będzie zdrowa. Obiecuję.

- A jak umrze, to pójdzie do nieba?

- Mamusia pójdzie do nieba, dopiero kiedy zrobisz się



naprawdę bardzo, bardzo duży i będziesz już miał własne dzieci.

Zanim dojechaliśmy do mojego mieszkania, rozszalała się burza. Wielkie krople jesiennego deszczu rozpryskiwały się na przedniej szybie samochodu, a przechodnie natychmiast przemakali do suchej nitki. Kiedy wjeżdżaliśmy na podziemny parking, zerwał się wiatr. Rozwiewane jego lodowatymi podmuchami liście wirowały wokół naszych stóp. Spojrzałam do samochodu, zastanawiając się, jak u licha zdołam wnieść te wszystkie pudła do swojego apartamentu na ostatnim piętrze. Czasami facet jednak się przydaje.

Zabrałam nasze ubrania, zabawki Maksa i wjechaliśmy na górę. Na parkingu nie zauważyłam samochodu Paula, byłam więc pewna, że nie ma go w domu. Miałam nadzieję, że dwulicowy drań zmoknie gdzieś na deszczu i złapie zapalenie płuc.

Max popędził natychmiast do swojego pokoju, podekscytowany tą nieoczekiwaną przygodą. Cieszyła mnie jego obecność, bo moje ukochane mieszkanie pełne teraz było jakichś nieokreślonych lęków, które unosiły się w powietrzu, osiadając na wszystkim niczym kurz.

- Ern? - zawołał Max, wysuwając głowę ponad poręczą. - Ciągle nie wolno mi wchodzić do kuchni?

Podniosłam wzrok znad automatycznej sekretarki, sygnalizującej osiem nowych wiadomości.

- Nie, kochanie, możesz chodzić wszędzie, gdzie tylko chcesz.

- A mogę zbudować sobie kryjówkę?

- Tak, ale w swoim pokoju.

- Hura! - Max zanurkował z radosnym okrzykiem w bieliźniarce, wyciągając z niej koce i kołdry.

Nacisnęłam guzik odtwarzania w automatycznej sekretarce.

Najstarsze wiadomości były od Liz, Douglasa i Karen. Wszyscy troje prosili, żeby do nich oddzwonić. Nie byłam pewna, kiedy to zrobię, bo dręczyły mnie wyrzuty sumienia. W końcu to z mojego powodu cała trójka zrezygnowała z pracy, a ja nie wiedziałam, jak uporać się z tym problemem. Referencje od Erin Paterson nie będą stanowiły zbyt dobrej rekomendacji w innych kancelariach prawniczych.

Dzwonił też ktoś z firmy zajmującej się wstawianiem podwójnych szyb w oknach i sekretarka z Izby Adwokackiej. Te telefony na pewno zignoruję. Była też dziwna wiadomość od jakiegoś zarządcy nieruchomości z pytaniem, kiedy będę chciała obejrzeć biuro w centrum miasta, które jest akurat do wynajęcia. Uznałam, że to po prostu pomyłka.

Kolejna wiadomość była od sierżanta Marshalla, który dopytywał się o zdrowie Bronte i przeproszał, jeśli poprzedniego wieczora zaszło jakieś „nieporozumienie”. Prosił też, żeby oddzwonić do niego z najświeższymi informacjami. A niech cierpi, pomyślałam. Żołądek podszedł mi do gardła, kiedy usłyszałam głos Paula.

- Erin, właśnie kazałaś mi wyjść. Nie wiem, co dokładnie się wydarzyło, ale musisz jak najprędzej skontaktować się z nadinspektorem Kelmanem i przekazać mu wszystkie informacje. Zaufaj mi. Możesz być w wielkim niebezpieczeństwie. Zadzwoń do Kelmana.

Zaufać mu? I on ma jeszcze czelność mnie o to prosić? Nacisnęłam przycisk „Usuń” i przypadkowo wykasowałam wszystkie wiadomości.

Przeklinając Paula pod nosem, weszłam na górę, gdzie Max układał właśnie wielką górę z kołder.

- Chciałabym wziąć prysznic. Poradzisz sobie przez chwilę

sam? - żadnej odpowiedzi. - Nie otwieraj nikomu drzwi, nie odbieraj domofonu ani telefonu, dobrze?

- Aha - wymamrotał Max i zanurkował pod kołdry.

Ze znużeniem odkręciłam kurek z gorącą wodą i przez kilka minut stałam pod jej przynoszącym ulgę strumieniem. Musiałam naładować akumulatory, zanim zabiorę się za odbudowywanie swojego życia i reputacji. Żaden policjant czy dziennikarz nie splami już oszczerstwami dobrego imienia mojej rodziny. Jestem przedsiębiorcza, wykształcona i inteligentna. I nie mam zielonego pojęcia, od czego zacząć.

Owinęłam się w kąpielowy ręcznik i wróciłam do sypialni. Wycierałam właśnie włosy, kiedy nagle usłyszałam jakiś głos. Głos mężczyzny. Wypadłam z sypialni.

- Co ty tu u diabła robisz? - wrzasnęłam na widok Paula, siedzącego na kanapie razem z Maksem.

- Przyszedłem zaoferować ci swoją pomoc - wyjaśnił.

- Nie potrzebuję twojej cholерnej pomocy. Wynoś się stąd.

- A ja sądzę, że jednak potrzebujesz - odparł Paul, wstając z kanapy. - Uspokój się i wysłuchaj, co mam ci do powiedzenia.

- Kolejne kłamstwa? Świetnie! Nie nasłuchiwałam się ich jeszcze dość w tym tygodniu! - popatrzyłam na Maksa, a potem z powrotem przeniosłam wzrok na Paula. - Jak tu wszedłeś?

- Powiedziałaś „cholерnej”. To brzydkie słowo - wtrącił się Max.

- Pukałem, ale nie otwierałaś, więc skorzystałem z kluczy, które zostawił mi Alex - powiedział Paul ze skruszoną miną. - Zapomniałem ci o tym wcześniej powiedzieć.

- Kiedy dał ci te klucze?

- Wczoraj po południu. Gdzieś tak koło trzeciej. Zostawił też list do ciebie. Położyłem go na stoliku.

Na razie nie zwracałam sobie głowy czytaniem listu. To może jeszcze poczekać. Max pociągnął za mój ręcznik, przypominając mi w ten mało przyjemny sposób, że jestem prawie naga.

- Gdzie jest Alex? - dopytywał, rozglądając się wokół, jak gdyby mój były chłopak mógł się nagle w jakiś cudowny sposób zmaterializować w mieszkaniu.

- Wyprowadził się.

- Dlaczego?

- Nie chciał być już dłużej moim przyjacielem. Usiadłam na oparciu kanapy i przygarnęłam chłopca do siebie.

- Nic się nie stało - powiedział Max, zerkając na Paula. - Masz teraz nowego przyjaciela.

- Nie skończyłeś jeszcze budowy swojej kryjówki, Max? Może pójdziemy ją sobie obejrzyć, a Erin w tym czasie się ubierze? - zaproponował Paul.

- Do kogo dzwoniłeś z domu moich rodziców?

- Zadzwoiłem na twój domowy numer, żeby zostawić ci wiadomość, a poza tym skontaktowałem się ze znajomą, która może będzie wam w stanie pomóc. Później ci to wszystko wytłumaczę.

- Mam nadzieję.

- Jest choć jedna osoba na świecie, której ufasz?

Zastanowiłam się przez chwilę.

- Nie. Teraz już nie.

Ubrałam się szybko i podsuszyłam włosy suszarką. Nie mogłam się już doczekać tych wyjaśnień. Po chwili Paul zakończył inspekcję kryjówki Maksa i dołączył do mnie w kuchni, gdzie parzyłam właśnie świeżą kawę.

- Pracowaliśmy kiedyś z Kelmanem nad pewną sprawą, w której pojawiło się także nazwisko Lelanda - powiedział wprost.

- To musiało być chyba dosyć dawno.

- Piętnaście lat temu - Paul zaczął się bawić filizanką. Wpatrywałam się w niego wyczekująco. Musiałam poznać prawdę. - Doszło wtedy do serii morderstw i twój brat znalazł się w grupie podejrzanych. Należał wtedy do takiej niby tajnej sekty...

- Tajna sekta? - powtórzyłam pogardliwie, ale z wolna zaczynały do mnie powracać maleńkie skrawki wspomnień. - To była tylko banda chłopaczków z prywatnej szkoły, próbujących podbudować swoje ego, jak te żalosne grupy z Oksfordu czy Cambridge! Wymyślili jakąś bzdurną nazwę, Wielkie Umysły, czy coś takiego! Teraz zarządzają pewnie bankami swoich tatusiów.

- Mamy poważne powody, aby przypuszczać, że twój brat uczestniczył w rytualnych torturach i zbiorowych gwałtach. Nawet jeśli on nie żyje, ktoś kontynuuje jego...

- Wyjaśnijmy coś sobie od razu. Obaj z nadinspektorem Kelmanem uważacie, że jakiś znajomy Lelanda sprzed kilkunastu lat zaczął popełniać te straszne morderstwa... I dlaczego nawet słówkiem nie wspomniałeś o tym, że Kelman był kiedyś twoim partnerem? Wtedy, gdy rozmawialiśmy o Lucy i Abigail? Dlaczego nic mi nie powiedziałeś?

- A jak miałem ci o tym powiedzieć? „Przepraszam, Erin, co prawda dopiero od niedawna znowu ze sobą rozmawiamy, ale musisz wiedzieć, że twój ukochany zmarły brat był podejrzewany o popełnienie kilku morderstw”?

- Może Leland zachowywał się wobec mnie i Bronte jak potwór, ale co to ma teraz za znaczenie? Przecież on nie żyje! Nie możesz go chyba obwiniać o śmierć Lucy i Abigail?

- Chcemy, żebyś nam pomogła stworzyć profil mordercy.

- Po jaką cholere? Leland nie żyje! Nie dociera to do ciebie?

- To, z czym mamy teraz do czynienia, przypomina co do joty tamte wydarzenia z przeszłości! Wygląda to zupełnie tak, jakby ten morderca naśladował twojego brata. Gdybyś pomogła nam wypełnić luki... - Paul wyciągnął dłoń ponad zimnym marmurowym stołem, żeby dotknąć mojej ręki, ale ją wyszarpnęłam. Skąd on się urwał, że tak mnie ciągle obmacuje?

- Chyba powinienes już sobie iść - powiedziałam. - I to natychmiast!

- Przestań ze mną walczyć. Nie jestem twoim wrogiem! - krzyknął, zrywając się od stołu.

- Jak śmiesz podnosić na mnie głos?!

- Jesteś tak cholernie agresywna, a przecież próbuję ci tylko pomóc.

- Nie potrzebuję twojej pomocy. Ani kogokolwiek innego.

- Jeszcze nie spotkałem osoby, która potrzebowałaby jej bardziej od ciebie.

- To nieprawda. Chcę tylko, żeby wszyscy się ode mnie w końcu odczepili. To moja rodzina i mój problem. A ty idź zbawiać świat gdzie indziej!

- Jesteś chyba najwstrętniejszą babą, jaką zdarzyło mi się w życiu spotkać. I nie masz za grosz dobrego wychowania - odciął się Paul, siadając z powrotem przy stole. Już otwierałam usta, żeby odpowiedzieć jakąś celną ripostą, ale mnie ubiegł. - Nie mówiąc już o tym, że jesteś strasznie upierdliwa.

Zamurowało mnie. Paul wykazał się niesamowitą wręcz powściągliwością w obliczu mojej agresywnej postawy. Niewiele osób, zwłaszcza mężczyzn, potrafiło sobie ze mną poradzić.

- Możemy wrócić do początku? - zapytał znużonym głosem.

- To znaczy? Chodzi ci o ten moment, kiedy poprosiłam cię, żebyś wyszedł?

- Na miłość boską, po prostu opowiedz mi o swoim bracie!
- To i tak nie ma żadnego znaczenia. Leland nie żyje.

Paul podparł się rękami i zaczął mnie przekonywać, jakbym była małym dzieckiem.

- Im więcej dowiemy o Lelandzie, tym łatwiej będzie nam złapać mordercę.

- Staralam się trzymać od niego jak najdalej. Od jego przyjaciół też.

Zawsze bałam się Lelanda, naprawdę bardzo się go bałam. Kiedy byłam nastolatką i potem, już w dorosłym życiu, próbowałam wymazać z pamięci tamten ból i strach. Udało mi się pogrzebać te wspomnienia i nie chciałam do nich więcej wracać. A teraz okazuje się, że Leland może mnie dręczyć nawet zza grobu.

Paul zmrużył oczy.

- A co pamiętasz z okresu, kiedy twój brat mieszkał w Edynburgu?

- Naprawdę niewiele - wyznałam szczerze.

W rok po wyjeździe Lelanda na uniwersytet ja też opuściłam dom rodzinny, wybierając jednak Glasgow. W Edynburgu chodziłam do szkoły z internatem i przez jakiś czas rozważałam nawet możliwość rozpoczęcia w tym mieście studiów, nie chciałam jednak pozostawać w cieniu Lelanda.

- Kompletnie nic nie pamiętasz?

- Leland chodził na spotkania klubu dyskusyjnego. Prowadził światowe życie, obracał się wśród ludzi z towarzystwa. Zadawał się z tymi facetami, o których wspominałeś. Uważali się za intelektualistów i wielkich uwodzicieli.

- Byłaś zaskoczona, kiedy Leland popełnił samobójstwo?

- Raczej tak. Podobał mu się taki styl życia, a przynajmniej

takie sprawiał wrażenie. Sporo czasu i pieniędzy poświęcał na podróże w czasie wakacji. Mama opowiadała jakieś niestworzone historie, że Leland wygrał konkurs literacki czy oratorski, ale zawsze podejrzewałam, że to rodzice finansowali jego wycieczki.

- A pamiętasz jego przyjaciół?

- Jednego z nich, Jonathana Moncreiffa. Był z Lelandem w ten weekend, kiedy mój brat popełnił samobójstwo i to on znalazł list pożegnalny. Wyczytałam to w starym wycinku prasowym, który znalazłam w domu rodziców.

- Poznałabyś któregoś z nich, gdybym ci pokazał kilka zdjęć?

- Naprawdę nie wiem. Ale jaki miałyby to w ogóle sens?

Zanim Paul zdążył odpowiedzieć, zadzwonił telefon.

- Halo. Pani Erin Paterson?

- Tak - odparłam niecierpliwie.

- Mówi nadinspektor Kelman. Czy zechciałaby pani odpowiedzieć na kilka moich pytań?

- A czy to coś zmieni, jeśli się nie zgodzę?

- Bylibyśmy naprawdę wdzięczni...

- Panie Kelman, proszę mi powiedzieć, jak dobrze zna pan Paula Gabriela? - zapytałam, nie spuszczając wzroku z Paula.

- Bardzo dobrze. Mogę wejść na górę? Jestem przed pani domem...

Odłożyłam słuchawkę i nacisnęłam guzik domofonu.

- Przepraszam, że nie powiedziałem ci wcześniej... - zaczął się tłumaczyć Paul, ale mu przerwałam.

- Wcześniej? To znaczy, zanim stałam się następną w kolejce? Kiedy dokładnie miałeś mi to zamiar powiedzieć?

Paul podniósł ręce do góry.

- Po prostu pozwól mi dokończyć. Kelman to dobry człowiek, ale nie mogłem ci nic powiedzieć, dopóki on się nie zgodzi. Tu



chodzi o morderstwa. Zwykła uprzejmość musi zejść na drugi plan.

Rozległo się pukanie do drzwi, ale nawet nie drgnęłam. Paul wstał i po chwili wrócił do kuchni z Kelmanem. Obaj usiedli naprzeciwko mnie.

- A więc mój brat był podejrzewany o popełnienie serii morderstw? - zapytałam sarkastycznie.

- Panno Paterson, musi pani zrozumieć, że po przeprowadzeniu wstępnego śledztwa wszystkie tropy się urwały. Śmierć pani brata wzbudziła nasze podejrzenia, ale nie było żadnych dowodów na to, że to nie było samobójstwo.

- Co takiego? Sądzi pan, że Leland mógł zostać zamordowany?

- Podejrzewaliśmy udział osób trzecich.

- Kogo? Któregoś z przyjaciół Lelanda?

- Być może. Doszliśmy do wniosku, że w grupie, do której należał pani brat doszło do walki o władzę. Leland był oczywiście numerem jeden, ale jeśli któremuś z jego kumpli też zamarzyła się pozycja lidera, kto wie?

To nie może być prawda, pomyślałam. Przecież jesteśmy w Szkocji, na Boga. Mamy tu zabójstwa o podłożu religijnym, czy przestępstwa związane z narkotykami, ale przecież nie seryjnych morderców. Takie rzeczy zdarzają się tylko w Stanach Zjednoczonych.

- To najbardziej nieprawdopodobny, idiotyczny stek bzdur, jaki kiedykolwiek słyszałam - powiedziałam do Kelmana, który wyglądał na trochę zaskoczonego moim atakiem. - Gdzie są dowody? Najpierw mówi mi pan, że mój zmarły brat był prawdopodobnie seryjnym mordercą i być może zginął z ręki jednego ze swoich zwolenników, który teraz go naśladuje. I do tego wszystkiego twierdzi pan, że ten morderca próbuje teraz

dopaść mnie? Zdaje pan sobie sprawę, jak idiotycznie to wszystko brzmi?

- Tak - odparł Kelman.

- Przynajmniej w tym się zgadzamy.

- Niezupełnie. Paul powiedział mi o przedawkowaniu narkotyków przez Bronte i o jej okaleczeniu. To może mieć związek z tą sprawą. Seryjni mordercy zwykle działają według ustalonego schematu. Mają swoje rytuały, jeśli to określenie bardziej pani odpowiada. Zwykle wybierają ten sam typ ofiary i zadają podobne rany...

Nagle do kuchni wpadł Max.

- Ern! Chodź zobaczyć mój statek piracki! - zawołał i nagle stanął jak wryty. - Pan też jest przyjacielem Ern? - zapytał.

- Tak, też jestem jej przyjacielem - Kelman uśmiechnął się. Max przyjął tę informację bez zbędnych pytań i chwycił mnie za rękę, zmuszając do pójścia za nim. Weszliśmy na górę do jego pokoju, gdzie z roztargnieniem pochwaliałam jego statek piracki. Wciąż nie mogłam się pozbierać po tym, co usłyszałam. Zbyt wiele spraw zważyło mi się na głowę. Seryjni mordercy, okaleczenie Bronte, wspomnienia z przeszłości.

- Fajnie, że masz teraz dwóch przyjaciół, bo wcześniej było ci smutno samej - powiedział Max, kiedy wychodziłam z jego pokoju.

Pocałowałam go w głowę, modląc się w duchu, aby nigdy nie dowiedział się o tym wszystkim. Kiedy wróciłam do kuchni, Kelman stał na tarasie i dzwonił gdzieś ze swojej komórki.

- Przepraszam, że nie powiedziałem ci wcześniej, ale nawet nie przypuszczałem, że tak się to wszystko potoczy - powiedział Paul.

- Specjalnie się tu przeprowadziłeś?

Przez chwilę milczał. Wiedziałam, że zastanawia się czy

skłamać, czy powiedzieć mi prawdę i już to wystarczyło mi za odpowiedź.

- Nie z tego powodu, o którym myślisz - odezwał się w końcu. Nie zamierzałam dłużej ciągnąć tego tematu. Wszystko było jasne. Wprowadził się tutaj, żeby być bliżej potencjalnej ofiary. Urocze.

- Naprawdę jesteś dziennikarzem i byłym policjantem? - Tak.

- Powiedz mi szczerze, dlaczego odszedłeś z policji?

Moje pytanie pozostało bez odpowiedzi, bo do środka wrócił Kelman.

- Pani siostra czuje się już lepiej i można ją będzie przesłuchać - powiedział, ocierając z twarzy krople deszczu. - Życzyła sobie, aby pani była przy tym obecna.

Skrzywiłam się. Po tym, co naopowiadała wszystkim naokoło? Chyba żartuje. A jeśli przypomniawszy sobie kolejne drastyczne historie z przeszłości?

- Nie mogę - powiedziałam szybko. - Nie mam z kim zostawić dziecka.

Kelman miał już gotową odpowiedź.

- Nie ma problemu. Chłopcem zajmie się specjalnie wyszkolona policjantka.

Bez przekonania wstałam, uznając swoją porażkę, kiedy zadzwonił telefon. Odebrałam dopiero po pięciu sygnałach z nadzieją, że ten ktoś po drugiej stronie w końcu się znudzi.

- Erin? Mówi sierżant Marshall. Dzwonię, żeby dowiedzieć się, co u twojej siostry. Zostawiłem ci wcześniej wiadomość.

Ostentacyjnie odwróciłam się plecami do Kelmana i Paula.

- Zdaje się, że już trochę lepiej.

- A jak ty się miewasz? - dopytywał Marshall zatroskanym głosem. Ku swojemu zaskoczeniu zarumieniłam się na samo

wspomnienie tego, jak mnie wcześniej podrywał.

- Bywało lepiej - odparłam.

- Bronte przypomniała coś sobie?

- Raczej nie. Ale właśnie wybieramy się do niej z wizytą.

- To dobrze. No cóż, jeśli będę mógł coś dla ciebie zrobić, cokolwiek, dzwoń. Nawet gdybyś chciała tylko pogadać. Nie powinnaś być sama w takiej chwili.

- Dziękuję. Naprawdę doceniam twoją troskę. Zwłaszcza, że dla Paula byłam jedynie przynętą na mordercę.

Bronte została przeniesiona do pojedynczego pokoju. Koło jej łóżka siedziała policjantka. Przystanęłam w drzwiach, podczas gdy Kelman wymienił swoje nazwisko, wspominając o ich wcześniejszym spotkaniu tamtego pamiętnego piątku, ale Bronte chyba w ogóle go nie pamiętała.

Wyglądała jeszcze gorzej niż przy mojej poprzedniej wizycie, o ile to w ogóle możliwe. Miała ciemne sińce pod oczami, a na twarzy i szyi wyskoczyła jej jakaś nerwowa wysypka. Kiedy mnie zauważyła, natychmiast wybuchła płaczem, wyciągając w moją stronę ramiona.

Przyłgnęła do mnie, wtulając twarz w mój bark, a ja kołysałam ją delikatnie w objęciach, poklepując przy tym uspokajająco. Ogrom jej żalu był porażający. W obliczu takiej rozpaczyny bładły wszystkie jej przewiny.

Kiedy tak próbowałam ukoić jej płacz, coś pękło w moim zasnutym mrokiem sercu. Duma może być czasem przydatnym orężem, ale wyzbycie się jej dało mi uczucie swobody.

- Przepraszam, Erin - szepnęła Bronte.

- Ja też, siostrzyczko, ja też. Powinnam się tobą lepiej opiekować - usiadłam twarzą do niej na brzegu łóżka i ujęłam jej dłonie. - Musimy zapomnieć o wszystkim, co pomiędzy nami

zaszło i trzymać się razem. Cokolwiek się wydarzy, musimy pamiętać, że mamy siebie nawzajem. I Maksa. To wszystko, czego nam trzeba.

- Max jest tutaj? Powiedziałaś mu, co się stało?

- Max jest na dole, z policjantką. Myśli, że masz grype żołądkową i chyba lepiej niech tak zostanie.

- Ale te siniaki? A moje włosy, no i mój... mój... palec...?

- Powiemy mu, że wpadłaś na... na... wózek w supermarkecie. Coś wymyślimy, dobrze?

Bronte pociągnęła nosem i wytarła go o przód swojej okropnej szpitalnej koszuli. Czułam się jak wyrodna siostra, że nie przyniosłam jej rzeczy, o które mnie prosiła.

Paul przysłuchiwał się wszystkiemu dyskretnie z korytarza, natomiast Kelman w końcu wtrącił się do rozmowy.

- Panno Paterson, czytałem zeznania, które złożyła pani wcześniej. Wiem, że to dla pani bardzo trudne, ale czy moglibyśmy porozmawiać o kilku sprawach?

Bronte skinęła głową.

- Powiedziała pani - rozpoczął Kelman, sadowiąc się na twardym plastikowym krześle - że jakiś mężczyzna podszedł do pani w Shawlands?

Bronte znowu pokiwała głową.

- To był ktoś znajomy?

- Raczej nie.

- Co powiedział?

- Chyba coś w rodzaju „Cześć, Bronte, co u ciebie słyhać? Dawno się nie widzieliśmy”.

- Z całą pewnością zwrócił się do pani po imieniu? Bronte spuściła wzrok na leżącą na łóżku narzutę.

- Tak. Wydawało mi się, że go znam, ale nie mogłam sobie nic

przypomnieć.

- Wydawało się pani, że go zna? Skąd?

- Często bywam w klubach - odparła Bronte, nie podnosząc oczu. - Spotykam wielu ludzi. Czasami w ogóle ich nie pamiętam.

- Dlatego, że jest pani zwykle pod wpływem używek?

Bronte popatrzyła na niego ostro.

- Zdarza mi się wypić za dużo, ale nigdy nie biorę narkotyków.

- W porządku, Bronte - Kelman uśmiechnął się łagodnie. -  
Wszyscy lubimy się czasem dobrze zabawić. To nie twoja wina. Po prostu po mieście grasuje jakiś chory facet. To on jest sprawcą, a ty ofiarą. Pamiętasz, jak wyglądał?

- Miał... czarne włosy i naprawdę bardzo niebieskie oczy i... i... wąsy. Tak, miał wąsy! - oczy Bronte rozszerzyły się wraz z tym nowym fragmentem wspomnień.

- A wzrost? Budowa ciała? - dopytywał Kelman, zapisując wszystkie informacje w notesie.

- Wysoki, chyba... przeciętnej budowy... - Bronte zaczęła okręcać w palcach róg prześcieradła.

- Co było potem?

- Zaczął mówić o barach, do których chodzę, dlatego pomyślałam, że to musi być jednak mój znajomy. Wspomniał też coś o - o... nocy.

- Nocy, którą spędziliście razem? - Kelman zapytał wprost, a Bronte przełknęła tylko ślinę. - I rzeczywiście tak było?

Bronte popatrzyła na mnie, a w jej oczach było tyle bólu, że zalała mnie fala współczucia.

- Nie wiem - wyszeptała w końcu.

- Mogła się jednak pani umawiać z nim wcześniej na randki, prawda? Chyba istnieje taka możliwość? - naciskał Kelman.

- Tak. Ale jestem pewna, że się z nim nie spotykałam! Na

pewno! Jak mogłabym zadawać się z kimś, kto jest zdolny do czegoś takiego? - wykrzyczała Bronte.

- Jednak wyszła z nim pani z tego lokalu, panno Paterson.

- Panie Kelman, nie podoba mi się pański tom - próbowałam interweniować, ale nadinspektor zupełnie mnie zignorował.

- Pamięta pani, dokąd panią zabrał?

- Poszliśmy na kawę do The Granary, a potem poczułam się trochę dziwnie, więc ten facet postawił mi brandy... Od tego jeszcze bardziej zakręciło mi się w głowie i nie mogłam ustać na nogach. On pomógł mi wyjść na dwór, dał mi miętówkę... a potem już nic nie pamiętam...

- Dokąd panią zabrał? Wcześniej mówiła pani, że znalazła się w piwnicy rodzinnego domu. Czy to prawda?

- Nie, to znaczy... tak powiedziałam, ale byłam wtedy na wpół przytomna. Wszystko mi się pomieszało. Nie wydaje mi się, żebym rzeczywiście tam była.

- Poza tym twierdziła pani, że byli tam również pani siostra Erin oraz wasz zmarły brat, Leland. Dlaczego tak pani powiedziała, skoro to nieprawda?

Bronte starała się na mnie nie patrzeć.

- Ja... miałam taki zamęt w głowie. To były wspomnienia... z przeszłości.

- A więc skłamała pani?

- Ja nie chciałam! Byłam taka oszołomiona, że sama nie wiedziałam, co mówię. Wydawało mi się, że to prawda, ale...

- Panno Paterson, a może wszystko, co nam pani powiedziała jest kłamstwem, historyjką, którą wymyśliła sobie pani, żeby zatuszować to, co się tak naprawdę wtedy wydarzyło?

- Tego już za wiele! - krzyknęłam. Kelman zastanawiał się przez chwilę, zacisnąwszy usta.

- Powiem pani, co tak naprawdę o tym myślę. Moim zdaniem zdobyła pani jakoś narkotyki, a potem zamarzyła się pani kolejna działka, tylko, że wtedy wszystko poszło nie tak. Dealer zażądał pieniędzy, ale pani nie miała przy sobie gotówki. Kiedy nie chciała pani zapłacić, a może zaproponowała mu w zamian jakieś świece, które wcześniej gdzieś pani zwędziła, facet obciął pani palec. I tyle. Nie było tak?

Bronte zakryła uszy rękoma. Chciałam jej wierzyć, ale musiałam przyznać, że wersja przedstawiona przez Kelmana brzmiała przerażająco prawdopodobnie.

- Pani siostra przeżyła okropną tragedię, czego głęboko jej współczuję - Kelman raptownie wstał.

- To dziwne, sądząc po sposobie prowadzenia przez pana tego przesłuchania.

- Możemy zamienić parę słów na osobności? Zerknęłam na Bronte, ale patrzyła gdzieś przed siebie nieobecny wzrokiem.

- Zaraz wracam - uścisnęłam uspokajająco jej dłoń i wyszłam za Kelmanem na korytarz, zamykając za sobą drzwi. - Co to miało do diabła znaczyć?

- Erin, naprawdę nie sądzę, żeby to zrobił ten sam mężczyzna - powiedział spokojnie Kelman.

- Dlaczego? Do cholery, przecież dzwonił do mnie! Powiązanie tego z wypadkiem mojej siostry nie wymaga chyba wielkiej wyobraźni.

- Po pierwsze, nie zabił jej. Po drugiej, nie ma śladów gwałtu i naprawdę mógł to być jej dawny chłopak albo dealer narkotyków. Po trzecie, morderca używał ketaminy, nigdy narkotyków, za których posiadanie grożą najwyższe kary. I po czwarte, Bronte nie jest w jego typie.

- Co to znaczy „nie jest w jego typie”? Kelman zaczął



przestępować z nogi na nogę.

- On zawsze wybiera „grzeczne dziewczynki”. Bronte pochodzi z dobrej rodziny, ale zachowuje się trochę... jak...

- DZIWKĄ? - prychnęłam. - To się nie liczy, bo moja siostra nie jest panienką, która dobrze się prowadzi i zawsze nosi spódnice za kolana? Nie rozumie pan, że on z nas drwi?! Skoro Bronte nie jest w jego typie, to dlaczego do mnie dzwonił?

Kelman i Paul wymienili spojrzenia.

- Dlatego, że pani jest w jego typie - powiedział Kelman. Byłam zaskoczona. Nigdy nie pomyślałabym o sobie w ten sposób.

- W takim razie dlaczego skrzywdził Bronte? Nie jesteśmy do siebie zbyt podobne. Poza tym zwrócił się do niej po imieniu. Wiedział, kim jest.

- Może to nie był morderca, tylko dealer, u którego zaopatrywała się w narkotyki. A może facet znał jej imię, bo kiedyś ją przeleciał.

Miałam ochotę mu przyłożyć.

- Moja siostra dostała to, na co zasłużyła. To właśnie chciał mi pan powiedzieć? Świetnie pan to sobie wydedukował! - nie czekając na odpowiedź, wpadłam do pokoju siostry i zatrzasnęłam im drzwi przed nosem.

- O co ta cała awantura? - zdziwiła się Bronte. Musiałam odetchnąć głęboko kilka razy, zanim byłam w stanie w ogóle się odezwać.

- Wszyscy faceci to idioci. Możesz mi wierzyć, wiem co mówię.

Usiadłam w milczeniu na krześle, ciągle kipiąc ze złości, a Bronte opadła z powrotem na poduszki i wbiła wzrok w sufit. Pocieszałam się w myślach, że przynajmniej nie została zgwałcona.

- Czy w tym, co powiedział Kelman, była choć odrobina

prawdy? - zapytałam w końcu. Bronte popatrzyła na mnie z gniewem.

- Jak możesz w ogóle o to pytać? Jak możesz?

- Przepraszam. Po prostu musiałam się upewnić.

Bronte mruknęła tylko z niezadowoleniem i zamknęła oczy. Siedziałyśmy tak przez chwilę w milczeniu.

- Myślisz, że Leland opowiedział komukolwiek o rzeczach, które nam robił? - Bronte otworzyła oczy.

- Ja... nie wiem. Czemu pytasz?

- Tak się... zastanawiałam.

Skinęłam głową, ale Bronte znowu odwróciła wzrok.

A więc nasze okaleczone dzieciństwo nie było tylko wytworem mojej chorej wyobraźni. Tyle że każda z nas poradziła sobie z tym na swój sposób. Ja rozwinęłam w sobie dużą samodzielność i agresywnie broniłam się przed bliższym związkiem uczuciowym czy fizycznym z drugim człowiekiem, podczas gdy Bronte stała się zależna od innych i zaborcza. Nagle rozległo się ciche pukanie do drzwi i do pokoju zajrzała policjantka.

- Hm, jeśli nie jestem już dłużej potrzebna... - szepnęła niezręcznie i uchyliwszy szerzej drzwi, wpuściła Maksa do pokoju. Potem pożegnała się z nami i wyszła. Poblady malec wpatrywał się przez chwilę bez słowa w swoją mamę. Oczy natychmiast zaszczyły mu łzami.

- Mamusiu - zawołał, podbiegając do łóżka. Bronte chwyciła go w ramiona i mocno do siebie przytuliła, a ja poczułam, jak wzruszenie ściska mnie za gardło. - Mamusiu, co się stało? - dopytywał z płaczem. Bronte popatrzyła na mnie błagalnie.

- Mamusię potrącił samochód. Trzeba zawsze rozejrzeć się najpierw w lewo, potem w prawo i znowu w lewo, pamiętasz?

- Ale powiedziałaś, że mamusia ma chory brzusek! - jęknął.

- Bo tak było, kochanie, ale potem potrącił mnie samochód - wyjaśniła Bronte.

- Ja też byłem chory - powiedział ze łzami w oczach.

- Naprawdę? I pewnie wymiotowałaś? - po policzku Bronte spłynęła łza.

- Taaak - Max był pod wrażeniem. - Skąd wiedziałaś?

- Mamusie wiedzą takie rzeczy - Bronte roześmiała się niewesoło, ale Max już zwrócił oskarżycielskie spojrzenie w moją stronę.

- Ern powiedziała brzydkie słowo i kłamała.

- Zdrajca - mruknęłam pod nosem.

- Naprawdę? - uśmiechnęła się Bronte. - W takim razie będziemy musieli ją ukarać, prawda?

- Tak! - Max aż klasnął w rączki. - Połaskoczemy ją. Odegrałam całe przedstawienie, chichocząc i wijąc się na twardym plastikowym krześle. Ponad podskakującą głową chłopca popatrzyłam w oczy Bronte.

Delikatne niteczki, które łączyły nas ze sobą, splotły się w mocne sznury. Szpital to naprawdę okropne miejsce. Po prostu wysysa z człowieka energię. Na dokładkę miałam tu ze sobą czterolatka i tysiące spraw do omówienia, których na razie nie mogłam poruszyć, tak że cała sytuacja stawała się wprost nie do zniesienia. Po godzinie wszyscy troje zaczęliśmy ziewać, marząc już tylko o śnie. Chciałam już wrócić do domu, ale miałam wrażenie, że byłoby to równoznaczne z opuszczeniem siostry w potrzebie. Ciche pukanie do drzwi trochę nas przestraszyło.

- Jakiś mężczyzna zostawił to dla pani - uśmiechnięta pielęgniarka weszła do pokoju, niosąc bukiet lilii tygrysich i dwie reklamówki.

Wzięłam od niej torby i zajrzałam do środka. W jednej

znajdowała się koszula nocna, szczoteczka i pasta do zębów, dezodorant i żel pod prysznic, w drugiej jabłka, winogrona, czekolada, kilka czasopism, sok pomarańczowy, kredki, książeczki do kolorowania i dwa małe pudełka klocków lego.

- Podał swoje nazwisko? - zapytałam pielęgniarkę, zanim zamknęła drzwi.

- Nie, ale był całkiem przystojny - odparła, mrugając okiem. - Przyniosę wazon na te kwiaty.

Popatrzyłam zaskoczona na Bronte, a ona szybko przejrzała zawartość toreb, które położyłam jej na kolanach.

- Zobacz, Max, klocki lego! I kredki, i książeczka do kolorowania - chłopiec natychmiast podbiegł do jej łóżka. - Jak myślisz, kto mógłby przynieść mi coś takiego? - Bronte uniosła do góry niezbyt twarzową koszulę.

- Hm. Może sierżant Marshall.

- A co to za jeden?

- To mój znajomy. Pomógł mi cię odszukać.

- Znajomy? - Bronte uśmiechnęła się porozumiewawczo.

- Zgadza się.

- Chyba próbuje zrobić na tobie wrażenie?

Wspaniale było znowu zobaczyć uśmiech na twarzy Bronte. Ja w jej sytuacji nie potrafiłabym się chyba zdobyć na coś więcej niż grymas.

- Może.

- Fajnie - intonacja jej głosu czyniła z tego jednego słowa coś pomiędzy pytaniem a żartobliwą uwagą.

- Uhm - mruknęłam obojętnie, bo widziałam, że Bronte ma ochotę znowu mi podokuczać. Podciągnęła się już nawet na łóżku, ale w tym momencie naszą uwagę przyciągnęła awantura na korytarzu.

- Teraz są u niej goście. Do sal można wchodzić tylko po dwie osoby - usłyszałyśmy głos pielęgniarki.

- Młoda damo! Odmawiasz mi wstępu do pokoju mojej córki, a ja nie zamierzam tego tolerować! Proszę natychmiast przyprowadzić siostrę przełożoną.

Drzwi otworzyły się i do pokoju majestatycznie wkroczyła nasza matka.

- Bronte! Kochanie! Moja biedna córeczko! - nie zaszczyciła mnie nawet jednym spojrzeniem, tylko ruszyła prosto w stronę łóżka i przygarnęła Bronte do piersi. - Co się stało, kochanie? Co on ci zrobił?

- Nic... nic... mamó - wyjąkała Bronte. - Max jest tutaj.

- Co on tu na Boga robi? - matka odwróciła się z przerażeniem. - Och! - wykrzyknęła, kiedy w końcu mnie zauważyła, jakby moja obecność tłumaczyła wszystko. - Nie mogłaś się nim zająć nawet przez jeden dzień?

- Bronte chciała go zobaczyć.

- Po tym wszystkim, co przeszła? O czym ty w ogóle myślisz, dziewczyno?

Właśnie sobie pomyślałam „A idź do diabła, ty stara czarownico”, ale Max przysunął się bliżej i pociągnął ją za rękę.

- Tęskniłem za tobą, babciu.

- Ja też za tobą tęskniłam, kochanie - matka chwyciła go na rękę i ucałowała w policzek.

- Nie gniewaj się na Ern. Bo ona ma dwóch nowych przyjaciół i oni chcieli tu przyjść. Spotkałem panią policjantkę i ona umiała rysować kotki i króliki z dwóch kołków.

- Kółek - poprawiła go Bronte.

- A Alex nie jest już jej przyjacielem - dodał Max.

- Tak, hm, wiem. To akurat wiedzą wszyscy w tym kraju.

- Mamo, mogę zamienić z tobą słówko na osobności? - zapytałam.

- Słucham, kochanie? - matka natychmiast wskoczyła w rolę rozkojarzonej staruszki.

- Słówko. Na osobności.

- Och, Erin! Przecież nie mamy żadnych tajemnic przed Bronte i Maksem. Prawda, skarbie? - matka wtuliła twarz w kark wnuka, sprawiając, że ten natychmiast zaczął się wyrywać.

- Ależ mamy - uśmiechnęłam się groźnie.

- Nie teraz, kochanie. To może poczekać. Teraz powinniśmy myśleć przede wszystkim o Bronte - powiedziała, stawiając Maksa z powrotem na podłodze.

- W porządku - westchnęłam. - Bronte, wpadnę do ciebie później, dobrze?

- Możesz zabrać ze sobą Maksa? - poprosiła matka. - Nie.

- Co to znaczy „nie”? - najeżyła się znowu.

- Mam sporo pracy.

- W takiej chwili myślisz o pracy? Co to w ogóle za praca?

- Nie wspominałam ci o tym? Założyłam własną kancelarię.

- Co takiego? - wrzasnęła. - Nie możesz tego zrobić!

- No to się jeszcze przekonasz - uśmiechnęłam się wesoło i wyszłam z pokoju.

Zawsze lubiłam teatralne efekty.

Matka zaczęła za mną krzyżeć coś o klauzuli zakazującej pracy dla konkurencji, ale żaden sąd nie utrzymałby jej w mocy. Zostałam wykluczona ze spółki i pozbawiona możliwości zarabiania na życie, a przecież nie mogli mi odmówić prawa do podjęcia pracy. Takie klauzule obowiązywały tylko częściowo. Przez jakiś rok nie mogłam zajmować się sprawami o odszkodowanie, i to do tego wyłącznie w obrębie Glasgow, ale

nadal jestem przecież prawnikiem.

Szłam powoli korytarzem, przeklinając swój niewyparzony język. Kogo ja próbuję nabrać? Jak u licha miałabym założyć swoją własną kancelarię? Mogłabym co najwyżej zwrócić się do paru znajomych, którzy byli mi winni przysługę i dołączyć do już istniejącej firmy, ale niestety poprzedzała mnie już moja zła reputacja. Inna firma byłaby zainteresowana tylko tym, co mogę do niej wnieść, czyli sprawami o odszkodowanie, a w takiej sytuacji zapis o zakazie konkurencji naprawdę coś znaczył. Jeśli chciałam pracować, musiałam działać w pojedynkę. Dziękuję ci, mamó, pomyślałam. Właśnie pomogłaś mi zrozumieć, jak przedstawia się sytuacja. Udowodnię jeszcze tej starej jędzy, na co mnie stać.

Kiedy wracałam do swojego samochodu, zauważyłam jakąś karteczkę powiewającą za wycieraczką. Cholerny mandat za złe parkowanie to jest właśnie to, czego teraz potrzebuję. Dopiero gdy podeszłam bliżej, zorientowałam się, że to krótki liścik. Pewnie od tego tchórza Paula.

*Nikt mnie nie kocha. Wszyscy mnie nienawidzą, Chyba pójdę jeść robaki.* Rozejrzałam się wokół w panice. Leland! Zawsze to śpiewał, zanim naprawdę zmusił mnie do jedzenia robaków. Odetchnęłam głęboko, a potem krzyknęłam co sił w płucach:

- NIE BOJĘ SIĘ CIEBIE! WCALE SIĘ NIE BOJĘ! SPRÓBUJ MNIE DOPAŚĆ, TY ŻAŁOSNY ŚWIRZE!

Przechodnie patrzyli na mnie zaniepokojeni, starając się omijać mnie jak najszerszym łukiem, ale nic mnie to nie obchodziło. Morderca na pewno zrozumiał. Jeśli naprawdę przejął osobowość mojego brata, to te słowa powinny wprawić go we wściekłość. Leland nienawidził, kiedy się mu sprzeciwiałam albo rzucałam wyzwanie. Zgniotłam kartkę i wrzuciłam ją do rynsztoka.

Dopiero kiedy wróciłam do domu, uświadomiłam sobie, że trzeba jednak było zatrzymać ten świstek, który mógł się przecież okazać ważnym dowodem. Moja głupota rosła w zastraszającym tempie.



Zamknęłam drzwi na podwójny zamek i założyłam łańcuch, a po namyśle zastawiłam jeszcze wejście swoim sekretarzykiem w stylu kolonialnym. Potem zrzuciłam buty, zwałam się na stojący pod oknem szezlong i zapatrzyłam się w niebo przybierając właśnie barwę karminu i ochry. Zapadałam już w sen, kiedy nagle zadzwonił telefon. Dlaczego ludzie nie mogą zostawić mnie choć na sekundę w spokoju?

- Cześć, co słyhać? Przepraszam, przeszkodziłem ci w czymś?

- Nie, jestem po prostu strasznie zmęczona.

- Rozumiem. Cała ta sytuacja musi być dla ciebie naprawdę trudna. Pewnie jesteś wykończona - sierżant Marshall był pełen zrozumienia, a mnie zrobiło się wstyd.

- Miałam zamiar zadzwonić do ciebie, żeby podziękować ci za rzeczy, które przyniosłeś dla Bronte. To było naprawdę miłe z twojej strony. No i chciałam zasięgnąć twojej fachowej rady.

- W jakiej sprawie?

- To dosyć skomplikowane. Nadinspektor Kelman z Lothian and Border Police przesłuchiwał dziś Bronte...

- Po co? - przerwał mi Marshall. - Przecież to nie jest jego rewir.

- Z powodu tego nagrania, które morderca zostawił na mojej komórce Kelman podejrzewał, że może istnieć jakiś związek pomiędzy Lucy Grant a Bronte, ale teraz chyba już tak nie uważa.

- Dlaczego nie? - głos Marshalla był pełen rezerwy. Pewnie to politycznie niepoprawne krytykować sposób prowadzenia śledztwa przez innego policjanta.

- Sposób działania nie jest dokładnie taki sam. Ale kiedy wyszłam ze szpitala, za wycieraczką mojego samochodu znalazłam kartkę, którą mógł napisać tylko ktoś, kto znał mojego zmarłego brata...

- Nie tak szybko, Erin - przerwał mi Marshall. - Nie mam zielonego pojęcia, o czym ty mówisz.

- Leland, mój brat, zmarł dwanaście lat temu. Kelman podejrzewa, że za te morderstwa odpowiedzialny jest jeden z przyjaciół Lelanda. Ale jego zdaniem to nie ten człowiek zaatakował Bronte...

- Nic z tego nie rozumiem. Może umówimy się gdzieś i opowiesz mi o tym trochę więcej? O której moglibyśmy się spotkać? Pracuję do dziesiątej.

Dziesiąta to za późno. Musiałam się w końcu porządnie wyspać.

- Jutro?

- Nie możesz dzisiaj?

- Przepraszam, ale padam ze zmęczenia.

- W takim razie jutro. Zadzwoń rano.

Była już prawie szósta i chciałam jeszcze trochę odpocząć, zanim wpadnę do Bronte, ale usłyszałam delikatne pukanie.

Jęknęłam i zsunawszy zmęczone stopy z kanapy, podeszłam do drzwi wejściowych.

- Kto tam? - zapytałam, choć i tak wiedziałam, jaką usłyszę odpowiedź.

- Paul.

- Spadaj.

- Otwórz drzwi. Miałaś rację.

- Co takiego?

- Miałaś rację - tak to przynajmniej zabrzmiało, więc zabrałam się za odsuwanie sekretarzyka. - Co ty wyprawiasz? - zawołał.

- Odsuwam sekretarzyk - wysapałam i w końcu otworzyłam drzwi.

Paul trzymał w ręku bukiet kwiatów, identyczny jak ten, który

dostała Bronte.

- Muszę zmienić zamki - wyjaśniłam, kiedy zatrzymał wzrok na stojącym prostopadle do drzwi biurku.

- Masz jakiś wazon?

- W kuchni. Są dla mnie? Dziękuję.

- Tak. Bronte dostała resztę rzeczy? To najlepsze, co udało mi się zdobyć w tak krótkim czasie.

Dziwne. Sierżant Marshall właśnie przyjął ode mnie podziękowania za ten miły gest. Wyjęłam z szafki kryształowy wazon i patrzyłam, jak Paul przycina łodygi lilii, napełnia wazon wodą i odżywką dla roślin, a potem starannie układa kwiaty, poprawiając je to z jednej, to z drugiej strony, aby uzyskać pożądany efekt. Przystojny, nauczony porządku facet, który zna się na gotowaniu i układaniu kompozycji kwiatowych?

- Dlaczego nie masz dziewczyny? - zapytałam pod wpływem impulsu.

Paul spojrzał na mnie z zaskoczeniem.

- Uważasz, że jestem dobrym materiałem na chłopaka?

- Hm, tak... Na pewno jest mnóstwo dziewczyn, które... no wiesz... umówiłyby się z tobą na randkę...

Nagle spojrzenie Paula zrobiło się lodowate, a ja zaczęłam żałować, że w ogóle poruszyłam ten temat. Za dawnych dobrych czasów zawsze się zastanawiałam, zanim coś powiedziałam, byłam powściągliwa i mądra. A teraz szybko stawałam się specjalistką w temacie zrażania do siebie ludzi. I to pewnie najlepszą w całej Szkocji.

- Kawy? - nie potrafiłam wymyślić innego sposobu na przerwanie milczenia, które zapadło pomiędzy nami.

- Chętnie. Jadłaś już? - to brzmiało bardziej jak oskarżenie niż pytanie.

- Hm, tak.
- Nieprawda.
- Jestem za bardzo zdenerwowana, żeby jeść.

Paul podszedł do zlewu i opłukał filiżanki, których używaliśmy wcześniej. Do tej pory nie zdarzało mi się zostawiać brudnych naczyń w zlewie. Najwyraźniej z każdym nowym wydarzeniem granica rzeczy, których Erin Paterson nigdy nie robi, przesuwa się coraz dalej.

- W szpitalu Kelman zachował się bardzo nieprofesjonalnie - powiedział w końcu.

- Rozumiem jego sceptycyzm, ale jeśli to naprawdę jeden z kumpli Lelanda, to przecież istnieje wyraźny związek pomiędzy Lucy, Bronte i mną. Nie pojmuję, dlaczego Kelman tego nie zauważył. Tam pod szpitalem ktoś zostawił mi wiadomość pod wycieraczką mojego samochodu. Tylko Leland wiedział o tym...

- Wiadomość? Mogę... Skrzywiłam się.
- Wyrzuciłam ją. Przykro mi.
- To był ważny dowód! Jak brzmiała ta wiadomość?
- „Nikt mnie nie kocha, wszyscy mnie nienawidzą, chyba pójdę jeść robaki”.

Paul popatrzył na mnie w osłupieniu.

- To wszystko?
  - Mój brat zawsze to śpiewał, zanim... zanim...
- Paul ostrożnie dotknął mojej dłoni. Nie wyrwałam jej.
- Erin, proszę cię, spójrz na mnie. Spojrzeliśmy na siebie.
  - Myślę, że to ja mam być jego następną ofiarą.
  - Nie pozwolę mu cię skrzywdzić. Nawet się do ciebie nie zbliży, rozumiesz? Będę cały czas przy tobie.
  - Powiedziałam mu, żeby spróbował mnie dopaść.
  - CO ZROBIŁAŚ? Widziałaś się z nim?

- Nie! Wykrzyczałam to, kiedy znalazłam tę kartkę. Po prostu stanęłam na środku ulicy i wrzasnęłam, żeby to zrobił, jeśli ma dosyć odwagi.

- Kelman powinien się o tym dowiedzieć - Paul wyjął z kieszeni spodni komórkę i wybrał zaprogramowany numer.

Rozmowa była krótka.

Potem Paul podszedł do drzwi tarasu i popatrzył w ciemne, bezgwiazdne niebo.

- Co powiedział Kelman? - zapytałam w końcu.

- Nie uwierzył w żadną wiadomość. Powiedział, cytuję, „Jeśli taka z niej świetna prawniczka, to dlaczego wyrzuciła cholerny dowód?”

- Ty też tak myślisz?

Paul odwrócił się w moją stronę.

- Myślę, że jeśli ktokolwiek wie, jak pracował umysł Lelanda, to właśnie ty. Ty i ja. Chyba powinienem ci coś pokazać. Chodź ze mną.

Wstałam i poszliśmy do jego mieszkania. Dla pewności włączyłam u siebie alarm i zamknęłam drzwi na podwójny zamek. Paul poprowadził mnie po schodach na górę, do najdalej położonego pokoju. Otworzył drzwi jednym z kluczy i zapalił światło.

Na jednej ze ścian znajdowały się fotografie formatu A4 ułożone w porządku chronologicznym, od najstarszych przy drzwiach po najnowsze w dalszej części pokoju. Pod każdym zdjęciem znajdowała się kartka papieru tego samego formatu z datą, nazwiskiem ofiary, miejscem zbrodni i skrótowym opisem przyczyn śmierci i obrażeń. Zdjęć było jedenaście.

Powoli przeszłam wzdłuż ściany, przyglądając się pobieżnie zdjęciom, aż dotarłam do Abigail Dawes i Lucy Grant. Ładne

dziewczyny o pewnym sobie spojrzeniu. Na końcu znajdowała się jeszcze kartka papieru z imieniem Bronte.

Byłam zaszokowana. Zaszokowana liczbą ofiar, metodycznym sposobem ułożenia tej całej kolekcji i tym, jak ciężko zrobiło mi się teraz na sercu. Resztę pokoju zajmowały szafki na dokumenty, również starannie oznaczone nazwiskami tych biednych zmarłych dziewczyn.

Popatrzyłam znowu na zdjęcie Lucy Grant, zastanawiając się, jak ktoś mógł spowodować tyle nieszczęść i cierpienia? Jak to możliwe, że jestem siostrą takiego potwora? Czy tylko przez głupi przypadek nie zostałam skażona tym złem? A może jego ziarno tkwi też we mnie? Czy noszę w sobie ten sam uszkodzony gen, jakiś defekt charakteru?

Modliłam się do tego samego Boga, który patrzył na te wszystkie straszne rzeczy. Modliłam się za swoją grzeszną duszę.

- Może usiądziesz? - zapytał łagodnie Paul. Potrząsnęłam głową, ale nie odważyłam się odezwać. Czułam jak gdzieś w gardle narasta mi krzyk.

Paul objął mnie ramieniem i przytulił do siebie. Nie wyrywałam się. Wycofałam się do tego straszego miejsca, w którym i tak przebywałam już za długo, do swojej bezpiecznej skorupy. Ukrywałam swoje serce tam, gdzie tylko ja potrafiłam je odnaleźć.

Przez chwilę stałam tak bez ruchu z czołem wspartym o jego obojczyk i rękami zwisającymi bezwładnie po bokach. Milczeliśmy.

- Dlatego odszedłeś? - wymamrotałam, nie odrywając twarzy od jego starannie wyprasowanej koszuli.

- Tak.

- Bo nie mogłeś go złapać?

- Tak, a poza tym... on zrobił z tego sprawę osobistą. - Delikatnie wypuścił mnie z objęć i podszedł do ściany zbłąkanych dusz. - Numer piąty - dodał, wpatrując się w zdjęcie młodej kobiety o spojrzeniu zapatrzonym gdzieś w dal ponad obiektywem aparatu.

Podeszłam bliżej i przyjrzałam się uważnie jej szczerzej, uśmiechniętej twarzy.

- Była moją przyjaciółką.

- Przykro mi. Tak strasznie mi przykro.

- Nie pasowała do jego typu ofiary. To wtedy uświadomiłem sobie, że to sprawa osobista. I zrozumiałem, że morderca zna każdy nasz ruch. Jest sprytny, ale tego akurat nie muszę ci chyba mówić. Obserwuje, czeka, przeprowadza swój wywiad na temat ofiary. Zna się na kryminalistyce, nigdy nie zostawia odcisków palców ani śladów DNA. Używa prezerwatywy i sprząta po sobie. Zawsze jest o jeden krok przed policją...

Był do tej pory, pomyślałam z lękiem. Teraz jest tylko o jeden krok za mną.

- Do pierwszego morderstwa doszło wiosną 1984 roku. Jennifer Longmuir była na trzecim roku Szkoły Sztuk Pięknych w Edynburgu. Miała dwadzieścia jeden lat, dokładnie tyle, co Leland. Była typową studentką z wyższych sfer - wyjaśnił Paul. - Rodzice kupili jej mieszkanie w prestiżowej dzielnicy Edynburga, na Starym Mieście, i to właśnie stamtąd zniknęła. Jej zaginięcie zgłoszono w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Zaczęłam się zastanawiać zupełnie bez sensu, czyjej rodzice mieli takie same trudności, jak ja, próbując złożyć na policji zawiadomienie o zaginięciu ukochanej osoby.

- Jej ciało zostało znalezione następnego dnia. Pozbawione lewej dłoni - Paul zajrzał do akt. - Nie była tak strasznie

okaleczona, jak kolejne ofiary, ale doszło do brutalnego gwałtu.

- Była jakoś powiązana z Lelandem albo jego grupą? Jennifer Longmuir miała długie ciemne włosy i delikatne rysy twarzy. Podobieństwo pomiędzy nami było uderzające. Zastanawiałam się, czy ktokolwiek jeszcze to zauważył.

- Początkowo nie byli brani pod uwagę. Oczywiście mogli się na nią nie raz natknąć w którymś z uczęszczanych przez studentów lokali, ale nie było żadnych powiązań, które od razu rzucałyby się w oczy.

- Nie zrozum mnie źle, ale skąd wiesz, że Jennifer była jedną z ich ofiar?

- Zawsze wybierali młode kobiety z dobrych domów, utalentowane, zazwyczaj samotne. To nie były jakieś uciekinierki czy dziewczyny z ulicy. Te kobiety były otoczone miłością, a ktoś natychmiast zauważał ich zniknięcie. Być może dzięki temu zbrodnia stawała się jeszcze bardziej emocjonująca.

- A w którym momencie Leland znalazł się w kręgu podejrzanych?

- W związku z trzecią ofiarą, Isabelle Robertson. Widziano, jak twój brat z nią rozmawiał.

Popatrzyłam na trzecią w kolejności fotografię. Nie wiedziałam, czy to kwestia kąta, pod jakim zrobiono zdjęcie, ale dziewczyna wyglądała na bardzo drobną. Miała burzę puszystych rudych włosów i oczy w kształcie migdałów. Była bardzo piękna. Pod spodem znajdował się podpis „6 stycznia 1985 r., Glasgow”.

- Była studentką klasy tańca w Szkockiej Królewskiej Akademii Muzyki i Dramatu - powiedział Paul.

- Szósty stycznia przypadał na przerwę świąteczną. Leland na pewno przyjechał wtedy do domu.



- Tak. Widziano go, jak rozmawiał z Isabelle w barze, ale miał alibi.

- Kto mu je dał? - modliłam się w duchu, żeby Paul nie wymienił Bronte albo naszych rodziców. Nie pamiętałam nawet, że policja go wtedy przesłuchiwała.

- Jonathan Moncreiffe.

Popatrzyliśmy sobie w oczy. Szkoda, że policja nie skontaktowała się ze mną wcześniej, na przykład jakieś dziesięć lat temu.

- Wspominałeś coś o zdjęciach przyjaciół Lelanda. Mogę je zobaczyć?

Paul podszedł do oddzielnej szafki, oznaczonej karteczką „Podejrzani”. Podobało mi się to, że trzymał te zdjęcia osobno. Nie chciałam, aby te biedne młode kobiety musiały, choćby po śmierci, dzielić przestrzeń szuflady ze swoimi potencjalnymi mordercami.

- Mam zdjęcia tylko pięciu z nich. Prawdopodobnie było jeszcze dwóch członków, luźno powiązanych z grupą, ale nigdy nie zdołaliśmy ustalić ich tożsamości. Oczywiście, nie oznacza to jeszcze, że wszyscy ci chłopcy byli zamieszani w morderstwa - powiedział, wręczając mi teczkę.

Na samym wierzchu znajdowało się zdjęcie Lelanda w staromodnym stroju, który był tak popularny w jego towarzystwie w połowie lat osiemdziesiątych. Pamiętałam tę tweedową marynarkę od Aquascutum i kraciastą koszulę. Czasami Leland nosił do tego jeszcze fular, co strasznie mnie śmieszyło, ale on twierdził, że tak właśnie ubiera się wytworny mężczyzna.

Zdążyłam już zapomnieć, jak bardzo przystojny był mój brat, bo matka usunęła z domu wszystkie jego zdjęcia. Kiedy

popatrzyłam na te rzeźbione rysy twarzy i krótkie ciemne włosy, wróciły wspomnienia.

Wiele moich koleżanek durzyło się w nim i wpadało do nas pod pretekstem odwiedzin u mnie, choć tak naprawdę liczyły, że uda im się choć przez chwilę popatrzeć na mojego brata. Leland zawsze mi powtarzał, że gdyby nie on, nie miałabym żadnych przyjaciół.

Odwróciłam fotografię i popatrzyłam na następne zdjęcie. Pamiętałam tę twarz jak przez mgłę, ale nie potrafiłam dopasować do niej żadnego nazwiska. W końcu zerknęłam na odwrotną stronę.

„Tarquin Grenhem”. Matko, co za imię.

- Gdzie jest teraz Tarquin?

- Nie żyje. Zginął w rok po twoim bracie. Wypadł z pociągu ekspresowego we Francji.

- Nadal go sprawdzaliście?

- Tak, ale zgubiliśmy jego ślad. Pochodził z zamożnej rodziny z Surrey i byliśmy niemal pewni, że to właśnie tam się ukrywa. Zniknął z towarzystwa, a zaraz potem okazało się, że nie żyje.

- Wypadek?

- Takie było orzeczenie koronera - Grenhem miał wysoki poziom alkoholu we krwi.

- Wypadł czy został wypchnięty? - mruknęłam pod nosem, wpatrując się w smutne niebieskie oczy na zdjęciu.

- Miałem podobne wątpliwości.

Odłożyłam zdjęcie Tarquina i spojrzałam na kolejną fotografię. Tego mężczyznę poznałam od razu.

- To Jonathan Moncreiffe. Był na pogrzebie.

- Nie żyje.

- To nie może być zbieg okoliczności! Kiedy to się stało?

- Jakieś pięć miesięcy po śmierci Lelanda. Pożar domu, bardzo podejrzana sprawa.

- Przeprowadziliście dokładne śledztwo?

- Oczywiście, ale nie byliśmy w stanie powiązać tego z żadnym z naszych głównych podejrzanych.

- A więc ten, kto zabił Lelanda, może też być mordercą Jonathana?

Paul skinął głową.

Spojrzałam na kolejną fotografię.

- A to jest... Ryan... Ryan... Donnelly. Irlandzki dupek. Pamiętam go, najgorszy cham i pyskacz, jakiego w życiu spotkałam.

- Ma całkiem sporą kartotekę za zakłócanie porządku publicznego, kilka pouczeń. Strasznie gadatliwy po alkoholu - Paul zajrzał mi przez ramię, dla zachowania równowagi chwytając się oparcia krzesła, na którym siedziałam. Czułam ciepło jego ciała i ledwie wyczuwalny zapach wody po goleniu. Jego palce dotykały mojego ramienia. Taka bliskość była denerwująca. Nie pozwalała mi się skoncentrować.

- Tylko mi nie mów, że on też nie żyje?

- Żyje. Jak na razie. W 1993 roku został skazany na karę śmierci i czeka teraz na wykonanie wyroku. W trakcie pijackiej burdy zabił jakiegoś dzieciaka w Teksasie - wyjaśnił Paul, przykucając przy moim krześle. Jego twarz znalazła się teraz niemal na tym samym poziomie, co moja, a ja byłam tego jak najbardziej świadoma. Z trudem pozbyłam się z pamięci obrazu jego nagich muskularnych pleców.

- Udało wam się coś z niego wydobyć?

- W 1991 roku wyemigrował z kraju, ale wcześniej był dla nas niezłym źródłem informacji. Mundurowi go zwijali i dawali mi

znać, a ja zjawiałem się na komisariacie jako jego kumpel, który jest ważną szyczą w policji, wyciągałem go z kłopotów i nieoficjalnie podpytywałem o różne sprawy. To była zwarta grupa, zawsze trzymali się razem. Z Donnellym można się było zakumpłować, bo nie całkiem do nich pasował.

- Dlatego, że był katolikiem?

Moja rodzina nigdy nie miała skłonności do bigoterii, nawet jeśli była zaburzona i miała w swym łonie seryjnego mordercę. Nigdy nie żywiliśmy żadnych uprzedzeń, choć marna to pociecha.

- Jestem niepraktykującym katolikiem, więc mieliśmy ze sobą coś wspólnego.

- Co ci powiedział?

- Pochwalił mi się, że należy do tajnego stowarzyszenia. To właśnie wtedy po raz pierwszy pomyśleliśmy o takiej możliwości.

- Dobra, „tajne stowarzyszenie”, ale dlaczego zaczęli zabijać? I dlaczego właśnie samotne kobiety z dobrych domów?

Paul delikatnie odgarnął włosy z mojego ramienia. Przeszył mnie dreszcz.

- Gdybym znał odpowiedź na to pytanie, wszyscy moglibyśmy spać spokojniej w nocy. Moim zdaniem dobór ofiar odzwierciedlał ich osobiste gusty.

Znałam twarz z kolejnego zdjęcia, ale nie nazwisko.

- Frederick Blythe-Gordon - wyjaśnił Paul.

- Ten mięczak! - sama byłam zaskoczona okruciami informacji, które powracały teraz z otchłani niepamięci. - Nigdy nie potrafiłam pojąć, jak w ogóle udało mu się dostać na studia.

- Tatuś był założycielem katedry ekonomii.

- No tak, to jest argument.

To byli zwyczajni chłopcy, jakich wielu wokół nas. Jak to

możliwe, że kryło się w nich tyle szaleństwa? Jak Leland zdołał zgromadzić u swego boku taką gromadę zwyrodnialców?

- On też pewnie nie żyje, zgadłam?

- Nie, ale jego noga nie powstała w Wielkiej Brytanii od dziesięciu lat. Przyłączył się do jakiejś skrajnie prawicowej sekty w Stanach Zjednoczonych, a po ślubie z Amerykanką zrzekł się brytyjskiego obywatelstwa. Sprawdziliśmy go, ale przez cały ten czas nie opuszczał swojej komuny.

- Ukrywał się przed przeszłością?

- Tak pewnie zdiagnozowałyby go doktor Freud.

Kiedy chciałam spojrzeć na kolejne zdjęcie, Paul nagle sięgnął po teczkę, próbując zamknąć mi ją przed nosem.

- To chyba wszystko.

- Pozwól mi jeszcze popatrzeć - powiedziałam, nie wypuszczając papierów z rąk. - Nigdy nie wiadomo, może uda mi się coś zauważyć.

Paul zawahał się, jakby chciał coś powiedzieć, a potem się rozmyślił.

- Zrobię coś do jedzenia - powiedział w końcu.

Czułam się dziwnie, siedząc samotnie w pokoju pełnym zdjęć tych nieszczęsnych zamordowanych dziewczyn. Nawet jeśli były to tylko kartki papieru, a nie prawdziwe zwłoki, zrobiło się jakoś strasznie. Martwe oczy wpatrywały się we mnie oskarżycielsko, jakby wiedziały, że noszę w sobie te same geny, co Leland, że w moich żyłach płynie ta sama krew. Nagliły, bym przywróciła spokój ich duszom i pomściła ich śmierć.

W teczce znalazłam jeszcze więcej zdjęć Lelanda i jego sekty zwyrodnialców. Niektóre z nich zrobiono najwyraźniej podczas obserwacji za pomocą mocnego teleobiektywu. Oglądałam je uważnie, przyglądając się twarzom w tle, na wypadek gdyby tych

dwóch brakujących członków grupy kręciło się gdzieś z boku. Istniała niewielka szansa, że ich rozpoznam. Przejrzałam już prawie całą teczkę, kiedy ku swojemu zdumieniu natknęłam się na swoje zdjęcie, zrobione w trakcie pogrzebu Lelanda.

Patrzyłam gdzieś w dal, ponad obiektywem aparatu. Nie wyglądałam na nieszczęśliwą, jak przystało na siostrę zmarłego. Miałam pogodny wyraz twarzy - niemal zadowolony. Promienie słońca rozświetlały mi włosy, tworząc coś w rodzaju złocistej aureoli wokół mojej twarzy. Oczy miałam jasne, przejrzyste. Wyglądałam młodo i ładnie. Odwróciłam zdjęcie, ale z tyłu było napisane tylko „Erin”.

Zastanawiałam się, czy Paul zrobił to zdjęcie.

Następne przedstawiało Jonathana Moncreiffa i Ryana Donnellyego razem. Nie znalazłam już więcej swoich zdjęć, zamknęłam więc teczkę, po namyśle wyjęłam jednak z niej swoją fotografię. Nie chciałam nawet w ten sposób znajdować się blisko Lelanda. Kiedy szłam przez salon, ostry zapach imbiru i czosnku połaskotał mnie w nozdrza. Ukradkiem położyłam swoje zdjęcie na brzegu kuchennego blatu.

- Paul, naprawdę powinnam już iść. Obiecałam Bronte, że wpadnę jeszcze do niej.

Czułam się zbyt rozbita, żeby wrócić do swojego mieszkania. Rozbita i głodna. Perspektywa odgrzewania nieapetycznego kalafiora zapiekanego w sosie beszamelowym z serem nie była zbyt zachęcająca.

- Właściwie to załatwiłem już Bronte spotkanie na dziś wieczór

- Paul z uśmiechem odwrócił się od woka.

- Z kim?

- To moja znajoma, doktor Shereen Khalil. Jest lekarzem psychiatrii, ale pracuje przede wszystkim z ofiarami przemocy.

- To bardzo miło z twojej strony - powiedziałam, rumieniąc się nie wiadomo dlaczego.

- Policja na pewno zaproponuje Bronte pomoc psychologa, ale Shereen jest naprawdę świetna. Mam nadzieję, że nie będziesz miała mi tego za złe, ale wprowadziłem ją trochę w szczegóły.

Nagle zauważył zdjęcie leżące na blacie i tym razem to on się zaczerwienił.

- Nie chciałam, żeby leżało wśród tych wszystkich...

- Socjopatów?

Skinęłam głową.

- Skąd je masz?

Paul potrząsnął energicznie wokiem, a potem dodał do potrawy młodą cebulkę. Sezamowy olej zaczął pryskać i skwierczeć, tańcząc w powietrzu chmurą zapachów.

- Ja je zrobiłem.

- Och...

- Poszliśmy na pogrzeb, na wypadek gdyby tych dwóch też się tam pojawiło i wtedy zrobiłem ci zdjęcie. Nie chodziło o nic dziwnego, po prostu byłaś taka... ładna.

- Przestań używać czasu przeszłego, bo nabawię się kompleksów.

Paul uśmiechnął się szeroko.

- Jeśli chcesz się na coś przydać, to zetrzyj na tarce skórkę limy i wyciśnij z niej sok.

Stałam obok niego przy blacie i zabrałam się do pracy. W powietrzu rozszedł się świeży zapach, orzeźwiający i oczyszczający zmysły niczym morską bryza.

- Co zamierzasz teraz ze mną zrobić? - zapytałam.

- Wszystko zależy oczywiście od tego, jak się sprawy potoczą.

- To znaczy będziemy tak po prostu czekać, aż zjawi się

zabójca?

Paul wybuchnął śmiechem.

- Przepraszam, źle cię zrozumiałem.

Dałam mu kuksańca.

- Nie bądź taki szybki.

- W końcu spałaś w moim łóżku.

- Ale ciebie w nim nie było.

- Taki już widać mój los.

- Co to za potrawa? - szybko zmieniłam temat.

- Najzwyklejsze warzywa podsmażane na sposób chiński. Cały sekret tkwi w tym, żeby używać wyłącznie świeżych składników. Wtedy wszystko smakuje wspaniale - wyjaśnił, dorzucając do warzyw garść grzybków shiitake.

- Jak długo służyłeś w policji?

- Piętnaście lat. Wstąpiłem zaraz po studiach, w wieku dwudziestu jeden lat.

- Skończyłeś studia?

- Nie wiem, czemu tak cię to dziwi. Nie wszyscy policjanci są idiotami.

- Przepraszam. Nie chciałam...

Mówiłam prawdę. Wcale nie zamierzałam go lekceważyć. Po prostu miałam na jego temat tyle przyjętych z góry założeń, podobnie jak na temat większości ludzi, że trudno mi się ich było tak od razu pozbyć.

- Co studiowałaś?

- Literaturę angielską i psychologię na Strathclyde University. I żadnych żartów, że to tylko wyższa szkoła zawodowa. Już ja wiem, jacy są absolwenci Glasgow.

- To znaczy, że szybciej awansowałaś? Jakiej rangi się dosłużyłaś?



- Komisarza - odparł, wrzucając makaron do garnka z gotującą się wodą.

- Komisarz Gabriel? - uśmiechnęłam się miło. - Całkiem fajnie brzmi.

- Czy to oznacza, że jestem teraz dobrą partią? - Paul uniósł brwi.

- I tak po prostu odszedłeś z policji? Paul zamieszał makaron.

- Nie, ze względu na zły stan zdrowia zostałem przeniesiony na emeryturę.

- Ale teraz wszystko już w porządku? - zdołałam jakoś powstrzymać się przed wypytywaniem go o szczegóły.

- Tak mi się przynajmniej wydaje - nagle całą uwagę skupił na woku.

- Kiedy przeszedłeś na emeryturę?

- W dziewięćdziesiątym drugim.

- Pięć lat po śmierci Lelanda - zastanawiałam się na głos. - Już wtedy uważałeś, że to było morderstwo?

Paul odwrócił się w moją stronę z ustami zaciśniętymi w wąską linię.

- Zawsze byłem zdania, że jego samobójstwo było sfingowane.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Przez te wszystkie lata myślałam, że Leland popełnił samobójstwo i w skrytości ducha żywiłam nadzieję, że skłoniły go do tego wyrzuty sumienia.

- Ale jeśli został zamordowany, to w takim razie kto napisał list pożegnalny?

- I tu jest właśnie problem, bo z całą pewnością był to charakter pisma twojego brata...

- To znaczy, że widziałeś ten list? Co w nim było? Leland wspomniał coś o mnie albo o Bronte? - zauważyłam jego ukradkowe spojrzenie. - Napisał o nas, prawda?

Paul potrząsnął głową.

- To była po prostu chaotyczna mieszanina typowych banałów o tym, że nie ma już dłużej siły żyć i że przeprasza wszystkie osoby, którym jego samobójstwo przysporzy bólu. Taki list mógł napisać ktokolwiek i do kogokolwiek. I to właśnie wydało nam się dziwne. Twój brat był przecież bardzo elokwentny i czytany, a ten list był pełen wyświechtanych, banalnych frazesów.

Wiedziałam dobrze, co ma na myśli. Leland mógłby zostać pisarzem, gdyby tylko taki pomysł przypadł mu do gustu. Z kolei moje teksty były zawsze zwięzłe i na temat, bez żadnych poetyckich zabaw słowem.

- Myślisz, że ktoś go zmusił do napisania tego listu? Groził mu jakoś?

- Może. Albo był to na przykład wzór listu samobójczego, który Leland napisał dla kogoś innego.

- Myślisz, że planowali sfingowanie samobójstwa kogoś innego i kumple wystawili go do wiatru?

Paul wzruszył ramionami.

- Kto wie. Trudno zrozumieć, co kieruje takimi facetami. Próbowałam znaleźć w sercu jakiś okruczeństwo, współczucia dla swojego brata. Na próżno.

- Były jakieś ślady użycia siły? Pobicia, walki? - zapytałam.

- Nie. Samobójcy, którzy wybierają taką śmierć, nie trafiają się zbyt często, ale morderstwo poprzez utopienie ofiary to naprawdę rzadkość. Dodaj do tego jeszcze ten list samobójczy i sprawa była dla koronera oczywista. Kolacja gotowa - dodał, wręczając mi porcję przerażających rozmiarów.

Zapachy limy i imbiru zmieszały się kusząco, połyskujące od oleju grzyby i młode cebulki wyglądały naprawdę smakowicie, ale odechciało mi się jeść.

Paul podał mi pałeczki i ustawił koło mojego talerza duży kieliszek białego wina. Popatrzyłam na zastawiony stół i nagle uświadomiłam sobie bezsensowność tej sytuacji.

Delikatnie odsunęłam talerz.

- Wracając do mojego początkowego pytania - co zrobimy teraz?

Paul podsunął mi z powrotem talerz.

- Zjemy kolację i napijemy się wina. A potem jeszcze raz zastanowimy się nad tym, co wiemy.

I czego nie wiemy, pomyślałam posepnie.

Niewielka ulga, jaką przyniosło mi tych kilka chwil spędzonych na wspólnym przygotowywaniu posiłku, okazała się krótkotrwała. Przytłoczona zmartwieniami ledwie skubnęłam jedzenia.

Ta moja wewnętrzna walka, która od razu rzucała się w oczy, ewidentnie drażniła Paula. Próbował zająć mnie rozmową, ale zamykałam się w sobie coraz bardziej. Trudno byłoby mi wytłumaczyć jemu czy komukolwiek, że to mój sposób na zachowanie chociaż pozorów normalności. W końcu Paul pozbierał talerze i zabrał się za sprzątanie. Podziękowałam za kolację i pożegnałam się, ale zanim wyszłam, Paul wręczył mi całe naręczne teczek.

Położyłam je na stoliku, nie zaglądając nawet do środka. Naprawdę nie miałam ochoty zagłębiać się w raporty z sekcji zwłok, ani czytać sprawozdań z przebiegu policyjnych śledztw. Najchętniej uznałabym po prostu, że to wszystko nie ma ze mną nic wspólnego i już.

Na automatycznej sekretarce migąło sześć wiadomości, bo nie zawracałam sobie wcześniej głowy odsłuchiwaniami tych poprzednich. Stałam przy zalanych deszczem drzwiach balkonowych i patrzyłam, jak światła lamp ulicznych migoczą w

kroplach wody. Silniejsze podmuchy wiatru rozwiewały po tarasie mokre liście. Nagle na zewnątrz rozległ się jakiś stuk i na moich ramionach natychmiast pojawiła się gęsia skórka. Sprawdziłam, czy wszystkie drzwi są zamknięte i dopiero wtedy poszłam do kuchni, żeby wyrzucić na taras. Wiedziałam, że o ile morderca nie zamienił się w spidermana, to jestem całkiem bezpieczna tu, na górze, ale ta myśl wcale mnie nie powstrzymała przed niespokojnym rozglądaniem się po tarasie. W końcu wypatrzyłam przyczynę hałasu: wiatr przewrócił jedno z moich drzewek laurowych, które turlało się teraz po wyłożonej terakotą podłodze. Kiedy otworzyłam drzwi, zimne, wilgotne powietrze uderzyło we mnie z ogromną siłą. Zaciągnęłam ciężką donicę w kąt, gdzie drzewko powinno mniej ucierpieć z powodu wichury. Zawsze lubiłam symetrię, zwłaszcza w rozplanowaniu ogrodów, dlatego miałam po parze wszystkich swoich roślin. Drugie drzewko laurowe zatoczyłam w przeciwległy kąt tarasu. Ta drobna czynność rozpałała we mnie na nowo iskierkę nadziei. Podeszłam do brzegu tarasu i pozwoliłam, aby wilgotny wiatr smagał mi twarz, rozwiewając przy tym włosy. Przymknęłam oczy i odetchnęłam głęboko kilka razy. Deszcz niemal zagłuszył wszystkie dźwięki miasta.

Jeśli nie pomogę złapać mordercy Lelanda, wtedy już zawsze będę czuła jego oddech na swoich plecach. Wróciłam do kuchni, przekręciłam klucz w drzwiach prowadzących na taras i przygotowałam sobie dzbanek herbaty rumiankowej. Podczas gdy napar naciągał, przepchnęłam sekretarzyk z powrotem pod drzwi wejściowe. Może i nabrałam trochę odwagi, ale na pewno nie byłam lekkomyślna. Sącząc herbatę, słuchałam wiadomości nagranych na sekretarce. Kolejne telefony od Liz i Douglasa. Teraz już na pewno oddzwonię, nie mogę przecież ukrywać się

przed nimi wiecznie. Dzwoniła też Catriona z pytaniem, czy u mnie wszystko w porządku i czy nie potrzebuję z kimś pogadać. Znowu dziwna wiadomość od zarządcy nieruchomości w sprawie biura do wynajęcia. Na dźwięk głosu matki aż podskoczyłam.

- Erin? JESTEŚ TAM? - grzmiała. - Co ty u diabła wyprawiasz? Żeby pozwolić ludziom z opieki społecznej przeszukiwać nasz dom! O co chodzi? Będziesz się musiała gęsto tłumaczyć, moja panno. To naprawdę szczyt bezczelności z twojej strony, żeby tak wpuszczać ich do pokoju Lelanda! - w tle słyszałam szczekanie psów. Potem połączenie zostało przerwane.

Ostatnia wiadomość była bardzo niewyraźna. Brzmiało to tak, jakby ktoś szeptał coś kompletnie bez sensu. Nacisnęłam ponowne odtwarzanie i podkręciłam głośność.

*- Duże, tłuste i soczyste albo długie, małe, krwiste, spójrz, jak się wiją i skręcają...*

Odskoczyłam od sekretarki, jak gdyby ten głos mógł mnie dosięgnąć i pochwycić.

Kiedy serce przestało w końcu bić jak szalone, wykręciłam 1471, żeby sprawdzić spod jakiego numeru dzwoniłono.

- Połączenie z numeru 0 141 649 210, dzisiaj o godzinie 19:58. Aby oddzwonić, naciśnij 3.

Wcisnęłam trójkę i skupiłam się ze wszystkich sił na tym, żeby nie wstrzymywać oddechu. Słyszałam sygnał za sygnałem, aż w końcu w słuchawce odezwał się szorstki głos.

- Halo?

W tle usłyszałam rytmiczny sygnał, co znaczyło, że dodzwoniłam się do budki telefonicznej.

- Halo? Proszę pana, może mi pan powiedzieć, gdzie znajduje się ta budka? - zapytałam grzecznie.

- Taaa... Przy Victoria Infirmary.

Serce niemal stanęło mi w piersi. Zdołałam wymamrotać „dziękuję” i odłożyłam słuchawkę.

Morderca czekał pod szpitalem na mnie, czy zamierzał złożyć wizytę Bronte? A może to on sam odebrał telefon? W każdym razie miałam jakiś dowód.

Odsunęłam swoją prowizoryczną barykadę i załomotałam niecierpliwie do drzwi sąsiedniego mieszkania.

- Paul! To on! - krzyknęłam. - Zostawił wiadomość na automatycznej sekretarce.

Chwyciłam go za rękę i pociągnęłam w stronę mojego mieszkania.

- Musisz się wsłuchać naprawdę uważnie - wyjaśniłam, przesuwając taśmę do przodu. - Wykręciłam 1471 i okazało się, że dzwonił z budki pod szpitalem. Myślisz, że czekał tam na mnie? A może zamierza znowu zaatakować Bronte?

- Shereen jest z nią - odparł spokojnie, choć wyraz jego twarzy nie był już tak spokojny.

- Chyba powinniśmy zadzwonić na policję? Gorączkowo grzebałam w torebce, szukając numeru telefonu do sierżanta Marshalla, ale kiedy zadzwoniłam na jego komórkę, okazało się, że jest wyłączona.

- Spróbuję zadzwonić do Shereen - powiedział Paul, wyjmując mi z ręki telefon. Znał jej numer na pamięć. - Shereen? Gdzie teraz jesteś? Jak poszło? - wysłuchał jej obszernej relacji, pomrukując potakująco. - OK. Zobaczę, co się da zrobić. Dzięki, Shereen. Zobaczymy się jutro. Tak? Ty też. Jasne. Pa, kochanie, pa.

Wyłączył telefon i uśmiechnął się do mnie.

- Wszystko w porządku. Shereen jest już w drodze do domu.

- Ale jak wygląda ochrona w szpitalu? Morderca zdoła się tam dostać? - biadoliłam. Jak Paul mógł mówić, że wszystko jest w porządku? Przecież gdzieś tam krąży psychopatyczny morderca.

- Wątpię. Przygotowaliśmy z Shereen profil napastnika i oboje uważamy, że gdyby naprawdę chciał zabić Bronte, zrobiłby to od razu.

Przygotowaliśmy? Jak miło.

Paul usiadł na kanapie, zapraszając mnie gestem, żeby do niego dołączyła. Rzuciłam mu złe spojrzenie i zaczęłam krążyć po pokoju.

- Może usiądziesz? - zaproponował Paul.

- Nie.

- Dlaczego nie chcesz?

- Bo lepiej mi się myśli na stojąco.

- Usiądź przy mnie.

- - Nie.

- Daj spokój i siadaj tutaj.

- Nie - upierałam się, chociaż moja stanowczość zaczynała powoli słabnąć. - Nie jestem cholernym psem.

- Nie, moja droga. Ty niewątpliwie jesteś w każdym calu diabolicą.

- Zawsze jesteś taki irytujący - warknęłam. Tym razem Paul miał czelność roześmiać się w głos.

- Najwyraźniej jedynie w twoim towarzystwie. W każdym razie witam z powrotem.

- Co masz na myśli, do cholery?

Paul położył stopy na stoliku i założył ręce za głowę.

- No cóż, przez chwilę, kiedy byliśmy u mnie w mieszkaniu, mógłbym przysiąc, że jesteś wrażliwą kobietą. A nawet miłą. Dobrze wiedzieć, że prawdziwa Erin nadal jest w doskonałej



formie. Już zaczynałem się martwić.

- Sarkazm to najniższa forma dowcipu! - odcięłam się, spychając jego nogi ze stolika.

- Panno Paterson, powinna się pani nauczyć dobrych manier.

- Odczep się ode mnie!

- Błagam, uspokój się choć ten jeden raz.

Przypomniały mi się słowa tej okropnej piosenki „na lewo ode mnie klauni, na prawo żartownisie, bla, bla, a pośrodku nich ty”. Łazi za mną psychopata, a na dokładkę mam stukniętego sąsiada. Teraz brakowało mi już tylko porwania przez kosmitów.

- Opowiedz mi o Lelandzie.

- Nie - odparłam, chociaż muszę przyznać, że byłam pełna podziwu dla jego opanowania.

- Dlaczego nie chcesz o nim mówić? - zapytał łagodnie Paul.

Popatrzyłam na swoje dłonie, zastanawiając się nad odpowiedzią. Czy powinnam mu powiedzieć całą prawdę, wyznać powód mojej irracjonalnej powściągliwości? A może trzeba go zbyć jakąś zręczną wymówką? W końcu zwyciężyła druga opcja.

- Nie mogę ci powiedzieć. To zbyt bolesne.

- Rzeczy, które robił tobie i Bronte? - Tak.

- W takim razie opowiedz mi o innych sprawach. Jak układały się mu stosunki z rodzicami, z waszym młodszym bratem.

- Rodzice go uwielbiali, zwłaszcza matka. Finlay nie znał go zbyt dobrze, miał dopiero dziesięć czy jedenaście lat, kiedy Leland... zginął.

- A jaki jest Finlay?

- Przypomina królika Dylana z kreskówki *Magiczna karuzela* - uśmiechnęłam się słabo. - Jest tak półprzytomny i wyluzowany, że niemal trzeba sprawdzać, czy jeszcze żyje.

- Dobrze się między wami układa?

- Jest znacznie młodszy ode mnie i nie mamy ze sobą zbyt wiele wspólnego, ale nie kłócimy się ani nic takiego.

Nagle rozpaczliwie zatęskniłam za Finlayem. Brakowało mi jego szalonych fryzur i dziwacznych ciuchów, krzywego uśmiechu i bezpośredniego sposobu bycia.

- A więc zupełnie nie przypomina Lelanda?

Rzuciłam mu spojrzenie z ukosa.

- Nie powinieneś już wracać do domu?

- Nie. Mamy jeszcze sporo spraw do omówienia.

Westchnęłam głośno.

- Paul, jestem strasznie zmęczona. To chyba może poczekać do jutro... - oboje aż podskoczyliśmy, kiedy zadzwonił telefon. Zamarłam, wpatrując się w aparat, ale Paul natychmiast zerwał się na równe nogi i podniósł słuchawkę.

- Halo? Tak, jest. Mogę zapytać, kto dzwoni? Liz. Cześć. Ja? Jestem jej ochroniarzem - z szelmowskim uśmiechem wręczył mi telefon.

- Cześć, Erin. Zostawiłam ci już całe mnóstwo wiadomości...

- Wiem, przepraszam, ale mam ostatnio tyle spraw na głowie.

- O co chodzi z tym ochroniarzem? Rzuciłam Paulowi niechętne spojrzenie.

- To mój stuknięty sąsiad. Mam nadzieję, że w końcu zamkną go w domu wariatów.

- Słyszałam, co się przytrafiło twojej siostrze. Strasznie mi przykro. Wyjdzie z tego?

- Tak, już czuje się lepiej - powiedziałam i odetchnęłam głęboko. - Liz, naprawdę strasznie mi przykro z powodu tego, co się stało w firmie. Doceniam twój szlachetny gest, ale nie trzeba było odchodzić z pracy.

- To był zupełnie świadomy wybór. Douglas i Karen też sami podjęli decyzję. I właśnie w tej sprawie dzwonię.

Serce podeszło mi do gardła.

- Liz, jeśli chodzi o przywrócenie do pracy, to chyba nie będę ci w stanie pomóc. Jestem ostatnią osobą, której w ogóle chcieliby słuchać.

- Hm, coś w tym guście. Mogłybyśmy się spotkać? Dajmy na to, jutro?

- Jasne. Gdzie i kiedy? - wiedziałam, że niechęć do tego pomysłu odbiła się w moim głosie.

- To nie będzie takie straszne, jak ci się wydaje, Erin - upomniała mnie łagodnie.

- Przepraszam, ostatnio żyję w ogromnym stresie.

- Nie szkodzi, rozumiem. Może spotkamy się na rogu St. Vincent Street i West Campbell Street?

- Jest tam jakiś nowy lokal? - w Glasgow bary i restauracje otwierały swoje podwoje i znikwały jeszcze szybciej niż firmy komputerowe wchodziły na giełdę i upadały.

- Hm, tak - zawahała się Liz.

- Jak się nazywa? - zapytałam podejrzliwie.

- Nie wiem - tłumaczyła się mętnie Liz. - Może być w południe?

- OK. W południe na rogu St. Vincent i West Campbell.

- Świetnie! Nie mogę się już doczekać.

Odłożyłam słuchawkę. Liz coś knuła, a mnie potwornie bolała głowa. Nie mówiąc już o tym, że moje życie legło w gruzach.

- Paul? - zawołałam z irytacją.

- Jestem w kuchni - dobiegła odpowiedź.

Zastałam go zajętego otwieraniem wyjętej z lodówki butelki białego wina.

- Co ty wyprawiasz? - zapytałam, choć było to przecież

oczywiste.

- Próbuję otworzyć wino.

- Po co? - burknęłam niegrzecznie, ale naprawdę chciałam już zostać sama, żeby móc się nad sobą poużalać.

Paul uporał się wreszcie z korkiem i nalał wina do kieliszków.

- Zawsze przecież nalewam *ci* kieliszek wina.

- Nie. Ty mi tylko *proponujesz* kieliszek wina. A to różnica.

- Jezu, Erin, nie nudź - Paul ostrożnie zaniósł kieliszki i butelkę do salonu.

Zjeżyłam się. Nie nudź? Bezczelny dupek. Chyba nie można mi zarzucić, że jestem marudna, jeśli weźmie się pod uwagę, że moje życie zamieniło się ostatnio w jakiś okropny koszmar. Coraz bardziej wściekła ruszyłam za Paulem do salonu.

- To była twoja koleżanka z pracy? Odeszła z firmy ze względu na ciebie? - Paul usadowił się na kanapie i upił łyk wina. Ja nie miałam zamiaru siadać.

- Nie. Odeszła ze względu na samą siebie. Nie prosiłam jej o to. Co więcej, odradzałabym jej odejście z firmy, gdyby poinformowała mnie o swoich zamiarach.

- Ale mimo wszystko było to dla niej na tyle ważne, że poświęciła swoją pracę i perspektywy kariery.

- To już wyłącznie jej problem.

- Ciągłe przyjmujesz postawę obronną - zauważył ze smutkiem.

- Paul, rozejrzyj się dookoła - syknęłam. - Śledzi mnie seryjny morderca, który przy okazji jest też zabójcą mojego brata. Moja siostra leży w szpitalu bez jednego palca u nogi, mój siostrzeniec potrzebuje spokojnej rodziny, moi rodzice mnie sprzedali i straciłam firmę! Mój ojciec jest umierający. Na dokładkę mój chłopak pieprzył się ze *sprzątaczką*. Zostałam aresztowana za

napaść, a moje nazwisko pojawiło się chyba we wszystkich szmatławcach w tym kraju. Izba Adwokacka prawdopodobnie pozbawi mnie prawa wykonywania zawodu. Nie mam pracy, rodziny, chłopaka, przyjaciół, niczego! Nie mam już niczego... niczego...

- Chcesz się przytulić? - zapytał Paul.

- Przytulić? Zwariowałaś? Obściskiwac to możesz tę swoją Shereen!

Paul pociągnął duży łyk wina. Jego opanowanie doprowadzało mnie do szaleństwa.

- Dlaczego to robisz? Czego ty chcesz? Czemu nie zostawisz mnie po prostu w spokoju?

- Chciałbym, żebyś ze mną porozmawiała i powiedziała w końcu prawdę. I żebyś pozwoliła sobie pomóc.

- Z jakiej żalosalnej książki dla amerykańskich psychoanalityków wzięłaś ten tekst?

- Mówię poważnie, Erin. Możemy sobie nawzajem pomóc, ale dopóki nie zaczniesz mi ufać, donikąd nie zajdziemy.

- Dlaczego cię to w ogóle obchodzi? Przecież mam cię tylko doprowadzić do mordercy. To dlatego się tu przeprowadziłaś! - Potarłam twarz dłońmi. Czułam się zmęczona, samotna i bezbronna.

- Trzymaj. To pomoże ci się odprężyć - Paul wyciągnął w moja stronę nietknięty kieliszek wina, a ja wzięłam go z ponurą miną i opróżniłam jednym haustem.

Paul pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach. Tak bardzo pragnęłam teraz wyciągnąć dłoń i dotknąć jego włosów.

- Idź spać - powiedział, nagle wstając i wyjmując mi z ręki na wpół opróżniony kieliszek. - Przepraszam. Tyle dzisiaj przeszłaś. Musisz odpocząć. Porozmawiamy rano. Idź spać.

Nawet nie drgnęłam. O co mu chodzi? Najpierw magluje mnie, żebym wyznała mu wszystko jak na spowiedzi, a za chwilę odsyła mnie do łóżka?

- Idź już spać - powtórzył Paul.

- Najpierw muszę włączyć alarm.

- Ja to zrobię.

- Zamierzasz tu nocować?

- Tak. Idź się położyć. Zobaczymy się rano. Posłuchałam go. Nie miałam siły dalej się spierać. Przebrałam się do snu w sypialni, ale chociaż zmieniłam całą pościel, nadal nie potrafiłam się zmusić do położenia się w swoim łóżku, więc ruszyłam do pokoju gościnnego na piętrze.

- Co ty wyprawiasz? - zawołał Paul z kanapy.

- Idę spać.

- Kiedyś będziesz musiała w końcu zacząć znowu sypiać w swoim pokoju - zauważył łagodniejszym tonem.

- Jasne. Kiedyś - mruknęłam przez ramię i otworzyłam drzwi do pokoju Maksa. Kompletnie zapomniałam, że teraz jest to statek piracki. Westchnęłam i z powrotem zamknęłam drzwi, a potem cicho zeszłam na dół.

- Skąd wiedziałaś o Aleksie i tej McCaffer? Paul zamyślił się na chwilę.

- U mnie nigdy nie sprzątała w sukience w leopardzie cętki i kabaretkach.

- Od dawna to trwało?

- Od paru tygodni.

- A powiedziałaś mi o tym, gdybym ich nie nakryła?

- To nie była moja sprawa.

- Gdzie ona teraz jest? W ogóle jej nie widać.

- Ukrywa się - Paul uśmiechnął się znacząco. - Jej zdaniem

masz nie po kolei w głowie.

Bałam się o to zapytać, ale skoro w ogóle poruszyłam ten temat, musiałam znać całą prawdę.

- Były też inne?

- Przynajmniej ja nic o nich nie wiem - odparł obojętnym tonem. Ciekawe, co by powiedział, gdyby wrócił do domu i nakrył swoją dziewczynę w łóżku z facetem od mycia okien.

- Gdzie będziesz spał? Pościelić ci łóżko? - zapytałam uprzejmie.

- Nie trzeba. Zamierzam przynieść tu swojego laptopa i trochę popracować. Na drugą rano mam termin oddania artykułu - wstał i podszedł do drzwi. - Czasami bezsenność ma swoje dobre strony - dodał, wychodząc.

Rozejrzałam się po mieszkaniu, które wydało mi się teraz zaniedbane i kompletnie zdezorganizowane. Mogłam pościelić w drugim pokoju gościnnym, ale wymagałoby to zbyt wiele zachodu. Kiedy w końcu usłyszałam, że Paul wraca ze swojego mieszkania, cicho wśliznęłam się do sypialni. Popatrzyłam na łóżko i nagle uświadomiłam sobie, jak niewiele znaczy dla mnie to, co się wydarzyło. Została zraniona moja duma, nie serce. Trudno byłoby to wytłumaczyć Paulowi czy komukolwiek innemu. Od najwcześniejszego dzieciństwa moje życie okrywał mrok najgorszego zepsucia, jakie zna ludzkość. Tylko w kręgu światła pozostawałam bezpieczna. To moje światło oznaczało zahamowania seksualne, obojętność uczuciową, samowystarczalność i stanowiącą mój mechanizm obronny arogancję. Źródłem tego światła było dla mnie prawo. Oszukiwałam samą siebie, że jeśli nie będę się wychylać i unikać zwracania na siebie uwagi, nikt mnie nie zauważy w tym emocjonalnym bezruchu, jaki wokół siebie stworzyłam.

Wszystko, co mi się przydarzyło, popychało mnie coraz dalej w mrok. W krainę wiecznej mgły i ciemności, w której skrywały się moje najgorsze lęki. Skąd niedaleko już do świata umarłych.



## ﴿ 14 ﴾

Rano Paul zbudził mnie filiżanką herbaty.

W nocy źle spałam, budząc się co godzina z przemożnym uczuciem lęku. Zerknęłam na budzik. Kwadrans po siódmej. Mógłby dać mi jeszcze pospać.

- Muszę już iść. Robię relację do News 24 - szepnął Paul, stawiając herbatę na nocnej szafce.

- O czym? - ziewnęłam.

- O procesie rozpoczynającym się dzisiaj w Sądzie Najwyższym.

- Och - mruknęłam z przygnębieniem. Zastanawiałam się, o którą sprawę może chodzić i kto się nią zajmuje, którzy członkowie palestry nad nią pracują. W zeszłym tygodniu o tej porze pewnie już bym to wiedziała. Jak szybko rozpadło się moja prawnicza kariera.

- Będę z powrotem przed lunchem. Może uda ci się do tego czasu przejrzeć te akta - zauważył Paul przed wyjściem. Dla mnie zabrzmiało to zupełnie jak rozkaz.

Opadłam z powrotem na poduszki i ziewnęłam. Wcale nie miałam ochoty wstawać. Chciałam jeszcze trochę pospać, nawet jeśli sen miałam niespokojny, bo te krótkie chwile wytchnienia od okropnej rzeczywistości były wybawieniem. Posłusznie wypiliśmy łyk herbaty i wsunęłam się z powrotem pod kołdrę. Nic

się nie stanie, jeśli pośpię sobie jeszcze kwadrans.

Obudziłam się nagle, jakbym usłyszała coś przez sen. Usiadłam na łóżku i rozejrzałam się po pokoju, a potem przez kilka chwil nasłuchiwałam uważnie, zanim w końcu zdecydowałam się wstać. Czułam tę okropną ociężałość, jaką powoduje nadmiar snu i ku swojemu zaskoczeniu zauważyłam, że jest już 10:22.

Przez chwilę zastanawiałam się, czy zaparzyć sobie kawę, czy od razu iść pod prysznic. Zdecydowałam się na to drugie, bo przecież Paul miał tu niedługo wpaść, a ja nie zdążyłam nawet zajrzeć do tych akt.

Odkręciłam kurki i czekając aż woda zrobi się gorąca, umyłam zęby. Moje odbicie w lustrze było, delikatnie ujmując, przygnębiające. Miałam worki pod oczami i paskudną zmarszczkę pomiędzy brwiami. Niedługo trzeba będzie zacząć oszczędzać na lifting. Opłukałam szczoteczkę pod strumieniem zimnej wody i z trudem złapałam oddech. W umywalce było pięć małych czarnych karaluchów.

Odkręciłam kurek do oporu i przez chwilę patrzyłam na wirującą wodę. Karaluchy? Skąd, do diabła, wzięły się w mojej umywalce? Musiały chyba wyleźć z odpływu. Paskudztwo. Otrząsnęłam się bezwiednie. Chyba los naprawdę postanowił ze mnie zadrwić. Zakręciłam kran i ostrożnie manewrując korkiem zatkałam odpływ. To irracjonalne, ale nie mogłam znieść myśli, że moja ręka znalazłaby się blisko tych robaków.

Sprawdziłam jeszcze, czy karaluchy nie wyszły z odpływu prysznicza albo wanny. Nawet kiedy myłam włosy, próbując się rozkoszować ciepłą wodą, nie mogłam przestać o nich myśleć. Opuściłam wzrok na swoje ciało, drobne piersi i rysujące się pod skórą żebra, wąskie biodra i długie nogi. Nienawidziłam najdelikatniejszych nawet pieszczot, bo natychmiast

przywoływały wspomnienie skorków i stonóg pełzających po moim ciele. Leland zabił moją zmysłowość, kiedy miałam dziesięć lat. Myśl o robakach w mojej łazience, w końcu prysznic nad moją głową sprawiła, że znowu zaczęły mnie dręczyć obrzydliwe wspomnienia tortur wymyślanych przez Lelanda.

Zawsze chodził za mną z przebiegłym wyrazem twarzy, robiąc jakieś niejasne aluzje, a wtedy moja rozszalała wyobraźnia zaczynała podsuwać najgorsze scenariusze. Kiedy byłam dzieckiem, lęk przed tym, co ma dopiero nadejść, działał jak narkotyk, paraliżował mnie.

Czy taki jest właśnie plan mordercy? Zastraszyć mnie, abym stała się bezwolna? Czy ta kartka i telefoniczne wiadomości stanowiły tylko pierwszy krok w jego strategii? Musiał wiedzieć, że dotrą do mnie informacje o tym, co zrobił Lucy Grant. Wykorzystał mój strach i obrócił go przeciwko mnie, czyniąc z niego swoją broń.

Czyżbym w ogóle nie zmieniła się przez te wszystkie lata? Czy nadal jestem tamtą małą przerażoną dziewczynką? Nawet jeśli rzeczywiście tak było, coś się jednak zmieniło. Teraz to on jest słaby, żyjąc tylko swymi chorymi fantazjami. I zwlekał z tym za długo. Powinien spróbować dopaść mnie wcześniej. Znacznie wcześniej.

Zmusiłam się, żeby pozostać pod prysznicem jak najdłużej. Słaby akt oporu, ale alternatywą było poddanie się na wpół ukształtowanym twórcom własnej wyobraźni. Owinęłam się dużym, puszystym ręcznikiem i rozczesałam wilgotne włosy, a potem niespiesznie posmarowałam całe ciało balsamem, ciesząc się tymi drobnymi przyjemnościami. Kiedy zakładałam szlafrok, usłyszałam jakiś dźwięk na zewnątrz, coś jakby głuchy odgłos

stąpienia. Przycisnęłam ucho do drzwi i wytężywszy wszystkie zmysły, nasłuchiwałam w napięciu. Z każdą chwilą ogarniało mnie coraz większe przerażenie, ściskając za gardło tak, że nie mogłam już prawie złapać tchu.

Oparłam się plecami o drzwi, próbując się trochę uspokoić. Czy morderca był teraz w moim mieszkaniu? A może to on wrzucił karaluchy do umywalki? Musiałam się stąd jak najprędzej wydostać. Łazienka w moim mieszkaniu miała tylko jedno okno, na dokładkę umieszczone bardzo wysoko i o ile mnie pamięć nie myliła otwierające się po prostu w pustkę. Próbowałam sobie wyobrazić, jak wygląda budynek z zewnątrz, ale nie byłam w stanie się skupić. Znajdowałam się na piątym piętrze dawnego magazynu o bogato zdobionej fasadzie. Dwa apartamenty na samej górze mieściły się na arkadowym strychu, przypominając ostatnią warstwę tortu weselnego. Taras mojego mieszkania znajdował się na dachu mieszkania na czwartym piętrze, ale co było pod oknem mojej łazienki? Dach mieszkania poniżej? Nie mogłam sobie przypomnieć.

Odwróciłam do góry nogami stojący pod oknem kosz na brudną bieliznę, który zatrzęsł się niebezpiecznie, kiedy wspinałam się na niego. Otworzyłam okno, chwyciłam się za parapet i podciągnęłam się do góry. Potem wychyliłam się, opierając ciężar całego ciała na brzuchu, żeby wyrzeć na zewnątrz. Mniej więcej metr poniżej mojego okna znajdował się szeroki na jakieś czterdzieści pięć centymetrów gzyms. Do dachu sąsiedniego budynku, znajdującego się po drugiej stronie uliczki, było jeszcze dwa i pół metra. Przełknęłam ślinę. Jest tak, jak przypuszczałam. Taras mojego mieszkania znajdował się tam, gdzie kończyła się kolumnada. Popatrzyłam znowu na drzwi łazienki. *A fronte praecipitium, a tergo lupi.* Znalazłam się między

młotem a kowadłem.

Opuściłam się z powrotem do środka i zdjęłam szlafrok. Trzęsącymi się, niezgrabnymi rękami założyłam z powrotem piżamę. O mało się nie posikałam, kiedy rozległo się głośne łomotanie do drzwi.

- Erin? Jesteś tam? Już dawno po jedenastej - usłyszałam głos Paula.

- Paul! - próbowałam krzyknąć, ale nie mogłam dobyć głosu. Błyskawicznie przekręciłam klucz i otworzyłam drzwi, rzucając mu się na szyję. - Dzięki Bogu! Dzięki Bogu!

- Co ty wyrabiasz? - Paul popatrzył na otwarte okno i przewrócony kosz na bieliznę.

- Morderca tu był! - z trudem chwytałam powietrze. - W moim mieszkaniu! Chciałam wyjść przez okno i przejść po gzymsie na taras.

- Kiedy tu był? - Paul chwycił mnie za ramiona. - Kiedy?

- Dziś rano. Wrzucił robaki do umywalki. Obudził mnie jakiś stuk, a potem usłyszałam hałas za drzwiami łazienki.

- Kiedy to było? - Paul mocno mną potrząsnął. - Kiedy słyszałaś ten hałas?

Nie rozumiałam jego gniewu. Dlaczego Paul jest taki zły?

- Kiedy wyszłam spod prysznic. W umywalce łąziły karaluchy...

Nagle mnie puścił i podszedł do umywalki. Wyjął korek i zajrzał do odpływu, ale robaki zniknęły.

- Musiały spłynąć z wodą.

- Nie było żadnych karaluchów.

- A właśnie, że były! Naprawdę! Usłyszałam jakiś hałas, a potem zobaczyłam w umywalce karaluchy. Po co miałabym próbować wyjść przez okno?

Paul przymknął na chwilę oczy.

- Nie mam najmniejszego pojęcia - powiedział, a potem obrócił się na pięcie i wyszedł.

Przygryzłam wargi. Byłam kompletnie zdezorientowana. Znowu powtarza się ta sama sytuacja, co z matką. Dlaczego Paul mi nie wierzy? Dlaczego?

Może uważa, że cierpię na urojenia? A jeśli rzeczywiście to wymyśliłam? Zajrzałam do odpływu, ale nie zauważyłam żadnych robaków. Czyżby były tylko wytworem mojej wyobraźni? To oczywiste, że już ich tam nie było. Po prostu rozbiegły się i ukryły, kiedy tylko miały do tego okazję. Tak jak rozbiegały się i ukrywały kiedyś w moim ubraniu i włosach.

- Pośpiesz się. Masz się chyba spotkać w południe z Liz - usłyszałam głos Paula i nie był to zbyt uprzejmy ton.

Zanim skończyłam suszyć włosy, zrobiło się prawie za kwadrans dwunasta.

- Gotowa? - burknął Paul, kiedy wreszcie wyszłam z sypialni.

- Tak - przytaknęłam cicho. Co się zmieniło? Skąd ta agresja?

- Chodźmy - odparł krótko, otwierając drzwi wejściowe.

- Idziesz ze mną? - zdziwiłam się. Nie przypominam sobie, żebym go zapraszała.

W milczeniu zjechaliśmy windą na parter. Nie mogłam zrozumieć, co się stało. Paul zrobił się taki szorstki i nieczuły. Może mordercy wcale nie było w moim mieszkaniu, a te karaluchy to wina kanalizacji, ale to nie zmienia faktu, że naprawdę byłam przerażona. Napięcie panujące w samochodzie było równie trudne do zniesienia. Paul cały czas wyglądał przez okno ze smętną miną.

- Zdaje się, że dziś rano miałeś nagrywać relację?

- Odwołali nagranie.

Zagryzłam wargi.

- Dlaczego mi nie wierzysz?

- Z powodu długiej rozmowy, którą twoja siostra odbyła z Shereen - odparł Paul, uparcie wpatrując się w szare, zalane deszczem ulice. Tyle że jego odpowiedź nadal niczego nie wyjaśniła.

- Treść takiej sesji jest chyba poufna?

- To była zupełnie prywatna rozmowa na temat motywów, którymi kierował się Leland. Bronte zgodziła się na udostępnienie tych informacji policji.

- Nie jesteś policjantem - zauważyłam oschłym tonem.

- Ale pomagam w śledztwie.

- I co takiego powiedziała Bronte?

- Jej zdaniem zawsze lubiałaś zmyślać, wyolbrzymiać problemy. Poza tym podobno była z ciebie niezła aktorka ze skłonnościami do przesady. To klasyczne objawy próby zwrócenia na siebie uwagi.

- To naprawdę miło z jej strony. A wspominała, że wieku trzynastu lat nadal moczyłam łóżko? - zapytałam.

- Pewnie tak, nie zagłębialiśmy się w szczegóły.

- A więc oboje z doktor Khalil uważacie rozmowy na mój temat za świetną zabawę? Rozmawialiście o tym w łóżku, czy po prostu sobie plotkowaliście?

Paul rzucił mi miażdżące spojrzenie.

- A czego się spodziewałaś? Nie ma kartki, robaków, ani w ogóle żadnych cholernych dowodów!

- No cóż, w takim razie poczekamy sobie spokojnie, aż ten czubek mnie zamorduje - skomentowałam lodowatym tonem. - Wtedy będziecie się w końcu mogli zabrać do pracy.

Paul przewrócił oczami, ale nic nie powiedział.

Prowadziłam samochód agresywnie, bo z każdą chwilą narastał we mnie gniew. Jak on śmie rozmawiać o mnie z tą swoją specjalistką w dziedzinie psychiatrii? I do tego mają jeszcze czelność podawać w wątpliwość moje słowa. Za kogo oni się uważają? Phi! Były policjant i hołdująca idiotycznym modom pani doktor. Tak naprawdę nic nie wiedziałam o Shereen Khalil, ale złośliwa wyobraźnia podsuwała mi obraz amatorki soczewicy w zwiewnych szatkach.

Wjechałam w St. Vincent Street i zaczęłam rozglądać się za miejscem do zaparkowania samochodu, kiedy zauważyłam Liz, Karen i Douglasa czekających na mnie w towarzystwie jakiegoś mężczyzny na rogu West Campbell. Nagle uświadomiłam sobie, że moi dawni współpracownicy ściągnęli mnie tu w celu obejrzenia tego tajemniczego biura, które było do wynajęcia.

- Po prostu świetnie - mruknęłam, parkując samochód tyłem - spotkanie wyrzuconych na bruk.

Paul odpiął pas, zupełnie nie zwracając uwagi na moje zrzędenie, i wysiadł z samochodu. Wrzuciłam drobne do parkomatu i wsunęłam kwit za przednią szybę. Paul czekał na mnie kawałek dalej.

- Masz coś do załatwienia w tej okolicy? - zapytałam, podchodząc do niego, ale potrząsnął tylko przecząco głową i razem ze mną przeszedł przez ulicę. Przywitałam się ze wszystkimi, ostentacyjnie ignorując jego obecność, co wywołało lekką konsternację. W końcu Liz przedstawiła mnie nieznanemu.

- David Collier, Erin Paterson.

- Zarządca z D. M. Hall, o ile się nie mylę - dodałam. Liz skrzywiła się lekko.

- W takim razie może zaczniemy - zaproponował pan Collier,



wyciągając z kieszeni płaszcza klucze i wszedł do wnętrza budynku, przed którym staliśmy.

Rozejrzałam się po jasnym, czystym i dobrze utrzymanym holu. Na jednej ze ścian znajdował się spis firm mających tu swoją siedzibę. Na pierwszym piętrze było biuro dyplomowanego księgowego, wyżej kancelaria adwokacka, a na trzecim piętrze jakaś spółka o dziwnej nazwie, zajmująca się zarządzaniem nieruchomościami. W tym czasie pan Collier zdążył już otworzyć drzwi po lewej stronie i wpuścić do środka Liz, Douglasa i Karen.

Zatrzymałam się na chwilę, żeby zapamiętać swoje wrażenia i przekonać się, co może sobie pomyśleć klient, zjawiając się tu po raz pierwszy. Krytycznym okiem popatrzyłam na wystrój westybulu. Nie był równie okazały jak hol w Paterson Building, ale tak było w przypadku większości budynków. Zachowano tu kunsztowne wiktoriańskie gzymsy i stiukowe filary. Moją uwagę zwróciła też wypolerowana mahoniowa balustrada i marmurowa posadzka. Wnętrze sprawiało wrażenie przytulnego, profesjonalnego, a jednocześnie staroświeckiego i w ten sposób budzącego zaufanie. Właśnie takiego wizerunku potrzeba nowo powstałej firmie.

Paul nadal stał koło mnie.

- Jeszcze tu jesteś? - syknęłam, a on popatrzył na mnie z wyższością. Ten facet jest kapryśny jak stara panna. W jednej chwili mi nadskakuje, a zaraz potem zachowuje się jak skończona świnka. Mężczyźni! Kto ich zrozumie? Ale czy ktoś w ogóle zawracałby sobie tym głowę?

- Boisz się? - szepnął nagle Paul.

Rzuciłam mu wyniosłe spojrzenie.

- Nie. Prawo to moje przeznaczenie.

- Erin, powiedz mi prawdę - Paul delikatnie musnął dłonią moją rękę. - Rzeczywiście znalazłaś w umywalce karaluchy?

Spojrzałam ponad jego ramieniem gdzieś w przestrzeń.

- Nie wiem. Tak mi się wydawało, ale teraz już nie wiem. Po prostu nie wiem...

Paul chwycił mnie za łokieć i pociągnął w stronę wyjścia, z dala od uszu innych.

- Myślisz, że mogłaś je sobie wymyślić?

- Nie wiem. Byłam pewna, że tam były i że słyszałam jakiś hałas. Chciałam nawet wyjść przez okno na ten gzyms na zewnątrz. Dlaczego miałabym to robić, gdyby to nie była prawda?

Paul pochylił głowę.

- Bronte powiedziała Shereen, że przepisano ci leki uspokajające i antydepresyjne.

- To było wieki temu! Żyłam wtedy w ogromnym stresie.

- Podobno wydawało ci się wtedy, że ktoś cię śledzi i widzisz rzeczy, których tak naprawdę nie było. Zdiagnozowano u ciebie paranoję.

Typowe. Przeszłość wracała, żeby mnie dręczyć. Jeden drobny epizod i najwyraźniej kwalifikowałam się do leczenia w szpitalu psychiatrycznym.

- Wcale nie mam paranoi. Ktoś naprawdę za mną chodził. Nie byłam w stanie tego udowodnić, ale tak było!

Paul skinął głową z powątpiewaniem. Widziałam, że mi nie wierzy. Cholerna Bronte i ten jej niewyparzony język. Jak mogła opowiedzieć o tym Shereen. Cholerna małpa.

- Jakie leki brałaś?

- To nie twoja sprawa! A ty co dostałeś, kiedy cię wywalili z policji?

Paul wyprostował się i wcisnął ręce do kieszeni spodni.

- Przeszedłem załamane nerwy - odparł krótko.

- Przykro mi z tego powodu. Ale wtedy naprawdę ktoś mnie śledził i teraz chyba już wiem kto. - Skinęłam ręką w stronę wyjścia. - On gdzieś tam jest, dokładnie w tym momencie, obserwuje nas i czeka. Ma zamiar dopaść mnie i pewnie moją siostrę też, więc skończymy już te pogaduszki o psychozie i bierzmy się do roboty. Powiem ci tylko jedno - obrażenia Bronte są jak najbardziej prawdziwe, tak jak obrażenia Lucy i Abigail, i Alison.

Paul cofnął się o krok, a ja uświadomiłam sobie, że mówię podniesionym głosem. Z biura wyjrzała Liz.

- Wszystko w porządku? - zapytała.

- Tak - przytaknęłam stanowczo. - Po prostu chciałam oczyścić atmosferę. A tak przy okazji Liz, żebyś się później nie zdziwiła, brałam kiedyś leki uspokajające i antydepresyjne. Ale po lobotomii czuję się już znacznie lepiej. Ładny budynek. Jak wygląda sprawa najmu?

Liz uśmiechnęła się szeroko i cofnęła do biura. Zanim ruszyłam za nią, odwróciłam się jeszcze w stronę Paula i zapytałam:

- Idziesz z nami?

Ściany recepcji pomalowano na kremowo, a przy podwójnym panoramicznym oknie ustawiono kilka foteli dla gości. Naprzeciwko wejścia stało długie biurko o zaokrąglonej linii, a w głębi znajdowało się jeszcze dwoje drzwi. Biuro było jasne, niewyszukane i funkcjonalne.

Karen zaglądała do szuflad biurka, a Douglas wypróbował skórzane fotele w niewielkiej poczekalni. Oboje przypominali dzieci. Tego właśnie mi było trzeba - dwojga wyrośniętych

nastolatków.

David Collier podszedł do mnie. Zerknął w swoje papiery.

- Tutaj mamy recepcję - zauważył mało oryginalnie. - Drzwi po lewej prowadzą do sali posiedzeń, a te na prawo do reszty pomieszczeń.

Poszłam za nim w stronę sali posiedzeń. Pomieszczenie było dosyć spore, ale nie miało okien, pomyślałam więc sobie, że warto by zastąpić jedną ze ścianek działowych luksferami. W sali były jeszcze jedne drzwi, zapewne prowadzące do dalszych pomieszczeń biura.

Wróciliśmy do recepcji i skierowaliśmy się w stronę drzwi po prawej stronie. Spodziewałam się jakiegoś ponurego korytarza, toteż byłam mile zaskoczona, kiedy okazało się, że jest to dodatkowa recepcja. Łatwo zmieściłyby się tu biurka dla trzech, czterech sekretarek. W pomieszczeniu znajdowało się ośmioro drzwi prowadzących do sali posiedzeń, łazienki, kuchenki i gabinetów. Cztery z nich były całkiem spore i miały podwójne okna. Z piątego, znacznie już mniejszego gabinetu można było przejść do kolejnych dwóch salek.

Obchodziłam wszystkie pomieszczenia w milczeniu. Już wyobrażałam sobie wszędzie sekretarki i asystentki. Biuro nie było zbyt obszerne, więc pewnie zrobi się tu dość ciasno, ale na początek powinno wystarczyć. Przez cały czas czułam na sobie uważne spojrzenia moich dawnych współpracowników.

- I co pani o tym sądzi? - zapytał Collier, uśmiechając się do mnie promiennie.

Pociągnęłam nosem, żeby upewnić się, czy w powietrzu nie czuć wilgoci, ale zapach świeżej farby tłumiał wszystko.

- Ile?

- Wynajem czy kupno?

- Interesuje mnie wynajem.

- To jedno z największych biur w tym budynku, ma powierzchnię 140 metrów kwadratowych. Świetna lokalizacja, parter...

- Proszę mi oszczędzić tego zachwalania - przerwałam mu.

- Czynsz wynosi dwieście funtów za metr kwadratowy - odparł, uśmiechając się lekko.

Szybko przeliczyłam, że wynajem wynosił 30 tys. funtów rocznie.

- Jakież udogodnienia? Okres wolny od czynszu? Parking?

- Dwa miesiące zwolnienia z czynszu. Niestety, dysponujemy tylko dwoma miejscami parkingowymi. Dlatego to taka okazja.

Okazja? Chyba na wyciągnięcie nam pieniędzy z kieszeni.

- A co z podatkiem od nieruchomości? Collier znowu zerknął do papierów.

- Jednolita stawka dla nieruchomości handlowych, 0,48 z każdego funta.

Czyli prawie 15 tys. funtów. Rozejrzałam się znowu wokół, szybko sumując w głowie koszty. Będziemy potrzebowali 45 tys. na sam czynsz i podatek, a doliczając do tego wszystkie opłaty - prąd, telefon, wyposażenie i artykuły biurowe - nie może być chyba mowy o kwocie mniejszej niż osiemdziesiąt kawałków.

To naprawdę sporo, zwłaszcza dla firmy, która nie ma jeszcze żadnych klientów.

Odetchnęłam głęboko. Trzeba będzie usiąść i poważnie to przedyskutować. Miałam dosyć pieniędzy, aby utrzymać firmę przez rok, nawet wliczając w to pensje pracowników, ale podejrzewałam, że nasza spółka działałaby na zasadach demokracji, co wcale mi się nie uśmiechało, bo jestem raczej typem dyktatora.

- Dobrze - powiedziałam z namysłem. - Proszę mi dać szczegółowy wykaz i kopię umowy najmu, zobaczę, czy warto w ogóle zaczynać negocjacje.

- Negocjacje? - Collier uniósł brwi.

- Oczywiście. Mama nie nauczyła pana, że nigdy nie należy przyjmować wyjściowej oferty?

- Widzę, że czeka mnie tutaj jeszcze sporo pracy - westchnął, wręczając mi plik kartek.

Zauważyłam, że Liz i Douglas mrugają do siebie.

- A was troje poproszę o słówko na osobności - warknęłam dla zachowania pozorów, bo tak naprawdę wcale nie byłam na nich zła. Ale jeśli mieliśmy pracować razem, musieliśmy od razu wyjaśnić sobie podstawowe zasady. To ja jestem *facile princeps* - niekwestionowaną szefową.

Z zakłopotanymi minami podążyli za mną na dwór.

- Napijemy się kawy? - zaproponowałam.

W milczeniu ruszyliśmy West Campbell Street w stronę lokalu Leonardos. Znaleźliśmy dobry stolik przy oknie i zamówiliśmy cappuccino, cafe latte i ciastka. Byłam trochę poirytowana tym, że Paul nadal nam towarzyszy. Moje sprawy zawodowe nie miały przecież nic wspólnego z burzliwymi wydarzeniami, które rozgrywały się wokół mojej rodziny.

- Zaczniemy od najważniejszego - popatrzyłam na nich poważnie. - To było naprawdę podłe zagranie z waszej strony.

- Próbowaliśmy się do ciebie dodzwonić, ale byłaś... Pomyśleliśmy, że trzeba kuć żelazo, póki gorące - Liz zaczęła się wiercić niespokojnie na krześle.

- Kontaktowaliście się ostatnio z kimś z firmy?

- Połączyli się z kancelarią Cohena - wyjaśniła Karen.

- Tak, ale byliście zatrudnieni w Paterson, Paterson & Co. Jakie

macie warunki wymówienia?

- Trzymiesięczna odprawa - wyjaśniła Liz w imieniu wszystkich.

- Jakież ograniczenia?

- U mnie nic - Liz popatrzyła na Douglasa, który potrząsnął przecząco głową. Karen była sekretarką prawną, więc nie mogli jej trzymać w szachu klauzulą o zakazie pracy dla konkurencji.

- Powiem wprost. Przez rok nie mogę zajmować się sprawami o odszkodowanie.

Na ich twarzach odbiło się rozczarowanie. Jeśli cokolwiek mogło zapewnić sukces temu przedsięwzięciu, to była to właśnie moja reputacja specjalistki w dziedzinie odszkodowań.

- Możemy prowadzić inne sprawy - odezwał się w końcu Douglas.

- Na przykład jakie?

- Tak ogólnie. Liz mogłaby dalej zajmować się opieką prawną przedsiębiorstw, a ja wziąłbym się za odszkodowania.

Spojrzałam na niego z powątpiewaniem.

- Douglas ma rację - wtrącił się Paul. - Oficjalnie to on zajmowałby się sprawami o odszkodowanie, ale byłabyś współnikiem w tej firmie, więc i tak wszyscy wiedzieliby, że to ty pociągasz za sznurki.

- Dziękuję panu za radę, panie Gabriel. A można wiedzieć, gdzie pan zdobył swój dyplom z zakresu prawa?

- Nie trzeba kończyć studiów prawniczych, żeby przygotować porządny biznesplan. Najważniejszy jest marketing. Liz ma rację, trzeba kuć żelazo, póki gorące. Jeśli ogłosisz teraz, że założyłaś własną kancelarię, media natychmiast podchwycą temat. Już ja tego dopilnuję. Teraz wszyscy o tobie mówią, ale za dwa miesiące może być zupełnie inaczej.

Popatrzyłam na niego, mrużąc oczy. Za dwa miesiące mogę już nie żyć.

- Ale jeśli nie mogę zajmować się odszkodowaniami...

- Przecież nikt o tym nie wie! - Paul znowu mi przerwał. - Zwyczajny Kowalski ze złamaną nogą nie ma pojęcia o twoim zakazie konkurencji i dlatego zwróci się do twojej kancelarii, gdzie zostanie skierowany do Douglasa. Chodzi o pierwsze wrażenie.

Liz i Douglas pokiwali głowami, a mnie po prostu zabrakło argumentów.

- W takim razie porozmawiajmy o pieniądzach - odezwała się Karen, wyjmując z torebki biurowy terminarz, który jako własność firmy powinien był pozostać w Paterson, Paterson & Co. Ciekawe, co jeszcze zniknęło z kancelarii. Tymczasem Karen wręczyła każdemu z nas plik spiętych razem kartek.

W zgrabnych słupkach wyszczególniono czynsz, podatek od nieruchomości, energię elektryczną, rachunki telefoniczne, artykuły papiernicze, ubezpieczenie, wyposażenie biura, opłaty pocztowe, reklamę, honoraria i różne drobne wydatki. Niewiele się pomyliłam w swoich obliczeniach, bo zdaniem moich potencjalnych współpracowników potrzebowaliśmy 75 tys. funtów, żeby utrzymać firmę przez rok.

Poniżej znajdowała się tabela płac. Karen jako główna recepcjonistka i sekretarka miałyby otrzymywać 16 tys. funtów pensji rocznie. Poza tym przewidziano dwa stanowiska sekretarek, dwie posady dla aplikantów i dwie dla wykwalifikowanych prawników, co miało się zamknąć sumą 180 tys. funtów, i to zanim w ogóle rozpoczęliśmy działalność.

Douglas miałby zostać partnerem w nowej spółce z pensją w wysokości 25 tys. funtów, taką samą, jaką dostawał w starej



firmie, ale z za to z awansem na wyższe stanowisko. Liz byłaby współnikiem z prawem do udziału w sześćdziesięciu procentach zysków, a ja jako starszy współnik miałabym sto procent. Podział stanowisk wydawał się całkiem uczciwy, ale zyski istniejące na razie tylko na papierze nie pokryją takich wydatków jak jedzenie czy spłata kredytu hipotecznego.

- Nie będziemy potrzebowali tego wszystkiego na samym początku - tłumaczyła się Karen - ale uznałam, że umieszczę te pozycje w budżecie dla lepszej orientacji na przyszłość.

- Brakuje mi tu jednej strony - powiedziałam.

- Której? - Karen i Liz wyciągnęły szyje ponad stołem, żeby zobaczyć, o co mi chodzi.

- Tej, na której są wymienione nasze honoraria i zyski.

- Takiej strony nie ma - oburzyła się Karen.

- No właśnie. Wykonałaś świetną robotę, ale o ile się nie mylę, nie mamy żadnej zdolności zarobkowej.

- Klienci na pewno się pojawią - przekonywał Douglas.

- Chyba za często oglądasz *Pole marzeń* - mruknęłam.

To się nie uda. Nie mogło się udać. Potrzebowaliśmy co najmniej 200 tys. funtów, żeby wyjść na zero. Co prawda dzięki swojemu funduszowi powierniczemu i papierom wartościowym byłam w stanie utrzymać się na powierzchni, ale pozostali na pewno nie zdołali odłożyć zbyt wiele na czarną godzinę. Nie mieliśmy też zaplecza w postaci naszych dawnych klientów. Większość z nich na pewno przeniesie się do nowej kancelarii Cohen Paterson. Po prostu nie byliśmy w stanie zaoferować im wystarczająco szerokiej oferty. Nie mieliśmy działów notarialnego, podatkowego, rodzinnego, cywilnego czy karnego, nie mieliśmy nawet własnej siedziby ani żadnych widoków na jakąś sprawę. W prawniczej rodzinie byliśmy ubogim krewnym.

To było kolosalne ryzyko.

- Przykro mi, ale moim zdaniem ten pomysł jest zbyt ryzykowny. Czuję się winna z powodu waszego odejścia z firmy i naprawdę chciałabym wam pomóc, ale to przedsięwzięcie może nie być zbyt opłacalne.

Liz gwałtownie odwróciła wzrok, a Douglas spuścił oczy.

- Na piątek masz zamówiony stolik na dwanaście osób na Balu Sportowca - zauważyła Karen, przerzucając kartki w terminarzu.

Bal Sportowca był ogromną towarzyską imprezą odbywającą się co roku w Glasgow i Edynburgu, na której spotykali się i nawiązywali kontakty wszyscy liczący się w mieście ludzie biznesu.

- Spróbuj odsprzedać bilety.

Karen rzuciła mi wyzywające spojrzenie.

- Dzwoniłam wczoraj do sześciorga gości i potwierdziłam, że zaproszenie jest nadal aktualne. Czworo było zachwyconych, dwoje odwołało swoje przybycie. Liz i Douglas mogliby zająć ich miejsca. Hm, trzeba też będzie zastąpić kimś Aleksa.

Byłam zaszokowana sposobem, w jaki ujęła to Karen, ale jeszcze bardziej ciekawiło mnie, którzy z moich znajomych postanowili odwrócić się do mnie plecami.

- Kto odmówił?

- Jim McRae i Joyce Trafford.

Jim McRae to były członek rady miejskiej, przekonany, że to w jego rękach nadal spoczywa cała władza w tym mieście, natomiast Joyce Trafford była dyrektorem generalnym w jednym z dużych przedsiębiorstw, ale nie potrafiłam sobie przypomnieć w którym konkretnie.

- Niewielka strata. Masz numery telefonów do pozostałych gości?

- Wszystko jest tutaj, szefowo - Karen postukała palcem w terminarz.

Skinęłam na kelnera, żeby zapłacić rachunek.

- OK. Równie dobrze możemy pokazać się na tej imprezie, tylko nie liczcie na nic więcej - zastrzegłam, ale oczy całej trójki natychmiast rozbłysły na nowo nadzieją. Wstałam, zbierając się do wyjścia, kiedy kelner w końcu przyniósł rachunek. - Przejrzę jeszcze raz te wyliczenia, ale to nie wygląda zbyt obiecująco.

- Ja zapłacę - Paul położył na talerzyku banknot dziesięciofuntowy. - A tak przy okazji, to macie już jednego klienta.

Wszyscy popatrzyliśmy na niego.

- Mnie.

Kiedy dotarliśmy z powrotem do mojego samochodu, odetchnęłam z ulgą, że tym razem za wycieraczką przedniej szyby nie powiewa żadna karteczka. W trakcie omawiania spraw zawodowych byłam rzeczowa i pewne siebie. Naprawdę bardzo tego potrzebowałam.

- Podrzucić cię gdzieś? - zapytałam Paula z nadzieją.

- Nie. Chcę jeszcze przejrzeć te papiery w domu.

- Kiedy ty w ogóle pracujesz?

- Nocami. Albo kiedy trafi się jakaś historia warta zrobienia. Poza tym przygotowuję materiały dla agencji prasowej. To wystarcza na pokrycie większości rachunków. No i oczywiście współpracuję z News 24.

- Tylko raz zdarzyło mi się natknąć na twój artykuł, w prasie brukowej.

- Mam szczęście, jeśli w ogóle wymienią moje nazwisko. Większość reporterów pozostaje zupełnie anonimowa, a za taki artykuł więcej płacą - Paul natychmiast połknął haczyk.

- No i oczywiście piszesz powieść - w odpowiedzi wymamrotał coś, co zabrzmiało zupełnie jak „odpieprz się”. - Powieść będzie o seryjnych mordercach? Mnie też w niej umieścisz?

- Nie. Nie będzie ani o *nich*, ani o *tobie*.

- Aha! Ale jednak piszesz powieść. Typowe! Chyba wszyscy dziennikarze o tym marzą?

- Jakoś nie widzę, żeby ludzie z kancelarii prawnych walili do ciebie tabunami.

- Bo dobrze wiedzą, że w mgnieniu oka z powrotem znajdę się w siodle.

- Nie tracisz pewności siebie, co?

- Jestem pewna jednej rzeczy - swoich umiejętności jako prawnika.

- Ale w życiu liczy się nie tylko praca - odparł spokojnie. Nic nie powiedziałam, ale w głębi duszy pomyślałam sobie, że teraz to wszystko, co mam.

Kiedy w końcu dotarliśmy do domu, okazało się, że ktoś zajął moje miejsce i muszę zaparkować na miejscu dla samochodów dostawczych.

- Bezczelność! - skrzywiłam się, przechodząc obok zdezelowanego volkswagena.

Kiedy wysiedliśmy z Paulem z windy, natknęliśmy się na bardzo atrakcyjną Azjatkę, rozmawiającą akurat przez telefon i siedzącą na podłodze Bronte.

- Co ty tutaj robisz? - zawołałam na widok siostry.

- Wypisałam się na własne życzenie. Nie mogłam już dłużej tego wytrzymać. Matka wpadła w szal. Grozi, że cię wydziedziczy z powodu tych pracowników opieki.

- To nie moja wina - powiedziałam, przestępując jej wyciągnięte nogi i otwierając drzwi mieszkania.

- Cześć, jestem Shereen Khalil - nieznajoma wyłączyła komórkę i wyciągnęła rękę w moim kierunku. Była oszałamiająco piękna. Wspaniałe włosy i skóra, regularne rysy twarzy. Uścisnęłam jej chłodną smukłą dłoń. - Przywiozłam Bronte tutaj, bo do domu rodziców nie chciała wracać.

Uśmiechnęłam się zdawkowo. Opieka nad inwalidką pozbawioną jednego palca u nogi to ostatnia rzecz, której teraz było mi trzeba. Tymczasem Paul czule cmoknął Shereen w policzek.

- Dziękuję. Bardzo nam pomogłaś, jestem ci za to bardzo wdzięczny.

- Na to właśnie liczyłam! - mruknęła porozumiewawczo. - Pamiętasz o niedzieli? Naprawdę chciałabym, żebyś przyszedł.

Niezbyt delikatnie chwyciłam Bronte pod pachy i podciągnęłam ją do góry.

- Mam nadzieję, że możesz stać? - zreflektowałam się po niewczasie.

- Tak. A ja głupia myślałam, że pielęgniarki są okropne - Bronte pokuśtykała do salonu, gdzie natychmiast opadła ciężko na kanapę, kładąc zabandażowaną stopę na oparciu.

- Tylko nie poplam obicia krwią.

- Och, daj już spokój - burknęła w odpowiedzi. Zauważyłam, że Shereen i Paul wymienili spojrzenia, ale tak właśnie wyglądały nasze rozmowy z Bronte. Rzucaliśmy po prostu jakąś obelgę albo sarkastyczną uwagę. Martwiłam się o siostrę, ale nie zamierzam jej niańczyć.

Zamierzałam uprzątnąć akta ze stolika, bo nie chciałam, żeby Bronte w nich myszkowała, ale papiery zniknęły. Najwyraźniej Paul zdążył zabrać je już wcześniej, kiedy byłam pod prysznicem. Chryste, ten facet jest chyba strasznie drażliwy.

- Bronte, tu masz wszystkie numery moich telefonów - Shereen położyła uspokajająco dłoń na ramieniu mojej siostry. - Jeśli będziesz mnie potrzebowała, dzwoń o dowolnej porze dnia i nocy.

- Dzięki, Shereen. Nie masz pojęcia, ile to dla mnie znaczy. Jestem ci bardzo wdzięczna - Bronte uśmiechnęła się do niej i od razu widać było, że łączy je silna więź.

Miła pani doktor może się bratać z moją siostrą - nie musiała jej znosić przez dwadzieścia osiem lat. Shereen popatrzyła na mnie, ukazując w uśmiechu wspaniałe białe zęby.

- Hm, ja też dziękuję.

- Nie ma za co - olśniewający uśmiech nawet na chwilę nie schodził jej z twarzy. - Naprawdę chciałabym umówić się z tobą na spotkanie.

- Jasne. Jestem teraz dosyć zajęta, ale za kilka tygodni, czemu nie - miałam nadzieję, że do tego czasu zdąży zapomnieć o całej sprawie.

- Wpadnę jeszcze, żeby sprawdzić, jak się czuje Bronte, więc może wtedy ustalimy konkretną datę?

- Świetnie - mruknęłam bez szczególnego entuzjazmu. Przed wyjściem Shereen uścisnęła mocno Paula, szepcząc mu przy tym coś do ucha. Paul uśmiechnął się i zerknął w moją stronę, a ja pomyślałam krwiożerczo, że chętnie wydlubałabym mu oczy widelcem.

- Nie zostaliśmy sobie jeszcze przedstawieni - zwrócił się do Bronte, przysiadając na oparciu kanapy. - Jestem Paul, sąsiad Erin.

- Cześć, jestem Bronte, jej młodsza siostrzyczka - Bronte spojrzała na niego zalotnie.

Byłam wściekła za tą „małą siostrzyczkę”, bo poczułam się tak,

jakbym miała ze sto lat. Zastanawiałam się, czy to nie wina napięcia przedmiesiączkowego, nawet jeśli moje okresy były nimi właściwie tylko z nazwy, bo zły nastrój stał się niemal namacalny.

- Potrzebujesz czegoś? Może chciałabyś coś zjeść? - zatroszczył się Paul.

- Och, bardzo chętnie. Jedzenie w szpitalu było okropne, prawie tak samo jak posiłki w wykonaniu Erin! - odparła ze śmiechem Bronte.

Skrzywiłam się i wyszłam do kuchni. Może znajdę gdzieś trochę strychniny, którą będę mogła dosypać kochanej siostrzyczce do jedzenia. Paul natychmiast zjawił się tam za mną.

- Świetnie się składa.

- A co konkretnie masz na myśli?

- To wspaniale, że możecie spędzić z siostrą trochę czasu - odparł, myszkując przy tym w lodówce.

- Ale przez to nie uda nam się nic zrobić. Bronte wymaga więcej uwagi, niż raczkujący niemowlak.

- Może to u was rodzinne? - wyjął z lodówki resztki kalafiora zapiekanego w sosie beszamelowym z serem i naczynie ze smażonymi warzywami. - Marna z ciebie kucharka, co?

- Nie spodziewałam się gości.

- Przyniosę coś od siebie - zdecydował w końcu, wychodząc z kuchni.

- A mógłbyś też oddać mi te akta? Przejrzę je jeszcze, jeśli weźmiesz na siebie przygotowanie lunchu.

- Leżą w salonie.

- Gdzie? - wróciłam do salonu. - Zostawiłam je na stoliku, ale tam ich nie ma. Myślałam, że tyje zabrałeś.

- Nie ruszałem ich.

- Ja też nie. Byłam pod prysznicem, pamiętasz?
- Coś wam zginęło? - zainteresowała się Bronte, przerywając zmienianie kanałów w Sky TV.
- Nic - odezwaliśmy się jednocześnie.
- Po prostu nie mogę znaleźć akt sprawy, nad którą pracowałam. Pewnie je gdzieś wcisnęłam.
- Mama jest wściekła, że założyłaś własną firmę, a tata na pewno wykituje, kiedy się o tym dowie.
- Bronte! Nawet tak nie mów!
- Przepraszam, ale mama naprawdę *bardzo* się rozgniewała, bo wczoraj zjawili się w domu policjanci. Powiedziała, że cię wydziedziczy.
- Dlaczego policja była u nas w domu? - zapytałam.
- Nie mam pojęcia - odparła Bronte wymijająco. Zmrużyłam oczy. Bardzo dobrze wiedziała! Na pewno miało to jakiś związek z jej uzależnieniem od narkotyków.
- Idziemy do mieszkania Paula przynieść parę rzeczy. Poradzisz sobie sama przez kilka minut?
- Jasne.
- Morderca ma klucze! - szepnęłam do Paula, kiedy Bronte nie mogła już nas usłyszeć. - Dzięki nim zakradł się tu dzisiaj rano.
- Dawałaś je komuś?
- Oprócz mojego są jeszcze tylko dwa komplety - Aleksa, który zresztą masz teraz ty, i pani McCaffer.
- Oboje pomyśleliśmy o tym samym.
- OK, dobra - Paul przeczesał palcami włosy. - Zainstalujemy Bronte u mnie, a potem pójdziemy pogadać z panią McCaffer.
- O czym tak szepczecie? - zapytała Bronte, nagle stając w drzwiach mojego mieszkania.
- Hm... Paul wspaniałomyślnie zaprosił nas do siebie na lunch.



Tak będzie wygodniej, niż taszczyć to wszystko tutaj - Bronte wpatrywała się we mnie podejrzliwie. - Poza tym muszę trochę posprzątać. Straszny tu chlew.

To przesądziło sprawę.

- Jesteś zupełnie jak Monica - zakpiła Bronte.

- A z ciebie jest wykapana Phoebe, tyle że bez włosów.

- Nie ma w tym nic śmiesznego! - warknęła Bronte.

- Dziewczyny! - Paul przywołał nas do porządku, ale zauważyłam błysk w jego oku. Pewnie liczy na to, że później ostro się pokłócimy.

Bronte odegrała prawdziwe przedstawienie, kuśtykając przez korytarz, aż w końcu Paul wziął ją na ręce i zaniósł do swojego mieszkania. Usłyszałam jeszcze, jak Bronte mówi coś w stylu „Ależ ty jesteś silny” i dźwięcznie chichocze. Ogarnęła mnie fala urazy, bo sama nie umiałam się nigdy zachowywać dziewczęco. Zawsze byłam odpychająca i wybuchowa.

Usadowiliśmy Bronte na kanapie w salonie, z pilotem pod ręką, wyjaśniając, że musimy jeszcze zobaczyć się z dozorczynią, bo winda ostatnio szwankuje. Potem zjechaliśmy nie sprawiającą żadnych problemów windą do sutereny, gdzie znajdowało się mieszkanie pani McCaffer. Zaczynałam się denerwować, bo nawet jeśli za nią nie przepadałam, to z całą pewnością nie życzyłam jej śmierci.

Paul zapukał głośno do drzwi jej mieszkania. Żadnej reakcji. Zastukał znowu, ale jego pukanie rozniosło się tylko echem po garażu. Wzruszyłam ramionami i obróciłam się na pięcie, żeby wrócić już na górę, ale Paul dla pewności nacisnął jeszcze klamkę. Drzwi otworzyły się.

- O mój Boże - jęknęłam. - Jeśli ona nie żyje, to chyba wiesz, kogo będą podejrzewać w pierwszej kolejności? Od razu mnie

aresztują.

Paul nakazał mi wzrokiem milczenie. Przełknęłam ślinę i nagle zachciało mi się siusiu. Jeśli morderca koczuje tam teraz z trupem pani McCaffer, to nie chciałam się na nich natknąć pierwsza.

Paul wśliznął się przez uchylone drzwi do środka, a ja stałam przez chwilę na zewnątrz, zastanawiając się, co powinnam zrobić. Uciec? Schować się? Wołać o pomoc?

Głośny hałas za moimi plecami sprawił, że spłoszona podskoczyłam do góry i chociaż okazało się, że to tylko jedno z wysoko umieszczonych okien parkingu tłucze się na wietrze, wpadłam jak burza do środka, zderzając się przy tym z Paulem, skradającym się właśnie przez przedpokój.

W pogrążonym w półmroku mieszkaniu panował okropny fetor. Zastanawiałam się, czy to jest właśnie zapach śmierci - ten przyprawiający o mdłości odór skwaśniałego mleka i zgniłych warzyw. Zrobiło mi się niedobrze. Zakryłam dłonią nos i usta. Nie chciałam, żeby unoszące się w powietrzu, niewidzialne cząsteczki rozkładającego się ciała pani McCaffer wdarły się do moich płuc.

W korytarzu znajdowało się czworo drzwi: dwoje po prawej stronie, jedno po lewej i jedno na wprost nas. Te ostatnie były częściowo uchylone. Paul ostrożnie popchnął drzwi z lewej. Naszym oczom ukazała się sypialnia. Łóżko było niepościelone, zasłony zaciągnięte, drzwi i szuflady w szafie pootwierane. Albo grasował tu włamywacz, albo nasza dozorczyńni wyniosła się stąd w wielkim pośpiechu. Pokój miał te same dziwne, umieszczone wysoko w murze okna, co parking. Musiało być okropnie żyć w tym podziemnym świecie.

Zabraliśmy się za sprawdzanie pomieszczeń po prawej stronie

korytarza. Pierwsze drzwi prowadziły do niewielkiego pokoiku bez okna, służącego jako schowek na rozmaite rupiecie. Za ścianą słycać było cichy szum ruszającej windy. Następne drzwi prowadziły do niewielkiej łazienki, również pozbawionej okna. Pomieszczenie było czyste, wysprzątane i puste, jeśli nie brać pod uwagę typowych akcesoriów niezbędnych do dbania o higienę osobistą.

Serce waliło mi jak szalone, a potrzeba skorzystania z toalety była prawie nie do zniesienia. Pozostało nam już tylko jedno pomieszczenie do sprawdzenia. Z każdym krokiem odór zgnilizny stawał się coraz silniejszy. Przed oczami stanęła mi wizja rojów much i larw pożerających okaleczone ciało tej kobiety. Nadstawiłam uszu, nasłuchując brzęczenia owadów.

Paul popchnął drzwi łokciem, a potem wsunął głowę do środka i rozejrzał się błyskawicznie. Widziałam jak jego ciało rozluźnia się, zanim jeszcze otworzył drzwi na oścież i wszedł do pokoju.

Natychmiast wśliznęłam się za nim.

Marne namiastki okien nie dawały zbyt wiele światła, więc dosyć schludny salon pogrążony był w półmroku. Granicę pomiędzy pokojem a aneksem kuchennym wyznaczał specjalny barek. Ogrzewanie było włączone, a w gorącym, dusznym powietrzu unosił się ten okropny odór.

- Pani McCaffer? - zawołał półgłosem Paul. Zerknęłam do wnętrza kuchni i natychmiast dostrzegła przyczynę smrodu. Drzwi lodówki były uchylone, a jej zawartość gniła teraz w upale. Opuściłam swoje bezpieczne schronienie za plecami Paula i podeszłam do lodówki, żeby domknąć drzwiczki. Kiedy wyciągnęłam rękę, Paul krzyknął na mnie.

- NIE DOTYKAJ!

Natychmiast odskoczyłam jak oparzona.

- Może mieliśmy to tak znaleźć - syknął Paul. Popatrzyłam na niewinnie wyglądające urządzenie i dla pewności zrobiłam krok do tyłu. A jeśli morderca postanowił wykorzystać filmowy pomysł z końską głową w łóżku i w lodówce leży teraz głowa sprzątaczk?

Paul naciągnął rękaw na dłoń i powoli otworzył drzwiczki na oścież. Światelko wewnątrz nie zapaliło się, a ja uświadomiłam sobie nagle, że nie słychać też niskiego pomruku, który zwykle wydają lodówki. Paul pochylił się i ostrożnie zajrzał do środka, a potem wyprostował się z cichym westchnieniem.

- To tylko jedzenie. Lodówka nie działa.

- A czego się spodziewałeś?

- Nie wiem - odparł złowróżbnym tonem i rozejrzał się wokół. - Ta McCaffer musiała tu gdzieś trzymać klucze do wszystkich mieszkań. Rozejrzyj się po kuchni.

Zabrałam się za systematyczne przeszukiwanie szafek i szuflad. Zapasy żywności naprawdę budziły litość. Gotowe dania o przedłużonej trwałości dla jednej osoby, różne puszki warzyw w zalewie, torebki „gorących kubków” i gotowych przekąsek. W szufladach znajdowały się stare druki reklamowe i podstawowe sprzęty kuchenne. Widać było, że pani McCaffer nie spędza tu zbyt wiele czasu. Nagle zrobiło mi się żal tej kobiety mieszkającej w suterenie budynku, w którym aż roilo się od osób mających przed sobą przyszłość.

Zastanawiałam się, co czuła patrząc z zewnątrz na ludzi, którym powiodło się w życiu, podczas gdy ona skończyła w takim miejscu. Była jedną z nas tylko dlatego, że mieszkała w tym samym budynku, ale jej pochodzenie społeczne i sytuacja ekonomiczna stawiały ją poza nawiasem.

Teraz już rozumiałam, czemu tak szybko wskoczyła Aleksowi do łóżka. Na krótką chwilę znalazła się w niedostępnym dla niej świetle i jednocześnie ukarała jedną z głównych sprawczyń jej izolacji. Nawet ja potrafiłam wyczytać z nędznej zawartości jej szafek, że była samotna. Ona pewnie myślała tak samo o mnie.

- Znalazłem! - zawołał Paul gdzieś z głębi mieszkania. Nagle przyszło mi do głowy, że może trzeba wpaść tu później, powyrzucać zepsute jedzenie i porządnie wyszorować lodówkę. Na pewno okropnie byłoby zastać coś takiego po powrocie do domu, a nie wiadomo jak długo jej nie będzie. Jeszcze załęgnie się tu robactwo. Zakręciłam termostat centralnego ogrzewania i ruszyłam na poszukiwanie Paula.

Znalazłam go w niewielkim pokoiku w głębi korytarza, zajętego przeglądaniem zawartości staromodnej szafki z rzędami kluczy oznaczonymi numerami poszczególnych mieszkań.

- Twoich brakuje - zauważył Paul, zerkając w moją stronę.

- Czyichś jeszcze?

- Nie, o ile mnie oczy nie mylą.

- Więc ktoś włamał się tutaj, żeby ukraść moje klucze i w ten sposób mieć dostęp do mieszkania? Ale przecież musiał zdawać sobie sprawę, że zmienię zamki?

- Dla mnie też coś tu nie gra.

- Wiesz dokąd pojechała pani McCaffer?

- Hm, nie - Paul wyraźnie unikał mojego wzroku.

- Nie kłam! - szturchnęłam go w ramię.

- To nic pewnego.

- Ona jest teraz z Alekssem, prawda?

- Nie wiem. Słyszałam tylko jakieś plotki.

- W takim razie życzę jej powodzenia - mruknęła z lekceważeniem i wyszłam z tej ponurej, ciasnej nory.

Paul zamknął drzwi uniwersalnym kluczem, który zabrał z mieszkania McCaffer i dołączył do mnie przy windzie.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Trochę się jednak zdenerwowałam. Nigdy nie widziałam zwłok, wyłącznie na zdjęciach i pomyślałam, że to stąd ten straszny zapach. Poczułam się winna, że ktoś mógł ją zabić tylko po to, żeby dobrać się do mnie.

- Najwyraźniej oboje robimy się wyjątkowo wrażliwi na starość - zażartował Paul, kiedy wsiadaliśmy do windy.

- Co było w tych aktach? Masz ich kopie?

- Tak, przynajmniej większości. Są w komputerze. To były zeznania osób, które jako ostatnie widziały ofiary przy życiu, raporty z sekcji zwłok, wywiady środowiskowe. To co zwykle.

Nie przyznałam mu się, że nie mam zielonego pojęcia, co zazwyczaj zawierają policyjne akta spraw o morderstwo.

- Jest tam coś, co mogłoby przydać się mordercy? - zapytałam, kiedy winda zatrzymała się na naszym piętrze.

- Może - odparł Paul po krótkim namyśle.

To nie była odpowiedź, którą chciałam usłyszeć.

Kiedy Paul otworzył drzwi swojego mieszkania, gwałtownie wciągnęłam powietrze. Wyraźnie widziałam tył głowy jakiegoś mężczyzny siedzącego obok Bronte.

- Cześć, mam nadzieję, że nie przeszkadzam - powiedział sierżant Marshall, podrywając się z kanapy. - Pukałem do twojego mieszkania, a potem pomyślałem, że może jesteś tutaj - powiedział, wyciągając rękę na powitanie, ale Paul po prostu go zignorował. - Bronte mówiła, że poszłście do dozorczyńni w sprawie windy? Wydawało mi się, że wszystko z nią w porządku.

- Czasami szwankuje - wyjaśniłam.

- Umieram z głodu! - jęknęła Bronte.

- Zaraz temu zaradzimy - powiedział Paul, kierując się w stronę kuchni.

- Chciałaś ze mną o czymś porozmawiać? - sierżant Marshall zapytał ściszym szeptem.

- Hm, tak - wykrztusiłam. - Zaraz wracam.

Czułam się tak, jakbym miała zdradzić Paula. To było jego śledztwo, nawet jeśli tylko nieoficjalne. Wszystkie informacje, jakimi dysponowałam, pochodziły od niego i dlatego wolałam najpierw z nim porozmawiać. Wśliznęłam się do kuchni. Paul zajęty był ubijaniem jajek i mleka w dużej szklanej misce.

- Paul, hm... ja, hm, powiedziałam sierżantowi Marshallowi o naszych podejrzeniach, a teraz on chce porozmawiać na ten temat.

Paul przerwał ubijanie i popatrzył na mnie niechętnie.

- Kiedy mu o tym mówiłaś?

- Ostatnio - nie mogłam sobie przypomnieć, czy rozmawiałam z Marshalllem wczoraj czy przedwczoraj. Co się ze mną dzieje? Pamięć zaczyna mnie zawodzić.

- Co konkretnie mu powiedziałaś?

- Że naszym zdaniem jeden z kolegów mojego zmarłego brata jest mordercą, odpowiedzialnym być może za napad na Bronte i śmierć Lucy Grant.

- A wspomniałaś też o tym, że oficjalnie Leland popełnił samobójstwo? - zadrwił Paul.

- Nie...

- I co zamierzasz teraz zrobić? - Paul spojrział w okno.

- Nie wiem - odparłam zaskoczona pytaniem.

- A co podpowiada ci twój instynkt? - zapytał lekko już zirytowany.

- To chyba rozsądne wyjście, ale z drugiej strony Marshall

może sobie pomyśleć, że kompletnie nam odbiło.

- Tym akurat bym się nie martwił. Tak naprawdę wszystko sprowadza się do pytania, czy ufamy temu facetowi.

Popatrzyłam na niego uważnie. Dlaczego mielibyśmy nie ufać inspektorowi policji? Marshall przerywał naszą przyciszoną rozmowę, pukając we framugę drzwi. Zastanawiałam się, jak wiele zdążył usłyszeć.

- Jeśli przyszedłem nie w porę, to może po prostu wpadnę później - powiedział.

- Ależ skąd - odparłam grzecznie.

- Świetny pomysł - mruknął szorstko Paul.

Marshall popatrzył na nas z dziwnym błyskiem w oku, a potem bez pośpiechu wszedł do kuchni i oparł się niedbale o lodówkę.

- Nie pamiętasz mnie? - zapytał. - Byłem w zespole rewizyjnym wydziału kryminalnego, badającym parę nierozwiązanych spraw, nad którymi pracowaliście razem z Kelmanem.

Paul zamarł.

- To wy się znacie? - zdziwiłam się.

- I tak, i nie - powiedział Marshall. - Paul od dawna nie pracował już w policji, kiedy ja włączyłem się do tej sprawy, ale był przez nas przesłuchiwany.

- I pewnie żaden z was nie zamierzał mi o tym powiedzieć? Marshall i Paul zmierzyli się wzrokiem, zupełnie jakby szykowali się do walki na śmierć i życie.

- O co tu do diabła chodzi? - dopytywałam poirytowana.

- Komisarzowi Gabrielowi nie podobały się chyba wnioski, do jakich doszliśmy po tej kontroli - odparł Marshall spokojnie.

- Już nie komisarz, a zwyczajny pan Gabriel - warknął Paul.

- Jasne, tyle że zawsze kręcisz się w pobliżu miejsca zbrodni -



Marshall zerknął na mnie.

- O czym ty mówisz? - zapytałam.

- *Pan* Gabriel zapewne będzie w stanie udzielić ci odpowiedzi.

- Dobra! W porządku! Najwyraźniej macie ze sobą na pieńku, ale takie słowne przepychanki do niczego nie prowadzą.

- Ty jej powiesz, czyja mam to zrobić? - zapytał Marshall.

- O co chodzi?

- Cały czas jesteś pod obserwacją - Paul przygarbił ramiona.

- Po kiego licha?

- To dosyć skomplikowane - tłumaczył nieprzekonująco Paul.

- Skomplikowane? Żaden z was nie rozumie, co to cholerne słowo znaczy!

- Nie denerwuj się tak - próbował mnie uspokoić Paul. Wybuchnęłam nieszczerym, niemal szalonym śmiechem.

- Jestem pod obserwacją! A można wiedzieć po co? W razie, gdybym walnęła w szczękę nic nie wartego, kłamliwego, tchórzliwego dupka?

- Na wypadek, gdybyś kontaktowała się z mordercą - wyjaśnił Marshall.

Zamrugłam oczami. Lęk ścisnął mi serce.

- Myślicie, że znam mordercę! Jestem w kręgu podejrzanych?

- Nie. Ale są pewne elementy... pewne sprawy, które nie do końca się zgadzają - wyjaśnił Paul.

- Na przykład jakie, na miłość boską?

- Czego ty tak naprawdę chcesz? - zapytał nagle Paul, spoglądając na Marshalla spod powiek.

- Tego samego, co ty. Odpowiedzi na parę pytań.

W tej chwili do kuchni weszła Bronte.

- Co jest z wami?

- Nic - powiedzieliśmy wszyscy troje jednocześnie.

- Ta, jasne - mruknęła sarkastycznie Bronte.

- Sierżant właśnie wychodzi - Paul popatrzył z gniewem na Marshalla, a ten uśmiechnął się zadowolony z siebie.

- Jak pan sobie życzy, szefie.

- Odprowadzę cię do wyjścia - zaproponowałam, rzucając Paulowi złe spojrzenie. Kiedy dotarliśmy do drzwi, natychmiast natarłam na Marshalla. - O co w tym wszystkim chodzi, do cholery?

- Miłe mieszkanie - sierżant pochwalił zdawkowo apartament Paula, a potem popatrzył wprost na drzwi mojego mieszkania. - Wspaniałe widoki.

- Uważasz, że Paul mnie obserwuje? - zapytałam z niedowierzaniem.

- Nieoficjalnie. Bo oficjalnie masz już teraz swój własny zespół śledczy.

- Czemu mi to mówisz? - syknęłam.

- Bo schrzanili dziesięć ostatnich śledztw. Ich osiągnięcia nie napawają zbytnim optymizmem.

- Ale dlaczego mnie obserwują?

- Bo nadinspektor Kelman jest jak pies pilnujący kości. Ma swoją teorię i nie chce przyjąć do wiadomości innych rozwiązań.

- Lunch gotowy - zawołał z głębi mieszkania Paul.

- Czas na mnie - Marshall ruszył wolno korytarzem. Patrzyłam za nim, świadoma spoczywającego na mnie wzroku Paula.

- Sierżancie - zawołałam, a kiedy Marshall odwrócił się w moją stronę, dodałam: - Dziękuję.

Marshall żartobliwie zasalutował i nacisnął guzik windy. Byłam wściekła i wcale nie miałam ochoty wracać do mieszkania Paula, ale nie mogłam tak zostawić Bronte.

- I co ci powiedział? - zapytał natychmiast Paul.

- Że mnie szpiegowaleś, ale teraz mam już najwyraźniej swoją własną ekipę podglądaczy.

- To nieprawda! Miałem cię na oku, ale tylko dla twojego bezpieczeństwa.

- Bzdura!

Paul chwycił mnie brutalnie za ramię i obrócił twarzą do siebie. Był wściekły.

- Wysłuchaj mnie, do ciężkiej cholery, po raz ostatni! Robiłem to, żeby cię chronić. Niezależnie od tego, co ktoś mówi czy myśli, byłem tu dla ciebie!

Cofnęłam się o krok. Nigdy nie widziałam Paula tak wzburzonego.

- OK, w porządku. Uspokój się - powiedziałam.

- To zabawne, że akurat ty to mówisz!

- O co się kłócicie? - zawołała z kuchni Bronte.

- Wcale się nie kłócimy - odparłam, dołączając do niej. - Po prostu mała różnica zdań.

- Na jaki temat?

- Na temat tego, gdzie skrywają się wszystkie tajemnice - odparłam lekko.

Bronte wyglądała na zakłopotaną. Paul próbował podchwycić mój wzrok, ale postanowiłam zachowywać daleko idącą ostrożność. Jak niewiele dotąd rozumiałam.

Ślusarz raczył się w końcu zjawić, więc miałam pretekst, żeby uwolnić się od towarzystwa Paula. No i Bronte. Nie byłam przyzwyczajona do czyjejś ciągłej obecności i wtrącania się w moje sprawy. Przez to jeszcze dotkliwiej odczuwałam, jak bardzo zmieniła się moja sytuacja. Normalnie siedziałabym sobie teraz bezpiecznie w biurze, rozdzielając odszkodowania, szanowana i trzymająca wszystkich na dystans. No i nie miałabym na karku tabunów szpiegów.

Byłam osobą metodyczną, poruszającą się na wycucie tylko w sprawach prawnych. Teraz niczego nie mogłam już być pewna. Nie o takim życiu marzyłam. Szokujące rewelacje sierżanta Marshalla wprowadziły jeszcze większy zamęt w mojej głowie, zwiększając sumę wszystkich informacji i lęków, z którymi miałam się zmierzyć. Musiałam oddzielić prawdę od fałszu. A może jednak nie wszystko było kłamstwem?

Aluzja do nadinspektora Kelmana nie wróżyła nic dobrego, ale była też mało konkretna. Wszyscy trzej wiedzieli znacznie więcej, niż chcieli przyznać, a ja dobrze znałam powód takiego zachowania. Nie ufali mi i to na tyle, że zdecydowali się na obserwację. Nie wyglądało to najlepiej, z której strony by na to nie patrzeć. Wynikało z tego, że albo jestem podejrzana, albo znalazłam się w niebezpieczeństwie.

Na szczęście ślusarz uporał się ze swoją pracą szybko i sprawnie. Przy pomocy szufelki i zmiotki uprzątnęłam trociny, którymi zaśmiecił przy okazji podłogę, ale to, że miałam nowy zamek wcale nie rozproszyło mojego niepokoju. Nadal nie wiedziałam, kto zabrał klucze do mojego mieszkania i ukradł akta.

W końcu mogłam zamknąć na klucz drzwi wejściowe i delektować się panującą w mieszkaniu ciszą. Odetchnęłam z ulgą i zabrałam się za przeglądanie umowy najmu biura, które oglądaliśmy wcześniej, chociaż wciąż nie pogodziłam się jeszcze z utratą starej firmy. Nadal nie mogłam uwierzyć, że to już koniec.

Wiecznie miałam tyle spraw na głowie, że nawet nie zauważyłam, co się święci. Na rozwiązanie kancelarii musiało się zanosić już od jakiegoś czasu, ale nikt nie raczył mnie ostrzec. Dlaczego?

Wróciłam do biurka, żeby jeszcze raz przeczytać umowę najmu. Jeśli mam uporządkować swoje życie, to nie mogę sobie pozwolić na rozmyślania o przeszłości. Umowa wyglądała standardowo, nie zawierała żadnych dziwacznych klauzul na temat trzymania zwierząt czy mycia schodów.

Jeszcze jako aplikantka reprezentowałam kiedyś gospodarza domu występującego o eksmisję jednego z lokatorów, który trzymał w swoim mieszkaniu kajmana, co zgodnie z warunkami umowy najmu było niedozwolone. Jak wszystkie młode zwierzaki, krokodyl urósł - i to do ponad metra długości - i w końcu pożarł szynszylę gospodarza. Lokator twierdził, że jego kajman nie jest zwierzęciem domowym jako takim, tylko urządzeniem zabezpieczającym. Oczywiście wygrałam. Stare, dobre czasy. Ta sprawa bardzo nas ubawiła i była źródłem wielu

słabych kalamburów w stylu „spisz zeznania, nawet gdybyś musiała wydierać im je z paszczy”.

Nagle uświadomiłam sobie, że uśmiecham się. To dalekie wspomnienie starej sprawy przywołało zapomniane uczucie przynależności, wspólnoty. Przed oczami stanęły mi twarze moich współpracowników, kiedy tak siedzieliśmy sobie razem w biurze, żartując i popijając kawę, a czasy bycia współnikiem we własnej kancelarii i wykuwania swojej kariery jeszcze nie nadeszły. Może nie zawsze byłam taką znerwicowaną pedantką? Kiedyś uważano mnie chyba nawet za dosyć fajną koleżankę - niezbyt rozrywkową, ale jednak zapraszaną na drinka po pracy i wspólne weekendowe wypady w góry. Gdzie są teraz tamte czasy? I tamta radość?

Popatrzyłam na umowę najmu. Byłabym w stanie utrzymać firmę przez rok bez naruszania mojego funduszu powierniczego. Zainwestowane przeze mnie pieniądze można zapisać na rachunku kapitałowym, dzięki czemu miałabym możliwość odzyskania ich, kiedy kancelaria zacznie przynosić zyski. Poprawka, *jeśli* zacznie przynosić zyski. Mogłam się zająć innymi dziedzinami prawa - odszkodowania to nie jest przecież kres moich możliwości. Wzięłam do ręki wieczne pióro marki Mont Blanc i podpisałam umowę.

- Możemy zaczynać - powiedziała do Liz przez telefon kilka minut później.

- Co? Co takiego? - krzyknęła zaskoczona.

- Podpisałam umowę, ale musimy jeszcze zbić cenę do stu siedemdziesięciu, osiemdziesięciu funtów za metr kwadratowy i wynegocjować trzy miesiące wolne od czynszu - wyjaśniłam beztrąsko.

- Jeeezu! To wspaniale! Nie mogę w to uwierzyć! Zaczekaj, aż

Karen i Douglas się o tym dowiedzą. Chyba oszaleją z radości. Super! Jak nazwiemy firmę? Nie mogę w to uwierzyć!

Jej radość przywołała mi na myśl stary film z Mickeyem Rooneyem, w którym bohaterowie próbowali wystawić przedstawienie w stodole. Czułam się zupełnie jak dobrotliwa mamusia przygotowująca stroje dla małych artystów.

- Uspokój się. Czekają nas jeszcze sporo pracy. Musimy się spotkać, przygotować umowę dotyczącą założenia spółki, skontaktować się z zarządcami budynku. Poza tym trzeba zrobić bardziej szczegółowy biznesplan, skupiający się na tym, gdzie możemy zabiegać o klientów i czy nie dałoby się też przejąć ich od kancelarii Cohen Paterson...

- Super! To takie podniecające! Nareszcie słyszę dawną Erin!

Uznałam, że nie ma sensu kontynuować tej rozmowy, dopóki Liz trochę nie ochłonie.

- Skontaktuję się z Collierem z D. M. Hall, a ty możesz powiedzieć o wszystkim Douglasowi i Karen.

- Nie chcesz im przekazać tej wiadomości sama?

- Nie. Ty im powiedz. W końcu to był twój pomysł - prawdę mówiąc nie byłam pewna, czy zniosę kolejne wybuchy radości. - Moglibyśmy się spotkać w najbliższym czasie, żeby zabrać się już do pracy.

- Świetnie. Wreszcie coś się ruszyło. Nie będziesz tego żałować, Erin. Przysięgam.

Mruknęłam tylko „uhm” i odłożyłam słuchawkę. Już zaczynałam żałować, nawet jeśli oni będą się teraz cieszyć jak dzieci. Kiedy zadzwonił domofon, zjeżyłam się gniewnie.

- Tu komisarz Stevenson. Chciałbym porozmawiać z panią Erin Paterson.

Najwyraźniej moje mieszkanie stało się ulubionym miejscem

odwiedzin wszystkich okolicznych policjantów. Nacisnęłam guzik domofonu.

Uchyliłam drzwi na kilka centymetrów, żeby upewnić się, czy to na pewno stary dobry Stevenson i popatrzyłam z niechęcią na jego potężne cielsko. Moje złe nastroje zawsze miały w sobie element przypadkowości.

- Mogę wejść? - zapytał, więc otworzyłam drzwi na oścież. Komisarz Stevenson wtoczył się do środka, a moje mieszkanie nagle jakby się skurczyło.

- W czym mogę panu pomóc?

- Przedstawiciele dawnej kancelarii Paterson, Paterson & Co. zgłosili się na policję. Wygląda na to, że z systemu komputerowego ściągnięto i skopiowano wszystkie dokumenty firmy.

- Nie wiem nic na ten temat - popatrzyłam na niego ze zdziwieniem.

- Czy to prawda, że w niedzielę dziesiątego października pokwitowała pani odbiór pudełka dyskietek?

- Nie - powiedziałam, choć doskonale pamiętałam, kto prosił mnie tego dnia o dyskietki.

- W rejestrze znajduje się pani parafka.

- Każdy mógł się podpisać moim nazwiskiem.

- A więc zaprzecza pani?

- Jak najbardziej. Radziłabym po prostu sprawdzić, jak długo byłam tego dnia w biurze i jakie operacje przeprowadzano na moim terminalu komputerowym.

Komisarz Stevenson podszedł wolnym krokiem do biurka.

- Niestety, to niemożliwe. We wtorek dwunastego padł cały system komputerowy. Ewidentnie wina wirusa.

- I naprawdę próbujecie zrzucić winę za to na mnie? -



parsknęłam śmiechem. - Nie byłam w firmie od poniedziałku. Ledwie radzę sobie z pocztą elektroniczną, a co dopiero mówić o stworzeniu wirusa!

- Jest pani pomysłowa, panno Paterson, a poza tym miała pani bardzo silny motyw - zauważył Stevenson, przewracając kartki umowy najmu.

- Mógłby się pan powstrzymać od przeglądania mojej prywatnej korespondencji, komisarzy Stevenson? - zareagowałam ostro.

- Ma pani coś do ukrycia, panno Paterson?

- Tak. Rozkładające się zwłoki ostatniego policjanta, który mi się naprzykrzał.

Stevenson posłał mi drwiący uśmiezek.

- Sierżant Marshall mówił mi o włamaniu.

- Jeśli tak to można nazwać. Moim zdaniem był to raczej drobny akt wandalizmu - odparłam uprzejmie. Nie dam się sprowokować. Czas spędzony z Paulem na coś się jednak przydał.

- A wie pan, że on dopiero co tu był? - dodałam.

- Sprawca?

- Nie, sierżant Marshall.

- W jakim celu?

- Chyba w związku ze śledztwem dotyczącym tego, co przydarzyło się mojej siostrze.

- Przepraszam? Co to za sprawa z pani siostrą?

- Myślałam, że pan wie. Bronte przedawkowała narkotyki i odniosła poważne obrażenia.

Stevenson zmarszczył czoło zdezorientowany, a ja postanowiłam pociągnąć go za język.

- Od dawna pracuje pan z sierżantem Marshalllem?

- Około roku, przeszedł do nas z wydziału kryminalnego -

odparł, unosząc krzaczaste brwi. - Czemu pani pyta?

Uśmiechnęłam się wstydliwie, żeby go zmylić.

- Pewnie jest żonaty?

- Ach... rozumiem. Nie. Sierżant Marshall jest bardzo ambitny, ożenił się ze swoją pracą.

Wzruszyłam ramionami z rezygnacją.

- No cóż, jeśli mogę panu pomóc w czymś jeszcze...

- Gdyby jednak natknęła się pani na te zaginione dyskietki - zauważył z sarkazmem - to proszę je oddać na pierwszym lepszym komisariacie.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi - oburzyłam się i odprowadziłam go do drzwi.

Wiedziałam już dwie rzeczy. Sierżant Marshall prowadzi nieoficjalne śledztwo i naprawdę pracował kiedyś nad starymi sprawami Paula. Dwa do zera dla mnie, pomyślałam najpierw, potem doszłam jednak do wniosku, że marny to sukces, bo nie mam przecież pojęcia, czy to, czego się dowiedziałam, ma w ogóle jakieś znaczenie.

Podniosłam słuchawkę i wybrałam numer Douglasa. Odebrał po dwóch sygnałach.

- Douglas! Coś ty narobił?... Nie, nie o to mi chodzi... Dyskietki... Tak, policja była u mnie... Tak... Oczywiście, że nie! Myślą, że to ja... Bardzo zabawne... Jeezu Chryste!... Mogą to jakoś namierzyć? Nie... Jesteś zupełnie pewien?... Straszny z ciebie dupek... Tak, jasne... Dobrze... Tak, nadal jestem zła... Zgadza się, powiedziałam „duppek”. Jasne... Cześć.

Ten Douglas to jednak niezły spryciarz. I dobrze tak tym podstępny draniom.

Zerknęłam na zegarek. Wiedziałam, że już wkrótce Bronte razem z wszechobecnym Paulem zaczną dobijać się do moich

drzwi. Przez cały rok unikałam tego faceta, jak mogłam, a teraz zaczął się pojawiać z niezawodną regularnością. Zupełnie jak sierżant Marshall. I nadinspektor Kelman.

Pora wziąć się do roboty.

Wykręciłam numer telefonu do Paula i poprosiłam go o kopie akt. Przed upływem godziny zjawił się u mnie z pozbieranymi i wydrukowanymi na nowo dokumentami. Niestety przyprowadził ze sobą moją siostrę.

- Mama zabrała Maksa do domu na wsi. Nawet mnie nie zapytała! - poskarżyła się Bronte od progu. - Nie przyszło jej do głowy, że rozpaczliwie będę chciała go zobaczyć?

Miałam ochotę powiedzieć jej, że może gdyby nie popędziła prosto ze szpitala tutaj, byłoby to dla matki bardziej oczywiste, ale ugryzłam się w język.

- Pewnie uznała, że musisz trochę odpocząć i dojść do siebie.

Bronte zerknęła na mnie z ukosa.

- Ona chce mnie ukarać za to, że stanęłam po twojej stronie.

Stawanie po mojej stronie nie miało tu nic do rzeczy. Bronte po prostu się u mnie ukrywała, kierowana wyłącznie egoistycznymi pobudkami. Ale nie zamierzałam tego mówić głośno.

- Możliwe - mruknęłam tylko. Bronte zamrugła oczami, zdziwiona moją reakcją. - Wrócą w weekend. To tylko parę dni - dodałam uspokajająco.

Bronte zmarszczyła gniewnie brwi.

- Dlaczego jesteś dla mnie taka miła?

- Dzięki - odparłam i wyszłam do kuchni. Odkąd przyszli, w ogóle nie zwracałam uwagi na Paula. Odebrałam tylko przyniesione przez niego papiery i od razu zaniiosłam je do swojej sypialni. Teraz, kiedy znaleźliśmy się tylko we dwoje,

napięcie stało się bardzo wyraźne. Paul chował właśnie lasagne domowej roboty do lodówki, a ja zaczęłam się złośliwie zastanawiać, skąd u niego ta obsesja „matkowania” innym.

- Dziękuję, że zaopiekowałaś się Bronte - powiedziałam oficjalnym tonem.

- Muszę z tobą porozmawiać... - zaczął Paul.

- Nie ma o czym - powiedziałam mu z kamienną, nieprzeniknioną twarzą.

- Właśnie, że jest. Musimy porozmawiać o tym, co ci powiedział Marshall. Nie znasz całej historii.

- Wcale nie chcę jej poznawać - skłamałam i zajęłam się przygotowywaniem kawy.

- Erin, proszę wysłuchaj mnie. Wiem, że czujesz się urażona, zdenerwowana i...

- Tak naprawdę to mało wiesz o mnie i moich uczuciach, Paul - przerwałam. - Przejrzę te akta i podzielę się z tobą wszystkimi wnioskami, do jakich dojdę, ale poza tym nie ma już nad czym debatować.

- Boże! - Paul ze złością chwycił się za głowę. - Z tobą w ogóle nie można się dogadać!

- Po roku szpiegowania nie powinno to chyba być dla ciebie zaskoczeniem.

Paul uderzył pięścią w stół, aż przestraszona upuściłam wieczko kafetierki do zlewu, i trzasnąwszy drzwiami, wyszedł z mieszkania.

- Coś ty mu takiego powiedziała? - zawołała Bronte z salonu. Ignorując jej pytanie, osunęłam się na krzesło i oparłam głowę o blat stołu, twardy i chłodny, zupełnie jak ja. Paul był wyjątkowy. Życzliwy, silny i przystojny. W takim mężczyźnie mogłabym się zakochać. Tylko że w moim życiu nie ma miejsca na uczucia.

- Erin, wszystko w porządku?

Przechyliłam głowę na bok i popatrzyłam na swoją siostrę.

- Nie.

Bronte przykuśtykała do stołu i usiadła naprzeciwko mnie.

- Coś nie tak?

- Wszystko.

- Ja mówię poważnie. Co się stało?

- Boże, za długo by odpowiadać. Bronte przez chwilę milczała.

- Czy to... z powodu tego, co powiedziałam policji?

Odwróciłam głowę w drugą stronę i popatrzyłam na swoje kuchenne sprzęty z nierdzewnej stali.

- Nie. To się zaczęło już dawno temu - wymamrotałam.

- Co się zaczęło?

- Wszystko.

- To znaczy co? - krzyknęła z irytacją.

Wyprostowałam się i odgarnęłam włosy z twarzy.

- Bronte, muszę znać prawdę - powiedziałam, patrząc jej prosto w oczy. - O tym, co się wydarzyło...

- Ale przecież już ci wszystko powiedziałam!

- Proszę, Bronte, nie kłam. Pytam o to nie dlatego, że jestem na ciebie zła, ale ze względu na Lucy. Muszę znać prawdę z powodu tego, co się przydarzyło Lucy - Bronte zmarszczyła gniewnie brwi. - Szczerze mówiąc, normalnie nie wypytywałabym cię. W końcu to twoje życie. Ale ten jeden jedyny raz muszę wiedzieć. Wiele od tego zależy.

Jej twarz stała się jeszcze bardziej zachmurzona i spięta.

- Bronte, proszę cię. Nawet nie masz pojęcia, z czym muszę się teraz zmierzyć. Najmniejszego. Naprawdę dłużej już chyba tego nie wytrzymam. Proszę, Bronte.

Wiedziałam, że jestem blisko prawdy, bo Bronte nie wybiegła

z kuchni i nie obrzuciła mnie wyzwiskami.

- Zdobyłaś gdzieś narkotyki? - zapytałam cicho. Bronte skinęła ledwie zauważalnie głową. - I znałaś tego faceta, od którego go je kupiłaś? - znowu kiwnięcie. - Skończyły ci się pieniądze?

Bronte odwróciła głowę, ale nie mogłam teraz przerwać. Często musiałam sobie radzić z małomównymi świadkami, ale zadawałam im pytanie po pytaniu i w końcu zawsze jakoś udawało mi się odtworzyć obraz wypadków. Wiedziałam, że Bronte nie będzie chciała rozmawiać o szczegółach, ale przynajmniej zorientuję się z grubsza w sytuacji. Jeśli będę miała szczęście, zdołam uzyskać choć zdawkowe odpowiedzi.

- Pamiętasz, co wzięłaś na początku?

- Tak - szepnęła Bronte.

- OK, w porządku. Wiem, że trudno ci o tym mówić. To było GHB?

Przytaknęła skinieniem głowy.

- Ale dlaczego kokaina?

Bronte skuliła ramiona. Wiedziałam, że muszę postępować delikatnie, ale miałam ochotę wrzasnąć na nią: „*A co z Makssem?*”

- To twój stały dealer? - zaryzykowałam. Odpowiedzią był tylko cichy szloch. - A ty jesteś mu winna pieniądze. I to nie tylko za te narkotyki?

Bronte przycisnęła podbródek do piersi, trzęsąc się od tłumionego płaczu.

- A to wszystko opowiedziałaś po to, żebyś nie musiała podawać policji jego nazwiska?

Łzy spływające jej bezgłośnie po policzkach były o wiele straszniejsze, bardziej przejmujące niż rozpaczliwy lament.

- Ile jesteś mu winna? - zapytałam cicho.

- Osiem...

- Osiem tysięcy? - wykrztusiłam.

Bronte podniosła na mnie zdumione spojrzenie.

- Stów...

Tego się nie spodziewałam.

Ten facet odciął jej palec z powodu cholernych ośmiuset funtów. Jezu! Sama mogłabym go jej obciąć i załatwić jej za to dwa kawałki odszkodowania!

- O mój Boże, Bronte! - jęknęłam. - Dlaczego mi nie powiedziałaś? Dlaczego nie przyszłaś z tym do mnie?

Bronte prychnęła cicho z niedowierzaniem. Dobrze ją rozumiałam. Chwyciłam pudełko chusteczek higienicznych i wcisnęłam jej do ręki.

- Co... co teraz będzie? - zapytała.

- To znaczy?

- Powiesz... o tym policji?

- Oczywiście. Poza tym załatwimy ci odwyk...

- Nie jestem uzależniona - oburzyła się Bronte.

- Świetnie... W takim razie dlaczego bierzesz narkotyki?

- Wszyscy to robię.

- Ja nie biorę.

- Ale ty w ogóle jesteś... dziwna.

Puściłam to mimo uszu.

- Wiem, że trudno ci o tym mówić, Bronte, ale dlaczego wzięłaś kokainę? Po zażyciu GHB?

Bronte przymknęła oczy. Na jej czarnych, gęstych rzęsach pozostały jeszcze ślady łez.

- Z powodu... tego, co wypisywali w gazetach. Ja chciałam... chciałam o wszystkim zapomnieć.

A więc to moja wina. Gdybym nie uderzyła Aleksa, nasza rodzina nie zostałaby tak obsmarowana w prasie. Wszystko

przeze mnie.

- Tak mi przykro - szepnęłam, a Bronte uśmiechnęła się do mnie dzielnie. - Wiesz, gdzie mieszka ten dealer?

Bronte popatrzyła na mnie rozszerzonymi ze strachu oczami.

- Przecież to jakiś handlujący prochami typek spod ciemnej gwiazdy. Okaleczył cię i trzeba mu wymierzyć...

- Ale ja nie chcę iść z tym na policję! On mnie zna. I ma kumpli!

- Na litość boską, Bronte! Jeśli nie przeciwstawisz się tym ludziom...

Znowu nie pozwoliła mi skończyć.

- Ty nie masz pojęcia o prawdziwym świecie! - zatoczyła wokół ręką. - Mieszkasz tu sobie kompletnie odcięta od rzeczywistości, ale życie dziewięćdziesięciu dziewięciu procent ludzi wygląda zupełnie inaczej.

- Wychowano nas jednakowo, obie miałyśmy takie same szanse i przywileje. Też mogłabyś to wszystko zdobyć, gdybyś się tylko postarała.

- Przestań prawić mi kazania, Erin - Bronte burknęła z niezadowolaniem. - Teraz sama nie jesteś raczej u szczytu kariery, prawda?

Jej uwaga zabolęła mnie do żywego, ale nie zamierzałam odpuścić.

- Ale i tak będziesz musiała coś z tym zrobić. Nie możesz się tu wiecznie ukrywać. Nadal jesteś winna pieniądze temu facetowi i albo mu zapłacisz, albo pójdziesz na policję. Innego wyjścia nie ma.

- Jak mam mu zapłacić? Myślisz, że gdybym miała ten pieprzony szmal, to nie zrobiłabym tego już dawno temu? - syknęła.

- A rodzice? - podsunęłam.



- Są wściekli! Przez całą tę sprawę z... no i dlatego, że w domu była policja.

- Chyba nie trzymasz narkotyków w domu? - zaniepokoiłam się.

- Skąd! Ale mama po prostu oszalała. Naprawdę tego nie zauważyłaś?

- To żadna nowość, że nasza matka ma nie po kolei w głowie.

- Nie o tym mówię! Jest strasznie wkurzona. Szaleje z wściekłości! Dlaczego rozwiązała firmę? Co się dzieje? - Potrząsnęłam tylko głową, a Bronte wydmuchnęła głośno nos i zmieniła temat. - O co ci chodziło, kiedy wspomniałaś Lucy Grant?

Jej pytanie mnie zaskoczyło. Myślałam, że w ogóle nie zwróciła na to uwagi.

- O nic.

- Och, daj spokój. Ty, Paul i wszyscy ci cholerni policjanci. Co to ma wspólnego z Lucy Grant?

Popatrzyłam na nią, zastanawiając się przez chwilę. To moja siostra, łączą nas więzy krwi, ale nikomu już nie ufałam.

- Tego dnia, kiedy ją zamordowano, Lucy Grant zostawiła wiadomość na mojej automatycznej sekretarce. Policja podejrzewała początkowo, że twoje zniknięcie ma jakiś związek ze śmiercią Lucy, ale teraz możemy to już wykluczyć.

- Myśleli, że zaatakował mnie morderca Lucy? - twarz Bronte zachmurzyła się.

- Hm... i tak, i nie - nagle dotarło do mnie, że to ja sama byłam główną zwolenniczką tej teorii.

- I tak, i nie? Co to znaczy? - warknęła Bronte. Westchnęłam ciężko.

- Z powodu tego telefonu od Lucy mogłaś być jakoś powiązana

z tą sprawą, ale ta hipoteza szybko została odrzucona.

- Dlaczego?

- Dlatego... dlatego, że... napastnik cię nie zabił. Bronte popatrzyła na mnie ze zdumieniem.

- Czemu Lucy dzwoniła do ciebie? Przecież prawie cię nie знаła. To ze mną chodziła do szkoły.

- Gdybym to wiedziała, życie byłoby o wiele prostsze.

- A co powiedziała Lucy?

Przełknęłam ślinę.

- Tylko tyle, że spróbuje dodzwonić się na moją komórkę.

- Przecież to nic takiego. I czego czepia się tu policja? - zdziwiła się Bronte.

- Napijesz się wina? - zaproponowałam, podnosząc się z krzesła.

- Och, tak, poproszę.

Wiedziałam, że to poprawi jej humor. Nadal czekała nas poważna rozmowa, głównie o zmianie jej zachowania, a to na pewno nie będzie spokojna pogawędka.

Otworzyłam wyjętą z lodówki butelkę chablis i nalałam schłodzonego wina do kieliszków. W powietrzu rozszedł się delikatny zapach wanilii. Nie mogłam się już doczekać, żeby poczuć ten wyborny smak.

- Więc dlaczego policja zabrała twoją komórkę?

Cholera jasna. Moja siostra nie jest jednak taka głupia, na jaką wygląda.

- Z powodu wiadomości...

- Którą zostawił morderca. Słyszałam waszą kłótnię w szpitalu.

- Tak mi przykro, Bronte. To naprawdę nie było przeznaczone dla twoich uszu...

- Nie ma sprawy, obrzucano mnie już gorszymi wyzwiskami.

Chodziło mi o to, czy ty się tym nie martwisz? Nie boisz się, że morderca chce dopaść ciebie?

Zamyśliłam się na chwilę. Ostatnio byłam tak naprawdę zbyt podenerwowana tym, co się wokół mnie dzieje, żeby się bać. Zagrożenie wydawało się takie nieokreślone, wyrwane z jakiegoś zupełnie niewiarygodnego scenariusza, że wciąż pozostawało jeszcze poza granicą strachu.

- Więc? - dopytywała Bronte.

- Nie wiem, czy się boję - odparłam, dolewając wina do kieliszków. - Właśnie straciłam coś dla mnie najcenniejszego i ciągle nie jestem w stanie tego pojąć.

- Aleksa? - zapytała delikatnie Bronte.

- Skąd! - cmoknęłam z niezadowoleniem. - Mówię o firmie.

- Naprawdę jesteś typową kobietą sukcesu, dla której najważniejsza jest kariera - zakpiła.

- Byłam, Bronte. Byłam.

Wyjaśniłam Bronte, że muszę zająć się papierkową robotą i zostawiłam ją samą w salonie, gdzie zasiadła do oglądania jakichś bzdetów w telewizji. Popatrzyłam na stos teczek leżących na moim łóżku ze świadomością, że muszę to wszystko przeczytać. Pomyliłam się już okropnie, ignorując artykuły w gazetach, i nie zamierzałam teraz powtarzać tego samego błędu. Umościłam się najwygodniej jak mogłam na łóżku, podkładając dwie poduszki pod plecy, i z ciężkim sercem otworzyłam pierwszą teczkę.

Trudno było mi przebrnąć przez tę lekturę.

Każda z opisywanych dziewczyn miała swoje życie, kochającą rodzinę i wspaniałe widoki na przyszłość. Trochę trudności sprawiło mi spamiętanie kto jest kim, bo w większości miały zbliżone wykształcenie i pochodziły z podobnych środowisk.

Raporty z sekcji zwłok naprawdę napawały przerażeniem. Wszystkie ofiary były gwałcone, torturowane i okaleczane. Słabą pociechą stanowił fakt, że niektóre z tych miłych dziewcząt zmarły, zanim ich ciała zostały zbezczeszczone. Nie byłam w stanie nawet myśleć o tych, które wciąż żyły, kiedy działy się te straszne rzeczy.

Ciało pierwszej ofiary, Jennifer Longmuir, zostało znalezione w widocznym miejscu Princes Street Gardens, parku leżącego u

stóp edynburskiego zamku. Morderca nawet nie próbował ukryć zwłok. Ofiara została niezwykle brutalnie zgwałcona, jednak pomimo szczegółowej analizy płynu nasiennego nie udało się ustalić tożsamości napastnika.

Jennifer odniosła poważne obrażenia ciała i twarzy, miała też złamaną kość policzkową. Wszystkie dowody wskazywały na to, że dziewczyna zaciekle się broniła. Biedaczka walczyła o życie. Badanie toksykologiczne moczu, który zebrał się w pęcherzu, nie wykazało obecności alkoholu ani narkotyków. Odciętą prawą dłoń ofiary znaleziono metr dalej.

*...zwichnięcie wszystkich palców prawej ręki, zerwane więzadła, grzbiet dłoni całkowicie odarty ze skóry. Obecność płata skóry nadal przyłączonego do kości łódkowatej sugeruje, że obrażenia prawej dłoni powstały przed amputacją...*

Poczułam w ustach gorzki posmak żółci i musiałam odetchnąć głęboko kilka razy, żeby nie zwymiotować. Morderca połamał Jennifer wszystkie palce i ściągnął całą warstwę skóry z dłoni, zanim odciął ją tuż poniżej nadgarstka. Przez krótką chwilę miałam jeszcze nadzieję, że były to obrażenia pośmiertne, ale okazało się, że Jennifer nadal żyła, kiedy do tego doszło.

Zerwałam się na równe nogi i zaczęłam krążyć po pokoju. W końcu poszłam do łazienki, gdzie na chwilę zanurzyłam nadgarstki w strumieniu zimnej wody, aby pozbyć się tego okropnego wrażenia. Dopiero wtedy byłam w stanie wrócić do czytania.

Drugą ofiarą była Emily Benson, dwudziestotrzyletnia studentka medycyny. Pracowała jako stażystka w Bellsdyke Hospital na przedmieściach Stenhousemuir, a w stajni na pobliskiej farmie trzymała konia. Przyczyną śmierci było

uduszenie spowodowane zadzierzgnięciem. Morderca użył do tego celu stetoskopu ofiary.

*...złamanie kości ramiennej, łokciowej i promieniowej obu kończyn górnych... nadkłykciowe złamanie kości udowej obu nóg... złamanie kości piszczelowej i strzałkowej prawej nogi... ciężkie stłuczenia lewej piszczeli spowodowane tępym urazem...*

Obie ręce ofiary zostały połamane powyżej i poniżej łokcia, podobnie jak obie kości udowe. Prawa noga była złamana także poniżej kolana, natomiast nieudana próba połamania lewego podudzia spowodowała odłupanie fragmentów kości. Przesunęłam dłońmi po twarzy.

Dlaczego ludziom przytrafiają się takie potworne rzeczy? Czemu ktoś zadaje innym takie ciężkie obrażenia? Z raportu z sekcji zwłok dowiedziałam się, że Emily została najpierw zgwałcona, a potem sprawca - lub sprawcy - połamał jej ręce i nogi, klękając na nich całym ciężarem ciała. Jej zwłoki znaleziono na terenie szpitala.

Isabelle Robertson zginęła w Glasgow na początku stycznia 1985 roku. Próbowałam sobie przypomnieć, co mogłam robić dokładnie w momencie, kiedy mój brat najprawdopodobniej unicestwiał kolejne ludzkie istnienie.

Czy rozmawiałam z nim, kiedy wrócił do domu po dokonaniu zbrodni? A może popatrzyłam na niego i zobaczyłam błysk czegoś tak straszego, że nie chciałam nawet dopuścić tego do świadomości?

Nie mogłam sobie niczego przypomnieć.

Minęło tyle czasu, że trudno mi było wyobrazić siebie jako tamtą naiwną, młodą dziewczynę, tę dwudziestodwuletnią dziewczicę, którą wtedy byłam.

Drobna i krucha Isabelle mierzyła 160 centymetrów wzrostu i ważyła pięćdziesiąt kilogramów. Po raz ostatni widziano ją wychodzącą z Nicos, niezwykle modnej w tamtym okresie kawiarenki w śródmieściu. Jej ciało znaleziono na terenie cmentarza leżącego na północny zachód od centrum miasta. Badanie toksykologiczne wykazało obecność alkoholu, ale ani śladu narkotyków. Ofiara musiała się zaciekle bronić przed gwałtem, bo podczas oględzin zwłok stwierdzono poważne obrażenia warg sromowych i pochwy. Na nadgarstkach i szyi odkryto siniaki spowodowane uciskiem, ale to nie one były przyczyną zgonu.

*...wieloodłamowe złamania kości piszczelowej i strzałkowej obu nóg oraz poważny uraz tkanek miękkich połączony z uszkodzeniem naczyniowym... pogruchotane rzepki obu kolan... połamane kostki obu nóg... najprawdopodobniej będące skutkiem zmiżdżenia...*

Ogromna płyta granitu spadła z jednego z grobowców na Isabelle, a ściślej mówiąc na jej nogi. Dziewczyna zmarła w wyniku niewydolności narządowej, spowodowanej urazem, utratą krwi i szokiem. Policja podejrzewała, że sprawcy musieli odwiedzić wcześniej miejsce zbrodni, aby poluzować płytę, bo poruszenie jej wymagałoby znacznej siły.

Chciało mi się płakać, ale byłam w stanie tylko łkać bez łez. Znowu odkręciłam zimną wodę, tym razem opryskując rozpaloną twarz.

Przez następne dwie godziny nie przerywałam lektury dokumentów ani razu. Parę razy zadzwonił telefon, ale nie podnosiłam słuchawki, uznając, że najlepiej będzie, jeśli zajmie się tym Bronte, albo rozmówca nagra się po prostu na automatycznej sekretarce. Obawiałam się trochę, że po raz

kolejny będzie to rymowanka, ale dręczyła mnie teraz jeszcze jedna sprawa. Czy Bronte opowiadała ludziom o tym, co wyprawiał z nami Leland? Jak wiele zdradziła, zwłaszcza pod wpływem narkotyków? Niewykluczone, że to jej dealer mnie prześladowe, próbując zmusić ją w ten sposób do oddania długu. Na pewno wiedział, do którego szpitala trafiła Bronte, a to nękanie zaczęło się zaraz po jej przedawkowaniu.

Zapisałam sobie nazwisko, wiek, zawód i wyjątkowy talent każdej z dziewcząt oraz datę, miejsce i przyczynę śmierci. Najbardziej oczywistym podobieństwem między ofiarami był ich status społeczny: wszystkie pochodziły z dobrych rodzin, były wolne i dobrze sytuowane.

Z tego, co wiedziałam na temat seryjnych morderców, przy czym źródłem moich wiadomości były głównie filmy, zawsze przychodzi taki moment, kiedy zabójca zaczyna zabiegać o rozgłos. Ale jak na razie nie dotyczyło to sprawcy tych morderstw.

Okaleczanie ofiar miało ewidentnie charakter rytualny. Morderca odbierał tym dziewczynom rzecz dla nich najcenniejszą, to, co wyróżniało je z tłumu.

Jennifer Longmuir, utalentowanej artystce, odarł ze skóry i odciął prawą dłoń. Emily Benson, stażystce na oddziale ortopedii, połamał ręce i nogi, a Isabelle Robertson, która była tancerką, pogruchołał nogi. I tak to się ciągnęło aż do Abigail Dawes, utalentowanej łuczniczki, uprawiającej też szermierkę, której obciął palec wskazujący i przebił floretami oczy.

W końcu dotarłam do akt dotyczących Lucy Grant, życzliwej miłośniczki koni, której poderżnięto gardło i wycięto język. Powróciłam do punktu wyjścia, od momentu jej nieoczekiwanej śmierci do wyczekiwania na swój własny koniec.



*Lucy Grant, Lucy Grant, Lucy Grant.* Ta sama szkoła, takie samo pochodzenie... Nagle coś mi przyszło do głowy.

Przecież to w ogóle nie pasuje.

Lucy nie umiała ładnie śpiewać ani wygłaszać świetnych przemówień. Dlaczego morderca wyciął jej język? I nagle zrozumiałam wszystko. Ta myśl zmroziła mi krew w żyłach.

Zrobił to, żeby nie mogła już nic powiedzieć.

Zaczęłam drzeć na całym ciele, kiedy w końcu to do mnie dotarło. To ze mną chciała porozmawiać Lucy. Oczywiście akta dotyczące tego morderstwa zawierały skąpe informacje, więc nie miałam zbyt wiele materiału, z którego mogłabym coś wywnioskować. Co takiego, u licha, chciała mi powiedzieć Lucy? I dlaczego ktoś zabił ją z tego powodu? Nagle usiadłam wyprostowana na łóżku. To znaczy, że morderca też wiedział.

Kurwa, pomyślałam. Kurwa mać.

Przestraszyłam się, kiedy nagle otworzyły się drzwi.

- Erin! Chodź zobaczyć! - wrzasnęła Bronte, przywołując mnie niecierpliwie ręką.

Zeskoczyłam z łóżka i popędziłam za nią do kuchni.

- Co to takiego?

- Obrzydlistwo! - pisnęła, pochylając się nad zlewem. Przysunęłam się bliżej i ostrożnie zerknęłam w tym samym kierunku.

Karaluchy! Ale tym razem tylko trzy.

- Nie rusz! - zawołałam, kiedy Bronte sięgnęła do kranu. - Zostaw je. Paul musi to zobaczyć.

Wystukałam numer telefonu do Paula i zdołałam go przekonać, żeby wpadł do nas na chwilę. Bronte poszła otworzyć drzwi, a ja zostałam na straży, na wypadek gdyby małe paskudztwa wybrały jednak wolność.

- Zobacz! - zawołałam triumfująco do Paula, który przyjrzał się uważnie karaluchom, a potem potrząsnął głową.

- Jak się tu dostały?

- Kto to może wiedzieć. Ciekawe, czy pojawiły się też w innych mieszkaniach? Nie wiesz, czy pani McCaffer już wróciła? - zapytałam go.

- Nie mam pojęcia.

Odszukałam jej numer telefonu i zadzwoniłam. Ku mojemu zdziwieniu odebrała, zaskoczona z kolei tym, że do niej dzwonię.

- Z odpływów w moim mieszkaniu wychodzą karaluchy. Czy któryś z mieszkańców się skarżył?

- O ile mi wiadomo, to nie - ucięła krótko.

- Mogłaby to pani sprawdzić?

- Jestem zajęta.

- Słucham?

- Jestem zajęta - burknęła.

- A tak przy okazji, zmieniłam u siebie zamki. Komplet kluczy, który był u pani, w jakiś tajemniczy sposób zniknął.

- Wcale nie.

- Ależ tak.

- Nieprawda.

- Po prostu świetnie. Długo będziemy się tak bawić? - mruknęłam pogardliwe.

- Ten policjant je zabrał.

- Co takiego?

- Powiedział, że może zdobyć nakaz - zaczęła się bronić pani McCaffer.

- Jak się nazywał? - zrobiłam się natarczywa.

- Nie pamiętam nazwiska. Był tu któregoś dnia. Mówił, że to całkowicie zgodne z prawem.

- A jak wyglądał?

- Nie pamiętam - skłamała.

- Naprawdę nie pamięta pani jego nazwiska?

- Nie. Ale lepiej nie bić ludzi, jeśli się nie chce mieć kłopotów - zadrwiła i zadowolona z siebie odłożyła słuchawkę.

Paul przyglądał mi się uważnie. Wyraz jego oczu przyprawił mnie o dreszcz.

- O co chodziło? - zapytał trochę za szybko.

- Ta cholerna wiedźma powiedziała, że nic jej nie obchodzą moje rury - mruknęłam wymijająco, wzruszając ramionami.

- Na jaką temperaturę nastawić lasagne? - wtrąciła się Bronte.

- Sto osiemdziesiąt stopni, przez czterdzieści pięć minut - odparł machinalnie Paul, nadal jednak nie odrywał ode mnie wzroku. Przez krótką chwilę byłam nawet wdzięczna za to głędzenie mojej siostry.

- Paul, napijesz się wina? - dopytywała dalej Bronte. Zakląłam pod nosem. A taką miałam ochotę wymknąć się na dół i pogadać sobie w cztery oczy z panią McCaffer. Chciałam wiedzieć, który policjant zabrał moje klucze. Ostatnio było ich tu tylko dwóch: Kelman i Marshall.

- Nie masz nic przeciwko temu, Erin? - zapytał uprzejmie Paul.

- Oczywiście, że nie - odparłam z fałszywym uśmiechem.

- Aha, Erin, dzwoniła Liz jakaś tam w sprawie biura. I Karen w związku z jakimś balem w piątek. Powiedziała, że wszyscy potwierdzili przybycie i że potrzebna jest jeszcze jedna kobieta. Może ja pójdę?

Zerknęłam na jej wystrzępione włosy.

- Nie podobałoby ci się. Tam będzie pełno prawników i biznesmenów - Bronte zrzędała mina, a ja przekląłam swój niewyparzony język. - Nie chciałam, żeby tak to zabrzmiało. Po

prostu to strasznie nudna impreza, wszyscy będą rozmawiać tylko o pracy.

- Karen mówiła jeszcze, że musisz przyprowadzić jakiegoś faceta - zakpiła Bronte, nalewając wina do kieliszków. Podniosłam groźnie brew, ale dostrzegłam szelmowski błysk w jej oku. - Mogłabyś zabrać ze sobą Paula.

- Gdzie Erin mogłaby mnie zabrać? - zapytał wesoło Paul, chociaż na jego twarzy malowało się napięcie.

- Na bal, kopciuszkule! - zachichotała Bronte, dając mu kuksańca w bok.

Zauważyłam, że obok kosza na śmieci stoją dwie puste butelki po winie. Bronte była pijana.

- Paul będzie pewnie zajęty w piątek.

- Nie mam żadnych planów. Potrzebujesz partnera?

- Hm, tak - ku mojej irytacji, zaczerwieniłam się. - Nie. To znaczy, tak jakby.

- W takim razie dam do odprasowania swój smoking.

- Super! Zapowiada się świetna zabawa! A będzie dużo wolnych facetów? - Bronte pociągnęła spory łyk wina. Jeśli wybierała się z nami na tę imprezę, to trzeba ją będzie posłać do fryzjera.

- Nie.

- Dlaczego nie? - nadąsała się Bronte.

- Bo nigdy ich nie ma - mruknęłam i wycofałam się do swojej sypialni. Chciałam się znaleźć jak najdalej od nich, zwłaszcza od Paula, bo nie byłam pewna, czy zdołam się dłużej powstrzymać przed wylaniem na ich głowy gotującej się we mnie złości.

Wzięłam do ręki teczkę Lucy Grant i jeszcze raz przeczytałam wszystkie informacje. A potem jeszcze raz. Biedna Lucy Grant. Szósta pośród „najbardziej pożądanых partii”. Pod wpływem

impulsu zeskoczyłam z łóżka i podbiegłam do mahoniowej skrzyni na pościel, gdzie leżało sześć starannie opisanych pudeł: „Zdjęcia”, „Listy”, „Dokumenty” i trzy zawierające rozmaitości. Wyjęłam pudło z napisem „Różne 1995-1999” i usiadłam na podłodze.

Kilka stron z gazety znajdowało się prawie na samym wierzchu, ale tuż pod nimi leżała walentynka od Aleksa. Zerknęłam do środka wyjątkowo ozdobnej kartki i nagle przypomniałam sobie, jak szczęśliwa byłam, kiedy ją dostałam. Dziwne, że pierwsze chwile zauroczenia tak bardzo ograniczają naszą zdolność racjonalnej oceny. Kartka była tandetna i śmieszna, ale wówczas naprawdę wiele dla mnie znaczyła.

Poszliśmy wtedy z grupą przyjaciół do Yes, bardzo modnej restauracji, żeby uczcić czyjeś czterdzieste urodziny. Nastroje nam dopisywały, szampan lał się strumieniami. Szybko napotkałam wzrok Alexandra, którego znałam tylko ze słyszenia. Po pierwszym daniu, kiedy wszyscy mężczyźni mieli zmienić miejsca, ruszył prosto w moją stronę. Ostentacyjnie go zignorowałam, nawiązując rozmowę ze swoim sąsiadem z lewej.

Po daniu głównym mężczyźni znowu zmienili miejsca, a Alex przesiadł się po prostu na krzesło z mojej lewej strony i szepnął mi do ucha: „Może mnie pani znowu zignorować, ale wtedy usiądę naprzeciwko pani”. Uniosłam tylko brew i przestałam zwracać na niego uwagę, więc po deserze rzeczywiście zajął miejsce vis-a-vis mnie. Zaczęliśmy się spotykać po jakimś miesiącu jego zabiegów, polegających głównie na przysyłaniu mi kwiatów i codziennym dzwonienu.

Nigdy nie mieliśmy przed sobą żadnej przyszłości, ale byliśmy ze sobą ze strachu przed samotnością. Dla mnie było to bardziej oczywiste. Ciągły upływ czasu nie pozwalał o sobie zapomnieć.

Nawet gdybym jutro spotkała kogoś, na zbudowanie trwałego związku potrzeba przecież wielu miesięcy, a dopiero wtedy mogłabym pomyśleć o dziecku. Gdybym miała szczęście i nie odkryła zbyt późno, że jednak nie stanowimy udanej pary, mogłabym dobiegać czterdziestki, zanim w końcu zaszłabym w ciążę.

Z lekkim westchnieniem odłożyłam kartkę do pudełka.

Potem przejrzałam szybko artykuł o stu „najlepszych partiach” i aż skrzywiłam się przy swoim opisie. Teraz pewnie w ogóle nie wzięliby mnie pod uwagę. Osobom z pierwszej dwudziestki poświęcono po trzy akapity, dołączając do tekstu sporą fotografię. Im niższa pozycja w rankingu, tym mniejsze zdjęcie i krótsza notka.

Otworzyłam szerzej oczy. Sześćdziesiąte siódme miejsce zajmowała Sophie Holbrook. Miała dwadzieścia dziewięć lat, zasiadała w komitetach zajmujących się gromadzeniem funduszy kilku organizacji charytatywnych, a po swoim ojcu przemysłowcu odziedziczyła dwa miliony. Była zapaloną wielbicielek nurkowania. Patrząc na jej zamazane zdjęcie, przypomniałam sobie raport z sekcji zwłok.

Sophie Holbrook została utopiona we własnym moczu, sprawca wyciął jej też fragment płuca. Była trzecią ofiarą od końca, zginęła przed Abigail Dawes. Próbowałam przełknąć ślinę, ale w ustach miałam sucho. Serce waliło mi jak oszałałe. Czyżbym w końcu znalazła związek pomiędzy ofiarami?

Od czasu do czasu moje nazwisko pojawiała się w poważnej prasie w związku z wygraniem jakiegoś wyjątkowo dużego odszkodowania, ale oprócz tego moim jedynym momentem sławy była wzmianka w tym artykule. Lucy i Sophie też znajdowały się w rankingu, zaś Abigail trafiała na okładki gazet

jako nadzieja olimpijskiej drużyny szermierki. Czy to był właśnie powód? Nagle rozległo się ciche pukanie do drzwi.

- Proszę - zawołałam.

- Kolacja już prawie gotowa - Paul zajrzał do pokoju. Jego oczy powędrowały w stronę gazety leżącej na moich kolanach.

- Znalazłaś coś?

- Nie wiem. Może. Wiedziałeś, że Sophie Holbrook była w tym samym rankingu, co Lucy?

- Nie. Ale ty też w nim jesteś. Numer dziesięć, zdaje się. Nie musiał mi o tym przypominać.

Paul podszedł do mnie i wziął do ręki gazetę.

- Abigail Dawes też tu jest? - zapytał, przeglądając artykuł.

- Nie, ale było wokół niej trochę szumu w mediach w związku z jej szansami na udział w olimpiadzie. W twoich aktach są wycinki na ten temat.

- Ale na tej liście jesteś ty, a nie Bronte.

Zamilkłam na chwilę w poczuciu winy, zanim w końcu wydusiłam.

- Kelman słusznie podejrzewał, że Bronte pominęła istotne szczegóły. Napaść na nią nie miała nic wspólnego z tymi morderstwami.

- Skąd wiesz?

- Rozmawialiśmy na ten temat z Bronte.

- W takim razie dlaczego opowiedziała policji o Lelandzie? Westchnęłam ciężko.

- Bronte była naprawdę oszołomiona, a poza tym, no cóż, chyba próbowała stworzyć zasłonę dymną.

- Nie przeszkadza ci to?

- Nie mam na to żadnego wpływu.

- Może jednak dołączysz do nas i coś zjesz?

- Nie teraz.

- Erin, to, co się wydarzyło wcześniej...

- Nie wracajmy do tego...

- Nie rozumiesz...

- Rozumiem doskonale! - warknęłam. - Obaj z nadinspektorem Kelmanem mi nie ufacie.

- To nieprawda! Ufam ci. Powiedziałem ci wszystko, co wiem.

- Czyżby? OK, w takim razie o co chodzi z sierżantem Marshalllem?

Twarz Paula zachmurzyła się.

- Marshall przysporzył ludziom wielu kłopotów.

- Przeprowadzał rewizję kilku waszych spraw. Co takiego znalazł, że obaj z Kelmanem jesteście tacy drażliwi na jego punkcie?

Paul przysiadł ze znużeniem na brzegu łóżka. Przez chwilę milczał, próbując znaleźć odpowiednie słowa.

- Sierżant Marshall i jego przełożeni uważali, że wcześniejsze sprawy były źle prowadzone i zarządzili nawet formalne dochodzenie. Jak myślisz, dlaczego Kelman nigdy nie awansował powyżej nadinspektora?

- A były źle prowadzone?

- Możliwe - mruknął Paul, podnosząc wzrok na sufit.

- To znaczy?

- Schrzaniliśmy pierwsze trzy sprawy, nie zauważyliśmy schematu. Oczywiście, później stało się to dla nas jasne, ale w każdym śledztwie najważniejsze jest pierwszych czterdzieści osiem godzin. Nie wykazaliśmy się wystarczającą skrupulatnością w zbieraniu dowodów, miejsce zbrodni często nie było już w nienaruszonym stanie. A cholernie trudno znaleźć jakieś dowody w rok albo więcej po zdarzeniu.



- Ale co z resztą?

- Nie zajmowałem się wszystkimi sprawami. Odszedłem z policji, pamiętasz?

- W takim razie co z tymi, nad którymi pracowałeś? - nie zamierzałam odpuścić mu tak łatwo.

Paul przewrócił oczami, jednak odpowiedział na pytanie.

- Miejsce zbrodni było zawsze starannie wysprzątane, niemal sterylnie czyste. Eksperci od medycyny sądowej nie zdołali niczego znaleźć. Uznano, że to nieudolność albo celowe działanie na szkodę śledztwa ze strony policji. Zadowolona?

Na pewno nie byłam zadowolona.

- Kogo podejrzewano? - zapytałam cicho.

- A jak myślisz? - warknął Paul.

Chryste. Otworzyłam szeroko oczy, próbując jednocześnie opanować narastający we mnie lęk.

- Dlatego odszedłeś?

- Nie - popatrzył na mnie ze złością. - Przeszedłem załamanie nerwowe! Nie chodziło o mnie!

- Och... - zająknęłam się. - Podejrzewali Kelmana?

- Nie, po prostu ogólnie kogoś z policji.

- Przepraszam, ale tak to zabrzmiało! - odburknęłam. Paul zamknął oczy i potrząsnął głową. Musiałam trafić w czuły punkt.

- Co jeszcze było nie tak? Zresztą nieważne - mruknęłam, zauważając jego wahanie i cała zeszywniała wstałam z podłogi. Najwyraźniej wiek zaczyna dawać o sobie znać, pomyślałam i skarciłam samą siebie za to, że zarzuciłam ćwiczenie jogi.

Byłam już prawie za drzwiami, kiedy Paul w końcu się odezwał.

- Teoria tajnej sekty nie przypadła naszym pryncypałom do gustu.

- Dlaczego nie?

- Była zbyt mglista, niewiarygodna, niespójna. Zwłaszcza po śmierci Lelanda. Zналиśmy nazwiska tylko pięciu podejrzanych, a w tamtej chwili dwóch z nich już nie żyło. Pozostała trójka miała alibi.

- A co z tymi dwoma luźno powiązanymi z grupą?

- Nie mieliśmy zielonego pojęcia, kim byli. Komisja rewizyjna uznała, że za bardzo skupiliśmy się na tej grupie i nie wzięliśmy pod uwagę innych możliwości.

- Ale przecież pierwsze dziewczyny, poza Jennifer Longmuir, padły ofiarą gwałtu zbiorowego, czego dowodzą poważne uszkodzenia dróg rodnych i odbytu. Poza tym obrażenia zadane zostały z różną siłą, z czego można wysnuć wniosek, że było kilku napastników. Wygląda na to, że ofiary nie zawsze były torturowane i okaleczane przez tego samego człowieka, w dwóch wypadkach raporty mówią wyraźnie o „uderzeniach lewą ręką”. Z oględzin zwłok jasno wynika, że w przypadku kilku ofiar sprawców musiało być co najmniej dwóch. Paul posłał mi zrezygnowany uśmiech.

- Też tak myśleliśmy, ale jak już mówiłem, to nie była szczególnie popularna hipoteza.

Przyjrzałam mu się z zastanowieniem. Podczas lektury tych akt jedna rzecz nie dawała mi spokoju.

- Dlaczego w tych papierach nie ma żadnych informacji na temat Lelanda i jego kumpli? Akta dotyczące każdej ze spraw są bardzo obszerne, ale nie ma w nich nawet wzmianki o podejrzanych.

- Kolacja gotowa! - zawołała z kuchni Bronte.

Paul wstał z łóżka i podszedł do mnie, pocierając dłonią czoło, jakby próbował pozbyć się w ten sposób bólu.

- Te informacje zostały uznane za poufne i jako zbyt drażliwe. Dopiero po chwili dotarł do mnie sens jego słów.

- To znaczy zbyt drażliwe dla mnie?

Paul skinął szorstko głową i przecisnął się obok mnie w przejściu.

- Raporty z sekcji zwłok to też nie jest raczej lektura dla niewinnych pańienek. Co u licha może być od tego gorsze?

Paul spojrział na mnie i przez ułamek sekundy mogłam myśleć tylko o tym, jak znalazł się blisko mnie.

- Nie chodziło o to, że te informacje mogłyby cię zdenerwować. Popatrzyłam na niego z przerażeniem.

- To nie była moja decyzja - dodał szybko.

- A czyja? Kelmana?

Wyraz jego twarzy wystarczył za odpowiedź.

- Nic nie rozumiem. Przecież Kelman chciał, żebym pomogła wam stworzyć profil zabójcy... - powiedziałam z niedowierzaniem.

Z kuchni wychyliła się Bronte.

- Zrobiłam też sałatkę - oświadczyła, wycierając ręce w ścierkę.

- To miło z twojej strony - podziękowałam, nadal nie odrywałam jednak wzroku od Paula.

- Porozmawiamy później - powiedział, podchwyciwszy moje spojrzenie.

Dołączyliśmy do Bronte do kuchni, ale w ogóle nie miałam apetytu. Żołądek zacisnął mi się z niepokojem. Zdołałam w siebie wmusić tylko parę kęsów lasagne i dwa listki sałaty.

- Powinnaś więcej jeść, Erin. Ile ty ważysz, pięćdziesiąt kilo? - Bronte niefrasobliwie wtargnęła na zakazany teren.

- Nie jestem głodna.

- Lunchu też nie jadłaś - argumentowała Bronte. - Mówię

poważnie. Jesteś za chuda. Paul, mam rację, prawda?

Paul chrząknął.

- Zawsze byłam szczupłą. Dlaczego wszyscy robią z tego wielki problem?

- Zwykle wyglądasz nieźle, ale nie tylko ja zauważyłam, że ostatnio schudłaś - Bronte zmiatała jedzenie z talerza, jakby zaraz miał nastąpić koniec świata. Samokontrola nigdy nie była jej mocną stroną. W jakiegokolwiek formie.

- *Kto to zauważył?* - wycodziłam przez zęby.

- Rozmawialiśmy o tym z Shereen i Paulem - wyznała Bronte z całą naiwnością.

Otworzyłam ze zdumienia usta. Paul miał taką minę, jakby właśnie ugryzł go wściekły szczur. Z gniewem zerwałam się od stołu.

- Och, ja nie chciałam, żeby tak to zabrzmiało... - próbowała się tłumaczyć Bronte.

- Daj spokój - warknęłam i wybiegłam z kuchni.

Kiedy oni się w końcu odczepią? *Milutka doktor Khalil i dobry wujcio Paul.* Zanim się obejrzę, zaczną omawiać moje wypróżnienia. Wścibskie dupki.

Weszłam do garderoby i stanęłam przed lustrem. Bronte miała rację, ostatnio straciłam na wadze. Byłam blada, chuda i miałam zapadnięte oczy. Założyłam włosy za uszy i przyjrzałam się uważnie swojemu odbiciu. Matowa cera, włosy straciły swój połysk. Oczy miałam zmęczone i przygasłe. Po raz pierwszy w życiu nie myślałam o sobie jako o wyjątkowo atrakcyjnej kobiecie. Straciłam swoją ostatnią ucieczkę pozwalającą zachować pewność siebie.

Czułam się bezbronna i przerażona. To uczucie powracało do mnie ciągle od czasów dzieciństwa. Tylko pozostając w ciągłym

ruchu i zachowując obojętność, mogłam nad nim zapanować, nie pozwolić, by mnie pochłonęło.

Poszłam do łazienki i wyjęłam z szuflady leki uspokajające. Czułam, że zaczynam balansować na krawędzi. Wyłuskałam jedną tabletkę z opakowania, a potem szybko przełknęłam. Oczyszcziłam peelingiem skórę twarzy i szyi, a potem nałożyłam starannie samoopalacz firmy Clarins. Potem wróciłam do garderoby i zaczęłam przeglądać swoje wieczorowe kreacje.

Na bal nadawała się tylko jedna - sięgająca ziemi czarna suknia od Armaniego z wysoką stójką, długimi rękawami i głębokim dekoltem na plecach. Uszyta z jedwabiu z domieszką lycry pasowała na mnie jak ulał. Wyjęłam ją z szafy, żeby się trochę przewietrzyła. Apatycznie sięgnęłam do po swój palmtop, a potem zadzwoniłam do Liz. Umówiliśmy się na czwartą następnego dnia w moim mieszkaniu. Poprosiłam ją, żeby zawiadomiła jeszcze Karen i Douglasa. Trzy razy zaczynałam wystukiwać numer, zanim w końcu zebrałam się na odwagę i zadzwoniłam do doktor Eunice McKay, zgłosiła się jednak tylko automatyczna sekretarka. Usłyszałam informację, żeby w pilnych wypadkach dzwonić na numer komórki, albo zostawić krótką wiadomość, jeśli chodzi o ustalenie terminu wizyty. Po sygnale zawahałam się przez krótką chwilę, ale jednak odłożyłam słuchawkę.

Doktor McKay nie była mi w stanie pomóc i dobrze o tym wiedziałam. Tylko ja sama mogłam coś na to poradzić. Rozmawialiśmy na ten temat tyle razy, że znałam już na pamięć wszystkie jej argumenty.

Byłam oziębła i znerwicowana, ale cóż w tym dziwnego. Mój starszy zaledwie o rok brat zaczął się nade mną znęcać - w bardzo drastyczny sposób - kiedy miałam dziesięć lat. Ale to

zaczęło się już wcześniej. Znacznie wcześniej.

Pamiętam jedno zdarzenie. Byłam wtedy bardzo mała, miałam pięć, może sześć lat. Leland zaczął mnie głaskać po włosach, jakbym była kotem. Kiedy zaczęłam się wiercić, zmęczona jego pieszczotami, pociągnął mnie za włosy. Tak na serio. Jedno krótkie, mocne szarpnięcie i w dłoni została mu garść włosów.

To wtedy zrozumiałam na swój dziecinny sposób, że nie należy sprzeciwiać się Lelandowi. Terroryzował te nieliczne dzieci, z którymi udawało mi się zaprzyjaźnić. Matka powtarzała tylko, że tacy już są chłopcy, ale przyjaciele szybko przestawali do mnie przychodzić. Obecność Lelanda była niczym ciągle obecny, groźny cień. Na początku zawsze zachowywał się z szacunkiem, ale wystarczyło, że zaczynałam marudzić, albo zrobiłam czy powiedziałam coś nie tak, a zmieniał się kompletnie. To było jak smagnięcie batem. Niespodziewane, bolesne, przerażające. I ten ciągły lęk. Wystarczył sposób, w jaki przekrzywił głowę, chodził, patrzył na mnie i już wiedziałam, że zostanę ukarana. Dobrze wiedziałam. A potem pojawiła się Bronte. Śliczna, ufna Bronte, radosny maluch z czuprynką brązowych loków. Kolejna broń przeciwko mnie.

Próbowałam ją chronić, udając, że mi na niej nie zależy albo unikając jej towarzystwa i przy pomocy tysięcy jeszcze innych drobnych sztuczek wymyślanych pod wpływem chwili. W ostateczności uciekałam się do pertraktacji.

Ale to nie wystarczało.

Jeśli Leland uznał w swoim chorym, pokręconym umyśle, że wyrzuciłam mu krzywdę, jego ostateczną zemstą zawsze była Bronte. Zakryłam twarz rękami. Pod palcami poczułam łyzy. Nawet płakać nauczyłam się po cichu. Wszystko po to, żeby zniknąć, stać się niewidzialną. Usłyszałam pukanie do drzwi i do

pokoju weszła Bronte. Wyglądała tak, jakby szykowała się do walki, ale tylko do momentu, kiedy na mnie spojrzała.

- Erin? O co chodzi? - zawołała, podbiegając do łóżka.

Podniosłam na nią wzrok.

- O Lelanda.

Nie musiałam mówić nic więcej.

To był także jej ból.

Było ciemno, ale nie zimno - pociałam się obficie, macając podłogę w poszukiwaniu jakiegoś wyjścia albo schodów. Dopiero po kilku pełnych napięcia sekundach uświadomiłam sobie, że jestem w swoim łóżku, a to wszystko było snem. Mój niepokój musiał udzielić się Bronte, która mruzczała coś przez sen. Zasnęliśmy razem, wyczerpane płaczem i wzajemnymi zwierzeniami.

Opowiedziałam jej wszystko, co pamiętałam na temat Lelanda. Teraz wiedziała, że kiedy ją krzywdził, to wszystko działało się przeze mnie, bo nie byłam wystarczająco szybka albo przebiegła, żeby odwieść go od jego zamiaru, odwrócić jego uwagę, by ją chronić. I wiedziała już, że dla mnie było to jeszcze straszniejsze.

Po tej rozmowie Bronte jakby zapadła się w siebie. Objęłam ją ramieniem, ale jej ciało pozostało sztywne i napięte. Cała jej miękkość, życzliwość gdzieś zniknęła. Wysunęłam się spod kołdry i poszłam do łazienki. Moja piżama była mokra od potu. Zrzuciłam ją z siebie i przemyłam twarz wodą. Nie mogłam sobie przypomnieć, co mi się śniło, ale nadal czułam strach, który towarzyszył temu koszmarowi.

Pytałam Bronte, czy mówiła komukolwiek o rymowankach, które śpiewał nam Leland albo o tym, jakie obrażenia zadawał,



ale zaprzeczyła. Z tego płynął jedyny logiczny wniosek, że wiadomości zostawił morderca. Świadomość tego zmroziła mi krew w żyłach. Wciąż chwytalam się myśli, że gdyby nie ten cholerny telefon od Lucy Grant, to wszystko w ogóle by się nie wydarzyło. Wiedziałam, że to nieprawda, ale dzięki temu jakoś się jeszcze trzymałam, powtarzając sobie ciągle, że mordercy wcale nie chodziło o mnie, tylko natknął się na mnie przypadkiem.

Wszystko na próżno. Morderca znał jeden ze sposobów dręczenia nas stosowanych przez Lelanda. Jak to możliwe? Leland musiał mu o tym opowiedzieć. Zrobiło mi się niedobrze. Rozgorączkowana wyobraźnia podsunęła mi obraz mojego brata, śmiejącego się i wciąż na nowo przeżywającego swoje zbrodnie w towarzystwie kompanów, których oczy błyszczą zadowoleniem i zazdrością.

Żołądek ścisnął mi się w odruchu wymiotnym. Poczułam pieczenie w gardle, ale nie miałam czym zwymiotować. Założyłam świeżą piżamę i wróciłam do łóżka, jednak niezależnie od starań, nie mogłam pozbyć się tych myśli. Tuż po ósmej rano obudził mnie zapach spalenizny. Wskoczyłam z łóżka, w pośpiechu uderzając się w palec u nogi. Wrzasnęłam z bólu. Z kuchni wynurzyła się spowita chmurą dymu Bronte.

- Co ty tam, do diabła, palisz?

- Toster wszystko przypala! - wyjaśniła gniewnie.

- Włącz wyciąg! I otwórz te cholerne drzwi - warknęłam.

- Ktoś wstał dzisiaj z łóżka lewą nogą - odparła z przekąsem.

Popatrzyłam na nią ze złością i nagle uświadomiłam sobie, że jest ubrana w mój sweter polo z flagą USA i lniane spodnie od Ralph'a Laurena. Czy nic już nie jest święte?

- Skąd to masz? - zapytałam.

- Z twojej szafy.

- Dlaczego nie wybrałaś sobie czegoś innego, tylko musiałaś wziąć akurat mój ulubiony pulower?

- Te ciuchy podobały mi się najbardziej - Bronte wzruszyła ramionami i wycofała się do kuchni.

Te podobały się jej najbardziej? Bezczelna, panosząca się wszędzie mała, mruzczałam pod nosem, wracając do swojego pokoju. Ubranie przesiąknie teraz kuchennymi zapachami, a spodnie i tak są na nią za ciasne - za to na mnie pasowały idealnie. Poza tym ja mam normalne włosy. A Bronte powinna przez jakiś czas powstrzymać się od jedzenia bekonu. Kiedy byłam w cierpiętniczym nastroju, z równowagi wyprowadzał mnie najmniejszy drobiazg. Weszłam pod gorący prysznic, próbując zmyć z siebie ten zły humor, ale żadna ilość kosmetyków od Jo Malonea nie była w stanie pobudzić do życia mojego genu optymizmu. Wyszłam z kabiny w jeszcze gorszym nastroju.

Wcześniej planowałam sobie, że sama założę ten zestaw - swobodny, a jednocześnie elegancki. Z niechęcią przejrzałam zawartość swojej garderoby, ale wszystko nagle zaczęło mi się wydawać okropne. W końcu chwyciłam sweter i dżinsy, choć nie tak chciałam dzisiaj wyglądać. Zawsze starałam się dobierać strój do obrazu siebie, który pragnęłam stworzyć. To była część mojej strategii obronnej.

W końcu odważyłam się wejść do salonu i zaczęłam przekładać papiery na biurku. Trudno było mi się skoncentrować, kiedy ktoś kręcił się po mieszkaniu, a już zwłaszcza ta dwójka, która właśnie chichotała sobie w najlepsze w kuchni. Najwyraźniej Paul znowu nas odwiedził. No, no, naprawdę go wzięło.

- Napijesz się kawy, Erin? - zapytał Paul, stając w drzwiach kuchni.

- Chętnie - mruknęłam.

- Bronte mówiła, że podpisałaś umowę najmu tamtego biura. Gratuluję. To, co robisz wymaga naprawdę dużej odwagi - dodał swobodnym tonem.

- Niestety, odwaga nie ma tu nic do rzeczy. To po prostu konieczność. Spłata zobowiązań.

- Co masz na myśli? - Paul podszedł do mojego biurka, a ja po raz kolejny zauważyłam, jak bardzo jest atrakcyjny.

- Nie mogę przecież zostawić ich na lodzie. Mam moralny obowiązek pomóc Liz, Karen i Douglasowi, bo oni stanęli za mną murem. Poza tym, jeśli mam być brutalnie szczerą, to dla mnie jedyna droga, żeby wrócić do zawodu.

Paul wyglądał na zaskoczonego moją szczerością.

- Nie sądziłem, że tak do tego podejdziesz.

- Nie jestem zupełnie pozbawiona uczuć. Wszystko zależy od sytuacji.

- Uważam, że postępujesz słusznie. Brawo - pochwalił mnie zupełnie jak nauczyciel.

- Dziękuję, proszę pana - zakpiłam. - Od razu mi lepiej. Nie wybaczyłam mu jeszcze tego szpiegowania, kłamstw i ukrywania przede mną informacji. Chciałam dać mu to wyraźnie do zrozumienia, ale Paul natychmiast odpowiedział atakiem na atak.

- Tylko kawa? Nie chcesz nic do jedzenia?

- Dzięki, wystarczy kawa - uśmiechnęłam się. - Mocna i czarna. Bez mleka i cukru.

Paul zawahał się przez moment, zanim w końcu powiedział:

- Myślałem, że lubisz kawę z dużą ilością mleka, białą?

- Już nie - skłamałam. Nienawidziłam czarnej kawy, ale jeśli dzięki temu udało mi się go wkurzyć, to było warto.

Paul zmrużył oczy, ale nic nie powiedział, tylko wyszedł do kuchni po zamówiony napój.

Pomimo biegłości w prawniczym targowaniu nie miałam pojęcia, jak poradzić sobie z Paulem. Wiedział różne rzeczy, których nie zamierzał wyjawiać i to mnie drażniło. Dokładniej mówiąc, doprowadzało do szału.

Wzmianka o „białej kawie” przywołała mi na myśl sierżanta Marshalla i sprawę moich zaginionych kluczy. Będę musiała jakoś wyciągnąć z pani McCaffer, kto je zabrał.

- Kawa dla pani - Paul ostentacyjnie postawił przede mną kubek parującej czarnej kawy.

- Dzięki. Po co przyszedłeś? - zapytałam, starając się zachowywać uprzejmie.

- Bronte prosiła, żebym przyszedł. Nie mówiła ci?

- Nie. A dlaczego cię zaprosiła?

- Twierdziła, że masz mi coś do powiedzenia. Na temat Lelanda - Paul wyglądał na szczerze zakłopotanego. A ja byłam naprawdę wściekła. - Rany, chyba nieźle ją wkopałem, co?

- Aha.

Wzruszył ramionami z miną winowajcy.

- Moja propozycja jest taka, Paul. Jak to mówią, ja odkryję przez tobą swoje karty, jeśli ty pokażesz mi swoje.

- To nie zależy ode mnie... - zaczął się tłumaczyć.

- Taka jest moja propozycja. Przyjmujesz ją albo nie.

Paul otaksował mnie.

- Dobra, w porządku - zgodził się niechętnie.

- Muszę zadzwonić w parę miejsc, ale potem jestem wolna aż do czwartej.

- A na mnie czeka jeszcze niedokończony artykuł, więc może spotkajmy się u mnie w południe. Przy okazji będziemy mogli przekąsić jakiś lunch.

- Jak to się dzieje, że ty w ogóle nie tyjesz? - wyrwało mi się.

- Dużo ćwiczę - Paul uśmiechnął się cierpko. - Ty też powinnaś tego spróbować.

- Odchrzań się. Już wolę głodówkę.

- Bardzo zdrowo - zadrwił jeszcze, ale w końcu poszedł. Zadzwoiłam do Colliera z D. M. Hall, który bardzo ucieszył się z mojego telefonu, choć nie był już tak zadowolony, kiedy zażądałam trzech miesięcy wolnych od czynszu i obniżenia stawki do 170 funtów za metr kwadratowy. Ostatecznie zgodził się na 180. Odłożyłam słuchawkę trochę podniesiona na duchu. Rozpoczęłam nowy rozdział w życiu.

Bronte ciągle siedziała w kuchni, pewnie ukrywając się teraz przede mną. Musiałam przyznać, że podjęła mądrą decyzję, dzwoniąc do Paula, ale zastanawiałam się też, jak wiele mu powiedziała.

Kiedy weszłam do kuchni, żeby nalać sobie mleka do kawy, dostrzegłam ją na tarasie. Wyglądała dziwnie pogodnie, kiedy tak wodziła wzrokiem po dachach budynków. Przedzierające się przez chmury słońce odbijało się od mokrych płytek.

Skrzywiła się, kiedy zauważyła mnie przez drzwi balkonowe. Razem z nią do środka wtargnął podmuch zimnego powietrza. Wyglądała teraz dużo lepiej - oczywiście poza fryzurą.

- Przepraszam - bąknęła.

- Nie ma sprawy. Co mu powiedziałaś?

- Wspomniałam tylko, że ty pamiętasz o wiele więcej rzeczy związanych z Lelandem niż ja.

- Nie podałaś mu chyba żadnych szczegółów? - zapytałam

szybko.

- Nie, to zbyt osobiste. To znaczy, jeśli chcesz mu o tym opowiedzieć, to w porządku, ale pomyślałam, że lepiej zostawię decyzję tobie.

- Dzięki.

Bronte przeczesła palcami swoje wystrzępione włosy.

- Może umówię cię na wizytę do mojego fryzjera? - zapytałam od niechcienia. Miałam tylko nadzieję, że Bronte się nie obrazi.

- Jasne, to świetny pomysł.

Zadzwoiłam do salonu fryzjerskiego i zdołałam ich jakoś przekonać, żeby wcisnęli Bronte na wpół do dwunastej.

- To tylko parę ulic stąd. Możesz już chodzić? Bronte wstała i przespacerowała się po kuchni.

- Trochę boli i w ogóle to dziwne uczucie, ale lekarz kazał mi się dużo ruszać.

- Musimy jeszcze załatwić tę drugą... sprawę - przypomniałam niepewnie.

- To znaczy, z dealerem?

- Albo z policją - podsunęłam z nadzieją.

Bronte usiadła z powrotem i kilka razy potarła dłońmi twarz.

- Chyba nie będę w stanie rozmawiać o tym z policją. Chciałabym po prostu to jakoś załatwić i już nigdy do tego nie wracać.

- Jesteś pewna?

- Tak - odparła stanowczo.

- Ale... jeżeli - rozpaczliwie starałam się dobrać jak najłagodniejsze słowa. - A jeżeli... cóż, a jeśli... to się powtórzy?

- To się już nigdy nie powtórzy! - Bronte była przerażona tą sugestią.

- Obiecaj mi to. Obiecaj, że już nigdy nie tkniesz narkotyków.

- Gardzisz mną, prawda? - zapytała, patrząc na mnie z niechęcią.

- Oczywiście, że nie! Jak możesz tak w ogóle mówić?

- Zawsze jesteś na mnie zła i taka... daleka.

- Nie jestem zła. Po prostu się o ciebie martwię i czasami to może sprawiać wrażenie, że się na ciebie gniewam, ale tak nie jest. Trudno wyrazić słowami, co czuję. Jestem bardzo...

- Oziębła? - wtrąciła.

- Nie tego słowa zamierzałam użyć, ale tak, chyba nie jestem zbyt wylewna.

Bronte uśmiechnęła się słabo.

- Ty i te twoje gładkie słówka. Dziwię się, że nie dorzuciłaś jakiegoś cytatu po łacinie.

- *Potius sero quam nunquam.*

- Co to znaczy? Że jestem wredną małą?

- Nie kochanie, to znaczy „lepiej późno niż wcale”. Ale proszę cię, obiecaj mi, że z narkotykami koniec. Pokryję ten dług, ale musisz mi obiecać.

Kiedy tak siedziałam ze zdezorientowaną miną, Bronte podeszła i zrobiła coś naprawdę niezwykłego. Mocno mnie uścisnęła.

- Obiecuję - szepnęła mi do ucha.

Potem poszła się przygotować do wizyty w salonie fryzjerskim, a ja zabrałam się za sprzątanie mieszkania. Całe to zamieszanie kilku ostatnich dni wprowadziło tu lekki nieporządek. Oczywiście nikt inny pewnie by tego nie zauważył, ale mnie to przeszkadzało. Porządek w domu oznaczał porządek w życiu. Też mi nadzieja, pomyślałam gorzko. Zanim Bronte wyszła, wręczyłam jej podpisany in blanco czek i swoją kartę czekową. Dałam jej też trochę gotówki i nowy komplet kluczy do

mieszkania. Bronte miała zakłopotaną minę.

- Zwrócę ci te pieniądze.

- Nie przejmuj się. Muszę na trochę wyjść, ale umówiłam się tutaj o czwartą z ludźmi, z którymi zakładam kancelarię.

- Mogę ich poznać? - zapytała z entuzjazmem Bronte.

- Chyba tak. Tylko przygotuj się na to, że nie są zbyt ekscytujący.

- Ale są w porządku. Zrezygnowali dla ciebie z pracy, więc naprawdę muszą cię bardzo cenić. Chcę poznać twoich przyjaciół.

Zupełnie mnie zaskoczyła, tak jak wcześniej Liz, Karen i Douglas. Kiedy Bronte w końcu wyszła, odkurzyłam całe mieszkanie, wysprzątałam łazienki i polałam płynem dezynfekującym muszle w toaletach. Takie prace domowe to świetna terapia. Pod warunkiem, że wykonuje się je tylko od czasu do czasu. Potem zabrałam się za porządkowanie rupieci, które uzbierały się na stoliku. Ułożyłam starannie czasopisma, gazety i piloty do różnych urzędzeń, aż w końcu natknęłam się na list Aleksa, którego do tej pory jeszcze nie przeczytałam. Nie byłam pewna, czy mam ochotę rozgrzebywać popioły naszego związku.

Usiadłam na kanapie i zważyłam kopertę w dłoni. Okazała się całkiem ciężka, a ja zaczęłam się zastanawiać, o czym Alex mógł się tak rozpisać. Z ciężkim westchnieniem rozerwałam kopertę, spodziewając się epistoły pełnej wyjątkowo nieprzyjemnych uwag na mój temat. Ku swojemu zaskoczeniu w środku znalazłam inną zaadresowaną do mnie kopertę. Stempel był z Edynburga, a list został już wcześniej otwarty. Jak to miło dowiedzieć się, że Alex przeglądał moją pocztę.

Najpierw przeczytałam kartkę od niego. Tak, jak



przewidywałam, list był rozwlekłą i płacziwą w tonie próbą załagodzenia sprawy. Nawet słowem nie wspomniał o pani McCaffer ani o sprzedaniu gazetom informacji na mój temat. Taka wybiórcza pamięć musi być naprawdę przydatna. Niecierpliwie odwróciłam kartkę i przeżyłam wstrząs.

*...Przepraszam, że ci o tym nie powiedziałem, ale nie miałem pojęcia, co się stanie. Kiedy Lucy Grant zadzwoniła i zapytała o ciebie, pomyślałem po prostu, że chce mi narobić kłopotów. Następnego dnia zadzwoniła znowu i powiedziała, że to ważne, ale ją zbyłem. Chyba musiała się domyślić, że nie powiedziałem ci o jej telefonach, bo potem przyszedł ten list. Powinienem ci go oddać, ale, jak wiesz, sprawy wymknęły się spod kontroli...*

Co Alex rozumiał przez kłopoty? Czyżby spotykał się z Lucy za moimi plecami? Gazety rozpisywały się przecież na temat ich związku. Upuściłam jego list na podłogę i popatrzyłam ponuro na kopertę ze stemplem z Edynburga, a potem delikatnie oderwałam taśmę, którą zakleił ją Alex i ostrożnie otworzyłam list Lucy.

*Droga Erin!*

*Od kilku dni próbuję się z tobą skontaktować. Pewnie wyda ci się to dziwne, a poza tym nie bardzo wiem, jak to ująć, ale ta sprawa nie daje mi spokoju. Pamiętam ciebie i twoją siostrę ze szkoły i próbowałam się nawet skontaktować z Bronte w sprawie zjazdu klasowego, ale rozmawiałam tylko z waszą mamą.*

*W trakcie pogawędki wspomniałam o tym, że widziałam ją kilka dni wcześniej w Edynburgu z mężczyzną, którego wzięłam za waszego brata, Lelanda. Twoja mama bardzo się zdenerwowała i powiedziała mi parę dziwnych rzeczy, zanim w końcu rzuciła słuchawkę. Szczerze*

*mówiąc, poczułam się wręcz urażona.*

*Dopiero kiedy wspomniałam o tym telefonie w domu, dowiedziałam się, jak straszną gafę popełniłam. Od tamtej pory próbuję się skontaktować z twoją mamą, żeby ją przeprosić za przykrość, którą mogłam jej nieopatrznie sprawić. Jest mi naprawdę przykro z tego powodu.*

*Piszę do Ciebie z nadzieją, że przeprosisz swoją mamę w moim imieniu. Zdaję sobie sprawę, że skoro nie odbierasz moich telefonów, to być może dowiedziałaś się już od niej o moim nietakcie.*

*Bardzo mi przykro, ale to naprawdę była tylko pomyłka. Byłabym Ci bardzo wdzięczna, gdybyś zechciała się ze mną skontaktować i pozwoliła mi naprawić ten straszny błąd.*

*Pozdrawiam*

*Lucy Granville-Grant*

Lucy widziała pewnie Finlaya, uznała, że to Leland i jakimś dziwnym zrzędzeniem losu wspomniała o tym naszej matce. Zastanawiałam się, czy trzymam teraz w ręku ostatni list, jaki napisała w swoim życiu Lucy. Cholerna matka i jej przedstawienia. Miałam nadzieję, że czuła się wyjątkowo paskudnie z powodu tych nieprzyjętych przeprosin Lucy.

Nagle przyszła mi do głowy dziwna myśl.

Przecież matka powiedziała, że Lucy nie kontaktowała się z nimi ostatnio. Dlaczego celowo zataiła taką zupełnie niewinną rzecz? Byłam w stanie zrozumieć, że wszystko, co miało jakikolwiek związek z Lelandem było dla niej drażliwym tematem, ale dlaczego kłamała? Nawet po tym, gdy dowiedziała się o śmierci tej biednej dziewczyny!

Matka jest po prostu starą głupią jędzą.

Miałam ochotę od razu do niej zadzwonić i powiedzieć jej parę słów do słuchu. Zerknęłam na zegarek i zorientowałam się, że

jestem już dziesięć minut spóźniona. Moja dawna punktualność przestała obowiązywać, jak tyle innych zasad. Przeczesałam szybko włosy, pomalowałam usta, chwyciłam klucze i popędziłam do mieszkania Paula. Nie wyglądał na zbyt uszczęśliwionego moim widokiem.

- Co się stało? - zdziwiłam się.

- Kelman został odsunięty od sprawy.

- Dlaczego? - dopytywałam, idąc za nim do kuchni.

- Kto to może wiedzieć! Pewnie to sprawka tego sukinsyna Marshalla.

- Przecież on ma chyba za niską rangę, żeby zrobić coś takiego? - zauważyłam głupio.

- To nie ma tu żadnego znaczenia! Marshall szybko wspina się po szczeblach kariery, potrafi wpłynąć na szefa. Niedługo ma awansować na komisarza.

- Uspokój się. Na pewno jest jakieś logiczne wytłumaczenie...

- Poza tym ktoś złożył oficjalną skargę - dodał napastliwym tonem.

- Ja tego nie zrobiłam! - warknęłam. Co za bezczelność. Jakbym mogła w ogóle o tym pomyśleć? Paul zmarszczył gniewnie brwi. - Zresztą nie obchodzi mnie to. Wpadnę później - dodałam, kierując się do drzwi, ale Paul zagroził mi ręką drogę.

- Erin, przepraszam. Jestem po prostu zdenerwowany.

- Mnie to mówisz? Wyjašnjmy to sobie od razu. Nie składałam żadnej skargi.

- Cholera, a już wyglądało na to, że w końcu uda nam się do czegoś dojść. I w takim momencie...

- Może jednak nie wszystko stracone. Mam list od Lucy Grant, który wyjaśnia, dlaczego do mnie dzwoniła.

- Lucy napisała do ciebie? I dopiero teraz mi o tym mówisz? -

krzyknął Paul.

- Ten list był w kopercie, którą zostawił Alex. Dopiero teraz go otworzyłam.

- Co w nim jest?

- Lucy próbowała się ze mną skontaktować, bo miała drobną sprzeczkę z moją matką i chciała za to przeprosić. To wszystko.

- Przyniosłaś go ze sobą?

- Nie...

- Powtórz mi dokładnie, co w nim było.

- Lucy napisała, że nie chciała zdenerwować mojej matki i prosiła, żebym przeprosiła w jej imieniu...

- Nadal masz ten list, tak? - Paul nie pozwolił mi dokończyć zdania.

- Oczywiście.

- Chodź - warknął i popchnął mnie z powrotem w stronę mojego mieszkania, gdzie od razu wręczyłam mu kopertę.

- Więc otworzyłaś go dopiero dzisiaj? - zapytał, przeczytawszy list dwukrotnie.

- Tak jak mówiłam. Koperta była w liście od Aleksa, który dałeś mi... we wtorek.

- Nie wydaje ci się dziwne, że Lucy wzięła Finlaya za Lelanda? Jaka była pomiędzy nimi różnica wieku?

- Dziesięć lat. Obaj... on... Finlay jest naprawdę bardzo podobny fizycznie do Lelanda, a Lucy nigdy go chyba osobiście nie poznała. W każdym razie najważniejsze, że ten list wyjaśnia w końcu, po co Lucy do mnie dzwoniła.

- Ale nie wyjaśnia, czemu twoja matka nie powiedziała ci o całej sprawie, ani dlaczego Lucy była przekonana, że widziała Lelanda.

Przewróciłam oczami.

- Moja matka nie wspomniała o tym, bo była zdenerwowana. Przecież Lucy nie mogła wtedy widzieć Lelanda.

- Ale dlaczego w sumie niewinna pomyłka tak zdenerwowała twoją matkę?

- Bo jakakolwiek wzmianka o jej ukochanym, zmarłym Lelandzie wprawia ją w straszny popłoch - Paul poruszył się niespokojnie, a ja poczułam, jak ogarnia mnie wściekłość. - O co znowu chodzi? - prychnęłam.

- Drażni cię to, prawda?

- Nie. Jestem po prostu zmęczona i strasznie boli mnie głowa - czułam na sobie jego baczne, niezbyt przyjazne spojrzenie.

- Więc powtórzmy jeszcze raz to, co już wiemy.

- Miej litość - mruknęłam.

- Proszę tylko o chwilę cierpliwości, Erin. Lucy Grant skontaktowała się z tobą, żeby prosić o wybaczenie, bo zdenerwowała twoją matkę jakąś przypadkową uwagą o tym, że widziała Lelanda. Jednak już wcześniej próbowała osobiście ją przeprosić. Potem Lucy zostaje zamordowana, a my słyszymy na twojej komórce wyjątkowo drastyczne nagranie odgłosów gwałtu - Paul wcisnął ręce do kieszeni i zaczął krążyć po pokoju. Najwyraźniej to dość powszechny nawyk. Spodziewał się chyba jakiejś odpowiedzi z mojej strony, ale się nie doczekał. Co mogłam powiedzieć? - OK. Co więcej, twierdzisz, że morderca zostawił ci kartkę z wiadomością mającą tak osobiste znaczenie dla ciebie i twojego zmarłego brata, że mogła ona pochodzić tylko od niego...

Chciałam się wtrącić, ale zanim zdążyłam coś powiedzieć, dodał jeszcze:

- Albo... albo od kogoś, kto dobrze go znał. Poza tym jest jeszcze to dziwne nagranie na twojej automatycznej sekretarce.

Skinęłam niecierpliwie głową.

- A więc morderca wybrał właśnie ciebie. Ale dlaczego? Czemu miałyby się z tobą kontaktować podczas popełniania zbrodni, a potem cię terroryzować?

Odetchnęłam głęboko.

- Po pierwsze - w komórce Lucy przypadkowo mogło się włączyć wybieranie ostatniego numeru. Po drugie - to była *twoja* teoria, że mój brat należał do tajnej sekty, której członkowie najprawdopodobniej *dzielili się* swoimi potwornymi czynami. I po trzecie... - urwałam, bo nic więcej nie przychodziło mi do głowy.

- Co powiedziała twoja matka, kiedy Kelman zapytał ją o Lucy?

- Nic. Powiedziała, że ostatnio nie miała od niej żadnych wiadomości.

Paul usiadł nagle obok i pochylił się w moją stronę. Poczułam się, jak na przesłuchaniu, więc odsunęłam się trochę.

- Erin, zastanów się! Przecież to zupełnie oczywiste.

- To znaczy co?

- Ona skłamała! Twoja matka skłamała na temat Lucy, bo nie chciała, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział.

Popatrzyłam na niego zdezorientowana.

- A co *konkretnie* chciała ukryć przed ludźmi? - krzyknęłam, gwałtownie kiwając głową. - Na miłość boską! Fakt, że Lucy widziała Lelanda!

Otworzyłam usta, ale nie zdołałam wydusić nawet słowa. On zwariował. Myśli, że duch morduje ludzi. Tego nie przewidziałam.

Zaczęłam gorączkowo szukać jakiegoś rozwiązania. Jestem tu sama z wariatem. Co się powinno zrobić w takiej sytuacji? Krzyczeć? Nie ma szans, żeby mnie ktoś usłyszał. Odwrócić jego uwagę? Przytakiwać? Nie. Myśl! Do ciężkiej cholery, myśl! Tylko

ucieczka.

- Czy mogę... mogę iść do łazienki? - zapytałam potulnie.

- Jasne.

Wpadłam do swojej sypialni, chwyciłam trzęsącymi się rękami stojący przy łóżku telefon i próbowałam przeciągnąć go do łazienki. Kabel okazał się za krótki i cholerny aparat wypadł mi z ręki.

W drzwiach sypialni stanął Paul, a mnie nagle przypomniało się *Lśnienie*. Wystarczył mu jeden rzut oka, żeby dostrzec kabel telefonu, który próbowałam przeciągnąć przez pokój. Rzuciłam się w stronę łazienki, ale Paul był szybszy i złapał mnie, zanim zdążyłam dopaść do drzwi. Chwycił mnie za ramię i gwałtownie odwrócił w swoją stronę.

- Co robiłaś?

- Ja chciałam tylko zadzwonić...

- Do kogo chciałaś zadzwonić? Do kogo? Do Lelanda? Próbowełaś się do niego dodzwonić, żeby go ostrzec?

Potwierdziły się moje najgorsze obawy. Ten facet jest kompletnie obłąkany. Zwyczajnie oszalał.

Paul zaciągnął mnie z powrotem do salonu i popchnął na kanapę. Już widziałam te nagłówki: „SZALONY SĄSIAD ZAMORDOWAŁ WZIĘTĄ PRAWNICZKĘ”. Poprawka: „SZALONY EKSGLINA ZAMORDOWAŁ BYŁĄ WZIĘTĄ PRAWNICZKĘ”.

Paul zaczął krążyć po pokoju, co jakiś czas przystając, jakby chciał coś powiedzieć i natychmiast podejmując swoją niespokojną wędrówkę na nowo.

- Próbowełaś dodzwonić się do Lelanda? Wpatrywałam się w niego, w myślach błagając Bronte, żeby wróciła już do domu. Pomóż mi, Bronte, powtarzałam. Pomóż mi.

- Więc jak?

- Hm - odchrząknęłam - nie.

- Na pewno? - Paul wyglądał na rozwścieczonego. I naprawdę szalonego. Nie wolno mu się sprzeciwiać.

- Nie wiem, jak ci to powiedzieć...

- Tak? - pochylił się w moją stronę. Jego oczy błyszczały. - Słucham.

- Hm, więc, hm, Leland nie żyje. Po twarzy Paula przemknął cień.

- To ty tak twierdzisz - powiedział, prostując się i znowu zaczął krążyć po salonie.

Odpowiedzieć mu czy siedzieć cicho? Szybko! Co robić? Milczeć.

- No cóż, niezupełnie... - bąknęłam.

- Aha! Więc jednak ty...

- Leland nie żyje! Byłam na jego pogrzebie. Ty zresztą też. Moja matka zidentyfikowała jego ciało. Moim zdaniem ty po prostu zwariowałaś!

- Co takiego?

- Oszalałaś, a ja bardzo się ciebie boję! - zaczęłam się trząść.

- O, mój Boże - Paul stanął jak wryty. - Tak mi przykro. Myśleliśmy, myśleliśmy, że ty wiesz. Strasznie mi przykro.

- Paul, proszę cię, idź sobie. Proszę.

- Myśleliśmy, że wiesz. Uznaliśmy, że ktoś musiał o tym wiedzieć i podejrzewaliśmy, że to ty.

Zadrżałam. On naprawdę sądzi, że duch mojego brata morduje kobiety.

Paul przycupnął naprzeciwko mnie na brzegu stolika i westchnął.

- Myśleliśmy, że próbujesz go chronić.

- Leland nie żyje. Nie żyje.



Paul w milczeniu zapatrzył się gdzieś w przestrzeń. Grymas gniewu zniekształcił mu rysy.

Przełknęłam ślinę. Raz kozie śmierć...

- Kto myślał, że próbuję „chronić” Lelanda?

Paul spojrział na mnie z ukosa, a potem pochylił się do przodu i ukrył twarz w dłoniach. Przez chwilę pomyślałam nawet, że powinnam go pocieszyć, ale wcale mi się to nie uśmiechało. Jego oskarżenia były naprawdę obraźliwe, wręcz mi uwłaczały.

I jak on mógł tak mnie przestraszyć? Będzie się musiał gęsto tłumaczyć. Odchrząknęłam dla dodania sobie odwagi.

- Popraw mnie, jeśli się mylę, ale z tej naszej drobnej wymiany zdań można wysnuć dwa wnioski. Albo uważasz, że to duch Lelanda morduje ludzi, a nie jest to chyba zbyt prawdopodobna teoria, albo twoim zdaniem Leland wcale nie umarł.

Paul przytaknął pośpiesznie ruchem głowy.

- Przepraszam, to w końcu która wersja? Duch czy wskrzeszenie?

- Jesteśmy przekonani, że twój brat nadal żyje - mruknął znużonym głosem.

- A kiedy zaczęliście to podejrzewać?

- Jakiś rok temu.

- Rok temu! W takim razie po co było to całe gadanie, że Leland miał ucznia, który go naśladuje?

- Naprawdę sądziliśmy, że ktoś go chroni! - bronił się Paul. - Dopóki, no cóż, dopóki inna ewentualność nie wysunęła się na pierwszy plan.

- Jaka ewentualność?

Paul milczał.

- Ale dlaczego miałyby to świadczyć o tym, że Leland żyje?

Cisza.

- Podejrzewacie, że ktoś z naszej rodziny ukrywa Lelanda i próbujecie teraz zawęzić krąg podejrzanych.

Paul przymknął oczy na ułamek sekundy, zanim w końcu przytaknął.

- Cudownie. No cóż, moim zdaniem Leland nie żyje, a wy chwytnacie się po prostu bezsensownych rozwiązań.

- Ale twoja matka skłamała!

- Gdybyś ją znał, wiedziałbyś, że to w jej stylu. Jeśli nadciągają jakieś nieprzyjemności, ona zawsze po prostu udaje, że nic się nie dzieje. Ja też się zdenerwowałam tym, że celowo nie wspomniała o takim błahym zajściu. Ale przecież nie mogła wiedzieć, że ta drobnostka nabierze później takiego znaczenia. Naprawdę jej zachowanie wcale mnie nie zaskoczyło.

- Mówisz szczerze?

- Słowo honoru.

- Wiesz, przez jakiś czas po samobójstwie Lelanda uważaliśmy, że twój brat nadal żyje - dodał niemal swobodnym tonem.

- Dobry Boże! Czy wy wszyscy powariowaliście? Moja matka, lady Georgina Paterson, zidentyfikowała jego zwłoki!

- Mogła się... pomylić.

Popatrzyłam na niego podejrzliwie.

- Dlaczego nie przeprowadzicie ekshumacji?

- Co mielibyśmy ekshumować? Urnę popiołów?

- Mój brat został pochowany w ziemi, Paul. Zresztą byłeś na jego pogrzebie, zrobiłeś mi nawet zdjęcie - nagle uświadomiłam sobie prawdę. Wcale nie wydałam mu się wtedy ładna, po prostu uważał, że biorę w tym wszystkim udział.

- Zgadza się, został pochowany, ale w 1997 roku dokonano ekshumacji zwłok, a następnie poddano je kremacji. Tylko mi nie mów, że o tym nie wiedziałaś?

Przerażona otworzyłam szeroko oczy. Nie miałam pojęcia, że matka kazała wykopać i poddać kremacji ciało Lelanda. Czemu to zrobiła? Tylko że wcale nie miałam ochoty przyjąć do wiadomości tego jedyne go logicznego wytłumaczenia.

- Więc jednak nie wiedziałaś - zauważył cicho Paul. Próbowałam sobie usilnie przypomnieć podobny przypadek, ale moja znajomość szkockiego prawa nie sięgała tak daleko. Zwykle ciało poddawano ekshumacji, jeśli pojawiły się jakieś nowe dowody, przemawiające za tym, że mogło dojść do popełnienia przestępstwa. Po przeprowadzeniu kolejnej sekcji zwłok można je było ponownie pogrzebać albo poddać kremacji, tyle że to drugie rozwiązanie wymagało zgody sądu okręgowego.

Jeśli Paul mówił prawdę, to w 1997 roku nie pojawiły się żadne nowe podejrzenia, co do śmierci Lelanda.

- Jaki powód ekshumacji podała matka? Przecież do tego na pewno był potrzebny nakaz sądowy? Zażądała przeprowadzenia kolejnej sekcji zwłok? Podejrzewała, że Leland został zamordowany?

- Witamy z powrotem Erin Paterson, prawniczkę - uśmiechnął się słabo Paul.

- Och, odchrzań się z tym swoim protekcyjnym tonem. Wracając do mojego pytania, czy matka poprosiła o kolejną autopsję?

- Nie.

Obawiałam się, że to powie. Gdyby matka kazała przeprowadzić ponownie sekcję zwłok, mogłabym się spierać, że coś podejrzewała, ale skoro nie było drugiej autopsji, oznaczało to najprawdopodobniej, że matka niszczyła dowody. Materiał DNA. Taka była prawda, niezależnie od tego, jakie kontrargumenty mogłabym wymyślić.

- O Boże - jęknęłam. Nie miałam już siły. Byłam wyczerpana i balansowałam na skraju głębokiej depresji. Czy nikomu nie można już ufać? Nie ma już uczciwych ludzi?

- Wszystko w porządku? - zaniepokoił się Paul.

- Nie zadawaj głupich pytań! A co z raportem z pierwszej sekcji zwłok? Tam musiało przecież coś być.

- Nic, z czego wynikałoby niezbiecie, że twoja matka skłamała i zmarłym nie był Leland. Dwudziestokilkuletni, biały mężczyzna. Nikt nie sprawdzał aż tak dokładnie.

- Nic więcej? Żadnych znaków szczególnych? A może zostały jakieś próbki materiału genetycznego?

Paul potrząsnął głową.

- Masz ten raport z sekcji? - zapytałam.

- Tak, ale nie sądzę, żebyś...

- Paul! Jeśli Leland żyje... Boże, nie jestem w stanie nawet o tym myśleć! Przeczytanie szczegółów dotyczących jego śmierci przyniosłoby mi ulgę.

Jeśli w tym raporcie było coś niezwykłego, na pewno to zauważę.

Znałam ciało Lelanda na pamięć. Jego obraz wyrył się w mojej duszy i ograbił z życia.

Faktyczną przyczyną śmierci było uduszenie. W raporcie określono to jako „mokre utonięcie” z powodu obecności wody w płucach. Zdarzyło mi się kiedyś pracować nad sprawą o odszkodowanie dotyczącą przypadku „suchego utonięcia”. Chodziło tu o kurcz krtani, nagłe zaciśnięcie i zamknięcie dróg oddechowych spowodowane obecnością płynu w gardle. Nie było to utonięcie w potocznym rozumieniu tego słowa, bo płyn nie przedostał się do płuc.

Do ustalenia, czy mamy do czynienia z utonięciem jednego lub drugiego typu wystarczyło przeprowadzenie sekcji zwłok, natomiast trudniej już było określić, jak do niego doszło. Wszystkie ofiary umierały w wyniku uduszenia, jednak autopsja nie dawała odpowiedzi na pytanie, czy był to wypadek, morderstwo czy też samobójstwo.

Przejrzałam raport z sekcji zwłok Lelanda, szukając czegoś nietypowego, świeżych obrażeń niejasnego pochodzenia, ale nic nie przykuło mojej uwagi.

*...anoksja mózgowa... brak dopływu tlenu do mózgu.*

*...obrzęk płuc... płuca wypełnione wodą.*

Kiedy ciało zaczęło się rozkładać, tworzący się w tkankach gaz spowodował wypłynięcie zwłok na powierzchnię. Leżały w

wodzie długo, dwa miesiące, o ile dobrze pamiętałam.

Nawet po znalezieniu pożegnalnego listu matka wciąż łudziła się, że Leland jednak się zjawi, cały i zdrowy. Czy los postanowił mnie ukarać za to, że nie podzielałam wtedy jej nadziei?

W zimnych wodach obmywających wybrzeża Szkocji gaz tworzył się powoli i ciało mojego brata pozostało zanurzone, mimo iż stężenie pośmiertne wystąpiło stosunkowo szybko, co było spowodowane utratą adenozyntrifosforanu (ATP) z mięśni. To dosyć częste w przypadku utonięć, ponieważ ofiara zawsze się szamocze, instynktownie walcząc o powietrze i wciągając tym samym więcej wody do płuc, dopóki oddychanie całkowicie nie ustanie. Powolna śmierć w męczarniach.

Leland był wysportowany i świetnie pływał, a mniej więcej w tym czasie, kiedy zaginął, jego łódkę wdziano ponad milę od brzegu. W głębokiej, lodowatej wodzie nie miałyby żadnych szans.

Paznokcie u rąk i nóg zaczęły odstawać od ciała, a niektóre odpadły zupełnie. Wszystko najzupełniej typowe, dopóki nie spojrzałam na kolejną stronę.

*...otarcia i stłuczenia okołodobytnicze... penetracja zwieracza odbytu... świeże i zabliźnione skaleczenia odbytnicy... obecność kwaśnej fosfatazy w odbytnicy...*

Przeczytałam to jeszcze raz. I jeszcze raz.

Ofiara odbyła stosunek analny. I to nie tylko w dniu śmierci. Nie wiedziałam, co to jest kwaśna fosfataza. Paul siedział w kuchni. Kiedy weszłam, popatrzył na mnie z wyczekiwaniem.

- Wiesz, co to jest kwaśna fosfataza? Co to oznacza?

- To enzym produkowany przez prostatę. Jego obecność dowodzi jasno, że w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin doszło do wytrysku nasienia.

- Czytałeś to? - zapytałam ostro.

- Oczywiście.

- To znaczy... czyli ten mężczyzna odbył stosunek analny...

- I to nie tylko ten jeden raz.

Usiadłam przy stole, szukając właściwych słów.

- Ale to... jest... takie... to po prostu... niepodobne... do Lelanda. On nienawidził homoseksualistów!

- Raport mówi co innego.

- Wiem, na pewno pomyślisz sobie, że jestem... ale Leland był naprawdę zaprzysięgłym homofobem. To po prostu nie brzmi... prawdziwie.

- A co z opisem cech fizycznych? Znalazłaś tam coś?

- Nie, ciało zaczęło się już rozkładać. Ten mężczyzna był mniej więcej tego samego wzrostu, postury, wagi i w podobnym wieku, co Leland. Raport nie wspomina o żadnych szczególnych cechach, które pozwoliłyby mi wątpić w jego prawdziwość.

- A więc najprawdopodobniej było to jednak ciało Lelanda?

Wyciągnęłam rękę ponad stołem i ujęłam dłoń Paula. Wyglądał na równie zaskoczonego moim gestem, jak ja sama, ale tylko w ten sposób mogłam mu uświadomić, jak silne jest moje przekonanie.

- Paul, ja go znałam. Znałam jego upodobania i z pewnością nie należał do nich stosunek seksualny, a już z pewnością nie analny. Leland brzydził się wszystkiego, co miało z tym związek. Mogę ci powiedzieć tylko jedno - moim zdaniem to może być prawdziwy przełom. Wiem, że to niewielki ślad. U Jennifer Longmuir, co do której mieliście pewność, że była jego pierwszą ofiarą, zamordowaną jeszcze bez udziału współników, nie stwierdzono śladów odbycia stosunku analnego. To przyszło później.

- OK, a u Sophie Holbrook...?

- Masz rację, ale w przypadku Abigail i Lucy już nie westchnęłam i puściłam jego dłoń. Cholera, pomyślałam. Cholera, cholera, cholera.

- Jeśli chodzi o Abigail, to uznaliśmy po prostu, że mu przeszkodzono. Obciął jej tylko jeden palec, pamiętasz? Może po prostu jeszcze się do tego nie zabrał - upierał się Paul.

- A co z Lucy? - zapytałam. Paul spuścił wzrok, a ja poczułam, jak całe moje ciało się napina, szykując się do przyjęcia kolejnego ciosu.

Boże, modliłam się w myślach, pozwól mi zaznać trochę spokoju.

- Ten przypadek jest inny i oboje dobrze o tym wiemy. Zawahałam się chwilę, zanim w końcu się odezwałam.

- Lucy to kolejna Alison. Znowu zrobił z tego sprawę osobistą. To kolejny powód, dla którego uważam, że to nie jest raport z sekcji zwłok Lelanda.

- Jesteś tego zupełnie pewna?

- Wszystko, co tu napisano jest prawdą. Pewna mogę być jedynie tego, że dobrze znałam swojego brata.

- Powinnaś się chyba dowiedzieć o pewnych sprawach, które ustaliliśmy w trakcie inwigilacji i przesłuchań. Niestety podają one w wątpliwość twoją teorię.

- Ale to była wasza teoria, twoja i Kelmana, a nie moja. Ja powiedziałam tylko, że pewien aspekt tego raportu nie brzmi prawdziwie, ale ludzie się zmieniają, podobnie jak ich seksualne upodobania. Mogłam się pomylić.

Paul zmierzył mnie wzrokiem, ale wybiegłam już myślami o wiele dalej.

- Czego ty i ten cały Kelman chcecie ode mnie? Zamierzacie oficjalnie podważyć orzeczenie o śmierci Lelanda i w ten sposób



odzyskać dobre imię?

- Co masz na myśli?

- Sam przyznałeś, że hipoteza o istnieniu tajnej sekty została wyśmiana. A sierżant Marshall wspomniał, że Kelman uparcie się jej trzymał. Może liczycie na to, że moja interwencja trochę ją uprawdopodobni?

- Nadinspektor Kelman jest świetnym policjantem. Wątpię, czy twoje poparcie miałoby tu jakiegokolwiek znaczenie - zadrwił Paul.

Uśmiechnęłam się lekko. Paul wyglądał na obrażonego, ale naprawdę miał szczęście. Pięć dni temu nie odpuściłabym mu tak łatwo.

- A więc jednak potrzebujecie potwierdzenia z mojej strony? OK. Co jeszcze chciałeś mi powiedzieć?

- Jonathan Moncreiffe bywał w gejowskich klubach i barach. Najprawdopodobniej ukrywał swoje preferencje homoseksualne. Naszym zdaniem poważnie zadurzył się w Lelandzie i wszędzie za nim chodził. Twój brat rzadko pojawiał się gdziekolwiek bez Jonathana u boku.

- Czy któryś z pozostałych członków grupy był gejem?

- Na pewno nie otwarcie. Chociaż podczas pobytu w szkole z internatem Frederick Blythe-Gordon został oskarżony o pederastię.

Jeśli to nie Leland został wyłowiony z Morza Północnego, to w takim razie kto? Dlaczego mój brat miałby pozorować swoją śmierć? Odpowiedź była prosta: Leland zaczął się ukrywać. Nie można być głównym podejrzanym w sprawie seryjnych morderstw, jeśli oficjalnie zostało się uznanym za zmarłego. Ale czyje to zwłoki?

- Paul, pamiętasz, jak mówiłeś mi, że waszym zdaniem w grupie mogło dojść do walki o władzę? A gdybyśmy tak poszli o

krok dalej? Może Leland zabił naszego bezimiennego denata z powodu jego homoseksualnych skłonności. Grupa się rozpadła, ale pozostały jeszcze rachunki do wyrównania.

- Jednak w łódce widziano tylko jedną osobę. Poza tym jak Leland zdołałby wrócić na brzeg?

- To tylko strzał w ciemno, ale wszyscy nauczyliśmy się nurkowania. Leland miał nawet swój własny strój piankowy. Byłby w stanie przepłynąć tę odległość. Poza tym ofiara mogła zostać związana, jakoś unieruchomiona na dnie łódki.

- Nic na to nie wskazywało. Nie było żadnych śladów więzów, badanie toksykologiczne nie wykazało obecności narkotyków.

A ja pomyślałam natychmiast o tym, że Leland zawsze umiał oczarować ludzi. I o tym, jak potrafił w sobie rozkochać wszystkie moje koleżanki. Z łatwością byłam w stanie wyobrazić go sobie, jak uwodzi tego nieszczęsnego durnia miłym słówkiem, znaczącym spojrzeniem, dwuznacznym zaproszeniem.

- Czyją spermę znaleziono w ciele? - zainteresowałam się.

- Nikogo, kto miałby u nas swoją kartotekę z próbkami DNA, ani żadnego z podejrzanych. Czemu pytasz?

- Nie jestem pewna. Po prostu nasuwa mi się... pewien obraz. Większość swojego dzieciństwa spędziłam, uważnie obserwując każdy ruch Lelanda. Wypatrując najmniejszego sygnału. Dzięki temu jakoś przetrwałam. Moją jedyną obroną było uprzedzenie jego kroków.

- Obraz? Przypominasz sobie któregoś z tych facetów?

- Nie. Chodzi o to, że... Potrafię sobie wyobrazić, że Leland mógłby nakłonić swojego wielbiciela jakąś nieokreśloną obietnicą do tego, aby leżał bez ruchu ukryty na dnie łodzi. Mój brat potrafił wzbudzić w swojej ofierze podekscytowanie wspólną potajemną wyprawą.

- I tak to właśnie wyglądało? - zapytał cicho Paul.

- Nie dla mnie... dla Bronte. Była taka młoda, tak łatwo mógł ją manipulować, ale to naprawdę nie jej wina...

- O, mój Boże, Erin. Tak mi przykro - szepnął.

- Mnie też - odparłam krótko.

## ﴿ 19 ﴾

Choć obecność Bronte nieco mnie niepokoiła, przedstawiłam ją swoim wspólnikom. Wiedziałam, że to podłe z mojej strony, ale nie ufałam jej tak do końca, a poza tym ciągle nam przerywała, zadając głupie pytania. Ale przynajmniej jej fryzura nie budziła już zastrzeżeń.

Usiedliśmy przy stole we wnęce salonu pełniącej funkcję jadalni i omówiliśmy wszelkie kwestie dotyczące najmu biura, założenia spółki, ubezpieczenia i finansów. Wszystko poszło sprawnie, pomijając oczywiście głędzenie Bronte i rozkojarzenie Douglasa, który nie mógł oderwać oczu od mojej siostry. Miałam wielką ochotę dodać im obojgu do herbaty odrobinę bromu. Koło szóstej doszliśmy do tematu zatrudnienia personelu i spraw organizacyjnych.

- Możemy zwrócić się do agencji pośrednictwa pracy albo sami dać ogłoszenie - podsunęła Liz.

- Wyjdzie taniej, jeśli sami damy ogłoszenie. Na pewno znajdzie się paru absolwentów, którzy musieli zdawać egzaminy poprawkowe albo takich, którzy skończyli studia latem, ale do tej pory nie znaleźli jeszcze miejsca na aplikację - przytaknęłam.

- A może pomyślimy o prawnikach świeżo po aplikacji? - zapytał Douglas.

- Może spróbujemy najpierw z ogłoszeniami, a jeśli to nie

przyniesie rezultatów, zwrócimy się do agencji - zaproponowałam.

- Co to jest ta aplikacja? - zapytała Bronte.

Jak jej się udało spędzić całe życie w rodzinie prawników i nie nauczyć się nawet paru słów z prawniczego żargonu?

- To taka prawnicza praktyka.

- I na czym to polega?

- Boże, nie mam do ciebie siły! Kiedy kończysz studia prawnicze, przez dwa lata przygotowujesz się do zawodu jako aplikant, a potem zdajesz odpowiednie egzaminy i zostajesz wykwalifikowanym prawnikiem.

- Nie powinno być kłopotów ze znalezieniem sekretarek przez ogłoszenia w prasie - Karen szybko zażegnała awanturę.

- Potrzebujecie sekretarek? - Bronte aż zaświeciły się oczy.

- I co będą robić?

- To, co zwykle robią sekretarki! - wrzasnęłam.

- Umiem pisać na maszynie! I znam się na prowadzeniu kartotek.

Już wiedziałam, co będzie dalej.

- Mogłabym pracować u was jako sekretarka.

- Wspaniały pomysł! - ucieszył się Douglas, zanim jeszcze spojrzał na moją minę.

Bronte poderwała się z krzesła i popędziła do komputera.

- Udowodnię wam! Potrafię pisać z szybkością sześćdziesięciu słów na minutę.

Chwyciłam się za głowę, mamrocząc inwektywy pod nosem. Bronte miałyby dla mnie pracować? Bałam się nawet o tym myśleć.

- A co z nazwą kancelarii? - odezwała się słabym głosem Liz.

- Ja mam propozycję - odparł Douglas. - Paterson, Miller i

Thomson.

- Po prostu świetnie - zadrwiłam. - I wszyscy będą nas nazywać w skrócie PMT<sup>[3]</sup>!

- Erin! - zawołała nagle Bronte. - Z twoim komputerem jest coś nie tak.

Poirytowana wstałam od stołu i podeszłam do Bronte, która bezskutecznie przesuwiała myszką po podkładce.

- Co zrobiłaś?

- Nic. Włączyłam go tylko, ale nic się nie pojawiło. Słyszałam, jak się ładował.

Wetknęłam głowę pod biurko i sprawdziłam, czy pali się zielone światełko. Poruszyłam myszką, ale bez efektu. Douglas podszedł do nas i zajrzał pod biurko w chwili, kiedy w końcu zlokalizowałam usterkę. Nacisnęłam guzik monitora i ekran w końcu ożył.

- Dowód na to, że sztuczna inteligencja nigdy nie dorówna ludzkiej głupocie? - mrugnęłam do Douglasa.

Jeśli zatrudnimy Bronte, to równe dobrze możemy od razu zarejestrować naszą firmę jako organizację charytatywną.

- Wymyśliłyśmy już nazwę - oświadczyła Karen, kiedy oboje z Douglasem wróciliśmy do stołu. - Paterson Associates.

- Ci ze starej firmy mogą protestować - powiedziałam tylko. Był to dla mnie ogromny komplement, ale miałam wątpliwości, czy uda się taką nazwę zarejestrować.

- Dawna kancelaria już nie istnieje - Liz potrząsnęła głową. - Teraz nazywają się Cohen Paterson, więc nie widzę problemu.

- Na pewno nie macie nic przeciwko temu, żeby w nazwie było tylko moje nazwisko?

- Oczywiście. Ty jesteś głównym motorem przedsięwzięcia. Taka nazwa dowodzi pewności siebie i dobitnie świadczy o tym,

że nie zamierzasz wycofywać się z gry. Klienci od razu rozpoznają nazwisko, będą wiedzieli, gdzie cię szukać i na pewno chętnie powierzą ci swoje sprawy.

- Głosujmy - zaproponowała Karen. - Kto jest za? Wszyscy troje podnieśli ręce. Uśmiechnęłam się.

- Możemy startować! - krzyknął Douglas, przybijając piątkę z Liz. - Za Paterson Associates!

- Kompletnie powariowaliście - westchnęłam.

Moi wspólnicy zażyczyli sobie szampana, więc przyniosłam z kuchni wysokie kieliszki i butelkę trunku, którego zapas zawsze chłodzi się w mojej lodówce. Stuknęliśmy się kieliszkami i sącząc szampana gratulowaliśmy sobie wzajemnie, że jednak udało nam się stanąć na wysokości zadania. Nie przestawałam się uśmiechać, choć cichy głosik wciąż powtarzał mi gdzieś w środku: „żadnych klientów, zero honorariów, kompletne fiasko”. Było już prawie wpół do ósmej, kiedy w końcu wyszli, upojeni szampanem i radością. Zamknęłam za nimi drzwi i opadłam na kanapę. Bronte klapnęła obok mnie.

- Mogę z tobą pracować? - zajęczała.

- Chyba pracować *dla* mnie. To duża różnica - mruknęłam, i ziewając włączyłam telewizor.

- To jak? Mogę? Proszę - Bronte wtuliła się w moją szyję, jak kotka. Zrezygnowana nie protestowałam.

- Ale pod warunkiem, że będziesz się dobrze sprawować. Jeśli zaczniesz się spóźniać, objać, sprawiać kłopoty albo robić coś, co mi się nie spodoba, natychmiast cię wyleję.

- Obiecuję, że będę idealnym pracownikiem. Przyrzekam - powiedziała Bronte, wyciskając na moim policzku ogromnego całusa. Nie powinnam jej była dawać nawet kropli szampana.

- OK, będziesz idealnym pracownikiem. A teraz się zamknij i

daj mi posłuchać wiadomości - burknęłam bez przekonania, przełączając kanały, aż natrafiłam na dziennik. Akurat nadawano jakąś mało interesującą relację na temat genetycznie zmodyfikowanej żywności.

- Ale nudy - jęknęła Bronte, podnosząc głowę z mojego ramienia.

Wytrzymałam jeszcze jakieś piętnaście minut, ale w końcu jęki i westchnienia Bronte stały się nie do zniesienia i musiałam zmienić kanał.

- Możemy obejrzeć odcinek *Szaleję za tobą*?

- Chcesz coś do jedzenia? - rzuciłam jej pilota.

- Tak, a co masz?

Zastanowiłam się przez chwilę.

- Nic. Zamówić chińszczyznę?

- Jasne. A mogę jeszcze prosić o kieliszek wina?

- Nie, i tak za dużo dziś wypiałś.

- Och, daj spokój! Przecież musimy to uczcić.

Skrzywiłam się i poszłam do kuchni. Otworzyłam butelkę białego wina, a potem zadzwoniłam do pobliskiej chińskiej restauracji i zamówiłam jedzenie. Nagle uświadomiłam sobie, że nie robiłyśmy tego z Bronte od lat. Nie byłam sobie nawet w stanie przypomnieć, kiedy ostatnio spędziłyśmy razem wieczór, oglądając telewizję, popijając wino i zamawiając jedzenie na wynos. To było tak dawno temu. Ciekawe, czy ona też o tym pomyślała.

Wróciłam na kanapę, a wyciągnięta na całą długość Bronte położyła mi nogi na kolanach. Wpatrywałam się tępym wzrokiem w telewizor, nie rozumiejąc nic z toczącej się na ekranie akcji. Wypiłam tylko lampkę szampana, ale cały czas byłam roztrzęsiona i podenerwowana. Musiałam się uporać z



tyłoma zdradami.

Bronte zerknęła na mnie przez zmrużone powieki.

- Cera ci zbrązowiała.

- To zasługa samoopalacza.

- Dasz mi trochę? - Bronte zsunęła nogi z moich kolan i usiadła w pozie pełnej wyczekiwania.

Zaprowadziłam ją do łazienki, gdzie zaraz zaczęła bez skrępowania grzebać w mojej szufladzie z kosmetykami. Podałam jej czysty ręcznik do rąk.

- Musisz najpierw oczyścić twarz.

- W co się ubierzesz na bal? - Bronte zabrała się za wcieranie w skórę kremu do peelingu.

- Czarną suknię od Armaniego. Widziałaś ją?

- Uhm. Ta bez pleców? Bardzo seksowna - Bronte zaczęła zmywać peeling, rozchlapując wszędzie wodę, którą natychmiast powycierałam. - A nałożyłaś samoopalacz na plecy? - wymamrotała, wycierając się energicznie ręcznikiem.

- Nie.

- Powinnaś to zrobić, albo będziesz wyglądała strasznie dziwnie z taką brązową twarzą.

- OK. Kiedy skończymy z tobą, posmarujesz mi plecy - zdecydowałam odważnie. Od czasów dzieciństwa nie zdarzyło mi się przed nią rozbierać.

Bronte uśmiechnęła się i przycupnęła na brzegu umywalki, wysuwając wyczekująco twarz. Starannie posmarowałam jej skórę samoopalaczem i upewniłam się, że nie zostawiłam żadnych zacieków.

- Teraz ty - zarządziła. Ściągnęłam sweter przez głowę, odwracając się do niej plecami. - Musisz też zdjąć biustonosz - dodała beztrąsko.

Zawahałam się, ale w końcu rozpięłam haftkę.

- Podnieś włosy. Zaczekaj. Chwileczkę. Masz - podała mi przez ramię gumkę. Związałam włosy, a Bronte zaczęła wcierać mi samoopalacz w kark, barki, plecy i ramiona. - Sama skóra i kości - mruzczała pod nosem. - Nie wiedziałam, że masz znamię na lewej łopatkę. Przypomina kształtem truskawkę.

- I kolorem chyba też.

- Słabo widać, ale jest bardzo fajne. Powinnaś je sobie wytatuować.

- Jasne, już pędzę.

- A ja mam tatuaż - zachichotała Bronte.

- Chyba żartujesz! - zawołałam z oburzeniem.

- Wcale nie! Zaraz ci pokażę. Prawie skończyłam. Już - podała mi niewielki ręcznik. - Zasłoń się tym, dopóki samoopalacz się nie wchłonie. Na etykiecie jest napisane, żeby nie zakładać od razu ubrania.

Wcisnęłam końce ręcznika pod pachy, podczas gdy Bronte myła ręce.

- A teraz obejrzymy sobie twój tatuaż - powiedziałam, ale przerwał mi dzwonek domofonu.

- Chińszczyzna! - krzyknęła, wypadając z łazienki.

- Będziesz musiała zejść na dół - zawołałam za nią.

- Nie ma sprawy - odezwała się z głębi mieszkania. - Gdzie masz portfel?

- W torebce!

Usłyszałam jeszcze, jak Bronte wpuszcza dostawcę do budynku i tłumaczy mu, że za chwilę do niego zejdzie. Poszłam do kuchni przygotować talerze i sztućce, cały czas przyciskając niewielki ręczniczek do piersi. Czułam się trochę dziwnie taka porozbierana.

Niecałe pół minuty później usłyszałam pukanie do drzwi. Przewróciłam oczami. Oczywiście, Bronte musiała zapomnieć pieniędzy.

- Masz zupełnie pusto w głowie! - zakpiłam, otwierając drzwi.

- Dzięki za komplement - Paul zmierzył mnie od stóp do głów.

Przycisnęłam mocniej ręcznik.

- Myślałam, że to Bronte.

- Minęliśmy się przy windzie. Kazała mi zapukać - wyjaśnił z szelmowską miną. - Jest szansa na chińszczyznę?

- Och. Proszę wejść - odsunęłam się, żeby wpuścić go do środka, a potem pospiesznie zaczęłam się wycofywać w kierunku sypialni.

- Dlaczego jesteś w ręczniku? - zainteresował się Paul.

- Hm, Bronte smarowała mi plecy.

- Zrobiłaś coś sobie? Daj, to zobaczę - powiedział z fałszywym niepokojem.

- Nie! - pisnęłam i uciekłam.

Znalazłam czarną bawełnianą koszulę, ale zanim wynurzyłam się z powrotem z sypialni, Bronte zdążyła już wrócić z chińszczyzną.

- Mogę zjeść w salonie? Chciałabym obejrzeć *Ostry dyżur* - poprosiła.

- Tylko nie nabrudź - ostrzegłam.

- Tak, mamusiu - mruknęła i zabrała tacę z jedzeniem.

- Nienawidzę jeść z kolan - wyjaśnił Paul, siadając przy kuchennym stole.

- Ja też - powiedziałam, a Paul zabrał się za nakładanie na mój talerz sporej porcji ryżu. - Rozmawiałeś z Kelmanem?

- Tak. Powiedziałem mu, jakie wnioski nasunęły ci się w związku z raportem. Wydawał się trochę obrażony. Nie wiem...

Powiedział, że zadzwoni jutro, żeby obgadać to wszystko jeszcze raz. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu?

- Muszę zawieźć Bronte na dwunastą do szpitala i pozałatwiać kilka spraw, ale poza tym jestem wolna.

Paul podsunął mi pudełko kurczaka w sosie z czarnej fasoli. Popatrzyłam na potrawę i zrobiło mi się niedobrze. Leland gdzieś tam jest. Obserwuje. I czeka. Śmierć Lucy była ostrzeżeniem. Ale nie tylko dla mnie. Próbowałam nie myśleć o tym, co wydzierało się na powierzchnię za każdym razem, kiedy choć przez chwilę pozostawałam w jednym miejscu. Staralam się odsunąć tę myśl z powrotem do wyznaczonego jej miejsca, tak jak robiłam to z wieloma swoimi lękami, ale nie pomagało żadne spychanie jej w podświadomość ani zajmowanie uwagi czym innym. Zanim Lucy zginęła, tylko trzy osoby wiedziały o tym, że widziała Lelanda. Ona sama, jej matka i moja matka. Tak bardzo pragnęłam wytchnienia od tej wiedzy. Uchyliłam zasłonę śmierci.

---

[3] PMT (premenstrual tension) - napięcie przedmiesiączkowe (przyp. tłum.).

Bronte potrząsnęła mną mocno.

- Erin, obudź się.

- O co chodzi? - jęknęłam i obróciłam się na drugi bok. Czułam się tak, jakbym zderzyła się z ciężarówką.

- Już wpół do jedenastej. Musisz mnie zawieźć do szpitala - Bronte bezlitośnie ściągnęła ze mnie kołdrę, wypuszczając całe ciepło.

- Weź taksówkę - wymruczałam i zwinęłam się w kłębek. Czułam się paskudnie, jakby właśnie zaczynała mnie rozbierać jakaś choroba, ale Bronte chwyciła mnie za rękę i ściągnęła z łóżka. - Odpieprz się! - prychnęłam, podnosząc się z wysiłkiem. Nogi miałam jak z waty, w końcu ruszyłam jednak ciężko do łazienki.

- Wyglądasz okropnie - wytknęła mi Bronte. Święta prawda.

Wzięłam prysznic i chwiejnym krokiem wróciłam do pokoju. Dochodziła jedenasta. Ubrana w moje czarne skórzane spodnie i czarny pulower Bronte właśnie zakładała czarne półbuty. Rzuciłam jej gniewne spojrzenie i opadłam z powrotem na łóżko.

- Chyba bierze mnie grypa.

- Pośpiesz się! - Bronte podciągnęła mnie do góry. Mamrocząc pod nosem, poszłam do garderoby, przez którą najwyraźniej przeszło małe tornado.

- Bronte, jeśli masz tutaj zostać, musisz bardziej dbać o porządek - warknęłam.

- Jutro się wynoszę - Bronte oparła się o futrynę drzwi, przyglądając się, jak wkładam z powrotem do szaf wszystkie powyciągane przez nią ubrania. - Wczoraj wieczorem dzwoniłam do mamy i okazało się, że dzisiaj wracają. Mama prosiła, żebym wróciła w sobotę, bo chcieliby znowu wyjechać do domu na wsi. Max zostaje na noc u Marthy, więc mogę iść na bal.

Zauważyłam, że obok sukni od Armaniego wisi jeszcze jedna z moich wieczorowych kreacji.

- Zamierzasz ją założyć? - zapytałam, wskazując ruchem głowy suknię.

- Tak, przymierzałam kilka innych, ale... jaki nosisz rozmiar?

- Ósemkę, czasem dziesiątkę - odparłam nonszalancko.

- To wszystko wyjaśnia. Ja mam dziesiątkę - westchnęła i wyszła, zostawiając mnie z całym tym bałaganem.

Przez cały czas, kiedy ubierałam się i suszyłam włosy, okropnie burczało mi w brzuchu. Nawet jeśli ten psychopata mnie nie zabije, to mogę nie mieć tyle szczęścia w przypadku rozmaitych niezależnych od mojej kontroli okoliczności.

- Pośpiesz się - ponaglała niecierpliwie czekająca w salonie Bronte.

Dojechałam do South Side, prowadząc samochód jak wariatka. To typowe, że właśnie ja - osoba rzadko pijąca alkohol i zwracająca baczną uwagę na to, co je - złapałam jakiegoś wirusa, podczas gdy Bronte, która nigdy o sobie nie dbała, nic nie jest.

Nie zamierzałam parkować na ulicy, żeby nie kusić losu. Nie chciałam znaleźć kolejnej kartki za wycieraczką, krążyłam więc po parkingu szpitala przez jakieś dziesięć minut, zanim w końcu zdołałyśmy znaleźć wolne miejsce. Poirytowana Bronte

przewracała oczami, ale wytłumaczyłam jej, że boję się włamania do samochodu, w którym nadal pełno przecież było pudeł z moimi rzeczami. Uznałam, że rozsądniej będzie nie wspominać jej o tym, że być może śledzi nas morderca.

Zostałam w poczekalni, podczas gdy Bronte zajmowali się lekarze. Zabrałam się za przeglądanie starego egzemplarza „Golf Monthly”, bo było to jedyne czasopismo, które nie wyglądało tak, jakby wyciągnięto je rottweilerowi z pyska. Próbowałam się skupić na artykule dotyczącym wakacji w Ameryce dla amatorów golfa, żeby nie myśleć o burczeniu w brzuchu. No po prostu Wezuwiusz w miniaturze.

- Panno Paterson? - Podniosłam wzrok i ujrzałam lekarza, który wcześniej opiekował się Bronte. - Jak się miewa pani siostra? Wypisała się ze szpitala zdecydowanie za wcześnie.

Uśmiechnęłam się grzecznie, a on przycupnął obok mnie na krześle.

- Bronte czuje się świetnie. Rana nogi też goi się całkiem nieźle.

- A jak siostra radzi sobie... z innymi sprawami?

- Wygląda na to, że całkiem dobrze, chyba nawet aż za dobrze - dodałam znacząco.

- Wytypowali już podejrzanego o ten napad? Wczoraj był tu jakiś policjant, żeby skopiować kartę choroby Bronte.

- Moja siostra odnosi się raczej niechętnie do pomysłu pójścia na policję... Ale chyba dostali już wcześniej kopie tych papierów?

- Tak, ale ten policjant powiedział, że napaść na pani siostrę może mieć związek z inną sprawą.

- Miał pan wczoraj dyżur? Pamięta pan nazwisko tego policjanta?

Lekarz odchylił się odrobinę do tyłu i zmierzył mnie uważnym spojrzeniem.

- Proszę, to bardzo ważne.

- Kelman - nie pamiętam jego stopnia. Ale nie usłyszała pani tego ode mnie.

Kiedy poszedł, siedziałam bez ruchu z otwartym czasopiśmem na kolanach, wciąż zadając sobie to samo pytanie. Do czego była potrzebna Kelmanowi karta choroby mojej siostry? Pół godziny później Bronte zjawiała się w poczekalni.

- Będę musiała tu jeszcze wpaść w przyszłym tygodniu - zauważyła od niechcienia, wyrrywając mnie z zamyślenia.

W drodze do samochodu obie milczałyśmy. Nie byłam w stanie prowadzić żadnej rozmowy, bo wciąż nie mogłam opanować natłoku myśli.

Dlaczego Kelman skopiował kartę choroby Bronte? Do czego zamierza? I co podejrzewa?

- Wszystko w porządku? - zaniepokoiła się Bronte.

- Uhm - wzruszyłam nieprzekonująco ramionami. - Tak sobie myślę.

- O czym?

- O niczym szczególnym.

- Aha - w jej głosie słychać było płaczącą nutę.

- Przepraszam. Po prostu myślami byłam daleko stąd.

- Ja też bym tak chciała.

- Uważam, że jesteś naprawdę wyjątkowa. Ja już dawno bym się załamała po tym wszystkim, co przeszłaś. Siedziałabym zamknięta w swoim pokoju, za bardzo przerażona, żeby wyściubić nos z domu.

- Ja się boję - powiedziała cicho Bronte. - Ale staram się nad tym nie zastanawiać, bo tylko dzięki temu jakoś się jeszcze trzymam. Kiedy o tym myślę, mam ochotę po prostu... umrzeć...

- Nawet tak nie mów. Nie zniosłabym, gdyby cokolwiek ci się



stało. Mam tylko ciebie.

Wróciłyśmy do domu. Samochodu Paula nie było na parkingu.

Powietrze w mieszkaniu było stęchłe i natychmiast przypomniiał mi się tamten brzemienny w skutki poranek, od którego minął zaledwie tydzień. Otworzyłam wszystkie drzwi na taras, pozwalając podmuchom rześkiego październikowego powietrza krążyć po całym domu. Bronte narzekała i kłóciła się, że zrobiło się zimno, ale chciałam stąd przegnać duchy przeszłości.

W końcu Bronte zasiadła na kanapie, owinięta w kołdrę, oglądając jak leci okropne amerykańskie talk-shows. Mnie też zafascynowali ci wszyscy okropni ludzie, którzy byli tak podekscytowani tym, że mogą publicznie prać swoje brudy. Nasza pokręcona rodzinka byłaby istną manną z nieba dla tych sprzedawców bredni.

Wróciłyśmy do domu jakąś godzinę temu, ale dopiero teraz zauważyłam, że światelko automatycznej sekretarki sygnalizuje nowe wiadomości. Naprawdę nie chciałam ich odsłuchiwać, bo zdążył mnie już ogarnąć bezwład, takie uczucie typowe dla deszczowego niedzielnego popołudnia, kiedy ma się ochotę tylko na jedzenie najbardziej niezdrowych rzeczy i oglądanie starych filmów. Nie czułam się tak od lat, od czasów świąt Bożego Narodzenia, kiedy mieszkałam jeszcze w rodzinnym domu. Czyżby towarzystwo Bronte ma taki zakaźny efekt uboczny?

Jedna wiadomość była od Liz, informującej mnie o poniedziałkowym spotkaniu w sprawie podpisania umowy najmu w siedzibie zarządcy budynku i potwierdzającej szczegóły dotyczące balu.

Potem zabrzmiał ochryply i zmęczony głos Paula.

- Erin, rozmawiałem jeszcze raz z Kelmanem. Prosił o

spotkanie, więc kazałem mu skontaktować się bezpośrednio z tobą. Mam nadzieję, że nie będziesz o to zła. Zobaczymy się później. Cześć.

Kolejna wiadomość była od Kelmana.

- Nadinspektor Kelman. Paul prosił, żebym do pani zadzwonił. Wpadnę do pani w okolicach szóstej. Do widzenia.

Zerknęłam na zegarek. Dochodziła czwarta. Szósta to naprawdę ostatnia chwila. Powinniśmy się zjawić na balu o siódmej, więc będę musiała się ubrać i przygotować do wyjścia jeszcze przed wizytą Kelmana.

*- W ręku błysnął nóż, rozcięte gardło już, taki był z niej krzykacz, a teraz nie ma języka!*

Bronte obróciła się w moją stronę i popatrzyła ze zdziwieniem.

- Co to było?

- Wiadomość. Strasznie zniekształcona - wzruszyłam ramionami, ale serce waliło mi jak szalone. Mało kto wiedział o obrażeniach, jakie odniosła Lucy Grant. Musiało chodzić o nią.

Bronte wstała z kanapy i podeszła do mnie.

- To brzmiało zupełnie jak stara rymowanka. Daj posłuchać jeszcze raz.

Nacisnęłam guzik odtwarzania i obie jednocześnie nachyliłyśmy się w stronę sekretarki.

*- W ręku błysnął nóż, rozcięte gardło już, taki był z niej krzykacz, a teraz nie ma języka!*

- Powiedział „rozcięte gardło już...” - szepnęła Bronte zduszonym ze strachu głosem. - Powiedział „nie ma języka!”.

- To tylko idiotyczny dowcip. Pewnie jakiś dzieciak się wygłupia - uspokajałam, ale Bronte chwyciła mnie za ramiona, mocno zaciskając palce.

- To nie jest dowcip. To on! Morderca! - rozejrzała się dziko,

jakby spodziewała się, że za chwilę ujrzy napastnika w moim salonie. - On chce nas dopaść! Co my zrobimy? Co zrobimy?

Byłam zaszokowana. Skąd Bronte wiedziała o mordercy? Kto jej powiedział?

- Skąd o tym wiesz?

- Przeczytałam akta. Te, które leżą w twoim pokoju.

- Och, Bronte, nie powinnaś. Nie w twoim stanie. Dopiero co wyszłaś ze szpitala...

- Na miłość boską, Erin! Musisz zadzwonić na policję i powiedzieć im o tym. Przecież on dzwonił do ciebie z komórki Lucy. To nie jest jakiś przypadkowy facet, tylko pieprzony seryjny morderca!

Westchnęłam ciężko. Czy powinnam powiedzieć jej prawdę, że tym mordercą może być Leland? Ale to by ją śmiertelnie przeraziło. Tak samo, jak przeraziło mnie.

- Poczekamy - zdecydowałam w końcu.

- Poczekamy, aż on tu przyjdzie? Oszalałaś? Przecież on nas pozabija!

Podeszłam do otwartych drzwi na taras, pozwalając, aby wiatr targał moimi włosami.

- Nic innego nie możemy zrobić.

- Co takiego? - zaszlochała Bronte. - Co się dzieje? Ci wszyscy policjanci? Chodzi jeszcze o coś, prawda?

Popatrzyłam na panoramę miasta, wyłoczonego blaskiem słońca, co i rusz znikającego za przetaczającymi się po niebie chmurami.

- Chodzi o rzeczy, które się po prostu dzieją i są ze sobą połączone, nawet jeśli nam wydaje się inaczej. Niewidzialne macki wkradają się w życie zupełnie przypadkowych ludzi, wiążą ich ze sobą, a potem niszczą.

- Nic z tego nie rozumiem - mruknęła Bronte.

- Ja też nie.

Zamknęłam drzwi na taras i wróciłam do automatycznej sekretarki. Podkreśliłam dźwięk do oporu i jeszcze raz włączyłam nagranie. Bronte miała przerażoną minę.

Potem odsłuchiwałam wiadomość tak długo, aż wreszcie zaczęła mi się wydawać żałośnie komiczna i nie skrywała już w sobie groźby.

- Poznajesz ten głos? - zapytałam Bronte.

- Nie. A ty?

- Niezły z niego kutas, co? - zauważyłam zuchwale.

- Trafił nam się naprawdę wyjątkowy kretyń - odparła Bronte.

- Przez całe nasze życie mamy do czynienia z kretyńmi - powiedziałam z obojętną miną - więc co jest takiego szczególnego właśnie w tym?

- Ten najwyraźniej zamierza nas dopaść - Bronte zrobiła przerażającą minę, a ja zachichotałam i dałam jej kuksańca.

- Co powiesz na długą, gorącą kąpiel w pachnącej pianie? Pora zacząć się szykować na bal.

- Jesteś pewna? Na pewno nie chcesz, żebym została z tobą tu na dole?

- Nie, tu jesteśmy bezpieczne. Idź się szykować.

Bronte powlokła się przez salon i weszła na górę. Obie wiedziałyśmy, że to tylko naiwna brawura, ale wszystko było lepsze niż przerażenie i bezsilność. Doszłyśmy do milczącego porozumienia. Jeśli będziemy w sobie nawzajem wierzyć, choćby nasza wiara we własne siły była zupełnie pozbawiona podstaw, wtedy mamy spore szanse.

Bać można się tylko tak długo, dopóki strach się nie wyczerpie i nie zastąpi go coś innego. W moim przypadku była szydercza

wyniosłość, którą zaszczepiono mi właściwie już w kołysce. Morderca był kreaturą, która nie zasługiwała nawet na moją pogardę. Pozamykałam jednak wszystkie drzwi na klucz. Może nie czułam już strachu, ale nie byłam przecież głupia.

Poszłam do przylegającej do mojej sypialni łazienki i wzięłam długi prysznic. Zamierzałam uczesać się w klasyczny kok, więc nałożyłam na włosy odżywkę, żeby się łatwiej układały. W normalnej sytuacji zamówiłabym po prostu wizytę u fryzjera, ale sprawy już dawno przestały wyglądać normalnie. Posmarowałam skórę perfumowanym balsamem do ciała, a potem wysuszyłam włosy i nawinęłam je na duże podgrzewane wałki.

Specjalnie starałam się nie myśleć o zbliżającym się balu, bo dobrze wiedziałam, że czeka mnie dość stresujący wieczór. Koledzy z nieistniejącej już kancelarii na pewno nie będą się silić na uprzejmość, a moja niedawna kolizja z prawem i zła sława w prasie na pewno rozpalą wyobraźnię wielu spośród pozostałych gości. Musiałam wyglądać najpiękniej, jak to tylko możliwe. Dzięki temu będę się czuć trochę pewniej, a tego wieczoru będzie mi potrzebne każde, nawet niewielkie wsparcie.

Owinięta puszystym szlafrokiem frotte wróciłam do sypialni i usiadłam na łóżku. Podniosłam słuchawkę i po krótkiej chwili wahania wystukałam numer komórki Paula.

- Słucham - odebrał niemal natychmiast.

- Tu Erin. Tak sobie pomyślałam, że może chciałbyś wiedzieć, co się ostatnio wydarzyło. Masz chwilę?

- Jasne. Co się dzieje?

- Wczoraj Kelman był w szpitalu po kopię karty Bronte, a poza tym ten ktoś znowu dzwonił i nagrał na mojej automatycznej sekretarce następną dziwną rymowaną.

- Jeeezu. Zaczekaj sekundkę - usłyszałam, jak z kimś rozmawia.  
- Kelman jest tutaj i właśnie się do ciebie wybiera. Ja mam tu jeszcze trochę roboty, więc chyba spotkamy się dopiero na balu. Będę tam najpóźniej o wpół do ósmej.

- Zdążysz się przebrać?

- Jasne. Smoking mam ze sobą, a jeśli zrobi się późno, to po prostu wezmę szybki prysznic w redakcji. Nie martw się, na pewno się zjawię.

- Świetnie. O której Kelman tu będzie?

Co on w ogóle robi u Paula w redakcji informacyjnej? Znowu usłyszałam szmer rozmów w tle.

- Gdzieś koło szóstej trzydzieści. Cześć - rozłączył się, zanim zdążyłam mu powiedzieć, że wpół do siódmej to za późno.

Zerknęłam na swoje odbicie w lustrze toaletki. Wyglądałam jak zmęczona kobieta w średnim wieku. Poszłam do salonu i zawołałam Bronte. Wyjaśniłam jej, że za niecałą godzinę zjawi się u nas Kelman, a potem zamówiłam taksówkę na szóstą czterdzieści pięć. Jako gospodyni stołu powinnam się zjawić wcześniej, żeby powitać wszystkich gości.

Bronte zeszła na dół owinięta w kołdrę.

- Niepotrzebnie zostawiłaś te drzwi otwarte. Tam na górze jest strasznie zimno. Potrzebuję drinka na rozgrzewkę.

- Też mi wymówka - zadrwiłam i ruszyłam za nią do kuchni. - Napij się gorącej herbaty.

- Daj spokój - Bronte otworzyła na oścież drzwi lodówki. - Jest tylko szampan - zauważyła, wyciągając butelkę, którą włożyłam tam wcześniej.

- Bronte! Upijesz się.

- Nie, jeśli ty też się trochę napijesz - Bronte zerwała folię, oderwała drucik i w jakieś pięć sekund wyciągnęła korek.

Najwyraźniej miała w tym wprawę. Potem wręczyła mi kieliszek z szampanem i stuknęła o niego swoim. - Za pomyślność twoją i twojej nowej firmy.

Wiedziałam, że nie powinnam pić, zwłaszcza że wcześniej miałam rozstrój żołądka i nic jeszcze nie jadłam, ale mimo wszystko pociągnęłam łyk szampana.

- Ubierzemy się razem - pisnęła radośnie Bronte i popędziła do sypialni. Zapanowała atmosfera lekkomyślności, jakby to były jakieś dziwaczne wakacje.

Założyłam swoją przylegającą gładko do ciała suknię. Poprawiłam długie rękawy i stójkę, wsunęłam stopy w czarne pantofle bez pięty i dopiero wtedy zdecydowałam się spojrzeć w wiszące w garderobie lustro.

Jęknęłam cicho. Pod materiałem odznaczały się wyraźnie kości bioder. Może naprawdę jestem za chuda? Obejrzałam się dokładnie ze wszystkich stron, słuchając przy okazji postękiwania i posapywania Bronte próbującej się wcisnąć w swoją sukienkę.

- Erin! Możesz tu przyjść i mi pomóc? - zawołała w końcu z sypialni. Ostrożnie stawiając kroki wysunęłam się z garderoby. - No! No! Wyglądasz oszalamiająco - westchnęła. - Może poza tymi wałkami.

Uśmiechnęłam się i z trudem zasunęłam suwak wybranej przez nią czarnej, sięgającej ziemi jedwabnej sukni. Sukienka była naprawdę bardzo obcisła.

- Nie wiem, czy będę mogła w tym usiąść! - zachichotała głośno Bronte i wykończyła jednym haustem szampana, a potem, kręcąc biodrami, ruszyła po dolewkę do kuchni.

Był tylko jeden sposób powstrzymania Bronte przed osuszeniem całej butelki, oczywiście poza zakneblowaniem jej

ust - sama też musiałam wypić jeszcze trochę szampana. Ruszyłam więc za nią, identycznie drobiąc kroczyki niczym gejsza.

Wypiłyśmy jeszcze po kieliszku szampana, a potem Bronte opróżniła butelkę do końca. Czułam się pełna animuszu i energii. Dziś wieczorem zaskoczę wszystkich. Będę duszą towarzystwa. Wrócę z tarczą, nie na tarczy. Kancelaria Patersonów bez żadnego przedstawiciela naszej rodziny - jaki w tym sens? Ale teraz do gry wracam ja.

Chichotałyśmy obie jak małe dziewczynki przez cały czas, kiedy Bronte upinała mi włosy w uwodzicielski artystyczny kok, zostawiając kilka luźnych kosmyków na karku i u nasady włosów, co nadało mojej twarzy łagodny, seksowny wygląd. Potem zajęła się moim makijażem. Byłam zupełnie odmieniona. Oczy błyszcząły mi od szampana i odzyskanej na nowo radości płynącej z towarzystwa siostry.

Nie usłyszałyśmy domofonu, dopóki dzwonek nie zaczął dzwonić bez przerwy.

- To na pewno Kelman! - krzyknęłam, spiesząc w stronę drzwi.

- Taksówka dla Paterson - usłyszałam przez domofon. Powiedziałam kierowcy, że zaraz zejdziemy. Nie miałyśmy już czasu, a Kelman się spóźnił.

- Bronte, taksówka już jest. Będziesz musiała pojechać beze mnie. Zrobiło się strasznie późno, ale Kelman powinien być lada moment. Postaram się, żebyście nie czekali na mnie zbyt długo, ale zadbaj o to, żeby wszyscy wiedzieli, kim jesteś i który stolik jest nasz, zamów dla nich szampana, czy co tam będą chcieli... - wyrzuciłam z siebie niespokojnie, wciskając jej do ręki swoją kartę kredytową.

Bronte uściśnęła mi ramię uspokajająco.

- Nie martw się, Erin. Jakoś sobie poradzimy.



Zanim wyszła, powiedziałam jej jeszcze, że pięknie wygląda, bo tak rzeczywiście było, trochę w stylu wielbicielki punk rocka.

Zacząłam krążyć po mieszkaniu, co chwila zerkając na zegarek. Gdzie się podziewa ten Kelman? Nie mogę czekać wiecznie, a nie miałam nawet numeru telefonu, pod którym mogłabym się z nim skontaktować. Zadzwoiłam jeszcze raz do Paula, ale zgłosiła się tylko poczta głosowa. Zostawiłam mu krótką wiadomość, że Kelman się spóźnia, a ja nie mogę czekać zbyt długo.

Przesiedziałam tak jeszcze dwadzieścia minut, zastanawiając się, co robić. Chciałam wręczyć Kelmanowi list Lucy i zobaczyć jego zażenowaną minę. Miałam niemal stuprocentową pewność, że to on był tym policjantem, który ukradł moje klucze i zabrał akta Paula. To oczywiste, że mi nie ufał, skoro kazał mnie obserwować. Poza tym Paul sam przyznał, że podejrzewali mnie o udział w tym wszystkim.

Wystukałam jeszcze raz numer komórki Paula, ale znowu zgłosiła się tylko poczta głosowa. Gdzie oni się podziewają?

Zrobiło się już wpół do ósmej i musiałam podjąć trudną decyzję. Iść na bal, żeby wesprzeć swoją obecnością nowo powstałą firmę, czy czekać na Kelmana? Zdecydowałam się jednak jechać. Kiedy przytrafi się następna taka okazja udowodnienia moim krytykom, na co mnie stać? Kiedy nadarzy się znowu taka szansa uświadomienia Paulowi, jak atrakcyjną kobietą jestem?

Zadzwoiłam po taksówkę i przyczepiłam do drzwi wejściowych kartkę do Kelmana, na której nabazgrałam, że będę w Hiltonie, a zamki i tak wymieniłam.

Było już dobrze po ósmej, kiedy w końcu dotarłam do hotelu. Nie mogłam sobie wybrać gorszego momentu. Mistrzem ceremonii był tego wieczora komik ze szkockiej telewizji i moja godna ubolewania próba wślizgnięcia się do sali bez zwracania na siebie uwagi była dla niego wymarzoną okazją.

- To wspaniale, że zdołała pani jednak do nas dołączyć, panno Paterson - zawołał przez odrobinę syczący mikrofon. - Wypuszczono panią wcześniej za dobre sprawowanie?

Śmiech.

- Nie, za pobicie strażnika - odparłam niefrasobliwie, gorączkowo szukając wzrokiem naszego stolika, zapewniającego względną anonimowość.

- Cieszę się, że nie straciła pani poczucia humoru.

- O to mnie jeszcze nigdy wcześniej nie oskarżono - odparłam z błyskiem w oku. Nie zwróciłam już uwagi na kaskady śmiechu, które wywołała odpowiedź, bo serce zabiło mi mocniej na widok Paula, przywołującego mnie gestem dłoni. W swoim smokingu wyglądał tak przystojnie i elegancko.

- Panie i panowie, proszę o brawa dla Erin Paterson, naprawdę wyjątkowej kobiety.

Zaskoczyła mnie burza oklasków, więc z prawdziwą radością usiadłam w końcu przy naszym stoliku, gdzie powitały mnie

serdeczne spojrzenia przynajmniej pięciu par oczu.

- Bardzo przepraszam za spóźnienie - rzuciłam pośpiesznie. - Ale naprawdę pomagałam policji w śledztwie. Znowu!

Zgromadzeni przy naszym stoliku skwitowali mój żart śmiechem, a ja pomyślałam, że wszystko powinno pójść dobrze. Sama wspomniałam o tej „drażliwej sprawie”, więc konieczność omijania zakazanego tematu nie będzie nam zatruwać całego wieczoru.

Przyszła pora na powitania i wzajemne prezentacje. Tymczasem prowadzący imprezę komik mówił właśnie o charytatywnym celu naszego spotkania, zachęcając zgromadzonych, by „nie żalowali grosza”. Dzięki tym kilku chwilom przerwy zdołałam w końcu uspokoić oddech i odzyskać równowagę.

Paul siedział obok mnie, z trudem ukrywając zaniepokojenie malujące się na jego twarzy. Dobrze znałam już tę minę.

- Jak poszło? - szepnął, nachylając się w moją stronę.

- Kelman w ogóle się nie zjawił. Dwa razy nagrywałam się na twojej poczcie głosowej, żeby ci o tym powiedzieć. Naprawdę nie wiem, co się mogło stać.

- Dziwne.

- Czekałam tak długo, jak się dało. Ale zostawiłam dla niego kartkę z informacją, że tu będziemy.

Paul zmarszczył brwi i nalał mi szampana, a ja rzuciłam przepaszające spojrzenie Liz i Douglasowi. Po mojej lewej stronie siedział Bruce Lindsey, dyrektor jednej z dużych firm energetycznych, choć ku swojemu zawstydzeniu nie potrafiłam sobie przypomnieć której.

- Więc, Erin, powiesz coś więcej o tym pomysle z BBC? - zagaił Bruce. Zaskoczona uśmiechnęłam się tylko niepewnie,

zastanawiając się gorączkowo, o co mu chodzi. - Daj spokój, nie bądź taka nieśmiała. Paul sporo mi już o tym opowiedział. Jak to zamierzają śledzić powstanie i początkowe problemy twojej nowej firmy. Paterson Associates, co? To będzie niezły pstryczek w nos dla staruszka. Coś jak ten kręcony na żywo program o lotnisku. Świetna darmowa reklama. Niezła z ciebie spryciara, że na to wpadłaś.

Z uśmiechem przyklejonym do ust dyskretnie kopnęłam Paula w kostkę pod stołem.

- Jest tu dzisiaj ekipa filmowa? - Bruce obrócił się na krześle, żeby sprawdzić za plecami.

Paul pochylił się lekko w moją stronę i powiedział scenicznym szeptem.

- Niestety nie. Nie wszyscy zainteresowani chcieli się na to zgodzić. Chyba uznali, że będzie to dla nich zła reklama. No wiesz, w końcu całą sprawę załatwiono w dosyć brzydki sposób. - Potem Paul wyprostował się i poprawił serwetkę na kolanach. - Osobiście uważam, że byłaby to dla nich świetna okazja do przedstawienia swoich racji, ale chyba nie muszę mówić komuś z twojej branży, Bruce, że zawsze znajdą się ludzie, którzy nie widzą dalej niż koniec własnego nosa.

- Masz zupełną rację - powiedział też niby to dyskretnie Bruce. - Czasami stara gwardia po prostu nie chce iść z duchem czasu. W dzisiejszym świecie najbardziej liczy się wizerunek w mediach, a to kosztuje. Paul, jeśli pozwolisz, dam ci swoją wizytówkę i gdybyś miał ochotę zrobić coś podobnego na temat przemysłu nuklearnego, to zadzwoń do mnie.

Byłam zaskoczona. Paul gawędził tu sobie w najlepsze, niczym stary wyjadacz. Najwyraźniej ma do tego talent.

- Erin, Liz mówiła, że zamierzasz spróbować swoich sił w

zakresie prawa spółki. Jak zamierzasz to pogodzić z całą twoją pracą w odszkodowaniach? - zapytał Bajit Singh.

- No cóż, Douglas szkoli się pod moim okiem już cztery lata i miał nawet zacząć samodzielną pracę, ale właśnie wtedy zaczęły się te nieprzyjemności w starej firmie. Douglas wie o odszkodowaniach praktycznie wszystko. Nadal zawsze chętnie mu doradzę, oczywiście tylko jako konsultant, ale to nie ja będę prowadzić te sprawy.

Zamierzam zdać egzamin i zająć się obsługą prawną przedsiębiorstw na wysokim szczeblu, no wiesz, Sąd Najwyższy i te sprawy, a jednocześnie ograniczać koszty ponoszone przez klienta. Powinniśmy być w stanie zająć się wszystkim w obrębie naszej firmy, zmniejszając tym samym wysokość honorarium za poradę. Poza tym w osobie Liz mamy przecież pierwszorzędną specjalistkę w zakresie prawa spółki.

- Tak, zdarzyło mi się już kiedyś pracować z Liz. Czy to oznacza, że będziecie oferować niższe stawki?

- Ujmijmy to tak - lepsza jakość za te same pieniądze. Koszty ogólne znacznie się obniżą. Moim zdaniem ogromne firmy prawnicze ustabilizowały się na poziomie, gdzie jakiegolwiek oszczędności wynikające z ekonomii skali w rzeczywistości przepadają. Oczywiście, to nie dotyczy sektora detalicznego - zrobiłam aluzję do prężnie działającej firmy Singha, zajmującej się sprzętem sportowym.

Podano pierwsze danie. Singh przytaknął skinieniem głowy i wdał się z Liz w dyskusję na temat położonych poza miastem galerii handlowych.

- Pozwoliłem sobie wybrać za ciebie - szepnął Paul. - Mam nadzieję, że nie masz mi tego za złe. Zamówiłem też wino.

- Ależ skąd. Dzięki - ucieszyłam się, że ktoś inny sprawuje nad

wszystkim pieczę. Kelner ustawił przede mną talerz sałatki z melona i szynki parmeńskiej. Całe szczęście, że wybór Paula nie padł na zupełny krem z groszku z miętą. Miała wyjątkowo jaskrawy zielony kolor.

Podchwyciłam wzrok Bronte i uśmiechnęłam się do niej lekko. Bronte popatrzyła na mnie znacząco, wskazując na coś palcem. Podążyłam wzrokiem w tamtym kierunku i omal nie udławiłam się melonem. Przy głównym stole, dokładnie po przeciwnej stronie parkietu, siedzieli nasi rodzice. Ojciec nie był na takim balu od co najmniej pięciu lat. Ukradkiem przyjrzałam się ich towarzystwu. Michael McCabe, Matthew Stuart i Mat Cohen, dwóch członków szkockiego parlamentu i przewodniczący Scottish Enterprise. Prawdziwe spotkanie gigantów.

- Rozmawiałaś z nimi? - szepnęłam bezgłośnie do Bronte, która potrząsnęła tylko głową.

Ku mojej irytacji, kiedy znowu zerknęłam w tamtą stronę, napotkałam wzrok Michaela, który nawet mi się nie uklonił. Nie miałam cienia wątpliwości, że nie spodziewał się mnie tu zobaczyć.

- Wszystko w porządku? - szepnął Paul, spoglądając w tę samą stronę.

- Tak - skłamałam, z trudem wydobywając głos z gardła. Byłam w równym stopniu zmartwiona, co wściekła. Upiłam łyk szampana i poczułam, jak zimne bąbelki uderzają mi szybko do głowy.

Pomiędzy moim najdroższym mentorem a mną pojawił się mur. A wściekła byłam na matkę. Jak ona może żyć z samą sobą? Ostrzegła Lelanda i dlatego Lucy zginęła. Jej ręce były splamione krwią, tak samo, jak jego.

- Melon jest za twardy?

Spojrzałam na Paula i potrząsnęłam głową.

- Prawie nic nie zjadłaś.

- Paul - delikatnie dotknęłam jego ramienia - naprawdę nie mam teraz siły wysłuchiwać kazań. Masz rację, dobrze wiem, że masz, ale proszę, daj spokój. Przynajmniej dziś wieczorem.

Talerze zostały uprzątnięte i błyskawicznie podano następne danie. Rozmawiałam z pozostałymi gośćmi o błahostkach i sprawach zawodowych, ale cały czas musiałam się powstrzymywać przed rozglądaniem się po sali. Miałam wrażenie, że setki par nieprzyjaznych oczu wbijają się w moje nagie plecy. Wypiłam kolejny kieliszek szampana, surowo karcąc samą siebie za takie paranoiczne myśli. Nikt na mnie nie patrzy, wszyscy są zajęci swoimi sąsiadami, swoimi rozmowami i sprawami. Dlaczego wyobrażałam sobie, że ktoś miałby się mną interesować? Może to próżność? Albo mania wielkości? A może to coś bardziej złowrogięgo?

Kolacja skończyła się zbyt szybko. Wszyscy zjawili się tu z tego samego powodu - aby nawiązać nowe kontakty. Zaraz po przemówieniach i aukcji na cele dobroczynne moi goście się rozpierzchną, a wtedy będę całkiem bezbronna. Opróżniłam następny kieliszek, nawet nie czując smaku szampana. Potrzebowałam tego przyływu energii, tej fałszywej odwagi, która pozwalała mi unieść dumnie głowę.

Dzięki temu mogłam być czarująca i pełna życia. Pozwalałam sobie nawet na żarty na swój temat. To nowe wcielenie wywoływało zdumione spojrzenia ze strony tych, którzy dobrze mnie znali, a ja miałam im ochotę powiedzieć, że tylko wymyślając siebie od nowa zdołam zapewnić powodzenie naszemu przedsięwzięciu.

Jeśli zachowam wizerunek osoby chłodnej i pełnej dystansu,

klienci raczej się u nas nie zjawiają. Nie miało znaczenia, czy jestem kompetentną prawniczką, bo i tak koniec końców najbardziej liczył się przyjacielski charakter, a z tego akurat nie słynęłam.

Rozpoczęły się przemówienia, pełne aluzji do własnego podwórka, na przemian nudne albo wrzaskliwe. Dzięki wypitemu szampanowi poczułam się na tyle odważna, by rozejrzeć się po sali. Wymieniłam spojrzenia i uśmiechy z kilkorgiem znajomych. W końcu zdecydowałam się tu przyjść, więc nie mogę teraz tak po prostu schylić głowy i liczyć na to, że nikt mnie nie zauważy.

- Szczególnie gorąco chciałbym powitać naszych znamienitych gości - odezwał się mistrz ceremonii. - Panie i panowie, kawaler Orderu Imperium Brytyjskiego Sir Maxwell Paterson wraz z małżonką.

Rozległy się gromkie brawa. Cała aż zeszywniałam, kiedy jakiś idiota zawołał: „Przemówienie! Przemówienie!”. Prowadzący imprezę nie bardzo wiedział, co zrobić, ale już szykował się, by podbiec z mikrofonem do stołu rodziców. Zrobiło mi się słabo. Nie mogłam pozwolić na to, by ojciec został tak strasznie upokorzony. Widziałam, jak matka syczy mu coś do ucha. Instynktownie zaczęłam się nawet podnosić z krzesła, ale Paul położył mi delikatnie dłoń na ramieniu i skłonił, bym usiadła z powrotem.

Na szczęście od stołu wstał Michael McCabe i podziękował wszystkim w imieniu Sir Maxwella i Lady Georginy oraz nowo utworzonej kancelarii Cohen Paterson. Kilka osób zwróciło głowy w moją stronę, aby przekonać się, jak zareaguję na te słowa, ale myślałam tylko o tym, jak przyciągnąć teraz uwagę Michaela.



- Dziękuję - szepnęłam bezgłośnie, kiedy w końcu udało mi się podchwycić jego spojrzenie. Michael skinął w odpowiedzi głową.

Zaraz potem rozpoczęła się aukcja. Nadal piłam za dużo szampana i śmiałam się zbyt głośno. Bronte wciąż licytowała rzeczy, na które nie było jej stać, niepotrzebnie przyciągając uwagę do naszego stolika. To, co zaczęło się tak dobrze, zaczynało się nam niebezpiecznie wymykać spod kontroli.

Byłam wdzięczna losowi, kiedy aukcja wreszcie dobiegła końca, choć wcale nie uśmiechał mi się zakup okropnego obrazu olejnego „Wyspa Muli i noc na zamku Skibo”, który Bronte wylicytowała w moim imieniu.

- Madonna brała tam ślub - wyjaśniła Bronte, kiedy popatrzyłam na nią z wyrzutem przez stół.

- Poza tym to na zbożny cel - dorzucił Bajit.

- Odsprzedam ci ten obraz za połowę ceny - zaproponowałam najzupełniej poważnie.

- Zadzwoń do mnie, kiedy wasza kancelaria ruszy już pełną parą. Może coś się dla was znajdzie - z tymi słowami Bajit Singh wstał i dziękując za miły wieczór, opuścił nasz stolik.

Pozostali goście również skorzystali z okazji, aby rozprostować nogi. W głębi ducha byłam zadowolona, że wszyscy się zjawili. Nie każdy miałby tyle odwagi, by zasiąść przy takim wyklętym stoliku. Podekscytowana Liz szybko przesiadła się na krzesło zajmowane wcześniej przez Brucea Lindseya.

- Bajit zamierza sprzedawać swoje produkty nie tylko w sklepach, ale wejść też z nimi do galerii handlowych poza miastem! Chce żebyśmy pomogli mu zbudować ten interes i stworzyć jego wizerunek.

- Fantastycznie - zdołałam wydusić, choć tak naprawdę bardziej interesowały mnie powody decyzji Singha. Liz

uprzedziła jednak moje pytanie.

- Zaimponowaliśmy mu tym, że tak szybko zdołaliśmy się pozbierać i stanąć z powrotem na nogi. Powiedział, że chciałby pracować z młodą, głodną sukcesu firmą!

- Aha, po prostu zamierza wytargować niższe stawki.

- O tym nie wspominał - broniła się Liz.

- To bez znaczenia, najważniejsze, że mamy potencjalnego klienta! Pamiętaj, żeby zawsze wspominać o tym w rozmowach z innymi.

Popatrzyłam na Douglasa, pogrążonego w bardzo intymnej rozmowie z Bronte. Nie chciałam nawet myśleć, co może z tego wyniknąć.

- Douglas - zawołałam dość głośno, a kiedy Douglas podniósł wzrok dodałam: - Powinieneś się zająć nawiązywaniem kontaktów. Rozejrzyj się, może są tu jacyś aplikanci czy świeżo upieczeni adwokaci, których moglibyśmy zwerbować. Znasz chyba większość z nich. Aha, i pamiętaj, żeby zachwalać naszą kancelarię.

- Tak jest, szefowo - Douglas uśmiechnął się znacząco i wstał niepewnie od stołu.

- A my z Karen co mamy robić? - zapytała Bronte z obrazą w głosie.

Uśmiechnęłam się szelmowsko.

- Należysz teraz do naszej firmy, więc rozejrzyjcie się, czy uda wam się znaleźć jakieś niezadowolone z obecnej posady sekretarki.

Bronte zachichotała i dała kuksańca Karen, która przechodząc obok syknęła mi do ucha:

- Bardzo ci dziękuję.

- To przypomina poważną operację militarną - zauważył Paul.

- Nie mamy innego wyboru - odparłam, nalewając sobie kolejny kieliszek szampana. - Jest nas tylko pięcioro.

- Sześcioro.

- Sześcioro? Z tobą? Nie sądzę, żeby było nas stać na twoje usługi.

- Powiedzmy, że postanowiłem się po prostu pochylić nad losem maluczkich - uśmiechnął się. - Ty chyba też powinnaś już ruszać między gości?

- Tak, ale potrzebuję jeszcze kilku minut odpoczynku, żeby móc znowu ujawnić czarującą stronę mojej osobowości.

- To było dość zaskakujące.

- Nie jestem taka okropna przez cały czas! - odparłam ze śmiechem. - Tylko w chwilach ogromnego napięcia.

- Mogę prosić do tańca? - Michael McCabe podszedł do naszego stolika.

- Hm - zawahałam się - tak.

Michael poprowadził mnie przez tłum ludzi, nawet na moment nie zdejmując dłoni z moich pleców. Na parkiecie przycisnął mnie do siebie mocno, za mocno, jak na mój gust.

- Co u ciebie? - zapytał gdzieś ponad moją głowę.

- Poza tym, że zostałam wyrzucona z *mojej* firmy, oczerniona w prasie i aresztowana? Wszystko w porządku.

- To prawda z tym programem BBC? Całe miasto o tym mówi.

- Dlatego poprosiłeś mnie do tańca?

- Nie. Chciałem ci zaproponować zawieszenie broni. Roześmiałam się, odrzucając głowę do tyłu.

- A to zawieszenie broni nie ma oczywiście nic wspólnego z programem BBC i moją nową kancelarią?

- Może - uśmiechnął się Michael. - To zdaje się Paul Gabriel z BBC? Widziałem go na kanale News 24.

Skinęłam głową, a Michael ochoczo zakręcił mną dookoła. Wypity szampan natychmiast dał o sobie znać.

- Przestań! - jęknęłam. - Kręci mi się w głowie.

- Przepraszam - Michael przyciągnął mnie znowu i przez chwilę kołysaliśmy się łagodnie w rytm wolniejszej muzyki.

- Chciałam ci podziękować za tę sprawę z tatą i przemówieniem - wyrzuciłam z siebie, kiedy skończyliśmy tańczyć. - Nie zniosłabym, gdyby...

- Pst! Wiem. Ja też nie mogłem na to pozwolić. Życzę ci szczęścia, Erin.

- To nie jest kwestia szczęścia. Ja po prostu jestem cholernie dobrą prawniczką.

- Wiem - Michael wycisnął mi na policzku mokrego całusa. - Ciągle mi to powtarzasz.

Umknęłam z parkietu, zanim ktoś jeszcze zdążył mnie zaczepić, bo bardzo chciało mi się siusiu. Przeciskając się przez tłumy gości, kątem oka dostrzegłam w barze Paula, ale ruszyłam prosto w stronę damskiej toalety, przed którą zdążyła się już oczywiście ustawić spora kolejka. Nieraz bywałam na przyjęciach w Hiltonie, więc wiedziałam, że toaleta w holu recepcji powinna być mniej zatłoczona.

I miałam rację. Siedziałam w kabinie przez kilka minut, zastanawiając się nad kolejnym ruchem. Musiałam wreszcie stanąć twarzą w twarz z matką. Jeśli ja domyśliłam się już, kto powiedział Lelandowi o tym, że Lucy go widziała, to policja też nie jest pewnie daleko w tyle. Musiałam wiedzieć, dlaczego matka to zrobiła, dlaczego go chroni. Ale przede wszystkim chciałam się dowiedzieć, gdzie on teraz jest.

Przepełniał mnie gniew i ból. Wiedziałam, co muszę zrobić, ale tak strasznie trudno mi było zebrać się na odwagę. Ponownie

pomalowałam usta i poprawiłam fryzurę, a potem puściłam strumień zimnej wody na nadgarstki. Za drzwiami toalety wpadłam prosto na Paula.

- Wychodzę - warknął.

- O? - wyjąkałam zaskoczona.

- Na pewno będziesz się świetnie bawić ze swoim dawnym narzeczonym.

- Czyżbym wyczuwała w twoim głosie zazdrość? - uniosłam pytająco brew.

- O tego tyczkowatego dupka? Taaak, na pewno. Właśnie w tym momencie zauważyłam znikający w drzwiach wejściowych wózek ojca.

- Cholera! - mruknęłam.

- Słucham? Czemu u licha uznałaś, że jestem zazdrosny?

- Nie dlatego powiedziałam „cholera” - rozejrzałam się po holu w poszukiwaniu matki.

- Kogo tak wypatrujesz? Michaela?

- Nie, mojej matki. Chciałam z nią porozmawiać, ale tata właśnie pojechał do domu... - odparłam, bacznie lustrując wzrokiem mrowie smokingów i sukien balowych, ale nigdzie nie zdołałam dostrzec matki.

- Dopiero co wyszedłem z sali balowej. Twoja matka jest w środku. Jeden z gości, którzy siedzieli przy ich stoliku, zabrał twojego ojca na dwór.

- Jesteś pewien?

- Całkowicie.

- Dzięki - powiedziałam, kierując się w stronę sali, w której odbywał się bankiet. Paul ruszył za mną. - A jednak wracasz?

- Tak.

- Dlaczego?

- Bo ty coś knujesz - odparł i poprowadził mnie przez kłębiące się tłumy gości na parkiet.

- Paul, chętnie bym z tobą zatańczyła, ale muszę porozmawiać z matką...

- Twoja matka nigdzie się nie wybiera, a ty jesteś mi coś winna. Zgodziłam się niechętnie, wznosząc w duchu dziękczynne modły, że nie jest to wolny kawałek. Chyba pomyślałam o tym w złym momencie, bo już po chwili orkiestra zmieniła tempo i zagrała wolnego walca.

Tańczyliśmy blisko objęci. Paul otoczył silnym ramieniem moją talię i zacisnął mocno palce wokół mojej dłoni, tuląc ją do swojej piersi. Jego oddech łaskotał moje ucho, pieścił moje włosy.

Zamknęłam oczy i pozwoliłam się nieść melodii. Trudno to było nawet nazwać tańcem - po prostu kołysaliśmy się, ciasno objęci. Nagle zapragnęłam go pocałować, pochyliłam więc głowę, aby tych dodatkowych kilka centymetrów oddzielało mnie od pokusy.

- Wyglądasz dziś tak pięknie - szepnął Paul.

- Dziękuję.

- Na całej sali nie ma faceta, który nie chciałby się teraz zamienić ze mną miejscami.

- To cię przeraża? - bąknęłam nieśmiało, nie podnosząc głowy.

- Nie. Ani trochę. Może chcieliby z tobą zatańczyć, ale...

- Ale co? - szepnęłam. Paul zamyślił się na chwilę.

- Ale nie sądzę, by któryś z nich chciał cię dziś zabrać ze sobą do domu.

Poczułam się tak, jakby uderzył mnie w twarz. Poderwałam głowę, wpatrując się w niego ze złością.

- Co to do diabła ma znaczyć?

Paul uśmiechnął się rozbrajająco i przycisnął mnie mocniej do

siebie.

- Jesteś naprawdę urocza, ale musisz się jeszcze sporo nauczyć.

Próbowałam się wyrwać, ale Paul wzmocnił tylko uścisk.

- Nienawidzę cię - syknęłam. - Odczep się.

- Wiem - roześmiał się i wypuścił mnie z objęć. Rzuciłam mu zagniewane spojrzenie i ruszyłam niepewnym krokiem w stronę stolika rodziców.

- Ostrożnie - przestrzegł Paul, chwytając mnie szybko za łokieć.

- Chyba jesteś odrobinę wstawiona.

Chciałam mu powiedzieć, żeby się wypchał, ale niestety miał rację. Szampan wypity na pusty żołądek zrobił swoje.

Matka dyskutowała o czymś zawzięcie z Michaeliem i Matem Cohenem. Pewnie planują jakiś kolejny przekręt.

- Cześć - powiedziałam słodko.

- O, hm, cześć, Erin - Mat wyglądał na zaniepokojonego.

- Gratuluję połączenia kancelarii.

- Dzięki - odparł, spoglądając z bezgranicznym zdumieniem na moją matkę i Michaela.

- Mamo, mogłybyśmy zamienić parę słów? - byłam uprzedzająco grzeczna, w nadziei, że zdołam uspić jej czujność, ale matka popatrzyła na mnie z niezadowoleniem.

- Teraz?

- Tak, jeśli można. To dosyć ważne - uśmiech wciąż nie schodził mi z twarzy. Matka westchnęła ciężko i powoli podniosła się z krzesła.

- Mam nadzieję, że nie chodzi o tę fuzję - syknęła.

- Gdyby tylko - mruknęłam.

Z Paulem podążającym za nami krok w krok, wyszliśmy przed salę balową i znalazłyśmy sobie w westybulu cichy kącik. Matka skrzyżowała ramiona na piersi obronnym gestem.

- Chyba nie zostaliśmy sobie przedstawieni - zwróciła się dość szorstko do Paula, który natychmiast mocno uściskał jej dłoń.

- Paul Gabriel.

- Czy my się jednak skądś nie znamy? - matka zmrużyła oczy.

- Spotkaliśmy się już wcześniej.

Matka skinęła podejrzliwie głową, najwyraźniej próbując go jakoś umiejscowić. Nagle przyszło mi do głowy, że może Paul przesłuchiwał ją, kiedy był jeszcze policjantem.

- Więc? - warknęła. - Co masz mi do powiedzenia?

- Chodzi o Lucy Grant.

- I? - dopytywała z zachmurzoną twarzą.

- Lucy napisała do mnie. W liście opowiedziała mi o tym, co się stało - wyjaśniłam z lodowatym spokojem. Chciałam się przekonać, czy matka nadal będzie się wypierać, że Lucy w ogóle się z nią kontaktowała.

- To znaczy o czym, kochanie?

Słusznie podejrzewałam, że znowu będzie próbowała odgrywać przede mną nieporadną staruszkę.

- Przestań, mamó! Lucy do mnie napisała! O tym, jak wydawało się jej, że widziała Lelanda. Napisała też, że rozmawiała z tobą na ten temat...

- Ach, o to chodzi! To było tylko drobne nieporozumienie - odparła matka tonem zbyt radosnym jak na mój gust. Postukałam czubkiem pantofla w podłogę i niedbałym gestem splotłam ramiona na piersi. Zawsze przyjmowałam taką postawę w sądzie, na chwilę przed rozerwaniem świadka na strzępy.

- Jeśli to było „drobne nieporozumienie”, to dlaczego nie powiedziałaś o tym policji?

- Bo nie miało to żadnego znaczenia!

- Żadnego znaczenia? A można wiedzieć, w jaki sposób do-



szałaś do tego wniosku? Nie rozumiesz, w jakim to cię stawia świetle? Czyś to kompletnie oszalała?

- Jak śmiesz tak do mnie mówić! Nie jestem jednym z twoich podwładnych.

- Z całą pewnością nie jesteś! Ja zatrudniam wyłącznie uczciwych ludzi. Zamierzam przekazać list Lucy policji. Ty...

- Erin! - Matka wyglądała na naprawdę zaniepokojoną. - Przecież teraz to już nieważne. Oni wiedzą, że nie miałaś z tym nic wspólnego! Nie muszą się dowiadywać o...

- A właśnie, że muszą! Morderca Lucy dzwonił potem do mnie! Nie rozumiesz? Dlatego, że mój numer był w jej komórce, morderca zadzwonił do *mnie*.

Matka cofnęła się o dwa kroki, z trudem chwytając powietrze. Chwyciliśmy ją z Paulem pod łokcie, obawiając się, że może upaść, a potem posadziliśmy ją ostrożnie na krześle.

- Dobrze się czujesz? - tym razem to ja byłam zaniepokojona. Matka spojrzała na mnie, a jej oczy przybrały dziwny wyraz.

- Pogorszysz tylko sprawę. Nie rób tego. Przez wzgląd na ojca. I na Bronte.

- Muszę to zrobić - Przykucnęłam przy niej. - To mój moralny obowiązek.

- Próbowałam cię tylko chronić - dodała.

- Przed czym? - Chciałam, żeby w końcu to powiedziała. Żeby przyznała, że Leland żyje.

- Jesteś pewna, że to on do ciebie dzwonił? - zapytała matka, potrząsając głową. - Może to była pomyłka?

- Zostawił mi też kartkę. I wiadomości na automatycznej sekretarce. Ma zamiar mnie dopaść - wyjaśniłam spokojnie.

- To niedorzeczne! Wcale nie zamierza cię dopaść.

- Skąd wiesz? Tak ci powiedział? Chce mnie tylko

przestraszyć? Matka podniosła wzrok na Paula.

- Komisarz Gabriel, prawda?

- Już nie. Odszedłem z policji.

- Co pan jej powiedział?

- Wszystko i nic - odparł Paul poważnie.

- Cóż, w takim razie, nie mogę już nic więcej zrobić. To już koniec.

- Koniec czego?

Powiedz to, błagałam ją w myślach. Przyznaj, że on żyje.

- Wszystkiego. To będzie koniec wszystkiego - matka odgrywała teraz scenę godną Oscara.

- O czym ty mówisz, mamó? Nie bądź taka melodramatyczna. Skończ z tymi zagadkami i po prostu mi powiedz!

Matka potrząsnęła głową. Podjęła już decyzję, a ja wiedziałam z doświadczenia, że nie ma sensu jej dłużej wypytywać. Wstałam. To dlatego zawsze unikałam tych cholernych konfrontacji. Nigdy nie wyglądały tak, jak to sobie zaplanowaliśmy.

- Tata pojechał do domu? - zapytałam spokojnie.

- Tak. Martha tam jest - odparła ponurym głosem.

- Jestem strasznie... zawiedziona - powiedziałam bardziej do siebie niż do niej. Matka potrząsnęła głową, spoglądając na swoje udręczone i uległe dłonie pianistki o długich palcach.

- Chcesz, żebym zawiozła cię na policję? - zapytałam łagodnie. Tym razem udało mi się przykuć jej uwagę.

- Co u licha masz na myśli?

- Mamó, policyjna sieć zacieśnia się coraz bardziej wokół niego. I wokół ciebie. Naprawdę byłoby najlepiej, gdybyś powiedziała im wszystko, co wiesz i spróbowała choć trochę naprawić to straszne zło, które wyrządziłaś.

- Ja nic nie wiem! - warknęła.

- Wiesz. Jestem tego pewna. Albo pójdziesz na policję z własnej woli, albo ja to zrobię. Rozumiesz? Pójdę na policję.

Matka prychnęła pogardliwie.

- O, nie mam co do tego wątpliwości. Nie cofniesz się przed niczym, żebym mnie zranić. Przed niczym!

- Mamo, dobrze wiesz, że to nieprawda.

- Zawsze były z tobą same problemy! - wysyczała matka, podnosząc się z krzesła. - Zawsze musiałaś postawić na swoim. Wspomnisz moje słowa, młoda damo, nie pozwolę ci na to.

- Mamo! Przecież to cholerny morderca! On zabił Lucy! - krzyknęłam, a stojący wokół ludzie zaczęli się na nas gapić.

- On tego nie zrobił! Nie zrobił tego! Leland nie żyje!

Otworzyłam szeroko usta. Ona zupełnie postradała rozum.

Matka wyciągnęła rękę i próbowała delikatnie odgarnąć kosmyk włosów z mojego policzka, ale odwróciłam głowę. Był to najczulszy gest, jakim mnie obdarzyła od wielu lat. Jej oczy błędziły teraz po mojej twarzy. Stare, smutne i pełne skruchy oczy. Coś chwyciło mnie za gardło.

- Wszystko w porządku? - zapytał lakonicznie Michael, stając natychmiast u boku mojej matki, ale ja wciąż nie mogłam oderwać wzroku od jej twarzy.

- Tak, mój drogi. Musiałyśmy po prostu oczyścić atmosferę. Zawsze uważałam, że to najlepsze rozwiązanie.

Popatrzyłam na nią oszołomiona.

- Mamo? - szepnęłam. Matka uciszyła mnie gestem dłoni, dodając tylko na odchodne:

- Dobranoc, Erin. Dobranoc.

- Mamo! Nie możesz tak odejść. Zostań i porozmawiaj ze mną! - błagałam, ale zignorowała mnie zupełnie i wróciła z Michaeliem do sali balowej.

- Chcesz, żebym zadzwonił do Kelmana? - zapytał Paul.

- Kurwa! Nie wiem. Cholera! - warknęłam i popędziłam w stronę recepcji.

- Zaczekaj! - Paul podbiegł za mną i chwyciwszy mnie za ramię, obrócił twarzą do siebie. Nagle oślepił nas błysk flesza.

- Spieprzaj! - warknęliśmy oboje jednocześnie.

Fotograf odpowiedział nam przekleństwem i pstryknął jeszcze jedno zdjęcie, zanim w końcu poszedł.

- Chcesz, żebym zadzwonił do Kelmana? - powtórzył zwięźle Paul.

Rzuciłam zaniepokojone spojrzenie w stronę sali balowej.

- Nie wiem. Całkiem odebrało jej rozum!

- I komu ty to mówisz - mruknął Paul pod nosem.

- Najpierw znajdziemy Bronte, a potem zadzwonimy do Kelmana. I do sierżanta Marshalla - zdecydowałam i pospieszyłam w stronę baru.

Bronte odmówiła powrotu do domu i właściwie nie mogłam mieć do niej o to pretensji. Też wolałbym tu zostać, poflirtować sobie z facetami i zachowywać się tak, jakby wszystko było w porządku. Udawać, że wokół mnie wcale nie kłębi się ogromny wir kłamstw, półprawd i lęków.

Nie udało nam się skontaktować ani z sierżantem Marshalllem, ani z nadinspektorem Kelmanem, choć próbowaliśmy przez ponad godzinę, zostawiając im obu po kilka wiadomości. W końcu Paul zgodził się, żebyśmy poczekali z tym do rana. Uprzejmie odprowadziłam go do drzwi, ale jego wyjście wcale nie rozproszyło panującej w moim mieszkaniu atmosfery wzajemnych oskarżeń i pretensji, uporczywych niczym dym.

Nie miałam ochoty obudzić się tutaj następnego ranka. Wolałabym znaleźć się zupełnie gdzie indziej albo cofnąć się w

czasie do ostatniego piątku. Nie uderzyłabym Aleksa i mogłabym odebrać telefon od Lucy. Czy tylko te dwa błahe wydarzenia oddzielały mnie od koszmaru kłamstw i śmierci?

Bronte nie wróciła jeszcze do domu, nie mogłam więc włączyć alarmu. Miałam tylko nadzieję, że będzie się sprawować, jak należy.

Następnego dnia rano obudziła mnie Martha.

- Przepraszam, Erin, że dzwonię tak wcześnie, ale twoja matka prosiła, żeby Bronte wróciła jak najszybciej do domu. Wyjeżdżają zaraz na wieś, ja też mam dzisiaj coś do zrobienia, więc... hm, Bronte musi zająć się Maksem - wyjaśniła przeproszającym tonem.

- W porządku, Martho. Zaraz przekażę wiadomość jaśnie pani - ziewnęłam. Wygrzebałam się z pościeli, przeklinając jednocześnie w myślach swojego wściekłego kaca, i weszłam na górę. Miałam tylko nadzieję, że nie znajdę jakiegoś dużego włochatego faceta z Bronte w łóżku. Moja siostra miała mocny sen, więc nie byłam zaskoczona, kiedy nie zareagowała na pukanie.

- Bronte, wstawaj - powiedziałam, otwierając drzwi - musisz jechać po Maksa.

Łóżko wyglądało na nietknięte. Sprawdziłam jeszcze drugą sypialnię, a potem mamrocząc pod nosem przekleństwa, zesłam z powrotem na dół i zajrzałam do kuchni. Nie mogłam wykluczyć, że Bronte zapadła w pijacką drzemkę gdzie indziej, sprawdziłam więc jeszcze w łazienkach, ale nigdzie nie było żadnych śladów świadczących o tym, że w ogóle wróciła do domu.

Zakłęłam znowu. Przed oczami mignął mi obraz jej nieruchomego ciała, spoczywającego w szpitalnym łóżku. Jeśli znowu poszła do tego dealera narkotyków, to uduszę ją gołymi rękami. Wystukałam numer Douglasa i podtrzymując słuchawkę brodą, zabrałam się za przygotowywanie kawy. Telefon odebrała jego matka.

- Dzień dobry, pani Thomson. Mówi Erin Paterson. Mogę prosić Douglasa do telefonu?

- Douglas jest jeszcze w łóżku, kochanie.

Miałam ochotę zapytać, czy jest w nim sam, ale takie pytanie przyprawiłoby pewnie panią Thomson o palpitanie serca.

- A mogłaby go pani obudzić? To dość ważne.

- Oczywiście, kochanie - odparła słodko pani Thomson, a potem wrzasnęła, co sił w płucach: - DOUGLAS! TELEFON!

W rezultacie upuściłam szaszetkę świeżej kawy do zlewu.

- Cholera - mruknęłam.

- Słucham, kochanie?

- Nic, nic. Mówiłam do siebie.

- Pierwsza oznaka szaleństwa - zauważyła pani Thomson uprzejmie. - No, już jest Douglas - dodała i oddała słuchawkę synowi.

- Co się stało? - zapytał Douglas, ziewając szeroko.

- Hm, czy jest z tobą Bronte?

- Skąd - prychnął z oburzeniem Douglas.

- Kiedy ostatnio ją widziałeś?

- Wczoraj wieczorem.

- Tak, wiem - odparłam, przewracając oczami - ale o której dokładnie? Widziałeś, czy z kimś wyszła?

Słyszałam, jak Douglas drapie się w głowę. Zawsze rano jego rudawe włosy wyglądały strasznie i czasami dopiero w okolicach

południa udawało mu się trochę je opanować.

- Hm, wydaje mi się, że wyszła z przyjęcia gdzieś koło drugiej. Miała wziąć taksówkę. Była sama, ale nieźle wstawiona.

- Wybierała się do mnie?

- Naprawdę nie wiem. Myślę, że tak... Czy coś się stało?

- Bronte nie wróciła na noc, nie ma jej też u rodziców. Jeśli przyjdzie ci coś do głowy, Douglas, cokolwiek, proszę, zadzwoń do mnie.

Odłożyłam słuchawkę i popatrzyłam w zamyśleniu na telefon. Staralam się zachować spokój, choć czułam, jak gdzieś w głębi narasta we mnie panika.

Zadzwoiłam do rodziców. Odebrała matka.

- Nie odkładaj słuchawki! Bronte u mnie nie ma i nie wiem, gdzie spędziła noc - wyrzuciłam pospiesznie.

- Pewne została u któregoś z przyjaciół - odparła spokojnie matka.

- Możesz sprawdzić w domu, czy nie wróciła?

- Na miłość boską, Erin! Przecież wiedzielibyśmy, gdyby tu była.

- Mamo, proszę cię, sprawdź! - powiedziałam do głuchej słuchawki.

Cholerna jędza. Mogła ukrywać syna mordercę, ale żeby sprawdzić, gdzie podziewa się jej córka? Wolne żarty! Lodowaty podmuch zmroził moje ciało i niemal spodziewałam się ujrzeć otwarte szeroko drzwi na taras. Kiedy Leland nie mógł się do mnie dostać, to jaki był zawsze jego następny krok? W przeciągu pięciu minut wskoczyłam w ciuchy i zaczęłam się dobijać do mieszkania Paula. Otworzył ubrany tylko w szare bokserki od Calvina Kleina. Czułam ciepło bijące od jego ciała.

- Bronte zniknęła - powiedziałam i odwróciwszy wzrok szybko



przesunęłam się koło niego. Paul zamrugał kilka razy oczami zaskoczony, zanim się w końcu odezwał.

- Zniknęła? Dlaczego?

- Nie wiem. Nie wróciła tutaj ani nie pojechała do domu. Martwię się o nią.

- Chodź, napijemy się kawy - ziewnął i ruszył do kuchni. Zawahałam się. Patrząc na niego stwierdziłam, że naprawdę musiał dużo ćwiczyć.

- Hm, podać ci szlafrok? - zawołałam. Paul wyjrzał z powrotem z kuchni.

- Czujesz się przeze mnie niezręcznie? Wzruszyłam żałośnie ramionami.

- Nie mam szlafroka. Po prostu rzuć mi koszulę i dżinsy - mruknął.

Po wejściu do pokoju od razu zauważyłam rzucone na krzesło ubranie, ale zamiast je zabrać, podeszłam do łóżka. Ostrożnie dotknęłam miejsca, w którym odcisnął się ślad ciała Paula. Pościel była ciepła i sucha. On na pewno nie oblewa się nocą zimnym potem. Pogładziłam dłonią wgłębienie w poduszce. Kątem oka dostrzegłam foliowe opakowanie sześciu pastylek. Czterech brakowało.

- Tabletki nasenne - odezwał się za moimi plecami Paul. Podskoczyłam przerażona. Paul stał oparty o framugę drzwi w ten sam seksowny, niedbały sposób, co osiem dni temu.

- Przepraszam... To znaczy... Nie miałam zamiaru tu myskować... Ja tylko...

- A zajrzałaś też do szuflad? - jego głos ociekał sarkazmem.

- Nie! Naprawdę przepraszam. Po prostu weszłam do pokoju i... zauważyłam je...

- Kiedy akurat miałaś się zabrać za ścielenie mojego łóżka? -

dodał porozumiewawczo.

O, mój Boże! Paul mnie obserwował. Widział, jak gładzę jego pościel! Czy moim upokorzeniom nie ma końca?

- Hm... tak... - przytaknęłam bez przekonania. Czułam, że cała twarz mi płonie.

- Pomogę ci - uśmiechnął się szeroko.

Boże, pozwól mi umrzeć, pomyślałam, bo chyba spalę się ze wstydu. Paul złapał za kołdrę i podał mi jeden jej koniec. Potrząsnęliśmy nią zgodnie, a potem ułożyliśmy równo na materacu.

- Zdaje się, że poduszki już poprawiłaś, prawda?

- Prawda - wyjąkałam i wybiegłam z pokoju. Za plecami usłyszałam jeszcze jego śmiech.

Siedziałam w kuchni, nadal przeżywając swoje upokorzenie. Naprawdę muszę chyba pójść do psychiatry, seksuologa czy innego specjalisty, żeby jakoś zapanować nad swoją nerwicą. Inaczej zostanę pokręconą starą panną.

- OK. Uspokoiałaś się już trochę? - zapytał Paul, wkraczając do kuchni.

- Nie. Jeżeli to Leland... jeśli nie może dopaść mnie, to następna będzie Bronte. Mam straszne przeczucie. Nie potrafię ci tego wyjaśnić.

- Zanim zaczniemy wyciągać pochopne wnioski, może sprawdzimy najpierw miejsca, w których zwykle bywa Bronte.

- Matka ma spisane numery telefonów wszystkich jej przyjaciół.

- Będzie chciała w ogóle z nami rozmawiać po tym, co się wydarzyło wczoraj? - Paul natychmiast uchwycił istotę problemu.

- Nie. Rano próbowałam się z nią skontaktować, ale po prostu

odłożyła słuchawkę.

Paul popatrzył na mnie uważnie, zanim w końcu powiedział:

- Pora przypomnieć o sobie kilku osobom, które są mi winne przysługę. Zrób kawę, a ja zadzwonię w parę miejsc.

Słuchałam w milczeniu jego rozmów. Niektórzy z tych ludzi z całą pewnością byli policjantami, inni kapusiami. Paul nawet na chwilę nie stracił czujności, ani razu nie było słyhać w jego głosie niepokoju. Na pytania swoich rozmówców odpowiadał niezmiennie: „duży temat”.

Do południa nie udało się nam niczego dowiedzieć, a ja zdążyłam już wydeptać ścieżkę wokół stołu w kuchni.

- Odezwali się do ciebie Kelman albo Marshall? - zapytałam w końcu.

- Nie - westchnął Paul, dolewając nam kawy.

- A nie wydaje ci się to trochę dziwne? Przecież moja matka prawie przyznała, że Leland żyje.

- To rzeczywiście dziwne, ale są rzeczy, których ci nie powiedziałem na temat Kelmana i jego...

- Na przykład kradzież kluczy? - przerwałam mu.

- Skąd o tym wiesz?

- Prosta dedukcja. Kelman uważał, że jestem współniczką Lelanda i postanowił zadbać o to, żebym nie dowiedziała się z tych akt niczego, co mogłoby się przydać mojemu bratu. Założę się, że kazał ci usunąć z nich wszystkie informacje na temat podejrzanych.

- Tak.

- Co jeszcze chcieliście przede mną ukryć?

Jego twarz zachmurzyła się lekko.

- Paul? Co jeszcze?

- Sprawy osobiste - powiedział, nagle zrywając się na równe

nogi. - Za parę godzin mam relację dla wiadomości. Wszystkie telefony będą przełączane na moją komórkę. Poradzisz sobie sama?

- Chciałabym się tylko upewnić, że Bronte nic się nie stało - powiedziałam, również wstając. - Żałuję, że nie wyciągnęłam z niej nazwiska tego dealera. To byłby jakiś punkt zaczepienia.

- Nie przejmuj się, już się tym zająłem.

- Wiesz, kto to jest?

- Nie, ale znam ludzi z tego środowiska. Sprawdzą to dla mnie.

- Dziękuję, Paul - przystanęłam jeszcze w drzwiach. - Za wszystko.

Wróciłam do siebie, po cichu licząc jednak na to, że zastanę Bronte rozciągniętą na kanapie przed telewizorem i narzekającą na straszego kaca, ale w mieszkaniu panowała głucha cisza.

*Gdzie jesteś, Bronte?*, powtarzałam w myślach bez końca.

Sprawdziłam wiadomości na automatycznej sekretarce, ale tylko Marshall odpowiedział na moje telefony. Byłam wściekła, że akurat nie było mnie w domu. Sierżant tłumaczył się, że wyjechał na weekend „na północ”, a jego komórka czasami nie łąapie zasięgu. Nie wiedziałam, co o tym wszystkim myśleć. Podajemy Kelmanowi Lelanda na tacy, a pan nadinspektor zaczyna nas unikać. Dlaczego?

Zadzwoiłam jeszcze raz do Douglasa, ale nie dowiedziałam się niczego nowego. Czułam się bezradna i kompletnie do niczego. Bronte zniknęła, a ja mogę tylko chodzić z kąta w kąt i wydzwaniać ciągle do tych samych ludzi. A tak strasznie chciałam działać - przeczesywać ulice, zaglądać do barów, nawoływać Bronte po imieniu.

Wystukałam numer do domu rodziców, ale zgłosiła się tylko automatyczna sekretarka. Może jednak Bronte wróciła do domu.

W końcu Martha nie zadzwoniła do mnie ponownie w sprawie Maksa. Trzymałam się kurczowo tej złudnej nadziei przez jakieś dwie minuty. Kiedy zadzwonił telefon, chwyciłam słuchawkę od razu po pierwszym sygnale.

- Słucham!

- *Srocza kaszkę warzyła. Temu dała na miseczce, temu dała na łyżeczce...*

- Leland! Ty popieprzony sukinsynu! Co zrobiłeś Bronte? - krzyknęłam.

- *Temu nic nie dała, a temu łeb urwała! To musiało boleć.*

- Zostaw ją w spokoju, ty skurwielu! Gdzie teraz jesteś? Daj Bronte do telefonu!

W słuchawce usłyszałam tylko buczenie. Rozłączył się.

Natychmiast wybrałam 1471, ale dowiedziałam się tylko, że „dzwoniono z zastrzeżonego numeru”.

Boże święty! Gdzie oni są?

Zadzwoniłam na komórkę Paula i nagrałam na pocztce głosowej chyba kompletnie niezrozumiałą wiadomość. Potem próbowałam się jeszcze skontaktować z sierżantem Marshalllem i nadinspektorem Kelmanem, ale znowu musiałam się zadowolić zostawieniem wiadomości. Teraz mogłam pójść już tylko w jedno miejsce.

- Moja siostra została porwana przez seryjnego mordercę, który jest naszym bratem, ale do tej pory był uważany za zmarłego - oświadczyłam spokojnie.

Sierżant dyżurny ciężko westchnął.

- Proszę usiąść.

- Ale ja muszę z kimś porozmawiać. Moja siostra jest w niebezpieczeństwie!

- Proszę usiąść, za chwilę ktoś się panią zajmie - powiedział,

przeciągając lekko samogłoski.

- Nadinspektor Kelman z Lothian and Borders Police zajmował się sprawami morderstw Lucy Grant i Abigail Dawes. On może potwierdzić, że nie zmyślam!

Policjant popatrzył na mnie obojętnym wzrokiem.

- Proszę usiąść.

- Chryste! - wrzasnęłam. - Niech pan to sobie zapisze! Bronte Paterson została porwana przez Lelanda Patersona! Być może już nie żyje! Czy ktoś mógłby się tym zająć?

- Nie ma takiej potrzeby, proszę pani - warknął. Nabazgrałam szybko kilka numerów telefonów i nazwisk na kartce i popchnęłam świstek w jego stronę.

- Moja siostra nazywa się Bronte Paterson. Została porwana przez naszego brata, Lelanda Patersona. Niech pan przekaże tę informację komu trzeba jak najszybciej - odwróciłam się na pięcie i wyszłam.

Ci cholerni policjanci.

Omam nie wybuchnęłam śmiechem, uświadomiwszy sobie własną głupotę. Przecież jestem śledzona. Chyba ci, którzy za mną chodzą, będą mi w stanie pomóc?

Stałam u szczytu prowadzących do komisariatu schodów i zaczęłam się rozglądać po policyjnym parkingu w poszukiwaniu odpowiedniego kandydata, ale nie zauważyłam nikogo, kto by pasował mi do tej roli. Nigdzie nie było samochodu z silnikiem pracującym na wolnych obrotach. Czyżby inwigilacja została odwołana? I to właśnie teraz, kiedy najbardziej jej potrzebowałam. Nerwy miałam w strzępach. Skóra ścierpła mi ze strachu, a ręce drżały, kiedy nieporadnie próbowałam włożyć kluczyk do stacyjki i zapalić silnik. Gdzie jest Leland? Dokąd mógłby pójść? Nie miałam najmniejszego pojęcia. I gdzie

ukrywał się przez te wszystkie lata? Matka na pewno to wiedziała, ale teraz była już pewnie w drodze do Crail. Niech cię szlag, pomyślałam. Niech cię szlag. Ciągle prześladowała mnie szydercza rymowanka Lelanda.

*- Temu dała na miseczce, temu dała na łyżeczce...*

Ruszyłam spod komisariatu z piskiem opon, do wtóru klaksonów innych aut. Pędziłam jak szalona na długich światłach w stronę South Side, ciągle zmieniając pasy z nadzieją, że jakiś policyjny radiowóz ruszy za mną w pościg. Oczywiście, nikt się mną nie zainteresował. Kiedy skręciłam w ślepą uliczkę, przy której stał dom rodziców, uświadomiłam sobie, że powiadomienie Lelanda o moim przybyciu nie jest chyba najmądrzejszym pomysłem, więc zawróciłam i zaparkowałam za rogiem. Dwa razy upuściłam klucze, zanim w końcu zdołałam zamknąć samochód. Ze strachu zawsze robiłam się niezdarna, nie potrafiłam uspokoić oddechu i wpadałam w panikę. Trzymając się w pobliżu żywopłotów, przemknęłam alejką w stronę bramy. Z niepokojem popatrzyłam w okna, wypatrując śladów czyjejś obecności, ale dom pozostawał ciemny w mroku zapadającej nocy. Pomarańczowe lampy uliczne brzęczały i mrgały w stronę zapalających się na niebie gwiazd.

Najbardziej oczywistą drogą wydawały się drzwi prowadzące z piwnicy do ogrodu, ale widziałam zbyt wiele filmów, by nie zdawać sobie sprawy, że to zwykła głupota. Jediną możliwością dostania się do środka było więc tylne wejście.

Nie chcąc narobić hałasu na zwirowej ścieżce, przekradłam się przez kwiatowy gazon. Potem przemknęłam zatoczką samochodową w stronę schodów prowadzących do tylnych drzwi. Oparłam się plecami o wilgotny piaskowiec, próbując uspokoić oddech, i pomacałam kieszenie w poszukiwaniu kluczy.

Ten szmer zdawał się odbijać echem po całej ulicy. Nawet ptaki zamilkły.

Trzęsącymi się rękami włożyłam klucz do zamka. Zasuwka odsunęła się i drzwi uchyliły się na jakiś centymetr. Psy nie wybiegły mi na powitanie.

Wśliznęłam się do środka i oparłam się o drzwi, zanim w końcu dotarło do mnie, co tak naprawdę zamierzam zrobić. Przełknęłam ślinę, nasłuchując uważnie jakichś odgłosów, ale nie słyszałam nic poza przyspieszonym biciem własnego serca.

Nie musiałam nawet zapalać światła - znałam ten dom jak własną kieszeń. Ostrożnie ruszyłam korytarzem w stronę kuchni. Drzwi były otwarte. Rzuciłam okiem do środka. Kuchenka Aga rozsiewała jeszcze ciepło po pustym pomieszczeniu. Weszłam do środka i nacisnęłam w telefonie ponowne wybieranie numeru. Oczekałam sześć sygnałów, żeby w końcu usłyszeć, jak zgłasza się moja własna automatyczna sekretarka.

Leland był tutaj! Uczucie niewiele wartego triumfu szybko ustąpiło miejsca obezwładniającemu przerażeniu. Cicho zamknęłam drzwi i przykucnęłam na podłodze. Wybrałam numer 999 i poprosiłam szeptem operatora o połączenie z policją.

- W moim domu jest jakiś mężczyzna. Ma nóż - szepnęłam.
- Gdzie pani jest? Podałam adres.
- Gdzie znajduje się teraz ten mężczyzna?
- Nie wiem. Gdzieś w domu!
- Widziała go pani? Widziała pani broń?
- Nie... Po prostu wiem, że on tutaj jest!
- W porządku... cóż, proszę pozostać na miejscu, za chwilę kogoś przyślemy.

Pozostać na miejscu? Chyba żartują. Zrobiłam już swoje, a



teraz zaczekam na zewnątrz, dopóki się nie zjawią. Nagle usłyszałam kroki gdzieś w domu i serce mi zamarło.

- Proszę pani...?

Ostrożnie odłożyłam słuchawkę i odsunęłam się jak najdalej od drzwi. Znowu miałam dziesięć lat i szukałam w ciemnościach jakiejś kryjówki. Leland się zbliża. Przeczłołam się po kamiennej podłodze. Leland się zbliża. Chciało mi się siusiu. Musiałam znaleźć jakąś kryjówkę. Czmychnęłam niczym zwierzę w najdalszy kąt. Leland się zbliża. Zaczęłam macać meble w poszukiwaniu szafki wystarczająco dużej, żebym mogła się w niej skulić. Leland się zbliża. Trzeba się pospieszyć. Czułam jak pod powiekami zbierają mi się łzy. Muszę być cicho. Nie ruszać się. Cicho, Erin, cicho. Nie ruszaj się. Gorączkowo przeszukiwałam szafki trzęsącymi się dłońmi. Czułam się tak, jakby stalowe obręcze opasały moją klatkę piersiową, miażdżąc mi płuca. Leland się zbliża.

Pod stół!

Wśliznęłam się pod kuchenny stół. Ale nadal będzie mnie widać! Dosunęłam bliżej dwa krzesła. Nagle oślepiło mnie światło. Zamrugałam oczami kilka razy i podciągnęłam kolana pod brodę. Zobaczyłam parę nóg, okrążających stół.

- Mamo?

Matka krzyknęła przestraszona, kiedy wysunęłam głowę spomiędzy krzeseł.

- Erin! Co ty u licha wyprawiasz?

- Gdzie jest Bronte? - zapytałam, podnosząc się z podłogi.

- Na pewno nie ma jej pod stołem - parsknęła z oburzeniem.

- Na miłość boską, gdzie ona jest?

- Odwiozła ojca i Maksa do domku na wsi. Dlaczego tak nagle zaczęłaś się nią interesować?

- Dzwoniłaś do mnie?

Matka uniosła brew. Głupie pytanie.

- Dzwoniłaś stąd do mnie wcześniej? - uściśliłam.

- Nie ja. Martha.

- Szlag by to trafił! - wrzasnęłam. A potem usłyszałam policyjne syreny.

Spojrzenie, jakie rzuciła mi matka, mogłoby zabić największego bawołu. Próbowałam wyjaśnić wszystko dwóm funkcjonariuszom, którzy się zjawili, ale dzięki wydatnej pomocy matki, przewracającej oczami przy każdym moim stwierdzeniu, najwyraźniej uznali mnie za wariatkę.

- Czy to pani zgłosiła wcześniej zaginięcie Bronte Paterson na posterunku przy Pitt Street? - starszy z policjantów zerknął do notatnika.

- Tak.

- Ale pani matka potwierdziła z całą stanowczością, że nic nie zagraża bezpieczeństwu pani siostry?

- Hm, tak, ale składając to doniesienie byłam przekonana, że moja siostra została uprowadzona...

- A więc nie ma tutaj żadnego mężczyzny z nożem?

- Nie.

- A gdzie jest teraz pani brat, panno Paterson?

- Nie wiem! Ukrywa się gdzieś. Jej o to zapytajcie!

- Erin, twój brat nie żyje - powiedziała matka, kładąc delikatnie dłoń na moim ramieniu.

Policjant popatrzył na nią ze zdumieniem.

- Co ma pani na myśli?

- Brat Erin utonął ponad dziesięć lat temu. Erin do tej pory nie potrafi się z tym... pogodzić.

- Ale Leland wcale nie umarł! Zapytajcie nadinspektora

Kelmana z Lothian and Borders Police. On to potwierdzi.

Funkcjonariusz zmarszczył brwi.

- Nadinspektor Kelman został zawieszony w czynnościach, proszę pani.

- Za co, do diabła?

- Nie jestem upoważniony do udzielania takich informacji - westchnął i wstał z krzesła. Drugi policjant poszedł w jego ślady.

- Już idziecie? Nie macie zamiaru nic z tym zrobić?

- Proszę pani, wydaje mi się, że potrzebuje pani pomocy. Niepotrzebnie wzywała pani policję, ale biorąc pod uwagę okoliczności, po prostu damy spokój całej sprawie.

Słyszałam jeszcze, jak matka szepcze do policjantów: „moja córka żyje teraz w ogromnym stresie”, odprowadzając ich do drzwi.

Nie ma najmniejszej wątpliwości, że zawałam całą sprawę.

- Co ty u licha wyprawiasz? - wrzasnęła matka, kiedy tylko policjanci zniknęli z pola widzenia.

- Próbuję wykurzyć Lelanda z kryjówki, zanim on dopadnie mnie albo Bronte!

- Nie bądź śmieszna!

- Mamo, powiedziałaś mu o Lucy Grant i zaraz potem Lucy została zamordowana!

- Leland nie żyje.

- Ale na balu powiedziałaś... - zaplątałam się kompletnie. Co właściwie powiedziała wtedy matka? Tak naprawdę to nic. - Co się tu kurwa wyprawia? - warknęłam.

- Erin Georgino Paterson! Jak ty się wyrażasz!

- Czy ty jesteś psychicznie chora? - chwyciłam się za głowę.

- Zdaje się, że to raczej ty cierpisz na tę przypadłość - matka rzuciła mi pełne wyższości spojrzenie.

- Wracam do domu - powiedzialem znużonym głosem.

- Dobrze, kochanie. Wyniesiesz przy okazji śmieci? Posłusznie ruszyłam do kuchni, wyciągnęłam worek z kosza i wyrzuciłam go do kontenera na zewnątrz. Czy obłęd to przypadłość rodzinna? Nie mogłam uwierzyć w to, co mi się przytrafiło. Policjanci myślą teraz, że mam nie po kolei w głowie. A jeśli to prawda? Może odezwał się we mnie ten uszkodzony gen, który zdawał się tak rozpowszechniony w naszej rodzinie?

Byłam w połowie drogi do samochodu, kiedy uświadomiłam sobie, że kluczyki zostawiłam na stole w kuchni. No tak, na domiar złego jeszcze przedwcześnie demencja starcza.

Tym razem weszłam do domu drzwiami frontowymi. Ruszyłam korytarzem w stronę kuchni, kiedy nagle usłyszałam głos matki.

- Już ci mówiłam, że to się musi wreszcie skończyć. Dla dobra nas wszystkich!

Cisza.

Zawahałam się. Czyżby matka rozmawiała przez telefon?

- I nie patrz tak na mnie. Jeśli naprawdę jest tak, jak mówisz, to musimy jakoś wyjaśnić tę całą sprawę! Inaczej będzie coraz gorzej.

Nietrudno było się domyślić, kto jest teraz z matką. Nogi miałam jak z waty, więc oparłam się o ścianę, żeby nie upaść. Potem zaczęłam powoli wycofywać się w stronę wyjścia, ale przez nieuwagę przewróciłam kwietnik. Ceramiczna doniczka roztrzaskała się na podłodze. Jak na zwolnionym filmie popatrzyłam na szczątki rośliny, a potem z powrotem na drzwi prowadzące do kuchni. Usłyszałam szurnięcie odsuwanej krzesła.

Rzuciłam się do ucieczki i natychmiast upadłam, potykając się

o przewrócony kwietnik. Zalał mnie strumień światła padającego z kuchni, ale nawet nie spojrzałam do tyłu. Poderwałam się błyskawicznie i dopadłam znajdujących się po mojej lewej stronie drzwi do piwnicy. Otworzyłam je na oścież w chwili, kiedy Leland znalazł się tuż za mną. Poczułam jego dłoń na swoich plecach, pomiędzy łopatkami. Zrobiłam krok do przodu i nagle straciłam równowagę. Usłyszałam trzask łamanej kości, zanim jeszcze poczułam w nodze ból. Chciałam krzyknąć, ale nie mogłam złapać tchu. Leżałam w niewygodnej pozycji u dołu schodów, próbując przezwyciężyć szok. Wciągałam duże hausty powietrza i wydychałam je powoli. Miałam wrażenie, że za chwilę zemdleję. Drzwi u szczytu schodów zamknęły się, a ja poczułam zalewającą mnie falę przerażenia. Tylko jedna rzecz oddzielała mnie teraz od Lelanda - ciemność. Zaczęłam się powoli przesuwając w stronę drzwi do ogrodu, ciągnąc ciało po brudnej podłodze. Z góry dobiegały głosy, wyteżyłam więc słuch, próbując zrozumieć, o czym mówią, ale w uszach słyszałam tylko pulsowanie własnej krwi.

Natrafiłam ręką na gwóźdź i aż skrzywiłam się z bólu, nadal jednak posuwałam się mozolnie po podłodze, aż w końcu dotarłam do drzwi. Szarpnęłam za klamkę, ale okazało się, że są zamknięte na klucz. Sama przecież zadbałam o to tamtego pamiętnego wieczora. Spoconymi, trzęsącymi się rękami zaczęłam macać podłogę i parapet w poszukiwaniu klucza.

W słabym świetle padającym z okna spojrzałam na swoją lewą nogę. Ostrożnie przesunęłam po niej dłonią i wyczułam pod palcami okropne wgłębienie w kości udowej tuż nad kolanem. Złamanie nadkłykciowe. Podudzie i kolano wystawały pod przerażającym kątem trzydziestu stopni.

Wiedziałam, że najprawdopodobniej została uszkodzona

tętnica. Miałam jeszcze jakieś dwadzieścia minut, zanim poczuje naprawdę przenikliwy ból i doznam wstrząsu pourazowego. Wolałabym nie znać się tak dobrze na tych medycznych sprawach. Oczekiwanie agonii nie różniło się wiele od strachu, który wzbudzał we mnie Leland.

Nagle zamieszanie na górze odwróciło moją uwagę od złamanej nogi. Słysząc ciężkie kroki, a potem coś rozbiło się o podłogę. Co oni wyprawiają? Biją się?

Byłam teraz łatwym celem.

Ciągnąc za sobą powykręcaną nogę, poczołgałam się z trudem w stronę szafy na narzędzia. Wsuwając się tyłem do pomieszczenia, nadziałam się na sekator do przycinania żywopłotów. Ząbkowane ostrze zahaczyło o moje ubranie i rozcięło skórę. Chciałam znaleźć jakieś miejsce pod półką, w swojej dawnej kryjówce, ale moje ręce nadaremnie błądziły w ciemności, kiedy ostrożnie dotykałam rozmaitych ostrych narzędzi ogrodniczych. Drzwi do piwnicy znowu trzasnęły. Na schodach rozległy się kroki.

Wstrzymałam oddech, nasłuchując uważnie.

Cisza.

On też nasłuchiwał.

Znowu było jak w czasach dzieciństwa.

Zabawa w kotka i myszkę. W ciepło-zimno. W chowanego. Fee, fie, foe, fum.

Tyle że ja nigdy go nie szukałam.

Moje płuca domagały się powietrza. Omal nie krzyknęłam, kiedy Leland zaklął pod nosem. Na pewno usłyszałyby, gdybym teraz głośniej odetchnęła. Potem dobiegł mnie odgłos jego kroków, gdy szurając nogami po podłodze, zaczął zaglądać do kolejnych pomieszczeń.

Co się dzieje z matką? Dlaczego tu nie zeszła? Potrzebuję cię, mamó, pomyślałam. Potrzebuję cię. Gdzie jesteś? Pomóż mi. Czulałam piekący ból w nodze, palący, przeszywający jak rozpalony pręt żelaza, wywołujący fale mdłości ból. Usłyszałam głuchy odgłos. Lęk ścisnął mnie za gardło. Czy to znowu trzaśnięcie drzwi? Co on robi? Poczulałam strugę ciepła rozlewającą się pode mną. Krew wypływająca z rany. Nagle ujrzałam przed sobą rozradowaną twarz Lelanda, wpatrującą się we mnie obłąkanymi oczami i szarpnęłam głową do tyłu, żeby odepchnąć od siebie ten obraz. To nie była krew. Po prostu zsikałam się pod siebie. Zaczynam odczuwać objawy wstrząsu. Tylko dlaczego tak szybko? Wygłodzenie i strach...

Ten strach ścisnął mi serce. Muszę się stąd wydostać, zanim spadnie poziom adrenaliny we krwi. Próbowalałam zmienić położenie ciała, ale z powodu skurczu i zeszywnienia mięśni nawet najmniejszy ruch okazał się niemożliwy. Zauważyłam błysk słabego światła latarki i poczułam, jak drętwieją mi wargi i język. Chciałam się skulić, ukryć, ale nie mogłam się ruszyć. Odór moczu stawał się nieznośny. Leland wyczuje mnie węchem, jak ten olbrzym z bajki. *Fee, fie, foe, fum... Czuję zapach...*

Oślepiło mnie światło. Odwróciłam głowę.

- Erin? - usłyszałam szept. Rozpoznałam ten głos.

- Kelman?

- Gdzie on jest? - zapytał nadinspektor niemal bezgłośnie, przykucając na wprost mnie.

- Gdzieś tu na dole...

- Jesteś ranna?

- Złamałam nogę...

- OK. Zaraz sprowadzę pomoc - mruknął i wstał.

- Nie zostawiaj mnie! - wydusiłam, próbując chwycić go za

rękę.

- Ciii.! - syknął Kelman. - Muszę iść po pomoc. Zostań tutaj!

A gdzie do diabła mogłam jego zdaniem pójść?

Nasłuchiwałam, jak Kelman skrada się w stronę schodów. Oczywiście, musiał zdradzić moją kryjówkę. Zupełnie jak Bronte! Nie chciałam się już dłużej bawić. Chciałam wrócić na górę. Tam gdzie jest jasno. W piwnicy są pająki i skorki.

I Leland.

Nigdy nie uda mi się przeczołgać do wyjścia. Znowu zaczęłam macać wokół siebie i nagle wydało mi się, że wyczuwam pod palcami niewielką szczelinę. Wcisnęłam się jeszcze głębiej w kąt. Noga nie bolała mnie już tak bardzo, ale zrobiło mi się zimno. Strasznie zimno. Otworzyłam gwałtownie oczy. To skutki szoku. Musiałam przysnąć na chwilę. Ile to trwało? Minutę? Kilka sekund? Wokół panowała dziwna cisza.

Może wszyscy poszli do domu. Znudziła się im zabawa i sobie poszli. A ja będę mogła w końcu wyjść ze swojej kryjówki i wrócić na górę do swojego łóżka. Ciepłego łóżeczka.

Powieki zaczynały mi się kleić. Nie wolno mi zasnąć.

Co to za zapach? Słodki i znajomy.

Zobaczyłam przebłyski światła wdzierające się w panujący wokół mrok. Otworzyłam usta, ale z gardła nie wydobył mi się żaden dźwięk. Czyżbym nadal śniła? Może to jeden z tych koszmarów, w których nie można uciec ani krzyknąć, niezależnie od tego, jak bardzo próbujemy? W głowie kołatała mi się już tylko jedna myśl. Błagam, niech mi ktoś pomoże!

- Lelandzie Paterson, aresztuję cię za...

Usłyszałam stłumiony odgłos uderzenia i czyjś jęk, bolesny przeciągły jęk, a potem głuchy łomot ciała upadającego na podłogę.



Czy on wymienił imię Lelanda?

Skórę miałam wilgotną, na czole i wardze zebrały mi się krople zimnego potu. Kto tam jest, kto skrada się wokół mnie w tych ciemnościach? Wyteżyłam pamięć. Dlaczego jestem tutaj na dole?

Wcisnęłam się głębiej w kąt i poczułam jak coś wbija mi się w plecy. Sięgnęłam ręką do tyłu. Pod palcami poczułam coś ciepłego i wilgotnego. Dotknęłam dłonią do warg. Krew. Musiałam się na coś nadziać. Dlaczego tego nie czułam? Wstrząs. Tak... tak... wstrząs... złamana noga. Która? Chyba ta. Ta, która jest wykręcona i zimna.

- Co ty zrobiłeś? - wrzasnęła matka. - Musisz stąd iść. Natychmiast!

- Nie, chcę się zobaczyć z Erin! - warknął.

Zobaczyć się ze mną? Ha! Chyba raczej mnie torturować. Ale najpierw będzie mnie musiał znaleźć. Nigdy nie zgadnie, gdzie jest moja kryjówka. Na, na, na, na, na...

Jakiś cień pojawił się przede mną. Tym razem z ust wyrwał mi się okrzyk.

- Tutaj jesteś! Szukałem cię.

Nie widziałam rysów jego twarzy, tylko zarys czarnej sylwetki wyłaniającej się z ciemności. Szatan. Słyszałam, jak szepcze coś do siebie. Jego głos wydawał się dziwny, jakiś inny. To chyba obcy akcent? Próbowałam skulić się jeszcze bardziej, mocno przyciskając do piersi zdrową nogę, ale Leland i tak przykucnął tuż koło tej drugiej, złamanej. Patrzyłam, jak wyciąga rękę i dotyka mojej kostki, ale nic nie poczułam.

- Co ci się stało? - zapytał szeptem.

Ze strachu nie mogłam wydusić nawet słowa. Czy to naprawdę Leland? A może to tylko groteskowy sen?

- Mowę ci odjęło, kotku? Zrobiło mi się niedobrze.

- A pamiętasz tego kota, Puszkina? Bo tak go nazwałyście, prawda?

- Zabiłeś go... - szepnęłam i poczułam łzę spływającą mi po policzku. Czyja płaczę? Nawet tego nie zauważyłam. To nie był zapach Lelanda.

- To był bardzo niegrzeczny kotek...

- Zostaw mnie w spokoju... - syknęłam. *Mamusiu, pomóż mi! Leland jest tutaj! On robi mi krzywdę. Zaraz mnie dotknie. Mamo! Pomóż mi!*

- To nie było miłe z twojej strony. Jechałem taki kawał drogi specjalnie dla ciebie, a ty tak mnie... - nagle przewrócił się do przodu, prosto na mnie. Krzyknęłam. Jego czoło uderzyło mnie mocno w zęby. Czułam smak krwi spływającej z rozciętej wargi. Ramię Lelanda opadło mi na pierś, jego twarz znalazła się w okolicach mojego obojczyka. Poczułam na skórze nacisk jego zębów. Co on wyprawia? Chce mnie ugryźć?

- Złaż ze mnie! Złaż! - wrzeszczałam, odpychając jego ciężkie ciało.

Nagle ktoś go ode mnie odciągnął.

Kelman pochylił się do przodu, odrzucając łopatę, której użył do ogłuszenia Lelanda.

- Musimy się stąd wydostać - powiedział.

- Nie dam rady iść.

- Pomogę ci. Daj rękę.

- Gdzie moja matka? Była tu. Słyszałam jej głos.

- Nie wiem! Musimy stąd wyjść. Natychmiast!

- Nie mogę! Nadziałam się na coś!

- Jezu! Zaraz się tym zajmę. Spokojnie - Kelman przyklęknął i zaczął wyciągać spod półki nagromadzone przez lata rupiecie.

- Pomoc jest w drodze? - zapytałam, ale Kelman nie odpowiedział. Osunął się jakoś do przodu, upadając na mnie. Rozłoszczona próbowałam go odepchnąć, ale wydał z siebie tylko jakiś dziwny bulgoczący dźwięk.

Na chwilę dałam mu spokój. Był ciężki, ale ciepły. Niezbyt mi się to podobało, ale to i tak lepiej, niż gdyby miał na mnie leżeć Leland. Ostrożnie położyłam dłoń na plecach Kelmana i poklepałam go pocieszająco. Na dworze musiał chyba padać deszcz, bo jego marynarka była całkiem mokra. Czekałam całe wieki, aż Kelman wreszcie wstanie, ale on leżał tak po prostu z głową na moim ramieniu, ciężko oddychając. Zapanowała upiorna cisza.

- Nadinspektorze Kelman? - szepnęłam. - Możemy już iść? Nic.

- Kelman, obudź się!

- Erin? - usłyszałam przyciszony głos.

- Mama?

- Gdzie jesteś? - zapytała szeptem.

- W szafie na narzędzia.

- Nie widzę cię...

Co to za zapach? Przypominał mi coś. Zupełnie tak samo pachnie w moim jeepie, kiedy tankuję do niego benzynę. Przed oczami mignął mi obraz mojego zwęglonego przez płomień szkieletu.

- Mamo? Pomóż mi... Nie mogę stąd wyjść.

- Spróbuj się wyczołgać - szepnęła.

- Naprawdę nie mogę się ruszyć. Mamo, sprowadź pomoc. Zadzwoń na policję...

- Cii. Już sobie poszedł - jej głos drżał. - Spróbuj się czołgać. Nie wiedziałam, że się przewróciłaś...

- Mamo, posłuchaj mnie uważnie! Musisz sprowadzić pomoc.

Idź po pomoc - ból przetoczył się po mnie falą, a kiedy ustąpił, nagle poczułam się strasznie słaba i oszołomiona. W uszach mi szumiało.

- Nie mogę. Musisz być dzielna i wyczołgać się, jak ta mała dziewczynka, pamiętasz? Jak ona miała na imię? Jessica? Właśnie tak, Jessica. Utknęła gdzieś w studziencie. Widziałam to w telewizji. Była od ciebie znacznie młodsza, a jakoś udało się jej wydostać. Musisz spróbować. Postaraj się wyczołgać...

Oczy zaszyły mi łzami, kiedy tak słuchałam swojej matki, namawiającej mnie do działania tonem, którego nie słyszałam u niej od lat. Kilka razy trąciłam nadinspektora Kelmana, ale nawet nie drgnął.

- Mamo? Jesteś tam jeszcze? Mamo? Mamo? Mamo, pomóż mi - szeptałam, ale smutek dławził mnie w gardle.

Zamknęłam oczy i zaczęłam się modlić o przebaczenie za to, że nie uchroniłam Bronte wiele lat temu i nie powstrzymałam Lelanda, zanim zrobiło się za późno. Modliłam się za matkę, ojca i wszystkie te młode kobiety. A potem usłyszałam jej śpiew.

- *...Ach śpij, kochanie, jeśli gwiazdkę z nieba chcesz, dostaniesz. Czego pragniesz, daj mi znać, ja ci wszystko mogę dać...*

Popatrzyłam przez zmrużone powieki na Kelmana, który zdecydowanie wyglądał na pogrążonego we śnie. Kto by pomyślał! Nadinspektor śpiący sobie w najlepsze na mnie. Prasa miałaby używanie.

Nagle poczułam falę mdłości. Chciałam, żeby ten śpiew już ustał.

- *...właśnie, księżyc ziewa i za chwilę zaśnie. A gdy rano przyjdzie świt, księżycowi będzie wstyd, że on zasnął, a nie ty...*

- Mamo? To ty tak śpiewasz? - zapytałam.

- *...Ach śpij, bo nocą, kiedy gwiazdy się na niebie złocą...*

- Mamo! Przestań śpiewać i sprowadź pomoc.

Chyba kompletnie jej odbiło. Żeby w takim momencie śpiewać kołysankę?

Odetchnęłam głęboko i wychrypiałam:

- Przestań śpiewać i sprowadź pomoc.

- Erin? To ty? Wszystko w porządku?

A myślała, że kto tu do cholery jest?

- Nie. Złamałam nogę. Sprowadź wreszcie tę cholerną pomoc!

- Nie mogę... nie mogę tego zrobić...

- Mamo, PROSZĘ! Wytłumaczę wszystko policji. Nie martw się.

Po prostu idź po pomoc. Mamo, proszę cię. Błagam.

- Nie mogę, Erin... Nie mogę...

- Mamo, coś ci się stało? Jesteś ranna?

- Nie. Tak. On mnie uderzył.

- Aha - oddychałam głęboko, starając się zachować przytomność umysłu. - Gdzie cię uderzył? Możesz chodzić?

- On mnie uderzył, Erin... Przepraszam, córeczko. Tak strasznie mi przykro - jęknęła żałośnie.

- W porządku, mamo. To nie twoja wina. Możesz chodzić? Matka rozplakała się.

Zacząłam modlić się o siłę. Powietrze było gęste od oparów benzyny, a ja byłam bardziej wyczerpana i ciągle miałam mdłości. Spojrzałam z ukosa na łysiejącą głowę Kelmana.

- Mamo, posłuchaj mnie. Musisz sprowadzić pomoc. Proszę. Ja tu umieram. Nadziałam się na coś...

Czy ona ma zamiar zostawić mnie tutaj na pewną śmierć? *Nie zostawiaj mnie, mamo! Nie zostawiaj mnie!* Usłyszałam jakieś głosy. Czy to anioły? Nie. To były niskie, męskie, ponaglające głosy.

- Pomocy - zawołałam bezgłośnie - pomocy. Ona zaraz sobie pójdzie.

Słyszałam kroki i fragmenty rozmów.

- ...Wszędzie benzyna... nie wchodź tu z tym... Cholera, ten dom może lada moment wylecieć w powietrze... Jezu!... Uda się wyłączyć ten bojler?... Kto nas wzywał?... Nie byli tutaj już wcześniej?... Coś o facecie z nożem?... Ta, jakaś świrnięta prawniczka...

Zastanawiałam się, czy to prawniczka, którą znam.

- Tutaj, szybko!... mamy ranną... niech ktoś się nią zajmie... Nie! Wynieście ją na zewnątrz... jeszcze tlenu nam tu trzeba!... Uważajcie na tę krew...

*Pomocy. Pomocy.*

Snop światła omiółł podłogę tuż obok nóg Kelmana.

- ...Nie waż się tego włączać! Wszystko może zaraz wylecieć w powietrze... wyłączcie to pieprzone radio... Kto to?... Co on tutaj robi?... A, racja...

- ...Sąsiad zgłosił włamanie?... po tym, jak dzwoniła ta szurnięta facetka... Ta, cholerny fart, że przyjechaliśmy...

- Co to kurwa jest? Kto jest tam na dole?

Obudziłam się nagle, oślepiona światłem. Gdzie ja jestem? Co robi tutaj nadinspektor Kelman? Dlaczego leży na mnie?

- Pomocy... - poruszyłam bezgłośnie wargami.

- Już w porządku, proszę pani, zaraz panią stąd wyciągniemy - powiedział mężczyzna, przykucając koło mnie.

- Nadziałam się - poruszyłam wargami.

- Co takiego? Co pani powiedziała? - mężczyzna przysunął ucho do moich ust. Czulałam, jak ktoś zdejmuje ze mnie ciało Kelmana.

- Nadziałam się na coś...

Jak przez mgłę słyszałam wydawane półgłosem komendy i hałas przesuwanych po podłodze przedmiotów.

- Przynieście sprzęt do rozcinania! I tlen... Gównu mnie obchodzi, co mówiłem wcześniej! Tracimy ją... Co masz?... Ile jednostek? Dawaj wszystkich...

Zanurzyłam się w krzepiący sen.

- Jak masz na imię, skarbie? Za sekundkę cię stąd wyciągniemy. W porządku? OK? Proszę pani? Proszę pani?

Zignorowałam go.

- Jak masz na imię? Odezwij się do mnie. Zostań ze mną...

Idź sobie. Chce mi się spać.

- ...Erin?... Ma na imię Erin?... Dobra...

- Erin! Erin. Pamiętasz, jak długo tu jesteś?

- Złamałam... noga... - wymamrotałam.

- Już dobrze, Erin. Czekał spokojnie, za chwileczkę cię wydostaniemy. W porządku? Słyszysz mnie, Erin?

- Erin! Odezwij się. Słyszysz mnie?

Idź sobie! Pozwól mi spać.

Poziom adrenaliny w moim organizmie w końcu spadł. Chciałam, żeby ktoś mnie przytulił i pocieszył. Potrzebowałam silnych ramion, które otoczyłyby mnie, łagodząc ból i cierpienie. Chciałam do mamy. Pomyślałam o Paulu, trzymającym Shereen w objęciach, pieszczącym jej włosy i szepczącym jej miłosne wyznania do ucha. Pragnęłam być na jej miejscu.

- Wytrzymaj jeszcze trochę, Erin. Powiesz coś do mnie, skarbie?

- Chcę... do... siostry.

- OK. Gdzie jest twoja siostra?

- Jest w szoku. Chce do swojej siostry. Jak długo tu jest? Chryste... źle z nią...

- Jak się nazywa twoja siostra, Erin? Gdzie możemy ją znaleźć? W szoku? Co on może wiedzieć na ten temat? Szokiem było

dowiedzieć się, że mój brat jest sadystycznym seryjnym mordercą. Że moja matka zostawiła mnie tu na pewną śmierć. Albo to, że utknęłam w jakimś ciemnym kącie ze śpiącym policjantem. Co ja tu w ogóle robię?

- Jak się nazywa twoja siostra? Odezwij się do mnie.

Jego głos dobiegał gdzieś z daleka. Zaczęłam się zastanawiać, kim jest. Czy jest teraz na zewnątrz? Dlaczego wypytuje o moją siostrę? Czemu nie pozwala mi spać? Gdybym się trochę zdrzemnęła, na pewno poczułabym się lepiej.

- Straciła... palec - szepnęłam.

- Twoja siostra straciła palec? Jak to się stało, Erin? Erin?

- Za chwilę będzie za późno! Wynieście ją stąd. Tracimy ją!

- ...*Sroczka kaszkę warzyła...* - majaczyłam chrapliwie.

- Erin, czy twoja siostra straciła palec w wypadku?

Jego głos napływał do mnie falami...*temu dała na miseczce...* gdzie ja jestem? Co to za mężczyzna ciągle mnie budzi? Czy to radio?

- Gdzie jest twoja siostra, Erin? Słyszysz mnie? Odezwij się, Erin! Nie poddawaj się teraz, Erin! Erin? Erin?



Obudził mnie okropny zapach chemikaliów i gumy. Pierwszą rzeczą, którą zobaczyłam była moja noga, umieszczona w szynie Thomasa i zawieszona na wyciągu. Popatrzyłam na stalową ramę i skórzane paski biegnące od pachwiny po kostkę.

- Sostro! - zawołałam słabo, rozglądając się za jakimś naczyniem. - Sostro!

Pielęgniarka zjawiła się niemal natychmiast.

- Mdli panią? - podsunęła mi pod brodę miskę. Pusty żołądek skurczył mi się boleśnie w odruchu wymiotnym, ale nie zdołałam nic zwymiotować. - Proszę się nie przejmować. Ludziom często jest niedobrze po paskudnym złamaniu i wstrząsie.

Potem zmierzyła mi puls i ciśnienie krwi. Czułam się oszołomiona, kiedy tak krzątała się wokół mnie.

- Za chwilę przyjdzie porozmawiać z panią chirurg. I anestezjolog.

To mogło oznaczać tylko jedno. Narkozę i operację.

- Czy moja matka tu jest? Wszystko z nią w porządku?

- Ojej, nie mam pojęcia - pielęgniarka wzruszyła ramionami. - A została ranna?

- Nie wiem. Ja... - Co mogłam powiedzieć? - To właściwie bez znaczenia. Która godzina?

- Dopiero minęła dziewiąta. Proszę się o nic nie martwić i spokojnie zaczekać na lekarza.

- Jest tu moja siostra?

- Nie, o ile mi wiadomo. Przywieziono panią karetką, w towarzystwie dwóch policjantów. Wie pani co, sprawdzę w poczekalni, czy jest tam ktoś z pani rodziny, zgoda? - uśmiechnęła się miło i zamknęła drzwi.

Dziesięć minut później zjawił się chirurg w towarzystwie anestezjologa. Obaj zaczęli zadawać mnóstwo pytań o moje zdrowie, na które starałam się odpowiadać najlepiej, jak potrafiłam. Chirurg dorzucił jeszcze, że za mało ważę.

- Doszło do nadkłykciowego złamania lewej kości udowej, co niestety spowodowało uszkodzenie tętnicy. Zrobię małe nacięcia tutaj i tutaj, a w tym miejscu większe, na jakieś osiem centymetrów, pionowo nad kolaniem. Obawiam się, że trzeba będzie założyć gwóźdź śródszpikowy wewnątrz kości. Przypomina to trochę trzydziestocentymetrowy gwóźdź ze szpilkami, który będzie trzymał to wszystko razem. Dzięki temu będzie mogła pani chodzić o kulach już za trzy, cztery dni.

- Wspaniale - uśmiechnęłam się słabo.

- Za chwilę zostanie pani zabrana na salę przedoperacyjną. Wszystko w porządku? Może chce mnie pani o coś zapytać?

Potrząsnęłam głową.

- Proszę się rozchmurzyć - lekarz przystanął jeszcze przy moim łóżku. - Mogło być o wiele gorzej.

Nie z mojego punktu widzenia.

Po operacji obudziłam się słaba i obolała. Szyna Thomasa zniknęła, a moja noga spoczywała teraz wygodnie w zwykłej szynie, z opatrunkiem wokół kolana. Miałam teraz ogromną spuchniętą słoniową nogę. Modliłam się tylko, żeby nie zostało

tak na zawsze.

- Obudziła się pani - zauważyła inna niż poprzednio pielęgniarka, wkraczając do sali. - Zmierzę pani ciśnienie, a potem napije się pani dobrej herbatki.

- Mogę liczyć na odrobinę brandy? - zapytałam z nadzieją.

- Obawiam się, że nie, ale widzi to pani? - wskazała na kroplówkę, do której byłam podłączona. - To lepsze niż brandy. Morfina. Na pewno uśmierzy ból. Może ją pani samodzielnie dozować. To - uniosła do góry mały przycisk - włącza specjalną pompę infuzyjną - wskazała na wenflon przyklejony plastrem do grzbietu mojej dłoni.

- Można to przedawkować? - zapytałam nieco zaniepokojona.

- Skąd, nie dostaje jej pani aż tak dużo, a poza tym może sobie pani wstrzyknąć tylko określoną dawkę. Przyniosę herbatę i tosty. Z mlekiem?

- Tak, dziękuję - przytaknęłam, choć nadal wolałabym jednak brandy.

Pielęgniarka wróciła po chwili z jedną cieniutką kromką i filiżanką wodnistej herbaty.

- Czy moja siostra jest tutaj?

- Nie wiem. Chce pani, żebym to sprawdziła?

- Tak, proszę. Jest tu jakiś telefon, z którego mogłabym skorzystać?

- Mamy przenośny aparat dla pacjentów. Przyniosę go pani, kiedy się zwolni. Teraz muszę jeszcze sprawdzić pani szwy na plecach. Może się pani trochę pochylić do przodu? Wiem, że to trudne.

- Co mi się stało? - zapytałam.

- W plecy? Nie mam pojęcia, ale trzeba było pani założyć osiem szwów. Miała pani wypadek samochodowy?

- Nie... spadłam ze schodów...

Wszystko zaczynało do mnie powoli wracać. Chowałam się w kącie pod półką i w jakiś sposób zdołałam dźgnąć się czymś w plecy. Co za ironia losu.

- Och, to paskudnie! Musiała pani wpaść na coś ostrego. Ale szwy wyglądają w porządku. Jest pani bardzo dzielna. Może się już pani położyć. Ostrożnie. Świetnie.

Zjadłam tosta i wypiliśmy herbatę. Potem leżałam całe wieki, czekając na powrót pielęgniarki, aż w końcu zapadłam w drzemkę. Obudził mnie pulsujący ból w nodze. Nacisnęłam przycisk i po kilku sekundach poczułam ciepło i oszołomienie.

Chciałam wstać, żeby umyć twarz i zęby, a potem zrobić siusiu. Zastanawiałam się przez chwilę, jak mam się do tego zabrać, dopóki nie zorientowałam się wreszcie że mam założony cewnik. Cudownie.

Pielęgniarka zjawiała się wreszcie z przepaszającym uśmiechem na ustach, prowadząc za sobą dwóch mężczyzn. Od razu wiedziałam, kim są, bo w tej kwestii byłam już ekspertem. Policjanci. Przedstawili się, ale tak naprawdę nie zwróciłam uwagi na ich nazwiska..

- Czy moglibyśmy zamienić z panią kilka słów na temat wczorajszych wydarzeń? - zapytał starszy z nich.

- Jestem dopiero co po operacji... może wrócą panowie, kiedy będę się już czuła trochę lepiej?

- Moim zdaniem jest pani w stanie rozmawiać - zauważył młodszy z funkcjonariuszy, zdejmując moją kartę choroby z poręczy łóżka. Przejrzał ją ze znużeniem, a potem ostentacyjnie odwiesił z powrotem.

Z całego ich zachowania przebijała wrogość.

- Bylibyśmy wdzięczni, gdyby zechciała pani odpowiedzieć

nam na kilka pytań dotyczących tego, co przytrafiło się nadkomisarzowi Kelmanowi.

- Nie jestem pewna, co się stało... Nadinspektor przyszedł mi pomóc, a potem jakoś się tak na mnie osunął.

Starszy z policjantów ostentacyjnie sprawdził mój dozownik morfiny.

- Co pani robiła w piwnicy?

- Ukrywałam się.

- Ukrywała się pani? Przed kim?

- Przed moim bratem. To dosyć skomplikowane. Widzi pan, mój brat Leland, jest uważany za zmarłego, ale tak naprawdę żyje. Był w domu moich rodziców, a ja próbowałam przed nim uciec i spadłam ze schodów.

Policjant roześmiał się pogardliwie, co mnie zaskoczyło.

- To ten sam „nieżyjący” brat, którego wskazała pani wczoraj jako porywacza swojej siostry? Ten sam, który niecałą godzinę przed tymi wydarzeniami miał wywijać w domu nożem?

Skinęłam głową. Byłam oszołomiona, odwodniona i naprawdę przestraszona.

- Zostawiła pani wczoraj kilka wiadomości dla nadinspektora Kelmana, prosząc go o telefon. Twierdziła pani, że Lucy Grant widziała tego zmarłego brata. Może to pani wyjaśnić, panno Paterson?

- Lucy napisała do mnie, że widziała Lelanda. Nadinspektor Kelman uważał, że mój brat nadal nie żyje i szukał właśnie takiego dowodu.

- Wiedziała pani, że nadinspektor Kelman został zawieszony w czynnościach służbowych?

- Tak, ale dowiedziałam się o tym, dopiero kiedy ci policjanci...

- Policjanci, z którymi rozmawiała pani wczoraj? - przerwał mi

wpół zdania. - Pani matka powiedziała im, że przeżywa pani coś w rodzaju załamania nerwowego.

O, mój Boże! Oni mi nie wierzą!

- Ale moja matka kłamała! Ona wie, że Leland żyje. On też tam był! Rozmawiałam z nim!

Policjant przewrócił oczami.

- A kiedy to było? Kiedy pani z nim rozmawiała?

- Ukrywałam się... i nadinspektor Kelman powiedział, że sprowadzi pomoc i... Leland tam był! Nadinspektor Kelman chciał go aresztować i on upadł do przodu... a potem Kelman wrócił i próbował mi pomóc wstać, a potem się przewrócił... i...

Żałowałam, że zaaplikowałam sobie wcześniej morfinę, bo mój mózg zdawał się pracować z jakimś kilkusekundowym opóźnieniem.

- Czy to pani zadała nadinspektorowi Kelmanowi śmiertelny cios?

- Co takiego? Nie! Oczywiście, że nie! Kelman nie żyje? Jak to się stało?

- Panno Paterson, leżała pani ranna w ciasnej szafie, a kiedy nadinspektor Kelman próbował panią stamtąd wyciągnąć, został pchnięty w plecy nożycami ogrodowymi! - wysyczał gniewnie policjant.

Nożycami ogrodowymi? To naprawdę straszne.

- A ja myślałam, że uciął sobie drzemkę...

- Drzemkę? - ryknął policjant z niedowierzaniem.

- Tak, proszę pamiętać, że byłam w szoku.

- Panno Paterson, w tej piwnicy były tylko trzy osoby. Pani, pani matka i nadinspektor Kelman. Nadinspektor Kelman został zamordowany. Albo przez panią, albo przez pani matkę.

- Nie! Leland też tam był! Rozmawiałam z nim. To na pewno

zrobił Leland!

- Na miłość boską! Pani brata tam nie było. Nie mogło go tam być.

- Ale był. Był tam! - rozpaczliwy szloch uwiązał mi w gardle. - Zapytajcie mojej matki. Zapytajcie!

Policjanci wymienili ukradkowe spojrzenia.

- Co się stało mojej matce?

Starszy z funkcjonariuszy zrobił dramatyczną pauzę, zanim w końcu powiedział:

- Pani matka przechodzi badania psychiatryczne.

- Dlaczego?

- Bredzi od rzeczy - mruknął młodszy policjant.

Bredzi czy po prostu nadal nie chce skapitulować?

- Ale przyznała, że Leland tam był, prawda?

- Nie, panno Paterson. Pani matka twierdzi, że jej tam w ogóle nie było.

- Ale... ale przecież to niemożliwe. Rozmawiałam z nią. Czyja to sobie wyobraziłam?

- Panno Paterson, wiemy, że pani matka tam była. Została znaleziona na miejscu zbrodni.

Odetchnęłam z ulgą. Dlaczego matka zaprzecza, że tam była właśnie teraz, kiedy najbardziej potrzebuję jej wsparcia? Głupia mała. Ale ja nie zamierzałam kłamać, niezależnie od tego jak bardzo nieprawdopodobnie brzmi prawda.

- Czy to pani matka zaatakowała nożycami nadinspektora Kelmana?

- Niech pan nie będzie śmieszny! - popatrzyłam na niego z gniewem. - To Leland go zabił. To na pewno zrobił Leland.

- A więc taka jest pani wersja? - policjant westchnął z rozdrażnieniem. - Duch pani zmarłego brata zamordował

doświadczonego policjanta?

- Nie. Twierdzę, że mój brat Leland jest cały i zdrowy, i jako żywa osoba zabił nadinspektora Kelmana. Ja nie mogłam tego zrobić w pozycji, w jakiej leżałam. Pogadajcie ze specjalistami od medycyny sądowej.

Policjant milczał złowróźnie.

- Mój ojciec już wie, co się stało? - zapytałam.

- Nikt jeszcze u pani nie był, panno Paterson?

Potrząsnęłam głową.

- Przykro mi, ale... pani ojciec miał w nocy udar.

- Niech pan tak nie mówi! To nieprawda. Pan kłamie!

- Sądziłszy, że do tego czasu ktoś zdążył już panią o tym poinformować.

- Jak on się czuje? Bardzo z nim źle?

- Niestety, nie wiem nic na temat jego stanu.

- Muszę stąd wyjść. Muszę go zobaczyć - powiedziałam bardziej do siebie niż do nich. Zadzwoiłam po pielęgniarkę i zaczęłam się wiercić niespokojnie na łóżku. Ledwie mogłam się ruszać, nie mówiąc już o chodzeniu.

Wyrwałam wenflon. Poczulałam pieczenie i na dłoń wytrysnęła mi krew.

- Niech pani przestanie! Zrobi sobie pani krzywdę - krzyknęła pielęgniarka, która właśnie weszła do sali.

Nie zwracając na nią uwagi, podciągnęłam się na rękach.

- Muszę stąd wyjść. Chcę zobaczyć się z ojcem. Miał udar i bardzo mnie potrzebuje. Jak mogę stąd wstać? Będę potrzebowała kul albo wózka inwalidzkiego.

- Nie wolno pani wstawać!

- Mój ojciec mnie potrzebuje. Wypisuję się na własne życzenie. Niech mi pani przyniesie te cholerne kule!



Mój biedny ojciec. A jeśli on umrze i już nigdy z nim nie porozmawiam? Nie potrafiłam sobie tego nawet wyobrazić. To było zbyt straszne. Serce pękało mi na samą myśl o tym.

- Mógłby ją pan przytrzymać? - poprosiła pielęgniarka, a kiedy młody funkcjonariusz przycisnął mnie do łóżka, wybiegła z sali.

- Puszczaj! Wypisuję się na własne żądanie - wiałam się w jego uścisku, ale policjant trzymał mnie mocno.

- Proszę się uspokoić! Spokojnie.

- Puść mnie! Nie mogę tu zostać! Ojciec mnie potrzebuje! Nie rozumiecie? On mnie potrzebuje.

Po kilku sekundach do pokoju wpadła pielęgniarka w towarzystwie lekarza ze strzykawką w ręku.

- Wszystko będzie w porządku, proszę pani. To tylko łagodny środek uspokajający. To pomoże się pani odprężyć. OK? Siostro! Proszę przytrzymać pacjentkę i podwinąć jej rękaw.

Próbowałam się wyszarpnąć, ale lekarz wbił mi igłę w ramię.

- Niech pan tego nie robi! Ja wcale nie chcę się odprężyć. Muszę stąd wyjść... muszę... zobaczyć się... z ojcem... muszę...

Kiedy się obudziłam, pokój był cichy i pogrążony w półmroku.

Próbowałam usiąść na łóżku, ale nie mogłam się ruszyć. Przez głowę przebiegła mi przerażająca myśl, że jestem sparaliżowana. Potem zerknęłam na swoją pozbawioną czucia nogę i aż jęknęłam.

Brzuch, uda i kostki miałam skrępowane pasami.

Na co mi przyszło? Jak mogli mnie tak potraktować?

Leżałam bez ruchu, ale wszystko aż gotowało się we mnie ze złości. Do cholery, pozwę ich do sądu.

- Jak się pani teraz czuje? - pielęgniarka przystanęła z wahaniem w drzwiach. - Troszkę lepiej?

- Nie - rzuciłam jej wściekłe spojrzenie. - Nie wydaje mi się,

żeby związanie mnie jak świątecznego indyka miało mi pomóc wrócić do zdrowia.

- Spokojnie - upomniała mnie pielęgniarka - to było dla pani dobra. Musi pani oszczędzać nogę.

- A mój ojciec? Wszystko z nim w porządku? Jak on się czuje?

- Jego stan jest stabilny.

- Muszę go zobaczyć.

W jej oczach zauważyłam błysk sympatii.

- W tej chwili to wykluczone.

- Może mnie pani rozwiązać?

- Jeśli obieca mi pani, że nie będzie próbować wstać z łóżka ani ruszać chorej nogi - powiedziała z wyrzutem, mierząc mi ciśnienie i puls. Serce waliło mi jak szalone, więc oba pomiary były dalekie od normy. Pielęgniarka uniosła brwi i zaczęła wpisywać wyniki do karty.

- To po prostu śmieszne! Ma pani pojęcie przez co ja przeszłam?

- Proszę się tak nie gorączkować, bo tylko pogorszy pani swój stan. Nie rozepnę pasów, jeśli będzie pani sprawiać kłopoty - popatrzyła na mnie surowo.

- W porządku. Obiecuję.

- A jak tam noga? - zapytała, uwalniając mnie z pasów. - Boli?

Czułam tępy ból, ale to było do zniesienia. Nie chciałam więcej morfiny, bo po niej nie byłam w stanie jasno myśleć, a musiałam zachować trzeźwość umysłu, jeśli miałam się stąd wydostać.

- Na razie nie - skłamałam.

- Świetnie. W takim razie chyba może przyjąć pani gościa? Pani partner jest tutaj - dodała jeszcze wychodząc z sali.

Mój partner? Ostatnią osobą, z którą miałam się teraz ochotę spotkać był Douglas. Nie chciałam, żeby zobaczył mnie leżącą tu

bezradnie w takim żalnym stanie. To może wpłynąć na nasze zawodowe stosunki.

Usłyszałam ciche pukanie do drzwi, ale udawałam, że śpię. Nie byłam teraz w stanie zmierzyć się z przejawami współczucia i troski. Potrzebowałam samotności, żeby trochę się nad sobą poużalać.

- Erin? - dobiegł mnie szept.

- Paul? - otworzyłam oczy. Paul wyglądał na naprawdę wyczerpanego i miał sińce pod oczami. - Myślałam, że to...

- Skłamałam. Wpuszczają tylko rodzinę, a my mieszkamy pod tym samym adresem, więc powiedziałem im, że jestem twoim facetem. Jak się czujesz?

- Do kitu...

Paul zerknął na moją słoniową nogę.

- Paskudne złamanie, ale założyli mi duży gwóźdź, więc za kilka dni będę już mogła chodzić o kulach.

- Wspaniale... - odparł z roztargnieniem. Napięcie wisiało w powietrzu. - Pielęgniarka mówiła, że musieli ci podać środek uspokajający.

- Zdenerwowałam się, kiedy powiedzieli mi o ojcu, zareagowałam trochę zbyt gwałtownie.

Dlaczego czułam się tak niezręcznie?

- Wszystko u niego w porządku. Jest z nim Bronte.

- Bronte! Chryste! Ona go w ogóle nie rozumie. To ja jestem mu potrzebna.

Paul rzucił mi ostre spojrzenie.

- Bronte radzi sobie świetnie, biorąc pod uwagę okoliczności.

- Przepraszam - poczułam się skarcona. - To było takie... Bronte na pewno... Z Maksymem wszystko dobrze?

- Jasne. To świetny maluch. Opiekowałam się nim dzisiaj. Pytał

o ciebie.

Nie chciałam się przyznać przed samą sobą do tego, że owładnęły mną destrukcyjne uczucia, mieszanina zazdrości i lęku. Oczami duszy widziałam ich już razem, szczęśliwych i uśmiechniętych. Zaczątek nowej rodziny.

- Potrzebujesz czegoś? - Paul poruszył się niespokojnie. - Może przynieść ci jakieś czasopisma albo owoce?

- Nie, niczego nie potrzebuję. Dzięki.

Byliśmy jak kompletnie obcy sobie ludzie. Paul wyraźnie unikał mojego wzroku. Przeszył mnie dreszcz.

- Paul? O co chodzi? - Paul w milczeniu wepchnął ręce do kieszeni. Ogarnęło mnie znajome uczucie przerażenia. - Myślisz, że jestem w to zamieszana, prawda? Uważasz, że miałam z tym coś wspólnego!

- Kelman zginął, kiedy próbował cię ratować. Choć wiedział, że w środku jest cholerny psychol, a cały dom może w każdej chwili wylecieć w powietrze. Zostawił żonę i trójkę dzieciaków i to dla kogo? Kłamliwej, nadętej małpy! Przez ciebie zginął mój najlepszy przyjaciel.

- Ale., ja nic nie rozumiem - jęknęłam.

- Zwabiłaś go tam.

- Jak go zwabiłam? Nie miałam pojęcia, że on...

- Wiedziałaś, że Kelman cię śledzi. Sam ci o tym powiedziałem. A on mnie ostrzegał, żebym ci nie ufał.

- Paul, wysłuchaj mnie - błagałam. - O niczym nie wiedziałam. Pojechałam tam, bo chciałam znaleźć Bronte. Leland nagrał mi wiadomość i uświadomiłam sobie, że on jest w domu rodziców. Próbowałam powiadomić o tym policję, ale nikt nie chciał mnie słuchać.

- Kelman został zawieszony przez ciebie!

- Jak to?

- A nie złożyłaś na niego skargi?

- Oczywiście, że tego nie zrobiłam!

- Naprawdę nie napisałaś do szefa policji zażalenia na nadinspektora Kelmana?

- Nie - potarłam dłonią twarz. Poczułam ból w wardze, więc ostrożnie jej dotknęłam. Była spuchnięta i obolała.

Paul przysiadł w nogach łóżka.

- Wszyscy byli przekonani, że to od ciebie. Dlatego Kelman nie odpowiadał na nasze telefony. Myślał, że specjalnie załatwiłaś jego odsunięcie od tej sprawy.

- Ale dlaczego tam był? W domu moich rodziców?

- Zadzwoił do mnie po tym, jak zaparkowałaś samochód za rogiem i wśliznęłaś się do domu. Myślał, że wybrałaś się na spotkanie z Lelandem i chciał wiedzieć, co kombinujesz.

- Ale przecież wezwałam tę cholerną policję! - krzyknęłam.

- Kelman był przekonany, że chodzi ci o aresztowanie go za bezprawne wtargnięcie na teren posesji.

- O, Boże... co my najlepszego zrobiliśmy? - szepnęłam.

Paul zmarszczył brwi.

- Policja nie uwierzy w ani jedno moje słowo! Skoro Kelman nie żyje, to nie został nam już nikt. Leland znowu skryje się w mroku.

- Ale jesteś pewna, że Leland tam był? - zapytał cicho Paul.

- Ty też zaczynasz? Tego się po tobie nie spodziewałam! - popatrzyłam na niego ze złością.

- Przepraszam! Po prostu...

- Cholernie trudno w to uwierzyć - syknęłam.

Następne sześć dni spędziłam w towarzystwie fizjoterapeutów, zmuszających mnie do korzystania z kul. Za to

po prostu wspaniale było pozbyć się w końcu tego obrzydliwego cewnika. Miałam wrażenie, że to sześć najdłuższych dni w moim życiu.

Ani ja, ani moja matka nie zostałyśmy formalnie oskarżone o zamordowanie Kelmana, ale szczegóły sprawy były szeroko komentowane w prasie. W żadnym artykule nie wspomiano jednak o Lelandzie. Dobrze wiedziałam, co to oznacza.

Bronte bez oporów udostępniła policji wszystkie dokumenty i osobiste papiery rodziców. Wyglądało na to, że od pewnego czasu matka podejmowała z kont spore sumy pieniędzy. Dwaj policjanci odwiedzali mnie jeszcze kilkakrotnie, z uporem powracając do szczegółów złożonego przeze mnie zeznania. Starali się zachowywać grzecznie, ale było jasne, że podejrzewają mnie o współudział w zabójstwie policjanta. Tkwiłam w tej ponurej szpitalnej sali, coraz bardziej pogrążając się w rozpacz i beznadziei. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak uda mi się pozbierać rozsypane kawałki rozbitego życia.

I wciąż prześladowało mnie widmo Lelanda.

Szmer kroków za drzwiami szpitalnej sali wystarczał, bym wstrzymała oddech. Każdy przesuwający się po ścianie cień sprawiał, że przenikał mnie dreszcz przerażenia. Leland mógł się czaić gdziekolwiek, wypatrując swojej szansy. Za każdym razem, gdy uchylały się drzwi do sali, spodziewałam się ujrzeć jego twarz. Wiedziałam, że długo nie da się tak żyć. Nerwy miałam w strzępach. Dopiero po moich fałszywych zapewnieniach, że siostra na pewno się mną zaopiekuje, pozwolono mi opuścić szpital. Liz odwiozła mnie do domu, ale nie zaprosiłam jej do siebie na górę. Tak bardzo pragnęłam zostać wreszcie sama.

Weszłam, utykając do mieszkania i jęknęłam.

Lilie od Paula stały uschnięte w pozbawionym wody wazonie.

Otwarcie nowej kancelarii zdecydowaliśmy się odłożyć do grudnia. Oficjalnie powodem opóźnienia było fakt, że potrzebowałam więcej czasu na powrót do zdrowia, ale prawdziwa przyczyna była bardziej ponura. Wszystko się zmieniło.

Nie byłam już dłużej postrzegana jako nieco ekscentryczna, komiczna osoba. Teraz widziano we mnie nieodrodną córeczkę szalonej morderczyni policjantów. Krytyczne uwagi na mój temat, jakie pojawiły się w prasie w związku z poprzednim incydentem wydawały się niewinne, niemal łagodne w porównaniu z obecną niesławą. Mieliśmy nadzieję, że do grudnia zainteresowanie naszą rodziną osłabnie na tyle, by kancelaria mogła rozpocząć swoją działalność bez sensacyjnych nagłówek.

Powoli kuśtykałam po mieszkaniu, ale zrobienie czegokolwiek było praktycznie niemożliwe. Obie ręce miałam zajęte kulami, a na obolałej i spuchniętej nodze mogłam stać najwyżej kilka minut. Nie byłam nawet w stanie zaparzyć sobie filiżanki kawy, co sprawiało, że jeszcze boleśniej odczuwałam swoją bezradność.

Leżałam więc beczynn timer na kanapie, co chwila zmieniając kanały telewizyjne, ale słowa Lelanda wciąż nie dawały mi spokoju. *Jechałem taki kawał drogi specjalnie dla ciebie...*

Od czasu tamtych wydarzeń nie rozmawiałam z matką, a ona z kolei nie chciała rozmawiać z policją ani swoim adwokatem. Jej milczenie pozostawiało tyle pytań bez odpowiedzi. Kelman nie żył, a wbrew temu, co można zobaczyć w idiotycznych filmach, zmarli nie mówią.

Czy nieświadomie dałam Lelandowi okazję do zamordowania Kelmana?

Niebo było ciemnogrnatowe, zapowiadało deszcz. Patrzyłam przez szyberdach na chmury toczące się po niebie i miałam wrażenie, że czas stanął w miejscu. Bardzo pragnęłam zobaczyć się z ojcem, a jednocześnie obawiałam się tego spotkania. Czułam, że tylko u niego mogę szukać pocieszenia, ale lękałam się napięcia, które może spowodować moja wizyta. Bałam się, że zniszczę drogie mu wspomnienia.

Spojrzałam na ręce Paula, spoczywające na kierownicy. Gładkie, silne dłonie, jakich szukałam u każdego mężczyzny. Żona zostawiła go z powodu załamania nerwowego. Oni też byli ofiarami Lelanda.

Przegadaliśmy z Paulem całą poprzednią noc.

Spieraliśmy się na temat rozmaitych teorii, wątpliwości zamieniając niemal w pewność i po chwili znów powracając do kłótni.

Przed okrutną prawdą nie było ucieczki.

Leland żyje.

Rozsypane fragmenty ułożyły się w całość, ale przez głowę przemykały mi mroczne, odrażające myśli. Myśli, które musiałam zatrzymać dla siebie. Całkiem niewinne przeprosiny ze strony Lucy przypieczętowały jej los. Za karę Leland



poderżnął jej gardło i wyciął język. Wybrał ją na swoją ofiarę tylko z jednego powodu - aby chronić samego siebie. Zrobił to dlatego, że matka o wszystkim mu opowiedziała. Równie dobrze mogła sama trzymać w ręku ten nóż. Kiedy zaparkowaliśmy przed domem rodziców, popatrzyłam na znajome mury i poczułam się zupełnie pokonana. Stałam się zaprzysięgłą fatalistką.

Max wybiegł w podskokach na nasze powitanie. Tuż za nim pędziły psy. Paul podniósł mojego siostrzeńca do góry i okręcił dookoła w powietrzu.

Smith i Jones obwąchiwały mnie radośnie, ale Max stanął o trzy kroki ode mnie, z lękiem przyglądając się kulom.

- To nic strasznego, Max. Niedługo będę już zdrowa - zachęcałam go, ale to nie wystarczyło. Chłopiec odwrócił się i podbiegł z powrotem do Paula.

- Max niedługo się z tym oswoi. Teraz musi się przyzwyczaić do tylu zmian w swoim życiu - powiedział Paul, pomagając mi wejść po schodach do domu.

- Boże, Erin! - zawołała na powitanie Bronte. - Wyglądasz okropnie.

Miała rację. Wzięcie prysznicza czy kąpieli było dla mnie prawdziwym problemem, bo potrzebowałam do tego pomocy drugiej osoby.

- Tata jest na dole? - zapytałam z nadzieją. Bez windy nigdy nie zdołałabym się dostać do jego pokoju. W przeciągu tygodnia zrobiła się ze mnie zniedołężniała staruszka.

- Tak. Urządziliśmy mu sypialnię w gabinecie. Początkowo chciałam umieścić tatę w jadalni, żeby mógł patrzeć przez okno na staw, ale przesunięcie stołu i kredensów byłoby zbyt skomplikowane.

- Paul! Chodź zobaczyć mój zamek z klocków lego! - zawołał Max ze swojego pokoju.

Paul uśmiechnął się ciepło do Bronte i pobiegł na górę. Serce mi zamarło. Bronte i Paul są teraz dobrymi przyjaciółmi. Ja jestem tu kimś obcym.

- Ile wie tata? - zapytałam, kuśtykając korytarzem w stronę gabinetu.

- Niewiele. Ale lepiej się przygotuj na to, że ojciec miewa tylko przebłycki świadomości. W jednej chwili rozmawia zupełnie normalnie, a zaraz potem znowu odchodzi gdzieś do innego wymiaru.

Zawsze podobał mi się sposób, w jaki Bronte dobiera słowa.

- A co wie o matce?

- Ja mu tego nie powiem. Jesteś ode mnie starsza. To twój obowiązek.

- Dzięki - mruknęłam, wchodząc do pokoju ojca.

Wewnątrz panował półmrok. Czuć było zapach starości i nieświeżego oddechu. Byłam przerażona tym, jak mały wydawał się teraz ojciec w swoim ogromnym łóżku. Drobnny, szczupły i stary.

Z trudem usiadłam obok i odłożyłam kule na podłogę. Ojciec nie musi wiedzieć o moim upadku. Potem ujęłam jego dłoń i delikatnie uścisnęłam.

- Tato? Nie śpisz? - szepnęłam. Poczułam, jak jego palce zaciskają się lekko. - To ja. Erin.

Tym razem uścisk był nieco silniejszy.

- Jak się czujesz, tato? Trochę lepiej?

Ojciec uchylił powieki i popatrzył na mnie.

- Mmm - zabrzmiało to jak „mama”.

- Chcesz, żeby mama tu przyszła? Nie ma jej w domu.

Wyjechała.

- Nie - szepnął ojciec. - Nie? Nie chodzi o mamę?

- Wiem...

- To dobrze... - zająknęłam się niezdarnie. - Więc wiesz, że mama wyjechała.

Ojciec zacisnął palce całkiem mocno.

- O nim...

Przekleństwo niemal wyrwało mi się z ust. Co ojciec wie? Przysunęłam się bliżej, żeby nie uronić nic z jego cichych, wypowiedzianych z trudem słów.

- O kim wiesz, tato? O kim?

Ze sparaliżowanego kącika ust pociekła mu strużka śliny.

- ...chłopaku... - ojciec przyciągnął bliżej moją rękę i popatrzył mi w oczy. - ...ostrożnie, nie pozwól mu...

- Lelandowi? Chodzi ci o Lelanda? - serce waliło mi ze strachu. Ojciec zamrugnął powiekami. W jego oczach odbiło się zdumienie.

- ...on nie żyje... bądź dzielna... minęło tyle lat... nie myśl o tym...

Odetchnęłam z ulgą.

- O jakim chłopaku mówisz?

Ojciec uśmiechnął się niemal niedostrzegalnie.

- Twoim chłopaku... to dobry człowiek... uważaj, żeby go nie odstraszyć...

- Mówisz o Paulu? - szepnęłam.

Ojciec zamknął oczy, ale na ustach pozostał mu ślad uśmiechu.

- Paul to dobry... Erin... spróbuj... być szczęśliwa... - zamilkł, a szczeka opadła mu luźno.

*Tato! Nie opuszczaj mnie! Nie zostawiaj mnie tu samej!*

- Bronte! - krzyknęłam. - Bronte! Wołaj pielęgniarkę!

Przycisnęłam głowę do piersi ojca, nadsłuchując jego oddechu.

Nasze palce były nadal splecione razem, ale miałam wrażenie, że ręka ojca zrobiła się jakaś bezwładna.

Bronte i pielęgniarka wpadły do pokoju razem.

Pielęgniarka odsunęła mnie dosyć brutalnie i zbadła ojcu puls, wpatrując się jednocześnie w monitor aparatu, do którego był podłączony.

- Wszystko w porządku. Pani ojciec po prostu zasnął.

- Myślałam... Nie przypuszczałam, że on... zapadnie w sen tak nagle.

- Przecież ci mówiłam - mruknęła Bronte.

- Nie chciałam was przestraszyć. Przepraszam.

Bronte przewróciła oczami i pomogła mi wyjść z pokoju ojca.

- I co ci powiedział? Pytał o mamę?

- Niewiele. Mamrotał tylko coś, że wie o jej wyjeździe.

- Nie powiedziałaś mu?

- To nie było konieczne - odparłam, kuśtykając w stronę kuchni. Usiadłam przy stole i dałam w końcu upust tłumionym emocjom.

*Tato, nie zostawiaj mnie. Jesteś moją ostatnią nadzieją. Ostatnim schronieniem. Ty jesteś niewinny. O niczym nie wiedziałeś. Naprawdę myślałeś, że Leland nie żyje. Nie zostawiaj mnie. Kocham cię. I potrzebuję. Nie odchodź.*

Serce mało mi nie pękło, bo wiedziałam, że to już niedługo.

- Erin? - do kuchni wpadła Bronte. - Wszystko w porządku?

Pociągnęłam nosem i otarłszy łzy wierzchem dłoni odchrząknęłam. - Nie.

- Wiem - Bronte objęła mnie ramieniem, starając się dodać mi otuchy. - Martwiłam się, jak to przyjmiesz.

- A jak tata myśli, gdzie jest mama? Bronte wyglądała na nieco

zmieszana.

- Jest przekonany, że wyjechała na turniej brydżowy. Nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

- Świetny pomysł. A jak z pieniędzmi? Wystarcza ci na pielęgniarkę i w ogóle?

- Tak. Firma płaci za wszystko.

- Dobrze. A co u ciebie? Jak tamta sprawa?

- Już załatwione - Bronte wzruszyła lekko ramionami. - To znaczy, spłaciłam dług.

- W jaki sposób? - rzuciłam jej uważne spojrzenie.

- Chcesz kawy? - zapytała wymijająco.

- Tak, poproszę. Jak spłaciłaś ten dług?

- Poprosiłam tatę o pieniądze, kiedy odwoziłam go do Crail. Chętnie się zgodził.

Przez jedną okropną chwilę pomyślałam, że to ona spowodowała udar ojca.

- Mój Boże, Bronte! Chyba nie powiedziałaś na co są ci potrzebne te pieniądze?

- Skąd! Skłamałam, że przekroczyłam limit na kartach kredytowych.

- Dobra, przepraszam.

Bronte zabrała się za parzenie kawy.

- Słyszałam, że Paul bardzo ci pomaga - starałam się mówić lekkim tonem, ale chyba niezbyt dobrze mi to wychodziło.

- Jest wspaniały i świetnie radzi sobie z Makssem.

- Tata jest przekonany, że Paul to mój chłopak - dodałam pozornie obojętnym tonem.

- To chyba moja wina - odparła Bronte, nalewając mi kawę. - Chciał wiedzieć, kim jest Paul, więc mu powiedziałam, że to twój przyjaciel. Wszystko mu się teraz miesza.

- To znaczy, że tata poznał Paula?

- Uhm. Paul czytał mu na głos i w ogóle. Chyba się zaprzyjaźnili, oczywiście na ile to możliwe w ojca stanie.

- A... ty co o nim myślisz?

Bronte usiadła naprzeciwko mnie i uśmiechnęła się szeroko. Żołądek podszedł mi do gardła.

- Paul to świetny facet. To znaczy, jest naprawdę wyluzowany i troskliwy. Ale nie jest w moim typie.

- Nie o to pytałam.

- Tak? - Bronte uniosła brew. - Wydawało mi się, że masz do niego słabość.

- Szczerze mówiąc, nic mnie już to nie obchodzi - skłamałam.

- Chcesz o tym pogadać?

- Nie. Ale mam do ciebie prośbę.

- Jasne.

- Mogłabyś mnie zawieźć do Leverndale?

- Masz zamiar odwiedzić mamę?

- Tak. Bez niej to wszystko nie ma sensu. A ja już dłużej tak nie mogę. Po prostu nie mogę.

- OK - powiedziała Bronte i szybko dokończyła swoją kawę. Wpatrywałam się w świat za oknem, czując, jak wewnątrz mnie rośnie pustka. Wkrótce nie zostanie już nic, może tylko nikły ślad mojego istnienia.

Jak można posklejać złamane serce?

Szpital psychiatryczny Leverndale znajdował się na peryferiach Glasgow. Majestatyczne, wiktoriańskie budynki zbudowane wysoko na wzgórzu, z pustymi oczodołami okien, przez które co chwila wpadały i wypadały gawrony i gołębie.

Kompleks znajdował się pod opieką konserwatora zabytków, jednak budynki szpitala niszczały opuszczone. Imponująca pozostałość minionej epoki, rozbrzmiewająca echemi przeszłości. Szpital został odbudowany na tym samym terenie. W cieniu swojego okazałego poprzednika powstały schludne i nowoczesne parterowe budynki. Kiedy patrzyłam na ten pusty, martwy szkielet ogarnęło mnie złe przeczucie. Bronte pomogła mi wysiąść z samochodu, ale została na parkingu.

- Nie idziesz ze mną? - zapytałam.

- Nie mogę - odparła. - Po prostu... nie chcę. Po tym, co się stało.

- W porządku... ale...

- Przepraszam, Erin, naprawdę nie mogę.

Rozumiałam jej niechęć, ale i tak byłam poirytowana. Myślałam, że choć raz w życiu nie będę musiała radzić sobie ze wszystkim sama. Sprawnie i uprzejmie wpisano mnie na listę odwiedzających i zaprowadzono na drugi oddział zamknięty. Z niepokoju aż ścisnęło mnie w żołądku. Matka czekała na mnie w

niewielkim pokoju przyjąć. Postarzała się o dziesięć lat.

- Ojej, kochanie! Co się stało? - zawołała na mój widok.

- Złamałam nogę. Nie pamiętasz? Byłaś przy tym.

- Nie... - matka zmarszczyła czoło. - Kiedy to było, kochanie?

Jeździłaś na nartach?

- Jakies ośiem dni temu! W piwnicy - odparłam zniecierpliwionym tonem.

- O, mój Boże! Co ty robiłaś w piwnicy? A tata o tym wie? Mam nadzieję, że firma płaci za najlepszą opiekę ortopedyczną.

Z trudem usiadłam naprzeciwko niej na twardym drewnianym krześle. Pielęgniarka przycupnęła dyskretnie tuż obok zamkniętych drzwi. I guzika alarmowego.

- Mamo, firma... już nie istnieje.

- Co to znaczy nie istnieje? - jęknęła z przerażeniem.

Albo zupełnie już zdziecinniała, albo jest z niej światowej klasy aktorka.

- Razem z Michaelem McCabem rozwiązaliście starą firmę i weszliście w spółkę z kancelarią Cohen Freidmann.

Matka wyglądała na kompletnie zaskoczoną.

- Kiedy to się stało?

Zerknęłam przez ramię na pielęgniarkę, która uśmiechnęła się do mnie współczująco.

- Kilka tygodni temu, zanim zginął nadinspektor Kelman...

- Och? A kto taki, kochanie? Twój znajomy?

- Tak, mamo. Ty też go znałaś. Byłaś tam.

- Na pogrzebie? A kiedy to było?

- Nie na pogrzebie. Przy tym, jak zginął.

- O nie, kochanie. Musiałaś się pomylić. To ktoś z grona twoich znajomych?

Co ona przez to rozumiała - że chodził do tej samej drogiej



niepublicznej szkoły albo należał do tego samego klubu jeździeckiego?

- Nie, to był... on przesłuchiwał mnie po śmierci Lucy Grant...

- Lucy Grant? Z tych Granville'ów-Grantów? To straszne! Popatrzyłam na nią z niedowierzaniem. Czyżby zamierzała udawać utratę pamięci niezależnie od tego, o czym wspomnę?

- Leland zamordował Lucy, a nadinspektor Kelman prowadził śledztwo w tej sprawie.

- Nie powinnaś z tego żartować, Erin. Można się pośmiać z pułkownika Mustarda ze świecznikiem w kuchni<sup>[4]</sup>, ale nie należy kpić z ludzi, których znamy. O wartości człowieka świadczą jego maniery, pamiętasz?

- Mamo, przestań! Proszę cię. Powiedz mi, co się wtedy stało?

- Ale kiedy?

- Tego dnia, gdy nadinspektor Kelman został zamordowany!

- Mówiłaś, że on zginął.

- Tak. Został zamordowany!

Matka zacisnęła usta.

- Czy to jakiś rodzaj gry słownej? Erin, przecież wiesz, że ich nie znoszę. Za krzyżówkami też nie przepadam. Może zagrajmy raczej w karty? Albo w monopol?

Wniosek do sądu o uznanie matki za niepoczytalną ma spore szanse. Ten sam spór powtarzał się często podczas deszczowych sobót spędzanych w domku na wsi. Matka nigdy nie pozwalała mi grać w scrabble ani w żadną grę wymagającą choć odrobiny wysiłku umysłowego. To zawsze musiały być karty albo chińczyk. Cofnęliśmy się o jakieś dwadzieścia lat.

- Nie przyniosłam ze sobą kart - mruknęłam wymijająco.

- Nic się nie stało - uśmiechnęła się matka. - Na pewno mają jakieś w salonie.

- Mniejsza z tym. Jak się czujesz? Wszystko w porządku?

- O, tak. Tutaj jest całkiem miło. Już dawno trzeba było przyjechać tu na wakacje.

Przymknęłam oczy na krótką chwilę. A więc to prawda. Matka kompletnie postradała rozum.

- Potrzebujesz czegoś? Przynieść ci jakieś książki?

- Nie, kochanie, nic mi nie trzeba. Mają tutaj całkiem sporą bibliotekę. Może zostaniesz na podwieczorek?

Matka zaprasza mnie na podwieczorek? Czy ona nie zdaje sobie sprawy, gdzie trafiła?

- Tak, bardzo chętnie. Dziękuję - wyjąkałam.

- To cudownie! Czasami podają tutaj ciasto biszkoptowe.

- Pycha. Nie mogę się już doczekać. Byłam oszołomiona.

Siedziałyśmy w milczeniu przez kolejną wyczerpującą minutę. Matka od czasu do czasu uśmiechała się do mnie, a ja odpowiadałam jej tym samym. Scena zupełnie jak z Jane Austen.

- No cóż - odezwała się w końcu matka - w takim razie każę już chyba podawać?

Pielęgniarka wstała i otworzyła drzwi, a matka posłała nam obu uśmiech i wyszła dostojnym krokiem. Siedziałam chwilę jak ogłuszona. W końcu podniosłam się z trudem z niskiego krzesła i ruszyłam na poszukiwanie jej lekarza, który okazał się zażywnym, dobrodusznym mężczyzną. W jakiś zaskakujący sposób dodało mi to otuchy.

- Lady Paterson - westchnął po dziesięciu minutach przesłuchania - ma typowe objawy choroby psychicznej, psychozy i wyparcia.

- Ale jak może myśleć, że jest na wakacjach w wiejskiej rezydencji przerobionej na hotel?

- To przeniesienie. Jeśli pani matka przyzna przed samą sobą,

że znajduje się na zamkniętym oddziale psychiatrycznym, to będzie też musiała dopuścić do świadomości przyczynę swojego pobytu tutaj.

- Czy ona kiedykolwiek... wyzdrowieje? - zapytałam drżącym głosem.

- Być może - lekarz poklepał mnie uspokajająco po ręku. Co znaczyło po prostu nie.

Zanim opuściłam szpital, zajrzałam jeszcze przez maleńkie okienko do pokoju matki. Siedziała w głębokim fotelu i czytała jakiś magazyn, nucąc sobie przy tym pod nosem. Oczy zasły mi łzami. Stałam w obliczu utraty obojga rodziców i nie potrafiłam znaleźć w sobie dość siły, by zachować stoicki spokój.

---

[4] Postać ze znanej gry planszowej, na podstawie której w 1985 roku powstał również film Trop (Clue). (przyp. tłum.)

- Dlaczego na moim biurku stoi akwarium z dwiema złotymi rybkami? - zapytałam siedzącą w recepcji Karen. - Wygrałaś je w wesołym miasteczku?

- Suzi mówi, że to dobre feng shui. Moim zdaniem są urocze. Suzi ma przynieść parkę i dla mnie - wyjaśniła Karen, zanim odebrała telefon.

Wzniosłam oczy do góry. Suzi Lu trafiła do naszej kancelarii świeżo po odbyciu aplikacji. Trzeba przyznać, że była świetną prawniczką, ale nigdy nie wiedziałam, jak będzie ustawione moje biurko następnego dnia.

Wróciłam do gabinetu i zaczęłam się przyglądać pływającym w kółko rybkom. To prawda, że są urocze, ale czy nie zaczną zaraz cuchnąć? Właśnie zabierałam się do jedzenia kanapki, kiedy do drzwi zastukał Douglas.

- Fajne rybki - zauważył. - Jak się nazywają?

- Fang i Huey?

Douglas położył akta na moim biurku i przystanął w wyczekującej pozycji. Spojrzałam na niego i z ciężkim westchnieniem otworzyłam przyniesioną przez niego teczkę.

- Zanim cokolwiek powiesz - uważam, że warto wystąpić o rewizję tej sprawy.

- Douglas, zajmuję się odszkodowaniami, a to jest sprawa z powództwa cywilnego...

- Zgadza się, ale gdybyśmy wygrali, można by wystąpić z pozwem o odszkodowanie.

- Sprawa była rozpatrywana przez Sąd Najwyższy i została oddalona z braku dowodów. Dlaczego sądzisz, że mogłabym poprowadzić taki pseudokryminalny cywilny proces i udowodnić winę tego faceta? Prokurator nic tu nie zdołał.

- Przecież to oczywiste, że jest winny. Ława przysięgłych była zbyt zastraszona, żeby go skazać.

- Dlaczego to dla ciebie takie ważne? Douglas poruszył się niespokojnie.

- To z powodu jej rodziców. Są naprawdę załamani tym, że facet się wywinął. Ich zdaniem dzięki temu, że ma władzę, pieniądze i znajomości. Przejrzałem materiał dowodowy i tam wszystko jest.

- Douglas, on miał jednego z najlepszych obrońców w tym kraju. A ja jestem tylko skromną prawniczką. Nie mielibyśmy żadnych szans.

- Ona też nie miała - mruknął Douglas. - A poza tym myślałem, że zamierzasz zdawać ostatnie egzaminy i zajmować się właśnie takimi sprawami?

- Ale przecież nie tak od razu - powiedziałam, a Douglas natychmiast posmutniał. - No dobrze, zgoda. Zajrzę do tego. Jak mają zamiar zapłacić?

- Więc, pomyślałem, że moglibyśmy pokryć koszty, a potem odliczyć je sobie z ewentualnego odszkodowania.

Chwyciłam się za głowę.

- *Jeśli* w ogóle wygramy jakieś odszkodowanie. My tu prowadzimy firmę, pamiętasz? Może to i przypomina

organizację charytatywną, ale to nadal jest przedsięwzięcie mające przynosić zyski, choćby wszystkim wokół wydawało się inaczej.

- Ale przynajmniej to rozważysz? - zapytał Douglas. Wiedział już, że mnie przekonał.

- Pod jednym warunkiem - zastrzegłam szybko. - Rozejrzysz się za nową sprzątaczkę.

Jak trudne może być znalezienie kogoś, kto będzie przychodził każdego ranka, żeby odkurzyć i trochę ogarnąć biuro? Szybko odkryliśmy, że to prawie niemożliwe. Sprzątaczkę albo w ogóle się nie zjawiały, albo cały czas spędzały na paleniu papierosów i piciu herbaty.

- Umowa stoi - zgodził się rozradowany Douglas.

Ofiarą była Morag McCallum, siedemnastolatka mieszkająca w pobliżu swego domniemanego zabójcy, czterdziestoletniego rozwodnika, Georgea Kempa. Kemp odziedziczył niewielki zakład i w krótkim czasie rozwinął go w prężnie działającą fabrykę. Mieszkał w położonym niedaleko od Glasgow Bothwell, miasteczku piłki nożnej, przemysłu maszynowego i milionerów branży cukierniczej.

Skończyłam czytać sprawozdania z umorzonego procesu karnego zaskoczona, że sprawa została oddalona z braku dowodów. Może Douglas miał jednak rację?

Ciało Morag zostało znalezione twarzą do ziemi w lasku niedaleko rzeki Clyde. Teren był częstym miejscem spacerów właścicieli psów, a ścieżka prowadziła do ruin zamku Bothwell. Odkrycia dokonano po upływie około trzydziestu godzin od chwili śmierci.

*...stężenie pośmiertne ustąpiło, ciało wiotkie... obecność plam opadowych widocznych w okolicy grzbietowej... twarz i szyja*

*przekrwione, ciemnoczerwone... zamknięcie żyły szyjnej i tętnicy szyjnej wspólnej... wybroczyny w spojówkach i błonie śluzowej w okolicach warg... tępy uraz gardła, najprawdopodobniej spowodowany uciskiem dłońmi... złamanie kości gnykowej i rozległe zasinienia powłok skórnych szyi...*

Morag została uduszona - i to najwyraźniej gołymi rękami, bo nie stwierdzono śladów zadzierzgnięcia - ale nie doszło do gwałtu. Ciało ofiary zostało przeniesione. Znaleziono je twarzą do ziemi, natomiast sekcja zwłok wykazała, że po zabójstwie Morag leżała na plecach przez co najmniej sześć godzin.

Plamy opadowe powstają w wyniku zatrzymania krążenia krwi w naczyniach krwionośnych, która w wyniku działania sił grawitacji opada. Jeśli zwłoki pozostają w niezmienionej pozycji przez co najmniej sześć godzin, krew gromadzi się w częściach położonych najniżej. Ciało Morag zostało odwrócone.

Czy naprawdę potrzebowałam tego nowego koszmaru? Szczerze mówiąc, nie. Dlaczego w ogóle przyszli z tym do mnie? Nie byłam przecież znana z tego typu spraw. Może uznali, że ten przypadek poruszy w moim sercu jakąś strunę? Zadrzałam bezwiednie.

Nitka z sieci życia obcego człowieka wplotła się w mój los. Sam fakt, że poznałam tragedię Morag, że przeczytałam akta jej sprawy wystarczył, by nas połączyć.

Czy tak naprawdę funkcjonuje ten świat? Chaotyczna płatanina różnych linii życia, łączących się ze sobą i biegnących wspólnie od jednego punktu do drugiego. Jeśli tak jest, to nasze decyzje nie mają żadnego znaczenia. Przeznaczenie układa plan, który zostanie zrealizowany niezależnie od tego, jak bardzo staralibyśmy się mu przeciwstawić.

Przymknąwszy oczy, oddałam się przez chwilę rozmyślaniom,

zanim w końcu otworzyłam raport entomologiczny z zakładu medycyny sadowej. Na podstawie aktywności owadów można było ustalić, czy ofiarę zamordowano w miejscu, w którym ją znaleziono, czy też zwłoki zostały tam podrzucone. W tym momencie do drzwi zastukała Bronte. Szybko zamknęłam więc akta.

- Więc to jest centrum dowodzenia? - Finlay wkroczył do pokoju tuż za Bronte. - Fajne rybki.

- Nie, to tylko mój gabinet. Zdaje się, że najważniejsze decyzje zapadają w recepcji.

Wszyscy zawsze świetnie się tam bawili, podczas gdy obie z Liz pracowałyśmy ciężko gdzieś w głębi biura.

- Finn chciał wiedzieć, co robimy z Bożym Narodzeniem. Myślisz, że dadzą mamie przepustkę na święta? - odezwała się Bronte.

- Nie wiem. Pewnie i tak nie wypuściliby jej bez nadzoru.

- Tata poczułby się lepiej, gdyby mama wróciła do domu - dodała Bronte.

- Porozmawiam o tym w szpitalu. Zobaczymy, czy w ogóle rozważą taką możliwość.

W głębi duszy pomyślałam sobie jednak, że mogłoby to stworzyć kolejny problem - co powiemy ojcu, kiedy matka znowu zniknie.

- Chcesz, żebyśmy poszli z tobą? - zaproponował Finlay.

- Nie, poradzę sobie.

- Śledztwo posunęło się choć trochę? - Finlay zanurzył palec w wodzie, strasząc tym rybki.

Wszyscy troje poczuliśmy dziwne podekscytowanie, kiedy policja poprosiła o zgodę na przeprowadzenie nam testów DNA. To znaczyło, że został znaleziony jakiś niezidentyfikowany



materiał dowodowy. Miałam nadzieję, że będzie wystarczająco podobny do naszych próbek, ale nie identyczny. Modliłam się, żeby wskazywał na Lelanda.

- Nie wiem, ale może dzięki DNA uznają w końcu, że on naprawdę tam był i nie jest tylko wytworem mojej wyobraźni.

- Wypuszczą mamę, jeśli go złapią? - Finlay wytarł palce o swoje workowate spodnie.

- No cóż, mama nie została formalnie oskarżona, więc policja chyba nie mogłaby trzymać jej dłużej w Leverndale.

- Nadal jest z nią tak źle? - zapytała Bronte.

- Raczej tak. Przez większość czasu jest po prostu... obojętna.

- Może chodzi o ciebie - podsunęła Bronte - i gdyby odwiedziło ją któreś z nas, byłaby rozmowniejsza?

Ta sprawa już od jakiegoś czasu była tematem rodzinnych sporów.

- Zapytam dyrektora jeszcze raz, czy możecie z Finlayem odwiedzać matkę, ale jak na razie pozwalają mi tam przychodzić tylko dlatego, że jestem prawniczką - skłamałam. Tak naprawdę nie chciałam po prostu pozwolić, aby te nieliczne przysługujące nam wizyty zostały wykorzystane do czego innego niż mój własny cel. Musiałam odkryć prawdę. I znaleźć Lelanda.

- To takie niesprawiedliwe - mruknęła Bronte z obrazą w głosie.

- Wiem. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby nakłonić ich do zmiany decyzji - powiedziałam, a Finlay pokiwał głową. - Złożę oficjalną prośbę o zwolnienie matki przynajmniej na święta. Zgoda?

- Powtórzysz jej, że się o nią martwimy? - poprosiła Bronte.

- Oczywiście, za każdym razem przekazuję jej wasze pozdrowienia - obiecałam. Nie chciałam upokarzać Bronte, bo

naprawdę ciężko pracowała, dogadywała się z resztą personelu i była uprzejma wobec klientów, dlatego byłam zażenowana, kiedy musiałam zwrócić jej uwagę. - Hm, nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale mogłabyś nie zakładać dzinsów do pracy?

- Przepraszam, nie miałam czasu zrobić prania.

- Wiem, że masz teraz mnóstwo spraw na głowie. Może porozmawiam z Marthą i zatrudnimy jeszcze kogoś do pomocy? Pokryję wszelkie związane z tym koszty.

Bronte wzruszyła ramionami i wyszła. Zdaje się, że ostatnio za każdym razem, gdy otworzę tylko usta popełniam jakąś gafę. Rzuciłam się w wir pracy i reszta dnia upłynęła bardzo szybko. Kiedy spojrzałam na zegarek, okazało się, że pora już zbierać się do wyjścia. Upewniłam się jeszcze, że wszystko jest przygotowane do spotkania mającego się odbyć następnego ranka - pani Murphy chciała, żeby to właśnie nasza niewielka firma zajęła się ustanowieniem jej funduszu powierniczego. Drobną sprawą, ale napawającą nadzieją na przyszłość. Pani Murphy ufała mi i była gotowa powierzyć swoje pieniądze. Francis Park osobiście dostarczył mi wszystkie potrzebne papiery i zaproponował swoją nieoficjalną pomoc w załatwieniu wszystkiego.

Spakowałam dokumenty do aktówki i po namyśle dołożyłam jeszcze akta sprawy Morag McCallum. Kiedy otworzyłam drzwi, okazało się, że wyjście blokuje mi olbrzymi, trzymetrowy świerk norweski. Przeklinając i mrużąc gniewnie pod nosem przepchnęłam się przez jego kujące gałęzie.

- Skąd to się tutaj wzięło? - zapytałam, kiedy w końcu udało mi się wydostać do recepcji.

- Pewnie z Norwegii - odparła uprzejmie Suzi, nie przerywając przesuwania, przy wydatnej pomocy Douglasa, ogromnej donicy

z drzewkiem pod okno. Wszędzie pełno było rozsypanej ziemi.

- Nie za duża ta choinka?

- Ależ skąd! Jest idealna - przekonywała z entuzjazmem Suzi.

- Myślałam, że nie obchodzicie Bożego Narodzenia?

- Nie świętujemy narodzin Jezusa Chrystusa, jeśli o to ci chodzi, ale lubię całą tę zabawę i bożonarodzeniowe dekoracje.

- Właśnie widzę - mruknęłam i pokuśtykałam w stronę wyjścia.

- Jak się nazywał ten wędrujący las u Szekspira? - zapytał nagle Douglas.

- *Póki Las Birnam ku Dunzynańskiemu Wzgórzu nie pójdzie walczyć przeciw niemu*<sup>3</sup> - zacytowałam nonszalancko z „Makbeta”.

- I ten las wcale nie wędrował, tylko żołnierze wykorzystali gałęzie drzew jako kamuflaż.

- Jest coś, czego nie wiesz? - Suzi wysunęła głowę zza drzewka i uśmiechnęła się szeroko.

- Mnóstwo rzeczy.

- Mamy nową sprzątaczkę! - zawołał jeszcze za mną Douglas.

- Wspaniale!

- Babcia Suzi - tak chyba powiedział. Kolejna pani Lu pracująca dla nas? Aż strach o tym myśleć. A drzewko nie dotrwa nawet do gwiazdki. Będziemy brodzić w świerkowych igłach po kolana.

Na ulicach kłębiły się tłumy. Do wielkiego dnia pozostał już tylko miesiąc, więc większość ludzi wyszła wcześniej z pracy, żeby poddać się zakupowej gorączce. Ja nie zdążyłam jeszcze poczynić żadnych przygotowań. Zwykle już przed końcem listopada wszystkie prezenty miałam kupione i starannie zapakowane, ale ten rok nie był taki, jak inne. Koniec tysiąclecia, rok, który powinien naprawdę zapaść nam w pamięć. Zamiast tego na okrągło tylko kryzysy i katastrofy.

Nagle koło mnie zatrzymał się samochód. Byłam zaskoczona widokiem Paula pochylającego się nad siedzeniem pasażera, żeby otworzyć drzwi od mojej strony. Często widywałam pary odbierające się nawzajem z pracy i teraz zastanawiałam się, czy tak właśnie wyglądamy dla osób postronnych.

Czy domyślali się, że połączyła nas nie strzała Kupidyna, lecz cierpienie? Po raz setny zapragnęłam innego życia. Kolejnej szansy. Spuścizna Lelanda zbliżyła nas do siebie, jednocześnie tworząc pomiędzy przepaść nie do przebycia.

- Podrzucić cię gdzieś? - zapytał Paul.

- Dzięki, nie trzeba. Muszę w końcu zrobić świąteczne zakupy - wyjaśniłam, dla pewności opierając się o drzwi samochodu, choć byłam już w stanie poruszać się całkiem nieźle przy pomocy tylko jednej kuli.

<sup>3</sup> Przekład Józefa Paszkowskiego.

- No to na razie. O której będziesz w domu?

- W okolicach siódmej. Zadzwoń do ciebie - zatrzasnęłam drzwiczki i pokuśtykałam dalej. Czekałam na zielone światło przed przejściem dla pieszych, obejrzałam się jeszcze za siebie i zauważyłam Bronte wskakującą do jego samochodu.

Nie chciałam, żeby to uczucie zagościło na dobre w moim sercu. Nie wróciłam do domu o siódmej. Zamiast tego poszłam do kina. Szósty zmysł to nie był chyba najlepszy wybór. Kiedy ten mały chłopiec, Cole, powiedział „Widzę martwych ludzi” omal nie wrzasnęłam na cały głos. Ja też widzę martwych ludzi, pomyślałam. Tyle że oni nadal żyją.

Przez całą ceremonię pogrzebową lekko mżył deszcz. Jasnego nieba nie przesłaniały żadne chmury, za to zimne grudniowe powietrze było wręcz szare.

W pochówku wzięli udział tylko najbliżsi członkowie rodziny. Kuliliśmy się przy grobie ojca przytłoczeni żalem. Podczas nabożeństwa żałobnego wszyscy trzymaliśmy się mocno za ręce, ale teraz matka stała nad brzegiem grobu niczym kamienny posąg. Dwóch strażników z Leverndale obserwowało wszystko z szacunkiem z pewnej odległości.

Finlay i Bronte zamienili wcześniej parę słów z matką i byli przerażeni jej stanem. Podczas moich wizyt w szpitalu zdarzały się jej krótkie przebłyski przytomności umysłu, ale nikomu nie mówiłam o tym, czego udało mi się dowiedzieć podczas tych spotkań. Zbierałam te okruchy wiadomości jak elementy układanki. Dopiero kiedy je do siebie dopasuję, wyjawię całą prawdę.

Matka nie ukrywała Lelanda przez te dziesięć lat, tak jak to wcześniej podejrzewaliśmy. Pojawił się tak po prostu, zupełnie zniecka, w marcu. „Myślałam, że to duch”, wyznała mi szeptem matka.

Teraz patrzyłam, jak składa kwiaty na grobie swojego męża. Czy tylko mi się zdawało, czy naprawdę zauważyłam lekkie

zmarszczenie brwi, kiedy dostrzegła brak tablicy nagrobnej z imieniem Lelanda? To ja kazałam ją wcześniej usunąć.

Spędziłam wiele godzin z ojcem przed jego śmiercią, czytając mu artykuły z ornitologicznych czasopism i opowiadając zabawne historyjki o psach i Maksie. Próbowałam być dla niego równie wielką pociechą, jaką on był dla mnie. Nawet przebywanie z nim w jednym pokoju sprawiało, że czułam się lepiej. Ojciec nigdy nie wspominał o Lelandzie, więc ja też nie poruszałam tego tematu. Niektóre rzeczy lepiej zostawić w spokoju.

Czasami ojciec pytał o matkę, łatwo dawał się jednak zbyć tą samą wymyśloną przez Bronte bajeczką. To był chyba najdłuższy turniej brydżowy w dziejach świata.

Zainteresowanie mediów uczyniły z nabożeństwa naprawdę ciężkie przeżycie, ale na duchu podnosiła mnie świadomość, że tyle osób zjawilo się na pogrzebie ojca. Było coś kojącego w widoku tych wszystkich ludzi, którzy przewinęli się przez jego życie, a teraz zjawili się, aby go pożegnać.

Sierżant Marshall i Michael McCabe zjawili się również, podobnie jak Paul, Liz, Douglas i Karen. Nie wszyscy z nich znali mojego ojca, ale ich udział w ceremonii był dla mnie niezwykle cennym wyrazem szacunku. Dało się też zauważyć nieobecność kilku ważnych osób, ale któż mógłby ich winić? Nie każdy chciał być łączony z naszą okrytą niesławą rodziną.

Za swoich ciemnych okularów w stylu Jackie Onasis przyglądałam się twarzom żałobników. Wcześniej łudziłam się nawet, że Leland też się pojawi, rzucając nam w ten ostentacyjny sposób wyzwanie.

Wracaliśmy z cmentarza w kondukcje składającym się tylko z dwóch limuzyn. Z łatwością pomieścilibyśmy się w jednej, ale

wydało mi się to zbyt skromne, dlatego nalegałam na dwa samochody.

Max uznał, że obecność limuzyny na podjeździe przed domem to świetna sprawa i spędził ostatnie pół godziny przed naszym wyjazdem na pogrzeb, opuszczając i zamykając okna i naciskając wszystkie możliwe guziczki. Na rodzinnym forum uradziliśmy, że lepiej nie zabierać go na cmentarz.

Teraz oparłam się o drzwiczki limuzyny, dziękując przedsiębiorcy pogrzebowemu i kierowcy. Max wypadł z domu, żeby jeszcze raz przyjrzeć się limuzynie.

- Ern, ja tak strasznie chciałbym nią przejechać - westchnął.

Zerknęłam na kierowcę, który odpowiedział mi uśmiechem.

- Dobrze. Jedna rundka dookoła domu, ale nie baw się guzikami - zastrzegłam.

Max wydał radosny pisk i natychmiast wdrapał się na siedzenie. Czemu chłopcy tak uwielbiają samochody? Wiedziałam, że rodzina czeka na mnie, ale specjalnie zostałam na dworze, czekając w lekkiej mgiełce deszczu, aż wróci Max.

Zgodnie z instrukcjami pozostawionymi przez ojca, jego testament miał zostać otwarty zaraz po pogrzebie. Oczami duszy już widziałam tę scenę jak z gównianego telewizyjnego filmu - wszyscy siedzimy sobie w salonie, wydając okrzyki zdumienia, kiedy wykonawca testamentu odczytuje poszczególne zapisy.

Nie rozumiałam, dlaczego musimy przez to przechodzić właśnie dzisiaj. Potrzebowałam czasu i samotności, żeby móc opłakać ojca. Nie miałam ochoty omawiać teraz najdrobniejszych szczegółów jego ostatniej woli. Wręczyłam napiwek kierowcy limuzyny i zabrałam Maksa do domu.

- Gdzie wy się podziewacie - przywitała nas Bronte w drzwiach wejściowych.

- Pozwoliłam Maksowi przejechać się limuzyną.
- Wszyscy czekamy już tylko na ciebie - warknęła.
- I bardzo dobrze.

Po co cały ten pośpiech? Chce się przekonać, ile odziedziczyła? Pazerna małpa.

Weszłam do kuchni, gdzie Martha przygotowywała właśnie kanapki.

- Mogłabym dostać filiżankę kawy?
- Może chcesz coś mocniejszego? Reszta pije sherry.
- A masz valium?
- Przykro mi. Mogę ci służyć co najwyżej aspiryną.

Wzięłam podane mi przez Marthę tabletki, a potem małymi łyżkami wypiliśmy swoją kawę. Tak wiele nam odebrano od czasu ostatniego pogrzebu w naszej rodzinie. Wciąż żałowałam z całego serca, że to nie Leland leżał w trumnie, którą pogrzebaliśmy wiele lat temu - gdyby tak było, to wszystko nigdy by się nie wydarzyło. Bez końca zastanawiałam się czyje ciało złożyliśmy wtedy do grobu, czyje ciało matka zidentyfikowała, a potem kazała ekshumować i poddać kremacji.

- Ern, dlaczego u nas nie ma choinki? - Max podbiegł do mnie w podskokach, kiedy szłam wolnym krokiem do salonu. - Wszyscy mają.

- Wiem, słoneczko. Pomyślałam sobie po prostu, że poczekamy z tym, aż dziadziś pójdzie do nieba - wyjaśniłam, gładząc jego miękkie, jasne włosy. Bronte w końcu powiedziała mi, kto jest jego ojcem, przyznając się przy okazji, że nigdy nie powiedziała temu mężczyźnie o ciąży. Kolejna niewidoczna przeszkoda, która może nam narobić kłopotów w przyszłości.

- Dziadziś nie lubił choinek? - zdziwił się Max.
- Oczywiście, że lubił choinki, ale na widok drzewka mogłoby



zrobić mu się smutno, że nie będzie z nami w te święta.

Max skinął powoli głową.

- To dziadzius wiedział, że umrze? Jak ja się w to w ogóle wplątałam?

- Nie, ale gdybyśmy ubrali choinkę, byłoby mu przykro, że cieszymy się z gwiazdki, a on jest taki chory.

Max przechylił głowę na bok, marszcząc przy tym brwi.

- Ale przecież gwiazdka jest dla małego Jezuska i trzeba się cieszyć?

Dlaczego Bronte nie musi odpowiadać na takie pytania? Pewnie zawsze powtarza Maksowi, że te najtrudniejsze ma zostawić dla mnie.

- Oczywiście, że powinniśmy się cieszyć. Przepraszam, Max, chyba strasznie namieszałam. Nie mamy jeszcze choinki, bo... bo... dziadzius był uczulony na sosnowe igły... i... jutro na pewno kupimy drzewko.

- Super! Mogę iść z tobą? Mogę wybrać choinkę? I będzie taka duża? - chłopiec rozsunął ramiona na całą szerokość. - I powiesimy gwiazdkę na samym czubku?

Dlaczego nie wpadłam na ten pomysł od razu? Gdyby Max zapytał mnie teraz, czy może pomalować mnie na zielono i przyozdobić lampkami choinkowymi, pewnie bym się zgodziła.

Odetchnęłam głęboko i otworzyłam drzwi do salonu.

Francis Park i Iain Halliday poderwali się z krzesel, żeby się ze mną przywitać. Podziękowałam im za przybycie i usiadłam koło Finlaya. Iain stanął przed kominkiem z plikiem papierów w rękę i odchrząknawszy rozpoczął uroczyste.

- *Zgodnie z ostatnie wolę Sir Maxwella Laspica Rossa Patersona, kawalera Orderu Imperium Brytyjskiego, spisanej i potwierdzonej zgodnie z wymogami prawa dwudziestego maja tysiąc dziewięćset*

*dziewięćdziesiątego dziewiątego roku...*

Zmarszczyłam brwi. Ojciec zmienił swój testament już po drugim udarze? Dziwne. Słuchałam nieuważnie, jak Iain odczytuje cały ten prawniczy żargon typowy dla takich dokumentów, bez przerwy zastanawiając się, dlaczego ojciec zmienił testament.

*- Majątek ma zostać rozdzielony równo pomiędzy trójkę moich dzieci: Erin Georginę Paterson, Bronte Elizabeth Paterson i Finlaya Patersona oraz mojego wnuka, Maxwella Davida Patersona. Część przypadająca w udziale Maxwellowi Davidowi Patersonowi pozostanie w zarządzie powierniczym do czasu osiągnięcia przez niego dwudziestego pierwszego roku życia. Wyznaczam jego ciotkę, Erin Paterson, jego wuja, Finlaya Patersona, jego matkę, Bronte Paterson oraz Iaina Hallidaya i Francisę Parka na powierników...*

Zaszokowana Bronte otworzyła szeroko usta, Finlay wymamrotał coś jakby „Chryste Panie” pod nosem, a ja z trudem powstrzymałam się od przerwania Iainowi. Byłam oszołomiona. Tego nie przewidziałam. Ojciec zostawił wszystko nam. Całkowicie wykluczył matkę ze swojego testamentu.

Iain odczytywał teraz resztę dokumentów: klauzule dotyczące naszego spadku, funduszu powierniczego Maksa, odrębnych zapisów na rzecz Marthy, ulubionych organizacji charytatywnych i starych przyjaciół. Potem zaczął wymieniać listę aktywów ojca, mających wejść w skład masy spadkowej. Dom, ewentualne dochody z udziału w nowej spółce Cohen Paterson, wiejska posiadłość w Crail, kolekcja szkockich kolorystów, jego fundusz emerytalny, akcje, środki na rachunkach oszczędnościowych i kontach bankowych.

Zastanawiałam się, jak część tego majątku pozostała nietknięta. Po cichu podejrzewałam, że kiedy zaczęło brakować

gotówki matka, mająca wszelkie pełnomocnictwa, powoli zaczęła wyprowadzać pieniądze z tych aktywów. Na ile zdążyłam się już zorientować z ich wyciągów bankowych, rodzice mieli kłopoty finansowe.

Iain zrobił dramatyczną przerwę i popatrzył na każdego z nas z osobna. Na policzki Bronte wypłynął rumieniec, a Finlay zapalił jakiegoś dziwnie pachnącego papierosa własnej roboty.

- Jest jeszcze jedna sprawa. Ostatnia klauzula - Iain znowu na chwilę zamilkł. - Sir Maxwell Paterson zaznaczył wyraźnie, że życzy sobie, aby jego ukochana żona, Lady Georgina Grace Paterson, nie korzystała po jego śmierci z ich wspólnego majątku. Powyższe aktywa mają być zarządzane i rozdysponowane zgodnie z wolą i najlepszym osądem trojga pełnoletnich spadkobierców. Do czasu swojej śmierci Lady Georgina Paterson będzie otrzymywać z majątku swojego męża kwotę pokrywającą rozsądne koszty utrzymania, mieszkania oraz opieki zdrowotnej.

Pierwszą moją myślą było to, że jeśli matka zdecyduje się zaskarżyć ten testament, to pewnie zdoła go obalić, ale teraz dręczyły mnie o wiele poważniejsze wątpliwości.

- Iain, mogę cię o coś zapytać?

- Oczywiście.

- Dlaczego ojciec zmienił swój testament i dodał tę klauzulę na końcu?

- Szczerze mówiąc nie wiem - odparł Iain, dolewając sobie sherry. - Ale nie muszę ci chyba mówić, Erin, że łatwo będzie obalić ten testament w sądzie.

Typowy prawnik. Od razu zmienił temat.

- Oczywiście, mam tego świadomość. Poza tym dobrze wiem, że sytuacja jest niezwykle trudna dla ciebie i Francisa. Jednak biorąc pod uwagę zaistniałe okoliczności, bylibyśmy wdzięczni

za wszelkie uwagi mogące rzucić światło na tę sprawę.

Francis zacisnął usta, próbując jak najlepiej dobrać słowa, w końcu jednak się odezwał.

- Po drugim udarze twój ojciec zwrócił się do mnie z prośbą o dokonanie zmian w testamencie. Początkowo sądziliśmy, że uświadomiwszy sobie nieuchronność swojej śmierci, postanowił umieścić w nim także swojego wnuka, jednak twój ojciec poprosił o przeredagowanie całego dokumentu od początku do końca. Byliśmy zaskoczeni wykluczeniem twojej, hm, matki z grona spadkobierców, ale uznaliśmy, że Lady Georgina ma własny majątek, a takie rozwiązanie zostało uzgodnione przez nich oboje.

- I? - dopytywałam.

- O co pytasz? - zająknął się Iain.

- Jaki był powód tej decyzji?

- Nie mamy co do tego pewności - wtrącił się Francis - ale po całej tej... nieprzyjemnej sprawie uznaliśmy, że właśnie to mogło być przyczyną.

- Tylko że testament został zmieniony w maju, a ta „nieprzyjemna sprawa”, jak to ująłeś, wydarzyła się w październiku.

- Przykro mi, Erin, ale jesteśmy tym równie zaskoczeni, jak ty. Być może twoja matka, obawiając się, że jej mąż jest bliski śmierci, powiedziała mu o czymś. Ostatnie wyznanie i tego typu sprawy.

Nie chciałam uznać najbardziej oczywistego wyjaśnienia, bo to oznaczałoby, że ojciec nie był jednak tak niewinny, jak mi się wydawało.

- Kiedy odczytacie jej testament?

- Dziś wieczorem o szóstej - Iain popatrzył mi głęboko w oczy.

Wiedziałam, o czym myśli. Matka mogła przecież podważyć testament. Tyle że to akurat nie miało dla mnie żadnego znaczenia. O wiele ważniejsze było poznanie przyczyny tych drastycznych zmian.

Zjedliśmy razem podwieczorek, rozmawiając przy tym o jakichś błałych sprawach, ale nie mogłam się już doczekać, kiedy obaj prawnicy wyjdą, a ja będę mogła porozmawiać poważnie z rodzeństwem.

W końcu tuż przed czwartą poszli. Martha zabrała się za uprzątnięcie stołu, więc poprosiłam Bronte i Finlaya z powrotem do salonu.

- Musimy porozmawiać.

- O testamencie? - domyśliła się Bronte.

- I o paru innych sprawach - odparłam z powagą.

Finlay poruszył dramatycznie brwiami, a ja uświadomiłam sobie nagle, jak bardzo go kocham. Był tak inny od Bronte i ode mnie, nieskażony.

- Rany, w życiu bym się nie spodziewał. Żeby nic mamie nie zostawić.

- I co z tym zrobimy? - zapytała Bronte, nalewając sobie kolejny dzin z tonikiem. Patrzyłam, jak bąbelki przywierają do ścianek szklanki z grubego kryształu, a potem szybko mkną w górę.

- Naprawdę chcecie, żeby każde z nas wzięło swoją część bez dzielenia się z matką? - zapytałam. Oboje popatrzyli na mnie jakbym była z obcej planety. - Rozumiem - mruknęłam szorstko.

- Och, daj spokój, Erin. Z niej też nie jest taka znowu matka Teresa. Przez ostatnie dziesięć lat ukrywała mordercę! - burknęła z niezadowoleniem Bronte.

- Dobrze wiesz, że ta sprawa jest o wiele bardziej

skomplikowana. Całkiem do niedawna matka też była przekonana, że Leland nie żyje.

- Ale to nie zmienia faktu, że on jest mordercą.

- Tylko co tu pomoże karanie matki? - zauważyłam.

- Jak możesz w ogóle tak mówić? Pamiętaj, że on nadal jest na wolności! - Bronte skoczyła na równe nogi, rozlewając alkohol na dywan.

- Matka była przekonana, że postępuje słusznie. Jest chora. To już nie ta sama osoba...

Bronte nie pozwoliła mi dokończyć.

- Ale on robił straszne rzeczy! A matka dawała mu pieniądze. Co będzie, jeśli wszystko zapisze mu w testamencie?

- Nie bądź śmieszna, Bronte!

Finlay siedział jak na rozżarzonych węglach. Nienawidził kłótni, a zbrodni Lelanda starał się w ogóle nie dopuszczać do świadomości.

- Hej, dziewczyny, nie kłóćmy się... - próbował mitygować, ścigając w ten sposób na siebie nasz gniew.

- Zamknij się, Finn! Nawet nie wiesz, przez co przeszliśmy! - wrzasnęła Bronte.

- To nie ma z tobą nic wspólnego - dodałam.

- Jak rany, wciąż jestem waszym bratem - Finlay podniósł ręce do góry.

- Przepraszam, ale naprawdę nie masz o tym zielonego pojęcia - dodałam. - Powinieneś się cieszyć.

- Wybierasz się do matki? - zapytała mnie Bronte.

- Jutro. Niech najpierw porozmawia z nią Iain.

- W takim razie zaczekamy z ostateczną decyzją do jutra - mruknęła zrzędlawie Bronte, siadając z powrotem.

- Jeśli matka nie zaskarży testamentu, będziemy musieli

zapłacić podatek spadkowy.

- Dużo? - zaniepokoiła się Bronte.

- Tak. Pewnie trzeba będzie sprzedać dom. To główny składnik masy spadkowej.

- Ale to przecież nasz... dom... - wtrącił się Finlay.

- Wiem. Ale oboje z Bronte nie możecie tu zostać. Koszty jego utrzymania są horrendalne i musielibyście w to włączyć wszystkie odziedziczone pieniądze, jakie zostaną wam po zapłaceniu podatków.

- A może ty też byś się tu przeprowadziła? Wszyscy razem w jednym dużym domu. Moglibyśmy podzielić się kosztami.

- Nie ma mowy!

- Nie daj się prosić. Co ty na to, Bronte? Nie byłoby fajnie? Bronte uniosła brew.

- Erin jest jak gestapowiec, Finn. Nie podobałoby ci się takie życie.

- Zapewniam cię, Finlay, że mieszkanie ze mną pod jednym dachem nie przypadłoby ci do gustu ani trochę. I zgaś tego skręta. Jeśli matka zdoła obalić w sądzie ten dokument, wtedy ważność odzyskuje poprzednia wersja, albo sąd potraktuje całą sprawę tak, jakby ojciec nie zostawił żadnego testamentu.

Bronte i Finlay patrzyli na mnie pustym wzrokiem.

- W takim przypadku podział spadku odbędzie się zgodnie ze szkockim prawem. Najprościej rzecz ujmując matka: dostanie praktycznie wszystko i może kazać wam tak po prostu wynieść się z domu. Nawet jeśli trafi do więzienia, nadal będzie mogła w majestacie prawa wyrzucić was na bruk.

Nie dodałam już, że potrafiłabym przeciągać taką sprawę w sądzie całymi latami.

- W porządku, kolejna propozycja. Nie sprzedamy domu.

Zatrzymacie go sobie z Bronte, a ja odbiorę swoją część jego wartości z innych aktywów. Możesz tu mieszkać, a koszty jego utrzymania pokryjesz, znajdując sobie po prostu pracę.

Wiedziałam, że Finlayowi spodoba się zwłaszcza ten ostatni pomysł.

- Ale ja miałem zamiar jechać jeszcze na trochę do Tajlandii, żeby, no wiesz, ochłonać - tłumaczył się Finlay Bronte rozparła się jeszcze bardziej na kanapie, jednym haustem dopijając swojego drinka.

- Skończmy tę dyskusję na dzisiaj. Wrócimy do tematu jutro. Najpierw dowiem się od Iaina i Francisa, jak matka przyjęła tę wiadomość.

- Super.

- Aha, Bronte - nie pij za dużo. Mamy jutro mnóstwo roboty, a ty w zeszłym tygodniu już dwa razy spóźniłaś się do biura.

Bronte rzuciła mi ciężkie spojrzenie.

Weszłam na górę, żeby zajrzeć jeszcze do Maksa. Rysował świętego Mikołaja, nucąc sobie przy tym pod nosem *W żłobie leży*.

- Robię kartki świąteczne - wyjaśnił na mój widok i zaprezentował mi swoje dzieło.

- Są śliczne. Przyślesz mi jedną?

- Tak. I Finnowi, i pani Orman z przedszkola, i babci.

- To wspaniale - mruknęłam machinalnie.

Jak zorganizujemy te święta? Zawsze obchodziliśmy Boże Narodzenie w tym domu. Co roku przyjeżdżałam tu w Wigilię i pomagałam nakryć do stołu. W salonie stała choinka, a cały dom pachniał świątecznym ciastem i sosnowymi igłami. To był jedyny czas w roku, kiedy naprawdę miałam poczucie przynależności.

- A zastanowiłeś się już, o co poprosisz świętego Mikołaja?

- Tak - Max podniósł na mnie wzrok. - Chcę dostać małego



braciszka albo siostrzyczkę.

Miałam tylko nadzieję, że nie powiedział o tym Bronte.

- A co powiesz na klocki lego?

- Nieee, mam już dużo. Ern, a ty chciałabyś malutkiego braciszka albo siostrzyczkę?

- Już mam i jedno, i drugie.

- Nie, takiego całkiem twojego braciszka albo siostrzyczkę. Takiego dzidziusia.

- Chodzi ci o mojego własnego synka albo córeczkę?

- Tak. Właśnie - Max rozpromienił się w uśmiechu. - Dzidziusia. Jak mały Jezusek.

- Bardzo bym chciała, ale czasami sprawy nie układają się tak, jakbyśmy sobie tego życzyli.

- Możesz poprosić Mikołaja.

- Masz rację, kotku. Zawsze mogę poprosić świętego Mikołaja - ucałowałam siostrzeńca w czoło i pojechałam do domu.

Bronte zaczynała działać mi na nerwy, podobnie jak Suzi, Douglas i Karen. Patrząc na ich zachowanie można by pomyśleć, że nigdy nie obchodzili Bożego Narodzenia. Tylko Bronte miała coś na swoje usprawiedliwienie - w końcu była mamą czterolatka - ale reszta irytowała mnie swoją infantylnością. Poprosili mnie nawet o zgodę na puszczanie świątecznej muzyki w recepcji. Zgodziłam się niechętnie, przekonana, że chodzi o jakiś klasyczne chóry wyśpiewujące wytworne kolędy, a teraz plułam sobie w brodę, zarzekając się, że jeśli jeszcze raz usłyszę *Santa Claus is coming to town*, zacznę krzyczeć.

Wpatrywałam się ze złością w akta dotyczące morderstwa Morag McCallum, żałując, że w ogóle do nich zajrzałam. Jej rodzice złożyli mi właśnie wizytę i byłam naprawdę wstrząśnięta ich sprawą. Świąteczna atmosfera była tu zupełnie nie na miejscu.

Przeczytałam niezwykle uważnie sprawozdania z procesu karnego, ale nie znalazłam nawet najdrobniejszego uchybienia. Sprawa została oddalona po prostu dlatego, że większość materiału dowodowego stanowiły poszlaki. Wskazywały na Georgea Kempa jedynie poprzez jego związek z ofiarą, ale nie dowodziły ponad wszelką wątpliwość, że to właśnie on jest

mordercą. Nie miałam jednak odwagi powiedzieć tego rodzicom Morag.

Niestety, bardzo się pomylili, zwracając się do mnie. Po prostu nie byłam dość mądra, żeby poprowadzić sprawę ich zmarłej córki. I to mnie właśnie przygnębiało najbardziej. Żywione w głębi ducha przekonanie, że mogę zostać świetną specjalistką od prawa kryminalnego było tylko kolejną mrzonką.

Do Bożego Narodzenia zostało już tylko dziesięć dni, a ja wcale nie byłam w świątecznym nastroju. Sześć dni temu pożegnałam ukochanego ojca i odkryłam rzeczy, które mnie zaskoczyły.

Matka wiedziała o testamencie. Pomogła go ojcu sporządzić. Kiedy ją zapytałam, dlaczego wykluczyła samą siebie z grona spadkobierców, matka pochyliła się w moją stronę i szepnęła:

- Żeby on nie mógł się dostać do pieniędzy.

- Kto? - zapytałam również szeptem. Matka uśmiechnęła się tylko i pokiwała głową. Powiedziała mi też, że rozwiązała firmę, żeby chronić mnie i kancelarię przed nieuniknioną pozogą, którą musiało wywołać pojawienie się Lelanda.

Ale Leland nie zrobiłby tych złych rzeczy. Przecież on nie skrzywdziłby muchy. Leland nie żyje. Utonął dwanaście lat temu. I tak bez końca. Z żalnością przysłuchiwałam się, jak matka przeskakuje w jednej chwili od całkowitej przytomności umysłu do zaprzeczenia. Nie wiedziałam, czy kiedykolwiek do nas wróci. Moja złość na nią rozviała się, kiedy patrzyłam, jak zмага się z poczuciem winy i wyrzutami sumienia, zmieszanymi z wymówkami matki broniącej swego dziecka. Tak, dawała mu pieniądze, ale to przecież sprawiedliwie, skoro nie było go w domu tyle czasu.

A gdzie był?

Leland nie żyje. Utonął. Straszna tragedia.

Zapytałam ją wtedy o sprawę ekshumacji i kremacji zwłok Lelanda, ale jej odpowiedź była prosta. W rodzinnym grobowcu pozostało już tylko jedno wolne miejsce, a ona i ojciec chcieli leżeć po śmierci razem.

- Nigdy nie spodziewaliśmy się, że przeżyjemy swoje dzieci - wyjaśniła.

Ciało ekshumowano wyłącznie po to, aby zwolnić miejsce w grobowcu, a jej mylna identyfikacja zwłok wydawała się rzeczywiście pomyłką.

- Dlaczego nam nie powiedzieliście? - zapytałam ją wtedy.

- Nie chcieliśmy was martwić - powiedziała otwarcie.

Policja przesłuchiwała mnie po raz kolejny. Tym razem nie byłam już rozwścieczona ich insynuacjami. Czułam się po prostu pokonana i przygnębiona.

Z tych niewesołych rozmyślań wyrwały mnie wybuchy śmiechu. Zakląłam pod nosem i wyszłam z gabinetu do recepcji, gdzie od razu natknęłam się na babcię Lu przebraną za renifera, z błyskającym porożem i świecącym czerwonym nosem.

- Pani Lu, do tej pory chyba powinna już pani skończyć swoją pracę? - Staralam się zachować spokój.

Babcia Suzi Lu była teoretycznie naszą nową sprzątaczką, chociaż nie zauważałam jakichś oszałamiających efektów jej pracy. Za to praktycznie w ogóle nie wychodziła z naszego biura.

- Skończyć, tak - rozpromieniła się. - Teraz się bawić.

Nie chciałam jej urazić, ale całe to zamieszanie, które robiła, zaczynało mnie już drażnić.

- To świetnie, dziękuję - uśmiechnęłam się do niej grzecznie. - Ale jestem pewna, że pozostali mają jeszcze coś do zrobienia.

Douglas zaczął przestępować z nogi na nogę, Karen unikała mojego wzroku, a Bronte z męczeńską miną przewróciła oczami.

- Tak, tak, dla zręcznego człowieka zawsze praca - pani Lu pokiwała głową z entuzjazmem.

To była kolejna z jej dziwacznych cech - osobliwe sentencje w konfucjańskim stylu. Ciągle próbowałam jeszcze rozgryźć, co miała na myśli mówiąc „Wody złotego stawu pokryte są śpiącymi kaczkami”.

- Zostało już tylko dziesięć dni do gwiazdki. Rozchmurz się - mruknęła Bronte, ale ją zignorowałam.

- Douglas, pozwól na słówko.

Pomaszerowałam z powrotem do swojego gabinetu, który zdawał się być ostatnią ostoją zdrowego rozsądku. Douglas stanął w drzwiach z nieszczęśliwą miną, najwyraźniej oczekując bury.

- Wejź i siadaj - powiedziałam. Potem odetchnęłam głęboko i wyrzuciłam z siebie: - Nie mogę poprowadzić sprawy McCallumów.

- Co takiego? Dlaczego?

- Przeczytałam akta kilka razy i nie znalazłam żadnego punktu zaczepienia. Tym razem sprawca wymknął się sprawiedliwości. Wiem, że to niesprawiedliwe, ale takie jest prawo.

- Ale on z nią sypiał - Douglas aż się zaczerwienił. - Nie przeszkadza ci to? Ona miała dopiero siedemnaście lat!

- Oczywiście, że mi to przeszkadza, ale to nie była żadna tajemnica. Jej rodzice dobrze o tym wiedzieli, a nawet zdawali się pochwalać ten związek. - Zacisnęłam usta i złączyłam palce. - No dobrze, Douglas. Najwyraźniej to dla ciebie bardzo ważne. Dlaczego?

- Po prostu uważam, że to nie w porządku.

- Ale czemu zwrócili się z tym właśnie do mnie?

- Nie wiem. Może słyszeli gdzieś o tobie...

Douglas był marnym kłamcą. I dlatego nigdy nie zostanie

dobrym prawnikiem.

- Powiedz mi prawdę, albo już nigdy nie będziemy wracać do tego tematu.

Douglas poruszył się niespokojnie na krześle.

- Moi rodzice znają rodziców Morag.

- W porządku. Świetnie. W końcu ruszyliśmy z miejsca. Znałeś Morag?

- Tak - westchnął Douglas.

- Sypiałeś z nią?

- Skąd! Oczywiście, że nie! - Douglas wyglądał na naprawdę oburzonego.

- Jak dobrze ją znałeś? A może znasz też Kempa?

- Morag spotykałem właściwie tylko przy okazji rozmaitych spotkań towarzyskich. A jego nie znam osobiście, wiem tylko, kim jest - to znaczy, widziałem go.

- Na ławie oskarżonych?

Douglas pokiwał z przygnębieniem głową.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś? Po co te wszystkie tajemnice?

- Pomyślałem, że jeśli spojrzysz na to bezstronnie, istnieje większa szansa na to, że weźmiesz tę sprawę.

Jak miałam mu się teraz przyznać, że wcale nie jestem taką dobrą prawniczką, za jaką mnie uważa?

- Douglas, chciałabym pomóc tym ludziom, ale naprawdę nie sądzę, że bym była odpowiednią osobą. Ja...

- Wiem. Specjalizujesz się w sprawach o odszkodowanie.

- Nie o to chodzi. Oni potrzebują kogoś, kto się na tym zna.

- Ale ty jesteś świetną prawniczką. Mało kto może się z tobą równać!

Roześmiałam się gorzko.

- Dziękuję, ale chyba zaślepia cię źle pojęte poczucie lojalności.

- Nie - powiedział Douglas z mocą. - Moim zdaniem przeszłaś ostatnio przez takie bagno, że straciłaś zimną krew. Poradzisz z tym sobie, wiem, że potrafisz. Odpoczniesz trochę przez święta i znowu będziesz tą dawną Erin Paterson. Pamiętasz, co zawsze mówiłaś? „My się nigdy nie poddajemy!”. To były słowa prawdziwego wojownika. Na chwilę straciłaś tę wolę walki, ale to wróci.

Popatrzyłam na niego zdumiona. Mój mały Douglas palnął mi właśnie zagrzewającą do boju mówkę. Cudom nie ma końca. Douglas wyglądał na równie zaskoczonego swoim wybuchem, co ja.

- Przepraszam. Nie chciałem cię obrazić. Zbyłam jego przeprosiny machnięciem ręki.

- Powiem ci, co zrobię - ale będę do tego potrzebowała twojej pomocy. Spisz mi wszystkie informacje dotyczące Morag, jej rodziny i ich wzajemnych układów, jej przyjaciół i życia towarzyskiego. No i wszystko, czego zdołasz się dowiedzieć na temat naszego pana Kempa - nawet najbardziej błahe, czy pozornie nie mające znaczenia rzeczy. Przyjrzę się temu jeszcze raz i spróbuję porozmawiać z policjantami, którzy zajmowali się tą sprawą.

W procesie z powództwa cywilnego mogliśmy wykorzystywać znacznie więcej różnego typu informacji do udowodnienia winy pozwanego. Plotki i pogłoski bardzo często kryją w sobie ziarno prawdy. Chodziło tylko o to, żeby oddzielić nieistotne elementy i dotrzeć do sedna. Douglas uśmiechnął się szeroko, nie chciałam jednak łudzić go fałszywą nadzieją.

- Jeśli cały ten wywiad nie przyniesie nic nowego, wtedy damy sobie spokój z całą sprawą, zgoda?

- Zgoda - przytaknął uszczęśliwiony Douglas.

- Świetnie. A teraz idź trochę popracować. I powiedz reszcie, żeby też wzięła się do galopu.

Douglas posłusznie wyszedł, ale oboje wiedzieliśmy, że to tylko czcza gadanina. Nie było nic do zrobienia. Mieliśmy jedno czy dwa wstępne dochodzenia, kilka prostych transakcji, ustanowienie jednego funduszu powierniczego i sprawę Morag McCallum. Firma nie była szczególnie oblegana i to mnie właśnie martwiło. A mój niepokój przekładał się na zwyczajny zły humor.

Nie potrafiłam tak po prostu zlekceważyć przecucia zbliżającej się nieuchronnie klęski. Ta myśl ciągle powracała. Nowa firma nie poradzi sobie na rynku, mój związek z Paulem z całą pewnością skazany był na niepowodzenie, a los mojej rodziny jest już przesądzony.

- Pozwól mi trochę odpocząć - zaklinałam bóstwa wszelkich wyznań. - Daj mi spokój choć na te dwa tygodnie.

Wstałam od biurka i wyłączyłam komputer. Nie przewidzieliśmy w naszym budżecie paniki z powodu milenijnej pluskwy i musieliśmy się nieźle wykosztować na oprogramowanie ochronne. Jeszcze kilka takich nieprzewidzianych wydatków i przekroczymy cienką granicę płynności finansowej. Wyszłam znowu do recepcji, gdzie ku swojemu zaskoczeniu zobaczyłam Paula szepczącego z Bronte i Liz. Wszyscy podnieśli wzrok jednocześnie, chociaż oczy mieli rozbiegane. Najwyraźniej coś knują.

- Co to za okropna płyta? - zapytałam Karen, która natychmiast wyciągnęła spod biurka pudełko.

Mogłam się tego domyślić. Byłam wystawiona na działanie „Kompilacji najlepszych na całym świecie piosenek bożonarodzeniowych”.



- Erin, wybieramy się wszyscy na drinka. Może pójdziesz z nami? - zaproponowała Liz.

- No, nie wiem. Mam jeszcze parę rzeczy do zrobienia... Dlaczego nie miałam odwagi na niego spojrzeć? Dlaczego czułam się tak niezręcznie?

Zarumieniłam się, tak bardzo świadoma jego obecności, swobodnego sposobu bycia, nieodpartego uroku. Tak dobrze radził sobie w każdej sytuacji, był taki rozluźniony w towarzystwie innych ludzi. Ale mieliśmy zbyt wielki bagaż doświadczeń. Nasz los został już przesądzony.

- Nie daj się prosić! Będzie fajnie, a poza tym coś nam się należy za to, że nie urządzamy firmowej gwiazdki - namawiała Bronte.

- Nie ma już chyba dzisiaj nic więcej do zrobienia - dodał Douglas.

Uległam ich namowom i poszłam po płaszcz. Potem dołączyłam do reszty, czekającej na mnie w recepcji i powoli zaczęliśmy opuszczać biuro. Pogasiłam jeszcze światła i wszystko pozamykałam. Paul zaczekał na mnie i już razem ruszyliśmy zatłoczoną ulicą.

- Widziałam się dzisiaj z rodzicami Morag McCallum. To było naprawdę rozdzierające serce spotkanie, ale naprawdę nie wiem, czy będę im w stanie pomóc. To trudna sprawa. Pamiętasz coś z tego procesu? - zapytałam.

- Niewiele. Sprawa oddalona z braku dowodów? Zdaje się, że był od dziewczyny dużo starszy ten, jak mu tam, Kemp?

- Zgadza się. Ale to chyba akurat nie miało większego znaczenia.

- Dlaczego tak myślisz?

- Zdaje się, że naprawdę lubił Morag. Kupował jej drogie

ciuchy i prezenty. Interesował się jej postępami w nauce. Prawie tak, jakby starał się zdobyć jej zaufanie. Ale czy to takie dziwne? Wiem, że była bardzo młoda, ale z tego, co czytałam, zachowywała się tak, jakby miała nie siedemnaście, a dwadzieścia kilka lat. Poza tym Kemp nie był jej pierwszym starszym facetem. Zastanawiam się nawet, czy Morag nie szukała w mężczyznach ojca. A stąd już prosta droga do pytania - co było nie tak z jej własnym ojcem?

- Podejrzewasz, że wykorzystywał ją seksualnie?

- Tego nie powiedziałam, wysoki sędzie, ale Morag na pewno nie była naiwną panienką i dobrze знаła reguły, którymi rządzi się ten świat. Jej rodzice to szanowani, ciężko pracujący robotnicy. Sądząc po pozorach, bardzo zgodne małżeństwo. Moim zdaniem Morag po prostu mierzyła wyżej.

- I dlatego ją zamordował? Bo zaczęła go naciskać?

- Nie wiem. Podczas procesu Kemp wypadł bardzo dobrze, wydawał się naprawdę zmartwiony jej śmiercią. Wszystko jest możliwe.

Zapadła chwila milczenia.

- Erin, muszę ci coś powiedzieć.

Wiedziała, do czego zmierza. Zakochał się w Bronte. Ale ja nie chciałam tego usłyszeć.

- W porządku, Paul. Wiem.

- Skąd? - zapytał, przytrzymując mnie za łokieć. Przystanęliśmy. Paul próbował zajrzeć mi w oczy, ale wbiłam wzrok w choinkowe lampki porozwieszane na George Square.

- Widziałam, co się święci. Po prostu nie chcę usłyszeć tego z twoich ust.

Paul wcisnął ręce do kieszeni, wydymając przy tym policzki.

- Kiedy się dowiedziałaś? - zapytał z głośnym westchnieniem.

Zerknęłam na niego. Co mogłam odpowiedzieć? Zauważyłam, jak dobrze czują się w swoim towarzystwie. Widziałam, jak coraz bardziej się do siebie zbliżają. Wzruszyłam ramionami.

- Skąd się o tym dowiedziałaś?

- Powiedzmy, że to sprawa intuicji - mruknęłam.

Obok nas przetaczała się właśnie grupka pijanych imprezowiczów, przysunęłam się więc bliżej Paula, żeby ich przepuścić.

- Chyba się nie rozumiemy - powiedział Paul, kładąc mi dłonie na ramionach.

Światła choinkowych lampek rozmyły się, gdy oczy zasły mi łzami. Chciałam zdobyć się na wielkoduszność i życzyć im szczęścia, ale czułam tylko rozgoryczenie.

- W News 24 zaproponowali mi półroczny kontrakt w Stanach. Chcą, żebym został ich amerykańskim korespondentem.

- Co takiego? - wydusiłam ze zdumieniem.

- To właśnie próbowałem ci powiedzieć - dodał Paul, a ja poczułam ogromną ulgę. - A ty o czym myślałaś?

- Nic... To znaczy... nic...

- Nie byłoby mnie tylko sześć miesięcy, a poza tym miałabym okazję pobyć trochę z córką. Wpadałbym, co dwa miesiące.

Z córką? Przecież nie mówił nic o żadnych dzieciach. Jaka córka? A może wspominał coś o niej wcześniej, a ja nie zwróciłam na to uwagi?

- To dla ciebie życiowa szansa - wymamrotałam.

- Ależ ty jesteś nieprzewidywalna - roześmiał się Paul. - Bałam się, że będziesz zła.

- Zła? Skąd! Opowiedz mi coś o swojej córce.

- No cóż, po rozwodzie nie widuję się z nią zbyt często. Studiuje w Nowym Jorku.

Ruszyliśmy powoli w stronę Royal Exchange Square.

- I tam się właśnie wybierasz?

- Tak. Chodźmy na George Square. Później dobijemy do reszty.

- Rany! - powiedziałam, kiedy w końcu to do mnie dotarło. - Ty masz córkę. Rany. Jak ma na imię?

- Angel.

Zastanowiłam się przez chwilę.

- Angel Gabriel? Chyba żartujesz?

- No dobra, wygłupiam się. Ma na imię Thelma.

Rzuciłam mu ciężkie spojrzenie.

- OK, OK, ma na imię Elizabeth, ale mówimy na nią Libby.

- Jesteś pewien? A może jednak Cherub albo Seraph?

Paul ujął moją dłoń i ruszyliśmy dalej, trzymając się za rękę. Jego dłoń była silna i ciepła.

Na George Square kłębiły się tłumy kupujących, rodzin z małymi dziećmi i nastolatków. Grała orkiestra Armii Zbawienia, chór wyśpiewywał kolędę.

*Gdy się Chrystus rodzi i na świat przychodzi...*

- Kiedy wyjeżdżasz? - odezwałam się w końcu.

- Jutro. Dlatego musiałem ci to teraz powiedzieć.

*Ciemna noc w jasnościach promienistych brodzi...*

- Jutro? Od dawna o tym wiesz?

- Dowiedziałem się jakiś tydzień temu, ale zacząłem się ubiegać o ten kontrakt parę miesięcy temu, zanim... zgłosiłem się jeszcze w lecie.

*Aniołowie się radują, pod niebiosą wyśpiewują*

- Chciałem ci powiedzieć wcześniej, ale cała ta sprawa z twoim ojcem i w ogóle...

- Och... Życzę ci szczęścia. Na pewno będziesz się tam dobrze bawił.

*Gloria, gloria, gloria...*

- Odwiedzisz mnie w Stanach? - zapytał jeszcze Paul.

- Oczywiście, to znaczy, jeśli mnie zaprosisz...*in excelsis Deo*...

- Więc nie masz już w zanadrzu żadnych niespodzianek? Jeszcze piątka dzieci? A może dwuletni pobyt w Uzbekistanie? - rzuciłam, próbując ukryć drżenie warg.

- Nie. Jadę tam już teraz, bo muszę znaleźć jakieś mieszkanie, no i chciałbym spędzić święta z Libby. Ostatnio nie było jej lekko.

- To naprawdę świetny pomysł - skłamałam.

Jej nie było lekko? A co ja mam powiedzieć? Byłam zazdrosna o córkę Paula.

*Gloria, gloria, gloria...*

Stałam przez chwilę w milczeniu, a potem pomyślałam, a co mi tam?

Zarzuciłam mu ramiona na szyję i serdecznie go uścisnęłam. Paul przytulił mnie mocno.

- Będę za tobą tęsknić. Bardzo - wymamrotałam z twarzą wciśniętą w jego płaszcz.

- Ja też będę za tobą tęsknił - powiedział, a potem delikatnie przechylił moją twarz w swoją stronę i pocałował w usta.

- Poradzę sobie... - uśmiechnęłam się do niego z trudem. Coś błysnęło w jego oczach. Żal? Pożądanie? Ulga?

- Chodź, dołączymy do reszty - powiedział, niezręcznie wypuszczając mnie z objęć.

- Chyba będę musiała to sobie odpuścić - wykrztusiłam. - Muszę jeszcze wrócić po samochód i pojechać do matki.

- Koniecznie dzisiaj? - Paul wyglądał na urażonego.

- Tak, przepraszam. Nie chcę odkładać tego na później, chyba rozumiesz...

- Zadzwoń do mnie po powrocie do domu?

- Oczywiście! Muszę się przecież dowiedzieć czegoś więcej o

twojej córce i nowej pracy - powiedziałam trochę zbyt radośnie.

- Złapię taksówkę.

- Pójdę pieszo. To część mojej fizjoterapii. Powinnam codziennie ćwiczyć.

- W takim razie odprowadzę cię do domu - zaproponował, obejmując mnie ramieniem.

- Nie, lepiej dołącz do reszty. Czekają na ciebie - na nas. Nie możemy oboje tak po prostu się nie zjawić.

- Jesteś pewna? - Paul zmarszczył brwi.

- Całkowicie! Zajmie mi to góra dwie godziny. Zobaczymy się później. W porządku?

Paul zgodził się niechętnie.

Ruszyłam do domu, przełykając łzy ściskające mnie w gardle. Ulice były pełne zaaferowanych, uśmiechniętych ludzi. Powietrze aż wibrowało od radości i śmiechu.

*Gloria, gloria, gloria in excelsis Deo!*

Sześć miesięcy to bardzo długi okres. Zwłaszcza w moim życiu.

Formalności związane z wizytą u matki były krótkie i niezbyt uciążliwe. Pojawiałam się tu regularnie i z niektórymi członkami personelu byłam już nawet na „ty”.

Lekarze uznali, że matka nie stanowi zagrożenia dla siebie ani dla innych, dlatego pozwalano jej poruszać się swobodnie pomiędzy salą telewizyjną, łazienką a jej własnym pokojem. To małe ustępstwo było dla mnie pewną pociechą. Trzymanie matki pod kluczem na pewno zwiększyłoby tylko jej udrękę.

Matka czekała na mnie w sali telewizyjnej.

- Witaj, kochanie. Wyglądasz na przemarzną. Bardzo zimno na dworze? - zapytała miło.

- Straszny ziąb. Chyba zanosi się na śnieg.

- A więc będziemy mieć białe Boże Narodzenie! Cudownie.

- Mam nadzieję, że śnieg spadnie dopiero na święta, bo inaczej zanim nadejdzie gwiazdka, zrobi się z niego brudna breja.

Zdjęłam płaszcz i powiesiłam go na oparciu sfatygowanego fotela.

- A jak tam dzisiaj w pracy?

Zabrzmiało to tak, jakbyśmy spotkały się na babskich ploteczkach przy filiżance herbaty, jakby niecały tydzień temu nie odbył się pogrzeb jej męża.

- W porządku, dziękuję.

Matka podniosła swoją robótkę i zaczęła migać drutami. Nigdy nie robiła na drutach, ale najwyraźniej uwięzienie wydobyło z niej jakieś ukryte gospodarskie ciągoty. Prawdziwa Martha Stewart. Zdążyła mnie już nawet obdarować szkaradnym, własnoręcznie zrobionym szalikiem.

- A jak tobie minął dzień? - zapytałam w końcu.

- Och, świetnie.

Tak bardzo chciałam wytrącić ją z odrętwienia uprzejmych słówek i obojętności.

- Przypomniałaś sobie coś jeszcze na temat tego, o czym rozmawialiśmy?

- Myślisz, że będzie pasować na Maksa? - zapytała matka, podnosząc do góry swoją robótkę. - A może powinnam odrobinę poszerzyć?

- Na miłość boską! - krzyknęłam, a matka zrobiła urażoną minę. Uspokój się, pomyślałam. To przecież nie jej wina, że Paul wyjeżdża. - Na pewno będzie świetnie pasować na Maksa. Spodobają mu się te bałwanki i kolory.

Matka popatrzyła z uśmiechem na swoje dzieło i zadowolona zabrała się z powrotem do pracy.

- Hm, mamo, czy tata wiedział o Lelandzie?

- Och, nie. Chociaż raz wydawało mu się, że go widział...

- To dlatego dostał udaru?

- Ależ skąd! Myślę, że to przez psy. Zaczęły gonić owce. Nigdy wcześniej tego nie robiły, a wiesz jacy są ci rolnicy. Ojciec pobiegł za psami i zaraz potem, no cóż...

Przyglądałam się jej beznamiętnie, zastanawiając się, czy kłamie. Nigdy wcześniej nie wspominała o żadnych owcach.

- Ale to nie była wina psów. Taką już mają naturę.

Potrząsnęłam głową, zdumiona jej spokojem.



- Gdzie jest teraz Leland?

Matka podniosła na mnie oczy.

- Twój starszy brat nie żyje.

Często to powtarzała, ale jeśli nadal trzymałam się tego tematu tak, jakbym wcale nie usłyszała jej odpowiedzi, czasami się załamывała. Wzięłam do ręki jakiś magazyn i zapytałam od niechcienia:

- A tata nie był ciekawy, dlaczego chcesz, żeby zmienił swój testament?

- Dosyć, ale powiedziałam mu, że nie ma sensu ciuć tych pieniędzy, a wasza czwórka może równie dobrze z nich korzystać.

- Nasza czwórka?

- Tak, kochanie. Ty, Bronte, Finlay i Max.

- Och... - chciałam jej zadać jeszcze tyle pytań, ale nie wiedziałam, od czego zacząć. - Mamo, gdzie podziewał się Leland, zanim tu wrócił?

- Przypuszczam, że po prostu podróżował. Zawsze kochał podróże. Na przykład do Stanów Zjednoczonych.

- Hm... A jak to było możliwe, to znaczy, bez paszportu?

Matka uniosła ze znużeniem brwi.

- Nie wiem. Musiałabyś go sama o to zapytać.

Niemal oczekiwałam, że teraz nie wiadomo skąd pojawi się Leland. Ciarki przeszły mi po plecach.

- Mamo, dlaczego on wrócił?

- Potrzebował pomocy. Och, psiakrew! Zgubiłam oczko. Widzisz? - Podniosła robótkę do góry. - Poleciało aż do połowy. Erin, bądź tak miła i pomóż mi to spruć.

Usiadłam obok niej na zapadniętej kanapie i wyciągnęłam przed siebie ręce, jak posłuszna córka. W powietrzu unosił się

delikatny zapach. Waniliowy krem do rąk. Matka zabrała się za prucie robótki, starannie owijając włóczkę wokół moich rąk.

- Jakiej pomocy? - zapytałam.

- Słucham, kochanie?

- Powiedziałaś, że Leland potrzebował pomocy. O co chodziło?

- No cóż, nie jestem pewna. Powiedział, że ktoś go ściga. Myślę, że był zastraszony. Wiesz, jaki był wrażliwy. Zawsze brał pod swoje skrzydła rozmaitych nieudaczników.

Cholerna prawda, rzeczywiście go ścigali! Matka wzięła tę jego bandę dziwolągów za życiowych nieudaczników. A poza tym, on wcale nie brał ich pod swoje skrzydła - on przerabiał ich na swoje podobieństwo!

- A nie powiedział ci, kto to jest? Kto go ściga?

- Nie, kochanie, był trochę... Och, już sprułyśmy do właściwego miejsca. Gapa ze mnie, że nie zauważyłam tego wcześniej. Na szczęście, oczko nie poleciało aż do bałwanka. Dzięki Bogu choć i za to.

Uśmiechnęłam się idiotycznie. Ostatnio dziękowałam i za mniejsze rzeczy.

- Daj, wezmę od ciebie tę wełnę... no, już - matka zdjęła włóczkę z moich wyciągniętych rąk. - I wszystko w porządku.

- Zrobisz mi na drutach czapkę pasującą do tego ładnego szalika?

- Naprawdę byś chciała, kochanie? Oczywiście, zwłaszcza jeśli rzeczywiście zanosisz się na śnieg - matka zaczęła grzebać w swoim woreczku na robótki w poszukiwaniu ohydnej włóczki w kolorze rzygowin. Odwracanie jej uwagi na ogół przynosiło dobre efekty.

- Zastanawiam się, kto próbował zastraszyć Lelanda? Chciałabym wiedzieć. Nieźle bym tego kogoś obsztorcowała... -

mruknęłam.

Matka wyprostowała się z motkiem nikomu niepotrzebnej wełny w rękę, a potem pochyliła się w moją stronę.

- Cóż - powiedziała scenicznym szeptem - to było trochę dziwne. Powiedział, że to jakiś parodysta.

Rzuciła mi takie spojrzenie, jakby podzieliła się ze mną właśnie najświeższą plotką, ale ja czułam się kompletnie skołowana.

- Parodysta? Ktoś pisujący parodie?

- Nie, kochanie! - roześmiała się matka. - Ktoś taki, jak Mike Yarwood<sup>[6]</sup>.

- Ach, naśladowca? Ktoś udawał Lelanda?

- No przecież właśnie o tym mówię - mruknęła z obrazą w głosie.

- Tak, przepraszam, mamo. Nie zrozumiałam cię. To dla mnie straszny... szok.

- Ja też byłam zaszokowana. I dlatego właśnie wrócił. Żeby być bliżej ciebie.

Z trudem powstrzymałam okrzyk.

- Bliżej mnie? Dlaczego?

Matka cmoknęła z niezadowoleniem.

- Zawsze starał się znaleźć w pobliżu ciebie. Nie pamiętasz? Nawet kiedy byłaś niemowlęciem i wystawiałam cię w wózku na dwór, bo tak się wtedy robiło, zaraz siadał tuż obok. Wystarczyło, że tylko pisnęłaś, a on cię zaraz uspokajał. Kochany chłopiec - uśmiechnęła się do siebie. - A kiedy poszłaś do przedszkola, też zawsze cię pilnował podczas zabawy. Było mu naprawdę ciężko, gdy musiał iść do szkoły bez ciebie. Powinniście się urodzić jako bliźnięta.

Zadrzałam z obrzydzenia na samą myśl o tym. Wystarczająco

straszne było już to, że Leland jest moim bratem.

- Nigdy nie pokochał Bronte tak mocno, jak ciebie... no ale... A pamiętasz, jak przysyłał ci walentynkowe kartki, które zrobił w szkole?

Popatrzyłam na nią z przerażeniem. Te walentynki były od niego? To ohydne! Myślałam, że przysyłał mi je chłopiec, który mieszkał trochę dalej przy naszej ulicy.

- Mamo, przestań!

Matka podniosła na mnie zdumiony wzrok.

- Przepraszam, nie... ja nie chciałam na ciebie krzyczeć. Po prostu... trudno mi znieść... to wspomnienie.

- To zrozumiałe. Trudno się pogodzić ze stratą ukochanej osoby. Wiem, bo sama pożegnałam już dwoje bliskich.

- Dwoje?

- Twojego tatę i Lelanda.

- Mamo, Leland żyje. Przecież dobrze o tym wiesz.

- Ależ nie, kochanie, twój brat nie żyje. Napijesz się ze mną herbaty? Za chwilę powinni ją przynieść.

Boże, jej naprawdę brak piątej klepki.

- Tak. Chętnie - przytaknęłam słabym głosem.

Rozmawiałam z jej lekarzami, którzy twierdzili, że matka cierpi na psychozę, zespół stresu pourazowego i wypiera ze świadomości prawdę. Ale oni się mylą. Matka zwyczajnie postradała zmysły.

- Mamo, wiem, że to dla ciebie bardzo trudne, ale czy ty wiesz, co zrobił Leland?

Matka westchnęła ciężko.

- Erin, wszystkie rodzeństwa się kłóca. Nawet te bardzo ze sobą związane. Leland nigdy nie chciał cię skrzywdzić, a ty byłaś trochę skarżypytą. Zawsze biegłaś do ojca z jakąś niewiarygodną

historyjką na temat najnowszej psoty brata. Ale z całą pewnością został za to ukarany.

Nie potrafiłam sobie przypomnieć żadnej sytuacji, kiedy Lelandowi wymierzono karę.

- W jaki sposób?

- No cóż, musisz pamiętać, że czasy były inne, rodzice nie wzdragali się wtedy przed stosowaniem kar cielesnych. Twój ojciec wzywał Lelanda do gabinetu. Naprawdę trudno było tego słuchać. Ojciec bił go bardzo dotkliwie. Skórzanym paskiem na gołe pośladki. Czasami Leland przez kilka dni nie był w stanie usiąść, biedactwo.

Biedactwo? Biedactwo?

- Mamo, a wiesz o tym, co jeszcze zrobił? - zapytałam, ale matka popatrzyła na mnie obojętnie. - O rzeczach, które robił później, kiedy był już starszy?

- Nie chciał nas zdenerwować swoim zniknięciem. To było po prostu załamanie nerwowe. Poza tym przecież wrócił.

- Ale czy wiesz o innych rzeczach, które zrobił? Matka wzruszyła lekko ramionami.

- Nie wiem, jak w ogóle poradził sobie przez tak długi czas zupełnie sam. Był w strasznym stanie. Chyba nie dbał o siebie wystarczająco - powiedziała, potrząsając ze smutkiem głową. - Obiecał, że wyjedzie, jeśli dam mu dosyć pieniędzy.

Nigdy wcześniej nie mówiła tak swobodnie. Wpatrywała się przez chwilę w swoje dłonie, a potem nerwowo splotła je na kolanach.

- Chciałaś, żeby wyjechał? - szepnęłam, delikatnie ujmując jej dłoń.

- Och, Erin! Byłam taka szczęśliwa, kiedy się zjawił, ale później... Co pomyśleliby sobie Granville'owie-Grantowie, gdyby

się dowiedzieli? Ale wygnać swoje dziecko z domu, po tylu latach spędzonych gdzieś w dziczy...

- Mamo? Czy Leland był w piwnicy, kiedy nadinspektor Kelman został... ranny?

- Tak - szepnęła.

- O mój Boże, mamo! Dlaczego o tym nie powiedziałaś? Dlaczego...

- Twój ojciec byłby wściekły! Znowu by go zbił. A on nie chciał tego zrobić, Erin. Po prostu próbował cię bronić. Tak jak wtedy, gdy byłaś w pierwszej klasie i inne dzieci ci dokuczały, pamiętasz?

- Nie chciał... zranić pana Kelmana?

- Tak, to był wypadek. Myślał, że ten człowiek chce ci zrobić krzywdę. Dlatego wrócił. Żeby cię chronić...

- Witam! Jak się pani dzisiaj miewa, pani Paterson? - zapytała radośnie pielęgniarka.

- Przerwała nam pani rozmowę - burknęłam poirytowana. - Właśnie zaczynałyśmy do czegoś dochodzić.

- No cóż, zna pani zasady - odparła z werwą pielęgniarka, zerkając znacząco na zegarek. - Żadnych odwiedzin po siódmej.

- Czy córka nie mogłaby zostać jeszcze na herbatę? Była bardzo przemarznięta, kiedy tu przyszła - zapytała zatroskanym tonem matka.

- Cóż... Właśnie kończę już dyżur... Uśmiechnęłam się do niej przymilnie.

- No dobrze. Ale tylko dziesięć minut. Powiem następnej pielęgniarce, kiedy już przyniosą herbatę. Proszę pamiętać, dziesięć minut.

- Dziękuję - powiedziałyśmy obie z matką jednocześnie.

- Mam nadzieję, że dostaniemy też ciasto - powiedziała matka,

gdy tylko za pielęgniarką zamknęły się drzwi. - Kolacja była dzisiaj bardzo niesmaczna. Ryba w sosie serowym. Nie znoszę tej potrawy. Zresztą nie wiadomo, co to był za gatunek? Przecież równie dobrze mogło to być mięso z rekinka.

- W moim nowym biurze mam dwie złote rybki.

- To miło! Jak się nazywają?

- Fang i Huey.

- Dziwne imiona - popatrzyła na mnie uważnie. Chryste! Nawet teraz nie da mi spokoju.

- Mamo, przepraszam. Byłam myślami daleko stąd. Czy to Leland zabił nadinspektora Kelmana?

- Co takiego? Nie bądź śmieszna! Leland nie żyje.

- Mamo, Leland żyje. Przecież go widziałaś. Nawet z nim rozmawiałaś.

Matka zapatrzyła się gdzieś w przestrzeń z nachmurzoną miną. Znowu mi się wymknęła. Zaczęłam łamać sobie głowę nad jakimś odpowiednim tematem do rozmowy.

- Max sam robi świąteczne kartki. Koloruje je kredkami i przykleja brokat. Są naprawdę ładne - powiedziałam w końcu.

- To urocze. Nauczył się tego w przedszkolu?

- Tak. Robili też świąteczne ozdoby.

- A wie już, o co chciałby poprosić świętego Mikołaja? Wstałam z kanapy i podeszłam do okna. Popatrzyłam na wyniosły, przygnębiający budynek starego szpitala. Zawsze napawał mnie jakimś irracjonalnym lękiem. Wiedziałam, że to tylko pusta ruina, ale dla mnie on nadal rozbrzmiewał rozpaczliwym krzykiem obłąkanych ludzi.

- Chciałby... dostać taczki i łopatkę, nowe kalosze i ogrodowy sekator... Taki, jak miał Leland...

- Herbata i naleśniki dla Lady Paterson - obwieścił pielęgniarz

od drzwi. Jeśli będą nam ciągle przerywać, to do niczego nie dojdziemy.

- A jest też jakiś dzem do tych naleśników? - zaszcebiotała matka.

- Oczywiście, proszę pani!

Nadal stałam odwrócona do nich plecami, licząc na to, że pielęgniarz nie każe mi już wyjść. Kiedy nadarzy mi się znowu taka okazja? Może już nigdy.

- Nalać pani herbaty? - zapytał pielęgniarz.

Nie odpowiadałam, uznawszy, że zwraca się do matki.

- Uprzejmość nic nie kosztuje - skomentował złośliwie pielęgniarz.

Obejrzałam się i aż jęknęłam.

- Chryste!

- Erin! Nie bluźnij! - upomniała matka.

Zacisnęłam palce na parapecie, starając się zachować przytomność umysłu. On tu jest. Stoi przede mną. Właśnie w tej chwili!

- Leland! - wycharczałam.

Matka popatrzyła na niego spod zmrużonych powiek.

- Mój zmarły syn miał na imię Leland.

- To jest Leland - wysyczałam gorączkowo.

- Nie bądź śmieszna! - cmoknęła z niezadowoleniem matka. - Leland nie żyje, więc to nie może być on.

Leland uśmiechnął się do mnie.

Bardzo się zmienił, ale nadal był wysokim, władcym mężczyzną w kwiecie wieku. Wysportowana, muskularna sylwetka, gęste, ciemne włosy, wyraziste rysy twarzy, ładne, proste zęby. Ucieleśnienie marzeń wszystkich kobiet. Byłam zszokowana. W głębi serca żywiłam nadzieję, że zauważę jakieś



oznaki fizycznego zepsucia. Chciałam, żeby na zewnątrz było widać jego chorą duszę.

- Skąd taka mina, Erin? Wyglądasz na zawiedzioną. Nie mogłam wydusić nawet słowa.

- Ojej. Czyżbyś liczyła na to, że trochę zbrzydłem? Marzyła ci się taka powtórka z Doriana Graya?

Jak się tego domyślił?

- Muszę przyznać, że nic się nie zmieniłaś.

Z trudem chwyciłam powietrze, idiotycznie mrugając powiekami.

- Widzę, że cię zaskoczyłem - dodał.

- Państwo się znają? - zainteresowała się uprzejmie matka.

- O, tak. Od bardzo dawna, prawda?

- To miło. Dobrze się czujesz, Erin? - matka zwróciła się do mnie. - Wyglądasz trochę blado.

- Zajmę się nią, proszę pani - wtrącił Leland.

Cała zeszywniałam ze strachu. Oddychałam szybko, drżąc na całym ciele. Czułam mrowienie skóry, a wargi miałam zdrętwiałe.

- Co ty tutaj robisz? - zdołałam w końcu wyszeptać.

- Opiekuję się mamą.

- Co ty tutaj robisz? - powtórzyłam.

Leland przechylił głowę i popatrzył na mnie, jakbym była niedorozwinięta.

- Powiedziałem ci już. Opiekuję się mamą. Ktoś musi.

- Matka ma tu świetną opiekę - powiedziałam w pełnym oszołomieniu. Nie mogłam uwierzyć, że z nim rozmawiam. Przecież to Leland - przekleństwo mojego życia.

- Ale nie potrafią jej tu ochronić - wysyczał.

- Ochronić? Przed czym?

- Przed nim! Przecież ci mówiłem! Dlaczego jesteś tak cholernie głupia?

Rozpoznałam ten ton. Irytacja. Wstęp do agresji.

- Erin, herbata stygnie - zauważyła niewinnie matka.

- Och, tak. Przepraszam - wymamrotałam, ale nie byłam się w stanie ruszyć z miejsca. Nogi miałam jak przyklejone do podłogi. Czulałam się tak, jakby przede mną otwierała się otchłań.

- Nie chcesz herbaty? Przyniosłem też dla ciebie - powiedział Leland. Jego oczy przybrały złudny wyraz normalności.

- Hm, nie... Ja...

- To naprawdę niegrzeczne z twojej strony - warknął.

- Przepraszam. Nie czuję się...zbyt... dobrze - szepnęłam, z trudem powstrzymując się od krzyku. Uspokój się, Erin. Spokojnie. Nie drażnij go. Bądź dla niego uprzejma. Spokojnie.

Leland zmrużył oczy i ukradkiem zerknął na matkę.

- Nie trzeba było mówić mamie o Lucy - szepnął do mnie.

- Ale... ja nic jej nie mówiłam. To policja.

- Nieprawda - Leland potrząsnął głową. - Ty ich sprowadziłaś, Erin! Jak mogłaś? Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem?

- Ale to nie ja! Nie ja!

Dobrze znałam ten odrażający rytuał. Męczennik Leland oskarżył mnie o jakąś wymyśloną zbrodnię, a potem szybko nastąpi kara.

- Cały czas cię chronię, Erin, a ty tak mi się odwdzięczasz? - wysyczał przez zęby.

- Ale ja jej nic nie powiedziałam! - krzyknęłam. - To nie ja!

- A teraz matka chce, żebym wyjechał. Bo ty oczywiście musiałaś wszystko wypaplać.

Zaczął się do mnie zbliżać. Zamierzał mnie ukarać, niezależnie od wszystkiego. Nic nie było go w stanie teraz powstrzymać.

- Mamo! To Leland! - krzyknęłam w końcu.

Matka podniosła wzrok. Leland spojrział na nią przez ramię i uśmiechnął się do niej, a ona odpowiedziała mu uśmiechem.

- Nadal straszna z ciebie skarżypyta, co? Lucy też chciała wszystko wygadać, ale jej pokazałem. Poza tym, wcale nie była o to zła. Tak naprawdę całkiem jej się podobało. Chyba nawet doszła.

Poczułam odruch wymiotny. Suche, bolesne spazmy z głębi mojej duszy.

- Och, daj spokój! Przestań robić z tego dramat! - zaczął mnie łąać, a potem chwycił mnie za włosy i odciągnął moją głowę do tyłu. Gorące łzy nabiegły mi do oczu.

- Czego chcesz, Leland? Pieniędzy?

- Nie wiesz? A ja uważałem cię za taką bystrą. Chcę tego, co moje - znowu pociągnął mnie mocno za włosy.

- Co to takiego?

- Ty! Byłaś dla mnie, mama tak mi powiedziała. Mówiła, że jesteś dla mnie. Mały dzidzius tylko dla mnie. I nie opiekowałem się tobą? Zawsze. Ale ty musiałaś wszystko zepsuć. Musiałaś naskarżyć i narobić kłopotów!

Jego twarz, wykrzywiona wściekłością, znajdowała się tylko parę centymetrów od mojej. Czułam jego oddech na swojej skórze. Modliłam się, żeby ktoś zajrzał przez małe okienko w drzwiach i nas zauważył.

- Erin! Herbata całkiem wystygła! - zganiła mnie matka.

Leland odwrócił na ułamek sekundy wzrok i wtedy kopnęłam go kolanem w krocze. Zwinął się z bólu, puszczaając moje włosy. Jak oszalała pokuśtykałam do drzwi zabezpieczających. Zaczęłam szarpać za kłamekę, a potem uderzyłam w nie pięścią.

- Ależ, Erin. Do tego potrzebny jest kod.

Dopadł mnie w mgnieniu oka i pociągnął w stronę toalety.

- Proszę pana, proszę natychmiast puścić moją córkę! - powiedziała matka rozkazującym tonem.

Boże Święty! Ona naprawdę nie miała pojęcia, kto to jest.

- Przykro mi, ale wie pani przecież, że walenie pięścią w drzwi jest niedopuszczalne.

- Moja córka jest tu tylko gościem. Nie chciała tego zrobić, prawda, kochanie?

Leland odwrócił się znowu w moją stronę. Na wargach igrał mu lekki uśmiech.

- Czekałem na tę chwilę, kochanie. Od bardzo dawna. Próbowałem znaleźć kogoś na twoje miejsce... ale żadna nie dorastała ci nawet do pięt. Naprawdę próbowałem.

Zaczęłam drzeć na całym ciele. Widziałam jego ofiary, dostrzegłam podobieństwa.

- Czemu nie usiądziesz ze mną? Zostawiłam dla ciebie naleśnika - matka popatrzyła na mnie i uśmiechnęła się radośnie.

Zupełnie straciła kontakt z rzeczywistością. Była dla mnie bezużyteczna. Jak zawsze.

- No dalej! - Leland wciągnął mnie do niewielkiej toalety.

- Kompletnie ci odbiło! Jestem twoją siostrą, do diabła! Zostaw mnie!

- Dzieci, dzieci. Nie bijcie się - matka upomniała nas bez szczególnego przekonania.

W dzieciństwie słyszałam te słowa z jej ust tysiące razy. Modliłam się, żeby obudziły w niej teraz jakieś wspomnienia, żeby w końcu go poznała.

- Tak, Erin. Nie bij się. Pobawimy się grzecznie - wymruczał mi do ucha Leland.

Odepchnęłam go gwałtownie i potykając się wpadłam z

powrotem do sali telewizyjnej.

- Chcesz się bawić w berka? Mam cię gonić?

- Zostaw mnie! Ty pieprzony psycholu! - wrzasnęłam.

- Erin Georgino Paterson! Jak ty się wyrażasz! - przestrzegła mnie matka.

- Mamo! To Leland! To Leland!

- Na miłość boską, Erin! *Słyszałam* z twoich ust przekleństwo. Leland nie ma z tym nic wspólnego.

Porzuciłam wszelką nadzieję, że matka zdoła odzyskać zdrowe zmysły dzięki delikatnym sugestiom.

- NIE, MAMO! TO LELAND! LELAND TU JEST! Matka podniosła na nas wzrok i popatrzyła od jednego do drugiego.

- Leland! Co ty wyprawiasz? Natychmiast zostaw swoją siostrę w spokoju.

Dzięki ci, Boże, pomyślałam. Dzięki ci.

- To ona zaczęła. - Leland popatrzył na mnie z naburmuszoną miną.

Znowu mieliśmy dziesięć i jedenaście lat. Tego roku wszystko przybrało zły obrót. To wtedy jego obsesja zmieniła się z braterskiej miłości w jakieś złowrogi, zdeprawowane wynaturzenie.

- Mamo, wezwij pielęgniarkę - nakazałam jej stanowczo.

- Ale przecież pielęgniarz już tu jest - matka zamrugła ze zdumieniem oczami.

- MAMO! To nie jest pielęgniarz. To Leland!

Matka zmrużyła oczy i spojrzała na niego uważnie.

- Mówiłam ci, żebyś nigdy tu nie wracał. Nigdy! Zakazałam ci! - powiedziała z gniewem.

- Ale ja jeszcze nie skończyłem - zajęczał Leland.

- Ależ skończyłeś, mój drogi. Powiedziałam ci przecież, żebyś

trzymał się od nas z daleka. Co ty sobie wyobrażałeś? I ta miła Lucy? To się musi skończyć. Nie zamierzam dłużej tego tolerować.

- Zamknij się! Zamknij się! Zawsze stajesz po jej stronie! Zawsze! Tata też! To zawsze jest moja wina, zawsze mnie się karze! Ale to ona mnie do tego zmusiła! To ona! - Leland rzucił się w moją stronę i chwycił mnie prawą ręką za gardło. Wystarczyły mu dwa kroki, żeby przycisnąć mnie do drzwi zabezpieczających. Stałam już tylko na samych czubkach palców, a jego dłoń zaciskała się na mojej szyi.

- Powiedz jej! Powiedz jej! Powiedz, że to przez ciebie. No, mów!

Otworzyłam usta, ale nie mogłam wydobyć z gardła głosu. Walczyłam o oddech, czując zalewającą mnie falę gorąca. Żelazne palce Lelanda zgniatały mi krtań, wyciskając ze mnie życie.

- Leland! Puść ją w tej chwili.

Jego oczy przepełniała wściekłość i rozkosz. Podniecenie przyspieszyło mu oddech.

*Mamo! To boli! Mamo! Pomóż mi!*

- Powiedz jej! Mów! Powiedz, że to przez ciebie. To twoja wina.

Chwyciłam go za rękę, rozdrapując paznokciami skórę, próbowałam kopać go w nogi, ale Leland przycisnął mnie do drzwi całym ciałem. Jego usta dotykały mojej skóry.

- Powiedz jej! Powiedz!

Przed oczami zobaczyłam czarne plamy. Czarne plamy, pędzące wprost na mnie, a potem czerwone. Krwistoczerwone plamy.

Gdzieś daleko słyszałam głos matki.

- Leland! Puść ją! Mówię poważnie. Puść ją!

Próbowałam coś powiedzieć, ale tylko otwierałam i zamykałam usta, nie mogąc wydobyć żadnego dźwięku. Ponad jego ramieniem, pomiędzy tymi czarnymi plamami, które stawały się coraz większe i większe, widziałam matkę.

*Mamo! Boję się! To boli!*

- Powiedz jej, Erin! Powiedz jej, że to wszystko twoja wina!

Czułam, jak drzwi podskakują i drżą pod moją głową.

Widziałam, że usta matki się poruszają, ale hałas w mojej głowie był ogłuszający. Co ona mówi?

Matka chwyciła Lelanda za ramię, próbując odciągnąć rękę ściskającą moje gardło, ale czarne plamy rosły i rosły, aż zlały się w ciemność.

Było cicho, a ja wiedziałam, że już tu kiedyś byłam.

Przerażone dziecko, które próbuje się schować. Trzeba być cicho. Nie ruszać się. Mamo! On tu idzie! Nie ruszać się! Cicho.

Samotne dziecko, które próbuje się ukryć. Mamo! Trzeba być cicho. Nie ruszać się. Kroki. On tu idzie! Mamo!

*Mamo! Boję się! Mamo! Boję się! Mamo! Mamo! Boję się!*

Ktoś do mnie mówi. Świeci latarką w oczy. Wszystko porusza się tak wolno, tak cicho. Mężczyzna ma biały fartuch z długopisami w kieszonce.

Jesteśmy pod wodą.

Mężczyzna zakłada mi na usta i nos plastikową maskę, ale jej zapach jest okropny.

Zdejmij to! Zdejmij!

Opuszkami palców dotykam wody. Jest ciepła.

A potem zjawilo się więcej ludzi w białych i szaroniebieskich fartuchach. Jak mogą oddychać pod wodą bez takiej specjalnej maski, jak moja?

Nie podobało mi się, kiedy zaczęli się tłoczyć wokół.

Byłam przerażona i zaczynałam wpadać w klaustrofobię. Wolałam, kiedy byliśmy tylko my dwoje - ten mężczyzna z długopisami i ja.

A potem pozwolili mi poszybować.

Podobało mi się takie szybowanie, coraz wyżej i wyżej. Krążyłam tak sobie w górze. A potem spojrzałam w dół. Na podłodze leżał jakiś mężczyzna twarzą do ziemi. W plecy miał wbite druty z do połowy zrobionym swetrem.



[6] Brytyjski parodysta i komik, naśladowujący znanych aktorów i polityków. Prowadził swoje programy w BBC i ITV, szczególnie popularny w latach siedemdziesiątych.(przy. tłum.)



Siedział naprzeciwko mnie po drugiej stronie stołu, z rękami ciasno wciśniętymi pomiędzy nogi, pochylony i skulony jak stary człowiek - ale kiwał się w przód i w tył jak małe dziecko. Kołysał się w przód i w tył bez przerwy. To wystarczyło, żeby przyprawić mnie o ból głowy. Za każdym razem, kiedy tu przychodziłam, zdawał się coraz bardziej popadać w obłąd. Tego dnia nie posunęliśmy się daleko. Leland nie był w nastroju do rozmów. Żadne argumenty ani pochlebstwa nie były go w stanie skłonić do mówienia. Nagle uśmiechnął się do mnie szeroko, a ja aż zadrżałam z obrzydzenia.

- *Kocham małą koteczkę, co ciepłe futerko ma...* - śpiewał pod nosem w rytm kołysania.

- Dlaczego nie chcesz podać mi nazwiska mężczyzny, który ci grozi? - powtórzyłam pytanie.

- *Jeśli jej krzywdy nie zrobię, ona też będzie miła...* Nienawidziłam, kiedy śpiewał te rymowanki. Z każdą linijką powracał do mnie dawny koszmar.

Zerknęłam na strażnika i wzruszyłam ramionami, przekonana, że to strata czasu, ale mężczyzna skinął tylko głową, kładąc mi kontynuować. Poirytowana przewróciłam oczami.

- *Więc jeśli nie będę jej ciągnął za ogon...*

- Leland, jak ktokolwiek ma uwierzyć w twoją historię, skoro nie chcesz podać jego nazwiska? - warknęłam.

- *Ani rzucał się za nią w pogoń...*

- Tracimy tylko czas - zwróciłam się do strażnika.

Ruch Lelanda był tak szybki, że zaskoczył i mnie, i strażnika. Błyskawicznie machnął ręką w moją stronę i poczułam jakiś gorący płyn rozpryskujący się na moim prawym policzku i czole.

Dopiero po kilku sekundach uświadomiłam sobie, co to jest.

- Jezu Chryste! Ty pieprzony skurwysynu! - wrzasnęłam, zrywając się na równe nogi. Odsunięte gwałtownie krzesło z hukiem uderzyło o podłogę. Jak oszalała otarłam ze swojej twarzy rękawem kurtki jego spernę. - Sukinsyn!

Leland śmiał się i krzyczał, nawet kiedy strażnik przydusił go do podłogi, wbijając mu kolano w plecy. Miałam nadzieję, że trafił prosto w ranę od drutów. Chmara strażników i sanitariuszy wypełniła natychmiast niewielką przestrzeń pokoju przesłuchań, a ja trafiłam do gabinetu zabiegowego.

Lekarz oczyścił mi skórę środkiem odkażającym i na wszelki wypadek przepłukał oczy. Byłam wściekła i jednocześnie zszokowana.

Pieprzony chory sukinsyn.

- Boże, Erin! Wszystko w porządku? - wyrzucił z siebie sierżant Marshall, wpadając do gabinetu.

- Nie. Nic nie jest w porządku - warknęłam.

Sierżant Frederick Marshall był teraz moim oficerem łącznikowym.

- Tak strasznie mi przykro. Nie wiem, jak to się mogło stać.

- To się już nie powtórzy, tego możesz być pewien. To była naprawdę moja ostatnia wizyta tutaj. Więcej tego nie zrobię - powiedziałam stanowczo.

- Jesteś zdenerwowana. To całkiem zrozumiałe...

- Zdenerwowana? - wrzasnęłam. - Jestem wściekła! Czy ty masz w ogóle pojęcie, jakie to dla mnie odrażające siedzieć w jednym pokoju z tym potworem?

- Oczywiście, rozumiem...

Bezwiednie dotknęłam gardła. Czasem wciąż miałam wrażenie, że czuję żelazny uścisk jego palców.

- Nic nie rozumiesz! On próbował mnie zabić. Przez całe lata znęcał się nade mną! Jak ty albo ktokolwiek inny może wiedzieć, jak to jest nie tylko stanąć z moim bratem twarzą w twarz, ale jeszcze próbować go nakłonić miłymi słówkami do przyznania się.

Czułam się brudna, zbrukana samym kontaktem z Lelandem.

- Może pójdziemy na kawę? - zaproponował łagodnie Marshall.

- Skończył pan? - zapytałam lekarza.

- Tak, proszę się nie martwić. Pani brat jest czysty. Został przebadany pod kątem chorób zakaźnych.

Nie spodziewałam się, że zarażę się schizofrenią, ale i tak byłam wdzięczna za te uspokajające słowa. Ruszyliśmy sterylnie czystymi korytarzami państwowego szpitala psychiatrycznego w Carstairs do stołówki, przy każdym drzwiach okazując nasze laminowane przepustki. Marshall poszedł po kawę, a ja w tym czasie zajęłam dla nas miejsca. Rozejrzałam się wokół. Pozostali klienci wyglądali na równie wykończonych, jak ja. Marshall usiadł naprzeciwko mnie i popatrzył wyczekująco.

- On się z nami bawi. Ze mną - powiedziałam w końcu.

- Dzisiaj może nie poszło najlepiej, ale sama powiedziałaś, że są wzloty i upadki.

- A to, co mamy, nie wystarczy? Dzięki mnie znaleźliście jego trofea.

Marshall pogładził się w zamyśleniu po brodzie.

- W tej sprawie jest coś jeszcze - powiedział. - Dobrze o tym wiesz.

- No cóż, w każdym razie ja potrzebuję przerwy. W przyszłym tygodniu lecę do Nowego Jorku odwiedzić Paula.

Marshall wyglądał na lekko zaniepokojonego. A ja znałam powód.

Leland nie chciał rozmawiać z nikim oprócz mnie. Tylko ze mną. Nie miałam ochoty więcej go widzieć, a co dopiero prowadzić z nim rozmowy, ale Leland nalegał. Sierżant Marshall musiał przekonywać mnie przez dwa tygodnie, zanim w końcu zgodziłam się im pomóc.

- Na długo jedziesz?

- Tylko na kilka dni. Nie martw się, nie zamierzam uciekać z kraju, nawet jeśli taka możliwość wydaje mi się bardzo kusząca.

- Kiedy lecisz?

- Pod koniec następnego tygodnia. Szóstego lutego. Wracam w poniedziałek wieczorem.

- A co u Paula? Jak tam jego nowa praca?

- Bardzo mu odpowiada. Wynajął mieszkanie dla siebie i córki, stara się naprawić wzajemne stosunki. Zdaje się, że planuje zostać tam kolejne sześć miesięcy.

Nie dodałam już, jak bardzo mnie to zabolalo.

- Brakuje ci go? - zapytał cicho Marshall.

- Tak. Był dla mnie prawdziwym przyjacielem. A nie mam ich ostatnio zbyt wielu.

Nie zamierzałam się nad sobą użalać, taka była prawda. Nagłówki w stylu: „SZALONA BABCIA ZAATAKOWAŁA ZMARTWYCHWSTAŁEGO SYNA - SERYJNEGO MORDERCĘ” raczej nie pomagały w zdobywaniu nowych klientów i zacieśnianiu

kontaktów towarzyskich.

- Chcesz przesłuchać nagrania z dzisiejszej sesji? Może zdołasz coś zauważyć?

Westchnęłam.

- Dzisiaj nie udało mi się z niego wydobyć nic nowego. To ja mówiłam. Leland powtarzał tylko te cholerne rymowanki.

To była część ustalonego porządku. Najpierw wypytywałam Lelanda ja, a potem przejmował go Marshall, psychiatry i wreszcie jeszcze dwóch starszych stopniem policjantów z dochodzeniówki. Na końcu odsłuchiwałam nagrania z tych rozmów.

Niektóre z nich wryły się głęboko w moją pamięć. Już na zawsze.

- Ale jak one wyglądają? - szepnęłam z przejęciem, odgrywając swoją rolę niczym aktorka z amatorskiego teatru.

- Chcesz je zobaczyć? - zapytał Leland z nabożeństwem.

- Masz je jeszcze?

- Taaak - wysyczał gorączkowo, zerkając ukradkiem na strażnika.

Czułam się chora, kiedy o tym myślałam. O tym przyprawiającym o mdłości flirtowaniu, swej udawanej fascynacji. O swoim życiu składającym się z kłamstw.

Każde takie przedstawienie odbierało mi jakąś część szacunku do samej siebie i godności.

- To dla dobra ogółu - przekonywał mnie Paul zza Atlantyku.

- Mam ochotę zaszyć się w jakiejś pustelni - mruknęłam w odpowiedzi.

Dla nich zaprzedałam swoją duszę diabłu.

Groteskowa kolekcja zakonserwowanych w formaldehydzie fragmentów ludzkich zwłok, zupełnie jak u Damiena Hirsta<sup>[7]</sup>.

Trofea Lelanda. W jednym słoju znajdował się wycięty język Lucy Grant, w drugim część płuca Sophie Holbrook. W innym spoczywało serce Fiony Griegson, kierującej niegdyś fundacją charytatywną.

Próbowałam wyrzucić z pamięci te obrazy, które miały mnie prześladować do końca życia, ale one wciąż podkradały się pod moje powieki, wyzywając mnie, bym na nie spojrzała. Język Lucy, wyklute oczy Abigail - cała litania zbezczeszczonych ciał.

W przesiąkniętych krwią majtkach Alison spoczywały zaplecione w warkoczyki włosy. Leland rozciął jej ciało brzytwą i wyciął jelita. A potem użył ich, aby zapleść włosy.

Jednak w oczy rzucał się także brak niektórych fragmentów.

Leland twierdził, że wrabia go „pieprzony pedał, że ktoś podszywa się pod niego i popełnia te wszystkie zbrodnie”. Musieliśmy jeszcze ustalić kto jest tym pieprzonym pedałem. Leland nie chciał wymienić jego nazwiska z obawy przed reperkusjami, jakie mogłyby spotkać jego samego, naszą matkę i mnie.

Ten mężczyzna mógł być jednak tylko wytworem rozgorączkowanej wyobraźni mojego brata, który żył we własnym świecie fantazji i został zdiagnozowany jako schizofrenik.

- Dlaczego on śpiewa te rymowanki? - zapytał Marshall.

- Żeby mnie zastraszyć.

Marshall zmarszczył brwi. Nie potrafił zrozumieć, jak taka zupełnie niewinna rzecz może posłużyć jako broń. Nie zamierzałam mu tego tłumaczyć. Wystarczająco straszne było opowiadanie o tym wszystkim doktor Khalil.

- Chcesz już wracać do domu? - zapytał Marshall, choć skrycie liczył pewnie, że spróbuję jeszcze pogadać z Lelandem.

- Tak. Muszę jeszcze wpaść do matki.

- A jak się ona miewa? - zapytał, wstając.

- Trochę lepiej. Zdaje się, że dźgnięcie syna drutami w plecy miało zbawienny wpływ na stan jej umysłu.

Przy wejściu zwróciliśmy przepustki i odebraliśmy od strażników swoje rzeczy. Na dworze było zimno i wietrznie. Budynek szpitala o najwyższym stopniu zabezpieczenia wyglądał na opuszczony i wymarły na tle smętnego krajobrazu. Byłam zadowolona, kiedy dotarliśmy w końcu do samochodu Marshalla.

- Myślisz, że można dać wiarę twierdzeniom Lelanda? A jeśli są tylko wytworem jego chorego umysłu? - zapytał Marshall, wyjeżdżając ze szpitalnego parkingu.

Nie pierwszy raz mnie o to pytał.

- W Leverndale, zanim mnie zaatakował, przyznał się, że zabił Lucy. Przecież znaleźliście jej... - nie mogłam wymówić tego słowa. - Tyle że teraz to wszystko odwołał, zresztą sam wiesz.

Marshall skinął głową.

- Jedynym argumentem przemawiającym za tym, że Leland nie jest odpowiedzialny za wszystkie morderstwa jest brak dowodów. Gdzie jest reszta jego trofeów?

- Może nie zatrzymał wszystkich? Twój brat jest sprytny. Naprawdę sprytny. A jeśli pozbył się ich, kiedy zorientował się, że to już koniec gry? Wasza matka nie chciała mieć z nim nic wspólnego, a Kelman był coraz bliżej - podsunął Marshall.

- Wszystko sprowadza się do tego sfingowanego samobójstwa. Oboje z Pauliem uważamy, że Leland sprzątnął kogoś ze swojej grupy. Może teraz ktoś postanowił się zemścić? Większość kłamstw zawiera w sobie jakieś ziarno prawdy, choćby najmniejsze.

- Spotkasz się z nim jutro? - zapytał z nadzieją Marshall.

- Nie, wpadnę w czwartek. Jutro składam pozew w Sądzie Najwyższym w sprawie Morag McCallum.

- Nadal masz się tym zaimarować? - w jego głosie słycać było zdziwienie.

- Przekonamy się jutro, co z tego będzie. Adwokat Kempa ma nadzieję, że nie będziemy tego ruszać.

Pomyślałam przez chwilę o Morag. „Życie jest tylko uśmiechem na ustach śmierci”, powiedział Li Zhinfa. To jedna z niewielu przytaczanych przez babcię Lu sentencji, które naprawdę zrozumiałam.

- Wiesz, Erin, jesteś najbardziej niezwykłą kobietą, jaką znam.

Uniosłam brew, uśmiechając się do niego lekko, a potem popatrzyłam na przesuwany się za oknem krajobraz Lanarkshire. Na horyzoncie gromadziły się groźne chmury.

Zerknęłam na zegarek. Miałam jeszcze czas, żeby wpaść do biura, a potem wstąpić po Bronte. Teraz regularnie odwiedzałyśmy razem matkę. Towarzystwo mojej siostry było irytujące, ale w jakiś niewyjaśniony sposób dodawało mi otuchy.

- Myślisz, że cokolwiek z tego, co mówi Leland jest prawdą? - odezwał się Marshall.

Odbyłam z moim bratem wiele takich bolesnych spotkań. Pocieszałam się myślą, że pomagam w ten sposób policji, ale nie kierowały mną wyłącznie altruistyczne pobudki. Ja też chciałam poznać prawdę, tyle że Leland był kłamliwym, manipulującym ludźmi sukinsynem. Leland. Mój brat. Pozbawiony serca psychopata i seryjny morderca.

- Szczerze mówiąc, wątpię - odparłam. Ale nie jestem przecież psychiatrą.

Jestem prawniczką zajmującą się odszkodowaniami.

Marzec Melissa Sawyer zgarnęła śnieg z bagażnika należącego



do jej brata buicka rocznik 1982 i po raz trzeci spróbowała podnieść ciężką, rdzewiejącą maskę. Śnieg znowu zaczął padać. Duże, grube płatki osiadały na jej rzęsach. Melissa popatrzyła ponuro na mroczną drogę, zwężającą się w jeden pas ruchu z powodu ogromnych zasp leżących po obu jej stronach. Do najbliższych ludzkich siedzib było sześć kilometrów - jeśli w ogóle można brać pod uwagę te maciupkie osady przyklejone do autostrady. Na przełaj można by pewnie dotrzeć do jakiegoś domostwa czy farmy, ale nawet Melissa wiedziała, czym grozi zejście z drogi w śnieżnej zamieci. Przeklinała swój samochód, który akurat musiał złapać gumę i siebie, że nie miała koła zapasowego. Klęła na swojego brata, że nie oddał do przeglądu tego wiekowego gruchota. Przeklinała śnieg i mróz, i buty na cienkiej podeszwie. Pomyślała z niechęcią o swojej ciotce, która akurat teraz musiała umrzeć i ściągnąć ją na pogrzeb na takie pustkowie. Marsz w cieniu gór Catskill to nie jest szczyt marzeń. Z powodu tego wyjazdu musiała odwołać nieźle zapowiadającą się randkę - pierwszą prawdziwą randkę w tym tysiącleciu.

Żałowała, że skręciła w tę boczną drogę koło zbiornika wodnego Schoharie, pomiędzy Gilboa i Pratsville. Trzeba było posłuchać brata i pojechać drogą numer 30 przez Grand Gorge. Przeklinała północną część stanu Nowy Jork za brak sygnału w swojej komórce. W końcu zabrała torebkę i bezużyteczny telefon i ruszyła po śladach opon swojego samochodu. Spuściła głowę, przyciskając brodę do piersi, żeby ochronić twarz przed ostrymi ukłuciami śnieżnej zamieci.

Pod drzewami było ciemniej.

Ich uginające się pod ciężarem śniegu gałęzie - splatające się ponad jej głową - były rozświetlone błękitnym blaskiem typowym dla śniegu. Melissa przeklęła i te drzewa, wdzięczna

jednak za to chwilowe schronienie. Mniej śniegu padało teraz na jej zmarzniętą, gołą głowę. Zauważyła światła samochodu, zanim jeszcze usłyszała szum silnika. Śnieg tłumił wszystkie odgłosy. Kiedy samochód zbliżył się, Melissa pomachała ręką.

- Potrzebuje pani pomocy?

- Tak. Zepsuł mi się samochód, to znaczy samochód mojego brata. Podwiezie mnie pan do najbliższego telefonu?

- Pani brat został przy samochodzie?

- Nie. Siedzi sobie teraz w ciepłym domku - Melissa zachichotała jak nastolatka. Ten śmiech niezbyt pasował do czterdziestoletniej kobiety.

Mężczyzna uśmiechnął się i pochylił się nad siedzeniem pasażera, żeby otworzyć jej drzwi swojego jeepa Grand Cherokee. Przebiegając pośpiesznie przed maską samochodu, Melissa pośliznęła się i upadła boleśnie na plecy. Przy okazji skręciła sobie kostkę. W mgnieniu oka mężczyzna znalazł się przy niej i pomógł wdrapać się na siedzenie pasażera.

- Będzie potrzebny zimny okład - zauważył, wskazując na jej kostkę.

- To po prostu nie do wiary. A w przyszłym tygodniu mam wystąpić w rewii na lodzie - jęknęła Melissa, a potem ostrożnie dotknęła swojej kostki, przeklinając w myślach swoją ciotkę i cały ten śnieg.

- Jest pani łyżwiarką?

Melissa uśmiechnęła się w myślach. Zwykle przekazanie tej informacji facetowi zajmowało jej pół godziny.

- Tak - dosyć ostentacyjnie zatrzepotała rękami. - Pochodzi pan z Anglii? - zapytała swojego przystojnego rycerza.

Był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną, o włosach lekko przyprószonych siwizną na skroniach. Trzydzieści parę,

czterdzieści lat, oceniła w myślach. Jego ubranie i samochód były drogie i nieskazitelnie czyste. Może jednak przyjazd na pogrzeb ciotki nie był takim złym pomysłem.

- Studiowałem w Anglii. W Szkocji - odparł mężczyzna.

Na dodatek ma wyższe wykształcenie. To musi być jej szczęśliwy dzień.

- Mieszkam tu za zakrętem. Może pojedziemy najpierw do mnie, zrobimy zimny okład i przygotuję pani coś gorącego do picia? Równie dobrze możemy przecież poczekać na pomoc drogową u mnie.

Melissa uśmiechnęła się wstydliwie.

- Chętnie, dziękuję. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby się pan tam na mnie nie natknął - wyrzuciła z siebie.

- Ja też nie wiem, co bym zrobił - odparł zagadkowo jej wybawiciel.

Melissa zachichotała zalotnie. Mężczyzna uśmiechnął się do niej. Miał niezwykły uśmiech i jasne, uwodzicielskie oczy. Melissa pomyślała z nadzieją, że to spojrzenie zapowiada całkiem miły wieczór. Umościła się wygodniej na podgrzewanym skórzanym siedzeniu i puściła wodze fantazji. Ogień w kominku, futrzany dywanik na podłodze, szampan, wspaniały seks.

- Mieszka pan tutaj, czy to tylko domek na weekendowe wypady? - zapytała.

- Przyjeżdżam tu tylko w wolnych chwilach.

- A więc mieszka pan w Nowym Jorku? To tak jak ja! Mężczyzna skinął głową i znowu się uśmiechnął.

Było coś dziwnego w jego uśmiechu. Drapieżny, tak właśnie można by go chyba określić. Melissa poczuła lekkie podniecenie. Ale miała to być naprawdę ostatnia rzecz, jaką zobaczyła w swoim życiu.

Jego uśmiech.



[7] Brytyjski artysta, który zasłynął pracami konstruowanymi z zakonserwowanych w formaldehydzie zwierząt, (przyp. tłum.)